

IRVING WALACE

ZAGINIONA
EWANGELIA

ROZDZIAŁ 1

Ledwie znalazł się na lotnisku Kennedy'ego i oddał swój bilet do Chicago do kontroli, gdy pracownik linii lotniczej wręczył mu pilną wiadomość.

Proszą zadzwonić do biura. Ważna sprawa.

Przygotowany na najgorsze, z bijącym mocno sercem pospieszył do najbliższej budki telefonicznej i wybrał numer swego biura na Manhattanie.

Odebrał operator centrali.

— Agencja Reklamowa Steven Randall Associates.

— Mówi Randall — rzucił niecierpliwie. — Daj mi Wandę. Po chwili otrzymał połączenie ze swoją sekretarką.

— O co chodzi, Wando? Coś z ojcem?

— Nie, nie... ojej, przepraszam, panie Randall, nie wyraziłam się jasno. Nie, od pańskiej rodziny nie było już żadnych wiadomości. To sprawa służbowa. Pomyślałam, że będzie pan chciał o tym wiedzieć przed odlotem. Ktoś zadzwonił zaraz po pańskim wyjściu. Uznałam, że to... dość pilne.

Poczuł ulgę i zarazem złość.

— Wando, czy nie uważasz, że na dzisiaj wystarczy już pilnych spraw? Nie mam teraz nastroju do pracy.

— Szefie, niech pan się na mnie nie wścieka. Myślałam...

— Dobra, przepraszam. Ale mów szybko, bo mi samolot ucieknie. Co to za pilna sprawa?

— Możliwe, że będzie nowe zlecenie. Klient zadzwonił osobiście. Powiedziałam mu, że musiał pan wyjechać, a on na to, że rozumie, ale mimo to chciałby się z panem spotkać, gdy tylko pan będzie wolny, i to koniecznie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

— Przecież to niemożliwe. A kto to był?

— George L. Wheeler, prezes Mission House. Słyszał pan o nim kiedyś?

Oczywiście znał to nazwisko.

— Wydawca literatury religijnej?

— Tak jest — odparła Wanda. — Największy. Bardzo gruba ryba. Naprawdę nie zawracałabym panu głowy w takim momencie, ale to wszystko wydało mi się dość niezwykle, wręcz tajemnicze, no i upierał się, że sprawa jest bardzo ważna. Strasznie mnie naciskał, chciał, żebym koniecznie się z panem skontaktowała. Powiedziałam mu, że niczego nie mogę obiecać, ale postaram się przekazać wiadomość.

— Jaką? O co właściwie chodzi temu Wheelerowi?

— Proszę mi wierzyć, szefie, że próbowałam to z niego wyciągnąć, ale bez skutku. Bardzo się pilnował. Powiedział tylko, że to poufna sprawa wagi międzynarodowej. W końcu wyjawiał, że chodzi o to, żeby pan się zajął supertajnym projektem związanym z publikacją zupełnie nowej wersji Biblii.

— Nowej wersji Biblii?! — wybuchnął Randall. — I to ma być ważna sprawa? Mamy miliardy egzemplarzy, po cholere nam jeszcze jedno wydanie? W życiu nie słyszałem takich bredni. Mam być klakierem popierającym Biblię? Daj sobie z tym spokój.

— Dałabym, szefie, gdyby nie to, co Wheeler kazał panu przekazać. Naprawdę dziwna historia. Powiedział tak: „Jeżeli pan Randall okaże się niewiernym Tomaszem i chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tym tajnym przedsięwzięciu, niech otworzy Nowy Testament i zajrzy do Mateusza, rozdział dwudziesty ósmy, wiersz siódmy. Tam znajdzie klucz do naszego projektu”.

— Wando — rzekł Randall, zupełnie już zdesperowany — nie mam zamiaru niczego czytać ani teraz, ani nigdy. Po prostu zadzwoń do niego i...

— Szefie, ja to sprawdziłam — przerwała mu. — Ten ustęp brzmi tak: „A idźcie szybko, i powiedzcie Jego uczniom: powstał z martwych i oto udaje się przed wami do Galilei. Tam Go ujrzycie”. Ten fragment dotyczy zmartwychwstania Chrystusa. To właśnie mnie zaintrygowało, wzbudziło moją ciekawość i dlatego postanowiłam skontaktować się z panem. Jeszcze dziwniejsze jest to, co Wheeler dodał na koniec, zanim się rozłączył. Zapisałam to sobie. „Jak już pan Randall przeczyta ten ustęp, proszę mu przekazać, że chcielibyśmy go włączyć do zespołu zajmującego się Drugim Zmartwychwstaniem”. Coś takiego.

To rzeczywiście brzmiało bardzo enigmatycznie i dziwacznie, szczególnie w taki dzień jak ten, wzięwszy pod uwagę to, co już się wydarzyło i co jeszcze miał przed sobą. Irytacja Randalla zmalala i zaczął się zastanawiać, do czego właściwie zmierzał Wheeler.

— Mam się zająć Drugim Zmartwychwstaniem? Co ten facet wygaduje? Został jakimś religijnym oszołomem czy co?

— Mówił całkiem trzeźwo i serio — odparł Wanda. — Opowiadał o tym swoim projekcie tak, jakby... jakby rzeczywiście coś miało niedługo wstrząsnąć światem.

Randall powrócił pamięcią do przeszłości. To wszystko było mu kiedyś bardzo bliskie. Grób jest pusty. Pan powstał, objawił się. Zmartwychwstanie. Pamiętał ten czas jako najbardziej znaczący i stabilny okres swego życia. A jednak później przez całe lata odrzucał tę kaleką odmianę wudu.

Głos z lotniskowego megafonu wdarł się przez niedomknięte drzwi budki, wzywając go do samolotu.

— Słuchaj, Wando, zapowiedzieli mój lot, ostatni raz. Muszę biec.

— Co mam powiedzieć Wheelerowi?

— Powiedz mu, że nie zdołałaś mnie nigdzie złapać.

— I nic więcej?

— Nic więcej, dopóki się nie dowiem, co mnie czeka w Chicago i w Oak City.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze, szefie.

— Zobaczymy. Jutro do ciebie zadzwonię.

Odwiesił słuchawkę i zdziwiony, a zarazem lekko wytrącony z równowagi rozmową z Wandą, ruszył szybko do swego samolotu.

Byli w powietrzu już niemal dwie godziny i dawno wyrzucił z głowy pana Wheelera, jego nową Biblię i Drugie Zmartwychwstanie.

— Zbliżamy się do lądowania — przypomniała mu stewardesa. — Proszę zapiąć pas, panie... Randall.

Zawahała się, wymawiając jego nazwisko, jakby niepewna, czy już go kiedyś nie słyszała, czy nie jest kimś ważnym. Była dużą piersiastą dziewczyną, teksaską pięknoscią z przyklepionym do ust uśmiechem. Domyślał się, że bez uniformu może być całkiem do rzeczy, chyba że należała do dziewcząt, które po dwóch drinkach oznajmiają, że tak naprawdę traktują życie bardzo poważnie i nie mają zwyczaju zadawać się z żonatymi mężczyznami, a poza tym właśnie zaczęły czytać Dostojewskiego. Pewnie kolejna Dartene, pomyślał, chociaż Darlene, gdy się poznali półtora roku temu, czytała Khalila Gibrana i jak znał życie, od tamtej pory nie przeczytała już niczego więcej.

Korciło go, żeby oznajmić stewardesie, że jest w istocie kimś ważnym, lecz nie był pewien, czy jest w jej typie, a poza tym akurat tego dnia nie miało to żadnego znaczenia.

Skinął więc tylko głową i zabrał się posłusznie do zapinania pasa.

Nie, pomyślał, właściwie nie był ważny dla nikogo. Z wyjątkiem być może tych osób, które pragnęły zostać gwiazdami albo nie chciały przestać nimi być, a także wpływowych ludzi, którzy zamierzali na przykład wylansować jakiś produkt albo nawet cały kraj. Nazwisko Steven R. Randall rzadko pojawiało się w mediach, a zdjęcie nie pojawiało się wcale. Publika mogła zobaczyć tylko to, co chciał jej pokazać, a on sam pozostawał niewidoczny. I wcale mu to nie przeszkadzało — nawet w przypadku takiej stewardesy —

ponieważ naprawdę się liczył, kiedy od tego coś zależało, a ludzie, od których to zależało, wiedzieli, że się liczy.

Jak choćby tego ranka. Spotkał się w końcu twarzą w twarz z Ogdenem Towerem III, od którego zależało wiele i który wiedział, że Randall się liczy, a w grę wchodziło kilka milionów dolarów. Uzgodnili ostateczne warunki przejęcia Agencji Reklamowej Randall Associates przez międzynarodowe konsorcjum Tower'ego, Cosmos Enterprises. Targowali się jak równy z równym we wszystkich punktach — z wyjątkiem jednego.

Ten jedyny kompromis — Randall starał się złagodzić tym określeniem poczucie kapitulacji — budził w nim niepokój, a nawet zawstydzenie. Tak czy inaczej dzisiejsze poranne spotkanie rozpoczęło jeden z najbardziej beznadziejnych dni w jego życiu. A czuł się tak beznadziejnie dlatego, że okazał się zupełnie bezradny wobec własnego życia i sytuacji, z jaką przyjdzie mu się zmierzyć po zakończeniu tego lotu.

Chcąc przerwać tę introspekcję, próbował skupić uwagę na tym, co działo się w samolocie. Stewardesa wracała już naprzód kabiny, wymieniając kordialne uwagi z innymi osobnikami uwięzionymi w pasach bezpieczeństwa. Zadumał się nad tymi innymi, wyglądali na umiarkowanie szczęśliwych i ciekawiło go, czy poznaliby, że on się do takich nie zalicza. Był zadowolony ze swej anonimowości, nie miał bowiem nastroju do rozmowy. W rzeczy samej nie miał też nastroju do spotkania po latach ze swą młodszą siostrą Clare, która oczekiwała go zapłakana na lotnisku O'Hare, skąd miała go zawieźć poza granicę stanu, do Wisconsin i Oak City.

Samolot przechylił się i schodził niżej, byli już prawie w domu.

Dosłownie w domu, bo tam właśnie się udawał, nie przejazdem, lecz na dłuższą wizytę po dwóch, może trzech latach od ostatniego pobytu. Koniec tego krótkiego, a zarazem długiego lotu z Nowego Jorku był początkiem końca jego przeszłości. Powrót do domu był raczej niełatwy. Randall miał tylko nadzieję, że nie potrwa długo i upłynie bez zbędnego okrucieństwa.

Stewardesa przystanąła w przejściu obok jego fotela.

— Za chwilę lądujemy — powiedziała. Wydawała się teraz rozluźniona, bardziej ludzka, a mniej plastikowa, ziemską istotą z ziemskimi myślami. — Bardzo przepraszam, ale pańskie nazwisko wydaje mi się znajome. Może czytałam o panu w gazecie?

A jednak kolekcjonerka Ważnych Ktosiów, pomyślał.

— Przykro mi, ale rozczaruję panią — odparł. — W gazecie pisali o mnie ostatni raz w rubryce „Przyszli na świat”.

Roześmiała się z zakłopotaniem.

— Mam nadzieję, że miał pan dobry lot, panie Randall — powiedziała.

— Świetny — odrzekł Steve Randall.

Faktycznie świetny, nie ma co. Osiemdziesiąt kilometrów dalej jego ojciec leżał w śpiączce. I po raz pierwszy odkąd stał się człowiekiem sukcesu (choć z pewnością dochodził już przedtem do tego wniosku), Randall uświadomił sobie, że nie każdego kłopotu można się pozbyć dzięki pieniądзом i nie każdy problem można dzięki nim rozwiązać. Pieniądze nie uratowały na przykład jego małżeństwa ani nie pomagały mu zasnąć o trzeciej nad ranem.

Ojciec mawiał często: „Synu, pieniądze to nie wszystko”, biorąc od niego pieniądze. Ojciec mawiał: „Bóg jest wszystkim”, modlił się do Boga i kochał go. Jego ojciec, wielebny Nathan Randall, trudnił się bożym biznesem i otrzymywał polecenia od Wielkiej Korporacji w niebie.

To nie fair, nie fair.

Randall wyjrzał przez zachlapany deszczem iluminator na pejzaż i budynki rozjaśnione światłami lotniska.

No dobrze, tato, pomyślał, nie udało się ciebie ani matki wykupić z tego za pieniądze. Teraz to sprawa już tylko między tobą i twoim Stwórcą. Ale zejźdź na mój poziom, tato: skoro rozmawiasz z Bogiem, czy uważasz, że on cię w ogóle słucha?

Wiedział jednak, że ta myśl także jest nie fair, że to rozgoryczenie narastające w nim od dzieciństwa, pamięć o bezskutecznym konkurowaniu z wszechmogącym o miłość ojca. I zawsze było tak, że nie miał szans. Zdumiało go, że ta dziwaczna, pseudobraterska zazdrość wciąż się w nim jątrzy. Przecież to bluźnierstwo — odwołał się do staromodnego słowa, padającego najczęściej z ambony — w tę noc kryzysu.

Poza tym była to nieprawda, nie miał racji. W jego stosunkach z ojcem był także dobry czas. Natychmiast ujrzał w lepszym świetle wizerunek złożonego chorobą starca — niepraktycznego, śmiesznego, ciepłego, cudownego, uczciwego, dogmatycznego, błędzącego, słodkiego starca, swego ojca — i w tym momencie kochał go bardziej niż przez wiele ostatnich lat.

Nagle zebrało mu się na płacz, choć wydawało się to niemożliwe. On, wielka figura z wielkiego miasta, w szytym na miarę garniturze, włoskich butach, z wypielegnowanymi paznokciami, kartami kredytowymi, drinkami, kobietami, rollsem, lokajami, najlepszymi stolikami — wyrafinowany, światowy, zaprawiony w bojach kreator wizerunków — chciał się rozpłakać jak mały chłopiec z Oak City.

„Wylądowaliśmy w Chicago — rozległ się głos stewardesy. — Prosimy o sprawdzenie bagażu podręcznego i opuszczanie samolotu przednim wyjściem”.

Randall wydmuchał nos, wziął swoją skórzaną aktówkę, wstał na drżących nogach i włączył się w rząd postaci sunących ku wyjściu. Przed nim droga do domu i czekające go tam wydarzenia.

Dopiero po trzech kwadransach jazdy z lotniska O'Hare, gdy podświetlany napis oznajmił im, że wjechali do Wisconsin, Clare zmęczyła się wreszcie szlochaniem i płaczliwą litanią żalów i pogrążyła się litościwie w milczeniu, siedząc za kierownicą samochodu.

Na lotnisku przypadła do niego niemal omdlewająca, łkając i jęcząc. Żadna współczesna Elektra nie dorównałaby jej w tym pokazie rozpacz. Randall szorstkim tonem kazał się jej opanować na tyle, by mogła mu opisać stan ojca. Dowiedział się tylko — Clare unikała, jak zawsze, terminów medycznych, jakby stanowiły zagrożenie — że stan jest zły i że doktor Oppenheimer nie chciał rokować. Tak, tatuś leży w namiocie tlenowym, i tak, jest nieprzytomny i, o Boże, tatuś wygląda tak jak jeszcze nigdy dotąd.

Później, już w samochodzie, gdy wreszcie mszyła, jej pochlipywania przerywało niekończące się słowne katharsis. Jak to bardzo kocha biednego tatusia i jaka biedna jest mama, co się stanie z mamą i z nią, i z wujkiem Hermanem, i z innymi? Siedzieli w szpitalu przez cały dzień, bo to się stało dzisiaj wcześniej rano. Zebrali się tam wszyscy i czekali na Steve'a. Mama i wujek Herman — brat matki — i najlepszy przyjaciel tatusia, Ed Period Johnson, i wielebny Tom Carey. I wszyscy czekali na Steve'a.

Czekali na mnie, pomyślał Randall, na chlubę rodziny, tego, który odniósł sukces w Nowym Jorku i potrafił czynić cuda za pomocą swej książeczki czekowej i znajomości. Miał chęć zapytać Clare, czy ktoś w ogóle czekał na Jedynego, który dla ojca znaczył najwięcej. Jedynego, któremu ojciec oddał się ze wszystkim, w którym znajdował oparcie, inwestując na wypadek Dnia Sądu, na Stwórcę, na Jehowę, Naszego Ojca w Niebiosach. Miał chęć o to spytać, ale się powstrzymał.

— Chyba powiedziałam ci już wszystko, co wiem — zakończyła Clare. A potem zaciskając zbieleiałe kłykcie na kierownicy i wbijając wzrok w śliską od deszczu szosę, dodała to, co i tak wiedział: — To już niedługo. Prawie jesteśmy. — I zamilkła.

Zostawiając siostrę w towarzystwie jej prywatnych demonów, Steve Randall zapadł się w fotel i zamknął oczy, zadowolony, że może pobyć trochę sam.

Wciąż odczuwał niepokój, który gnębił go od rana. Teraz jednak doszedł do wniosku, że to nie rozpacz z powodu ojca wprawiła go w taki stan. Próbował jakoś zrationalizować tę niezbyt synowską reakcję i uznał w końcu, że rozpacz jest najsilniejszą z emocji i wobec tego ma najkrótszy żywot. Jej natężenie było tak niszczące, że instynkt samozachowawczy człowieka okrywał ją zasłoną, starał się ukryć przez wzrokiem serca i umysłu. To się już stało i Steve przestał rozmyślać o ojcu. Myślał teraz o sobie, wiedząc, że jego siostra uznałaby to za herezję. Myślał o wszystkich swoich niedawnych śmierciach.

Nie wiedział, którego dokładnie dnia stracił zainteresowanie znakomicie prosperującą agencją reklamową, lecz stało się to w ciągu ostatniego roku, może dwóch. Ten spadek zainteresowania zaczął się objawiać mniej więcej wtedy, gdy Randall i jego żona

Barbara powiedzieli sobie już wszystko i rozstali się, a ona wyjechała z ich córką Judy do San Francisco, gdzie miała przyjaciół.

Starał się jednak ustalić ten moment dokładniej. Judy skończyła wówczas trzynaście lat, a teraz miała piętnaście. A więc musiały minąć dwa lata. Barbara z ponurą miną wspominała coś o rozwodzie, lecz nie podjęła żadnych działań, więc żyli w separacji. Randallowi nie przeszkadzał ten stan zawieszenia, bo nie potrafiłby zaakceptować ostateczności, jaką był rozwód. Nie dlatego, że obawiał się odejścia żony. Ich związek dawno już stracił świeżość. Na Barbarze zależało mu tylko ze względu na własne ego. Nie chciał rozwodu, oznaczałoby to bowiem przyznanie się do porażki. I co ważniejsze, krańcowe rozwiązanie mogłoby na zawsze oddzielić go od Judy. A córka, chociaż rzadko ją widywał i nie poświęcał jej zbyt wiele czasu, była swoistą ideą, przedłużeniem jego samego, tym, co cenił i chciał ochronić.

Praca i firma, którym nie szczędził energii i oddania, stały się w końcu czymś monotonnym i nudnym, równie nudnym jak jego małżeństwo. Każdy dzień wydawał się kopią poprzedniego. Człowiek wchodził do urządzonej z przepychem recepcji, gdzie młoda recepcjonistka, seksowna i przesadnie wystrojona, w nieskończoność piła kawę z dwoma innymi dziewczynami, rozmawiając o biżuterii. Widział zdolnych młodych ludzi z promocji, wszyscy w taki sam sposób nosili teczki, tak samo przierzucali przez ramię płaszcze. Szli do pracy, zagłębić się w swych pluszowych norach niczym borsuki. Potem trzeba się było z nimi naradzać w nowoczesnych, kosztownych gabinetach, gdzie na biurkach stało tyle fotografii dzieci i żon, że mogło to świadczyć tylko o niewierności.

Zdobywanie nowych klientów, zwanych teraz zleceniodawcami, przestało być ekscytujące. W tej pracy brało się wszystko i wszystkich —początkującą czarną piosenkarke, popularną grupę rockową, stukniętą angielską aktorkę, cudowny proszek do prania, najszybszy sportowy samochód, rozwijający się kraj afrykański, który pragnie promować turystykę. Randalla nie kręciło już reklamowanie znanych osobistości czy obiecujących produktów. Nie trafiały mu się już twórcze wyzwania, a pieniądze też nie stanowiły motywacji. Wszystko, co robił, znał już z przeszłości. Każdy zarobek czynił go bogatszym, ale i tak nie dość bogatym.

Był oczywiście świadom, że znalazł się bardzo daleko od beznadziejnego więzienia klasy średniej, a jednak ten dożywotni wyrok wydawał mu się równie nieludzki i pusty. Każdy dzień kończył się tak, jak się zaczął, nienawiścią do samego siebie i do kieratu monotonnych spraw. Mimo to jego prywatne życie, bez żony, bez Judy, nie tylko toczyło się dalej, lecz jeszcze nabierało intensywności. Wciąż więcej kobiet, które posiadał bez miłości, więcej pijaństw, podkręcaczy i osłabiaczy, bezsenności, więcej lunchów, barów, nocnych klubów, otwarć, a wszystkie nawiedzane przez ten sam wędrowny cyrk, złożony z tych samych męskich twarzy i kobiecych ciał.

Ostatnimi czasy zaczął coraz częściej uciekać w dawne marzenie, cel, do którego niegdyś dążył, lecz od którego został później odwiedziony. Pragnął azylu, jakiegoś miejsca wśród zielonych drzew, gdzie pije się tylko wodę i nie można naprawić zegarka, dokąd „New York Times” dociera po dwóch tygodniach i skąd trzeba się wyprawiać do wioski, żeby zatelefonować albo znaleźć dziewczynę do łóżka, z którą w dodatku na drugi dzień będzie się miało ochotę zjeść śniadanie. Zamiast napuszonych i na wpół oszukańczych tekstów dla mediów pragnął pisać rzetelne i uczone książki historyczne na zwykłej maszynie do pisania, nie myśleć już nigdy o pieniądzach i dowiedzieć się, dlaczego jest tak ważne, by pozostał na tej ziemi.

Nie potrafił jednak odnaleźć mostu, który prowadziłby do tego marzenia. Tłumaczył sobie, że nie może zmienić swego życia, ponieważ nie umie gospodarować pieniędzmi. Próbował więc żyć skromnie. Całymi tygodniami zmuszał się do uprawiania zdrowego trybu życia. Bez alkoholu, tabletek, palenia i siedzenia po nocach. Za to dużo sportu.

Miał trzydzieści osiem lat, metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, krzepkie ciało, nieco przekrwione i podkrążone brązowe oczy, prosty nos między zaróżowionymi policzkami i mocną szczękę, wykazującą pierwsze oznaki podwójnego podbródka. W okresach dbałości o zdrowie, kiedy zaczynał czuć się dziesięć lat młodziej, gdy jego oczy nabierały przejrzystości, a kręgi pod

nimi się wygładzały, okrągła twarz szczupłała, podbródek nabierał konturu, brzuch płaskości, a bicepsy mięśni, gdy to się wydarzało, ochota na utrzymywanie spartańskiego reżimu i dbania o zdrowie natychmiast go opuszczała.

Grywał w tę przegraną grę dwa razy do roku, lecz od ostatniego razu upłynęło już dobre kilka miesięcy. W dążeniu do uporządkowania swego życia próbował też ograniczyć się do związku z jedną kobietą. Tym właśnie sposobem w jego dwupoziomowym mieszkaniu na Manhattanie zadomowiła się Darlene Nicholson wraz ze swym Khalilem Gibranem.

Najtrudniej było w pracy, która wciąż wypełniała większą część jego życia. Martwiła się o niego Wanda Smith, sekretarka, wysoka, czarna dziewczyna z poprawianym biustem, dużą czwórka. Martwił się Joe Hawkins, jego protegowany i wspólnik o krzaczastych brwiach. Martwił się Thad Crawford, siwiejący, łagodnego usposobienia prawnik. Randall musiał ich nieustannie upewniać, że nie zamierza się załamać, i aby to udowodnić, odwałał co dzień swoją porcję roboty. Było to jednak ponure i pozbawione radości.

Czasami, bardzo rzadko, pojawiał się w tym wszystkim promyk światła. Miesiąc wcześniej Randall poznał przez Crawforda inteligentnego i oryginalnego młodego absolwenta prawa, który nie pracował w zawodzie, lecz znalazł sobie zupełnie nowe zajęcie w przenikniętej konkurencją kapitalistycznej demokracji, poświęcił się nauce społecznej zwanej prawością. Ten właśnie młody człowiek blisko trzydziestki, z fantastycznymi wąsami jak u morsa i oczami gorejącymi jak u Johna Browna, nazywał się Jim McLoughlin. Założył instytucję o nazwie The Raker Institute, z biurami w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Los Angeles i Chicago. Była to organizacja typu non profit, obsługiwana przez młodych prawników, absolwentów szkół biznesu i byłych wykładowców, a także zbuntowanych dziennikarzy i zawodowych zbieraczy informacji, wybitnych, błądzących po manowcach uciekinierów z dostatniego, amerykańskiego społeczeństwa. Działając przez kilka lat bez rozgłosu, Raker Institute Jima McLaughlina prowadził jako pierwszy własne dochodzenie w sprawie niewypowiedzianej i niepisanej zmywy wielkiego biznesu, jego korporacji i gałęzi, wymierzonej w ludzi i w dobro wspólne.

— Ogólnie biorąc, to wygląda tak — wyjaśnił Randallowi McLoughlin podczas ich pierwszego spotkania — że przez całe dziesięciolecia nasi liderzy prywatnej przedsiębiorczości, prawdziwi monopolisci, ograniczali rozwój nowych idei, wynalazków i produktów, które mogłyby znacznie obniżyć koszty życia konsumentów. Wszystkie pomysły i wynalazki umierały w

momencie narodzin lub były tłamszone przez wielki biznes, gdyby bowiem dotarły do szerokiego kręgu odbiorców, mogłyby pozbawić prywatnych przedsiębiorców znacznej części ich olbrzymich zysków. Przez wiele miesięcy prowadziliśmy niesamowitą detektywistyczną robotę. Czy słyszał pan na przykład o wynalezieniu pastylki, z której można by uzyskiwać wysokiej jakości paliwo do samochodów?

Randall odparł, że chyba słyszał jakieś pogłoski na ten temat, lecz uważał zawsze tego rodzaju odkrycia za czyste wymysły, raczej sensacje niż fakty.

Jim McLoughlin mówił dalej z ożywieniem:

— To właśnie wielkie korporacje zawsze starały się o to, żebyśmy tak myśleli, żebyśmy uważali, że to, jak pan powiedział, czyste wymysły. Zapewniam pana jednak, że takie cuda zawsze istniały i będą istnieć. Benzyna w pigułce jest doskonałym przykładem. Jakiś nikomu nieznany, genialny chemik opracował formułę syntetycznego paliwa i skompresował składniki do rozmiarów niewielkiej pastylki. Wystarczyłoby napęlić bak zwykłą wodą i wrzucić tabletkę, żeby otrzymać siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt litrów niezanieczyszczonej benzyny za cenę może dwóch centów. Czy sądzi pan, że wielkie kompanie naftowe dopuściłyby coś takiego na rynek? Nie za naszego życia... i nie za ich życia... bo to oznaczałoby koniec trylionowych zysków przemysłu paliwowego. To tylko jeden z wielu wynalazków. Albo weźmy tak zwaną wieczną zapałkę. Czy rzeczywiście wymyślono zapałkę, którą można użyć piętnaście tysięcy razy? Oczywiście, że tak, i oczywiście, że została równie szybko wyeliminowana przez wielki biznes. Odkryliśmy dużo więcej takich przypadków.

— Na przykład co jeszcze? — zapytał bardzo zaintrygowany Randall.

— Na przykład materiał, to znaczy tkaninę, która w ogóle się nie zużywa — odparł McLoughlin. — Albo żyłkę, pojedyncze ostrze, które wystarcza na całe życie, bez konieczności ostrzenia. Znamy kilka propozycji gumy samochodowej, która nie zużywa się nawet po przejechaniu półtora miliona kilometrów. Znamy żarówkę, która może się palić przez dziesięć lat bez przerwy. Czy zdaje pan sobie sprawę, co takie produkty mogą oznaczać dla ledwo wiążącej koniec z końcem ubogiej rodziny? Ale wielkie korporacje nie chcą o tym słyszeć. Wynalazcy są od lat zastraszeni, przekupywani, szantażowani i niszczeni. W dwóch przypadkach po prostu zniknęli i podejrzewamy, że zostali zamordowani. Tak, panie Randall. wszystko to mamy porządnie udokumentowane i całą tę brudną sprawę zamierzamy ujawnić w białej księdze... czy może raczej czarnej księdze... zatytułowanej Spisek przeciwko tobie.

Randal powtórzył cicho tytuł, smakując słowa.

— Świetne — mruknął.

— Gdy tylko opublikujemy białą księgę — ciągnął McLoughlin — ludzie z korporacji nie cofną się przed żadnym środkiem, żeby nasze wystąpienie nie dotarło do opinii publicznej. To im się nie uda.

więc będą próbowali nas zdyskredytować. Dlatego przyszedłem do pana. Chcę, żeby się pan zajął promocją Raker Institute i jego pierwszej publikacji, żeby zakomunikował pan społeczeństwu o naszych odkryciach... poprzez zainteresowanych członków Kongresu, dziennikarzy radia i telewizji, prasę, drukowane broszury, sponsorowane wykłady. Chcę, żeby pan torpedował wszelkie próby zamknięcia nam ust lub zniesławienia. Żeby pan bębnił o tej sprawie na cały kraj, aż stanie się równie znana jak hymn państwowy. Nie należymy do klientów, na których można się wzbogacić. Mam jednak nadzieję, że kiedy się pan przekona, co robimy, poczuje pan, że może stać się częścią ważnego narodowego lobby, które powstanie w Ameryce po raz pierwszy w jej historii. Liczę na pana.

Zastanawiając się nad tym projektem, Randall czuł, jak wstępuje weń życie. Był zdecydowany rozpocząć narady i opracowywanie szczegółów, gdy tylko Jim McLoughlin i jego krzyżowcy będą gotowi. McLoughlin zapewnił go, że stanie się to niedługo, na pewno przed końcem roku. Na razie miał wyjechać na kilka miesięcy z ekipą doświadczonych badaczy, żeby się przyjrzeć supertajnemu prototypowi taniego, nieszkodliwego dla środowiska silnika parowego do samochodów. Fachowcy od spalania benzyny z Detroit, stolicy motoryzacji, zwalczali ten wynalazek od dwóch dziesięcioleci. Poza tym McLoughlin miał się spotkać z ludźmi, którzy zajmowali się przygotowaniem kolejnego projektu, dotyczącego innych potężnych poborców legalnego haraczu, niszczycieli amerykańskiego marzenia— a były wśród nich firmy ubezpieczeniowe, kompanie telekomunikacyjne, wielkie przetwórcze żywności i kasy pożyczkowe.

— Przez jakiś czas nie będzie z nami kontaktu — wyjaśnił McLoughlin. — Miejsca naszego pobytu utrzymujemy w tajemnicy i działamy niejawnie, tego się nauczyłem bardzo szybko. W przeciwnym razie lobby biznesowe i jego marionetki w rządzie wypuściłyby za nami swoich oprychów, zagrażając nam i krzyżując nasze plany. Kiedyś sądziłem, że takie działania w stylu państwa policyjnego nie są możliwe w rządzie, który wywodzi się z narodu, powstał z woli narodu i dla narodu. Że to tylko takie gadanie, młodzieńcza paranoja i melodramatyczne bzdury. Ale tak nie jest. Ktoś, kto patriotyzm utożsamia z zyskiem, potrafi usprawiedliwić każdą metodę utrzymania tego zysku. W

imieniu społeczeństwa... niech społeczeństwo idzie na dno. Chcąc chronić ludzi, chcąc ujawniać te kłamstwa i nadużycia, musimy działać jak partyzantka, przynajmniej na razie. Kiedy już dzięki pańskiej pomocy będziemy mogli się ujawnić, uczciwe praktyki i uczciwi ludzie wezmą górę, a wówczas nie zabraknie nam poparcia i ochrony. Skontaktuję się z panem, panie Randall. Tak czy inaczej, proszę być gotowym do działania za sześć, siedem miesięcy, w listopadzie albo grudniu. To termin ostateczny.

— Dobrze — zgodził się Randall w przypiływie autentycznej ekscytacji. — Proszę się u mnie zjawić. Będę gotów i ruszymy do boju.

— Liczymy na pana — rzucił jeszcze McLoughlin od drzwi.

Czas oczekiwania na zlecenie z Raker Institute ledwie się rozpoczął, gdy znienacka pojawiła się przed Randallem perspektywa dużo poważniejszej zmiany. W sam środek jego życia wkroczyła Cosmos Enterprises, wyceniana na miliardy dolarów międzynarodowa korporacja, której prezesem był Ogden Towery III. Cosmos niczym gigantyczny magnes przeczesywał Amerykę i świat, przyciągając do siebie i wchłaniając stosunkowo nieduże firmy w ramach swego programu dywersyfikacji. Ludzie Towery'ego, w poszukiwaniu punktu zaczepienia w branży informacyjnej, skupili się na Randall Associates jako obiecującej agencji reklamowej. Wstępne rozmowy na szczepku prawników postępowały szybko, a przed podpisaniem dokumentów miało się odbyć osobiste spotkanie Randalla z Towerym.

To właśnie tego ranka, bardzo wcześnie, Towery zjawił się osobiście w firmie, wraz ze swymi pomagierami zapoznał się z całością, po czym zamknął się sam na sam z Randallem w jego gabinecie wyposażonym w osiemnastowieczne meble Hepplewhite'a.

Nieosiągalny Towery, legenda w kręgach finansowych, miał wygląd zwalistego, majątnego ranczera. Pochodził z Oklahomy. Kiedy się usadowił w głębokim skórzanym fotelu, położył stetsona na podolku. Mówił szorstkim tonem człowieka nawykłego do wydawania poleceń.

Randall słuchał go pilnie, widział bowiem w swym gościu anioła wolności. Za sprawą tego miliardera mógł w ciągu paru lat urzeczywistnić swe długo pielęgnowane marzenie, ową przystań szczęśliwości wśród zielonych drzew, bez telefonu, a za to ze starą maszyną do pisania, zabezpieczony na resztę życia.

Dopiero pod sam koniec monologu Towery'ego nadszedł moment grozy. Magnat przypominał Randallovi po raz kolejny, że chociaż Comos Enterprises stanie się właścicielem jego firmy, on zachowa całkowite zwierzchnictwo nad nią na mocy pięcioletniego kontraktu. Po upływie tego

okresu będzie miał prawo wybrać przedłużenie umowy bądź wycofać się z taką odprawą w gotówce i akcjach, która zapewni mu dostatek i niezależność.

— Dopóki pan z nami pozostanie, dopóty będzie to nadal pańska firma — mówił Towery. — Będzie pan nią kierował tak jak do tej pory. Nie ma sensu, żebyśmy coś zmieniali w tak udanym przedsięwzięciu. Kiedy przejmuję jakąś firmę, moją polityką jest zawsze nie wtrącać się.

Randall przestał go w tym momencie słuchać i zaświtało mu w głowie pewne podejrzenie. Postanowił poddać anioła wolności próbie.

— Doceniam pańskie podejście, panie Towery — powiedział. — Rozumiem wobec tego, że decyzja o przyjęciu bądź odrzuceniu zlecenia będzie należała wyłącznie do mojego biura, bez pytania Cosmosu o zgodę.

— Jak najbardziej. Widzieliśmy już listę pańskich klientów. Gdybym jej nie akceptował, nie byłoby mnie tutaj.

— Rozumiem, lecz w tym spisie nie ma wszystkich klientów, panie Towery. Kilku nowych nie zdążyliśmy jeszcze formalnie zarejestrować. Chciałbym mieć tylko pewność, że będę mógł się zajmować każdym, którego wybiorę.

— Oczywiście, a czemu nie? — odparł Towery. Po chwili zmarszczył lekko brwi. — Dlaczego pan właściwie sądzi, że moglibyśmy mieć jakieś zastrzeżenia?

— Może się zdarzyć, że przyjmiemy od jakiegoś klienta zlecenie uznane za kontrowersyjne. Zastanawiałem się...

— Na przykład? — przerwał mu szybko finansista. — Jakie mogłoby być to zlecenie?

— Około dwóch tygodni temu zawarłem ustną umowę z Jimem McLoughlinem na akcję promocyjną pierwszego raportu Raker Institute — wyjaśnił Randall.

Towery usiadł nagle, wyprężony jak struna. Wydawał się bardzo wysoki, nawet siedząc. Twarz mu stężała, jakby była odlana z brązu. Kowbojskim butem z miękkiej skóry odsunął na bok podnózek.

— Z Jimem McLoughlinem? — powtórzył, jak gdyby meł w ustach przekleństwo.

— Iz Raker Institute — potwierdził Randall.

— To banda komunistycznych anarchistów. — Towery wstał. — Ten McLoughlin dostaje polecenia prosto z Moskwy, wiedział pan o tym? Pewnie nie.

— Nie odniosłem takiego wrażenia — odrzekł Randall.

— Niech pan posłucha, Randall, ja to wiem na pewno. Ci radykałowie nie są warci splunięcia. Nie zasługują na życie w takim kraju jak nasz. Jak tylko zaczną robić zamieszanie, wyrzucimy ich z Ameryki, ma pan na to moje słowo. — Spojrzał na Randalla przymrużonymi oczami i na jego ustach pojawił się nikły uśmiezek. — Pan po prostu nie dysponował odpowiednimi informacjami, więc rozumiem, że dał się pan nabrać. Teraz zna pan już fakty i nie będzie pan musiał hańbić się współpracą z takim śmieciem. — Towery przerwał. Widząc zakłopotaną minę Randalla, natychmiast porzucił napastliwy ton i zaczął go uspokajać. — Proszę się o nic nie martwić, będzie tak, jak panu przyrzekłem. Nie będziemy się wtrącać do pańskich działań, no, chyba żeby się okazało, że ktoś próbuje podłożyć minę pod Randall Associates, a tym samym pod Cosmos Enterprises. Jestem przekonany, że ten problem już więcej nie wypłynie. — Towery wyciągnął do niego wielką dłoń. — Dogadaliśmy się, panie Randall? Jeśli o mnie chodzi, to jest pan już członkiem rodziny, a resztę niech załatwią nasi prawnicy. W ciągu ośmiu tygodni powinniśmy podpisać umowę i wtedy zapraszam pana na kolację. — Puścił oko. — Zostanie pan bogatym człowiekiem, bogatym i niezależnym. Jestem propagatorem niezależności, Randall. Moje gratulacje.

Na tym się skończyło i Steve Randall, siedząc samotnie w obrotowym fotelu z zagłówkiem, wiedział, że właściwie wcale nie ma wyboru. Żegnaj, Jimie McLoughlinie i Raker Institute. Witaj Ogdenie Towery i Cosmos Enterprises. Inny wybór był wykluczony. Gdy człowiek ma trzydzieści osiem lat, a czuje się na siedemdziesiąt osiem, nie może już bawić się w prawość za cenę utraty jedynej szansy na stworzenie sobie korzystnej sytuacji. Ustawić się można było tylko w jeden sposób: mając wolność i pieniądze.

Był to jednakże nieprzyjemny moment, jeden z najgorszych w jego życiu, i w ustach pozostał mu po nim przyprawiający o mdłości posmak. Musiał wyjść do łazienki i zwymiotować, a potem przekonywał sam siebie, że zaszkodziło mu coś, co zjadł na śniadanie. Ledwie usiadł z powrotem za biurkiem, wcale nic, czując się lepiej, gdy Wanda oznajmiła przez interkom, że dzwoni jego siostra Clare z Oak City.

To wtedy właśnie dowiedział się, że ojciec miał rozległy zawał, jest w drodze do szpitala i nikt nie wie, czy w ogóle przeżyje.

Kolejne godziny tego dnia zmieniły się w kłębowisko zdarzeń — odwoływanie spotkań, załatwianie rezerwacji, porządkowanie rzeczy osobistych, informowanie Darlene, Joego Hawkinsa i Thada Crawforda, co się stało, niezliczone telefony do Oak City i na koniec pospieszna jazda na lotnisko Kennedy'ego.

Teraz zaś, uzmysłowił sobie, w Wisconsin jest już noc, dojechali do Oak City, a siostra przygląda mu się spod oka.

— Spałeś? — zapytała.

— Nie — odparł.

— Tam jest szpital — pokazała palcem. — Nie wyobrażasz sobie, Steve, jak mocno się modliłam za tatusia.

Clare skręciła na zatłoczony parking przy Szpitalu Dobrego Samarytanina. Gdy tylko znalazła miejsce i wprowadziła tam auto, Randall wysiadł i przeciągnął się, by rozprostować napięte ramiona. Czekał na siostrę, spostrzegł po raz pierwszy, że jej samochód to lśniący, nowy lincoln continental. Kiedy podeszła, pokazał gestem auto.

— Niezły wózek, siostrzyczko — powiedział. — Kupiłaś z pensji sekretarki?

Szeroka, jasna twarz Clare skrzywiła się.

— Dostałam go od Wayne'a, jeśli już musisz wiedzieć.

— To ci dopiero szef. Ciekawe, czyjego żona jest choć w połowie tak szczodra... dla przyjaciół swego męża.

Clare zgromiła go wzrokiem.

— W twoich ustach to brzmi jak kpina.

Ruszyła sztywnym krokiem po kolistym podjeździe, biegnącym w szpalerze dębów pod główne wejście szpitala, a Randall, żałując, że ze swego szklanego domu wrzucił kamyk do ogródka siostry, podążył powoli za nią.

Był już prawie od godziny w pokoju, do którego przeniesiono ojca z oddziału intensywnej opieki. Zajął jedyne krzesło, stojące pod półką z niepodłączonym do prądu telewizorem. Naprzeciw łóżka wisiał sepiowy wizerunek Chrystusa w ramce. Niemal wyprany już z emocji, siedząc z nogą założoną na nogę, Randall poczuł, że prawa mu drętwieje. Zmienił pozycję. Zaczął odczuwać niepokój i bardzo chciało mu się palić.

Usiłował się zmusić do jakiejś krzątaniny przy łóżku, lecz jego wzrok, jak za sprawą hipnozy, wędrował wciąż do wnętrza namiotu tlenowego i przykrytej kocem wypukłości.

Najgorzej poczuł się w pierwszej chwili, kiedy zobaczył ojca.

Wszedł do pomieszczenia, niosąc w sobie obraz człowieka, którego widział ostatnim razem. Wielebny Nathan Randall pomimo siedemdziesiątki wciąż był postacią o imponującym wyglądzie. W oczach syna przypominał ni mniej, ni więcej, tylko jednego ze wspaniałych patriarchów z Księgi Wyjścia albo Powtórnego Prawa. Podobnie jak u Mojżesza w sile wieku „jego oko nie było zmętniałe, a siły jego nie osłabły”. Rzednące białe włosy pokrywały dużą

głowę, a pociągłe, otwarte, emanujące wybaczeniem oblicze o spokojnych niebieskich oczach miało regularne rysy, z wyjątkiem lekko haczykowatego nosa. Sięgając myślą w przeszłość, Randall nie pamiętał ojca bez głębokich bruzd znaczących twarz. Przydawały one jego wyglądowi autorytetu, choć nie był człowiekiem apodyktycznym. Wielebny Randall roztaczał zawsze wokół siebie trudną do zdefiniowania aurę, było to coś osobistego, tajemniczego i mistycznego, coś, co sugerowało, że jest w stałej łączności z Panem, z Jezusem Chrystusem, że ma dostęp do Jego mądrości i rady. Metodyści, jego parafianie, przypisywali wielebnemu Randallowi takie właściwości, toteż wierzyli w niego równie mocno jak w Boga.

Steve Randall wkroczył do szpitalnego pokoju, niosąc w sobie ten witrażowy wizerunek ojca, wizerunek, który natychmiast został rozbity. Za przezroczystą ścianą namiotu tlenowego ujrzał bowiem ruinę, parodię ludzkiej istoty, kojarzącą się z egipską mumią o zaszuszonej głowie albo z upiornym workiem kości z Dachau. Lśniąca biel włosów zmatowiała i pożółkła. Pokryte siatką żyłek powieki zakrywały oczy pogrążone w nieświadomości. Twarz była wyniszczona, zapadnięta, plamista. Oddech chrapliwy i nierówny. Rurki i igły przytwierdzone do każdej kończyny.

Widok zdał się Randallowi przerażający. Oto ktoś bliski, jednej krwi, ktoś tak niezłomny, pewny, pełen wiary i ufności, dobry i zasługujący na dobroć, zmieniony został nagle w bezradną roślinę.

Po kilku minutach Randall odwrócił się z oczami pełnymi łez i opadł na krzesło, z którego już się nie ruszył. Przy nogach łóżka krzątała się drobna pielęgniarzka o słowiańskim wyglądzie, może Polka, zajęta zmienianiem wiszących butli, poprawianiem rurek i zapisywaniem czegoś w karcie choroby. Po pewnym czasie, chyba po półgodzinie, do pielęgniarzki dołączył doktor Morris Oppenheimer. Krzepki i krępy, w średnim wieku, poruszał się szybko i celowo, z widoczną pewnością siebie. Powitał Randalla krótkim uściskiem dłoni i kilkoma słowami współczucia, obiecując przedstawić wkrótce aktualną ocenę stanu pacjenta.

Randall obserwował przez chwilę, jak doktor bada ojca, po czym znużony zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie odpowiednią modlitwę. Przyszło mu na myśl jedynie „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...”, więcej nie pamiętał. Zaczął rozmyślać o wydarzeniach dnia, nieoczekiwanie wyobraził sobie fantastyczne piersi sekretarki Wandy, następnie wrócił myślami do poprzedniej nocy, kiedy to całował całkiem realne piersi Darlene, i w końcu, zawstydzony, odnalazł znów chwilę obecną i

ojca. Przypomniał sobie ostatnie odwiedziny u rodziców przed ponad dwoma laty i jeszcze wcześniejsze, przed trzema.

Do tej pory przeszkadzao mu odczucie, ktore pojawio sie podczas tych dwoch wizyt: wiadomoc, e ojciec jest nim geboko rozczarowany. Pastor by wyranie niezadowolony z rozbitego mażestwa Randalla, jego stylu ycia, cynicznego nastawienia i utraty wiary.

Wspomnienie ojcowskiego rozczarowania i dezaprobaty budzio w Randall u sprzeciw. Na jakiej podstawie ojciec waciwie go osadza? Wedug kryteriw uznawanych przez spoeczestwo to ojciec wanie ponio porazk, a on osiagn sukces. No tak, pomyla, ale z drugiej strony jest to jedynie sukces materialny. Wielebny ocenia syna wedug innych kryteriw, na podstawie ktorych ocenia rownie siebie i w ogole wszystkich, w tym wietle jego pierworodny mia wyrane braki. Randall to rozumia. Ojciec dysponowa tym atrybutem czowieczestwa, na ktorym jemu zbywao: wiar. Pokada wiar w Sowie, a tym samym w czowieku i w celowoci ycia ludzkiego. Jego syn nie potrafi wierzy tak lepo.

Zgadza sie, tato, pomyla. Nie wierz. I nie ufam niczemu.

Jak mona w ogole wierzy w Dobrego Boga? Spoeczestwo przearte byo niesprawiedliwoci i hipokryzj, zepsute do cna. Ludzie w wikszoci stali sie bestiami napadajcymi na innych, by przetrwa, lub ukrywajcymi sie z tego samego powodu. Nic z tego, co czowiek powymyla na swój uytek, poczawszy od mitu o jakim niebiaskim alleluja w gorze — pieka nie trzeba byo wymyla, istniao ju bowiem na ziemi — a skoczywszy na faszywych opiekuczych bogach, nie mogo zmieni ani obecnej rzeczywistoci, ani przyszej nicoci, bdacej kocem tych, ktorzy upodobnili sie do dzikich zwierzat. Byo dokadnie tak jak w ydowskim porzekadle, ktore usysza kiedy od pewnego yda, swego klienta: Gdyby Bóg mieszk na ziemi, ludzie powybijaliby mu szyby w oknach.

Niech to szlag, tato, nie widzisz tego?

Przesta sie ju z nim spiera — Randall omal nie pomyla „z NIM” — przesta dyskutowa z przeszoci.

Otworzy oczy. W ustach mu zascho, oddycha cieko i zaca go bolec kregosup. Byo mu niedobrze od zapachu lekarstw, rodkw dezynfekcyjnych i woni umierajcych cia. Zmczy go rownie wewnetrzny gniew i smutek, to, e nic nie robi i niczego zrobi nie moe. Frustrowaa go rola widza. Tutaj nie byo czemu kibicowa. Mia ju doc.

Wsta z krzesa, chcac powiedzie lekarzowi, e wychodzi i bdzie razem z innymi w poczekalni. Doktor Oppenheimer zajty by jednak studiowaniem

karty choroby pacjenta i w tym samym momencie wszedł technik z przenośną aparaturą do EKG.

Randall opuścił szpitalny pokój. Szedł, lekko utykając, bo krązenie nie wróciło jeszcze do zdrętwiałej nogi. Ominął młodego człowieka w białym kombinezonie, myjącego mopem podłogę, i dotarł korytarzem do poczekalni dla odwiedzających. Przed powrotem do świata pograżonych w rozpacz żywych przystanął, by zapalić swoją ulubioną wrzosową fajkę i nacieszyć się jej uspokajającym, narkotycznym działaniem. Zebrał się w sobie, by wejść do poczekalni, lecz w progu zatrzymał się ponownie.

W oświetlonym neonówkami pomieszczeniu, ożywionym zasłonami w wesołe wzory kwiatowe, wyposażonym w kanapę, wiklinowe fotele, telewizor i stół zarzucony starymi czasopismami, siedzieli tylko członkowie jego rodziny i przyjaciele ojca.

Clare, skulona w fotelu, kryła się za magazynem filmowym. Koło niej stał przy automacie telefonicznym i rozmawiał półgłosem ze swoją żoną kolega szkolny Randalla, wybrany przez wielebnego Randalla na swego następcę, pastor Tom Carey. Niedaleko od nich, przy stole, Ed Period Johnson i wujek Herman zajmowali się grą w remika.

Ed Period — czyli kropka — Johnson był najlepszym przyjacielem pastora Randalla. Przed laty założył lokalną gazetę, „Oak City Bugle”, która wychodziła sześć razy w tygodniu i której w dalszym ciągu był wydawcą i redaktorem.

— Gazetę w małym miasteczku trzeba prowadzić tak — tłumaczył kiedyś Randallowi — żeby każdy z mieszkańców co najmniej dwa razy w roku znalazł w niej swoje nazwisko. Wówczas można się nie przejmować konkurencją znanych i snobistycznych dzienników z Chicago.

Johnson miał tak naprawdę na imię Lucas czy też Luther, Randal już nie pamiętał. Przed laty któryś z jego reporterów zaczął nazywać go Ed, a ponieważ chodziło o skrót od słowa editor, redaktor, ktoś gramatycznie przewrażliwiony dodał „kropkę”. Johnson był zwałistym Szwedem o ospowatej twarzy i zadartym nosie i nikt go nigdy nie widział bez ciężkich, trójogniskowych okularów na nosie.

Naprzeciw niego, trzymając w ręce niezgrabny wachlarz kart, siedział wujek Herman, młodszy brat matki. Miał tępawe oblicze pulchnego cherubina i kojarzył się z beką tłuszczu. Randall pamiętał tylko jedną pracę, którą wujkowi Hermanowi udało się utrzymać na dłużej. Pracował przez jakiś czas w sklepie monopolowym w Gary w stanie Indiana. Kiedy go wyrzucili,

zamieszkał w gościnnym pokoju w domu swej siostry. Randall był wówczas w szkole średniej, a wujek Herman mieszka tam do dziś.

Podlewał trawnik, mocował luźne dachówki, był chłopcem na posyłki, oglądaczem meczów w telewizji i zjadaczem domowego ciasta. Ojcu Randalla nigdy nie przeszkadzała jego obecność. Wujek Herman był dlań żywą ilustracją dobroczynności, której praktykowanie pastor zalecał w kazaniach. „Kto ma dwa płaszcze, niechaj podzieli się z tym, który nie ma żadnego, kto ma mięso, niechaj uczyni podobnie”. Wielebny czynił więc podobnie, i amen.

Spojrzenie Randalla przeniosło się teraz na matkę. Przytulił ją wcześniej i usiłował pocieszać, lecz trwało to krótko, bo kazała mu iść do ojca. Teraz drzemała w rogu kanapy, uśpiona kropelkami na uspokojenie. Bez męża przy boku wydawała się dziwnie niekompletna. Miała dobrą, okrągłą twarz, niemal bez zmarszczek, choć dobiegała już siedemdziesiątki. Jej ciało, jakby bezkształtne, okryte było jak zwykle jedną z jej bawełnianych sukni w spłowiałym niebieskim kolorze, na nogach miała toporne buty korekcyjne, jakie nosiła od lat. Randall zawsze ją kochał i wciąż tak było, kochał to ciepłe, łagodne, wyciszone stworzenie, któremu nie potrafiłby wyrządzić krzywdy. Sarah Randall, uwielbiana żona uwielbianego pastora, z pewnością cieszyła się w społeczności parafialnej poważaniem. A jednak swemu dorosłemu synowi nie jawiła się właściwie jako indywidualność, lecz tylko jako matka. Nie potrafił zobaczyć w niej osoby, która ma własne zdanie, pomysły, uprzedzenia. Z dzieciństwa pamiętał ją głównie jako kobietę, która słucha, jest echem swego męża i wykonuje niezbędne prace, zawsze musiała być na swoim miejscu. Niepojęty dla niej sukces syna i jego wielkomięskie maniere nieodmiennie ją zdumiewały i konsternowały, lecz zarazem sprawiały wyraźną przyjemność. Jej miłość do syna była niezmienna, ślepa i pozbawiona wątpliwości.

Postanowił usiąść koło niej i poczekać, aż się obudzi. Kiedy przechodził przez poczekalnię, znad czasopisma uniosła się głowa Clare.

— Steve, gdzieś ty był tyle czasu?

— U taty.

Ed Period Johnson odwrócił się na krześle.

— Czy doktor coś ci powiedział? — zapytał.

— Nie, był bardzo zajęty. Ale przyjdzie do nas, jak tylko skończy.

Sarah Randall przebudziła się nagle i odsunęła od oparcia kanapy, jednocześnie wygładzając suknię. Randall pocałował ją w policzek i otoczył ramieniem.

— Nie martw się, mamó. Wszystko się ułoży.

— Tam gdzie jest życie, jest też nadzieja — odparła. — Reszta w rękach dobrego Boga. — Spojrzała na Toma Careya, który właśnie odwiesił słuchawkę. — Czyż nie tak, Tom?

— Ma pani absolutnie rację, pani Randall. Nasze modlitwy zostaną wysłuchane.

Steve Randall ujrzał, że wzrok Careya wędruje ku drzwiom poczekalni, podążył za nim i natychmiast zerwał się na nogi.

Wszedł doktor Morris Oppenheimer, obciążając fartuch, zamyślony nad czymś, co zaprzętało jego uwagę. Poszukał po kieszeniach papierosa i kiedy go wkładał do ust, nagle uświadomił sobie obecność innych i narastające napięcie wywołane jego przybyciem.

— Chciałbym bardzo przynieść wam jakieś nowe wieści — powiedział, nie patrząc na nikogo — ale na razie po prostu ich nie mam.

Skinął na Randalla, żeby usiadł, a sam przyciągnął sobie krzesło naprzeciwko kanapy, opadł na nie i zapalił w końcu swego papierosa. Tymczasem Clare, Johnson, wujek Herman i pastor Carey otoczyli go kołem.

— Oto jak wyglądają nasze ustalenia w sensie medycznym? — zaczął Oppenheimer, zwracając się głównie do Randalla i jego matki. — Dziś rano Nathan przeszedł atak z powodu zakrzepu tętniczego w mózgu. Zazwyczaj rezultatem jest utrata przytomności, której często towarzyszy przynajmniej tymczasowa hemiplegia.

— Co to jest hemiplegia? — zapytał Randall, gdy doktor przerwał, by zaciągnąć się papierosem.

— Paraliż jednej strony ciała... zazwyczaj twarzy, ręki i nogi... przeciwnej do tej, po której nastąpił wylew. W tym przypadku jest to strona lewa. Zanim Nathan zapadł w śpiączkę, ta strona już wykazywała oznaki paraliżu, lecz organy wewnętrzne pracują. Stan chorego się nie pogorszył. — Doktor powiódł spojrzeniem po zatroskanych twarzach. — To na razie mniej więcej wszystko.

— Doktorze Oppenheimer —? zniecierpliwił się Randall — nie powiedział nam pan, w jakim ojciec jest stanie. Jakie ma szanse?

— Nie potrafię tego przewidzieć. — Lekarz wzruszył ramionami. — Nie pracuję w fachu Nostradamusa, Steve. Po prostu jest jeszcze za wcześnie na rokowanie. Jego stan jest krytyczny, nie ma co zaprzeczać. Robimy, co w naszej mocy. Dopóki udaru nie skomplikował zawał serca, no cóż, dałbym mu spore szanse na to, że z tego wyjdzie.

Oppenheimer nachylił się do Sarah Randall.

— Sarah, twój mąż ma silny organizm, ma wolę życia. Ma wiarę. Tego też nie należy lekceważyć. Ale nie chcę ci pokazywać rzeczywistości przez różowe okulary. Jego sytuacja jest poważna, trzeba sobie to uświadomić. Z drugiej strony, jest także wiele plusów. Na razie możemy jedynie czuwać, obserwować i czekać. Wielu ludzi, także sławnych ludzi, doznało apopleksji i wyszło z tego, prowadząc później użyteczne życie. Na przykład Louis Pasteur miał udar mózgu i paraliż podobny do Nathana w wieku czterdziestu sześciu lat. A jednak wyzdrowiał i w następnych latach starczyło mu wigoru na kontynuowanie pracy. Wyizolował zarazek ptasiej cholery, badał czyraka, stał się pionierem szczepionek, wynalazł lek na wściekliznę i dożył siedemdziesięciu trzech lat. — Doktor zgasił papierosa i wstał. — Możemy więc mieć nadzieję, Sarah — zakończył.

— Będę się modliła — rzekła stanowczo żona pastora, gdy Giare i Steve pomogli jej podnieść się z kanapy.

— Zrób coś więcej — zaproponował Oppenheimer. — Wracaj teraz do domu i prześpij się trochę. To bardzo ważne, żeby zachować siły... Clare, dopilnuj, żeby twoja matka wzięła przed pójściem do łóżka ten środek, który przepisałem... Steve, tak mi przykro, że widzimy się tym razem w takich okolicznościach. Ale jak powiedziałem, jest nadzieja na dobry obrót spraw. Będę w stałym kontakcie z lekarzem dyżurnym i gdyby w nocy coś się działo, na pewno się do was odezwę. A jeśli nie, to spotkamy się tutaj rano.

Lekarz wziął Sarah Randall pod ramię i wyprowadził z poczekalni, przemawiając do niej kojącym tonem.

Reszta szła za nimi. Wujek Herman człapał obok Randa Ila.

— Co zamierzasz, Steve? — zapytał. — Możemy ci pościelić w twoim dawnym pokoju.

— Nie, nie, dziękuję — odrzekł szybko Randall. — Sekretarka zarezerwowała mi pokój w Oak Ritz Hotel. Muszę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych i nie chcę wam przeszkadzać w nocy. — Właściwie obiecał zadzwonić do Darlene, chciał też pogadać ze swoim prawnikiem Thadem Crawfordem na temat sprzedaży firmy Towery'emu, ale ten dzień i wieczór tak go wymęczyły, że nie czuł się na siłach. — Poza tym chcę też zadzwonić do Barbary i Judy. Tata był im zawsze bardzo bliski i chyba powinienem...

— Mój Boże, zapomniałam ci powiedzieć! — przerwała mu Clare. — One tu są, Barbara z Judy przyjechały do Oak City.

— Co takiego?

— Zapomniałam, Steve, wybacz, ale w tym młynie wyleciało mi z głowy. Zadzwoiłam do nich do San Francisco zaraz po rozmowie z tobą. Strasznie się przejęły, przyleciały pierwszym samolotem. Wujek Herman mówił, że przyjechały prosto z lotniska do szpitala, były przy tacie i czekały potem na ciebie, ale Judy była tak roztrzęsiona, że Barbara zabrała ją do hotelu tuż przed naszym przyjazdem.

— Gdzie się zatrzymały?

— W Oak Ritz, no bo gdzie? To jedyne przyzwoite miejsce w tym mieście — odpowiedział mu wujek Herman. — Aha, Barbara prosiła, żebym ci przekazał, że jeśli nie będzie za późno, chciałyby się z tobą zobaczyć.

Randall spojrzął na zegarek, było jeszcze przed północą, nie za późno. Barbara na pewno na niego czekała. Pragnął, żeby ten przekłety dzień już się skończył. Zupełnie nie był w nastroju na spotkanie po tak długim czasie, ale nie bardzo mógł się od tego wykręcić. Poza tym przyjechała także jego Judy, a ją bardzo chciał dziś zobaczyć.

— No dobrze — rzucił — kto w takim razie podwiezie mnie do hotelu?

Otworzyły się drzwi hotelowego apartamentu i oto Barbara, stała przed nim.

— Cześć, Steve — powiedziała.

— Witaj, Barbaro.

— Tak mi przykro z powodu Nathana — rzekła jego żona. — Kocham go jak własnego ojca. To się zawsze przydarza dobrym ludziom, prawda?... Nie stójmy tak, co? Wejdz, Steve. Cieszę się, że mogłeś wpaść.

Nie próbowała witać go pocałunkiem i on także nie uczynił takiego gestu. Wszedł za nią do salonu. Pokój był czysty, lecz niezbyt przytulny, z kilkoma krzesłami, dwoma stolikami do kawy, kanapą i otwartym kredensem, służącym też jako barek, w którym stały na półce szklanki, a obok nieotwarta butelka szkockiej. Barbara najwyraźniej się go spodziewała.

Stała teraz na środku pokoju, dziwnie milcząca i zamknięta. Niewiele się zmieniła od ich rozstania. Wyglądała nawet nieco lepiej, ze zgrabną fryzurą, bardziej wypielegnowana. Miała brązowe włosy i nieduże, pełne pretensji oczy w pospolitej twarzy, figurę odpowiednią do swoich trzydziestu sześciu lat, małe piersi i smukłą talię. Ubrana była w szyty na miarę kostium, kopię jakiejś drogiej kreacji. Jej wygląd wydawał się bardzo w stylu San Francisco i wcale nie była roztrzęsiona, co się nieczęsto zdarzało.

— Widziałyśmy już Nathana — powiedziała. — Wyobrażam sobie, jak się czujesz, Steve. Ten widok po prostu złamał nam serca, Judy nie wytrzymała, popłakała się. Bardzo go obie kochamy.

Być może słuch zwodził Randalla, lecz miał wrażenie, że Barbara kładzie nacisk na słówko „my” — „my widziałyśmy”, „my kochamy”... Judy stała się częścią owego matczynego „my”, i żegnaj, nieznajomy, mężu i ojcie. Barbara dobrze go знаła, wiedziała, co było jego czułym punktem, i albo dźgała go tym „my” jak nożem, żeby wyrównać rachunki, albo robiła to, żeby mu przypomnieć, że córka powinna być z matką, a może były to tylko jego wyobrażenia.

— W szpitalu jest obrzydliwie — stwierdził. Obrzucił ją baczny spojrzeniem. — Dawno cię nie widziałem. Chyba nieźle sobie radzisz.

— Nie najgorzej. — Uśmiechnęła się.

— A co z Judy? Jak ona się czuje?

— Teraz jest w łóżku. Wymęczył ją lot, potem ten szpital, musi odpocząć. Pewnie już zasnęła. Ale chciała się z tobą zobaczyć. Może jutro.

— Chcę ją zobaczyć teraz.

— Jak sobie życzysz. Zrobić ci drinka?

— Myślałem, że może posiedzimy w barze na dole. Jest otwarty do późna.

— Wolałabym zostać tutaj, Steve. Tu mamy więcej prywatności, a chciałabym z tobą chwilę porozmawiać. Obiecuję, że krótko.

Chce chwilę porozmawiać, pomyślał.. Pamiętał te ich krótkie rozmowy z przeszłości. Kto to powiedział — chyba jakiś niemiecki filozof— że małżeństwo to jedna długa rozmowa? Gdybyż mogło tak być, jedna długa rozmowa, spokojna i łagodna... Ich rzeczywistość składała się raczej z krótkich pyskówek, w których on poddawany był słownej kastracji, a ona uważała, że przechodzi werbalną amputację macicy.

— Jak wolisz — odparł. — Poproszę szkocką z lodem. Otworzył cicho drzwi sypialni i wszedł do środka. Przez abażur lampki na toalecie sączyło się przyćmione światło. Gdy jego oczy przywykły do półmroku, dojrzał sylwetkę córki na podwójnym łóżku.

Podszedł bliżej i przyklęknął na jedno kolano. Leżała z głową wtuloną w poduszkę, z kocem podciągniętym pod brodę i rozsypanymi wokół jedwabistymi włosami. Spała i była piękna, ta piętnastoletnia częśćka jego samego, ten anioł, jedyna rzecz na tym świecie, z której stworzenia mógł być dumny. Patrzył w milczeniu na gładką twarz, mały nosek, lekko rozchylone usta, słuchał płytkiego oddechu.

Impuls kazał mu się pochylić i musnąć jej policzek wargami. Kiedy się cofał, powieki dziewczynki uniosły się ku górze.

— Cześć? — mruknęła sennie.

— Witaj kochanie! Tęskniłem za tobą. Jutro zapraszam cię na śniadanie.

— Mhm.

— Teraz śpij, zobaczymy się rano. Dobranoc, Judy. Wstając z klęczek, spostrzegł, że już zasnęła. Patrzył na nią jeszcze

przez chwilę, po czym wyszedł z sypialni. W salonie było jaśniej niż przedtem, Barbara zapaliła kinkiety na ścianach. Ciekawe po co?

Siedziała na kanapie, łokcie oparła na leżącej na podolku poduszce i trzymała w obu dłoniach wysoką szklanę z drinkiem.

— Twoja szkocka jest tam — skinęła ku szklance stojącej na końcu stolika.

— A ty co pijesz? — zapytał lekkim tonem. — Sevenup z lodem?

— Piję to samo co ty — odpowiedziała.

Niezbyt to zachęcające, pomyślał, zajmując krzesło naprzeciwko niej. Barbara od lat nie pijała w jego towarzystwie. Czasem wypła kieliszek czy dwa na przyjęciu, ale gdy byli sami, zawsze odmawiała. W ten sposób chciała go skarcić, dać do zrozumienia, że nienawidzi takiego picia, do którego się uciekał, picia, które oddzielało, pomagało mu być jak najdalej od związku z własną żoną. A teraz nagle piła szkocką. Nie wiedział, czy jest to dobiy znak, czy raczej złowieszczy. Wybrał złowieszczy i postanowił mieć się na baczności.

— Czy Judy spała? — zapytała Barbara.

— Tak — odparł, biorąc do ręki szklanę. — Obudziła się na chwilę. Powiedziałem, że zjemy razem śniadanie.

— To dobrze.

Randall posmakował szkockiej.

— Jak jej idzie w tej prywatnej szkole w Oakland, na której tak ci zależało? Czy ma...

— Nie ma — przerwała mu. — Nie idzie jej, bo już tam nie chodzi. Od miesiąca.

— To co ona robi? — Randall nie krył zdziwienia.

— Siedzi w domu. Dlatego między innymi chciałam się z tobą zobaczyć. Miesiąc temu wyrzucono ją ze szkoły.

— Jak to wyrzucono? O czym ty mówisz? — To była rzecz bez precedensu. Jego Judy to doskonałość, zawsze uczyła się na piątce.

— Mówię o tym, że ją wywalili. Bez zawieszenia, bez okresu próbnego. — Barbara przerwała, by dodać z naciskiem: — Znaleźli narkotyki.

Randall poczuł, że pali go twarz.

— Co ty wygadujesz, do diabła ciężkiego?

— Mówię o dragach. O ćpaniu, o prochach, o koksie, o amfie. O amfetaminie, Steve, którą się łyka i którą się wpuszcza do żyły. Złapali Judy,

jak chodziła po ścianach, dyrektor wziął ją na dywanik, pogadał, potem pogadał ze mną, a potem zwyczajnie ją wyrzucili.

— Jak to, nie dali jej nawet jednej szansy? Co za sukinsyny, przecież każdemu dziecku może się zdarzyć potknięcie, może je ktoś namówić albo chce tylko spróbować...

— Steve, to nie było próbowanie. Ona brała regularnie, ciągle była na haju. I nikt jej nie namawiał, to raczej ona namówiła kilka osób z klasy.

— Nie mogę w to uwierzyć. — Pokręcił głową.

— Ale musisz.

— Przecież takie dzieci jak Judy nie robią czegoś takiego. A gdzie ty byłaś, Barbaro?

— A gdzie ty byłeś, Steve? — Powiedziała to bez zajadłości, konstatując tylko fakt. — Przepraszam. Gdzie ja byłam? Dlaczego nic nie spostrzegłam? Dlatego że na początku tego nie widać. Człowiek niczego się nie spodziewa, więc nie wypatruje oznak, nie zauważa ich. Judy trochę się zmieniła, ale kładłam to na karb nowej szkoły, obciążenia nauką, trudności w znalezieniu nowych przyjaciół. Początkowo, kiedy przyjeżdżała do domu na weekend, wydawała mi się ożywiona, błyskotliwa, pewna siebie, potem parę razy zauważyłam, że jest rozdrażniona, niespokojna, przygnębiona... nazywają to zapadnięciem... a pod koniec całkiem zamknęła się w sobie, i wtedy nagle wezwali mnie do szkoły i wszystko się wydało.

— Dlaczego mi nic nie powiedziałaś, nie zadzwoniłaś? Barbara patrzyła na niego w skupieniu.

— Myślałam o tym, Steve, ale uznałam, że to nie ma sensu. I tak już byś tego nie odkręcił, a na dłuższą metę też nie mógłbyś nic poradzić. Nie chciałam, żeby nasze drogi znów się splątały, uznałam, że Judy nic na tym nie zyska. Postanowiłam poradzić sobie z tym samodzielnie i udało mi się.

Randall dopił drinka.

— Czy ona wciąż to bierze? Wydawała mi się w porządku, nienaćpana ani jakaś dziwna...

— Nie bierze, Steve. Wychodzi z tego i wierzymy, że już nie wróci. Przez przyjaciół znalazłam dla niej najlepszą pomoc, jaka w ogóle jest dostępna. Było okropnie, było trudno, ale wychodzi z tego. Myślę, że czasem może zapali trawkę na imprezie, ale to nic takiego i na pewno już nie bierze twardych narkotyków.

— Rozumiem. — Randall przyjrzał się pustej szklance i wstał. — Siedź, nie rób sobie kłopotu, ale ja muszę się jeszcze napić.

— Przepraszam cię, Steve, za to wszystko. Już bez tego miałeś ciężki dzień. Ale musiałam z tobą porozmawiać, i to nie przez telefon.

Randall nalał sobie pół szklaneczki whisky i wrócił na krzesło.

— Oczywiście, dobrze, że mi powiedziałaś. A jak ją z tego wyciągnęłaś? Jakieś sanatorium?

— Właściwie to był... i jest... jeden człowiek. Psycholog z San Francisco, specjalista od uzależnień. Nazywa się Arthur Burkę. Napisał...

— Nieważne, co napisał. Judy wciąż do niego chodzi?

— Tak. On prowadzi także klinikę. Judy bardzo go lubi i słucha. Dość młody, z wąsami i brodą, wszystko mówi wprost. Doktor Burkę jest przekonany, że nie tylko wyleczy Judy, ale że to będzie trwałe.

Randall zaczynał już czuć działanie alkoholu.

— Na pewno się okazało, że wszystko to moja wina — powiedział. — Ojciec ciągle zajęty, więc córka zaczyna ćpać.

— Nie, Steve, to nie jest ani twoja wina, ani moja, ale być może wina nas obojga. Przyczyną może być życie rodzinne, to, co się dzieje z rodzicami, co dziecko dostaje, a czego nie. Ale to i tak jeszcze nie wszystko. Są rzeczy, na które żaden rodzic nie ma wpływu... dzisiejszy styl życia, oczekiwania wobec przyszłości albo jej brak, bunt i ucieczka, pragnienie znalezienia lepszego świata przez dotarcie do innych poziomów świadomości, odnalezienie innej planety we własnej głowie. Więc stajesz się poszukiwaczem odłotów, wyruszasz w tę kosmiczną podróż, tracisz kontakt z rzeczywistością i jeśli masz szczęście, ktoś cię ściąga z orbity, zanim będzie za późno. Doktor Burkę właśnie ściągnął Judy z orbity. Stała się na powrót członkiem rodziny i przekształca na nowo cały swój system wartości.

Randall przyłożył pustą szklaneczkę do nosa, pocierał go chłodnym szkłem i patrząc przez nie, zorientował się, że Barbary nie ma już naprzeciw niego. Opuścił rękę ze szklanką i wpatrywał się tępo w pustą kanapę.

— Steve... — usłyszał. Odwrócił głowę i zobaczył, że ona także nalała sobie drugiego drinka.

— Oho, ależ ty dzisiaj tankujesz — powiedział.

— Ale to tylko dzisiaj, wyjątkowo — odparła, siadając. — Steve, chciałabym z tobą omówić jeszcze jedną sprawę.

— Czy to nie dość jak na jeden wieczór? Właśnie powiedziałaś mi o Judy...

— W pewnym sensie to także jej dotyczy. Pozwól mi wszystko wyłożyć krótko i zwięźle, i będzie z głowy.

— Dobra, strzelaj. — Odstawił szklanę, — Co tam jeszcze masz w zanadrzu?

Barbara upiła łyk whisky i spojrzała mu w oczy.

— Steve, wychodzę za mąż.

Nie poczuł niczego, a właściwie poczuł rozbawienie.

— Wychodzisz za mąż i idziesz do więzienia. — Jego usta ułożyły się w krzywym uśmiechu. — Przecież ty już jesteś mężatką, słodziutka. Jeszcze jeden mąż to bigamia i nasza Babs ląduje w pierdłu.

— Nie żartuj z tego, Steve. — Jej twarz stężała. — Sprawa jest poważna, bardzo poważna. Zapytałeś mnie kiedyś przez telefon, czy się spotykam z innymi mężczyznami, i powiedziałam, że tak, od czasu do czasu. Ale teraz spotykam się już tylko z jednym. To właśnie Arthur Burkę.

— Arthur... to znaczy... ten psycholog Judy?

— Tak. To wspaniały człowiek. Polubiłbyś go na pewno. Ja... bardzo mi na nim zależy. I Judy też go lubi, mówiłam ci. — Barbara wpatrywała się w swego drinka. — Ona potrzebuje normalnego domu, rodziny, poczucia stabilności. Potrzebuje ojca.

Randał odstawił szklanekę na stół z głośnym stuknięciem. Wymawiał każde słowo powoli i wyraźnie.

— Mam dla ciebie informację, kochaniutka. Judy już ma ojca.

— Oczywiście, że ma, i ty nim jesteś. Ona to wie i Arthur także. Ale mnie chodzi o ojca, który mieszkałby z nią pod jednym dachem, który zawsze byłby na miejscu. Jej potrzebna jest miłość i uwaga, jakość życia, którą może zapewnić tylko konwencjonalny, funkcjonujący rodzinny dom.

— Zaczynam łapać — rzek! Randall. — Już słyszę to pranie mózgu. Jakość życia, uwaga, miłość i inne pierdoły. To jego język, jego krecia robota, to on chce psim swędem załatwić sobie rodzinę i córkę, na które nic zapracował. Jak chce mieć córkę, to niech ją sobie zrobi. Nie dostanie mojej dziewczynki, o nie, droga pani. Judy jest moja.

— Bądźże rozsądny, Steve.

— Więc ty robisz to wszystko dla ratowania Judy, tak? To jest twoja strategia? Chcesz wyjść za tego faceta wyłącznie po to, żeby Judy miała ojca?

— To nie jest główny powód, Steve. Chcę wyjść za Arthura, ba potrzebuję męża, takiego męża jak on. Jestem w nim zakochana. I dlatego chcę, żebyś dał mi rozwód.

— Rozwód? — Randall był już pijany i zły. Wstał z krzesła. Zapomnij. Nie dostaniesz rozwodu.

— Steve...

— Nie ma mowy. — Wziął szklanekę i ruszył do barku. — Nie oddam mojej córki tylko dlatego, że jej mamusia potrzebuje facelii do łóżka.

— Nie gadaj głupstw. Nic znoszę, jak głupiejesz po pijanemu. Nie potrzebuję faceta do łóżka, już go mam. Mam Arthura i chce to zalegalizować. On też chce mieć żonę i życie rodzinne, i zasługuje na to, podobnie jak Judy. Jeżeli naprawdę ci na niej zależy, to będziesz współpracował, pójdziesz na ugodę i nie będziesz nam utrudniał życia. Miałeś dość sposobności, żeby nas zapytać, czy nie chcemy wrócić. Nawet palcem nie kiwnąłeś. A teraz, kiedy chcemy pójść własną drogą, usiłujesz nam przeszkodzić. Proszę, cię, Steve, pozwól nam odejść.

Randall nalał sobie kolejnego drinka.

— Usiłujesz mi powiedzieć, że Judy chce, żeby ten twój mądrała został jej ojcem?

— Sam ją zapytaj.

— Zapytam, nie ma obawy. I powiadasz, że już z nim baraszkuje? Proszę, proszę.

Stał przy barku i wodząc bezwiednie palcem po obrzeżu szklanki, patrzył, jak Barbara wstaje i szuka swoich papierosów. Jego wzrok podążał za poruszeniami kobiecego ciała, które znał tak dobrze. Teraz oddawała to ciało innemu mężczyźnie.

Z niewyjaśnionych powodów — a może z wyjaśnionych... tak, chyba po prostu był pijany — zaczął się grzebać w ruinie ich małżeństwa, aż dotarł do momentu pęknięcia, od dawna ukrytego na dnie pamięci. Była to ich ostatnia wspólna podróż za granicę, noc w Paryżu, bardzo kiepska, bardzo późna noc. Położyli się do łóżka, dużego podwójnego łóżka w jakimś luksusowym paryskim hotelu — Plaža Athénée, George V, Bristol — nie pamiętał. Leżeli, a chłód i niechęć narastały między nimi, rozdzielały ich, każde udawało, że śpi. Grubo po północy z pokoju obok dobiegły ich przez cienką jak wafel ścianę stłumione głosy, męski i kobiecy. Nie rozróżniali słów, lecz po chwili zaskrzypiało łóżko i usłyszeli jęki kobiety i stękanie mężczyzny, nieprzerwane jęki, stękanie i skrzyp łóżka, gwałtowne odgłosy podniecenia i namiętności.

Kiedy tak leżał, nasłuchując, każdy z tych dźwięków zagłębiał się w nim jak sztylet. Krwawił z zazdrości i zawiści o tę stłumioną rozkosz, i krwawił gniewem zmieszanym z poczuciem winy z powodu ciała Barbary tuż obok w łóżku. Nie mógł na nią spojrzeć, lecz wiedział, że też nasłuchuje w ciemności. Nie było dla nich ucieczki. Dźwięki zza ściany szczyły z ich zimnych ciał, uwydatniały pustkę przeżytych razem lat. Randall nienawidził tej kobiety obok siebie, nienawidził tych dwojga za ścianą za to ich niekończące się spółkowanie i jedność, a nade wszystko nienawidził siebie, bo nie potrafił kochać swojej partnerki. Miał chęć wyskoczyć z łóżka, uciec od Barbary, od

tego strasznego pokoju i urągliwych, zmysłowych odgłosów. Nie był w stanie zrobić niczego, mógł tylko czekać. I wraz z ostatnim jękiem i stęknięciem, ostatnim westchnieniem rozkoszy, za ścianą zapadła cisza spełnienia, jeszcze bardziej nieznośna.

Noc, która potem nastąpiła, przyniosła mu najpierw słowa wiersza George'a Mereditha, które przejęły go chłodem:

I kiedy wielkie serce północy,
Z łez i pamięci zaczyna
Pić blady narkotyk ciszy i wybijać
Ciężką miarę snu, oni od stóp do głów
Bez ruchu patrzą na swe martwe czarne lata
W próżnym żalu nabazgrane na pustej ścianie.
Widzieć ich można jak rzeźbione wizerunki
Na grobie ich małżeństwa, rozdzielone mieczem,
I każde czeka na miecz, który przetnie wszystko.

Wiedział już, że w tej nieprzerwanej ciemności leżą na grobie swego małżeństwa. Zanim zapadł w zapomnienie snu, ogarnęło go poczucie pustki tego związku, niemożliwości dalszego wspólnego życia. Tej nocy zrozumiał, że nie ma przed nimi przyszłości. Już nigdy nie potrafiłby wnikać w ciało Barbary i kochać naprawdę. Być może mógłby udawać. Być może umiałby imitować miłość. Lecz nie mógłby kochać się z Barbarą spontanicznie czy choćby jej zapragnąć. Ich związek był pozbawiony nadziei, i ona też musiała to rozumieć. Tej nocy, przed zaśnięciem, uzmysłowił sobie, że to się musi wkrótce skończyć — że musi opaść miecz, który przetnie wszystko — i modlił się, żeby to ona skończyła z tym pierwsza. Kilka miesięcy później Barbara wyprowadziła się z ich nowojorskiego mieszkania i razem z Judy przeniosła się do San Francisco.

Zamglonymi oczami przyglądał się jej, jak pali, chodząc po pokoju i unikając jego wzroku. Dostrzegał zarys ud pod sukienką i zerwał ją w myśli, odsłaniając znajome ciało. Próbował sobie wyobrazić, jakim sposobem takie nieelastyczne, nieustępliwe ciało mogło wzbudzić pożądanie w człowieku o imieniu Arthur, jak potrafiło wyzwolić w nim szalę namiętności. Ale widocznie potrafiło. Dziwy, naprawdę dziwy.

Oderwał się od baru i ruszył ku Barbarze. Prowadziła go wzrokiem.

— Steve — zaczęła — błagam cię po raz ostatni, nie sprzeciwiaj się. Daj mi po prostu rozwód i nie rób problemów. Przecież ty mnie nie chcesz. Nawet nie będziesz rozważał takiej opcji. Dlaczego nie miałbyś mi dać wolności bez tego całego zamieszania, tak jak to robią cywilizowani ludzie? Po co walczyć?

Tobie nie chodzi tylko o Judy, prawda? Przecież będziesz mógł ją widywać, jeśli tylko znajdziesz na to czas. Zapiszemy to w ugodzie. Więc co cię tak gnębi? Chodzi o to, że to już koniec? Że nie potrafisz się przyznać przed sobą do porażki? Tak, Steve?

Chodzi o Judy, o nic więcej. Nie bądź śmieszna, Barbaro. Po prosta nie chcę, żeby inny mężczyzna, obcy człowiek, wychowywał moją córkę. Taka jest moja decyzja, przynajmniej do ukończenia przez Judy dwudziestu jeden lat. Nie dam ci teraz rozwodu i tyle. — Zawahał się. — Może moglibyśmy... ty i ja... wymyślić jakiś sensowny wspólny układ...

— Nie, Steve. Ja już ciebie nie chcę. Chcę rozwodu.

— Ale go nie dostaniesz.

Chciał się odwrócić, lecz złapała go za ramię i zmusiła, by na nią patrzył.

— Dobrze! — wykrzyknęła drżącym głosem. — W takim razie będę musiała zrobić to, czego chciałam uniknąć. Zmuszasz mnie, żebym złożyła pozew do sądu.

— Złóż, spotkamy się na sali sądowej — odparł. — Będę walczył, a mam cholernie dobre argumenty. To ty ode mnie odeszłaś. Nie panowałaś nad wychowaniem naszej córki. To przy tobie zaczęła brać narkotyki i wyrzucili ją ze szkoły. Puszczalaś się z innym mężczyzną na oczach piętnastoletniej dziewczynki. Może to raczej ja podam do sądu ciebie?

Oczekiwał wybuchu, lecz ku jego zdumieniu Barbara przyglądała mu się spokojnie, z pewną siebie miną, a w jej oczach dostrzegł coś przerażająco podobnego do politowania.

— Przegrasz, Steve — powiedziała. — Nie będę się nawet musiała wysilać, żeby cię obwiniać. Nie zrobiłabym tego. Ale mój adwokat przeświecili cię, publicznie, w sądzie. Sędzia na pewno dostrzeże prawdę... twoje wyczyny wobec mnie, wobec naszej córki, twoją rolę ani to ojca, ani to męża. Twoje zachowanie w przeszłości i teraz, twoje rozregulowane życie, pijaństwo, romanse. Tę dziewczynę, którą masz w Nowym Jorku. Przegrasz, Steve, i możesz nawet stracić możliwość widywania się z Judy. Mam nadzieję, że twój upór i gniew nie popchną cię do tego. Wszyscy byśmy się w tym ubabrali, łącznie z Judy, byłby to istny horror, a w końcu i tak byś ją stracił, niezależnie od wyroku sądu.

Nienawidził jej w tym momencie nawet nie za to, co mówiła, lecz za tę pewność w głosie, za tę stanowczość i może także za jej prawość i słuszność słów.

— Szantażujesz mnie — stwierdził. — Ale dowiodę sądowi, że ten twój kochaś, ten Arthur jakiś tam, wykorzystał swoją zawodową pozycję i relację z

Judy, żeby podstępem wkraść się do twojego życia, zagarnąć ciebie i naszą córkę. Żaden sędzia nie przyzna ci opieki.

— Przekonamy się. — Barbara rozłożyła bezradnie ręce, jakby nie mogła mu już pomóc. — Przemyśl to, Steve, ale jak już całkiem wytrzeźwiejesz. I daj mi znać przed naszym wyjazdem. Jeśli nie zmienisz zdania, jeśli będziesz chciał walczyć, to zaraz po powrocie uruchamiam procedurę rozwodową i idziemy do sądu. Będę się modliła, żeby tak się nie stało. I będę się też dzisiaj modliła... — Umilkła nagle. — Wyśpij się, Steve. Jutro znów może cię czekać ciężki dzień.

Prześliznęła się obok niego, by otworzyć drzwi, lecz on nie ruszył się z miejsca.

— Zaczęłaś coś mówić — rzucił wojowniczo. — Za co jeszcze zamierzasz się modlić? No, powiedz.

Barbara otworzyła drzwi i czekała. Odstawił szklankę i podszedł bliżej.

— Powiedz — powtórzył.

— Będę się modliła... oczywiście za twojego ojca. I za Judy, jak zawsze to robię. Ale przede wszystkim, Steve, pomodlę się... za ciebie.

Nienawidził tej wyniosłej, świętoszkowatej suki.

— Zachowaj swoje modły dla siebie — powiedział drżącym głosem. — Przydadzą ci się w sądzie.

Nie patrząc na nią, wyszedł na korytarz.

Rano obudził się z kacem i natychmiast zrozumiał, że zasnął.

Mył się, wycierał i ubierał ze świadomością, że przyczyną kaca nie jest picie ubiegłego wieczoru. Zazwyczaj wypijał o wiele więcej i budził się z trzeźwym umysłem. Nie, to był kac, który miał swoje źródło w duszy, osad wstydu z powodu zachowania wobec Barbary.

Obiektywnie patrząc, musiał przyznać, że jej prośba o rozwód na zasadzie ugody była całkiem sensowna. Potrafił jednak wytłumaczyć także własny opór. Nie ulegało kwestii, że gdy jego żona powtórnie wyjdzie za mąż, Randall utraci swe jedyne dziecko. Byłaby to dla niego strata niepowetowana, szczególnie że miał tak niewiele związków emocjonalnych z innymi ludźmi. Nie przedstawił Barbarze alternatywy, dostrzegając jednak możliwość kompromisu. Nie musiała wychodzić za tego Arthura, lecz po prostu żyć z nim tak jak do tej pory. Dlaczego nie, w końcu był dwudziesty wiek, a Judy nie musiałyby mieć nowego ojca, byłby nim wyłącznie Randall.

Och tak, zamierzał walczyć z Barbarą w sądzie, nie było dwóch zdań.

A jednak wstydził się niedojrzałego, dziecinnego, małostkowego zachowania. Obserwator z zewnątrz z pewnością uznałby go za sukinsyna, co

było irytujące, ponieważ uważał, że nie jest aż tak zły. Gdzieś głęboko w środku był dobry, lepszy niż odsłaniał się ludziom, lepszy niż podczas ostatniej wizyty u ojca, podczas ostatniej nocy spędzonej z żoną i lepszy niż ujrzy go wkrótce poczciwy Jim McLoughlin z Raker Institute. Z drugiej strony wyścig szczurów przypominał wyścigi konne — oceniany był efekt, a nie uczucia, on zaś faulował i potraçał każdego, kto stanął mu drodze, od startu do mety.

W zwyczajnych międzyludzkich sytuacjach też sienie spisywał. W pracy radził sobie świetnie. Natomiast poza pracą, w kontaktach z ludźmi, na których mu zależało, bywał nieodpowiedzialny. Obiecał córce — cóż może być ważniejszego? — że zjedzą razem śniadanie. Zapomniał jednak, że w recepcji kazał nie przełączać żadnych telefonów, z wyjątkiem doktora Oppenheimera. Budzika też nie nastawił, no i zasnął.

Przed zamówieniem śniadania zadzwonił do Barbary, w nadziei, że Judy jeszcze tam jest. Niestety nikt nie odebrał i Randall siedział teraz sam, zgębiony, nad jajkami na bekonie i kawą. Po chwili spostrzegł, że wraz z poranną gazetą chłopiec hotelowy przyniósł mu jakieś wiadomości.

Pierwsza informowała go o telefonie od panny Darlene Nicholson z Nowego Jorku. Była też wiadomość od niej z poprzedniej nocy. Po rozmowie z Barbarą nie miał nastroju na telefonowanie, a teraz z kolei był zbyt znękany, żeby oddzwonić. Obiecał sobie, że skontaktuje się z Darlene później. Następną wiadomość zostawił wuj Herman. Przyjechał do hotelu, tak jak się umówili, żeby zabrać go do szpitala, ale w recepcji nie chcieli go połączyć z pokojem Randalla. Stało się to przed trzema godzinami. Niech to szlag. Pocieszające było tylko to, że nie dzwonił w nocy doktor Oppenheimer.

Dokończył w pośpiechu śniadanie i zjechał windą do holu. Wiedział, że spotka Judy w szpitalu, ale na wszelki wypadek zostawił dla niej w recepcji wiadomość z przeprosinami i zaproszeniem... teraz już na lunch. Wyszedł w parne powietrze majowego poranka, skinął na taksówkę i po chwili jechał do szpitala.

Wbiegł po dwa stopnie naraz po frontowych schodach i wjechał windą na drugie piętro. Ku swemu przerażeniu przed drzwiami pokoju ojca zobaczył matkę, siostrę i wuja Hermana, skupionych wokół doktora Oppenheimera. Trochę dalej stali Ed Period Johnson i pastor Tom Carey pogrążeni w rozmowie. Randall ruszył w ich stronę, drżąc z trwogi. Skoro wszyscy się zgromadzili, musiało się coś stać.

Zbliżając się i widząc coraz wyraźniej ich twarze, wypatrywał im nich oznak rozpaczy bądź smutku. Bezskutecznie. Zdziwiło go to, podobnie jak nieobecność Barbary i Judy.

Dołączył do grupy bez przeprosin za spóźnienie i przerwał wywód lekarza pytaniem:

— Co z tatą? Co się dzieje?

Zaciśnięte usta doktora Oppenheimera ułożyły się w wymuszony uśmiech.

— Dobre wieści, Steve, najlepsze, na jakie mogliśmy liczyć. Twój ojciec odzyskał przytomność chyba przed szóstą rano. Kardiogram wskazuje na zdecydowaną poprawę. Ciśnienie krwi jest bliskie normy. Lewą stronę ciała ma wciąż częściowo sparaliżowaną i mówi z pewnym trudem, ale ogólnie biorąc, to niesamowity powrót. Jeżeli nie wynikną jakieś komplikacje, od dzisiaj jego stan powinien się zacząć poprawiać.

— Och, dzięki Bogu — powiedział Randall. Poczł słabość, jakby go właśnie uwolniono z więzów. Nachylił się do matki i pocałował ją w policzek, potem pocałował płaczącą znów Clare i uśmiechnął się do wuja Hermana. Na koniec odwrócił się ponownie do Oppenheimera i uściśnął mu dłoń. — To wspaniałe, prawdziwy cud — dodał. — Jesteśmy panu wszyscy ogromnie wdzięczni, doktorze.

Lekarz skłonił się lekko.

— Dziękuję, Steve, ale całą zasługę trzeba przypisać ojcu. Tłumaczyłem właśnie twojej matce, że jego powrót do zdrowia będzie zależeć głównie od niego samego. Medycyna działa tylko do pewnego momentu. Kiedy wypiszemy go ze szpitala... za dwa, trzy, może cztery tygodnie... otrzyma program ćwiczeń fizjoterapeutycznych, które można wykonywać w domu. Jeżeli będzie współpracował, rehabilitacja może przynieść zdumiewającą poprawę. Naszym celem jest przywrócenie mu sprawności i samodzielności w działaniu. Powiedziałem już Sarah, że zasadniczym czynnikiem będzie tu stan ducha ojca, jego wola i pragnienie życia.

— Tego mu nigdy nie brakowało — odparł Randall.

— To prawda — zgodził się Oppenheimer — lecz pamiętaj, że przedtem nie miał udaru. Psychiczne nastawienie może się bardzo zmienić, a jego przyszłość zależy właśnie od tego, czy pozostanie takie samo.

— Jezus na krzyżu też czuł się opuszczony — wtrąciła cichym głosem Sarah Randall. — Umarł, a jednak powstał z grobu, żeby zbawić nas wszystkich.

— Z bożą pomocą — pisnął wuj Herman. Sarah Randall spojrzała na brata.

— Nathanowi Bóg też pomoże, Hermanie. Zasłużył sobie na to. Zakłopotany tą nabożną paplaniną, Randall odsunął się od matki i stanął przy doktorze.

— Chciałbym zobaczyć tatę. Czy mogę teraz? — zapytał.

— No cóż, właściwie powinien jak najwięcej wypoczywać — odparł Oppenheimer — ale jeżeli pobędziesz tam minutkę, nie więcej, to wejdź. Być może wieczorem będziesz mógł z nim spędzić więcej czasu.

Randall otworzył drzwi szpitalnego pokoju i wszedł do środka.

Przezroczysty namiot tlenowy był otwarty, lecz pielęgniarka poprawiająca koc zasłaniała pacjenta. Usłyszawszy Randalla, odsunęła się na bok.

— Chcę go tylko zobaczyć — powiedział półgłosem. — Czy on śpi?

— Zdrzemnął się, ale świetnie mu idzie. Jesteśmy z niego bardzo dumni.

Randall podszedł do łóżka. Głowa starca spoczywała na poduszce, trupio wychudzona, lecz widok nie był już taki szokujący jak poprzedniego dnia. Ojciec miał zamknięte oczy. Jego policzki nabrały rumieńców. Pochrapywał miarowo.

— Wygląda o wiele lepiej niż wczoraj — szepnął Randall przez ramię.

— Znacznie lepiej — zgodziła się pielęgniarka.

Kiedy odwrócił się znów do ojca, ujrzał zaskoczony, że starzec wpatruje się w niego tępym spojrzeniem.

— Witaj tato — rzekł Randall. — To ja, Steve. Poprawiło ci się. Wyjdiesz z tego.

W oczach starca mignął błysk rozpoznania i zadrżały mu usta. Randall pochylił się nad nim szybko i pocałował w czoło. Oczy pastora zamknęły się i otworzyły, jakby na znak potwierdzenia.

— Wracasz do nas, tato — ciągnął Randall. — Modliliśmy się za ciebie i nasze modlitwy zostały wysłuchane. Nadal będę się za ciebie modlił i...

Randall zawiesił głos, zobaczył bowiem, że kącik ust ojca unosi się nieznacznie i nie był pewien, czy ten cień uśmiechu oznacza akceptację, czy raczej wątpliwość, co do zdolności modlenia się syna. Uznał, że ojciec potrafi go przejrzeć na wylot, jak zwykle, od zawsze, i docenia jego szczerą troskę, lecz wątpi w nagły przypływ pobożności.

Uśmiech, tajemniczy jak ten na twarzy Mony Lizy, zniknął po chwili, a jego powód i znaczenie pozostały nieznane. Randall chciał zapytać ojca o wyjaśnienie, lecz pokryte siatką żyłek powieki zamknęły się i znów rozległo się chrapanie.

Randall w milczeniu odszedł od łóżka i wrócił na korytarz. Doktor udał się już na obchód, a pozostali skupili się w ciasnym kręgu obok poczekalni, rozmawiając z ożywieniem.

Randall zapytał Clare o żonę i córkę. Okazało się, że przyszły dość wcześnie, usłyszały dobre wieści, posiedziały chwilę u ojca i pół godziny temu opuściły szpital.

Matka zaprosiła go na lunch do domu, odparł jednak, że jest już umówiony z Judy i zjawi się na pewno na domowym obiedzie przed kolejną wieczorną wizytą w szpitalu.

W tej sytuacji Sarah Randall postanowiła zostać przy mężu trochę dłużej, razem z wujem Hermanem. Clare musiała iść do pracy, zapewniła jednak matkę, że wróci wcześniej, żeby jej pomóc przy obiedzie.

— Może kogoś gdzie podwieźć? — zapytała Clare.

Ed Johnson uznał, że powinien wrócić do redakcji. Chociaż najstarszy syn stopniowo przejmował od niego trudy prowadzenia gazety, Ed wolał jednak być na miejscu i nadzorować pracę. Siedziba redakcji była bardzo blisko, nie potrzebował więc podwiezienia. Tom Carey również musiał wracać do swojej parafii. Miał umówione spotkania, górę korespondencji do nadrobienia i musiał jeszcze napisać kazanie.

— Dzięki, Clare, ale chyba pójdę piechotą—odpowiedział. — Chętnie zażyję trochę ruchu i świeżego powietrza. — A ty, Steve? — spojrzał na Randalla. — Nie przeszedłbyś się kawałek? Jak pamiętasz, kościół jest tylko kilka ulic od twojego hotelu.

Randall spojrzał na zegarek. Do pory lunchu z Judy miał jeszcze trzy kwadranse, jeżeli oczywiście dostała jego wiadomość.

— Dobrze — odparł. — Przyłączam się do Anonimowych Piechurów.

Trzej mężczyźni maszerowali przez dziesięć minut i był to przyjemny spacer. Duchota zelżała, powietrze było czyste i świeciło wczesnopopołudniowe słońce. Wysokie wiązy i sędziwe dęby puszczały pąki lub już okryły się zielenią w różnych odcieniach, dzieci jeździły na rowerkach, psy rzucały się w pogoń za kotami, a jakaś gruba kobieta wieszała pranie i trzymając w ustach klamerki, pomachała do Johnsona i Careya.

W odróżnieniu od ciemnych kamiennych wawozów środkowego Manhattanu, miasteczko w Wisconsin wydało się Randallowi elizejskim rajem. Lecz widział je w ten sposób oczami duszy, trawiony nostalgią. To, co podpowiadał umysł, było bardziej wiarygodne, bardziej krytyczne. Przypomniało Randallowi, że zaszedł już za daleko, widział zbyt wiele i przeżył zbyt wiele, by móc na powrót przywyknąć do monotonii i ograniczeń

provincjonalnej społeczności. Potrafił przetrwać w sytuacjach ekstremalnych, ale nie tutaj. Mógł znaleźć przestrzeń do działania dla swej niespokojnej duszy w Nowym Jorku, wśród przytłaczających tłumów. Mógł też wycofać się i osiąść samotnie lub z kimś jeszcze w jakimś górzystym zakątku Francji, gdzie jego twórcza wyobraźnia szybowałaby swobodnie, może się to stać rzeczywistością za pięć lat, gdy Towery i Gosmos wręczą mu czek na dwa miliony.

Idąc krok w krok z Edem i Tomem, wsłuchiwał się w ożywiony monolog Johnsona, który wspominał początki swej bliskiej zażyłości z wielebnyim Nathanem Randallem, najlepsze chwile ich przyjaźni i wspólne sławetne wyprawy wędkarskie nad jeziora.

Ed rozprawiał właśnie o twórczym podejściu Nathana do czynienia dobra.

— Większość ludzi chce spełniać dobre uczynki, ale zazwyczaj grzęzną gdzieś po drodze — mówił. — Ale nie tata Steve'a, mowy nie ma. Nasz wspaniały pastor był zawsze pod tym względem wyjątkowy. Kiedy mu przyszedł do głowy pomysł na jakiś dobry czyn, choćby nie wiem jak dziwny lub niezwykły, to Bóg mi świadkiem, brał się do roboty i zawsze znalazł sposób, żeby doprowadzić sprawę do końca. Nathan należy do tych duchownych, którzy swoje nauki wprowadzają w czyn.

— O tak, to cały Nathan — przytaknął Carey.

— Pewnego razu na przykład postanowił konkurować ze mną na polu wydawniczym. Pamiętasz to, Steve? Ten jego tygodnik... jak on się, u diabła, nazywał... zaraz, zaraz...

— „Dobra Nowina na Ziemi” — odpowiedział Randall.

— Masz rację, synu, „Dobra Nowina na Ziemi”, tak nazwał tę swoją gazetę, zgodnie z oryginalnym znaczeniem słowa gospel, które pochodzi od anglosaskiego godspel, czyli właśnie „dobra nowina”. To było piękne, po prostu piękne. I wymagało odwagi, a tej Nathanowi nigdy nie brakowało. Pamiętasz tę gazetę ojca, Steve?

— Oczywiście.

Szli dalej w ciepłe popołudnie, a Ed Period Johnson zwrócił się teraz do Toma Careya.

— To prawdziwa historia, Tom. Steve może zaświadczyć. Więcej mówi o moim przyjacielu Nathanie niż jakakolwiek inna. To było ładne parę lat temu. Słuchaliśmy któregoś dnia radia, nadawali taki cykl o mało znanych duchownych, którzy dokonali niezwykłych rzeczy wśród świeckich. W tej akurat audycji mówili o życiu doktora Charlesa Monroego Sheldona z

Centralnego Kościoła Kongregacyjnego w Topece w stanie Kansas. Słyszałeś kiedyś o nim, Tom?

— Możliwe, nazwisko wydaje się znajome.

— Nie zdziwiłbym się, gdybyś nie słyszał — ciągnął Ed — bo Nathan i ja też słyszeliśmy wówczas o nim po raz pierwszy. Ale ten Sheldon istniał naprawdę, znajdziesz coś o nim w bibliotece, jeśli mi nie wierzysz. Przyjechał do Kansas z Nowego Jorku, żeby założyć kościół w Topece. Około roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego, miał wtedy może trzydzieści trzy lata. Zaczął się niepokoić niską frekwencją na niedzielnych wieczornych nabożeństwach. I wpadł na pewien pomysł. Zamiast wygłaszać kazania, napisał opowieść w dwunastu rozdziałach, z których każdy kończył się w najciekawszym momencie, i co tydzień odczytywał wiernym jeden odcinek podczas mszy. Pomysł wypalił nadspodziewanie dobrze.

— Bardzo zmyślne — rzekł Carey. — O czym mówiła ta opowieść?

— O młodym księdzu, przejętym stanem świata i ludzkim postępowaniem. Ksiądz prosi swoich wiernych o przyrzeczenie, że przez rok będą się zachowywać w stosunkach z innymi tak, jak zachowywałby się Jezus. Cykl okazał się sukcesem i doktor Sheldon opublikował go w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym w formie książkowej. Zatytułował tę książkę *In His Steps, Jego śladem*. Według niektórych szacunków sprzedano trzydzieści milionów egzemplarzy, wliczając w to przekłady na czterdzieści pięć języków. Największy bestseller w historii poza Biblią i dziełami Szekspira.

— Fantastyczne — powiedział Carey.

— Pewnie, że tak. Ale jeszcze bardziej fantastyczne jest to, że trzy lata po ukazaniu się książki przyszedł do Sheldona wydawca „Topeka Capital”, dziennika o piętnastotysięcznym nakładzie, i zadał mu pytanie: „Czy chciałby ksiądz przez tydzień redagować moją gazetę w taki sposób, jak robiłby to Jezus?”. Sheldon przyjął wyzwanie. Chciał udowodnić, że gazeta może być rzetelna i uczciwa, przekazywać dobre wiadomości zamiast tanich sensacji i mimo to przynosić dochód. Zajął więc na tydzień miejsce sekretarza redakcji, jako przedstawiciel Jezusa Chrystusa.

Randall pokręcił głową.

— Zawsze uważałem, że to samo w sobie było sensacją,

— Nie do końca — odparł Johnson. — Pomysł karkołomny, ale w imię wyższego dobra.

— I co się wydarzyło? — spytał Carey.

— No, oczywiście Sheldon zdawał sobie sprawę z trudności obiektywnych. W czasach Jezusa nie było samochodów, pociągów, telefonów, prasy

mechanicznej, elektryczności, gazet ani drukowanych książek. Jezusowi nie był znany chrześcijański kościół ani szkółka niedzielna, pokój społeczny ani demokracja. Sheldon wiedział jednak, że było coś, co nie zmieniło się nigdy. Zdał sobie sprawę, jak to wyłożył, że świat, jaki znał i rozumiał Chrystus, był dokładnie taki sam w swej małości i nikczemnym lekceważeniu dobra jak świat dzisiejszy. Jako redaktor i reprezentant Jezusa Chrystusa Sheldon ustanowił więc nowe zasady. Skandale, występki i przestępstwa zostaną wyeliminowane. Komentarze i informacje będą podpisane. I po raz pierwszy artykuły na temat dobra i prawości trafią na pierwszą stronę. To tylko na początek. Doktor Sheldon obwieścił również, że gazeta nie będzie zamieszczała reklam papierosów, alkoholu i niemoralnych rozrywek. Co więcej, dziennikarzom nie wolno było palić, pić alkoholu i przeklinać w redakcji. Pytałeś, co się wydarzyło, Tom? Otóż pod koniec tego tygodniowego eksperymentu Sheldona nakład „Topeka Capital” skoczył z piętnastu do trzystu sześćdziesięciu siedmiu tysięcy egzemplarzy dziennie. Sheldon udowodnił, że na dobrych wiadomościach można zarabiać nawet więcej niż na złych.

Randall położył dłoń na ramieniu Johnsona i zwrócił się do Toma Careya.

— To nie jest cała prawda, Tom. W świecie prasowym eksperyment został uznany za fiasko. Wydawcy stwierdzili, że gazeta stała się wodnista, nudna i nazbyt kaznodziejska, a skok nakładu był chwilowy, spowodowany posmakami nowości i reklamą. Poza tym dla zwiększenia sprzedaży wypuszczono także równoległe wydania w Chicago i Nowym Jorku. Gdyby Sheldon działał w ten sposób jeszcze przez kilka tygodni, położyłby gazetę.

— To czysta spekulacja — rzekł dobrodusznie Johnson. — Faktem jest, że to się udało, nieważne z jakich powodów. Czytelnicy nie sprzeciwili się przesunięciu akcentów z niemoralności na moralność. I tu wracamy do sedna historii, czyli do Nathana Randalla. Kiedy nasz pastor usłyszał o eksperymencie Sheldona, postanowił przeprowadzić podobny.

— Naprawdę? — zdziwił się Carey. — Pierwszy raz o tym słyszę.

— Ty byłeś jeszcze wtedy w Kalifornii czy gdzieś tam — odparł Johnson. — Nathan nosił się z tym pomysłem przez długi czas i w końcu, choć nie narzekał na brak zajęć, zaczął wydawać tygodnik pod tytułem „Dobra Nowina na Ziemi”. Ogłosił, że będzie redagował gazetę tak, jak robiłby to Jezus Chrystus. Nathan wystartował... używając mojej drukarni i przy pomocy moich pracowników. Adresował gazetę najpierw do rodziców dzieci uczęszczających do szkółki niedzielnej, a potem do szerszej publiczności. I doszedł do nakładu, niech sobie przypomnę, chyba czterdziestu tysięcy

egzemplarzy tygodniowo. Dostawał listy od czytelników z innych stanów, z Kalifornii, Vermontu, a nawet kilka z Włoch i Japonii. Była to wielka sprawa i stałaby się jeszcze większa, tylko że Nathanowi po prostu zabrakło czasu i sił na odgrywanie Jezusa redaktora i wypełnianie jednocześnie obowiązków duszpasterskich.

Przystanęli na rogu ulicy.

— Tutaj was opuszczę — oznajmił Ed Period Johnson. — W każdym razie, Steve — zwrócił się do Randalla — kiedy myślę o sprawach, którym twój ojciec poświęcał się przez całe życie, zawsze przypominam sobie o „Dobrej Nowinie na Ziemi” i jej wielkim sukcesie. Nathan mógłby odnosić sukcesy w każdej dziedzinie, a dziś najlepszą wiadomością na świecie jest ta, że zostanie z nami jeszcze przez długi czas, Bogu dzięki, a my, wszyscy mieszkańcy Oak City, tylko na tym skorzystamy. — Johnson uściśnął dłoń Randalla. — To wspaniale, że znów jesteś w domu, Steve. Do zobaczenia wieczorem w szpitalu... i z tobą też, Tom.

Johnson ruszył zamaszystym krokiem, kierując się w boczną ulicę, przy której stał czerwony, ceglany budynek redakcji. Randall i Carey poszli w milczeniu dalej, w stronę centrum miasta i hotelu Oak Ritz. Po chwili Tom przemówił.

— Wspaniała ta historia Eda o twoim ojcu, prawda Steve?

— Kompletny pic na wodę — odrzekł Randall bez cienia zgryźliwości.

— Jak to? — Carey był zdezorientowany. — Chcesz powiedzieć, że Johnson zmyślił to wszystko? Tę „Dobrą Nowinę na Ziemi” i całą resztę?

— Nie, nie zmyślił tego — odpowiedział cierpliwie Randall. — Ojciec faktycznie wydawał tę cholerną gazetę. Ale nazywanie tego przedsięwzięcia wielkim sukcesem to duby smalone, jak to mawiają w Oak City. To prawda, że nakład doszedł do czterdziestu tysięcy, tylko trzeba dodać, że ojciec rozdawał swoją gazetę za darmo. Nie sądzę, żeby zebrała się choć setka ludzi, którzy kupili ten śmieszny tygodnik za pieniądze. I nikt nie zamieszczał w nim reklam. Było kilku chętnych, ale ojciec odprawił ich z kwitkiem, bo Chrystus jego zdaniem nie przyjąłby takich ogłoszeń. Nikt nie chciał czytać wyłącznie dobrych wiadomości ani wtedy, ani dzisiaj, ponieważ prawdziwy świat nie jest taki. Gazeta ojca pełna była opisów ludzi, którzy kochają bliźnich, łożą na cele dobroczynne, a ich modlitwy zostają wysłuchane. Ciężkostrawna mdła papka. Diabła tam, nawet sam Chrystus w Galilei nie redagowałby gazety w taki sposób. Żaden z jego uczniów czy ewangelistów również. Przecież ci żydowscy i chrześcijańscy autorzy pisali o cudzołóżnicach, przemocy w świątyniach, biczowaniu i ukrzyżowaniu, o

życiu, a nie tylko o jego dobrych stronach. „Dobra Nowina na Ziemi” okazała się kiepską nowinką i padła po pięciu czy sześciu wydaniach. Nie dlatego, że ojciec był taki zapracowany, jak to idealizuje Ed, lecz dlatego, że prowadziła rodzinę do ruiny. Ojciec przepuścił na to przedsięwzięcie wszystkie domowe oszczędności.

Carey zrobił zmartwioną minę.

— Czy te pieniądze... Czy to były jego własne pieniądze? — zapytał.

— Nie — odparł Randall. — Moje.

— Rozumiem.

Radali zerknął na przyjaciela spod oka.

— Nie zrozum mnie źle, Tom, ja nie mam mu za złe samego pomysłu. Po prostu znalazłem się w takim momencie mojego życia, że mam już dość produkowania bajeczek i przedstawiania ich jako prawdy. Mam dość kłamstw, półprawd i wyolbrzymiania. Zajmowałem się tym zawodowo przez połowę życia. A teraz, zupełnie jak nawrócony alfons, który stał się purytaninem, coraz bardziej cenię sobie wierność faktom, skrajną prawdomówność. Oszustwa i oszuści napawają mnie obrzydzeniem. Żeby się na tym poznać, trzeba mieć doświadczenie, a ja je mam, bo zajmowałem się tym przez lata. Teraz próbuję zrzucić skórę oszusta.

— Czy ty czasami nie jesteś zbyt surowy dla siebie, Steve?

— Nie. I dla ojca też nie. Szanuję tatę, naprawdę go szanuję. Nie ma w nim choćby krztyny zła. Jest najprzyzwoitszym z ludzi, kimś, kim ja nie potrafiłem się stać. Ale jednocześnie jest najbardziej niepraktyczną i nieżyciową istotą, jaką znam. Przebywa stale w owym szczególnym stanie zwanym euforią, odpowiadając jedynie przed jakimś wielkim... wybac mi, Tom... wielkim worem magmy gdzieś wysoko w niebie, a zaniehbując wiele ze swych zobowiązań wobec istot ziemskich.

— Wybaczam ci — rzekł z uśmiechem Carey — ale...

— Zaczekaj. Nie opowiadaj mi, że wielebny Nathan Randall zdobył coś, czego my nie mamy... że posiadał tajemnicę szczęścia i spokoju ducha, a cała reszta ludzi wciąż tkwi w pożałowania godnej mizerii. Oczywiście w pewnym sensie to prawda. Ojciec był zawsze zadowolony z życia, a na przykład jego syn nie. Ale dlaczego tak się dzieje? Dlatego że tata ma swoją wiarę, niekwestionowane zaufanie i wiarę... w co...? w niewidocznego Boskiego Autora Dobrej Nowiny, Przebaczenia i Szczęśliwych Zakończeń? Ja nie potrafię grać w tę samooszukańczą grę. Mnie, mówiąc metaforycznie, w bardzo młodym wieku chwycił za kołnierz Henry Louis Mencken, ten prześmiewca szydzący z wszelkich mitów. I zaszczepił mi swoją skróconą

wersję dekalogu. „Wierzę, że lepiej jest mówić prawdę, niż kłamać. Wierzę, że lepiej jest być wolnym niż niewolnikiem. I wierzę, że lepiej jest wiedzieć, niż być ignorantem". Od tamtej pory wierzyłem tylko w to, co sam zobaczyłem, albo w to, czego istnienie potrafili udowodnić inni. To moje credo i powiem ci, że jest ono beznadziejne. Ale w tej chwili nie potrafię zmienić mojej postawy. Zakleszczyłem się w niej. I powiem ci coś jeszcze, Tom... wcale się z tym nie kryję... zazdroszczę mojemu ojcu. Ślepa wiara to o wiele lepsze rozwiązanie.

Spojrzał na Careya, chcąc sprawdzić jego reakcję, pastor jednak wpatrywał się przed siebie, marszcząc w zamyśleniu brwi. Maszerowali dalej.

Randall był ciekaw niewypowiedzianych myśli przyjaciela. Chociaż przez wiele lat po studiach kroczyli odmiennymi ścieżkami i niewiele mieli ze sobą wspólnego, nigdy nie utracił swej sympatii dla Careya. W szkole średniej byli w jednej drużynie i przez pewien czas dzielili pokój w akademiku na Uniwersytecie Wisconsin. Potem Randall przeniósł się do Nowego Jorku, a Tom Carey poczuł powołanie i wstąpił do Seminarium Teologicznego Fullera w Kalifornii. Po trzech latach uzyskał tytuł bakałarza teologii. Później kształcił się w dalszym ciągu, ożenił się z pewną miłą brunetką z Oak City, z którą Randall bawił się na balu maturalnym, i w końcu został pastorem w małym kościółku w południowym Illinois.

Ponieważ Carey często odwiedzał w Oak City swą owdowiałą matkę i innych krewnych, utrzymywał bliskie więzi z rodziną Randallów, a szczególnie z Nathanem, którego uwielbiał. Pastor Randall odwzajemniał to uczucie. Przed trzema laty, w odpowiedzi na rosnące wymagania rozwijającej się parafii starszego z pastorów, któremu z wiekiem ubywało energii, wielebny Randall wezwał do siebie młodego Careya i zaproponował mu stanowisko asystenta w swoim kościele, z pensją wyższą niż otrzymywał w Illinois. Tom miał przejąć część rutynowych obowiązków starszego kolegi, a także rozwinąć na szerszą skalę działalność społeczną parafii. Poza tym pastor Randall obiecał pastorowi Careyowi, że zostanie jego następcą.

Carey natychmiast przystał na tę propozycję i wrócił do rodzinnego miasteczka wraz z żoną i szóstką dzieci. Teraz miał zastąpić wielebnego Randalla na jego stanowisku. Wydawał się niemal zbyt młody na duszpasterza i szefa parafii. Szczupły, ale dobrze zbudowany, z krótko ściętymi włosami, perkatym nosem i jasną karnacją wyglądał jak chodząca reklama amerykańskiego skautingu. Był stateczny, prostolinijny, poważny, odcytany, inteligentny i uważny w kontaktach z ludźmi. Nie głosił kazań z Panem Bogiem za pazuchą, co najwyżej z wielebny Randalem za pazuchą, ale nie

z Bogiem. Nie znosił grożenia ogniem piekielnym i wołał raczej czegoś nie dopowiedzieć niż przesadzić.

— Wspomniałeś wiarę swojego ojca, Steve — odezwał się pastor niegłośno i z wahaniem. — Powiedziałeś, że zazdrościsz mu tej niezachwianej pewności. Właśnie się zastanawiam... właściwie dyskutuję sam ze sobą, czy powinienem z tobą o tym rozmawiać... —Zwilżył językiem suche wargi. — Ale stwierdziłeś, że prawda jest teraz dla ciebie najważniejsza, więc... może nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby ją poznać. Randall zwolnił kroku, zaintrygowany.

— Czego ta prawda miałaby dotyczyć, Tom? — zapytał.

— Tej ślepej wiary twojego ojca. Wiesz, jak blisko byłem z nim związany w ostatnich latach. No więc uczciwie powiedziawszy, dostrzegłem stopniową przemianę w jego podejściu. Mogłeś tego nie zauważyć podczas swojej ostatniej wizyty, ale to się już wtedy zaczynało. Twój ojciec oczywiście nie utracił wiary, to by było nie do pomyślenia. Powiedziałbym raczej, że w ostatnich latach rozwój wypadków na świecie i postępowanie ludzi do pewnego stopnia, bardzo nieznacznie, wstrząsnęły podstawami jego wiary. Czegoś takiego Randall zupełnie się nie spodziewał.

— Wiary w co? — zapytał, nie potrafiąc ukryć zmieszania. — Przecież nie w Boga i Syna Bożego? Więc w co?

— Trudno tu o konkret, Steve. Ująłbym to tak... nie tyle wiarę w Pana, co w dosłowną kanoniczną prawdę Nowego Testamentu, w dogmaty Kościoła, w znaczenie posługi Chrystusa na ziemi dla dzisiejszych problemów, w możliwość zastosowania niektórych Jego nakazów w naszych przesyconych nauką i zmieniających się gwałtownie czasach.

— Tom, czy chcesz powiedzieć, że mój ojciec utracił wiarę w Słowo Boże? A w każdym razie część tej wiary?

— Takie podejrzenie ostatnio we mnie zakiełkowało. Randall był wstrząśnięty.

— Jeśli to prawda, to coś strasznego, absolutny koszmar. To by znaczyło, że w mniemaniu ojca jego życie straciło sens, zmieniło się w popiół.

— Niekoniecznie musiał posunąć się aż tak daleko, Steve. Kto wie, może w ogóle nie dostrzegał ani nie rozumiał swojego wewnętrznego niepokoju. Wyłożę to prosto. Nathan próbował za pomocą tradycyjnej mądrości rozwiązywać nowe problemy, które tak licznie występują w tym mikrokosmosie, jakim jest Oak City. Ta metoda nie tylko nie skutkowała, lecz coraz więcej osób pozostawało głuchych na jego przesłanie. Sądzę, że w ostatnich latach czuł się zdezorientowany, trochę przegrany, a na koniec

zniechęcony i poirytowany. Doktor Oppenheimer, choć wydaje się czasem tak konkretny i przyziemny, chyba trochę to rozumie.

Wczoraj w południe, gdy twój ojciec został przyjęty do szpitala, doktor miał chwilę przerwy i wypiliśmy razem kawę. Byliśmy tylko my dwaj. Oppenheimer powiedział coś takiego: „Udar, tak samo jak zawał, nie jest wcale skutkiem przepracowania. Jest skutkiem frustracji”. Czy muszę jeszcze coś dodawać? Randall pokręcił głową.

— Nie, to mi mówi bardzo wiele. Ale martwi mnie. Jak w takim razie, bez tej dożywotniej gwarancji, tej niezniszczalnej podpory, jaką była dla niego dogmatyczna wiara, ojciec w ogóle może stanąć znów na nogi?

— Możliwe, że powrót do zdrowia umocni w nim wiarę. Powtórzę, fundament wiary wciąż w nim jest, i to bardzo mocny. Tyle że pojawiło się na nim kilka pęknięć.

Randall dostrzegł już w głębi ulicy budynek hotelu. Wyjął fajkę, nabił ją i zapalił.

— A jak z tobą, Tom? — zapytał. — Nie widać żadnych pęknięć?

— Z pewnością nie w mojej wierze w Najwyższą Istotę ani w Syna Bożego. Ale jest inna rzecz. — Pastor potarł gładki podbródek i starannie dobierając słowa, mówił dalej: — Martwią mnie przedstawiciele, posłańcy Zbawiciela na ziemi, którzy przejęli i rozpowszechnili idee materialistyczne. Jak można ustanowić Królestwo Niebieskie na ziemi, skoro strażnicy tego królestwa czczą bogactwo, sukces i władzę? Równie zniechęcające jest to, że nasi duchowni nie potrafili zinterpretować na nowo, zmodernizować, wiary zrodzonej w starożytności, uczynić ją użyteczną dzisiaj. Za mało mają wiedzy o przewrocie, jaki dokonał się w społeczeństwie, o świecie błyskawicznej komunikacji, balansującym na bombie wodorowej, świecie, który posyła ludzi aż do gwiazd. W tym nowym świecie, w którym kosmos ogląda się w telewizji, a śmierć jest biologicznym pewnikiem, bardzo trudno jest zachować wiarę w jakieś amorficzne niebo. Zbyt wielu dojrzałych ludzi... ty jesteś jednym z nich... dobrze zna dzisiejszą rzeczywistość, żeby zaakceptować kredo, które wymaga wiary w Mesjasza, w cuda i życie pozagrobowe. Większość młodych zaś jest zbyt niezależna, zbyt wiele wie i za bardzo wątpi, żeby z szacunkiem traktować religię, która wydaje im się pełna mitów i anachronizmów, zwyczajnym mamieniem. Ci spośród nich, którzy pragną czegoś nadprzyrodzonego, znajdują daleko więcej cudowności w astrologii, czarnoksiężstwie i filozofiach Dalekiego Wschodu. Idealistyczni marzyciele wolą oszukiwać się prawdziwymi narkotykami i odrzucają materializm miejskiego społeczeństwa na rzecz hipisowskich komun.

— Ależ Tom — rzekł Randall — przecież w ostatnich latach nastąpiło wręcz odrodzenie zainteresowania religią wśród młodych. Tysiące różnych Dzieci Jezusa i Ludzi Jezusa zwróciło się ku starej, znajomej postaci Ojca, ku Jego idei miłości i braterstwa. Te ich wszystkie opery rockowe, musicale, piosenki, książki, czasopisma, nalepki chwałą Chrystusa. Czy to nie jest obiecujące?

— Odrobinę — odparł Carey z nikłym uśmiechem. — Odrobinę, ale nie za bardzo. Ja raczej nie liczę na takie odrodzenie wiary. Ci młodzi ludzie, w każdym razie część z nich, po prostu wybrali się w kolejną podróż, kolejny odjazd. Obawiam się, że na krótko, ponieważ jest to podróż w przeszłość, poszukiwanie pokoju ducha w nostalgii za dawnymi czasami. Zamiast tego powinni tę dawność przemodelować, unowocześnić i przenieść z przeszłości w teraźniejszość. Ich podróż nie ma nic wspólnego z trwałą wiarą. Ich Chrystus jest bitelsem, jest Che Guevara... i w końcu po prostu wyjdzie z mody. Nie, Steve, potrzeba nam bardziej trwałego Chrystusa i lepszego Kościoła. Na dłuższą metę może się utrzymać, wzrastać i mieć głębsze znaczenie tylko taki rodzaj odrodzenia wiary, który będzie związany z istniejącym już Kościołem.

— A dlaczego nie jest? — indagował Randall.

— Ponieważ dzisiejszy Kościół nie odnosi się do problemów ludzi, w gruncie rzeczy do problemów większości ludzi. Kościół zwyczajnie nie dotrzymuje kroku, dociera do zbyt małej liczby istot ludzkich i zbyt mało ich przy sobie zatrzymuje. Chrześcijański Kościół jest sztywny i powolny w rozpoznawaniu bieżących problemów świata i nie mierzy się z nimi. Głęboko mnie to rozczarowuje i muszę wyznać swój grzech: spostrzegłem, że zaczynam wątpić, czy sprzedaję ludziom to, co powinienem.

— A czy widzisz w tym wszystkim jednak jakąś nadzieję, Tom?

— Jedną małą iskierkę nadziei. Ale może już być za późno. Przypuszczam, że jedyna nadzieja na przetrwanie zorganizowanego chrześcijaństwa leży w rozwoju reformatorskiego, radykalnego ruchu... zwanego również podziemnym... który działa już na całym świecie. Przyszłość religii może zależeć od tego, czy do władzy dojdą tacy duchowni jak pastor Maertin de Vroome, protestancki rewolucjonista z Amsterdamu, który...

— Tak, tak, słyszałem o nim.

— Księża tacy jak de Vroome nie tkwią w okowach przeszłości.

On wierzy, że Słowo należy na nowo odczytać, przetrwać, ożywić i sprzedać. Uważa, że powinniśmy zaniechać podkreślania tego, że Chrystus był nie tylko rzeczywistą osobą, lecz także Synem Boga, Mesjaszem. Wierzy,

że taki Jezus, podobnie jak przesady dotyczące cudów i wniebowstąpienia, wydarzeń bezpośrednio po zmartwychwstaniu, szkodzą skuteczności Nowego Testamentu i ograniczają Kościół w jego działalności. De Vroome twierdzi, że tak naprawdę w Ewangelii istotna jest tylko podstawowa mądrość Chrystusa. Niezależnie od tego, czy był Synem Boga, czy człowieka, czy też jedynie mitem, to przesłanie, które głosił czy też które mu przypisano, należy wyrwać z kontekstu pierwszego stulecia, ożywić nowym duchem i za pomocą dwudziestowiecznej terminologii szerzyć we współczesnej epoce. — Ale czy to jest w ogóle możliwe? — zastanawiał się Randall.

— Nie jestem pewien — przyznał Carey — ale de Vroome uważa, że da się to zrobić. Myślę, że solidaryzuje się z Dietrichem Bonhoefferem, który pomimo swego konserwatyizmu próbował umieścić Kościół w realnym świecie, wskazać mu program humanistycznego działania i zaangażowania w sprawy społeczne. De Vroome uważa, że Słowo głoszone nowoczesnym językiem i odpowiednimi metodami powinno dotrzeć do slumsów i pałaców świata, do ONZ, do elektrowni atomowych, urzędów państwowych i więzień, rozpowszechniane przez hierarchów wszystkich wspólnot chrześcijańskich ze wszystkich ambon świata do milionowych rzesz wyznawców. Tą drogą Słowo mogłoby oddziaływać, religia i wiara żyć, a cywilizacja przetrwać. Bez tej eklezjastycznej rewolucji de Vroome przewiduje śmierć religii, wiary, a w końcu ludzkości. Możliwe, że ma rację. Jest jednak przedstawicielem mniejszości, a panujący, czyli Światowa Rada Kościołów w Genewie i Kościół katolicki reprezentowany przez Watykan, przeciwstawiają się radykalnym zmianom, usiłują wyeliminować podobnych buntowników i utrzymać status quo. Duchowni czują się bezpieczniejsi w pierwszym stuleciu. Ale ich wierni przeciwnie, i w rym właśnie problem. To dlatego twój ojciec, a teraz i ja, co roku widzimy w ławach kościelnych coraz więcej wolnych miejsc. Za dziesięć lat może dojść o tego, że będę głosił kazania w opustoszałym kościele.

— I nic nie możesz na to poradzić, Tom?

— W obowiązującym systemie chyba nie. Poza nim... być może, aleja chyba za bardzo przywykłem do starych metod i jestem zbyt bojaźliwy, żeby zostać radykałem. Dla mnie i dla wielu innych, którzy uważają, że religia stała się zatechła i skostniała, jest tylko jedno wyjście i wciąż o nim myślę. Zastanawiam się nad odejściem z Kościoła, Steve. Czuję czasami, że gdybym porzucił ambonę i zajął się świeckim nauczaniem albo pracą społeczną, przyniosłoby to więcej dobrego. Czuję, że potrafiłbym się zmierzyć z

ludzkimi potrzebami, takimi jakie są, i może nawet wymyślić kilka rozwiązań na teraz. Nie wiem. Zwyczajnie nie wiem, co zrobię.

— Mam nadzieję, że nie odejdziesz, przynajmniej na razie — rzekł Randall poruszony. — Po prostu egoistycznie się boję, że to złamałoby serce mojemu ojcu.

Carey wzruszył ramionami.

— Czy można złamać serce, które być może już jest złamane, Steve? Zresztą nieważne. Nie zamierzam poważnie planować rezygnacji, dopóki się nie upewnię, że Nathan wrócił do zdrowia i sił. — Przystanęli na skrzyżowaniu. Carey mówił dalej: — Jeżeli Kościół się nie zreformuje, może go uratować już tylko jedno, Steve. Cud. Tak jak Żydzi oczekiwali przyjścia Mesjasza, który ich wybawi od ciemności Rzymian, a potem zignorowali Chrystusa, który ich nie wybawił i zwyczajnie umarł na krzyżu, niezdolny uratować nawet samego siebie, my też potrzebujemy autentycznego Mesjasza. Gdyby jakiś Chrystus, albo ten właśnie Chrystus, mógł się zjawić i ponownie rozgłosić swoje przesłanie... to przesłanie, którego nie usłyszano, kiedy je głosił pierwszy raz w Judei...

— O jakim przesłaniu mówisz, Tom?

— Miejcie wiarę. Wybaczajcie. Dwie koncepcje, nowe w pierwszym stuleciu, koncepcje, które powinny się odrodzić w czasach współczesnych. Gdyby tak Chrystus powrócił z tym przesłaniem na ziemię, sądzę, że rządy i społeczeństwa mogłyby przyjrzeć się sobie i podjąć jakieś znaczące działania wobec biedy, niewolnictwa, materializmu, niesprawiedliwości, tyranii i atomowego Armagedonu. Drugie Przyjście, czy choćby jakieś jego oznaki, mogłyby przywrócić nam nadzieję i uratować świat. Ale tak jak mówię, byłby to cud, nieprawdaż, Steve? A kto uwierzy w cuda w epoce komputerów, telewizji i rakiet kosmicznych? No, jest twój hotel. Wybacz, że się tak rozgadałem, i dzięki za wysłuchanie. Dla mnie to miało działanie terapeutyczne, a ty jesteś jednym z nielicznych agnostyków, którym mogę zaufać. Do zobaczenia wieczorem.

Carey poszedł w swoją stronę, a radość Randalla z powodu poprawy zdrowia ojca gdzieś się ulotniła. Poczul się bezradny, tym bardziej że przypomniał sobie o lunchu, który miał nadzieję zjeść z córką. Judy była kolejną z zagubionych, pozbawionych wiary istot, z nocnymi koszmarami zamiast marzeń, i żeby się uratować, potrzebowała zapewne czegoś więcej niż spotkania z ojcem. Judy także potrzebny był cud. Kto jednak potrafi czynić cuda w tej erze szybkiego życia?

Siedzieli już niemal od pół godziny w niemal pustej kafeterii pod głównym holem Oak Ritz Hotel.

Po powrocie do hotelu Randall zadzwonił do apartamentu Barbary. Odebrała Judy i powiedziała mu, że jest gotowa pójść z nim na lunch. Gdy się zjawiała w kafeterii, przeprosiła go za spóźnienie. Próbowała dowiedzieć się w recepcji o jakąś wegetariańską restaurację, w której serwowano by żywność bez chemii. Jej przyjaciele spożywali tylko taką, a także kielki pszenicy, soję, budyń marchewkowy, zioła, miód. Ostatnio też tego spróbowała i spodobało jej się. Jak było do przewidzenia, stwierdziła, w Oak City nie ma takiej restauracji, ale kilka niezdrowych posiłków może tak bardzo jej nie zaszkodzi.

Randall zdążył już spałaszować sandwicza z gorącym befsztykiem i patrzył, jak Judy przeżuwa resztę kanapki z pastą jajeczną, popijając lemoniadą. Dla niego była skończoną pięknością. Cera bez skazy, promienne oczy, mały, lekko zadarty nos i pełne wargi czyniły z niej istotę o absolutnie dziewczęcym wyglądzie, nietkniętą przez życie. Z twarzą nastolatki kontrastowała jednak dojrzała, kształtna figura w obcisłej białej bluzeczce i dżinsach.

Trudno było uwierzyć, że to młode stworzenie, dziewczynka zaledwie piętnastoletnia, czyste dziecko natury, które nie chciało zanieczyszczać swego ciała jedzeniem zatrutym konserwantami, emulgatorami i pestycydami, szpikowało się dożylnie ciężkim, niebezpiecznym narkotykiem. Postanowił z nią o tym porozmawiać.

W ciągu tej pół godziny od początku ich spotkania, kiedy to krótko odwzajemniła jego uścisk, ale nie pocałunek, Judy była dziwnie rozproszona, nerwowa i nieobecna. Ich rozmowa toczyła się opornie. Ona rozwodziła się najpierw nad oczyszczającymi efektami zdrowego jedzenia, potem przeskoczyła nagle do odkrytych niedawno przez siebie tekstów Allana Wattsa, a w końcu (jako przytyk w jego stronę, był tego pewien), wspomniała, jakim to świetnym facetem jest nauczyciel francuskiego w nowej szkole.

W pewnym momencie, gdy wyczerpała już zasoby swej mało komunikatywnej paplaniny, spytała go o pracę. Wiedział, że tak naprawdę niewiele ją to interesuje, skupił się więc na opowiadaniu o popularnym zespole rockowym, The Spare Tyres, reklamowanym ostatnio przez agencję. O mały włos nie opowiedział jej także o spotkaniu z Jimem McLoughlinem i działalności Raker Institute. Czuł, że to by ją zaciekawiło i zyskało uznanie w jej oczach, a jednak natychmiast wycofał się z tego pomysłu. Przypomniawszy sobie bowiem ze ściśniętym sercem, że zamierza odrzucić zlecenie McLoughlina, a tego żadną miarą nie potrafiłby córce wyjaśnić.

Judy odsunęła talerz i ocierała usta papierową serwetką. .

— To co, teraz deser? — zapytał z udawanym entuzjazmem.

— Fajnie by było — odrzekła — ale potem nie mogłabym się wcisnąć w nowe dżinsy. No, może trochę mleczka czekoladowego, jeśli ty też się napijesz.

Próbował sobie przypomnieć, czy właśnie mleczko czekoladowe pijali do niedzielnego śniadania, gdy miała dziewięć czy dziesięć lat. Ale nie pamiętał.

— Właśnie o tym myślałem — odparł i wyjrzał zza przepierzenia ich łoży, żeby złożyć zamówienie.

Kiedy odwrócił się znów do Judy, poczuł, że teraz jego kolej. Spotkał się z córką nie tylko po to, żeby ją zobaczyć, lecz chciał też wysondować, co myśli o planowanym przez Barbarę rozwodzie i ponownym zamążpójściu. Trudno mu było poruszyć ten temat, wiele ryzykował, lecz kolejna okazja mogła się już nie nadarzyć. Musiał to wiedzieć. No i ta niebywała historia z narkotykami, o to też musiał ją zapytać.

Dopiero co przekonywał Toma Careya, że coraz bardziej zależy mu na prawdzie. Więc niech się ta prawda ujawni.

— Judy, nie rozmawialiśmy jeszcze o twojej nowej szkole i... Bawiła się paskiem torebki z surowego płótna, lecz rzuciła mu czujne spojrzenie.

— ...chciałbym się dowiedzieć, jak to było — dokończył. — Podobno cię wyrzucili za narkotyki.

— Wiedziałaś, że mama ci powie. Gdyby w pobliżu była Ściana Płaczu, jej też by wszystko wygadała.

— Nie chcesz o tym rozmawiać?

— A co mam powiedzieć? Złapali mnie i tyle. Rzadko kiedy kogoś łapia. Te tępe świny z dyrekcji bały się, że mogę sprowadzić innych na złą drogę, dobre sobie! Przecież w tej szkole dziewięciu uczniów na dziesięciu jest stale naćpanych. No i wywalili mnie, chociaż byłam najlepszą uczennicą w klasie.

Randall starał się nie przemawiać tonem surowego ojca i zawiedzionego rodzica.

— Ale dlaczego takie mocne prochy, Judy? Co ci właściwie z tego przyszło?

— Dla mnie to nie było nic takiego, po prostu... eksperyment, nic poza tym. Coś mojego własnego, i tyle. Chciałam poszerzyć swoją percepcję, rozumiesz, rozjaśnić sobie w głowie. Niektórzy tego nie wytrzymują, ale ja czułam, że sobie poradzę. Rzuciłam to bez wielkiego problemu.

Randall zawahał się przed wkroczeniem na bardziej grząski teren. Postanowił jednak brnąć dalej.

— A doktor Burke, do którego chodzisz? Jak to z nim jest? Niemal zobaczył, jak Judy przybiera postawę obronną.

— Nie wiem, co ci powiedzieć — odparła lekkim tonem. — To psychiatra, czy trzeba coś dodawać?

— Chciałbym wiedzieć, czy robisz jakieś postępy.

— Masz na myśli moje jazdy? Mama powiedziała, że wyhamował mnie do czterdziestu na godzinę. — Ich oczy się spotkały i Judy porzuciła nonszalancki ton. — Jestem czysta, jeżeli o to ci chodzi — dodała.

— Bardzo mnie to cieszy — odrzekł Randall.

Kelnerka przyniosła im zamówione mleczko. Judy upiła łyk i oznajmiła wesoło, że jest pyszne. On jednak drażył temat dalej.

— Jaki jest ten doktor Burke? — zapytał od niechcienia. — Polubiłaś go?

— Arthur? — Jej oczy pojaśniały. — Och, jest odłotowy. Sama jego broda jest zabójcza. W ogóle nie rozumiem połowy z tego, co mówi, ale bardzo się stara. Pocziwy z niego chłopina.

Zraniło go to, poczuł się zdradzony.

— Wiesz o tym, że mama chce wyjść za niego za męża? — dopytywał.

— Dobrze by było — odpowiedziała Judy. — I tak chyba ciągle się bzykają. — Podniosła wzrok znad swego mleczka i ujrawszy jego minę, natychmiast się zreflektowała. — Ojej, nie chciałam... przepraszam, jeśli sprawiłam ci...

— Nic nie szkodzi — uciał. — Po prostu pierwszy raz usłyszałem takie słowa w twoich ustach.

— No dobrze, przecież przeprosiłam. Wiem, że oni... chcą się pobrać.

Przyszła pora na najważniejsze pytanie.

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co ty o tym myślisz, Judy. Co byś czuła, gdyby ten doktor Burke został mężem mamy?

— Może przynajmniej przestałaby się wreszcie mnie czepiać.

— I tylko tyle czujesz, córeczko? Zrobiła zdziwioną minę.

— A co jeszcze mam ci powiedzieć? Dalsze indagowanie jej nie miało sensu.

— Co byś powiedziała, gdybym się nie zgodził na rozwód i na to małżeństwo? — zapytał, nic już nie ryzykując.

— To... trudne pytanie — stwierdziła Judy, z marszem na gładkim czole. — No bo właściwie jakiej odpowiedzi się spodziewasz? Niby dlaczego miałbyś się sprzeciwić? Jesteście z mamą w separacji od stu tysięcy lat. Nie przypuszczałam, że ci jeszcze na niej zależy.

— Nawet jeżeli nie zależy mi na mamie, Judy, to zależy mi na pewno na tobie. W tym wszystkim ty jesteś dla mnie najważniejsza.

— No... — Nie potrafiła znaleźć słów, zarazem zmieszana i ucieszona. — To bardzo dobrze.

— Mówisz tak, jakbyś nie wiedziała, jaka jesteś dla mnie ważna — powiedział Randall.

— No nie, wiem przecież, tylko... no wiesz... tak rzadko cię widuję, no i... ty jesteś tak daleko, a ja mam tylu nowych znajomych...

— Rozumiem, Judy — odparł, kiwając głową. — Chcę tylko, żebyś wiedziała, co czuję. Wszystko, co się dzieje między mamą a mną, to nasz problem, nie twój, i to my go musimy rozwiązać. Mnie chodzi tylko o jedno, żebyś ty była szczęśliwa.

— Będę, tato — zapewniła pospiesznie, chwytając torebkę. — Muszę już iść. Dzięki za lunch i...

— Co cię tak goni? Przesunęła się na skraj ławeczki.

— Muszę się spakować. Skoro dziadkowi już się trochę poprawiło, mama chce wracać do San Francisco. Za kilka godzin mamy samolot z Chicago. Mama nie chce, żebym opuszczała sesje z Arthurem... z tym psychiatrą.

— Pewnie ma rację.

— No to do widzenia — powiedziała zmieszana. — Jeszcze raz dzięki za lunch i... cieszę się, że dziadek wraca do zdrowia.

Randall patrzył na nią w milczeniu. Nieobecny gestem sięgnął po rachunek i odpowiedział:

— Tak, do widzenia, Judy.

Nie mieli już nic do dodania. Judy ruszyła do wyjścia z kafeterii, a Randall machinalnie przeliczał drobniaki. Nagle dostrzegł kątem oka, że dziewczynka zwalnia, obraca się na pięcie i wraca.

Nachyliła się nad stolikiem, a on zdziwiony spojrział na nią z dołu.

— Choćby nie wiem co się działo, tato — powiedziała łamiącym się głosem — zawsze będziesz moim ojcem. — Pochyliła się niżej, muskając go włosami, i pocałowała w policzek.

Uniósł dłoń ku jej twarzy, czując dławienie w gardle.

— Choćby nie wiem co, kochanie — wyszeptał — zawsze będziesz moją córeczką. Kocham cię.

Wyprostowała się, w jej oczach zalśniły łzy.

— Ja też cię kocham, tato. I zawsze będę.

Cofnęła się i pobiegła do wyjścia. Po chwili zniknęła mu z oczu.

Siedział sani przy stoliku jeszcze przez dobre pięć minut. W końcu zapalił fajkę, wyszedł z kafeterii i wrócił na górę, do holu. Nie wiedział, czy chce pójść do swego pokoju, czy raczej jeszcze pospacerować. Nagle usłyszał, że ktoś go woła. Spojrzał w stronę recepcji.

— Panie Randall! — Recepcjonista trzymał w ręce słuchawkę telefoniczną. — Właśnie miałem dzwonić na pański pager. Telefonuje Wanda Smith z pańskiego biura w Nowym Jorku. Mówi, że koniecznie musi z panem rozmawiać. Może pan odebrać w budce na końcu holu, jeśli pan woli.

— O co chodzi, Wando? — zapytał Randall. — Podobno to coś pilnego.

— To prawda. Były pilne telefony, ale najpierw wszyscy w firmie chcą wiedzieć, co z pańskim ojcem i jak pan się miewa.

Randall uwielbiał tę hożą czarnoskórą dziewczynę, lojalną sekretarkę i powiernicę od prawie trzech lat. Kiedy ją zatrudnił, brała lekcje dykcji, zamierzając zostać aktorką. Zaczęła właśnie pozbywać się południowego akcentu na rzecz wymowy teatralnej, lecz praca w Randall Associates tak jej się spodobała, że wkrótce porzuciła myśl o teatrze. I nigdy nie straciła do końca uroczej, śpiewnej wymowy południowca. Ani też nie zrezygnowała z niezależności, przez co czasami bywała nieznośna tak jak teraz. Zanim przeszła do spraw służbowych, musiała koniecznie zapytać o ojca, a także o niego. Randall zresztą nie chciał, żeby była inna.

Zrelacjonował jej swoje wizyty w szpitalu, tę wieczorną i tę dzisiejszą. Po kilku minutach, wciąż tkwiąc w dusznej budce, zakończył swą opowieść stwierdzeniem:

— Tak to mniej więcej wygląda, Wando. Jeżeli nie wyskoczy coś niespodziewanego, tata wyjdzie z tego. A do jakiego stopnia wydobrzeje, to się dopiero okaże.

— Bardzo się cieszę razem z panem, szefie. Czy mam przekazać wieści komuś jeszcze?

— Dobrze by było. Nie zdążyłem do nikogo zadzwonić. Skontaktuj się z Darlene i opowiedz jej wszystko. Poza tym... — Namyslał się chwilę. Był jeszcze Joe Hawkins, jego asystent, i Thad Crawford, firmowy prawnik. Na pewno chcieliby wiedzieć. — Poinformuj też Joego i Thada — powiedział. — Aha! Przekaż Thadowi, że jestem zdecydowany przyklepać układ z Towerem i Cosmos Enterprise, jak tylko wrócę. Powinienem być za dwa, trzy dni. Dam mu jeszcze znać.

— Zrobi się, szefie. Ale miałam nadzieję, że ściągnę pana do Nowego Jorku już jutro. Dlatego właśnie dzwonię.

Nareszcie, pomyślał. Wanda była gotowa.

— Jutro? — powtórzył. — No dobra, kochanie, strzelaj.

— Są dwie pilne wiadomości, szefie. W każdym razie ci, co dzwoniли, uważali, że są bardzo pilne. Nie obciążałabym pana tymi sprawami, gdyby pański ojciec był w dalszym ciągu w krytycznym stanie. Ale skoro pan mówi, że mu się poprawiło, to chyba mogę.

— Słucham, Wando.

— Najpierw dzwonił George L. Wheeler... pamięta go pan? Ten wydawca książek religijnych, o którym mówiłam panu wczoraj. Powiedziałam mu, że jeszcze mi się nie udało z panem skontaktować, ale on się uparł, żebym zrobiła to natychmiast. Znalazł pan chwilę, żeby pomyśleć nad tym jego zleceniem?

— Szczerze mówiąc, nie.

— No to niech pan próbuje znaleźć, chyba warto się nad tym zastanowić — stwierdziła Wanda. — Ma znakomite referencje, sprawdziłam już to i owo w Who is Who in America i „Publisher's Weekly”. Jego Mission House jest na pierwszym miejscu wśród wydawców Biblii, zdecydowanie wyprzedza Zondervana, World, Harper and Row, Oksford, Cambridge i całą resztę. Wheeler był sponsorem objazdu tego odnowiciela, pastora Zachery'ego, po Australii, a ostatnio wręczali mu jakąś nagrodę w Białym Domu. Jest żonaty od trzydziestu lat z kobietą z filadelfijskiej elity, ma dwóch synów i pięćdziesiąt siedem lat, jak podaje Who is Who. Przed dwudziestu laty przejął Mission House od ojca. Centralę mają w Nowym Jorku, a filie w Nashville, Chicago, Dallas i Seattle.

— Dobrze, Wando, wystarczy tego. Zadzwonił po raz drugi i co? Czy powiedział ci tym razem, o co mu dokładnie chodzi?

— Chce się z panem spotkać jutro, najwcześniej jak się da. Naciskał tak, że w końcu musiałam mu wyjawzić, dokąd pan pojechał i dlaczego. Wyraził współczucie, ale wciąż powtarzał, że koniecznie musicie się rano spotkać. Błagał mnie, żebym pana namierzyła i zapytała, czy nie mógłby pan przylecieć specjalnie na to spotkanie. Przysięgał, że do południa sprawa będzie załatwiona i będzie pan mógł wrócić do ojca. Zrobiłam tak, jak mi pan wczoraj kazał... powiedziałam, że spróbuję pana znaleźć, ale nie gwarantuję, że mi się uda.

— A to spotkanie? Czy Wheeler w końcu powiedział, czego by miało dotyczyć?

— Mówił trochę o tym, że chce pana namówić do promowania nowej wersji Biblii.

— Tylko tyle? I to ma być takie ważne? — skwitował cierpko Randall. — Jeszcze jedna Biblia. Komu to potrzebne?

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili Wanda odezwała się pierwsza.

— Pomyślałam sobie, szefie — rzekła, przeciągając sylaby — że może panu? Właśnie patrzę w moje notatki, tym razem Wheeler podał więcej szczegółów. Chce, żebyśmy go reprezentowali przez cały rok. Powiedział, że zapłaci naprawdę dużo, więcej niż kiedykolwiek pan otrzymał za zlecenie, i że bardzo na tym zyska również pański prestiż. Tyle że będzie to wymagało między innymi wyjazdu do Europy na miesiąc czy dwa, na jego koszt. Twierdził, że będzie to dla pana fascynująca podróż. Sęk w tym, że wyjazd musiałby nastąpić prawie natychmiast.

— Po co amerykańskiemu wydawcy Biblii człowiek od reklamy w Europie?

— Mnie też to zdziwiło. Próbowałam go wypytać, ale bez skutku, nawet mi nie chciał powiedzieć, o jaki kraj w Europie chodzi. Ale rozmawiałam z Joem Hawkinsem i on się ze mną zgodził, że po wszystkich ostatnich przejściach przydałaby się panu jakaś odmiana.

— Też mi odmiana, zachwalanie Biblii — fuknął Randall. — Ja się wychowałem na Biblii, kochanie, i od wczoraj znów mam jej aż po dziurki w nosie. To dla mnie żadna atrakcja wracać do punktu wyjścia.

Wanda nie ustępowała.

— My wszyscy tutaj mamy przecucie, że to będzie coś całkiem nowego, szefie. Wheeler przypomniał mi, że bym na pewno przekazała panu coś, co jest kluczem do tego projektu.

— I co to za klucz?

— Ewangelia świętego Mateusza, rozdział dwudziesty ósmy, wiersz siódmy. Pewnie pan zapomniał w tym całym młynie. Mówiłam już o tym wczoraj, ten ustęp brzmi tak: „A idźcie szybko i powiedzcie Jego uczniom: Powstał z martwych i oto udaje się przed wami do Galilei. Tam Go ujrzycie”. Wheeler przypomniał mi też, że bym panu powiedziała, że będziemy uczestniczyć w projekcie, który nosi nazwę Drugie Zmartwychwstanie.

Randall uzmysłowił sobie, że Wheeler faktycznie wspominał coś tajemniczo o tym, że chce go zatrudnić przy reklamie Drugiego Zmartwychwstania. Wciąż jednak nie rozumiał, o co mogło chodzić. Co, u diabła, wydawca chciał przez to powiedzieć?

Randall poświęcił sporą część życia na pozbycie się skutków Pierwszego Zmartwychwstania. Po co mu jeszcze drugie, cokolwiek ono oznaczało?

A przecież był jeszcze ojciec, którego widział rano, na wpół świadomego, z iskrą politowania w oczach. Z pewnością ucieszyłaby go wiadomość, że jego syn angażuje się w sprawę Dobrej Księgi i zbożnego dzieła. Dodałaby mu mnóstwo siły. I było coś jeszcze. Taki religijny projekt mógłby się stać ratunkiem dla niespokojnego sumienia, wciąż zawstydzonego tym, że odrzucił inne zbożne dzieło — zlecenie Raker Institute — w zamian za egoistyczne korzyści oferowane przez Cosmos Enterprises.

Wahał się, lecz bardzo krótko. Nie miał teraz serca do zajmowania się tą bzdurą. Wobec problemów, które go osaczały, nie potrafiłby się w pełni zaangażować w zachwalanie świata czegoś tak dzisiaj mało ważnego jak Biblia, nawet w nowej wersji.

— Przykro mi, Wando — usłyszał sam siebie — ale nie znajduję ani jednego rzeczowego argumentu za spotkaniem się z Wheelerem jutro rano. Zadzwoń do niego i powiedz...

— Podam panu rzeczowy powód, szefie — przerwała mu. — Naprawdę bardzo rzeczowy. To właśnie druga wiadomość, którą mam dla pana. Zaraz po telefonie od Wheelera zadzwonił Ogden Towery Trzeci z Cosmos Enterprises.

— Tak?

— Pan Towery prosił o powadomienie pana, że George L.

Wheeler jest jego bliskim przyjacielem i że to on, Towery właśnie, polecił mu naszą firmą. Pan Towery prosił także o przekazanie panu jak najszybciej, że chciałby, aby przyjął pan takie zlecenie jak nowa Biblia Mission House, jako rodzaj przysługi dla niego. Mówił to bardzo poważnie, tak jakby miało to wielkie znaczenie. — Wanda zawiesiła głos. — Czy to jest dobry rzeczowy argument za spotkaniem z Wheelerem, szefie?

— Jedyne, który w ogóle ma sens — odparł powoli Randall. — No dobrze, chyba nie mam wyboru. Zadzwoń do Wheelera i powiedz, że zjawię się w jego biurze jutro o jedenastej.

Odkładając słuchawkę, nienawidził sam siebie. Już po raz drugi w ciągu dwóch dni pozwolił, by Towery wywarł na niego presję. To się nie mogło powtórzyć. Po rozmowie z Wheelerem i po zamknięciu transakcji z Towerem już nikt nigdy nie będzie mu włożył na głowę. Może warto było doznać tych drobnych upokorzeń, zapłacić niewielki okup szantażystom, żeby w przyszłości odzyskać wolność.

Wyszedł z budki, namyślając się, co teraz zrobić. Barbara i Judy wyjeżdżały. Musiał więc powiadomić swojego adwokata, żeby nie zgadzał się na propozycję rozwodu. Żaden Burke nie będzie drugim ojcem jego córki. Co do reszty dnia to na pewno chciał zjeść obiad z matką, Clare i wujem

Hermanem. Później znów pójda odwiedzić ojca w szpitalu i wypytać po raz kolejny doktora Oppenheimera. I jeśli rokowanie będzie dobre, a czuł, że takie będzie, polecą ostatnim nocnym samolotem do Nowego Jorku na spotkanie z — jak to Wheeler nazwał? — aha, z Drugim Zmartwychwstaniem.

Zastanawiał się nad tym jakoby tajnym projektem, który mieli mu ujawnić w Mission House. Wydobył z pamięci wskazówkę Wheelera: „A idźcie szybko i powiedzcie Jego uczniom, że powstał z martwych”. Co to, u diabła, mogło oznaczać? Zresztą wszystko jedno. Prezes Cosmos Enterprises powiedział, że to ważne, więc jest ważne. Poza tym sprawa zaczęła budzić ciekawość Randalla. Interesowało go teraz wszystko, dosłownie wszystko, co mogło mu dać nadzieję na zmartwychwstanie.

Steve Randall siedział przy wielkim zabytkowym dębowym stole, zajmującym środek salki konferencyjnej na trzecim piętrze Mission House. Odkrył właśnie, że nie potrafi się już dłużej skoncentrować na przedmiocie rozmowy.

Słuchał stłumionego szumu opon samochodów jadących Park

Avenue, za wielkim panoramicznym oknem. Jego wzrok spoczął na starym zegarze w stylu kolonialnym, stojącym pod ścianą. Była za piętnaście dwunasta, co oznaczało, że rozmawiali — czy też raczej on słuchał — od ponad pół godziny. I przez cały ten czas nie usłyszał niczego ekscytującego.

Udając, że uważnie słucha, rozglądał się ukradkiem po pokoju konferencyjnym. Wnętrze kojarzyło się bardziej z salonem w apartamencie niż z centrum biurowego kompleksu. Ściany wyłożono ze smakiem boazerią, dywan miał kolor ciemnego kakao, a pod jedną ze ścian stały regały wypełnione różnymi wydaniem Biblii w drogich oprawach i innymi religijnymi dziełami, w większości opublikowanymi przez Mission House. W szklanej gablocie w rogu wyeksponowano całą kolekcję krucyfików, medalionów i innych dewocjonaliów. Obok stał stolik z dzbankiem kawy na podgrzewaczu.

Randall przyszedł na to spotkanie sam. George L. Wheeler, jego gospodarz i prezes Mission House, zjawił się w asyście pięciu swoich pracowników. Naprzeciwko Randalla siedziała starsza pani, jedna z sekretarek Wheelera, która emanowała taką dobrocią i której zachowanie tak mocno kojarzyło się z Armią Zbawienia, że człowiek natychmiast czuł się grzeszny i nic niewart. Skrzętnie stenografowała wszystko w notatniku, z rzadka podnosząc głowę.

Obok niej siedziała dużo młodsza, bardziej interesująca kobieta. Randall zapamiętał nawet jej nazwisko. Była to panna Naomi Dunn, dyrektorka administracyjna w firmie Wheelera. Miała nieco ziemistą cerę, szare oczy,

wąski nos i zaciśnięte usta. Sprawiała wrażenie zawziętej, fanatycznej osoby, czującej niechęć do każdego, kto nie jest księdzem lub misjonarzem albo nie robi czegoś pobożnego i pożytecznego. Przy panie Dunn można się było poczuć pustym i powierzchownym tylko dlatego, że jest się zwyczajnym świeckim człowiekiem. Na nosie miała okulary w rogowej oprawie, chłoneła każde słowo Wheelera, jakby przemawiał z góry Synaj, i ani razu nie spojrzała Randallowi prosto w oczy.

Trzej pozostali pracownicy Mission House to młodzi mężczyźni, redaktor, grafik i szef działu sprzedaży książek. Trudno ich było odróżnić. Każdy konserwatywnie ostrzyżony i gładko wygolony, o poważnej, bezbarwnej twarzy, z przyklepionym do ust seraficznym uśmiechem. W trakcie całego przydługiego wywodu Wheelera żaden nie odezwał się słowem.

Nieopodal Randalla usadowił się, nie przestając poruszać ustami, wysoki i zwalisty George L. Wheeler, najbliższy przyjaciel Towery'ego, gigant wydawniczy amerykańskiej Biblii. Randall przyjrzał mu się teraz uważniej.

Wheeler był mężczyzną imponującej postury, stukilowym, o rzednących włosach z pasmami siwizny. Miał rumianą, okrągłą twarz, którą zdobiły dwa kółka złotych oprawek okularów. Mówiąc, często pociągał kartoflowatym nosem, miał też zwyczaj mimowolnego drapania się po głowie, za uchem, z boku nosa albo pod pachą. Było to równie odruchowe jak nawyk Randalla, który odrzucał przydługie włosy z oczu, nawet gdy ich tam nie było.

Wydawca ubrany był w drogi garnitur i tylko krawat zdradzał organizatora i handlowca. Satynowy krawat o metalicznym połysku, taki, jakie nosili często domokrażcy wpychający się nachalnie ludziom do mieszkania.

Randall przestał słuchać Wheelera nie tylko dlatego, że słowa wydawcy nie poruszały w nim żadnej czulej struny, lecz także dlatego, że jego sposób mówienia i monotony głos szybko nużyły słuchacza. Mówił jak człowiek nienawykły do prowadzenia rozmowy, lecz raczej do wygłaszania monologów. Męczący głos kojarzył się... właściwie to kojarzył się Randallowi z porykiwaniem wielbłąda.

Przy stole nastąpiło jakieś poruszenie i Randall zdał sobie sprawę, że to Wheeler dał znak Naomi Dunn, która natychmiast wstała i poszła po dzbanek z kawą. Randall przyjrzał się jej, rad z jakiejś odmiany. Nie widział przedtem nóg panny Dunn, a były zgrabne. Szła prowokującym drobnym kroczeniem, z zaciśniętymi pośladkami. Kiedy podeszła do niego z kawą, spostrzegł, że ma małe, podobne do dojrzałych jabłek piersi, bezpiecznie skryte w biustonoszu pod bawełnianą bluzką.

— Czy dolać panu kawy, panie Randall? — zapytała.

— Troszeczkę — odparł.

Obsłużyła go, a potem Wheelera i resztę. Randall zastanawiał się, jaka by była w łóżku. Takie sztywne panie po trzydziestce bywały czasem najdziksze i najlepsze. Ale chyba nie ona. Zbyt surowa i skupiona na swojej pracy. Nie mógł wyobrazić sobie panny Dunn bez ubrania, tak jak nie potrafił wyobrazić sobie Darlene w ubraniu.

Przyleciał do Nowego Jorku o pierwszej w nocy. Jego rolls-royce z kierowcą już czekał. Jadąc do miasta, miał nadzieję, że Darlene już mocno śpi. Był kompletnie wyczerpany napięciem ostatnich dwóch dni, kryzysem w szpitalu, kontaktem z żoną i córką, rodziną i przyjaciółmi ojca i pragnął tylko zamknąć oczy i zapaść w sen. Gdy jednak znalazł się w mieszkaniu, okazało się, że Darlene czekała na niego całkowicie rozbudzona, wypachniona i naga pod kołdrą. Nie pospał więc za wiele, lecz zamiast tego miał dwie godziny wypełnione nieustannym ćwierkaniem, jak za nim tęskniła, grą jej rąk i długich młodych nóg owiniętych wokół jego ciała, a potem podnieceniem, wejściem w nią, akrobacjami gejszy i w końcu dojściem do końca, po którym został bez soków, pusty i niemal śmiertelnie wyczerpany.

Tego ranka, odświeżywszy się nieco, gnany nerwową ciekawością co do zlecenia Wheelera i jego tajemniczej obietnicy, przybył do Mission House ożywiony i czujny. To, co się od tej pory wydarzyło, otepiło jego zmysły i zaczynał czuć już w kościach zmęczenie. Nie usłyszał niczego poza drętym omówieniem rutynowego nowego projektu ze specjalistycznej dziedziny publikacji książek.

Pięciu wydawców — Wheeler w Stanach oraz czołowi wydawcy Biblii w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech i Włoszech — miało połączyć siły w celu opublikowania zupełnie nowej, międzynarodowej Biblii, a właściwie nie całej Biblii, lecz tylko Nowego Testamentu. Ów Nowy Testament miał być ponownie przetłumaczony, a także zawierać nigdy dotąd niepublikowane informacje pochodzące z odkryć archeologicznych. Miała to być ostateczna wersja Nowego Testamentu, najdoskonalsza w historii chrześcijaństwa, i jej wydanie miało sprawić, że nieaktualna stanie się nie tylko Biblia króla Jakuba, lecz odejdą w cień i zdezaktualizują się także New English Bible, Revised Standard Version, Biblia jerozolimska i wszystkie pozostałe istniejące wersje.

To najnowsze opracowanie Pisma Świętego — Randall z pewnym wysiłkiem przypomniał sobie, jak nazwał je Wheeler — Międzynarodowy Nowy Testament przygotowywany był w tajemnicy od sześciu lat. Sama tylko edycja amerykańska miała kosztować dwa i pół miliona dolarów. Zawierał się

w tym koszt tłumaczenia, składu, trzech kompletów blach, korekty, specjalnego cienkiego papieru biblijnego, kilku różnych opraw, od płótna do marokinu, a wkrótce miała do tego dojść reklama i promocja. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim wydawnictwo Thomas Nelson & Sons opublikowało Revised Standard Version, na samą reklamę wydano pół miliona. Wheeler zamierzał wydać na Międzynarodowy Nowy Testament dwa razy tyle.

Pierwsze egzemplarze, przeznaczone dla recenzentów książek religijnych, teologów, publicystów i głów państw (z prezydentem Stanów Zjednoczonych na czele), drukowały się już w Moguncji w Niemczech. Po sześciu latach wyteżonej pracy w absolutnej tajemnicy nadszedł czas na wykonanie ostatniego kroku — zmontowanie gigantycznej kampanii promocyjnej, opartej bardziej na konkretach i faktach niż na hałaśliwej reklamie, mającej przynieść Międzynarodowemu Nowemu Testamentowi światowy sukces. Ponieważ książka miała się ukazać na przełomie lipca i sierpnia, zostały im zaledwie dwa miesiące na rozkręcenie kampanii reklamowej. Każdy z wydawców z pięciu krajów zapewnił swój specjalistyczny wkład i wszyscy zgodzili się, że Amerykanie, jako najbardziej doświadczeni w branży reklamowej, wyznaczają eksperta, który pokieruje całą akcją.

— Jak pan pamięta — mówił George L. Wheeler, a Randall usiłował słuchać go znowu z uwagą — przed tym spotkaniem wymieniłem sumę pańskiego wynagrodzenia, największego w historii branży wydawniczej, a pan przyznał, że jest ono zadowalające. W zamian za to, jak powiedziałem, chciałbym mieć pana przez dwa miesiące w naszej kwaterze głównej w Europie. Będzie pan pracował ze starannie dobranym personelem nad stworzeniem formuły promocji książki, formuły, którą będziemy mogli, po pewnych modyfikacjach, wykorzystać w każdym z pięciu krajów. Następnie wróci pan do Ameryki i poprzez swoją agencję skoncentruje się wyłącznie na wydaniu amerykańskim. W tym czasie wydawcy z Europy, już z udziałem własnych firm reklamowych, będą pracować według przedstawionego przez pana planu głównego. Czas, jak wspomniałem, jest zasadniczym czynnikiem. Musi pan jak najszybciej poukładać swoje sprawy tu na miejscu i wyruszyć ze mną do Europy. Za tydzień, w piątek siódmego czerwca, z Nowego Jorku odpływa do Southampton statek S/s France. Podróżując statkiem, będziemy mieli pięć dni na wprowadzenie pana we wszystkie szczegóły przyszłej pracy. Tak to wygląda, panie Randall. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Randall wyprostował się, przez chwilę manipulował przy fajce, po czym spojrzął wydawcy w oczy.

— Mam jedno — odparł. — Tylko jedno kluczowe pytanie, panie Wheeler.
— Proszę bardzo.

Randall czuł na sobie wzrok wszystkich obecnych, lecz postanowił powiedzieć swoje i zakończyć sprawę.

— Wydaje mi się, że różnych wersji Biblii mamy już dość. Więc po co w ogóle publikować jeszcze jedną?

Wheeler prychnął, podrapał się po skroni i powiedział:

— Sądziłem, że wyłożyłem to panu wystarczająco jasno. A więc powtórzę. Biblia jest objawieniem bożym. Nie można jednak dopuścić, by stała się jakimś zabytkowym starociem. W każdym kolejnym pokoleniu powinna żyć od nowa. Nowe przekłady są konieczne, ponieważ współczesne języki ciągle się zmieniają, stare słowa zyskują nowe znaczenia, a nowe wchodzą do powszechnego użytku. Ponadto archeolodzy wciąż dokonują niezwykłych odkryć starożytnych papirusów, pergaminów, naczyń i inskrypcji rytych w kamieniu, rzucających nowe światło na istniejące greckie Pismo Święte i jego rozumienie, rzucających nowe światło na początki chrześcijaństwa. Te wszystkie odkrycia i wiedza naukowa wciąż przybliżają nam ewangelie w takim kształcie, w jakim je napisano w pierwszym wieku, dlatego też musimy je tłumaczyć i aktualizować ciągle na nowo, przez co kolejne wersje Nowego Testamentu zyskują na dokładności. Poza tym wielu ludzi ma po kilka egzemplarzy Biblii albo kupują nowe komuś w prezencie. To motywuje nas do przygotowywania kolejnych edycji, z coraz lepszą typo-grafią, w poręczniejszych formatach, z poprawionymi komentarzami lub w zmienionej oprawie.

— Jednym słowem chodzi o zwiększenie sprzedaży — skwitował Randall.

— A czemu nie? — odparł Wheeler. — Musi pan zrozumieć, że wierząc w Pismo Święte, działamy jednocześnie na polu wydawniczym i handlowym, wśród ogromnej konkurencji. Oczywiście, że nowe wersje publikuje się także w celu zwiększenia sprzedaży, żeby utrzymać się na rynku.

— To dość uczciwe postawienie sprawy — rzekł Randall. — A jednak pańska odpowiedź nie rozwiała moich wątpliwości. Może to moja wina, może nie wyraziłem się dość jasno. Pozwolę sobie zapytać wprost. Dlaczego właściwie chce pan wydać tak wielkie pieniądze na publikację Międzynarodowego Nowego Testamentu? Jaka jest główna przyczyna tej kosztownej inwestycji? Czy motywacją jest tylko chęć przedstawienia lepszego przekładu, czy może potrzeba odświeżenia informacji załączonej do tej edycji konkordancji albo w słowniku? A może wynalazł pan czytelniejszą czcionkę albo wymyślił estetyczniejszą oprawę? Jeżeli to jest podstawowa

motywacja do opublikowania nowej Biblii, to, szczerze mówiąc, nie wiem, co śmiałybym sprzedawać. Nie widzą tu mojej roli. I nie widzą niczego niezwykłego w tej kilkuletniej sekretnej pracy. Myślę, że nikt w ogóle nie da złamanego grosza za kolejną edycję Nowego Testamentu, szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy na świecie jest tyle zmian, tyle oznak niezadowolenia i dochodzi do niepokojów społecznych. Mówił pan, że pojawienie się nowej Biblii będzie można nazwać sensacją, a nie tylko kolejną wiadomością w gazetach. Proszę wybaczyć, panie Wheeler, ale nie usłyszałem jednego faktu, który by chociaż zatracał o sensację. Pragnę być z panem uczciwy i nie chcę, żeby pan wydawał pieniądze na marne. Na podstawie tego, co mi pan powiedział, obawiam się, że nic nie mogę zrobić dla pana i pańskiego Nowego Testamentu. Nie jestem panu potrzebny, a mnie nie jest potrzebne takie zlecenie. Zmuszony jestem odrzucić pańską propozycję.

W pokoju zaległa krepująca cisza. Randall nawet nie spojrzał na Naomi Dunn i pozostałych, żeby sprawdzić ich reakcję. Był pewien, że wszystkich przeraziła ta obraza majestatu. Ale do diabła z nimi.

George L. Wheeler siedział skonfundowany, drapiąc się machinalnie po głowie.

— Panie Randall, powiedziano mi... Ogden Towery zapewnił mnie, że pan przyjmie to zlecenie — powiedział w końcu.

— Nie miał prawa mówić czegoś takiego.

— No ale przecież on... jego Cosmos Enterprises jest teraz właścicielem pańskiej agencji.

— Jeszcze nie — rzekł Randall ostro. — Zresztą to nie ma znaczenia. Przyjmuję zlecenia ze względu na ich jakość. Być może w przeszłości nie zawsze mogłem tak robić, brałem wszystko, co przynosiło zysk. Ale już tak nie jest. Teraz akceptuję tylko te zlecenia, które są warte mojego czasu i wysiłku, mojego poświęcenia, a w pańskich słowach nie odnalazłem tego rodzaju uzasadnienia.

Zaczął odsuwać krzesło, gotów wstać i wyjść, lecz Wheeler wyciągnął rękę i plasnął dłonią o stół.

— Chwileczkę, panie Randall. Nie powiedziałem panu jeszcze... tak naprawdę nie powiedziałem panu wszystkiego.

— Dlaczegoż to?

— Ponieważ obowiązuje mnie przysięga milczenia. Ta sprawa była utrzymywana w ścisłej tajemnicy przez sześć lat, poza kręgiem osób bezpośrednio związanych z projektem. Nie mogę wyjawić panu prawdy, bo

nie wiem, czy pan przyjmie to zlecenie, nawet gdy ją pan pozna. Ale kiedy pan się zgodzi, ujawnię wszystko.

Randall pokręcił głową.

— Obawiam się, że widzę to odwrotnie. Dopóki nie poznam prawdy, nie mogę się zgodzić na przyjęcie pańskiego zlecenia.

Wheeler wpatrywał się w niego przez kilka pełnych napięcia sekund, po czym wypuścił ze świstem powietrze.

— Czy to pańskie ostatnie słowo? — zapytał.

— To warunek konieczny, panie Wheeler. Wydawca skinął powoli głową na znak ustępstwa.

— A więc dobrze. — Odwrócił się do Naomt Dunn, uniósł palec, a ona odpowiedziała na jego gest przymknięciem oczu. Następnie dotknęła ramienia starszej sekretarki, skinęła na trzech mężczyzn i cała piątka nagle wstała.

Wheeler nie patrzył, jak wychodzą, lecz zczekał, aż drzwi za nimi się zamkną, i znów zwrócił się do Randalla.

— A więc dobrze, panie Randall — powtórzył — Jesteśmy sami. Postanowiłem podjąć ryzyko. Będę z panem szczerzy.

Randall spostrzegł, że jego postawa się zmieniła i głos także. Nie był już pewnym siebie świątobliwym mężem, samozwańczym Strażnikiem Księgi nad Księgami. Stał się biznesmenem, handlowcem zachwalającym swoje wyroby. Zniknęło także jego wielbłądzie porykiwanie, głos nabrał łagodniejszych tonów, był bardziej opanowany i rześki, a słowa konkretne i rzeczowe.

— Powiedziałem panu, że nasz projekt przez sześć lat był trzymany w ścisłej tajemnicy — rzekł Wheeler. — Nie zastanawiał się pan dlaczego?

— Szczerze mówiąc, nie. Słuchając pana, uznałem, że to tylko taka zagrywka wydawcy, żeby rzecz całkowicie zwyczajną i rutynową przedstawić jako interesującą.

— Mylił się pan — odparł Wheeler spokojnie. — I to dokumentnie. Zaraz wyprowadzę pana z błędu. Trzymaliśmy to w tajemnicy, ponieważ wiedzieliśmy, że siedzimy na beczce prochu, skrywając najbardziej porażającą informację wszechczasów. Nie staram się szokować, panie Randall, nawet określam to zbyt powściągliwie.

Randall znów poczuł przypływ zainteresowania. Czekał.

— Jeżeli prawda przeciekłaby na zewnątrz — ciągnął Wheeler — mogłaby nas zrujnować, a w każdym razie poważnie zaszkodzić naszej gigantycznej inwestycji. Dziennikarze już węszą, ale nie dotarli do prawdy. Kościoły na całym świecie też już podejrzewają, że coś się szykuje, ale nie domyślają się,

co, to jest. Mamy też wrogów, którzy za wszelką cenę starają się zdobyć jakieś informacje, żeby wypaczyć i przedstawić w fałszywym świetle treść Międzynarodowego Nowego Testamentu. Przysięgliśmy więc zachować wszystko w tajemnicy i nasi współpracownicy w Europie także. Gdy teraz wyjawię panu prawdę, będzie pan pierwszą osobą spoza projektu, niezwiązaną przysięgą, która pozna najważniejsze fakty. Randall opuścił fajkę.

— Dlaczego pan to robi?

— Po pierwsze dlatego, że chcę mieć pana w zespole — odparł Wheeler. — Jest pan ostatnim ogniwem potrzebnym do zapewnienia nam sukcesu. Po drugie, po rozważeniu wszystkich za i przeciw doszedłem do wniosku, że wiem o panu dość, żeby go uznać za godnego zaufania.

— Dopiero się poznaliśmy. Cóż pan może o mnie wiedzieć?

— Wiem o panu całkiem sporo, panie Randall. Wiem, że jest pan synem duchownego ze Środkowego Zachodu, przyzwoitym człowiekiem z przyzwoitej rodziny. Wiem, że zbuntował się pan przeciwko religijnej ortodoksji i został agnostykiem. Wiem, że ma pan żonę i nastoletnią córkę, ale nie mieszkacie razem. Wiem, gdzie pan mieszka i jak pan żyje. Wiem, że miał pan wiele przyjaciółek i ma pan jedną obecnie. Wiem, że pan ostro pije, ale nie jest pan alkoholikiem. Wiem...

— Nie opisuje pan człowieka wartego ryzyka, panie Wheeler — przerwał mu Randall, krzywiąc się.

— Wręcz przeciwnie — stwierdził szybko wydawca. — Opisuję, ponieważ wiem o panu jeszcze jedną rzecz. Mimo pańskich bliskich związków z wieloma kobietami, mimo picia na imprezach, nigdy nie rozmawia pan o swoich interesach z osobami z zewnątrz i nigdy nie zdradził pan klienta. Prowadził pan największe kampanie reklamowe w tym kraju i nigdy nie ujawnił pan żadnej związanej z nimi tajemnicy. Chroni pan swoją prywatność, starannie oddzielając życie osobiste od zawodowego. Nie zdarzyło się nigdy, żeby jakiś klient żałował, że obdarzył pana zaufaniem. Dlatego również i ja postanowiłem zwrócić się do pana.

Wszystko to bardziej poirytowało Randalla, niż mu pochlebilo.

— Nie przywykłem do tego, żeby inni wściubiali nos w moje sprawy, panie Wheeler — powiedział.

Wydawca przechylił głowę w przeproszającym geście.

— W normalnych okolicznościach byłoby to niewłaściwe i nieuzasadnione — odrzekł — lecz to jest właśnie rzadki wyjątek od reguły. Zapewne rozumie pan, że jeśli wielka korporacja przymierza się do kupna innej firmy za cenę

dwóch milionów dolarów, a szczególnie kiedy przedmiotem zakupu są zdolności twórcze i menażerskie, przed dokonaniem tego musi dobrze obejrzeć towar.

— Ogden Towery — mruknął Randall.

— Jest moim najbliższym przyjacielem. Chciał mi dać pewność na wypadek, gdybym musiał posunąć się aż tak daleko. Miałem nadzieję, że na tym etapie nie będzie to konieczne, ale gdyby okazało się niezbędne, tak jak się okazało, musiałem mieć pewność. I teraz podejmuję to ryzyko, panie Randall. Nie będę wchodził w szczegóły i powiem panu tylko to, co muszę. Potrwa to nie dłużej niż pięć minut, tyle powinno wystarczyć. — Obrzucił rozmówcę badawczym spojrzeniem i zapytał: — Jaki konkretnie rodzaj kampanii mógłby pana naprawdę pociągnąć, zaciekawić i rozruszać, panie Randall?

— Nie mam pewności. Jestem już dość znużony pracą, więc... — zamilkł na chwilę, po czym rzekł po prostu: — Wciągnęłoby mnie coś, w co bym uwierzył. Coś, co chciałbym pokazać i sprzedać całemu światu, ponieważ byłby to choć raz produkt naprawdę wartościowy.

— To dobrze — odrzekł Wheeler z uśmiechem zadowolenia. — Powiedziałem już panu, że trzymamy pod korcem największą sensację wszech czasów i że nie mówię tego tylko dla efektu. Czy taka największa sensacja wszech czasów mogłaby pana poruszyć i pobudzić do działania? — Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: — Kilka lat temu przeprowadzono sondaż wśród czołowych dziennikarzy w kraju. Zapytano ich, jaką informację, w granicach naukowego prawdopodobieństwa lub poza nimi, uznałoby za największą sensację stulecia. Odpowiedzi było wiele. Niektórzy głosowali za odkryciem lekarstwa na raka. Inni za kuracją, która wydłużyłaby życie ludzkie do stu lat. Jeszcze inni za lądowaniem na Ziemi istot z kosmosu albo dotarciem człowieka do planety, na której istnieje obca cywilizacja. Część wybrała dzień, w którym powstałyby Stany Zjednoczone Świata. Ale czy wie pan, jaką informację uznała większość dziennikarzy za największą sensację naszych czasów? Drugie Przyjście.

— Drugie Przyjście? — zapytał Randall zmieszany.

— Jezusa Chrystusa — dopowiedział Wheeler. — Gdyby Jezus pojawił się na świecie jako osoba z krwi i kości, gdyby udowodnił, że zmartwychwstanie było faktem, gdyby znalazł się jutro wśród nas, to właśnie, zdaniem dziennikarzy, byłoby największą sensacją wszech czasów.

Steve Randall poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

— Co pan próbuje mi powiedzieć, panie Wheeler? — zapytał.

— Chcę panu powiedzieć, przyjacielu, że to się wydarzyło. Nie dosłownie, lecz w przenośni. Natknęliśmy się na największą sensację dziejów.

Randall nachylił się powoli ku niemu.

— Proszę mówić dalej.

— Niech pan słucha — rzekł Wheeler nagłym tonem. — Sześć lat temu najwybitniejszy włoski archeolog, profesor Augusto Monti z uniwersytetu w Rzymie, prowadził wykopaliska w Ostii, w ruinach antycznej Ostii, wielkim morskim porcie handlowym w pierwszym wieku naszej ery. Po latach poszukiwań i badań profesor Monti miał nadzieję odnaleźć coś, cokolwiek, co przybliżyłoby nam prawdę o historii Zbawiciela, tak jak została przedstawiona w Nowym Testamencie. I dzięki swej wytrwałości, geniuszowi, a może szczęściu odnalazł to, na co liczył. Odnalazł prawdę, ostateczną prawdę.

— Jaką... ostateczną prawdę? — zapytał Randall, lekko zaszokowany.

— Monti odkopał miny starożytnej rzymskiej willi, najpewniej należącej do bogatego kupca z pierwszego stulecia. Tam, w rozsypujących się murach tablinum, gabinetu, w którym pan domu trzymał zwoje i ręcznie pisane kodeksy, profesor dokonał niezwykłego odkrycia. Teolodzy i uczeni w przeszłości twierdzili zawsze, że takie odkrycie jest niemożliwością w wilgotnym klimacie Włoch i zresztą gdzie indziej także. A jednak stało się faktem i zostało zweryfikowane wszelkimi dostępnymi nam metodami naukowymi. Profesor Monti natrafił na starożytny kamienny blok, właściwie granitowy cokół posągu, który został rozpołowiony, wydrążony, a potem na powrót zlepiony i zapieczętowany smołą. Wewnątrz znajdowały się dwa dokumenty, które przetrwały ponad dziewiętnaście stuleci. Pierwszy z nich, krótszy i w gorszym stanie, składał się z pięciu fragmentów pergaminu, na jakim pisano w Rzymie w tamtych czasach. Połączone w całość, okazały się krótkim oficjalnym raportem kapitana straży podległej Poncjuszowi Piłatowi, niejakiego Petroniusza, napisanym po grecku do dowódcy pretorianów w Rzymie, Sejana*, który zarządzał imperium w imieniu cesarza Tyberiu

*** Lucius Aelius Seianus**

sza. Dłuższy dokument, nieźle zachowany, składał się z dwudziestu czterech sporych fragmentów papirusu, zapisanych pismem aramejskim. Tekst został podyktowany w Jerozolimie przez żydowskiego przywódcę późniejszego Kościoła chrześcijańskiego, niedługo przed egzekucją tegoż przywódcy w roku sześćdziesiątym drugim. Randall czuł rosnące podniecenie. Wsparł się mocno o blat stołu.

— Proszę powiedzieć... co było w tych dokumentach? Oczywiście Wheelera błyszczały.

— Największa sensacja naszych czasów, która wprawi w oszołomienie cały świat chrześcijański, spowoduje odrodzenie religii i odnowienie wiary. Odnalezione papiirusy... które są teraz w naszych rękach... to zaginiona podstawa ewangelii synoptycznych, tak zwane Źródło Q, piąta, a właściwie pierwsza, pierwotna... Ewangelia świętego Jakuba... spisana przez Jakuba Sprawiedliwego, młodszego brata Jezusa. Jest to kronika życia prawdziwego Jezusa, który chodził po świecie jako człowiek wśród ludzi, istota ludzką, a zarazem Mesjasz, w pierwszym stuleciu naszej ery. Teraz ten tekst należy do nas, mamy go w całości.

Wheeler czekał na reakcję Randalla, ten jednak nie mógł wykrztusić słowa.

— Kiedy przeczyta pan przekład tych manuskryptów, będzie pan jeszcze bardziej zdumiony — dodał z przejęciem wydawca. — Ich treść jest szokująca. Teraz wiemy już naprawdę, gdzie urodził się Jezus, gdzie dorastał i uczył się, wiemy, jak pp śmierci Józefa modlił się na jego grobie, jak zarabiał na utrzymanie, zanim został duchowym pasterzem, znamy szczegóły z tych lat, kiedy zniknął, między dwunastym a trzydziestym rokiem życia, wiemy wszystko, dosłownie wszystko. Jezus istniał naprawdę, a jeśli komuś to fantastyczne źródło, najstarsze jakie znamy, wydałoby się niewystarczające albo podejrzanе, sporządził je bowiem Żyd nawrócony na chrześcijaństwo, mamy potwierdzenie działalności i ukrzyżowania naszego Pana ze źródła niechrześcijańskiego, pogańskiego, w postaci raportu rzymskiego żołnierza z okupowanej Palestyny dla zwierzchnika w Rzymie na temat owego buntownika, nazywającego siebie Mesjaszem. W postaci Pergaminu Petroniusza. Ale nawet nie to jest w tym najlepsze, panie Randall. Najlepsze zachowałem na koniec. Ta część jest najbardziej niezwykła.

Randall siedział w oszołomieniu, nie mówiąc słowa.

— Niech pan posłucha — podjął wydawca drżącym z przejęcia głosem. — Jezus wcale nie umarł na krzyżu w Jerozolimie w roku trzydziestym naszej ery. — Przerwał dla podkreślenia wagi następnych słów. — Przeżył i żył jeszcze przez dziewiętnaście lat.

— Przeżył i żył dalej — wymamrotał jakby do siebie Randall.

— Petroniusz napisał do swego zwierzchnictwa, że Jezus został ukrzyżowany, uznany za martwego i zdjęty z krzyża w celu pochówku. Jednakże Jakub Sprawiedliwy odkrył, że jego brat nie umarł na krzyżu, że pozostał przy życiu. Czy zawdzięczał przetrwanie bożej pomocy, czy umiejętnościom medyka, tego Jakub nie wiedział. Mógł jedynie stwierdzić, że Jezus wrócił do sił i potajemnie kontynuował swą posługę w Palestynie i innych prowincjach, aż w końcu pojawił się w Rzymie... w Rzymie!... w

dziewiątym roku panowania cesarza Klaudiusza, czterdziestego dziewiątego roku naszej ery, czyli miał wówczas około pięćdziesięciu czterech lat. I to dopiero wtedy zdarzyło się jego prawdziwe zmartwychwstanie i wniebowstąpienie. Czy pojmuje pan znaczenie moich słów? Czy zdaje pan sobie sprawę z implikacji tego odkrycia, panie Randall?

Steve Randall kołysał się w tył i w przód na krześle, zbyt jeszcze wstrząśnięty, by w pełni to ogarnąć.

— Czy to... może być prawda? Nie mogę w to uwierzyć. Ma pan absolutną pewność, że nie popełniono jakiejś pomyłki? — zapytał w końcu.

— Jesteśmy o tym całkowicie przekonani. Autentyczność każdego fragmentu obu dokumentów została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Poznaliśmy prawdę. Nareszcie mamy Słowo i zamierzamy dać je światu w postaci Międzynarodowego Nowego Testamentu. Przywrócimy ludzkości prawdziwego Jezusa Chrystusa, rzeczywistego Zbawiciela, który żył niegdyś na ziemi i wciąż żyje w nas. Dlatego nasz tajny projekt nosi kryptonim, który nadaliśmy mu w Amsterdamie: Drugie Zmartwychwstanie. Czy potrafisz uwierzyć w Drugie Zmartwychwstanie, Steve?

Randall siedział z zamkniętymi oczami. Pod powiekami wirowało mu świetliste koło wypełnione obrazami z jego niedawnych i obecnych przeżyć. Widział twarze ludzi i ich reakcję na to najbardziej sensacyjne odkrycie ostatnich dziewiętnastu stuleci. Widział, jak zelektryzowani tą wiadomością promienieją odnowioną wiarą w znaczenie życia. Widział swego ojca. Matkę. Siostrę Clare. Toma Careya. A przede wszystkim samego siebie. Widział tych, których wiara została nadwątlona, i tych, którzy, jak on sam, utracili ją zupełnie i zagubili się. I ujrzał, jak do tego wirującego kręgu rozpacz zbliża się Ten, który tak długo pozostawał jedynie mitem, zmyśloną postacią z baśniowych historii. Syn Boży, Jezus z Nazaretu, stanie się wreszcie znany człowiekowi. Ewangelia Jakuba przywróci życie przesłaniu Zbawiciela, przesłaniu miłości i pokoju. Pocieszy i uzdrowi Jego człowieczą rodzinę.

Niesamowite, niewiarygodne. Najcudowniejszy ze wszystkich cudów, jakie Randall widział i o jakich słyszał w swym życiu. Dobra Nowina na ziemi.

Czy to możliwe?

O co Wheeler zapytał? Czy potrafi uwierzyć w ten projekt, w to Drugie Zmartwychwstanie?

— Nie wiem — odparł powoli. — To jest coś takiego... w co bardzo chciałbym uwierzyć, jeśli jeszcze w ogóle potrafię wierzyć w cokolwiek.

— Czy chce pan spróbować, panie Randall? — spytał wydawca.

— Spróbować? Spróbować sprzedać ludziom Słowo? — Randall namyślał się jeszcze chwilę, po czym wstał chwiejnie z krzesła. — Panie Wheeler, jeżeli On rzeczywiście się tu zjawił dla naszego zbawienia, to ja na pewno chcę zostać zbawiony. Kiedy zaczynamy?

ROZDZIAŁ 2

We wszystkich jego snach w ciągu ostatnich dziesięciu nocy pojawiał się Jezus. I teraz także, gdy usiłował się obudzić, sen, który przeżywał w wyłaniającej się świadomości, wciąż żywo trwał pod jego powiekami.

Uczniowie ujrzeli Jezusa, jak szedł po morzu, i wzięli go za zjawę. Jezus natychmiast zwrócił się do nich słowami: „Odwagi! To ja jestem, nie bójcie się”. A Steven Randall odpowiedział mu słowami: „Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie”. I Jezus powiedział: „Przyjdź!”. I Steven opuścił statek i poszedł po wodzie ku Jezusowi. Lecz kiedy ujrzął wzburzone morze, przestraszył się, zaczął tonać i zawołał: „Panie, uratuj mnie!”. I pastor Nathan Randall natychmiast podał mu rękę, uchwycił go i powiedział: „Czemu zwątpiłeś, człowiecze małej wiary?”*. I Steven Randall został uratowany i nawrócił się.

* cytaty z Ewangelii świętego Mateusza, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2002

Zwariowany, pokrecony sen, który go dusił.

Obudził się w końcu i otworzył oczy. Ujrzał, że oddech tłumi mu miękka pierś Dartene. Dziewczyna, nachylona nad jego twarzą, rozchyliła górę różowej koszulki i nagą pierś pocierała jego usta.

Budził się już w wielu dziwnych miejscach i na wiele niezwykłych sposobów, lecz jeszcze nigdy nie został obudzony dotykiem kobiecej piersi na statku płynącym po Atlantyku. Wciąż znajdował się na wodzie, lecz Jezus Chrystus i wielebny Nathan Randall nagle odpłynęli bardzo daleko.

Darlene uśmiechnęła się do niego.

— No przyznaj, Steve, wymyśliłbyś przyjemniejsze przebudzenie? Powiedz, czy jakiś maharadża ma lepszą obsługę od ciebie?

Jeszcze jedna z jej miłosnych zabaw. O tej godzinie nie miał nastroju do takich rzeczy, wiedział jednak, że dla Darlene był to jedyny towar, jaki mogła mu zaoferować. Chciał być dla niej miły, więc odpowiedział jak należało, całując lekko jej pierś wokół czerwonego sutka, aż zaczął twardnieć i odsunął się od ust.

— Niegrzeczny chłopczyk — skarciła go na niby. — Nie zaczynajmy teraz niczego, chciałam tylko, żebyś obudził się uśmiechnięty. — Przyjrzała mu się, wydymając pełne wargi. — Ale jesteś uroczy. — Wsunęła rękę pod koc i sięgnęła między jego nogi. Pieściła go przez chwilę, po czym szybko cofnęła dłoń. — Oj, widzę, że nie tracisz czasu.

Wyciągnął ręce, żeby ją przytulić, lecz wywinęła się i zeskoczyła z łóżka.

— Musimy się zachowywać przyzwoicie, kochanie. Zamówiłam już śniadanie u stewarda, za minutkę tu będzie.

— Prędeż za godzinę — burknął Randall.

— Weź prysznic i ubierz się. — Darlene wyszła z sypialni do saloniku ich niewielkiego apartamentu na górnym pokładzie S/s France. — Przeczytałam w „L'Atlantique”, wiesz, w tej gazetce dla pasażerów, że będą puszczać film o tym, co warto zobaczyć w Londynie, po angielsku. Na kanale ósmym. Nie chcę tego przegapić. — Zachwycała ją telewizja na statku, przez cały dzień nadająca filmy. Darlene starała się nie przepuścić żadnej z przyjemności dostępnych podczas rejsu.

Spojrzał w stronę iluminatora zasłoniętego brązową zasłonką.

— Darlene, jaka pogoda? — zawołał.

— Słońce próbuje wyjść zza chmur — odparła. — Morze gładkie jak stół.

Wsparł się na łokciu i rozejrzał po kabinie. Była to funkcjonalna dwójka z metalową komódką z szufladami, stojącą między łózkami. Na komódce stał przy jego łóżku biały telefon, a przy łóżku Darlene lampa z abażurem. Z oparcia brązowego fotela zwisał skąpy biustonosz i rajstopy. Blisko nóg jego łóżka, przed toaletką z wysokim lustrem, stało pomarańczowe krzeselko.

Słyszał odgłosy silników i świszczący poszum morza, opływającego dziób transatlantyku. Potem rozległy się trzaski w telewizorze i głos komentatora.

Randall opadł z powrotem na poduszkę, próbując wejść w nastrój tego czwartego poranka i piątego dnia podróży z Nowego Jorku do Southampton.

Kiedy się zgodził zostać dyrektorem reklamowym Międzynarodowego Nowego Testamentu i projektu znanego jako Drugie Zmartwychwstanie, nie zamierzał wcale zabierać w podróż Darlene Nicholson. Wołał popłynąć sam z Wheelerem, skupić się na przyswajaniu niezbędnej wiedzy i na pracy, której się podjął. Darlene była osobą zbyt frywolną i hedonistyczną w kontekście tego przedsięwzięcia. Nawet gdyby nie domagała się, żeby poświęcał jej czas, mogła go rozpraszać swą nieustanną pustą paplaniną i seksualnością. Co więcej, jej obecność mogła się okazać kłopotliwa. Wheeler i jego ludzie, a już z pewnością wszyscy specjaliści, eksperci, uczeni i teolodzy związani z Drugim Zmartwychwstaniem w Amsterdamie, niewiele mieli wspólnego z dziewczynami pokroju Darlene. Randall przeczuwał, że jego kochanka będzie w tym towarzystwie równie na miejscu jak, powiedzmy, zawodowa striptizerka na katolickiej loterii dobroczynnej.

Darlene nie wyglądała tandetnie, lecz raczej krzykliwie, jaskrawo i pretensjonalnie, bywała bezmyślna i nie miała wycucia sytuacji. Była atrakcyjna i emanowała zmysłowością. Wysoka, o szczupłej, nieco kościstej

figurze modelki jeśli nie liczyć piersi, jędrnych, o groszkowatym kształcie i zawsze mocno wyeksponowanych w wydekoldowanych sukienkach i bluzeczkach albo pod obcisłymi sweterkami, których gromadziła całe stosy. Miała blond włosy sięgające ramion, niebieskie oczy osadzone trochę zbyt blisko siebie, lekko wystające kości policzkowe, jasną cerę i małe usta o pełnych wargach. Chodziła posuwistym, długim krokiem, który sprawiał, że niektóre części ciała — piersi, biodra, uda, pośladki — poruszały się w sposób, który prowokował mężczyzn do oglądania się za nią. No i miała niezwykle długie nogi. Poza łóżkiem była niespokojna, bezużyteczna, tępawa, kapryśna. W łóżku stawiała się łasiczką, niezmordowaną, zmyślną i rozkoszną. Randall już dawno doszedł do wniosku, że ośrodek inteligencji Darlene mieści się w jej pochwie.

Kiedy ją poznał, dostał od niej to, czego potrzebował, ale nie była to odpowiednia towarzyszka podróży, którą właśnie rozpoczynał. Ekscytującej, emocjonalnej podróży w poszukiwaniu wiary.

Proponował jej najróżniejsze rozwiązania. Ponieważ miał zamiar zostać za granicą tylko przez miesiąc czy dwa i będzie zbyt zajęty, żeby się nią zajmować, prosił ją więc, żeby udała się do Kansas

City, odwiedziła rodziców, rodzinę, koleżanki ze szkoły. Chciał dać jej pieniądze na drogę i utrzymanie. Nie zgodziła się. Proponował wyjazd do Las Vegas i Los Angeles albo miesiąc wakacji na Hawajach, a nawet sześciotygodniową wycieczkę do Ameryki Południowej. Lecz słyszał w odpowiedzi: „Nie, nie, nie, Steve, chcę być z tobą, umrę, jeżeli nie będziemy razem”.

Ustał więc, wzdychając ciężko, i zabrał ją jako swoją sekretarkę, świadom, że nikogo na to nie nabierze, i w gruncie rzeczy nic sobie z tego nie robiąc. Sytuacja miała też swoje dobre strony, a właściwie jedną. Nienawidził kłaść się spać samotnie. Późnym wieczorem po wypiciu alkoholu zazwyczaj użalał się nad sobą. Darlene dawała mu cudowną odskocznnię od tego stanu ducha. Ostatniej nocy wspięła się na wyżyny, wszystko w niej było w nieustannym ruchu — dłonie, nogi, biodra, pośladki — i kiedy w końcu wystrzelił, czuł się tak, jakby miał zaraz wylecieć przez iluminator.

Na tydzień przed rejssem nie absorbowwały go żadne pilne osobiste sprawy, poza decyzją o zabraniu Darlene, lecz był, o dziwo, zajęty od rana do wieczora, porządkując mieszkanie i omawiając sprawy firmy z pracownikami. Po szokujących rewelacjach Wheelera na temat odkrycia w ruinach Ostii, które po raz pierwszy niezbitcie dowiodło historyczności Chrystusa, aż kipiał ciekawością, chcąc poznać każdy szczegół tego tajemnego znaleziska.

Wheeler jednak zalecił mu cierpliwość. Stwierdził, że podczas rejsu przez ocean będzie dość czasu na dokładniejszą relację, a ze wszystkimi szczegółami Randall zostanie zapoznany w Amsterdamie, zaraz po przyjeździe. Randall chciał jak najszybciej poinformować o nowym zleceniu Wandę, Joego Hawkinsa i resztę personelu. Obiecał jednak Wheelerowi, że zaczeka, dopóki nie ukażą się próbne egzemplarze Międzynarodowego Nowego Testamentu i dopóki rada wydawców nie da mu zielonego światła. Przede wszystkim jednak pragnął przekazać te sensacyjne wieści swemu ojcu i Tomowi Careyowi, wiedząc, jak wielkie mogą mieć dla nich znaczenie. Jednakże przyrzekł milczeć, więc milczał.

Codziennie dzwonił do Oak City i rozmawiał z matką albo Clare. Upewnił się, że ojciec, choć wciąż częściowo sparaliżowany, stopniowo wraca do sił i zdrowia. Do San Francisco zadzwonił tylko raz. Z pewnym trudem wyjaśnił Judy, że muszą odłożyć na później pomysł z jej przyjazdem na część wakacji do Nowego Jorku. Powiedział córce, że wyjeżdża za granicę na specjalne zlecenie, i obiecał, że spędzą trochę czasu razem jesienią. Potem poprosił ją, żeby oddała słuchawkę matce. Chciał się dowiedzieć, czy Barbara nie zmieniła zdania w kwestii rozwodu. Odpowiedziała mu cichym głosem, że nie. W przyszłym tygodniu miała się spotkać z adwokatem. W takim razie, odrzekł zimno Randall, on każe Thadowi Crawfordowi podjąć walkę.

Nazajutrz spotkał się z Crawfordem i wyłuszczył mu sprawę, podczas gdy prawnik skubał nerwowo siwe baczki i usiłował odwieść go od występowania przeciwko żonie. Randall jednak był nieugięty i Crawford zaczął w końcu robić notatki do przyszłych wystąpień w sądzie, zgodził się także złożyć kontrpozew. Przez cały ten intensywny tydzień Randall odbywał też narady z Crawfordem i dwoma prawnikami Ogdena Towery'ego, by dopracować nieustalone jeszcze punkty umowy o przejęciu Randall Associates przez Cosmos Enterprises. Z ciężkim sercem postanowił zadzwonić wreszcie do Jima McLoughlina w Waszyngtonie i umówić się z nim na spotkanie. Jim zasługiwał przynajmniej na wyjaśnienie w bezpośredniej rozmowie, dlaczego Randall zmienił zdanie i odrzucił zlecenie Raker Institute. Okazało się niestety, że McLoughlin pojechał już w nieznaną ze swoją wielce tajną misją i był nieosiągalny. Miał się pojawić w Waszyngtonie dopiero za kilka miesięcy. Randall zostawił mu więc wiadomość, żeby zadzwonił do Thada Crawforda. Nie było innego wyjścia, złe wieści dotrą do McLoughlina najgorszą z możliwych dróg.

Kiedy nadszedł wreszcie dzień wypłynięcia w morze, Steve Randall powitał go z ulgą.

Teraz, wylegając się na łóżku w kabinie, obrócił się na bok. Obok telefonu leżał stosik pamiątek gromadzonych przez Darlene od początku rejsu. Randall wziął do ręki plik drukowanych programów, folderów zapowiadających wydarzenia na statku od dnia wyjścia w morze. Było ich pięć. Cztery opisywały zdarzenia poprzednich dni, a piąty dzisiejszego. Następnego dnia nic już się nie działo, bo o świcie mieli wejść do Southampton.

Trzymając foldery w ręce niczym wachlarzyk gigantycznych kart do gry, Randall zdał sobie sprawę, w jak nikłym stopniu oddawały one to, co rzeczywiście robił przez ten czas, pomagały jednak odświeżyć pamięć. Była to świetna morska podróż, dająca odpoczynek, a zarazem ciekawa intelektualnie. Poza jednym niefortunnym zdarzeniem pierwszego dnia, zaraz po zaokrętowaniu, była wręcz doskonała.

Pierwszy dzień. Spojrzał na program z napisem S/s FRANCE na okładce ozdobionej rysunkami Statuy Wolności, wieży Eiffla i samego statku.

EVENTS DU JOUR

PIĄTEK, 7 CZERWCA

ZEGARY ZOSTANĄ PRZESUNIĘTE O 15 MINUT NAPRZÓD O
GODZ. 18.00

PO POŁUDNIU

14.30 WYPLYNIECIE Z NOWEGO JORKU 16.00 HERBATKA
PRZY MUZYCE

Salonik Fontainebleau, pokład werandowy na śródokręciu.

Odłożył program, by przeżyć jeszcze raz w migawkach wspomnień swoje własne Events du Jour tego dnia.

Kiedy już weszli po stromym trapie do pierwszej klasy, on za Darlene przyciągającą uwagę wszystkich mężczyzn (bez biustonosza pod przejrzystą bluzką, szeroki skórzany pasek, króciutka jedwabna mini, czarne rajstopy, kozaczki z lakierowanej skóry), zaproszono ich do prywatnej sali przy wejściu do teatru na pokładzie werandowym, gdzie George L. Wheeler wydał przyjęcie z okazji rozpoczęcia podróży.

Ponieważ żona Wheelera została wraz z synami w ich letnim domu w Kanadzie, przyjęcie miało charakter bardziej biznesowy i zawodowy niż towarzyski. Pokój był pełen pracowników Mission House — seraficznych mężczyzn i słodkich pań jak z Armii Zbawienia. Było też jednak kilka nowych osób, których twarzy nie znał, z pewnością naukowców albo teologów, po części z żonami w średnim wieku. Randall wszedł do sali z Darlene u boku, przyjął szampana od stewarda w białym uniformie, lecz

zrezygnował z przystawek, i przedstawiając swą „sekretną” tym, których znał, spostrzegł Naomi Dunn stojącą w pobliżu bardzo ożywionego Wheelera.

Ruszył w jej stronę, lecz Wheeler zauważył go i podbiegł z wyciągniętą ręką.

— Zaczynamy historyczną podróż, Steve, historyczną! — zawołał. — A ta piękna młoda dama to zapewne twoja sekretarka, ta, o której mi wspominałeś.

Randall przedstawił ich sobie, nieco skrepowany. Wydawca był wyraźnie zaintrygowany Darlene, którą znał przedtem tylko z lektury dossier, które dostarczył mu Towery.

— Zaczyna pani pracę dla Boga, panno Nicholson — powiedział. — Asystując panu Randallowi, będzie pani służyła ludzkości. Sądzę, że nie zna tu pani nikogo... Steve, pozwolisz, że przedstawię piękną panią pozostałym gościom?

Wheeler oddalił się z Darlene i Randall znalazł się nagle sam na sam z Naomi Dunn. Stała oparta o gobelin wiszący na ścianie, usztywniona, pociągając szampana z kieliszka.

— Witaj, Naomi — zwrócił się do niej. — Czy mogę ci mówić po imieniu?

— Czemu nie. Będziemy przecież blisko współpracować.

— Mam nadzieję. To miło, że przyszłaś nas pożegnać. Uśmiechnęła się.

— Przepraszam, ale nie przyszłam nikogo pożegnać. Płynę razem z wami.

Randall nie krył zaskoczenia.

— George nic mi nie mówił. Jestem zachwycony.

— Pan Wheeler nigdy nie podróżuje gdzieś dalej beze mnie. Jestem jego bankiem pamięci, encyklopedią i podręcznym skorowidzem Nowego Testamentu. Szef zna się na wydawaniu książek, lecz w kwestiach biblijnych polega na mnie. Będę twoim mentorem przez większość tej podróży, Steve.

— O, to bardzo się cieszę — odparł Randall.

— Jesteś pewien?—Naomi przyjrzała się jego twarzy z wyraźnym rozbawieniem, po czym popatrzyła po sali. — Pokrażę trochę — rzekła. — Pierwsza lekcja jutro po południu.

Pięć minut później Wheeler ujął Randalla za łokieć i poprowadził w kątek sali, szepcząc ponad gwarem:

— Musisz koniecznie poznać dwie osoby. Są szczególnie ważne dla naszej przyszłości. Oczywiście znają sekret i wspierają go, są właściwie częścią projektu. Nie poradziłibyśmy sobie bez ich udziału. To doktor Stonehill z Amerykańskiego Towarzystwa Biblijnego i doktor Evans z Narodowej Rady Kościołów.

Stonehill był łysy, posepny i nieco napsuszony. Był także rozkochany w statystyce.

— Praktycznie każdy z kościołów w Stanach Zjednoczonych wspiera naszą pracę i zasila nasz budżet — oznajmił Randałłowi. — Naszym głównym zadaniem jest rozpowszechnianie Biblii. Co roku dostarczamy kościołom egzemplarze Pisma Świętego, drukowane bez przypisów i komentarzy. Publikujemy Biblię czy też jej fragmenty w tysiąc dwustu różnych językach. Ostatnio w ciągu jednego roku, wraz ze Zjednoczonym Towarzystwem

Biblijnym, rozprowadziliśmy na świecie sto pięćdziesiąt milionów egzemplarzy Pisma. Tylko w jednym roku, pojmuje pan? Jesteśmy z tego bardzo dumni.

Stonehill puszył się jak paw, jakby to tylko dzięki niemu rozeszło się te sto pięćdziesiąt milionów egzemplarzy Biblii. Randall nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

— Imponujące — stwierdził.

— Ta powszechna akceptacja Biblii ma swoją przyczynę — powiedział Stonehill. — To księga dla każdego i na każdy czas. Być może jest tak dlatego, że, jak to ujął papież Grzegorz, Biblia to strumień, w którym może wykapać się słoń i może także brodzić jagnię. Papież Grzegorz Wielki, szósty wiek, jak pan zapewne wie.

Randall wiedział. Mąciło mu się już w głowie.

— Najnowsze odkrycie jeszcze wzmocni znaczenie Nowego Testamentu — ciągnął niezmordowanie Stonehill — i przewiduję, że liczba rozprowadzanych przez nas egzemplarzy wzrośnie dziesięciokrotnie. Do chwili obecnej Nowy Testament liczył siedem tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć wersów. Lecz ten dodatek... nie śmiem nawet jeszcze wymawiać tytułu ostatniej ewangelii... tak więc ten dodatek do tekstu kanonicznego sprawi, że entuzjazm dla naszego Pana przekroczy wszelkie granice. W tekście Biblii króla Jakuba, wie pan, Jezus wypowiada trzydzieści sześć tysięcy czterysta pięćdziesiąt słów. Lecz teraz, teraz, panie Randall...

Randall pragnął tylko jakiegoś ratunku.

Po kilku minutach wymówił się pragnieniem i udał na poszukiwanie cichej oazy, lecz wkrótce został znów pochwycony przez Wheelera, który przedstawił mu doktora Evansa, przewodniczącego Narodowej Rady Kościołów.

Evans był dużo lepszy. Tylko częściowo wyłysiały, zdecydowanie nieposepny, pełen tłumionej żarliwości. Dawał się lubić i mówił rzeczy o wiele ciekawsze od statystyk Stonehilla.

— Narodowa Rada Kościołów — zaczął Evans — jest w Ameryce oficjalną reprezentacją trzydziestu trzech wyznań... protestanckich, prawosławnych i jednego katolickiego. Bez naszego pełnego poparcia nie powiedzie się żadne przedsięwzięcie związane z Biblią. Uczestniczymy w projekcie pana Wheelera od samego początku i jesteśmy w pełni przekonani, że profesor Monti dokonał najważniejszego odkrycia archeologicznego w historii chrześcijaństwa. Nic nie może się z nim równać. Znaczenie odnalezienia piątej ewangelii dalece przewyższa odkrycie zwojów znad Morza

Martwego w Izraelu czy papirusów z Nadż Hammadi w Egipcie. Jeszcze nie w pełni zdajemy sobie sprawę z doniosłości tego wydarzenia.

— A na czym ono polega, pańskim zdaniem? — zapytał Randall. — Oczywiście zdobyliśmy dowód na to, że Jezus naprawdę istniał.

— Och, nie o to chodzi — odparł Evans. — W zasadzie tylko niewielka grupa sceptyków, głównie uczonych z Niemiec, zaprzeczała autentyczności Jezusa. Większość badaczy Biblii nigdy nie zajmowała się historycznością jego postaci. Zawsze uważaliśmy, że jest ona równie oczywista jak życiorysy Sokratesa, Platona czy Aleksandra Wielkiego. Asyryjczycy czy Persowie pozostawili nam o wiele mniej informacji o swoich władcach, a jednak nigdy nie kwestionowaliśmy ich istnienia. Co do Jezusa zaś, to staramy się zawsze pamiętać, że obszar, na którym nauczał, był stosunkowo ograniczony, że okres jego posługi był wyjątkowo krótki oraz że jego wyznawcami byli głównie ludzie prości. W owych czasach nie budowano świątyń i nie wznoszono pomników komuś, kto uważany był przez wielu za zwyczajnego lokalnego kaznodzieję... Shelley określił go niesprawiedliwie mianem „parafialnego demagoga”. Nawet śmierć Jezusa miała w kontekście jego czasów niewielkie znaczenie.

Randall nie myślał o tym nigdy w taki sposób.

— Naprawdę uważa pan, że ją zignorowano? — zaciekał się.

— W tamtych czasach? Oczywiście. Z perspektywy cesarstwa rzymskiego proces Jezusa w Jerozolimie był drobnym lokalnym zakłóceniem porządku, zdarzały się wówczas setki takich incydentów. Nawet relacja Petroniusza z procesu... przy całej jej wartości historycznej dla nas... to tylko jeden z rutynowych raportów z roku trzydziestego. W gruncie rzeczy, panie Randall, większość uczonych uważała zawsze za zdumiewający i wielce fortunny fakt, że w ogóle cokolwiek zostało o Jezusie napisane przez ludzi, którzy zebrali informacje od znających go osób. A jednak w ewangelii otrzymaliśmy takie świadectwo. Sądy zazwyczaj uznawały relacje świadków za potwierdzenie faktów. I ewangelie dostarczają nam takich dowodów.

Naukowcy zawsze rozumieli, że szczegółów biografii Jezusa jest niewiele, ponieważ świadkowie... z ich ustnych relacji korzystali potem ewangeliści... nie byli zainteresowani jego życiorysem, lecz posłannictwem. Jego wyznawcy nie czuli potrzeby opisywania historii, ponieważ dla nich historia właśnie się kończyła. Nie obchodził ich wygląd Jezusa, lecz jego uczynki i słowa. Nie przyszło im do głowy, by pisać kronikę życia Jezusa czy opisywać jego wygląd, oczekiwali bowiem rychłego powrotu Pana „na obłokach z niebios”. Ludzie świeccy jednakże, zwyczajni ludzie, nigdy tego nie rozumieli, toteż liczba sceptyków i wątpiących wciąż rosła. W naszych czasach, gdy wiedza biograficzna i historyczna jest tak duża, Jezus stał się kimś nierzeczywistym, zmyśloną postacią z ludowej legendy, niczym Herkules albo Paul Bunyan.

— A teraz, po ukazaniu się nowej Biblii liczy pan na to, że te wątpliwości zostaną rozwiane.

— Na zawsze — odrzekł Evans z przekonaniem. — Nowa Biblia osłabi powszechny sceptycyzm i Jezus jako Mesjasz zyska pełną akceptację. Dowody są tak mocne, jak gdyby jego wizerunki zachowały się na fotografiach albo filmie. Gdy tylko będzie rzeczą znaną, że Jezus miał brata, który, jakby w przewidywaniu tych wątpliwości, zadbał o zgromadzenie faktów z jego biografii z pierwszej ręki, gdy będzie rzeczą znaną, że zachowały się fragmenty manuskryptu z relacją naocznego świadka jego wniebowstąpienia, świat dozna wstrząsu i przywrócona zostanie niezmacona wiara. Tak, panie Randall, to, co wkrótce zaprezentuje światu pan Wheeler i jego koledzy, nie tylko rozproszy nieufność, lecz zainspiruje także nowe milenium wiary i nadziei wśród ludzkości. Człowiek od wieków pragnął wierzyć w odkupiciela i teraz nareszcie może to uczynić. Wyrusza pan w pamiętną podróż, panie Randall. Wszyscy wyruszamy. I wraz z jej rozpoczęciem życzę panu bon voyage.

Nieco oszołomiony i wciąż niezdolny pojąć w pełni implikacji odkrycia, Randall postanowił poszukać wytchnienia w kolejnej porcji szampana, a następnie w zwyczajnym świecie, czyli w towarzystwie Darlene Nicholson.

Rozejrzał się i spostrzegł ją koło wyjścia. Nachylał się ku niej francuski oficer, szepcząc coś do ucha. Skinęła głową i szybko wyszła za nim z sali recepcyjnej. Zaciekawiony tym nagłym zniknięciem, Randall dolał sobie szampana i popijając z kieliszka, postanowił sprawdzić, dokąd się udała.

Przepchnął się przez tłum gości i wyszedł na zewnątrz w pobliżu wind. Darlene nigdzie nie było. Zamierzał poszukać jej w głównej sali klubowej, lecz zobaczył, że stoi pod otwartymi oknami pokładu werandowego i nie jest sama. Pochłonięta była rozmową z młodym mężczyzną. Darlene miała

dwadzieścia cztery lata, a poważny młody człowiek z rok lub dwa więcej. Obszerny lniany garnitur nie skrywał szczupłości jego sylwetki. Miał króciutko przycięte piaskowoblond włosy i wydatną dolną szczękę. Wydawał się usilnie o coś prosić Darlene.

Nagle Randall przypomniał sobie zdjęcie, które dziewczyna pokazała mu kiedyś z przekory, i domyślił się, kim jest młodzieniec. Roy Ingram, jej dawny chłopak z Kansas City. Był czy też tylko zamierzał zostać księgowym. Nim Randall zdążył pomyśleć, skąd mógł się wziąć na statku, Darlene spostrzegła go, pomachała ręką i ruszyła wraz z młodzieńcem w jego stronę.

Rozejrzał się za drogą ucieczki, ale było za późno. Tamci już byli blisko. Darlene miała przypięty do sukni bukietik gardenii. Randall zdumiał się, że takie bukietiki jeszcze są w użyciu.

— Roy, to mój szef, pan Steven Randall — przedstawiła go dziewczyna z miłym uśmiechem. — A to... Roy Ingram, mój stary znajomy z Kansas City.

Randall uściśnął mu dłoń.

— A tak, panna Nicholson wspominała mi o panu. Roy Ingram był wyraźnie skrepowany.

— Miło mi pana poznać — rzekł. — Darlene pisała, że pracuje u pana i wybiera się służbowo do Europy. Pomyślałem, że wpadnę na chwilę, żeby... życzyć jej szczęśliwej podróży.

— To bardzo miły gest — powiedział Randall — jechać tu aż z Kansas, żeby pożegnać przyjaciółkę.

Ingram zaczerwienił się i wybąkał:

— Właściwie miałem coś do załatwienia w Nowym Jorku, ale... dziękuję.

— Nie będę wam przeszkadzał — rzucił Randall. — Muszę wrócić na przyjęcie.

Po chwili był już z powrotem w sali balowej. Przypomniał sobie, kiedy usłyszał po raz pierwszy o Royu Ingramie. Było to wieczorem tego dnia, gdy poznał Darlene. Starła się o pracę w sekretariacie jego firmy. Randall pracował w swoim gabinecie i zadzwonił do Wandy, żeby przyniosła mu jakieś papiery. Kiedy wchodziła, dojrzał przez otwarte drzwi Darlene siedzącą przed biurkiem, ze skrzyżowanymi długimi nogami.

— Kto to jest? — spytał.

— Jedna z dziewcząt, które szukają pracy. Już z nią rozmawiałam. Nie ma szans.

— Może się stara o niewłaściwą posadę. Przyślij ją do mnie, tylko żadnych numerów, proszę. I nie zapomnij zamknąć drzwi.

Potem poszło aż nazbyt łatwo. Miała na imię Darlene i wyjechała z Kansas City, ponieważ to miasto ograniczało jej zdolności twórcze. Zawsze marzyła, żeby pracować w telewizji w Nowym Jorku. Obiecywano jej to i owo, ale jak dotąd nigdzie nie wystąpiła i kończyły jej się pieniądze. Pomyślała więc, że mogłaby pracować dla znanej firmy obsługującej sławnych ludzi, spodziewała się, że to może okazać się zabawne. Randallowi spodobał się jej swobodny sposób bycia, a także piersi i długie nogi. Poczęstował ją drinkiem i rzucił kilka nazwisk swoich klientów i przyjaciół. Oświadczył dziewczynie, że jest pod wrażeniem jej osobowości i inteligencji i nie chce, żeby marnowała się przy biurowej dhubaninie. Znajdzie jej coś lepszego. A na koniec zaproponował jej wspólną kolację.

A potem poszła z nim do jego mieszkania. To wtedy zapytał ją, czy ma stałego chłopaka. Przyznała, że miała w Kansas City chłopaka o imieniu Roy, ale zerwała z nim przed wyjazdem do Nowego Jorku, bo był zbyt dziecinny i nudny.

— Czy chciałabyś mieć kogoś na stałe tutaj? — zagadnął ją Randall.

— To zależy — odparła.

— Kogoś, kto by się tobą opiekował? — naciskał.

— Gdyby mi się podobał, to czemu nie.

— A czy ja ci się podobam?

Spędziła z nim tę noc, a nazajutrz wprowadziła się na dobre. Zawsze uważał to za uczciwy układ. Darlene pragnęła swobody, luksusu, eleganckiego towarzystwa i kosztownego otoczenia, i wszystko to dostała. Randall z kolei potrzebował towarzyszki życia o młodym ciele, bez emocjonalnego zaangażowania, i także to otrzymał. Uczciwy układ bez dwóch zdań. Jednakże teraz, kiedy ją ujrzał z dawnym chłopakiem, jej równolatkiem, poczuł bolesne ukłucie zazdrości.

Wkrótce Darlene wróciła do sali, w której impreza robiła się coraz głośniejsza. Wciąż wyglądała na bardzo zadowoloną i w dalszym ciągu miała przypięty idiotyczny bukiet.

— Spławiłam Roya — powiedziała. — Byłeś zazdrosny? Głupia dziewczucha, pomyślał Randall.

— Czego on chciał? — zapytał.

— Prosił, żebym nie jechała z tobą w tę podróż, tylko wróciła z nim do Kansas City. Chce się ze mną ożenić.

— I co mu powiedziałaś?

— Że chcę jechać z tobą. Cieszysz się, kochanie?

Poczuł się jeszcze bardziej winny. Na dłuższą metę nie miał jej nic do zaoferowania, a jednak odrzuciła swego stałego, uczciwego chłopaka dla układu z nim. To nie było w porządku. Ale nie było też tak bardzo złe. W końcu wkładanie penisa młodej kobiecie, która tego pragnie, trudno nazwać aktem zepsucia. Niezbyt moralne było raczej posłużenie się przez niego określonym wizerunkiem, a także bogactwem i władzą, by wykorzystać neurotyczną słabość dziewczyny. Jej miejsce było przy kimś w tym samym wieku, kto obdarzyłby ją trójką dzieci i kupił pralkę automatyczną z suszarką. Przy kimś w rodzaju Roya Ingrama. Wybrała jednak przyjęcie na pokładzie S/s France. No cóż, skoro jej to odpowiadało i jemu także, to do diabła z moralnością.

— Chodź, Darlene — powiedział — szampan jest na koszt firmy.

Tyle pamiętał z pierwszego dnia. Potem był drugi, już na morzu. Randall wziął do ręki folder z programem.

EVENTS DUJOUR SOBOTA, 8 CZERWCA

RANO

7.30 do 9.30 ŚNIADANIE — jadalnia Chambord,

10.00 GIMNASTYKA — aerobik z instruktorem, obok basenu na pokładzie „D”

Odłożył program i spróbował przypomnieć sobie, co się działo drugiego dnia.

Wheeler i Naomi Dunn, którzy mieli osobne sypialnie w luksusowym apartamencie Normandii na górnym pokładzie, przyłączyli się rano do Randalla i Darlene, gdy ci kończyli już lekkie śniadanie. Randall obiecał im, że za godzinę będzie gotowy do pracy, po czym zabrał Darlene na zwawy spacer wokół pokładu werandowego. Potem postawił po dziesięć dolarów za siebie i za nią w konkursie na typowanie odległości, jaką przebędzie statek w ciągu doby od dwunastej w południe.

Zjechali windą na pokład „D”, gdzie przebrał się w kąpielówki, a Darlene w najbardziej skąpe bikini, jakie widział w życiu. Następnie popływali przez pół godziny w basenie, a potem Darlene wybrała się na zwiedzanie statku albo na jakiś film, albo na naukę strzelania do rzutków na pokładzie łodziowym. Nie była zainteresowana jego pracą ani poważną rozmową czy czytaniem. Zajmowało ją wszystko, co było związane z aktywnością fizyczną, a do tego spotkanie znanych ludzi, jeśli się tacy akurat trafią.

Randall odnalazł salon Monaco, mały odosobniony pokój za biblioteką, gdzie czekał już na niego Wheeler, bez marynarki i z poluźnionym krawatem, oraz Naomi Dunn, wykładająca na stół papiery z aktówki z krokodylej skóry.

W ich towarzystwie Randall zapomniał szybko o nowoczesnym pływającym pałacu, w jakim się znajdowali. Stopniowo zaczął osuwać się w przeszłość, wracać korytarzami wielu stuleci do surowszych czasów, do odległej, prymitywnej, niespokojnej epoki, do pierwszego wieku w Palestynie, gdzie Żydzi cierpieli pod okupacją Rzymu.

George L. Wheeler, przycinając i zapalając kubańskie cygareto, rozpoczął spotkanie.

— Steve, żebyś mógł w pełni zrozumieć i docenić doniosłość odkrycia profesora Montiego w Ostii, musisz sobie uzmysławić, jak niewiele naprawdę wiedzieliśmy do tej pory o Jezusie. Oczywiście, jeżeli traktuje się cztery ewangelie jako dane przez Boga, jako objawienie, i przyjmuje ich treść po prostu na wiarę, wówczas można uważać, że wie się o nim dostatecznie dużo. A jednak wielu ludzi od dawna już nie akceptuje takiego podejścia. Mimo że Evans powiedział ci podczas koktajlu, że większość biblistów zawsze uznawała prawdziwość postaci Jezusa, wśród świeckich uczonych i religijnych racjonalistów panuje co do tego dużo mniejsza pewność. I jest to zrozumiałe. Kiedy zaczyna się żądać dowodów, wiarygodnej biografii Jezusa w historycznym kontekście, pojawia się problem. Ernest Renan przypomniał nam dość obcesowo, że fakty w życiorysie Jezusa zapełniłyby ledwie stronę tekstu. Wielu uczonych uważa, że nie starczyłoby ich na jedno zdanie. Inni, tacy jak Reimarus i Bauer w Niemczech czy Pierson i Naber w Holandii, twierdzili, że nie da się ustalić nawet jednego faktu, w ich przekonaniu bowiem Jezus jest mitem. Jednakże w ciągu ostatnich stu lat napisano i opublikowano co najmniej siedemdziesiąt tysięcy tak zwanych biografii Jezusa

— Ale jak to możliwe? — zapytał Randall. — Na czym opierały się te biografie? Na czterech ewangeljach?

— Właśnie tak — odrzekł Wheeler. — Na tekstach czterech uczniów, Mateusza, Marka, Łukasza i Jana, i niemal tylko na nich. Zebrali oni słowne przekazy i pisma pierwszych chrześcijan i spisali je na papirusie kilkadziesiąt lat po domniemanej śmierci Jezusa. Wszystko to w trzecim czy czwartym wieku zastygło w kanon, który stał się naszym Nowym Testamentem. — George L. Wheeler pyknął z cygara, zajrzał do podsuniętych mu przez Naomi kartek i mówił dalej: — Jeśli oprzemy naszą wiedzę o istnieniu Chrystusa i jego życiu wyłącznie na źródłach chrześcijańskich, na świadectwie Ewangelii, to co właściwie mamy? Tekst Nowego Testamentu obejmuje okres około stu lat. Z dwudziestu siedmiu jego ksiąg tak naprawdę tylko cztery zajmują się w ogóle życiem Jezusa. Reprezentują one niecałe czterdzieści pięć procent

tekstów. Co właściwie nam mówią o egzystencji, jaką wiódł? Relacjonują szkicowo pierwszy i dwunasty rok jego życia, a potem przeskakują do dwóch ostatnich lat. W zasadzie dziewięć dziesiątych żywota Jezusa w ogóle nie zostało opisane. Niewiele wiemy o jego dzieciństwie, a już nic o młodości, po ukończeniu dwudziestu lat. Nie mówi się nam precyzyjnie, gdzie się urodził, gdzie się uczył, czym się zajmował. Nie mamy opisu jego fizycznego wyglądu. Naszą wiedzę o Jezusie zawartą w źródłach chrześcijańskich można faktycznie zmieścić na jednej kartce. Naomi, przeczytaj Steve'owi, co tam masz.

Randall skupił teraz uwagę na Naomi Dunn. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Spojrzenie skoncentrowała na kartce przed sobą.

— Oto w pigułce wszystko, co przekazali nam ewangeliści — powiedziała, nie patrząc na niego, i monotonnym głosem zaczęła czytać: — Jezus urodził się pod koniec panowania Heroda Wielkiego, albo w Nazarecie, albo w Betlejem. Być może został dla bezpieczeństwa zawieziony do Egiptu. Dzieciństwo prawdopodobnie spędził w mieście w Galilei, znanym jako Nazaret. Temu okresowi poświęcono w ewangeliach tylko dwanaście słów, które stwierdzają, że rósł, nabierał mocy i napełniał się mądrością. Około dwunastego roku życia poszedł do Jerozolimy i spotkał się z uczonymi w świątyni. Potem następuje przerwa, nie ma żadnych informacji aż do czasu, gdy był już trzydziestodwulatkiem. Wówczas dowiadujemy się, że został ochrzczony przez Jana Chrzciciela, którego Bóg posłał, by przygotował nadejście Mesjasza. Po chrzcie Jezus odszedł na pustynię, żeby medytować przez czterdzieści dni.

— Czy o udaniu się na pustynię — przerwał Randall — wspomina więcej niż jedna ewangelia?

— Piszą o tym Marek, Łukasz i Mateusz, ale nie Jan — odparła Naomi i wróciła do czytania. — Po powrocie Jezus zjawił się w Galilei i rozpoczął nauczanie. Dwukrotnie poszedł do Kafarnaum, a za trzecim razem przekroczył jezioro Genezaret, by nauczać w Gadarze i Nazarecie. Następnie udał się na północ i nauczał w Tyrze i Sydonie. Na koniec wrócił do Jerozolimy, ale pozostawał w miejscu poza miastem. Kontaktował się ze swoimi uczniami. W wigilię dnia Przaśników wszedł do Jerozolimy po raz ostatni. Poprzewracał stoły handlujących w świątyni. Nauczał tam, a potem schronił się na Górze Oliwnej. Wraz z dwunastoma apostołami spożył wieczerzę w domu przyjaciela. W ogrodzie Getsemani został aresztowany i uznany przez Sanhedryn, Wysoką Radę, za winnego bluźnierstwa. Przesłuchał go Poncjusz Piłat, gubernator rzymski, po czym skazał na śmierć.

Ukrzyżowano go na wzgórzu Golgota. Naomi opuściła kartkę i spojrzała na Wheelera.

— To jest cała historia Jezusa z Ewangelii, bez jego wypowiedzi, bez cudów, bez „jeśli” i „być może”. I wszystko, czego przez niemal dwa tysiące lat mogły się o nim dowiedzieć miliony chrześcijan.

— Muszę przyznać — rzekł Randall — że to trochę mało jak na fundament Kościoła i jeszcze mniej, żeby udowodnić, że był Synem Bożym.

— I podtrzymać wiarę w milionach ludzi przez tyle stuleci — dodał Wheeler. — A ostatnio, od czasu zaciekłych ataków racjonalistów i z nadejściem wieku nauki, to przestało wystarczać, nie zadowala już wiernych.

— Ale istnieją przecież pozachrześcijańskie teksty o Chrystusie — przypomniał sobie Randall. — Na przykład Józefa Flawiusza i jakichś Rzymian.

— Tak, Steve, ale to wciąż za mało, to nie są dowody. W porównaniu ze źródłami niechrześcijańskimi, te chrześcijańskie są dość szczegółowe. Świadectwa rzymskie mówią o chrześcijanach, ale nie dają opisu Chrystusa. Możemy jednak bezpiecznie założyć, że skoro wrogowie chrześcijaństwa dostrzegli wyznawców Chrystusa, on sam również musiał istnieć. W rzeczy samej, mamy dwa źródła żydowskie, które o nim wspominają. Mówiłeś o Józefie Flawiuszu, samozwańczym kapłanie i historyku żydowskim, który stał się Rzymianinem. Żył od roku trzydziestego siódmego do około setnego. Gdybyśmy mogli wierzyć jego zachowanym pismom, to mielibyśmy faktyczne potwierdzenie treści Ewangelii. Józef ukończył Dawne dzieje Izraela w roku dziewięćdziesiątym trzecim i wyraźnie wspomina w nich dwukrotnie o Jezusie. Naomi, masz to pod ręką?

Naomi Dunn już trzymała tekst w dłoni.

— W dłuższym z dwóch fragmentów Flawiusz pisze: „Pojawił się w owym czasie mądry człowiek imieniem Jezus, jeżeli słusznym jest nazywanie go człowiekiem. Czynił bowiem rzeczy niezwykle i był nauczycielem ludzi chętnych przyjąć prawdę, i przyciągnął do siebie wielu Żydów, a także wielu z rasy Greków. Był on Chrystusem. A kiedy Piłat na żądanie najważniejszych pośród nas skazał Go na ukrzyżowanie, ci, którzy kochali Go od początku, nie przestali tego czynić, bo na trzeci dzień pojawił się im znowu żywy, ponieważ boscy prorocy przepowiedzieli to i dziesięć tysięcy innych cudów z Nim związanych. Nawet i dziś plemię chrześcijan nazwanych tak od Jego imienia nie przestało istnieć”. Teraz drugi ustęp, w którym... Wheeler uniósł dłoń.

— To wystarczy, Naomi. Gdyby — zwrócił się do Randalla — Józef Flawiusz rzeczywiście sam to napisał, byłoby to najwcześniejsze odniesienie

do Jezusa w tekstach świeckich. Niestety, nie znam ani jednego badacza, który by wierzył, że ten fragment jest w całości jego autorstwa. Uważają oni, że jest zbyt prochrześcijański jak na żydowskiego historyka i nie może być autentyczny w tej formie. Po prostu trudno jest przyjąć, że historyk niechrześcijański pyta, czy Jezusa „słusznie jest nazywać człowiekiem”, i stwierdza: „Był on Chrystusem”. Uważa się, że to wstawka jakiegoś średniowiecznego chrześcijańskiego skryby, który próbował stworzyć historycznego Jezusa. Z drugiej strony kilku konsultantów Drugiego Zmartwychwstania, wśród nich profesor Bernard Jeffries, którego poznasz, trwa w przekonaniu, że Józef dwukrotnie napomknął o Jezusie, chociaż zgadzają się również, że jego tekst był ewidentnie niepochlebny i został przerobiony przez jakiegoś nabożnego chrześcijańskiego pisarza, któremu się to nie podobało.

— Innymi słowy, pańscy naukowcy potwierdzają jednak, że Józef Flawiusz uznał istnienie Jezusa? — zapytał Randall.

— Tak. Ale to tylko spekulacje, które nie są żadnym dowodem. W tekstach świeckich interesują nas fakty historyczne. Drugim z żydowskich źródeł na temat Jezusa jest Talmud, który zaczęto spisywać w drugim wieku naszej ery. Te rabinackie pisma oparte zostały na przekazach ustnych i były oczywiście krytyczne wobec Jezusa. Stwierdzono w nich, że praktykował magię i w końcu został skazany na powieszenie za herezję i zwodzenie ludzi na manowce. Bardziej wiarygodne są rzymskie i pogańskie wzmianki o Chrystusie. Autorem pierwszej jest...

Wheeler podrapał swą białą brew, szukając w pamięci. Naomi pospieszyła z podpowiedzią.

— Thallus, w trzytomowej historii, napisanej prawdopodobnie w połowie pierwszego stulecia.

— Właśnie. Pierwszy był Thallus. Pisał o ciemności, jaka zapadła nad Palestyną po śmierci Jezusa. Sądził, że przyczyną było zaćmienie Słońca, choć późniejsi autorzy chrześcijańscy uważali, że był to cud. Następnie Pliniusz Młodszy, kiedy był namiestnikiem Bitynii, pisał w liście do cesarza Trajana, około roku sto dziesiątego, o walce z sektą chrześcijańską wśród swych poddanych. Uważał wiarę chrześcijańską za pospolity zabobon, napisał jednak, że jej wyznawcy są nieszkodliwi i zbierają się wieczorami, by śpiewać „hymn do Chrystusa jako ich boga”. Następny był Tacyt i jego Roczniki z okresu pomiędzy sto dziesiątym i sto dwudziestym rokiem. Cesarz Neron, by się uwolnić od poczucia winy po spaleniu Rzymu, oskarżył chrześcijan o podpalenie miasta. Naomi, poproszę o ten tekst. — Wheeler wziął od niej

dwie napisane na maszynie kartki i mówił dalej: — Chcę ci przeczytać przynajmniej fragment tego, co napisał o tym zdarzeniu Tacyt: „Neron przypisał winę i zadawał najwymyślniejsze tortury budzącej nienawiść grupie, zwanej przez ludność chrześcijanami. Chrystus, od którego pochodziła ta nazwa, podczas rządów Tyberiusza został skazany na straszną karę przez jednego z naszych prokuratorów, Poncjusza Piłata, i wielce szkodliwy zabobon, powstrzymywany aż do tej chwili, rozplecił się nie tylko w Judei, pierwotnym źródle zła, lecz nawet w Rzymie”. — Wheeler skończył czytać i dodał: — I na koniec mamy tego plotkarza Swetoniusza i jego Żywoty cesarów, napisane gdzieś między dziewięćdziesiątym ósmym a sto trzydziestym ósmym rokiem. Pisząc o cesarzu Klaudiuszu, Swetoniusz powiada: „Zakazał on przebywania w Rzymie wszystkim Żydom, którzy nieustannie wzniecali niepokoje z poduszczenia Chrestusa”. I to właściwie wszystko, Steve, jedyne autentyczne niechrześcijańskie wzmianki na temat Chrystusa czy Chrestusa, pochodzące głównie z okresu od połowy stulecia do ponad stu lat po domniemanej, śmierci Jezusa. Tak więc z historii rzymskiej i żydowskiej wynika tyle, że ten, który dał początek nowej religii, nazywał się Chrystus. Jeśli domagamy się czegoś więcej, musimy się oprzeć na wielce nieobiektywnych źródłach, czyli na czterech autorach Ewangelii. Po prostu nie otrzymaliśmy od nich obiektywnej, opartej na faktach biografii Jezusa, napisanej przez któregoś z jemu współczesnych. Mamy jedynie rosnący w siłę kult, napędzany wiarą w prawdopodobny mit.

— A jednak — rzekł Randall — brak informacji biograficznych nie musi koniecznie być czymś podejrzanym. Doktor Evans wyjaśnił mi, że Jezus nauczał przez tak krótki czas, a jego śmierć była dla Rzymian tak nieistotna, że nie było powodów, by to wszystko spisywać.

— To prawda — zgodził się Wheeler. — Sądzę, że najlepiej wyłożył to Millar Burrows, ekspert od zwojów znad Morza Martwego. Stwierdził on, że gdyby Jezus był rewolucjonistą o dużym poparciu, gdyby walczył z legionami rzymskimi i próbował ustanowić własne królestwo, istniałyby z pewnością monety oraz inskrypcje ryte w kamieniu, upamiętniające jego rebelię i jej upadek. Jednakże Jezus, mówi Burrows, był tylko wędrownym kaznodzieją. Nie pisał ksiąg, nie wznosił gmachów, nie tworzył instytucji. Po prostu zostawił cesarzowi, co cesarskie. Pragnął jedynie ustanowić Królestwo Boże na ziemi i miał nadzieję, że jacyś ubodzy rybacy poniosą jego przesłanie ludziom, głosząc je ustnie. Jak stwierdza Burrows, rządy Heroda zostawiły po sobie świadectwo w postaci zburzonych kolumn. Początki chrześcijaństwa

natomiast nie mają takich świadectw archeologicznych, Jezus bowiem nie budował niczego poza Kościołem Chrystusowym.

— A teraz, niemal z dnia na dzień, świat dowie się czegoś innego — wtrącił z zadumą Randall. — Świat pozna biografię Jezusa, napisaną przez dwóch ludzi... Jakuba i Petroniusza... którzy znali go osobiście. George, to przecież jest cud.

— To cud przypadku, niesłychanego szczęścia — powiedział Wheeler. — Jezus miał brata, któremu był wystarczająco bliski i który go cenił i był pod takim wrażeniem jego działalności, że postanowił utrwalić żywot Jezusa na piśmie. W efekcie, za dwa miesiące od dziś Ewangelia według Jakuba spadnie na zaskoczony świat niczym grom z jasnego nieba. A gdyby Jakub nie wystarczył, to dzięki walce o władzę w Rzymie około roku trzydziestego, dokładnie w czasie gdy Jezus został ukrzyżowany, otrzymaliśmy dowód istnienia odkupiciela i ostatnich dni jego życia w Jerozolimie. I to z pogańskiego źródła.

— Jeszcze mi o tym nie opowiedziałeś, George — przypomniał Randall, dopalając fajkę.

— W najbliższych tygodniach poznasz całą historię dokładnie — odparł wydawca. — Na razie powiem ci tylko o tym, jak prawdopodobnie powstał Pergamin Petroniusza. Wiesz zapewne, że w czasach nauczania Jezusa w rzymskiej kolonii Palestynie cesarzem Rzymu był podstarzały Tyberiusz. Z różnych powodów wolał on mieszkać na wyspie Capri, a swym przedstawicielem w stolicy ustanowił prefekta pretorianów, ambitnego Sejana. Tyberiusz rządził za jego pośrednictwem, jednakże Sejan właściwie sam kierował państwem, zamierzał pozbyć się cesarza i zawładnąć tronem. Ustanowił w koloniach i prowincjach Rzymu lojalnych wobec siebie namiestników i dysponował siatką kapitanów centurii, którzy donosili mu regularnie o wszelkich przejawach nieposłuszeństwa czy buntu w cesarstwie. To właśnie Sejan powołał Piłata na stanowisko w Palestynie. Najwyraźniej dowódcy wojsk pod jego rozkazami musieli przysyłać Sejanowi przez kurierów regularne raporty, czasami tajne, na temat niepokojów, procesów i egzekucji w prowincji, nawet tych najmniej ważnych. Randall słuchał zafascynowany.

— Dlatego, kiedy ukrzyżowano Jezusa, rzymski oficer skrupulatnie odnotował to w swoim raporcie, choć sprawa była dość błaha? — zapytał.

— Coś w tym rodzaju — odrzekł Wheeler. — Być może sam Piłat przyjął rutynowy raport o skazaniu Jezusa i posłał go namiestnikowi Damaszku, który z kolei wysłał go do Sejana w Rzymie. Albo Piłatowi nie chciało się tym

zajmować i w jego imieniu sporządził raport kapitan gwardii przybocznej i posłał kurierem wojskowym do Sejana. Ten kapitan eskortował Jezusa i nadzorował jego ukrzyżowanie. Był nim niejaki Petroniusz. Jest jednak pewna ciekawostka. Otóż Sejan najpewniej w ogóle nie widział raportu.

— Jak to? — zdziwił się Randall. — Co masz na myśli?

— Według najnowszej relacji Jezus został stracony w idach kwietniowych w siedemnastym roku panowania Tyberiusza, czyli w roku trzydziestym naszej ery. Gdy raport był gotowy do wysłania, kolonie obiegła pogłoska, że Sejan popadł w niełaskę cesarza. Doniesienie o ukrzyżowaniu Jezusa, podobnie jak inne raporty, zatrzymano zapewne, dopóki prefekt nie umocnił się z powrotem na swym stanowisku. Potem uznano, w Cezarei lub Damaszku, że sprawy w Rzymie się poukładały, a Sejan jest bezpieczny i u władzy. Wysłano więc raport, wśród wielu innych, a kiedy kurier przybył statkiem handlowym do portu w Ostii, był już trzydziesty pierwszy rok po Chrystusie. Po wylądowaniu kurier dowiedział się od żołnierzy, że Sejan i wszyscy, którzy się z nim komunikowali, są podejrzani o spisek, a sam prefekt naprawdę stracił stanowisko.

— Czy rzeczywiście tak było?

— O tak — odparł Wheeler. — Cesarz Tyberiusz odkrył, że Sejan próbuje podważyć jego władzę, i skazał go w październiku roku trzydziestego pierwszego na śmierć. Posłaniec zorientował się, na co się zanoszą, i bał się dostarczyć raport Sejanowi, gdyż mogło to wzbudzić gniew cesarza. Prawdopodobnie pozostawił więc tajne dokumenty, wśród nich relację o procesie i ukrzyżowaniu Jezusa, na przechowanie u kogoś z niższych oficerów gwardii pretoriańskiej albo nawet u jakiegoś przyjaciela cywila, a sam wrócił do służby w Palestynie.

— Zaczynam się domyślać, co się później działo — powiedział Randall.

— Nie wiemy tego na pewno — zauważył Wheeler — ale możemy poczynić pewne logiczne skojarzenia. Wydaje się, że człowiek, który przechowywał raport, przetrzymał go aż do śmierci Sejana. Potem uznał dokument za przestarzały i zapomniał o nim. Kiedy zmarł, mógł natrafić na te dokumenty ktoś z rodziny, może jakiś chrześcijanin, który zachował raport razem z tekstem napisanym przez Jakuba. Według innej prostszej teorii osoba przechowująca raport posłańca mogła sama nawrócić się na chrześcijaństwo i wówczas Pergamin Petroniusza oraz Ewangelia według Jakuba stały się dla niej pamiątkami o ogromnej wartości. Tak czy inaczej, ponieważ chrześcijanie byli prześladowani, dokumenty zostały ukryte przed okiem władz w cokołe posągu, a z upływem stuleci to miejsce zniknęło pod warstwą

osadów i gruzów, aż w końcu odkopał je przed sześcioma laty profesor Monti. Obecnie znalezisko zostało nam użyczone i wciąż trzymane jest w tajemnicy. Wkrótce jednak będzie znane ogółowi, stanie się własnością całego świata, dzięki kartom Międzynarodowego Nowego Testamentu.

— Fantastyczne — rzekł Randall, przysuwając się z krzesłem bliżej wydawcy. — Jednak nie wtajemniczyłeś mnie jeszcze w pełni, George. To, co ujawniłeś mi podczas naszego pierwszego spotkania, wystarczyło, żebym zostawił wszystko i pojechał z wami. Teraz jednak chciałbym poznać resztę.

Wheeler ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Oczywiście, Steve, dowiesz się wszystkiego. — Uniósł w górę palec. — Ale jeszcze nie teraz. W Amsterdamie mamy dla ciebie jedną odbitkę szcztokową. Zaraz po przyjeździe przeczytasz w całości Ewangelię według Jakuba i Pergamin Petroniusza, opatrzone przypisami. Wolałbym nie psuć ci pierwszego wrażenia z lektury, ujawniając tylko oderwane fragmenty. Mam nadzieję, że się z tym zgadzasz.

— Nie bardzo, ale oczywiście mogę poczekać te kilka dni. Powiedz mi chociaż, jak właściwie wyglądał Jezus?

— Zapewniam cię, że nie tak, jak przedstawiali go da Vinci, Rafael, Tintoretto, Veronese, Vermeer czy Rembrandt. I oczywiście nie tak, jak postać na krucyfikach, które wiszą na ścianach milionów mieszkań. Jego brat Jakub znał go przecież jako młodego mężczyznę, a nie upozowaną teatralnie postać męczennika. — Wheeler się uśmiechnął. — Cierpliwości, Steve...

— Nurtuje mnie jeszcze jedno — przerwał mu Randall. — Powiedziałeś, że Jezus nie umarł podczas ukrzyżowania. Czy to tylko domysł?

— Absolutnie nie — odpowiedział poważnie Wheeler. — Jakub był świadkiem, że Jezus nie umarł na krzyżu i nie wstąpił do nieba... w każdym razie nie w Anno Domini trzydziestym... lecz żył dalej i kontynuował swe misjonarskie dzieło. Jakub daje nam dowód ucieczki Jezusa z Palestyny, pochodzący od naocznego świadka...

— I dokąd się udał?

— Do Cezarei, Damaszku, Antiochii, na Cypr i w końcu do samego Rzymu.

— To naprawdę nie do wiary. Jezus Chrystus w Rzymie, to niesamowite...

— Uwierzysz, Steve, bez żadnych wątpliwości — zapewnił z przekonaniem wydawca. — Kiedy zobaczysz potwierdzone dowody na własne oczy, już nigdy nie będziesz wątpił.

— A co było po Rzymie? — spytał Randall. — Miał wówczas około pięćdziesięciu czterech lat, dokąd stamtąd poszedł? Kiedy i gdzie umarł?

Wheeler nagle podniósł swe zwaliste ciało z krzesła.

— Otrzymasz te odpowiedzi w Amsterdamie, w siedzibie Drugiego Zmartwychwstania — przyrzekł i pomachał komuś, kto stanął w drzwiach. — O, jest panna Nicholson, myślę, że czas na mały lunch. Posiedzenie zamknięte.

Tak wyglądał drugi dzień na pokładzie, a teraz Randall leżał na łóżku, w piątym, ostatnim, dniu rejsu.

Z przyległego saloniku rozległ się głos Darlene.

— Steve, wstałeś już? Przynieśli śniadanie!

Usiadł. Na kołdrze leżały jeszcze trzy foldery z programem.

EVENTS DU JOUR

NIEDZIELA, 9 CZERWCA

, Dzień trzeci, na życzenie George'a L. Wheelera, był dniem odpoczynku. O jedenastej Wheeler wraz z Naomi i Darlene wzięli udział w protestanckiej mszy świętej w sali teatralnej. Randall wykręcił się i obejrzał Your French Lesson w bawialni Riviera. Potem zjedli przedłużający się lunch w jadalni Chambord, olbrzymiej restauracji na statku. Po południu był brydż, degustacja win, koktajle w Cabaret de l'Atlantique, a po kolacji w saloniku Fontainebleau, na śródokręciu, tańce i gra na wyścigach konnych.

EVENTS DU JOUR

PONIEDZIAŁEK, 10 CZERWCA

Czwarty dzień, czyli wczorajszy. Godziny spędzone z Wheelerem i Naomi Dunn, przeznaczone na pytania i odpowiedzi. Omawianie, w jaki sposób ujrzały światło dzienne poprzednie wydania różnych wersji Biblii, od Biblii króla Jakuba do najnowszej Revised Standard Version, co miało pomóc Randallowi w zrozumieniu sposobu przygotowania do druku Międzynarodowego Nowego Testamentu. Intensywność tych rozmów wymęczyła Randalla i wieczorem wypił zbyt dużo czerwonego wina i szkockiej podczas galowej kolacji kapitańskiej.

EVENTS DU JOUR

WTOREK, 11 CZERWCA

Dzisiaj.

Po raz pierwszy miał poznać szczegóły związane z Drugim Zmartwychwstaniem w Amsterdamie. Miał także dowiedzieć się czegoś o konsultantach z British Museum w Londynie, których pozna jutro. Mógł też zadzwonić do pozostałych, z Paryża, Frankfurtu, Moguncji oraz Rzymu, w sprawie egzemplarzy reklamowych.

— Steve, jajka stygną! — zawołała Darlene. Odłożył program i wyskoczył z łóżka.

— Już idę, kochanie! — odkrzyknął. Rozpoczął się ostatni dzień na morzu.

Po południu cała trójka przeniosła się na świeże powietrze. Kontynuowali rozmowę. Darlene, kiedy Randall widział ją ostatnio, grała na pokładzie werandowym w ping-ponga z jakimś oślizłym lubieżnym Węgrem. Randall rozciągnął się na leżaku, Wheeler usadowił się okrakiem obok, a na trzecim leżaku trzęsła się pod wełnianym kocem Naomi.

Płynęli północnym Atlantykiem w pobliżu Anglii. Ocean był spokojny, nie licząc lekkich fal. Słońce przesłoniły ciemne, skłębione chmury i zrobiło się chłodno. Randall wpatrywał się w horyzont, zahipnotyzowany spienionym białym śladem, pozostawianym przez wielki statek. Spojrzał na maszt flagowy i zdziwił się, że nie ma na nim trójbarwnej francuskiej bandery, zaraz jednak sobie przypomniał, że wciąga się ją tylko podczas postoju w porcie. Następnie spróbował się skoncentrować na słowach Wheelera, który kontynuował wykład.

— Teraz już orientujesz się mniej więcej, jak wygląda sytuacja w naszej kwaterze głównej w Amsterdamie — ciągnął wydawca. — Obecnie problemem, który zajmuje nas najbardziej, i chcę to podkreślić, jest kwestia bezpieczeństwa. Wyobraź sobie nasze położenie jeszcze raz. Grand Hotel Krasnapolsky stoi na Dam, najruchliwszym placu Amsterdamu, frontem do Pałacu Królewskiego. Drugie Zmartwychwstanie zajmuje w całości dwa z pięciu pięter hotelu. Przed zajęciem tych pięter odnowiliśmy je, a następnie piątka szefów projektu, pięciu wydawców... doktor Emil Deichhardt z Niemiec, prezes naszego zarządu sir Trevor Young z Wielkiej Brytanii, monsieur Charles Fontaine z Francji, signor Luigi Gayda z Włoch i szczerze oddany George L. Wheeler ze Stanów Zjednoczonych... zajęła się uszczelnieniem tych dwóch pięter hotelu, aby nie dopuścić do przecieków. Poza naszą częścią jest to w końcu hotel, Steve. Wierz mi, że kiedy tylko rozpoczęły się przygotowania, a potem produkcja nowego Pisma Świętego, poświęciliśmy sprawom bezpieczeństwa naprawdę dużo czasu. To był ogrom pracy, musieliśmy pozatykać wszystkie dziury, wzmocnić słabe miejsca i przewidzieć każde możliwe zagrożenie.

— Na ile wam się to udało? — zapytał Randall. — Czy Grand Hotel Krasnapolsky jest całkowicie bezpieczny?

— Tak sądzę. — Wheeler wzruszył ramionami. — Mam taką nadzieję.

Naomi podsunęła się trochę wyżej na leżaku.

— Przekonasz się, Steve — powiedziała — że pan Wheeler jest w tych kwestiach nadmiernym pesymistą. Ja miałam okazję przyjrzeć się tej operacji w hotelu. Jest to absolutna forteca, w grę nie wchodzi żaden przypadkowy błąd. Działamy tam już od dwudziestu miesięcy i nikt z zewnątrz nawet nie przeczuwa doniosłości tego, co się dzieje. Panie Wheeler, proszę powiedzieć Steve'owi, jak to wygląda... Przez cały ten czas ani jedno słowo nie przeciekło do prasy, nie zostało sprzedane mediom, nie pojawiło się nawet w postaci plotek wśród księży dysydentów.

— To prawda — rzekł Wheeler, drapiąc się po karku. — A jednak teraz, gdy przed nami ostatnie dwa miesiące, trochę się martwię. Utrzymanie tajemnicy jest obecnie jeszcze ważniejsze niż przedtem. Zebraliśmy najbardziej doświadczoną ekipę ochroniarzy, w mundurach i po cywilnemu, rekrutującą się spośród byłych funkcjonariuszy FBI, Scotland Yardu i S?reté. Kieruje nimi Holender, inspektor Heldering, były oficer Interpolu. Pomimo to martwię się, ponieważ wiem, że zaczęły o nas krążyć jakieś plotki, a zarówno dziennikarze, jak i księży dysydenci starają się wszelkimi sposobami dowiedzieć, co szykujemy.

Ucho Randalla wychwyciło po raz drugi te same słowa.

— Księża dysydenci? — zapytał. — Wydawało mi się, że całe duchowieństwo bez wyjątku powinno razem z wami dążyć do zachowania tajemnicy aż do ostatniej chwili. W końcu to właśnie księży zyskają najwięcej, kiedy ukaże się Nowy Testament.

Wheeler popatrzył na morze, namyślając się przez chwilę.

— Czy słyszałeś kiedyś o wielebnym Maertinie de Vroomie, pastarze z Westerkerk, największego kościoła w Amsterdamie? — zapytał.

— Coś chyba o nim czytałem — odparł Randall i przypomniał sobie swoją rozmowę z Tomem Careyem w Oak City. — Mój przyjaciel z rodzinnego miasta, ksiądz, bardzo podziwia tego de Vroome'a.

— No cóż, ja go nie podziwiam, wręcz przeciwnie, ale młodzi buntownicy wśród duchowieństwa, którzy chcieliby obalić ortodoksyjne poglądy, zamienić Kościół w komunę zajmującą się pracą społeczną... i do diabła z wiarą w Chrystusa... tacy ludzie właśnie popierają de Vroome'a. Jest wielką figurą w Nederlands Hervormd Kerk, Holenderskim Kościele Reformowanym. I nasz dominus* de Vroome... tak każe się nazywać... wyciąga wszędzie swoje macki, powodując wzrost niepokoju i zniekształcając protestantyzm na całym Zachodzie.

* w oryg. dominee — pan, mistrz, nauczyciel, dominical — Pański, Chrystusowy

To on jest dla nas największym zagrożeniem.

— Dlaczego miałyby zagrażać właśnie wam? — zdumiał się Randall. — Wydawcom nowej, zrewidowanej wersji Pisma Świętego?

— Dlaczego? Dlatego że jest heretykiem, pojętym uczniem Rudolfa Bultmanna, niemieckiego teologa głoszącego pewną odmianę krytycyzmu. De Vroome odnosi się sceptycznie do przypowieści ewangelicznych. Uważa, że Nowy Testament należy odmitologizować, odrzec z cudów... zamiany wody w wino, rozmnożenia chleba, wskrzeszenia Łazarza, zmartwychwstania, wniebowstąpienia... i dopiero wówczas będzie coś znaczył dla nowoczesnych ludzi o naukowym światopoglądzie. Twierdzi, że niczego nie wiemy o historycznym Jezusie, podważa sam fakt jego istnienia, sugeruje nawet, że jest to postać wymyślona, służąca posłannictwu nowej religii, i że jedyną wartościową rzeczą jest sam przekaz, gdy się go dostosuje do wymogów współczesnego człowieka.

— Innymi słowy, de Vroome wierzy jedynie w same zasady chrześcijańskie? — zapytał Randall. — I cóż on takiego zamierza uczynić?

— De Vroome opiera się na własnej interpretacji i przekazu i chce Kościoła socjalnego i politycznego, Kościoła zajmującego się tylko naszym obecnym życiem na ziemi, chce usunąć z religii niebo, Chrystusa jako Mesjasza, misteria wiary... To nie wszystko, niedługo dowiesz się więcej. Ale rozumiesz już chyba, jak taki anarchista może postrzegać Ewangelię według Jakuba, Pergamin Petroniusza i cały Międzynarodowy Nowy Testament z jego rewelacjami o prawdziwym Jezusie. Zrozumiałby natychmiast, że nasza publikacja wzmocni hierarchiczny Kościół, odciągnie wahających się księży i wspólnoty od religijnego radykalizmu w stronę tradycyjnych instytucji kościelnych. Tb oznaczałoby koniec jego ambicji i załamanie się całej rebelii.

— Czy de Vroome wie o istnieniu Drugiego Zmartwychwstania? — zapytał Randau.

— Mamy powody wierzyć, że przynajmniej podejrzewa, czym się zajmujemy w Krasnapolskim. Ma dziesiątki szpiegów, więcej niż my ochroniarzy. Jesteśmy pewni tylko tego, że na razie nie zna szczegółów naszego odkrycia. Gdyby znał, próbowałby podstawić nam nogę, jeszcze zanim zdążymy przedstawić światu całość materiału. Teraz jednak niebezpieczeństwo wzrasta z każdym dniem. Nowy Testament już się drukuje i zawsze coś może wpaść w ręce de Vroome'a. Gdyby tak się stało, mógłby nam zaszkodzić, a nawet zniszczyć nas poprzez zręczną manipulację tekstem i wypaczenie go. Przeciek do dziennikarzy albo do de Vroome'a to dla nas

śmierć. Mówię ci o tym, Steve, bo gdy tylko de Vroome dowie się, że z nami współpracujesz, staniesz się jednym z jego głównych celów.

— Ode mnie niczego nie wydobędzie — odrzekł Randall. — Ani on, ani nikt inny.

— Chciałem cię tylko ostrzec. Będziesz się musiał pilnować w każdej minucie każdego dnia. A teraz niech się zastanowię, czy pomiąłem coś, co jeszcze powinieneś wiedzieć o Drugim Zmartwychwstaniu.

Wheeler znów popadł w zamyślenie. Jak się po chwili okazało, informacje, które pomiął, zajęły im jeszcze godzinę.

Wydawca opowiadał o osobach z wewnętrznego kręgu projektu, bezpośrednio odpowiedzialnych za Międzynarodowy Nowy Testament. Pierwszą z nich był włoski archeolog profesor Augusto Monti, który dokonał sensacyjnego odkrycia. Związany był z Uniwersytetem Rzymskim i mieszkał z młodszą córką w willi gdzieś w Rzymie. Był też Francuz, profesor Henri Aubert, dociekliwy i wybitny uczony, który przeprowadził badania autentyczności papiirusu i pergaminu metodą węgla radioaktywnego ^{14}C w wydziale datowania Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu. On i jego doskonała żona Gabrielle stanowili czarującą kompanię.

Następnie wymienił Karla Henniga, renomowanego niemieckiego drukarza, którego maszyny pracowały w Moguncji, a biuro działało we Frankfurcie. Hennig był kawalerem, znawcą Gutenberga i sponsorem Muzeum Gutenberga, położonego w sąsiedztwie jego drukarni.

Ostatni dwaj członkowie ekipy byli Anglikami. Profesor Bernard Jeffries, sędziwy teolog, badacz tekstów w języku aramejskim, rektor Honour School of Theology w Oksfordzie. Młody asystent i protegowany Jeffriesa doktor Florian Knight, prowadził dla niego badania w British Muséum. Profesor Jeffries kierował międzynarodowym zespołem tłumaczy, który przełożył Ewangelię według Jakuba.

W końcu Wheeler podniósł się z leżaka.

— Jestem już zmęczony — powiedział. — Prześpię się kilka godzin, spotkamy się na kolacji. To ostatnia noc na pokładzie, więc nie musimy być w smokingach, Steve. Jeffries i Knight będą pierwszymi osobami z zespołu, które poznasz jutro w Londynie. Sądzę, że Naomi opowie ci o nich wyczerpująco. Naomi, zostawiam naszego mistrza reklamy w twoich rękach. Randall patrzył, jak wydawca odchodzi, a potem jego wzrok spotkał spojrzenie Naomi Dunn, ponad pustym leżakiem z czerwoną poduszką.

Kobieta nagle usiadła i odrzuciła koc.

— Jeszcze chwila, a zamienię się tutaj w sople lodu — powiedziała. — Jeżeli potrzebujesz czegoś na rozgrzewkę choć w połowie tak bardzo jak ja, to zaproś mnie na drinka.

— Z przyjemnością. — Randall wstał. — Gdzie usiądziemy? Podoba ci się w sali Riviera?

Naomi pokręciła głową.

— Za duża, panuje w niej tłok i grają na skrzypcach. — Jej surowa zazwyczaj twarz złagodniała. — W Atlantique jest intymniejsza atmosfera. — Zdjęła rogowe okulary. — Wolisz intymną atmosferę, Steve?

Siedzieli w łoży Cabaret de l'Atlantique, w pobliżu parkietu do tańca, wielkości znaczka pocztowego, a francuski pianista grał nastrojową paryską piosenkę *Mélancolie*. Oboje kończyli drugą szkocką z lodem i Randall czuł się odprężony.

Gawędzili o niczym, a Randall kolejny raz rozglądał się po wnętrzu, które stało się jego ulubionym azylem na S/s France. Wybrali miejsce między dwoma barami. Ten z alkoholem był w ciemnym zakątku przed nimi. Na wysokich stołkach siedziało trzech czy czterech pasażerów, a przystojny barman, który wyglądał jak żywcem wyjęty z *Comédie Française*, wymieniał jednemu z nich nazwy wszystkich państw, których miniaturowe flagi ozdabiały bufet. Za Randallem znajdował się otwierany o północy bar z jedzeniem, o kształcie podkowy, w którym typowy francuski mistrz kuchni serwował nocnym gościom zupę cebulową, parówki i inne specjały.

— Tak więc, Steve — mówiła Naomi — wchodzimy do Southampton o szóstej rano i po kontroli paszportowej około ósmej wysiadamy, aby przejść przez odprawę celną. Nie wiem, czy pan Wheeler zamówił limuzynę z szoferem, czy może popłyniemy tramwajem wodnym do Victoria Station. Potem zameldujemy cię w hotelu Dorchester. Wheeler i ja tylko cię przedstawimy w British Museum i jak już zaczniesz pracę z Jeffriesem i Knightem, zostawimy cię tam i jedziemy od razu do Amsterdamu. Ty popytasz naukowców, o co będziesz chciał, możesz nagrać ich wypowiedzi i zostać na noc, na wypadek gdyby nie starczyło ci czasu. Potem dołączysz do nas w Amsterdamie. Jestem pewna, że sesje z tymi panami będą dla ciebie ciekawe.

— Mam nadzieję — rzekł Randall. Czai po dwóch drinkach przyjemne ciepło w żyłach i nie chciał go utracić. Skinął na kelnera i zapytał Naomi: — Jeszcze po jednym?

Pokiwała ochoczo głową.

— Dotrzymam ci towarzystwa.

Randall zamówił więc następną kolejkę i znów zwrócił się do Naomi z pytaniem.

— Co do tych Brytyjczyków, czy powinienem wiedzieć o nich coś więcej? Jak dokładnie pełnią funkcje w zespole Drugiego Zmartwychwstania?

— Tak, tak, muszę ci o nich szybko opowiedzieć, zanim wyląduję pod stołem.

— Nie wyglądasz...

— Po mnie nigdy nie widać, że piłam — weszła mu w słowo. — Ale trochę mi już szumi w głowie. Na czym to skończyliśmy? Aha, profesor Bernard Jeffries. To jeden z czołowych teologów na świecie, jest autorytetem, jeśli chodzi o języki używane w pierwszym wieku w Palestynie... wiesz, łacina, którą posługiwali się okupanci Rzymianie, koiné, czyli potoczna greka, mowa wspólna wszystkim mieszkańcom na wschodzie cesarstwa, hebrajski, język liturgiczny, stosowany w świątyni i synagogach, i aramejski, bliski hebrajskiemu, język zwykłych ludzi, także Jezusa. Jeffries to mężczyzna niedźwiedzio waty, koło sześćdziesiątki... mała głowa, drobna twarz, binokle, laseczka, kochany człowiek. Jest wykładowcą na wydziale studiów orientalnych na uniwersytecie w Oksfordzie, a dokładniej mówiąc, zajmuje stanowisko królewskiego profesora języka hebrajskiego. Jest także rektorem Honour School of Theology. Innymi słowy jest najlepszy w swojej specjalności.

— Która są języki starożytne?

— Właściwie o wiele więcej, Steve. Jeffries jest nie tylko filologiem, lecz także papirusologiem. Jest również znawcą Pisma Świętego i religii porównawczych. Kierował międzynarodowym zespołem, który przetłumaczył teksty Petroniusza i Jakuba. Opowie ci o tym. Mimo to jednak nie będzie tak ważny dla ciebie jak jego asystent, doktor Florian Knight.

Kelner przyniósł im trzecią kolejkę, Randall trącił się szklanką z Naomi i wypili.

— Ten doktor Knight — podjęła Naomi — to całkiem inna historia. Jest adiunktem, czy jak to mówią w Oksfordzie... nauczającym. To znaczy, że prowadzi w imieniu Jeffriesa większość wykładów i ćwiczeń na wydziale studiów orientalnych. Jeffries wybrał go osobiście jako swojego następcę. Po ukończeniu siedemdziesiątki będzie musiał przejść na emeryturę i otrzyma tytuł honorowy. Wówczas Knighta mianują profesorem królewskim. 'Jak czy inaczej ci dwaj różnią się od siebie jak dzień od nocy.

— To znaczy?

Wyglądem, temperamentem, wszystkim. Knight należy do angielskich młodych i ekscentrycznych geniuszy. Ma dopiero trzydzieści cztery lata, z wyglądu przypomina Aubreya Beardsleya. Widziałeś kiedyś zdjęcie Beardsleya? Ostrzyżony jak Buster Brown, głęboko osadzone oczy, nos jak dziób orła, wydatna dolna warga, duże uszy, długie ręce. Taki właśnie jest Florian Knight. Piskliwy głos, nerwowy sposób bycia, ale absolutnie genialny, jeśli chodzi o języki nowotestamentowe. Dwa lata temu Jeffries potrzebował kogoś, kto poprowadziłby badania dla jego zespołu tłumaczy w British Museum, gdzie mają bezcenne wczesne rękopisy Nowego Testamentu. Załatwił Knightowi urlop naukowy na uczelni oksfordzkiej, żeby mógł się przenieść do Londynu i pracować w muzeum jako czytelnik.

- Czytelnik? Co to takiego?

— Anglicy nazywają tak dokumentalistę. Z Knightem spotkasz się j jutro, a potem pojedzie z tobą do Amsterdamu jako jeden z twoich konsultantów. Będzie dla ciebie nieocenionym źródłem informacji do przygotowania kampanii reklamowej. Na pewno się dogadacie. Jest tylko jeden drobny feler. Doktor Knight poważnie niedosłyszy i używa aparatu słuchowego, to go krępuje i bywa rozdrażniony. Ale poradysz sobie. Potrafisz sobie zjednywać sympatię ludzi.

Podniosła pustą szklaneczkę, rzucając mu pytające spojrzenie.

— Jasne — rzekł Randall. — Mogę wypić jeszcze jednego. Dał znak kelnerowi i powtórzył zamówienie. Potem spojrzał na

Naomi Dunn. Upięte w kok włosy, prosty nos i wąskie wargi nadawały jej surowy wygląd. Jednakże po trzech szkockich szare oczy patrzyły łagodniej i aura sztywnej religijności nieco opadła. Ta kobieta coraz bardziej go zaciekawiała. Podczas pięciu dni podróży nie ujawniła niczego na swój temat. Zastanawiał się, czy ujawni teraz.

— Wystarczy już tej pracy, Naomi — powiedział. — Może porozmawiamy o czymś innym?

— Jak chcesz. A o czym?

— Na początek o mnie, o tym, jak mnie widzisz. Powiedziałaś przed chwilą, że poradzę sobie z Knightem, że potrafię sobie zjednywać ludzi. Co właściwie miałaś na myśli? To była ironia czy komplement?

Zanim odpowiedziała, zjawił się kelner, postawił przed nimi dwie szkockie i zabrał puste szklanki. Kiedy odszedł, Naomi podniosła w zamyśleniu swoją whisky i przechyliła głowę.

— Po pierwszym spotkaniu nie bardzo cię polubiłam. Właściwie byłam uprzedzona do ciebie, ponieważ nie cierpię ludzi reklamy. Tworzą fałszywy,

oszukańczy świat, zwodzą ludzi swoimi sztuczkami. Nie kojarzą się z prawdą i uczciwością.

— W większości rzeczywiście tak jest.

— No i zjawileś się ty, człowiek sukcesu, arogancki i lekceważący innych. Od razu poczułam do ciebie niechęć. Wydawało się, że traktujesz nas z wyższością, uważasz za bandę religijnych oszołomów.

Randall nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Zabawne — rzekł — bo kiedy pierwszy raz zobaczyłem ciebie, uznałem, że mnie nie lubisz, ponieważ nie jestem przepełniony poczuciem religijnej misji. — Przerwał. — Czy wciąż myślisz o mnie w ten sposób?

— Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy tutaj — odparła szczerze. — Podczas tych pięciu dni wspólnej podróży zaczęłam na ciebie patrzeć inaczej. Przede wszystkim mam wrażenie, że trochę się wstydzisz swojej profesji.

— W pewnym sensie to prawda.

— Odkryłam też, że jesteś wrażliwszy i delikatniejszy, niż początkowo sądziłam. Ta uwaga o zaskarbianiu sobie sympatii ludzi była komplementem. Potrafisz być czarujący.

— Dzięki. Wypijmy za to. Napili się.

— Naomi, jak długo pracujesz dla Wheelera w Mission House? — zapytał Randall.

— Pięć lat.

— A co robiłaś przedtem?

Zamilkła na chwilę, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

— Byłam zakonnicą — odrzekła. — Franciszkanką, przez... dwa lata. Siostrą Reginą. Jesteś zaskoczony?

Był bardzo zaskoczony, lecz starał się tego nie okazać. Pociągnął spory łyk szkockiej, wciąż patrząc na Naomi, i uzmysłowił sobie, że w swych niedawnych, zadziwiających fantazjach o tym, jak ją rozbiera — bo była taka świętoszko wata i sztywna — wyobrażał ją sobie zawsze w długim habicie zakonnicy.

Na jej pytanie odpowiedział pytaniem.

— Dlaczego odeszłaś?

— To nie miało nic wspólnego z wiarą — zaznaczyła. — W dalszym ciągu jestem tak religijna jak przedtem, no, prawie. Ale po prostu nie potrafiłam się przystosować do sztywnej reguły zakonnej i klasztornej życia. Właściwie, kiedy już podjęłam decyzję... co oznaczało wysłanie listu do papieża z prośbą o zgodę na moje odejście, którą otrzymuje się automatycznie... sądziłam, że powrót do świata świeckiego będzie łatwy. Nie byłam przecież sama. Na

świecie jest około miliona dwustu tysięcy zakonnic i w roku mojego odejścia z klasztoru tak samo postąpiło siedem tysięcy. A jednak było trudno, przeżyłam kryzys powrotu. Zabrakło nagle rutynowego porządku i reguł. Zabrakło nakazanych modlitw, ubioru, posiłków, pracy, okresów odosobnienia. Musiałam myśleć sama za siebie, sama organizować sobie czas, walczyć z wrażeniem bycia nagą w krótkich sukienkach, oswoić się z męskimi gramami. Przed wstąpieniem do klasztoru uzyskałam dyplom z literatury angielskiej, więc naturalna wydawała mi się praca w jakimś wydawnictwie. Mission House bardzo mi odpowiadało. Tak więc widzisz...

Przerwał jej przenikliwy okrzyk, płynący od wejścia do baru.

— Tutaj jesteście!

Głos należał do Darlene Nicholson. Szła ku nim szybko w obcisłym, uwydatniającym biust sweterku i opiętych spodniach.

— Szukałam was wszędzie — powiedziała do Randalla. — Pracujecie jeszcze?

— Właśnie skończyliśmy — odparł. — Napijesz się z nami?

— Nie, dzięki, jeszcze mam kaca po wczorajszej nocy. Dziwię się, że ty nie masz, kochanie.

— Dobrze się czuję i...

— Chciałam ci tylko powiedzieć, gdzie będę — oznajmiła Darlene, szukając w torebce programu dnia. — Puszczają ten słodki film, który nam się tak podobał, widzieliśmy go w zeszłym miesiącu na Trzeciej Alei, pamiętasz? O tej dziewczynie, która się związała z żonatym facetem, tylko że on udawał wdowca.

— A! tak — rzucił Randall.

— Chcę go zobaczyć jeszcze raz. — Zajrzała do programu. — O cholera, leci już od czterdziestu pięciu minut. No nic, zobaczę sobie chociaż część, końcówka i tak jest najlepsza. — Wrzuciła folder do torebki, nachyliła się i złożyła wilgotny pocałunek na ustach Randalla. — Pa, kochanie, zobaczymy się przed kolacją.

Zaczekali oboje, aż odejdzie. Randall podniósł szklanekę i spojrzał nieco zakłopotany na Naomi.

— Na czym skończyliśmy? — zapytał.

— Nieważne. Już dosyć ci opowiedziałam. — Dopiła swoją szkocką i przez kilka sekund mierzyła go wzrokiem. — Może za daleko się posunę, ale ciekawi mnie jedna rzecz — rzekła.

— Pytaj śmiało.

— Zastanawiam się, co taki mężczyzna jak ty widzi w dziewczynie w rodzaju Darlene. — Nim zdążył odpowiedzieć, dodała: — Wiem, że nie jest twoją sekretarką. Nie spała w swojej kabinie ani razu. Myślę, że jest twoją... że użyję tego niemodnego słowa... kochanką już od jakiegoś czasu.

— Tak, to prawda. Jestem od dwóch lat w separacji z żoną, a Darlene poznałem pół roku później. Mieszka ze mną.

— Rozumiem. — Naomi zacisnęła usta i nie patrząc na niego, spytała: — Czy jest w tym coś więcej niż seks z młodą dziewczyną?

— Obawiam się, że nie za bardzo — odparł. — Różnicę pokoleniową potrafimy przekroczyć tylko w łóżku. Ale to ucziwa dziewczyna i miło jest być z kimś takim.

Naomi odstawiła pustą szklanę na blat.

— Mogę się jeszcze napić — oświadczyła.

— Ja tak samo. Będziemy się dzisiaj czuli znakomicie.

— Już się czuję znakomicie.

Randall zamówił i po chwili drinki stały przed nimi. Pociągnął łyk i spojrzął na Naomi ponad obrzeżem szklanki.

— Ja także chciałbym ci zadać osobiste pytanie — rzekł. — Jak było po wyjściu z klasztoru? Jak było z mężczyznami?

— Marnie — mruknęła, bardziej do siebie niż do niego.

— Chodzi mi o to...

— Nie chcę o tym rozmawiać — przerwała mu szorstko. — Męczy mnie ta rozmowa. Pijmy.

Pili w milczeniu i Naomi pierwsza opróżniła swoją szklanę.

— Strzemiennego, Steve? — zapytała.

Skinął na kelnera i ledwie zdążył dopić swojego drinka, gdy stały już przed nimi dwie kolejne porcje bursztynowego płynu.

Naomi obserwowała go przymrużonymi szarymi oczami, sącząc szkocką.

— Żebyśmy nie zapomnieli — powiedziała. — Mam dla ciebie materiały dotyczące tłumaczenia. Musisz je przeczytać, zanim dopłyniemy. Zaraz ci to dam, jest w mojej kabinie.

— Możesz mi dać jutro.

— Teraz — odparła. — To bardzo ważne. Dopła whisky i nieco chwiejnie wstała.

Randall stanął przy niej i chciał ją ująć pod rękę, lecz przycisnęła ramię mocno do boku, odrzucając jego pomoc. Ruszyła krokiem damy do wyjścia z baru. Podążył za nią, czując się cudownie podchmielony.

Zjechali małą windą dwa piętra niżej. Naomi Dunn skierowała kroki w stronę luksusowych apartamentów Normandie Suite, przytrzymując się drewnianej poręczy.

Wyjęła klucz i wpuściła Randalla do pierwszego pokoju. Był przestronny i gustowny, skąpany w przyćmionym świetle lampy stojącej. Szara narzuta przykrywała prawdziwe łóżko, nie leżankę, ustawione na grubym dywanie. Randall miał wrażenie, że wszędzie wiszą lustra.

— Ładny pokój — pochwalił. — A gdzie jest kabina George'a?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — odwróciła się ku niemu.

— Tylko tyle, że on też mieszka w tym apartamencie, prawda?

— Tak, ale ja mam osobny pokój i swój klucz. Obok jest duży salon, a jego sypialnia jest po drugiej stronie, kilometr stąd. Salonu używamy do pracy. — Odwróciła się. — Znajdę te papiery dla ciebie. — Zdjęła z półki aktówkę i wyciągnęła z niej szarą kopertę. — Proszę — wręczyła mu ją oficjalnym gestem. — Usiądź i przejrzyj to sobie, ja muszę pójść do łazienki. Przepraszam.

Obrzucił sypialnię mętym spojrzeniem i usadowił się w końcu na skraju łóżka. Otworzył kopertę. Były w niej trzy komplety dokumentów. Trzy nagłówki odnosiły się do metod translatorskich trzech różnych wersji Biblii — Biblii króla Jakuba, Revised Standard Version i New English Bible. Maszynowe pismo rozmazywało mu się w oczach. Słyszał, jak Naomi Dunn krząta się za drzwiami łazienki, do jego uszu dotarł szum wody w spłuczce i w odkręconym kranie. Próbował wyobrazić ją sobie w ciężkim habicie, z plastikowo gładką, wiecznie młodą twarzą zakonnicy i nieodłącznym różańcem dyndającym u pasa.

Drzwi łazienki się otworzyły i wyszła z nich Naomi. Wyglądała dokładnie tak samo jak przedtem, z jedną różnicą. Zniknęła łagodność z jej twarzy, która znów zmieniła się w ściągniętą, nieprzystępną maskę.

Stała na wprost niego.

— I co myślisz? — spytała.

Randall podniósł kopertę i odłożył ją na nocny stolik.

— Ten materiał...

— Nie o materiale. O mnie.

Uniósł mimowolnie brwi, a ona podeszła i usiadła koło niego na łóżku.

— O tobie? — zdołał wykrztusić. Odwróciła się plecami do niego.

— Możesz mi pomóc? Rozepnij zamek — powiedziała. Wymacał suwak pod jej kokiem i pociągnął go powoli w dół aż

do pasa. Nylonowa sukienka rozchyliła się, ukazując kościsty kręgosłup i lekko śniade ciało. Naomi nie miała biustonosza, nie widział też elastycznego paska majtek. Ciągle siedziała plecami do niego.

— Czy to cię szokuje? — odezwała się nieco drżącym głosem. — Nie mam nic pod spodem. — Odwróciła się szybko, by spojrzeć mu w twarz, a jej sukienka przy tym ruchu zsunęła się z ramion. — Czy to cię podnieca?

Był zbyt zaskoczony, żeby się podniecić. I gdy tak patrzył na nią zmieszany, Naomi wysunęła z rękawów ręce i przycisnęła je do boków. Sukienka opadła do talii. Odchyliła do tyłu nagie ramiona i dwie małe, obnażone piersi mocniej się wyprężyły. Brązowe kręgi sutków zdawały się pokrywać większą część każdej z nich.

Randall poczuł gorąco spływające mu do ud.

— Czy ja cię podniecam? — zapytała Naomi.

Wsunęła dłoń między jego nogi i pocierała powoli palcami wewnętrzną stronę lewego uda. Czuł, jak penis rośnie pod jej ręką, a potem dłoń zacisnęła się wokół pełnego wzwodu.

— Uwielbiam to — szepnęła. — Uwielbiam. Zrób mi to samo. No już.

Objął ją jednym ramieniem i przycisnął do siebie, a wolną rękę wsunął pod sukienkę, czując ciepło skóry. Głaskał jej nogę, aż dłoń dotarła do włosów łonowych.

— Naomi — wymruczał — może byśmy... — Zaczekaj, Steve, rozbiore cię.

Z jej pomocą zdjął szybko ubranie i odrzucając szorty, ujrzał, że ona też jest już całkiem naga. Za moment leżeli na łóżku, zwróceni do siebie twarzami. Chciał ją przytulić, żeby ich ciała się zetknęły, ale Naomi wygięła się w łuk i nie pozwoliła mu na to.

— Co robisz z Darlene, Steve? — zapytała.

— Co robię? To znaczy, kiedy się... No, oczywiście, wchodzę w nią.

— Czy robicie coś jeszcze?

— Ja... Próbowałem, ale... skoro musisz wiedzieć, to ona jest trochę... zablokowana.

— Więc wiedz, że ja nie jestem.

— To dobrze, kochanie, ale teraz...

— Steve, ja się nie pieprzę. Nie lubię tego. Ale robię wszystko poza tym, wszystko, co zechcesz.

Roluźnił uścisk.

— To znaczy?

— Nie traćmy czasu, Steve. Jestem gotowa. Pokażę ci. Szybko ukłękła, odwracając ku niemu plecy i wąskie pośladki, usiadła okrakiem na jego piersi i rozciągnęła się na nim. Jej dłonie objęły jądra, język zatrzepotał wokół czubka penisa, a po chwili zamknęły się na nim jej usta.

Widział nad sobą wydatne wargi sromu. Ściskając jej pośladki, przysuwał ją coraz bliżej.

Puściła go i zaczęła jęczeć, wykręcając ciało w różne strony.

— Nie, nie, nie... nie rób... o tak, jeszcze, nie przestawaj... Nagle zamarła i ścisnęła mocno jego głowę udami, przyciskając wznórek łonowy do jego twarzy. Z jej gardła wyrwał się chrapliwy krzyk, ciało zadygotało, a potem zrobiło się bezwładne. Naomi powoli zsunęła się z niego.

— Przepraszam, Steve, że nie dokończyłam, ale...

— Rozluźnij się.

— Nie mogę, dopóki ty nie będziesz rozluźniony.

Leżał bez ruchu na plecach. Poczł jej chłodną rękę na oklapniętym penisie, a potem dotyk ust i po chwili pełna erekcja wypełniła dłoń Naomi. Randall zamknął oczy. Dyszał ciężko, jego ręka odnalazła poruszającą się głowę Naomi, próbując ją przytrzymać.

Tracił poczucie miejsca i czasu. Był już daleko, wznosił się, wirował.

— Achhh! — krzyknął, czując, jak wszystko z niego wypływa, jak opróżnia się jego umysł, trzewia, nabrzmiałe krocze. Ogarnęło go wrażenie całkowitego uwolnienia i opadł na łóżko, bezwładny i cudownie zaspokojony.

Słyszał, jak Naomi wstaje i wchodzi do łazienki, słyszał odgłos spuszczonej wody. Po chwili wróciła. Niechętnie otworzył oczy. Siedziała koło niego na łóżku.

Wciąż był naga i trzymała mały ręcznik. Wycierając go delikatnie, nie spuszczała z niego wzroku. Nie uśmiechała się, lecz z jej twarzy zniknął wyraz surowości.

Nie wiedział, co powiedzieć, lecz musiał jakoś wypełnić tę ciszę.

— No cóż, jeżeli zgrzeszyliśmy, to nie my pierwsi... i było to przyjemne — rzekł w końcu.

Jej przemiana wprowadziła go w zakłopotanie. Łagodna twarz natychmiast zastygła w wyrazie formalnej dezaprobaty.

— To wcale nie jest śmieszne, Steve — stwierdziła.

— Dajże spokój, Naomi, co jest z tobą?

Sięgnął ku niej, lecz uchyliła się i wstała z łóżka, czekając w milczeniu, aż wejdzie do łazienki. Kiedy wrócił, żeby się ubrać, ona udała się do łazienki, lecz przystanąła w drzwiach.

— Dziękuję ci — powiedziała. — I proszę cię tylko o jedno. Zapomnij, że to się w ogóle wydarzyło. Zobaczymy się na kolacji.

Pięć minut później wyszedł z jej kabiny i stanął na korytarzu, paląc fajkę i rozmyślając nad całym zdarzeniem.

To seksualne spotkanie nie zostawiło po sobie dobrego samopoczucia. Widział je w retrospekcji jako akt pozbawiony radości, budzący teraz niesmak... nie wobec Naomi, lecz wobec samego siebie. Nie czuł się jednak źle z powodu natury tego aktu, miewał już bowiem stosunki oralne z kobietami, a one z nim. Jeśli oboje partnerzy się zgadzali, jeśli działo się to naturalnie i nikomu nie szkodziło, a jednocześnie miało posmak miłości, według jego kodeksu było w porządku. W gruncie rzeczy wiedział jednak, że nawet gdyby kochał się z Naomi normalnie, i tak czułby do siebie odrazę.

Zastanawiał się, czy nie biczuje się bez powodu. Lecz powód był. Wybierając się w tę podróż ku Drugiemu Zmartwychwstaniu, starając się ignorować wątpliwości co do prawdziwości całego projektu i jego wartości, żywił zarazem nadzieję na zmianę swego życia. Działał w dobrej intencji. Ta zmiana miała być początkiem, wędrówką nadającą znaczenie jego egzystencji, chciał dzięki niej odnaleźć coś, w co mógłby uwierzyć i stać się człowiekiem, który nie musiałby się już wstydzić siebie.

A jednak przed chwilą, na łóżku w kabinie Naomi znowu wyrzekł się dobrych intencji. Zaangażował się w to, co zawsze robił z kobietami — seks bez miłości, kontakt cielesny bez ludzkiego ciepła, spełnienie bez głębi. Kolejny raz wziął udział w cynicznym i bezwartościowym spotkaniu dwóch nagich ciał, zwierzęcym spółkowaniu (w pewnym sensie), które nie wzbogacało nikogo ani uczuciowo, ani duchowo. Poczucia winy nie mógł też zmniejszyć, przekonując siebie, że to on został uwiedziony. Freud, Adler i Jung wiedzieliby swoje i on też wiedział swoje. Podświadomie chciał dobrać się do Naomi od chwili, kiedy postawił stopę na pokładzie. Nie pragnął jej z miłości, lecz dlatego, że wydawała się taka niedostępna i pruderyjna, a sukces mógł mu dostarczyć dreszczyku taniej emocji. Łaknął kolejnego szmatławego zwycięstwa, żeby nakarmić czymś pustą duszę. Emanował tym pożądaniem, ona zaś, ta mała piczka-zasadniczka, pochwyciła w lot tę wibrację.

A teraz było po wszystkim i odczuwał przyjemność mniej więcej taką, jak na kacu po taniej whisky.

Jednakże z drugiej strony, pomyślał, kierując się do windy, w pewien dziwny sposób miało to swoją wartość. Dostał dobrą lekcję. A raczej przypomniano mu lekcję, jaką przyswoił sobie już po kilku latach kariery w branży reklamowej.

Brzmiała ona mniej więcej tak:

Nie ma świętych, są tylko grzesznicy. Z tak spaczonego drewna, z jakiego zrobiony jest człowiek, nie da się zbudować czegoś prostego. Powiedział to Immanuel Kant.

Naomi, była zakonnica, głęboko wierząca, ambasador wydawnictwa propagującego samo dobro, a jednocześnie zwyczajny śmiertelnik, istota ludzka ze wszystkimi słabościami, które właściwe są ludzkiemu ciału. Taka jak on. Jak wszyscy.

Otrzymał lekcję i nie wolno mu jej zapominać. Drugiego Zmartwychwstania nie prowadzili bogowie i ich anioły, tak samo jak Międzynarodowy Nowy Testament nie skrywał Jezusa, Syna Człowieczego. W każdym z tych świętoszków był człowiek, dwunożna istota usiłująca stać prosto i więcej już nie upadać.

Poczuł się trochę lepiej.

Jutro i w ciągu kolejnych dni nie będzie skazany na czyściec, podczas gdy pozostali będą przebywać w niebie. W obliczu prawdy był po prostu jednym z nich, a wszyscy razem przebywali w piekle.

Ostatnia kolacja na pokładzie S/s France dobiegała końca.

Posiłek zamówiony wcześniej przez George'a L. Wheelera, od kawioru po płonące naleśniki, był dość ciężki, Randall jednak jadł niewiele i wiedział, że służy mu ta powściągliwość.

Czuł ciepło buchające zza pleców, z miejsca, gdzie kelner przygotowywał naleśniki, i choć Darlene zachwycała się tym wyrafinowanym deserem, nie miał na niego ochoty. Pomimo brzęczenia telewizora przespał się trochę w kabinie, wziął prysznic i kac za bardzo mu nie dokuczał, ale apetytu nie miał.

Rozejrzył się wokół stolika usytuowanego w głębi iskrzącej się światłami jadalni Chambord z usianym gwiazdami sufitem, okolonym jasnymi lampami. Po jego lewej Darlene badała cierpliwość młodego stewarda, zwracając się do niego w okropnej, szkolnej francuszczyźnie. Po prawej siedziała Naomi Dunn z rękami złożonymi sztywno na podołku. Chłodna i pełna rezerwy, odzywała się tylko, gdy się do niej zwracano. Próbował przywołać wspomnienie jej nagości, jej mons veneris i konwulsyjny orgazm. Nie potrafił. Było to równie niemożliwe do wyobrażenia jak naruszenie cnoty westalki.

Krzesło naprzeciw niego było puste. Niecały kwadrans wcześniej George L. Wheeler został wezwany przez pokładowy interkom. Miał pilny telefon z Londynu.

— A któż to, u diabła, dzwoni o tej porze? — burknął wydawca, przetykając ostatni kęs szatobrianda i odsuwając krzesło. Ruszył ciężkim

krokiem między stolikami, pomstując na ten nowy zwyczaj, a potem wspiął się po wyłożonych dywanami schodach na główny pokład, do kabiny radiowej.

Przyglądając się bezmyślnie, jak steward nakłada Darlene płonący naleśnik, Randall usłyszał głos Naomi.

— Pan Wheeler już wraca, proszę mu także podać deser — zwróciła się do szefa stołu.

Wydawca zszedł szybko schodami i wkroczył między stoliki. Kiedy się zbliżył, widać było wyraźnie, że jest rozdrażniony.

— Przekłęty pech — rzucił, opadając na krzesło. Założył serwetkę i siedział z niezadowoloną miną.

— Co się stało, panie Wheeler? — spytała w końcu Naomi.

Mężczyzna jakby dopiero zauważył obecność innych osób przy stole.

— Dzwonił profesor Jeffries. Możemy mieć kłopoty.

Szef stołu zbliżył się, żeby mu osobiście podać deser, lecz Wheeler odmówił szorstkim gestem dłoni.

— Nie mam nastroju na słodkości. Niech mi pan lepiej przyniesie świeżej amerykańskiej kawy.

— Jakiego rodzaju kłopoty? —? dopytywała się ostrożnie Naomi. Wheeler zignorował ją i zwrócił się wprost do Randalla.

— Jeffries był mocno zaniepokojony. Rozumie, jak mało czasu ci zostało na przygotowanie kampanii promocyjnej, Steve. Wie, że nie możemy pozwolić sobie na opóźnienia i zwłokę. Jeżeli Florian Knight nie będzie osiągalny w odpowiedniej chwili, możemy mieć trudności.

Randall był zaskoczony, wydawca nie zwykł bowiem mówić ogródkami.

— Dlaczego doktor Knight miałby być nieosiągalny? — zapytał.

— Przepraszam, Steve, zaraz to wyjaśnię. Profesor Jeffries przyjechał dzisiaj z Oksfordu, żeby się spotkać z Knightem w British Museum. Miał go poinformować, że został przydzielony do Drugiego Zmartwychwstania jako twój konsultant i że ma jechać z tobą do Amsterdamu. Knight to najwartościowszy z zatrudnionych przez nas naukowców, młody człowiek o głębokiej i rozległej wiedzy. Jest nie tylko znawcą języków nowotestamentowych, lecz także całej biblijnej spuścizny pierwszego stulecia, całego tła Pisma Świętego. Omówili więc ogólnie to nowe zadanie, a później mieli się spotkać na wczesnej kolacji i porozmawiać o niezbędnych szczegółach. Przed kilkoma godzinami, gdy Jeffries wychodził już z klubu na spotkanie, otrzymał telefon od młodej kobiety, narzeczonej Floriana Knighta. Poznałem ją kiedyś, to inteligentne młode stworzenie. Nazywa się Valerie

Hughes. Poinformowała Jeffriesa w imieniu Knighta, że kolacja nie dojdzie do skutku, bo jej narzeczony nagle zachorował. Chyba dosyć poważnie, bo odwołał także jutrzejsze spotkanie z nami.

— Czy to aż taki problem? — zapytał Randall. — Nawet jeżeli nie porozmawiam z Knightem jutro, mogę przecież...

— Nie chodzi o jutro — przerwał mu Wheeler. — Sęk w tym, że Knight przekazał przez pannę Hughes, że w przewidywalnej przyszłości nie wydobreje na tyle, żeby móc pracować z nami w Amsterdamie. I kropka. Jeffries był tak zbity z tropu, że już nie badał głębiej tej historii. Zapytał tylko pannę Hughes, kiedy mógłby zadzwonić do swego asystenta, na co ona wybąkała, że musi się najpierw skonsultować z lekarzem Knighta. I rozłączyła się. Bardzo to dziwne. I niepokojące. Jeżeli Knight odpadnie, to będzie, powiem bez ogródek, poważny cios.

— Tak—rzekł Randall powoli — to rzeczywiście bardzo dziwne. Darlene, która słuchała tylko jednym uchem, machnęła widelcem z kawałkiem naleśnika w stronę Wheelera.

— O, w takim razie, skoro nie mamy się z kim spotkać w Londynie, może popłyniemy od razu do Hawru?

Wheeler zgromił ją wzrokiem.

— Mamy się z kim spotkać w Londynie, panno Nicholson, i nie popłyniemy do Hawru. — Zwrócił się znów do Randalla. — Umówiłem nas z Jeffriesem jutro o drugiej po południu w British Museum. Będę nalegał, żeby użył swego autorytetu i zmusił Knighta do udziału w pracach, gdy tylko wyzdrowieje.

Randall namyślał się chwilę, a potem zapytał, niemal od niechcienia:

— George, nie powiedziałaś nam jeszcze, co jest Knightowi. Na co on właściwie zachorował?

Wheeler wdrygnął się zaskoczony.

— Na Boga, Steve, ty wiesz, że... Jeffries w ogóle mi tego nie powiedział. To dobre pytanie na jutro, nie sądzisz?

Nazajutrz, kiedy jechali limuzyną z kierowcą z hotelu Dorchester na Park Lane do majestatycznego British Museum w Bloomsbury, Londyn był mglisty i posepny, co nie poprawiało im wcale humorów. Na tylnym siedzeniu jechało ich troje, Darlene wyruszyła bowiem na wycieczkę z przewodnikiem po mieście — do opactwa Westminster, Piccadilly Circus, Tower i pałacu Buckingham.

Gdy podjechali pod rzędy potężnych kolumn przy Great Russell Street, Randall przypomniał sobie nagle swoją jedyną wizytę w British Museum, z Barbarą i małą Judy.

Pamiętał wielką sferyczną czytelnię, krąg za kręgiem półek z książkami i stanowiskiem informacyjnym na środku, pamiętał skarby w przyległych salach i w galeriach na piętrze. Wielkie wrażenie zrobiły na nim eksponaty: mapa z roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego, obrazująca wyprawę sir Francis Drake'a dookoła globu, pierwsze wydanie dramatów Szekspira in folio, wczesny rękopis staroangielskiego poematu Beowulf, dzienniki okrętowe lorda Nelsona, dziennik kapitana Scotta z wyprawy na biegun, błękitna figura konia z epoki Tang, kamień z Rosetty z hieroglifami wyrytymi w roku sto dziewięćdziesiątym szóstym przed Chrystusem.

Profesor Jeffries powitał ich we frontowym holu i poprowadził po marmurowej posadzce do gabinetu kustosa na pierwszym piętrze, gdzie pracował dotąd Florian Knight. Profesor wyglądał właśnie tak, jak go opisała na statku Naomi. Niewysoki, o beczkowatej klatce piersiowej, zmierzwionych siwych włosach, małej głowie ze łzawiącymi oczkami, z różowym nosem o dużych porach, niechlujnym wąsem, pomarszczony, w prążkowanej muszce i z wiszącymi na szyi binoklami. Jego niebieski garnitur domagał się prasowania.

Rozkojarzony profesor Jeffries szedł przodem wraz z Wheelerem, a Randall z Naomi za nimi. Randall zastanawiał się, czy wydawca wspomni nazwisko Floriana Knighta, i w tym momencie Wheeler, jakby odebrał tę myśl telepatycznie, zapytał:

— A przy okazji, profesorze, jak poważnie jest chory doktor Knight? Chciałem pana o to zapytać już wczoraj. Co mu właściwie dolega?

Jeffries jakby nie usłyszał pytania. Zwolnił i przystanął, zagubiony w myślach, po czym obejrzał się na Randalla.

— Musi pan zobaczyć jedną rzecz, panie Randall, póki jesteśmy na parterze. Najważniejsze egzemplarze Nowego Testamentu oraz Codex Sinaiticus i Codex Alexandrinus. Z pewnością, hm... niejednokrotnie usłyszy pan ich nazwy podczas waszych dyskusji. Jeżeli ma pan czas, proponuję rzucić na nie okiem.

Nim Randall zdążył odpowiedzieć, Wheeler zrobił to za niego.

— Oczywiście, profesorze, Steve chce zobaczyć wszystko. Proszę prowadzić. Steve, podejdź tu do nas, Naomi nie będzie się czuła opuszczona.

Randall zrównał się z Jeffriesem, który skręcił na prawo.

— To zaraz za salonem manuskryptów, w repozytorium zarezerwowanym dla naszych najcenniejszych okazów, pokoju Magna Charta — rzekł uczony.
— Czy pan wie, hmm... że do czasu najnowszego niezwykłego odkrycia w Ostii najstarszym fragmentem Pisma był skrawek Ewangelii świętego Jana, wielkości siedem na pięć centymetrów, odnaleziony w kupie śmieci w Egipcie i zapisany przed sto pięćdziesiątym rokiem? Następnie mamy papirus zdobyty przez Chestera A. Beatty'ego, Amerykanina mieszkającego w Londynie, oraz papirus Martina Bodmera, szwajcarskiego bankiera, datowany w przybliżeniu na dwusetny rok. Oczywiście jeden fragment, Drugi Papirus Bodmera... — zwolnił, obrzucając

Randalla rozbawionym spojrzeniem — ...ale to pana nie zainteresuje. Proszę wybaczyć, gdy wpadam w przesadną pedanterię.

— Jestem tu po to, żeby się uczyć, profesorze — odrzekł Randall.

— Ehe... no tak. I powinien pan. Młodszy badacze, tacy jak Florian, przysłużą się panu lepiej. Proszę jednak posłuchać. Z wyjątkiem Ewangelii Jakuba i Pergaminu Petroniusza, znalezisk z Ostii... te zawsze będą wyjątkiem, żadne bowiem z biblijnych odkryć nie dorównuje im znaczeniem... uszeregowałbym najwartościowsze z pozostałych odkryć, dokonanych w ciągu ostatnich dziewiętnastu stuleci, w sposób następujący. — Jeffries przystanął w drzwiach salonu manuskryptów, przemyśli wuj ąc najwyraźniej nad historyczną wartością rękopisów. — Na pierwszym miejscu — ciągnął — będzie pięćset zwojów i pergaminów odkrytych w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym w pobliżu Kumran. Są one znane pod nazwą zwojów znad Morza Martwego. Drugi jest Codex Sinaiticus, Kodeks Synajski, znaleziony w nienaruszonym stanie w klasztorze świętej Katarzyny na górze Synaj w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym. Jest to Nowy Testament skopiowany w czwartym wieku po grecku i zamierzam go właśnie panu pokazać. Trzecie pod względem ważności są teksty odkryte w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku pod Nadż Hammadi w Górnym Egipcie. To znalezisko składa się z trzynastu papirusów zachowanych w kamionkowych dzbanach, odkrytych przez rolnika, który kopał próchnicę na nawóz. W tych pismach z czwartego wieku znalazło się sto czternaście wypowiedzi Jezusa, w tym wiele nieznanych aż do odkrycia tej koptyjskiej biblioteki. Czwarty jest Codex Vaticanus, Kodeks Watykański, grecka Biblia napisana około roku trzysta pięćdziesiątego, przechowywana obecnie w Bibliotece Watykańskiej. Jej pochodzenie jest nieznane. Piąty, własność British Museum, Codex Alexandrinus, jest tekstem napisanym po grecku na welinie przed piątym wiekiem. Znalazł się on w Londynie jako dar patriarchy

Konstantynopola dla króla Karola Pierwszego w roku tysiąc sześćset dwudziestym ósmym.

— Głupio mi przyznać się do ignorancji — rzekł Randall — ale ja nawet nie wiem, co oznacza słowo kodeks.

— Mądrze pan robi, prosząc o wyjaśnienia — odparł zadowolony Jeffries. — Co do słowa kodeks, hm... jego korzeniem jest łacińskie *caudex*, co oznacza pień drzewa. Ma to związek z dawnymi tabliczkami do pisania, wykonanymi z nawoskowanego drewna. Właściwie kodeks był początkiem książki, jaką znamy dzisiaj. W czasach Chrystusa pisma niechrześcijańskie sporządzano głównie na papirusie bądź pergaminie, czyli zwojach, co było wyjątkowo nieporęczne dla czytającego. W drugim stuleciu został wprowadzony właśnie kodeks. Papirus zaczęto ciąć na arkusze i zszywać ich lewą krawędź. Był to, jak powiedziałem, początek nowoczesnej książki. Tak więc... ile już wymieniłem najważniejszych odkryć biblijnych, nie licząc tych z antycznej Ostii?

— Pięć, profesorze — powiedział Wheeler.

— Dziękuję, George. — Jeffries znów ruszył wolnym krokiem. — Panie Randall, muszę wspomnieć o jeszcze czterech, już bez szeregowania ich. Byłoby przeoczeniem, gdybym przemilczał... szczególnie jako tłumacz i badacz tekstów... odkrycie młodego niemieckiego biblisty, pastora Adolfa Deissmana. Przed Deissmanem tłumacze Nowego Testamentu z greckiego, którzy wiedzieli, jak biblijna greka różni się od literackiej, przypuszczali, że jest to specjalna, czysta odmiana tego języka, swoista święta greka, zastosowana wyłącznie w Nowym Testamencie. W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, po przebadaniu licznych greckich papirusów, znalezionych w ciągu poprzednich stu lat... liczących dwa tysiące lat listów, budżetów domowych, rachunków, umów i petycji... Deissman mógł obwieścić, że ta właśnie kolokwialna greka, język codzienny, język ulicy, który nosi nazwę *koiné*, była greką użytą przez autorów Ewangelii. To spowodowało rewolucję w następnych przekładach Biblii. — Profesor Jeffries znów spojrzał spod oka na Randalla. — Do trzech pozostałych znalezisk można by zaliczyć odkrycie grobu świętego Piotra na starożytnym cmentarzysku dziesięć metrów pod terenem obecnego Watykanu, zakładając, że jest on autentyczny. W każdym razie doktor Margherita Guarduci odszyfrowała zakodowaną inskrypcję, wyrytą w kamieniu znalezionym pod nawą bazyliki, datowaną na rok sto sześćdziesiąty. Głosi ona: „Piotr jest tu pochowany”. Następnie odkrycie w Izraelu, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim, bloku kamiennego z wyżłobioną dedykacją dla

cesarza Tyberiusza przed rokiem trzydziestym siódmym. Jest na nim nazwisko Poncjusza Piłata wraz ze słowami prefectus Udea. Tytuł ten został potwierdzony w Pergaminie Petroniusza. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym dokonano naprawdę wielkiego odkrycia. W Givat ha-Mivtar w Jerozolimie odnaleziono kamienny sarkofag ze szkieletem człowieka i z wypisanym po aramejsku na trumnie imieniem Yehohanan. W przedramionach i stopach szkieletu tkwiły siedmiocalowej długości gwoździe. Te mające dwa tysiące lat szczątki były pierwszym znaleziskiem, które przedstawiało człowieka ukrzyżowanego w czasach nowotestamentowych w Palestynie. Znane są historie, które o tym mówiły — ewangelie, według których przydarzyło się to Jezusowi. Ale dopiero odkopanie szczątków Yehohanana potwierdziło prawdziwość tych przekazów. Jeffries wskazał swym binoklem przed siebie.

— To tutaj.

Minęli już gabloty salonu manuskryptów i kierowali się ku drzwiom do następnej sali. Obok nich ustawiono tablicę z napisem:

ODDZIAŁ RĘKOPISÓW POKÓJ BADAŃ CODEX SINAITICUS
MAGNA CHARTA SPUŚCIZNA SZEKSPIRA

Strażnik przy wejściu, ubrany w czarną czapkę, szarą kurtkę i czarne spodnie, powitał Jeffriesa przyjaznym salutem. Zaraz po prawej zobaczyli długą, metalową gablotę o szybach zasłoniętych niebieską tkaniną.

— Codex Alexandrinus — mruknął profesor, odsuwając połowę zasłony. — Hhm... nie, nie będziemy się nim teraz zajmować, nie jest taki istotny. — Delikatnie odsłonił drugą część gabloty i nałożywszy na nos binokle, uśmiechnął się szeroko na widok leżącego za szkłem otwartego tomu. — Oto on. Jeden z trzech najważniejszych rękopisów Biblii. Codex Sinaiticus.

Steve Randall i Naomi podeszli bliżej i spojrzeli na zbrązowiałe welinowe karty, każda pokryta była czterema kolumnami równego greckiego pisma.

— Patrzycie na ustępy z Ewangelii według Łukasza — powiedział Jeffries. — Tu w rogu jest kartka z opisem.

Randall odczytał tekst wydrukowany na małym kartoniku. Kodeks otwarto na Łukaszu 23,14. U dołu trzeciej kolumny na lewej stronicy znajdował się opis cierpień Chrystusa na Górze Oliwnej. Wielu tłumaczy nie знаło tych wersów i nie umieścili ich w swoich przekładach.

— W pierwotnym stanie rękopis zawierał prawdopodobnie siedemset trzydzieści kart — rzekł Jeffries. — Zachowało się trzysta dziewięćdziesiąt, z czego dwieście czterdzieści dwie poświęcone Staremu Testamentowi, a sto czterdzieści osiem zawiera kompletny Nowy Testament. Welin zrobiony

został ze skór owczych, a także kozich. Sam tekst, w całości napisany kapitalikami, wyszedł spod rąk trzech różnych skrybów, najpewniej przed trzysta pięćdziesiątym rokiem. Już sam fakt, że zachowała się tak duża część kodeksu, to materiał na niezłą historię kryminalną. Czy słyszał pan kiedyś nazwisko Constantin von Tischendorf? — zapytał Randall.

Ten pokręcił głową. Nie znał tego dziwnego nazwiska, lecz zaintrygowało go.

— Oto więc w skrócie nasz kryminał — powiedział uczony z wyraźnym upodobaniem. — Tischendorf był niemieckim bibliistą. Buszował wciąż po Bliskim Wschodzie w poszukiwaniu starożytnych rękopisów. Podczas jednej z takich podróży wybrał się na górę Synaj w Egipcie do otoczonego murem klasztoru świętej Katarzyny. Idąc klasztornym korytarzem, spostrzegł duży kosz na śmieci, najwyraźniej pełen postrzępionych rękopisów. Przyjrząwszy się im bliżej, stwierdził, że są to arkusze starożytnego pergaminu. Zawartość dwóch podobnych koszy spalono już jako śmieci, a ten ostatni czekał na swoją kolej. Tischendorf przekonał mnichów, żeby mu przekazali ocalałe rękopisy do zbadania. Przebierając je, znalazł sto dwadzieścia dziewięć kart Starego Testamentu po grecku. Mnisi, świadomi teraz ich wartości, pozwolili mu zatrzymać czterdzieści trzy karty, które zabrał ze sobą do Europy i pokazał królowi Saksonii.

— Nie były częścią tego kodeksu? — dopytywał Randall.

— Cierpliwości — odrzekł uczony. — Po dziewięciu latach Tischendorf powrócił do klasztoru na kolejne łowy, lecz zakonnicy nie byli skłonni do współpracy. Nie poddał się jednak i czekał. Minęło jeszcze pół roku i w styczniu tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego nieustępliwy Niemiec ponownie zjawił się na górze Synaj. Ostrożniejszy tym razem, nie nagabywał mnichów o stare rękopisy. Ostatniego wieczoru natomiast wciągnął klasztornego administratora w dyskusję na temat zabytkowych egzemplarzy Biblii. Zakonnik, chcąc popisać się erudycją, pochwalił mu się, że bada jeden z najstarszych okazów. Sięgnął następnie na półkę nad drzwiami swej celi, gdzie trzymał kubki do kawy, i wyjął stamtąd gruby pakunek owinięty czerwoną tkaniną. Rozwinął go i oczom Tischendorfa ukazał się Codex Sinaiticus, zawierający najstarszy kompletny tekst Nowego Testamentu. — Jeffries się roześmiał. — Można sobie tylko wyobrazić emocje pastora Tischendorfa, bliskie zapewne tym, jakich doświadczył Kolumb na widok Nowego Świata. Po wielomiesięcznych wysiłkach Tischendorfowi udało się przekonać mnichów, że powinni podarować księgę patronce kasztom, ni mniej, ni więcej, tylko rosyjskiej carycy Katarzynie. Codex Sinaiticus

pozostał w Rosji aż do rewolucji październikowej i czasów Lenina i Stalina. Komunistów Biblia nie interesowała i aby zdobyć pieniądze, próbowali ją sprzedać Stanom Zjednoczonym, ale bezowocnie. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim rząd brytyjski i British Museum zgromadziły żadaną kwotę, sto tysięcy funtów, nabyły kodeks i oto leży tu przed nami. Niezwykła historia, czyż nie?

— Bardzo niezwykła — zgodził się Randall.

— Poświęciłem jej tyle czasu — rzekł Jeffries — żeby docenił pan w pełni jeszcze lepszą... tę o wykopaliskach profesora Montiego w antycznej Ostii i znalezieniu Ewangelii według Jakuba, starszej od Codex Sinaiticus o niemal trzysta lat, od ewangelii kanonicznych o pół wieku, przypisanej krewnemu Jezusa i naocznemu świadkowi sporej części jego żywota. Być może teraz, panie Randall, doceni pan znaczenie tego niesłychanego podarunku, o którym ma pan wkrótce obwieścić światu. A zatem udajmy się już może do gabinetu doktora Knighta na piętrze i zajmijmy praktyczną stronę pańskiego zadania. Proszę za mną.

Cała trójka weszła za nim po stromych schodach. Otwierając drzwi i wpuszczając ich do środka, profesor oznajmił:

— Gabinet asystenta kustosza, kwatery główna doktora Floriana Knighta.

Był to typowy pokój uczonego, w którym się pracuje i mieszka. Wypełniały go od sufitu do podłogi półki z książkami. Podręczne tomy, papiery i pakunki leżały na stołach i na dywanie. Wydawało się, że nie ma już miejsca na stare biurko pod oknem, szafkę na akta, kanapę i jedno czy dwa krzesła.

Jeffries, nieco zdyszany po wspinaczkę, usadowił się za biurkiem. George Wheeler i Naomi Dunn zajęli kanapę, a Randall przysunął sobie krzesło i usiadł tuż przy nich.

— Może, hm... wolelibyście pójść do bufetu i porozmawiać przy herbacie? — zapytał Jeffries.

— Nie, nie, profesorze — zaproponował Wheeler. — Tak jest dobrze.

— To świetnie, bo ze względu na charakter naszej konwersacji lepiej jest rozmawiać na osobności. Na początek muszę stwierdzić, że niewiele mam do dodania na temat naszego młodego... hm...

Floriana, doktora Knighta. Bardzo mnie zaniepokoiło i zakłopotało jego dziwne zachowanie, a także brak kontaktu. Od czasu połączenia telefonicznego ze statkiem nie udało mi się porozumieć ani z nim, ani z jego narzeczoną, panną Valerie Hughes. Panie Wheeler, proszę wybaczyć moje roztargnienie, ale zdaje się, że pytał pan przedtem o tę kwestię?

Wheeler wstał z kanapy i przeniósł się na krzesło obok biurka.

— Tak, profesorze, zapomniałem zapytać o to wczoraj. Co to za nagła choroba, na którą zapadł Knight? Co mu właściwie jest?

— Sam chciałem to wiedzieć, George — odparł Jeffries, skubiąc nerwowo wąsy. — Panna Hughes tego mi nie wyjaśniła i właściwie nie miałem możliwości zapytać. Powiedziała tylko, że Florian dostał wysokiej gorączki i musiał się położyć do łóżka. Jego lekarz stwierdził, że przede wszystkim potrzeba mu długiego odpoczynku.

— Wygląda mi to na załamanie nerwowe — rzekł Wheeler i skinął głową do Randalla. — Co o tym sądzisz, Steve?

Randall uznał tę diagnozę za mało prawdopodobną, lecz odpowiedział poważnie:

— Skoro to było załamanie, to jego oznaki, jakieś sygnały ostrzegawcze, powinny być widoczne już od pewnego czasu. — Spojrzał na Jeffriesa. — Czy zauważył pan, profesorze, coś dziwnego w zachowaniu doktora Knighta? Może opuścił się w pracy w ostatnich miesiącach?

— W żadnym razie — oświadczył Jeffries. — Florian wykonywał sumiennie, wręcz znakomicie, wszystkie zlecone przeze mnie zadania. Jest specjalistą od greki, perskiego, arabskiego, hebrajskiego oraz oczywiście aramejskiego, języka, z którym najczęściej mamy do czynienia w tej pracy. Jako dokumentalista spisywał się bez zarzutu, dostawałem dokładnie to, o co prosiłem. Zrozumcie pewną rzecz. Człowiek o takiej wiedzy jak doktor Knight nie musi tłumaczyć aramejskiego z papyrusu słowo po słowie. Zazwyczaj czyta tekst bezpośrednio z taką łatwością, z jaką czytałby po angielsku poranną gazetę. Poziom jego przekładów z aramejskiego, hebrajskiego czy greki na angielski dla Komisji Pięciu w Oksfordzie był zawsze wysoki, były najwierniejsze.

— Czy można powiedzieć, że nie popełniał błędów, szczególnie w ciągu ostatniego roku? — dążył Randall.

Profesor Jeffries mierzył go przez chwilę spojrzeniem.

— Drogi panie, człowiek bywa omylny i w swojej pracy zawsze może popełnić błąd. To dzięki takim błędom, a także dzięki nowej wiedzy zawartej w wykopaliskach oraz postępom w dziedzinie ideologii uczeni zyskują motywację do tłumaczenia Biblii ciągle na nowo. Wyjaśnię to na przykładzie, żeby pan lepiej zrozumiał pułapki czyhające na naszego Floriana. Weźmy słowo pim, które pojawia się w Biblii tylko raz, w Księdze Samuela. Tłumacze uważali zawsze, że pim oznacza narzędzie i uznali je za rodzaj pilnika stolarskiego. Niedawno jednak odkryli, że pim to miara wagi,

podobnie jak słowo szekel, i w ostatnich wydaniach użyto go już prawidłowo. Inny przykład. W dawniejszych Bibliach angielskich wers z Izajasza, rozdział siódmy wiersz czternasty, brzmiał: „Patrzajcie, oto dziewica pocznie”. Uważano to przez wiele lat za prorocstwo narodzin Jezusa. Potem jednakże tłumacze Revised Standard Version zmienili ten wers na: „Patrzajcie, oto młoda kobieta pocznie”. Tłumaczyli oni z oryginału hebrajskiego, w którym słowo *almah* oznacza młodą kobietę. Wcześniejsze Biblie były przekładami z mniej dokładnych tekstów greckich, które posługiwały się słowem *parthenos*, oznaczającym dziewicę.

— To znakomity materiał do promocji — zauważył z uznaniem Randall.

Profesor Jeffries skłonił głowę i uniósł palec w ostrzegawczym geście.

— Z drugiej jednak strony, panie Randall — powiedział — tłumacze posuwają się czasami za daleko, kiedy próbują unowocześnić tekst, i nieprawidłowo zmieniają znaczenia. Na przykład święty Paweł cytuje naszego Pana tak: „Więszym błogosławieństwem jest dawać, niżli otrzymywać”. Uważano to zawsze za doskonale dosłowny przekład z greki. Natomiast tłumacze New English Bible tak bardzo chcieli dostosować swoją wersję do angielskich idiomów, że zmienili ten cytat na: „Szczęście tkwi bardziej w dawaniu niż braniu”. Jest to nie tylko kiepski przekład z literackiego punktu widzenia, lecz zmienione zostało również znaczenie. Stanowcze stwierdzenie zredukowano do wypowiedzianej od niechcienia refleksji. Zrezygnowano z mocnego zdania, żeby wprowadzić słabsze. Co więcej, między byciem błogosławionym a byciem szczęśliwym jest zasadnicza różnica. Doktor Knight nie pozwalał sobie nigdy na podobne innowacje. Nigdy nie znajdowałem błędów w jego pracy. Pozwólcie, że to rozwinę...

Jeffries zamyślił się, a Randall czekał na dalszy ciąg jego wypowiedzi, z nadzieją, że rzuci jakieś światło na tajemniczą chorobę Knighta.

— Kiedy kierowałem zespołem uczonych, tłumaczących nowe znalezisko dla potrzeb Międzynarodowego Nowego Testamentu, doktor Knight pracował tutaj, w muzeum, jako mój dokumentalista. Starał się zawsze docierać jak najgłębiej do znaczeń języka, którym się w owych czasach posługiwano. Wielu uczonych zapomina, że Chrystus żył i działał głównie wśród prostych ludzi, i dlatego zbyt rzadko odwołują się do języka pospółstwa w pierwszym wieku w Palestynie. Nasz zespół przetłumaczył pewne wyrażenie jako „uszy zboża”. Doktor Knight nie był z tego zadowolony. Szperał w tekstach tak długo, aż odkrył, że w czasach Chrystusa rolnicy mówili, że pszenica, owies i jęczmień mają „głowy”, a nie „uszy”, a więc wyrażenie „uszy zboża” jest niepoprawne. Zakwestionował także użycie przez nas słowa „bydłęta”.

Udowodnił, że w czasach biblijnych słowo to odnosiło się nie tylko do krów i wołów, ale do wszystkich zwierząt gospodarskich, a więc osłów, wielbłądów, kotów, psów, kóz i tak dalej. Użycie w przekładzie słowa „bydlęta” byłoby więc strasznie mylące. Doktor Knight uchronił nas przed niedokładnością. — Profesor spojrział na Wheelera, a potem na Randalla. — Panowie — podsumował — ktoś o tak bystrym umyśle nie może być raczej kandydatem do załamania nerwowego.

— Chyba należy się z panem zgodzić — stwierdził Randall.

— Może pan być pewien, że się nie mylę — rzekł uprzejmie Jeffries. — Jeżeli istnieją w ogóle warunki pracy sprzyjające takiemu załamaniu, to w takich właśnie warunkach pracował Florian Knight.

Randall uniósł brew.

— Co konkretnie ma pan na myśli? — zapytał.

— Na przykład to, że przez wiele długich miesięcy ten biedny człowiek nigdy nie wiedział, nad czym właściwie pracuje. Proszę pamiętać, że obowiązuje nas tajemnica. Oczywiście doktor Knight i inni nasi dokumentaliści są godni zaufania na równi z ich zwierzchnikami, jednakże poinstruowano nas, że im mniej osób będzie wiedziało o ostiackim odkryciu, tym lepiej. Tak więc Knight i pozostali byli utrzymywani w niewiedzy.

Randall oniemiał ze zdumienia.

— Nie rozumiem, jak on mógł pracować, skoro nie pokazaliście mu tych nowo odkrytych tekstów?

— Nie pokazaliśmy ani Florianowi, ani innym całości — odparł profesor. — Niektóre kluczowe ustępy udostępniliśmy Knightowi, a inne wersy czy akapity pozostałym. Powiedziałem mu, że pracuję nad apokryficznym kodeksem nowotestamentowym i zamierzam opublikować pracę naukową na ten temat. Musiałem ukryć przed nim prawdę. Fragmenty tekstu, które ode mnie otrzymał, były tak niekompletne, przemieszane i trudne, że zapewne mocno się głowił, o co w tym wszystkim chodzi. Florian miał jednak poczucie przyzwoitości i nie próbował mnie wypytywać.

— Chce pan powiedzieć, profesorze, że pański dokumentalista, doktor Florian Knight, nic nie wie o Drugim Zmartwychwstaniu?

— Nie wiedział, aż do wczorajszego popołudnia. Kiedy przyjechałem z Oksfordu, żeby go przygotować do roli pańskiego konsultanta w Amsterdamie, uznałem, że mogę mu wreszcie ujawnić całą prawdę. Biblia już się drukuje i żeby Florian był panu w pełni przydatny, musiał poznać wszystkie fakty związane z doniosłym odkryciem profesora Montiego. Dlatego właśnie tu przyjechałem, żeby mu osobiście opowiedzieć o Ewangelii

według Jakuba i o Pergaminie Petroniusza. Muszę przyznać, że był zdruzgotany.

— Zdruzgotany? — zdziwił się Randall. — W jakim sensie?

— Hmm... może oszołomiony byłoby właściwszym słowem — odparł uczony. — Był oszołomiony, zupełnie zaniemówił, a potem wpadł w ogromną ekscytację. Na pewno pan rozumie. Dla tego człowieka Biblia jest całym życiem i moje rewelacje mogły go w pewnym sensie przytłoczyć.

Randall czuł narastającą ciekawość.

— I zaraz po tym zachorował? — zapytał.

— Co takiego? No nie, nie zachorował w mojej obecności.

— Ale gdy się rozstaliście, wrócił do domu i od razu poczuł się źle?

— Chyba tak właśnie było — odrzekł Jeffries, znów szarpiąc nerwowo wąsy. — Mieliliśmy się ponownie spotkać wieczorem na kolacji, przedyskutować szczegóły jego pracy w roli pańskiego konsultanta. Niedługo przed umówioną porą odebrałem ten tajemniczy telefon od panny Hughes. Powiedziała, że Florian nie może przyjść i nie będzie mógł podjąć tej pracy. Lekarz zalecił mu, żeby nawet nie rozważał takiej możliwości. Co więcej, nikt nie powinien go odwiedzać przez tydzień albo dwa. — Profresor pokręcił głową. — Fatalnie, zaiste fatalnie. Jestem skonfundowany. Nie dowiemy się już niczego więcej, przynajmniej na razie, i będziemy po prostu musieli obyć się bez Floriana Knighta. Sądzę, że mamy tylko jedno wyjście — zwrócił się do Wheelera. — Trzeba znaleźć kogoś, kto go zastąpi. Mam jeszcze trzech innych dokumentalistów, którzy dla nas pracują to zrównoważeni młodzi ludzie. Możemy chyba wysłać jednego z nich z panem Randallem do Amsterdamu, choć oczywiście żaden nie dorównuje doktorowi Knightowi, który jest istnym geniuszem.

Wheeler wstał, Naomi Dunn także.

— Z wielką niechęcią zadowolę się kimś z drugiego rzędu, profesorze — powiedział wydawca. — Przypuszczam, że to nieuniknione, ale stawką jest nasze dzieło. Musimy mieć jak najlepszy dostęp do informacji, żeby prezentacja Międzynarodowego Nowego Testamentu wypadła przekonująco. Ponieważ muszę zdążyć na samolot do Amsterdamu, więc proponuję, żeby pan przedyskutował ze Steveem kwestię zastępcy Knighta. Steve zostaje, ma pokój w Dorchester. Może mógłby jutro porozmawiać z pozostałymi kandydatami i dokonać wyboru?

Profesor wstał, żeby odprowadzić wydawcę i Naomi do wyjścia.

— Parszywe szczęście — rzekł — ale zrobię, co tylko się da, żeby wam pomóc. Życzę spokojnego lotu, a niedługo dołączę do was w Amsterdamie.

Wheeler westchnął ciężko.

— No cóż, niech pan zrobi, co będzie mógł. Tak czy inaczej, fatalna historia z tym Knightem. Steve, zadzwoń do mnie jutro. Daj znać, kiedy przyjedziesz, to wyślę po ciebie samochód.

— Dzięki, George.

Randall czekał na Jeffriesa, który po kilku minutach wrócił do pokoju.

— Ta sprawa z zastępstwem, hm... to nie jest takie proste — powiedział profesor. — Będę musiał trochę pomyśleć, żeby znaleźć odpowiednią osobę. Proszę mi dać czas do jutra. Rozejrzę się w sytuacji i rano podejmiemy jakąś decyzję, dobrze? Odpowiada to panu?

— Jak najbardziej — odparł Randall. Uścisnęli sobie dłonie, a przy drzwiach zapytał jakby od niechcienia: — Tak przy okazji, profesorze, czy nie wie pan czasem, gdzie mieszka narzeczona doktora Knighta?

— Niestety nie. Ale wiem, że pracuje w dziale książek w Sotheby, wie pan, tym słynnym domu aukcyjnym przy New Bond Street. W rzeczy samej, pamiętam, że Florian powiedział mi kiedyś, że tam właśnie się poznali. On często zaglądał do Sotheby'ego, sprawdzał, czy nie pojawiło się coś nowego z druków biblijnych, miał nadzieję trafić na jakiś rzadki okaz. Kolekcjonuje takie wydawnictwa, rta tyle, na ile pozwala mu jego pensja. — Profesor Jeffries otworzył drzwi gabinetu. — Jeżeli nie ma pan szczególnych planów na wieczór — powiedział — z przyjemnością zaproszę pana na kolację do mojego klubu.

— Bardzo dziękuję, profesorze, ale może innym razem. Popołudnie i wieczór będę miał raczej zajęte, powinienem się spotkać jeszcze z kilkoma osobami.

O wpół do piątej po południu Steve Randall dotarł do celu. Przy New Bond Street, między sklepem z antykami a kioskiem z gazetami znajdowały się podwójne drzwi, prowadzące do najstarszego domu aukcyjnego na świecie. Wysoko nad wejściem wisiała czarna bazaltowa głowa egipskiej bogini Słońca. Randall czytał gdzieś, że ta starożytna rzeźba została kiedyś sprzedana na aukcji, ale nabywca nigdy się po nią nie zgłosił i właściciele domu zamontowali ją nad drzwiami jako swój znak firmowy. Poniżej bogini widniał szyld z napisem Sotheby & Co., a po obu jego stronach numery domu, trzydzieści cztery i trzydzieści pięć.

Randall wszedł do środka. Wyłożonym płytkami korytarzem dotarł do drugich drzwi i przeszedł przez tkaną wycieraczkę z legendą SOTHEBY 1844. Trzymając się drewnianej poręczy, ruszył schodami pokrytymi zielonym dywanem do New Gallery.

Sale wystawowe na piętrze były pełne ludzi, miał wrażenie, że przebywali tam wyłącznie mężczyźni. Spora grupka zgromadziła się wokół kolekcji biżuterii, a kilku studiowało pojedyncze okazy przez lupę. Inni, z otwartymi zielonymi katalogami w rękach, oglądali wystawione do licytacji obrazy. Wśród widzów kręcili się strażnicy w niebieskich uniformach ze złotymi galonami. Jakiś starszy dżentelmen pochylał się nad otwartą gablotą z rzadkimi monetami.

Randall rozglądał się za żeńskim personelem, lecz nie dostrzegł ani jednej kobiety. Zaczął się już zastanawiać, czy profesor Jeffries nie pomylił się co do miejsca pracy Valerie Hughes, gdy nagle usłyszał pytanie:

— Czy mogę panu w czymś pomóc, sir? — Mężczyzna w średnim wieku, odziany w długi szary płaszcz, wyglądał na urzędnika. Jego akcent zalatywał jednak lekko cockneyem. — Jestem portierem. Czy jest coś, co pana szczególnie interesuje?

— Jest raczej ktoś, kto mnie interesuje — odrzekł Randall. — Czy pracuje tutaj niejaka Valerie Hughes?

Twarz portiera rozjaśnił uśmiech.

— Tak, oczywiście — odparł. — Panna Hughes pracuje w dziale książek, zaraz za główną salą aukcyjną. Zaprowadzę pana.

Przeszli przez salę aukcyjną o ścianach wyłożonych czerwonym pluszem, wypełnioną zwiedzającymi.

— Czym zajmuje się tutaj panna Hughes? — zapytał Randall portiera.

— To bardzo inteligentna młoda dama. Przez jakiś czas była recepcjonistką w dziale książek. Recepcjonistka przyjmuje prywatnych klientów, którzy przynoszą wartościowe książki na sprzedaż. Potem trafiają one do rąk specjalistów, którzy dokonują wyceny egzemplarza czy księgozbioru. Panna Hughes najwyraźniej znała się na starych księgach nie gorzej od doświadczonych ekspertów, bo gdy zwolniło się miejsce, awansowała na specjalistkę. To właśnie sala książek, sir.

Było to spore pomieszczenie z popiersiami Dickensa, Szekspira, Woltera i innych nieśmiertelnych, zdobiącymi najwyższe półki regałów. Regały zaś wypełnione były rzędami oprawnych tomów przeznaczonych na najbliższą aukcję. Na środku stał stół w kształcie litery U, przy którym siedzieli podczas licytacji główni uczestnicy. Przy otwartym końcu stołu znajdowało się podium prowadzącego, a obok biurko z wysokim stołkiem, przy którym zapewne kasjer przyjmował pieniądze od zwycięzców aukcji.

Randall spostrzegł dwóch starszych mężczyzn i młodą kobietę, zajętych segregowaniem książek, być może przeznaczonych do kolejnego katalogu aukcyjnego.

— Przyrowadzę ją do pana — zaofiarował się portier. — Kogo mam zapowiedzieć?

— Steve'a Randalla z Ameryki, proszę powiedzieć, że jestem przyjacielem doktora Knighta.

Mężczyzna podszedł do Valerie Hughes. Szepnął jej coś do ucha i dziewczyna spojrzała zdumiona ku drzwiom. Po chwili skinęła głową i odłożyła notatnik. Portier odszedł, a ona ruszyła ku Randallowi, który szybko wyszedł jej naprzeciw. Spotkali się przy końcu stołu.

Była niewysoka, nieco pulchnawa, o krótkich włosach, zgrabnym nosku i ładnych ustach, brzoskwiniowej cerze, z dużymi okularami na nosie.

— Pan Randall? — zwróciła się do niego. — Nie pamiętam, by doktor Knight wspominał o panu przy mnie.

— Tak naprawdę usłyszał moje nazwisko dopiero wczoraj, od profesora Jeffriesa. Przypląnąłem właśnie z Nowego Jorku. Mieliśmy wspólnie pracować w Amsterdamie.

— Ojej — dziewczyna zakryła dłonią usta, jakby przestraszona. — Czy to profesor pana przysłał?

— Nie, on nie wie, że tu jestem. Dowiedziałem się, gdzie pani pracuje, i postanowiłem się z panią spotkać. Przedstawiłem się jako przyjaciel doktora Knighta, ponieważ chciałbym się z nim zaprzyjaźnić. Potrzebuję jego pomocy, i to bardzo. Pomyślałem, że porozmawiam z panią, wyjaśnię, co zamierzam zrobić i jaka ważna jest rola doktora Knighta w naszym zespole...

— Przykro mi, ale to na nic — odparła zgnębiona. — Florian jest bardzo chory.

— Mimo wszystko proszę mnie wysłuchać — nie ustępował. — Jestem przekonany, że powiedział pani o... tajnym projekcie... chyba już można zdradzić jego nazwę... o Drugim Zmartwychwstaniu? Sam dowiedział się o nim wczoraj.

— Napomknął cokolwiek — odrzekła z wahaniem.

— Wobec tego niech pani posłucha — ciągnął Randall stanowczo i zaczął jej półgłosem wyjaśniać, czym się zajmuje. Opowiedział, jak Wheeler wciągnął go do swego zespołu, o nocnym telefonie Jeffriesa, o zakłopotaniu profesora podczas ich dzisiejszego spotkania i o rozczarowaniu wszystkich na wieść, że Florian Knight nie może rozpocząć pracy nad nowym zadaniem. Starał się mówić spokojnie, ciepłym, kojącym tonem.

— Tak więc, panno Hughes — zakończył — jeżeli doktor Knight jest rzeczywiście tak chory, jak to pani przedstawiła Jeffriesowi, to proszę mi wierzyć, że nie będę pani więcej niepokoił w tej kwestii. Czy jest tak naprawdę?

Spojrzała na niego i w jej oczach za wielkimi szklami pojawiły się łzy.

— Nie, nie jest tak — odpowiedziała lekko drżącym głosem.

— Czy powie mi pani, o co chodzi?

— Nie mogę, naprawdę nie mogę, panie Randall. Dałam Florianowi słowo, a on jest dla mnie wszystkim.

— Nie uważa pani, że byłby zainteresowany Drugim Zmartwychwstaniem?

— Nie jest istotne, co ja uważam, panie Randall. Gdyby to zależało ode mnie, Florian mógłby przystąpić do pracy choćby za chwilę. Takie rzeczy to przecież jego żywioł, jest w tym najlepszy i nic nie interesuje go bardziej niż tego rodzaju sprawy. Dla niego samego udział w końcowym etapie prac byłby także bardzo korzystny. Ale nie mogę go pouczać, co powinien robić.

— Mogłaby pani spróbować.

Valerie wyjęła z kieszeni kostiumu chusteczkę i wytarła nos.

— Nie wiem, naprawdę. Chybabym się nie odważyła.

— Wobec tego może ja spróbuję?

— Pan? — Zdumiał ją ten pomysł. — Ale Florian nie chce się z nikim widzieć.

— Nie chce się widzieć z profesorem Jeffriesem — odparł Randall — i może mieć ku temu swoje powody. Aleja to co innego. Jestem człowiekiem, który go szanuje i który potrzebuje jego pomocy.

Zamrugwała, patrząc na niego zza swoich szkieł.

— Chyba nie mamy nic do stracenia — powiedziała. — Bardzo bym chciała, żeby pracował z panem w Amsterdamie, dla jego własnego dobra. — Jej krągła twarz przybrała wyraz stanowczości. — Tak, namówię go, żeby się z panem spotkał. Czy ma pan coś do pisania?

Randall wręczył jej swoją wizytówkę i złote wieczne pióro. Valerie napisała coś na kartoniku.

— To jest adres Floriana — wyjaśniła — przy Hampstead Hill Gardens, w bok od Pond Street. Najpewniej będzie to strata czasu, ale niech pan przyjdzie o ósmej wieczorem. Ja też tam będę. Jeżeli pana nie przyjmie, przynajmniej będzie pan mógł powiedzieć, że spróbował.

— A może jednak mnie przyjmie.

— Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej — odrzekła Valerie Hughes. — Florian jest wspaniałym człowiekiem, kiedy się nie chowa jak ślimak w

skorupie. No to trzymam kciuki do ósmej, niech nam wszystkim Bóg błogosławi.

Randall wysadził nieco obrażoną Darlene pod kinem na Piccadilly i taksówka pojechała dalej ciągnącą się w nieskończoność trasą do Hampstead.

Stojąc na słabo oświetlonej ulicy, przyjrzał się skomplikowanej linii szczytów dwupiętrowego wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły, z brązową markizą nad rzeźbionymi drzwiami wejściowymi. Wchodząc po schodach, domyślił się, że dom został podzielony na pięć czy sześć odrębnych skromnych pomieszczeń mieszkalnych.

Mieszkanie Knighta znajdowało się na pierwszym piętrze. Nie widząc dzwonka, Randall zapukał, a kiedy nikt nie otworzył, zapukał jeszcze raz mocniej. Wreszcie drzwi się otworzyły i ujrzał zakłopotaną Valerie Hughes, w bluzce, spódnicy i butach na płaskim obcasie. Patrzyła na niego zza swoich okularów.

— Czy Bóg nas pobłogosławił? — zapytał lekkim tonem.

— Florian się zgodził — powiedziała niemal szeptem. — Porozmawia z panem, ale bardzo krótko. Proszę za mną.

— Dziękuję — odparł i podążył za dziewczyną przez zatęchły salon z odrapanymi meblami, ze stosami książek i papierów, zalegającymi na fotelach. Weszli do ciasnej sypialni.

Przez chwilę przyzwyczajał wzrok do półmroku. Jedyne oświetleniem tej ponurej klitki była lampka na nocnym stoliku.

— Florianie — usłyszał głos Valerie - to jest pan Steven Randall z Ameryki.

Dziewczyna wycofała się pod ścianę, stając za Randallem. Dostrzegł postać pólężącą na łóżku na dwóch poduszkach. Florian Knight faktycznie przypominał Beardsleya, tak jak mówiła Naomi, tylko wyglądał jeszcze bardziej ekscentrycznie. Popijał sherry, jak uznał Randall, z kieliszka do wina.

— Witam, panie Randall — rzekł Knight oschłym i nieco wyniosłym tonem. — Ma pan świetnego adwokata w osobie drogiej Valerie. Zgodziłem się z panem zobaczyć tylko po to, żeby ujrzeć na własne oczy taki wzór uczciwości. No i przyszedł pan, choć, jak sądzę, całkiem niepotrzebnie.

— To bardzo miło, że się pan zgodził na spotkanie — stwierdził Randall, zdecydowany pozostać uprzejmym.

Doktor Knight odstawił kieliszek i słabym gestem ręki wskazał mu krzesło przy łóżku.

— Może pan usiąść, jeśli nie uzna pan tego za zaproszenie, żeby zostać na zawsze — powiedział. — Sądzę, że omówimy, co mamy do omówienia, w pięć minut albo jeszcze szybciej.

— Dziękuję, doktorze Knight. — Randall usiadł. Zauważył, że leżący na łóżku młody mężczyzna nosi aparat słuchowy. Nie wiedział, jak przełamać wrogość gospodarza. Zaczął od wstępnych grzeczności.

— Dowiedziałem się z przykrością, że pan choruje. Mam nadzieję, że już jest lepiej.

— W ogóle nie byłem chory — oświadczył młody uczonek. — To było kłamstwo, żeby się tylko pozbyć naszego przyjaciela, tego próżnego oszusta Jeffriesa. Co do samopoczucia, to nigdy nie czułem się gorzej.

Randall zrozumiał, że nie ma czasu na wymianę uprzejmości, musi mówić wprost i otwarcie.

— Zupełnie nie mam pojęcia, doktorze Knight, dlaczego czuje się pan tak kiepsko. Jestem człowiekiem z zewnątrz i nagle włączyłem się w sprawę, o której nic nie wiem. Wierzę jednak, że znajdziemy jakieś wyjście, ponieważ potrzebuję pana. Zostało mi bardzo mało czasu na przygotowanie kampanii promującej niezwykłą nową Biblię i choć sam jestem synem duchownego, mam dość przeciętną wiedzę na temat Nowego Testamentu i teologii. Dlatego rozpaczliwie potrzebuję pomocy. Od samego początku mówiono mi, że to pan jest jedynym człowiekiem, który może mi jej udzielić. Pańskie zastrzeżenia do profesora Jeffriesa nie muszą przecież stać na przeszkodzie naszej współpracy w Amsterdamie.

Florian Knight zaklaskał w wąskie, nerwowe dłonie, parodiując aplauz.

— Świetna mowa, Randall — zaśmiał się. — Ale to nie wystarczy. Może pan być całkowicie pewien, że nie wezmę udziału w niczym, co ma związek z tą cholerną kanalią, Jeffriesem. Nie sprawią tego żadne gładkie słówka. Skończyłem już z płaszczaniem się przed tym nadętym skurwysynem.

Randall zrozumiał, że nie ma już niczego do stracenia.

— Co pan właściwie zarzuca profesorowi? — zapytał wprost.

— Ha! Niech pan lepiej zapyta, czego nie zarzucam tej brudnej świni. — Knight spojrział na skrytą w cieniu Valerie Hughes. — Opowiemy mu co nieco, droga Valerie? — Podciągnął się wyżej na poduszkach, z bolesnym grymasem na twarzy. — Oto co mam przeciwko Jeffriesowi, miły panie. Profesor Bernard Jeffries to cholerny, podły kłamca, który wykorzystał mnie już ostatni raz. Jestem zmęczony ciągłym sprzątaniami po nim śmieci, podczas gdy on wciąż wspina się wyżej i wyżej. On mnie okłamał, Randall,

zmarował dwa lata mojego cennego życia. Czegoś takiego nie wybaczyłbym nikomu.

— Ale czego? — dociekał Randall. — Co on właściwie...?

— Mówże pan głośniej, na Boga! — ryknął Knight, manipulując przy aparacie słuchowym. — Nie widzi pan, że jestem przygłuchy?

— Przepraszam. — Randall podniósł głos. — Próbuję tylko zrozumieć, dlaczego jest pan taki wściekły na Jeffriesa. Czy chodzi o to, że aż do wczoraj nie powiedział panu prawdy o celu badań, które panu zlecił?

— Niechże się pan postawi na moim miejscu, jeśli potrafi — odparł Knight. — Wiem, że niełatwo jest bogatemu Amerykaninowi wejść w skórę niezamożnego i kalekiego angielskiego teologa, ale może pan chociaż spróbuje. Przed dwoma laty — ciągnął lekko drżącym głosem — Jeffries namówił mnie, żebym porzucił moje wygodne życie w Oksfordzie i przyjechał do tego śmierdzącego spalinami miasta, żebym zamieszkał w tym parszywym mieszkaniu i pracował nad jakimś jego tajemniczym, sensacyjnym opracowaniem. Złożył mi pewną obietnicę. Nigdy jej nie dotrzymał, ale wciąż mu ufałem i nie załamywałem się. Tyrałem dla niego jak niewolnik i nie przeszkadzało mi to. Kocham tę pracę i zawsze będę ją kochał. Wycisnąłem z siebie wszystko tylko po to, żeby się wczoraj nagle dowiedzieć, że ta cała historia to jedna wielka komedia. Że pracowałem z takim poświęceniem nie nad tym, co myślałem, ale nad tłumaczeniem jakiejś nowej ewangelii, nowej rewolucyjnej Biblii. Zostałem potraktowany z takim brakiem szacunku, z pogardą wręcz... Nie sposób było nie wpaść w furję, panie Randall.

— Rozumiem pana — odparł Randall — ale powiedział pan, że kocha swoją pracę. I patrząc na to z boku, dokonał pan wspaniałego dzieła, profesor Jeffries nie mógł się pana nachwalić. Wykonał pan pracę dla doniosłej sprawy.

— Jakiej sprawy? — warknął Knight. — Tego przekłętego papirusu i kawałka pergaminu z Ostii? Tych rewelacji o Jezusie jako człowieku? Spodziewa się pan, że w to uwierzę? Że uwierzę Jeffriesowi na słowo?

Randall zmarszczył brwi.

— Te dokumenty zostały starannie przebadane przez ekspertów zarówno z Europy, jak i z Bliskiego Wschodu — powiedział. — Zaakceptowałem w pełni...

— Pan nie ma o tym wszystkim bladego pojęcia — przerwał mu gwałtownie uczonej. — Jest pan amatorem. Poza tym oni panu płacą, więc wierzy pan w to, co chcą, żeby pan wierzył.

— Nie tak całkiem — odparował Randall, starając się trzymać nerwy na wodzy. — A właściwie wcale nie. Jednakże na podstawie dowodów, które widziałem i o których słyszałem, nie mam podstaw do kwestionowania projektu Drugiego Zmartwychwstania. Nie sugeruje pan chyba, że to odkrycie...

— Nie sugeruję niczego — uciął Knight — poza jednym. Żaden naukowiec na świecie nie wie tyle co ja o postaci Jezusa Chrytusa, jego czasach i jego ziemi. Ani Jeffries, ani Sobrier, Trautmann, Riccardi, ani nikt inny. Oświadczam panu, że nikt nie zasłużył na kierowanie tym projektem bardziej od Floriana Knighta. Dopóki nie zobaczę tego przekłętego znaleziska na własne oczy i nie zbadani go osobiście, nie przyjmuję całej sprawy do wiadomości. Jak dotąd wszystko opiera się tylko na pogłoskach.

— Dlatego właśnie powinien pan pojechać ze mną do Amsterdamu i sprawdzić to sam, doktorze Knight.

— Za późno — odparł uczony. — Za mało i za późno. — Opadł na poduszki, wyczerpany i blady. — Przykro mi, Randall. Nie mam nic przeciwko panu, ale nie zgodzę się być konsultantem Drugiego Zmartwychwstania. Nie interesuje mnie masochizm i autodestrukcja. — Przesunął osłabłą dłonią po czole. — Valerie, znowu się pocę. Czuję się obrzydliwie.

Dziewczyna podeszła do łóżka.

— Nie wolno ci się tak męczyć, Florianie — powiedziała. — Weź zaraz pastylkę na uspokojenie i prześpij się. Ja odprowadzę pana Randalla do drzwi. Za chwilę wrócę.

Randall podziękował Florianowi Knightowi za poświęcony mu czas i choć wychodził niechętnie, nie osiągnąwszy celu, podążył za dziewczyną do drzwi wyjściowych.

Niepoczyszony wyszedł na korytarz, lecz przy schodach zorientował się, że Valerie wyszła za nim.

— Niech pan zaczeka na mnie w Roebuck — szepnęła. — To nasz miejscowy pub, tuż za rogiem Pond Street. To nie powinno potrwać dłużej niż dwadzieścia minut. Chyba... chciałabym o czymś panu powiedzieć.

Za piętnaście dziesiąta wciąż jeszcze na nią czekał. Siedział na drewnianej ławeczce pod ścianą, w pobliżu przeszklonych drzwi wejściowych. Choć nie był głodny, zamówił tarte z cieleciną i szynką, aby wypełnić nie tyle żołądek, ile czas. Skonsumował jajko na twardo, część zimnej cieleciny i szynki i całą chrupiącą skórę.

Patrzył leniwie, jak młodsza z dwóch barmanek nalewa do kufła piwa z kurka ze znakiem Double Diamond, czeka, aż pianka opadnie, i dopełnia kufel. Podała piwo samotnemu klientowi przy barze, starszemu mężczyźnie w roboczym ubraniu, który zajadał gorącą parówkę na patyku.

Randall zastanawiał się kolejny raz, co Valerie miała na myśli, mówiąc: Chciałabym o czymś panu powiedzieć.

O czym jeszcze nie wiedział?

Zastanawiał się też, co ją zatrzymało tak długo.

W tym momencie otworzyły się drzwi pubu i weszła narzeczona Knighta. Randall poderwał się z ławki, wziął ją pod ramię i pomógł się usadowić za stołem. Sam usiadł naprzeciwko.

— Przepraszam, ale musiałam zaczekać, aż on zaśnie — usprawiedliwiała się.

— Ma pani ochotę na coś do picia albo do jedzenia? — zapytał.

— Chętnie wypiję małe gorzkie, jeśli pan się przyłączy.

— Oczywiście. Jedno nie zaszkodzi. Valerie zawołała do matrony za barem:

— Dwa charringtony proszę! A pint and a half pint!

— Przykro mi, że zdenerwowałam pani narzeczonego.

— Och, zeszłej nocy i zanim pan przyszedł, było z nim o wiele gorzej — odparła. — To dobrze, że rozmawiał pan z nim szczerze. Słuchałam bardzo uważnie i dlatego właśnie chciałam z panem zamienić kilka słów na osobności.

— Chciała mi pani coś powiedzieć.

— Tak, właśnie.

Zaczekali, aż postawią przed nimi piwo, duże przed Randałem, a małe przed Valerie.

— Czy zauważył pan coś szczególnego w tym, co mówił panu Florian? — spytała, odstawiając kufel.

— Właściwie tak — odparł. — Myślałem o tym, czekając na panią. Mówił o obietnicy, którą złożył mu Jeffries i której nie dotrzymał. Powiedział, że nie włączy się do Drugiego Zmartwychwstania, bo nie interesuje go masochizm i autodestrukcja, cokolwiek to miało znaczyć. Powiedział też, że go wykorzystano, że mu nie zaufano. A jednak nie mogę uwierzyć, że wycofał się ze wszystkiego tylko z powodu urażonej ambicji. Czuję i wciąż czuję, że to coś więcej.

— I nie myli się pan — odrzekła wprost dziewczyna. — Kryje się za tym coś więcej i chcę, żeby pan o tym wiedział, pod warunkiem że zachowa to pan dla siebie.

— Obiecuję, że tak będzie.

— Dobrze więc. Mam niewiele czasu, muszę jeszcze zajrzeć do Floriana i sama trochę się przespać. Wyjawiam panu prawdę dla dobra Floriana, ze względu na jego życie. Nie czuję, żebym go zdradzała.

— Ma pani moje słowo — powtórzył. — Wszystko zostanie między nami.

Jej krągła twarz była poważna, a ton stanowczy i pełen napięcia.

— Panie Randall, Florian jest bardziej głuchy, niż to okazuje — zaczęła. — Aparat słuchowy umożliwia mu porozumiewanie się, lecz nie jest do końca skuteczny. Tak naprawdę Florian radzi sobie tylko dlatego, że już dawno nauczył się czytać z ruchu warg. Potrafi wykonać wszystko, czego się podejmie, i szczerze wierzę, że jest geniuszem. Jednakże, jak mi wiadomo, ma uszkodzone ucho środkowe na skutek infekcji w okresie dorostania. Jediną szansą na przywrócenie mu słuchu jest operacja, być może seria operacji. Zabieg ten nazywa się tympanoplastyką.

— Czy będzie potem słyszał normalnie?

— Jego otorynolaryngolog zawsze tak uważał. Jednakże taka operacja jest bardzo kosztowna i zrobić ją może jedynie chirurg w Szwajcarii. Wszystko to nie na kieszeń Floriana. Ledwie wiąże koniec z końcem, a w dodatku pomaga owdowiałej matce, która mieszka w Manchesterze i sama by sobie nie poradziła. Chciałam pomóc Florianowi na tyle, na ile mogę, ale on jest na to zbyt dumny. Widział pan, jak mieszka. Za to trzypokojowe mieszkanie płaci osiem funtów tygodniowo. Powinien mieć samochód, jakikolwiek, ale go nie stać. Chociaż jest takim zdolnym młodym naukowcem, absolutnie bezcennym dla profesora Jeffriesa, zarabia ledwie trzy tysiące funtów rocznie *.

***podane przez autora kwoty dotyczą drugiej połowy lat sześćdziesiątych**

To oczywiste, że długo się tak nie da żyć i że Florian bardzo chciałby zarabiać więcej, prawda? Ta głuchota strasznie go dręczy. Nie chodzi tylko o trudności w rozmowie, ale także o powody psychologiczne. Wskutek tej ułomności bywa zgorzkniały. Dlatego zależy mu na zebraniu pieniędzy na operację. Później chciałby... chciałby ożenić się ze mną i założyć rodzinę. Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Florian pokładał wielkie nadzieje w tym, że jego przełożony, profesor Jeffries, przejdzie na emeryturę przed ukończeniem obowiązkowej siedemdziesiątki, a on otrzyma jego stanowisko na uniwersytecie w

Oksfordzie. Ta nadzieja przed dwoma laty zmieniała się w obietnicę. Jeffries przyrzekł Florianowi, że jeśli uda się do British Museum w charakterze dokumentalisty, jego praca zostanie nagrodzona. Profesor przejdzie na wcześniejszą emeryturę, a Florian obejmie jego posadę na uczelni. Awans oznaczałby oczywiście wzrost wynagrodzenia, a co za tym idzie, możliwość operacji i poślubienia mnie. Dlatego Florian z wielką ochotą poświęcił się pracy dla Jeffriesa w Londynie. Wkrótce jednak dotarła do niego niepokojąca pogłoska, z wiarygodnego źródła, że profesor zmienił swój zamiar co do emerytury z powodu ambicji politycznych. Okazało się, że Jeffries ma szansę wyboru na stanowisko przewodniczącego Światowej Rady Kościołów w Genewie. Aby wzmocnić swą kandydaturę, postanowił zachować stołek w Oksfordzie, dopóki to będzie potrzebne.

— Jako chwyt reklamowy — stwierdził fachowo Randall.

— No właśnie. Biedny Florian bardzo się zdenerwował, lecz nie miał jak tego zweryfikować, żył więc nikłą nadzieją, że Jeffries dotrzyma obietnicy. Wiedząc jednakże, że nie może na to liczyć w stu procentach, postanowił zarobić pieniądze także w inny sposób. Od dawna pragnął napisać nową biografię Jezusa Chrystusa, wykorzystując do tego obecny stan wiedzy — ewangelie, źródła niechrześcijańskie, spekulacje teologów, a także jego własne naukowe dociekania. Zaczął dwa lata temu. W ciągu dnia pracował dla Jeffriesa, a wieczorami, w świętek czy piątek, nawet podczas wakacji, prowadził własne badania i pisał książkę. Wspaniałą książkę, którą zatytułował Chrystus bez tajemnic. Przed kilkoma miesiącami pokazał fragment swojej pracy czołowemu angielskiemu wydawcy. Tekst zrobił na nim ogromne wrażenie i natychmiast zaproponował Florianowi kontrakt, a także obiecał wypłacić mu sporą zaliczkę zaraz po złożeniu książki do druku. To dość pieniędzy, żeby starczyło na operację, a nawet na nasz ślub. Florian ukończył książkę i był w trakcie ostatecznej redakcji. Planował złożyć całość za dwa miesiące, podpisać umowę i żyć wreszcie, po tym wiecznym wyczekiwaniu, wygodnie czy też w miarę dostatnio. Był bardzo szczęśliwy. Aż do wczoraj.

— Kiedy Jeffries wyjawiał mu prawdę?

— Tak, kiedy ujawnił mu tajemnicę odkrycia w Ostii i plany publikacji Międzynarodowego Nowego Testamentu, dzięki któremu świat ma poznać nieznane dotąd fakty z życia Jezusa. Dla Floriana było to jak uderzenie obuchem w głowę. Był zdruzgotany, w kompletnym szoku. Wszystkie swoje marzenia i nadzieje, każdy zastrzyk energii lokował dotąd w Chrystusie bez tajemnic. Teraz, po opublikowaniu nowej Biblii, jego wspaniała biografia

stała się bezwartościowa, nieaktualna, nie nadaje się do druku. Najgorsze było to, że gdyby powiedziano mu o odkryciu dwa lata temu, nie zmarnowałby czasu na daremny wysiłek. Co więcej, zdał sobie sprawę, że Jeffries nieświadomie wykorzystał go do pracy nad przekładem tekstów, które zniszczyły jego własną książkę i nadzieje na przyszłość. Czy jest pan w stanie pojąć, co się z nim wczoraj działo? Jaki był zgnębiony i rozgoryczony? Czy nie dziwi już pana, że nie chciał się z panem widzieć, a tym bardziej jechać do Amsterdamu?

Randall wpatrywał się bezradnie w swoje piwo.

— To okropne, stała się rzecz straszna — powiedział w końcu. — Jest mi niewymownie żal doktora Knighta. Gdyby to mnie się przytrafiło, chyba... chyba miałbym chęć się zabić.

— Florian próbował — wypsnęło się Valerie. — Nie chciałam tego mówić, ale... to już i tak bez znaczenia. Wczoraj po wyjściu od Jeffriesa był tak chory z rozpaczy, że wrócił do mieszkania, połknął kilkanaście, a może nawet więcej tabletek nasennych i położył się na łóżku, żeby umrzeć. Na szczęście obiecałam przyjść i ugotować mu obiad. Miałam klucz, więc weszłam i znalazłam go nieprzytomnego. Gdy tylko zobaczyłam pustą buteleczkę, zadzwoniłam do lekarza mojej matki, on mnie przyjmował na świat i wiedziałam, że można mu zaufać. Przyjechał natychmiast i uratował Floriana. Dzięki Bogu. Przez noc Florian czuł się fatalnie, ale dziś zaczął odzyskiwać siły.

Randall pod wpływem impulsu położył dłoń na ręce dziewczyny.

— Nie masz pojęcia, jak mi przykro, Valerie, że go niepokoiłem — powiedział. — W rzeczy samej, trudno go winić za to, że nie chce mieć nic wspólnego z projektem.

— Jest pan uczciwym człowiekiem, panie Randall, ale myli się pan — odparła z nagłym ożywieniem. — Gdyby pan nie przyszedł, nie mogłabym panu powiedzieć tego, co zaraz powiem. Widzi pan, ja uważam, że właśnie teraz Florian potrzebuje jakiegoś zajęcia, pracy, która go wciągnie. Uważam, że powinien, wręcz musi włączyć się do Drugiego Zmartwychwstania. Przed pańską wizytą sądziłam, że nie ma na to szans. Lecz kiedy poruszył pan ten temat, przyglądałam się twarzy Floriana, słuchałam, co mówi. Znam go i dobrze wiem, co czuje naprawdę. Powiedział panu, że całkowicie odrzuca ostiackie odkrycie, a także, że uwierzy dopiero, kiedy zobaczy je na własne oczy. Znam Floriana i potrafię w nim rozpoznać oznaki zaciekawienia i powrotu do życia. I spostrzegłam je, panie Randall. Jest tylko zbyt głęboko urażony i zbuntowany, żeby to przyznać otwarcie.

— To znaczy, że...

Na twarzy Valerie zagościł smutny uśmiech.

— To znaczy — odrzekła — że Florian ma do mnie bezgraniczne zaufanie. Jeżeli trzeba, mogę na niego wpłynąć niemal w każdej sprawie. Chcę, żeby wziął udział w Drugim Zmartwychwstaniu, i wierzę, że on pragnie to zrobić, ale przeszkadza mu urażona duma. Postaram się, żeby dołączył do pana w Amsterdamie, i prawie mogę dać gwarancję, że tak się stanie. Powiedzmy, za tydzień od dziś. Potrzebuje tego tygodnia, żeby stanąć na nogi, ale potem będzie go pan miał. Rozgoryczonego, zawziętego i usposobionego niechętnie, a jednak kochającego każdą chwilę tej pracy i wykonującego ją tak jak trzeba. Ma pan na to moje słowo. Dziękuję za pańską cierpliwość... i za piwo. Muszę już zmykać.

Dopiero wiele minut później — gdy złapał w Hampstead taksówkę i przypomniał sobie, że musi poinformować telefonicznie profesora Jęffriesa, że ma już konsultanta — Randall rozłożył wieczorne wydanie „London Daily Courier”.

Na pierwszej stronie rzucił mu się od razu w oczy nagłówek biegnący przez trzy kolumny.

MAERTIN DE VROOME UJAWNIA SENSACYJNE ZNALEZISKO NOWOTESTAMENTOWE I KWESTIONUJE POTRZEBĘ WYDANIA NOWEJ BIBLI. TEN PROJEKT JEST NIEPOTRZEBNY I BEZSENSOWNY, TWIERDZI PASTOR

Artykuł podpisano: „Korespondencja z Amsterdamu od naszego specjalnego wysłannika Cedrica Plummera. Pierwszy z trzech odcinków”.

I już po tajemnicy, pomyślał Randall.

Z bijącym sercem zabrał się do czytania w słabym świetle taksówki.

Plummer przeprowadził z pastorem rewolucjonistą rozmowę, w której de Vroome ujawnił, że zdobył utrzymywaną w tajemnicy informację o przygotowywanym przekładzie Nowego Testamentu i jego kolejnej edycji, uwzględniającej najnowsze odkrycia archeologiczne. Edycję tę miał wprowadzić na rynek międzynarodowy syndykat wydawniczych spekulantów, wspieranych przez zachłanne ortodoksyjne kręgi upadającego Kościoła.

„Nie potrzeba nam kolejnego Nowego Testamentu, żeby dodać religii znaczenia w zmieniającym się świecie — powiedział de Vroome. — Potrzebujemy radykalnych reform w Kościele i w samej religii, zmian wśród duchowieństwa i w interpretacji Pisma. Wówczas religia znów nabierze wagi. W tych niełatwych czasach wiara — jeżeli ma mieć dla ludzkości prawdziwą wartość — wymaga czegoś innego niż nowe Biblie, ich nowe przekłady i

nowe komentarze oparte na odkryciach archeologii. Wiara wymaga odmiany ludu bożego, pracującego na rzecz człowieka tu, na Ziemi. Powinniśmy ignorować i bojkotować tę nieustanną komercjalizację wiary. Musimy zaprotestować przeciwko kolejnej, nikomu niepotrzebnej świętej księdze i stać się głosicielami przesłania symbolicznego Jezusa, znanego cierpiącym ludziom na całym świecie".

Tekst był o wiele dłuższy, lecz dalej w tym samym stylu.

Randall nie znalazł w nim jednak żadnych faktów. Nie wymieniono nazw: Ostia, Drugie Zmartwychwstanie, Międzynarodowy Nowy Testament.

Pastor de Vroome dysponował jedynie pogłoską. Było to jego pierwsze ostrzeżenie pod adresem kościelnego establishmentu, sygnał, że zbior się do bitwy.

Randall zamknął gazetę. Okazało się, że Wheeler wcale nie przesadzał w kwestii bezpieczeństwa projektu. Skoro tak silny przeciwnik jak de Vroome szykował się do ataku, projekt faktycznie znajdował się w niebezpieczeństwie. Randall, teraz już związany z projektem, sam poczuł się zagrożony i zniechęcony.

I nagle zaniepokoiła go jeszcze jedna myśl.

Stał się właśnie odpowiedzialny za sprowadzenie do Amsterdamu gniewnego i rozgoryczonego młodego naukowca Floriana Knighta. Maertina de Vroome, wróg Drugiego Zmartwychwstania, mógł znaleźć w Knightcie sprzymierzeńca, który odnosił się do projektu z jeszcze większą nienawiścią.

Na razie pastor rewolucjonista nie przerwał jeszcze linii obronnych Drugiego Zmartwychwstania. Lecz gdy doktor Knight pojawi się w Amsterdamie, de Vroome może zyskać konia trojańskiego.

Randall zastanawiał się, co zrobić.

Postanowił zaczekać i obserwować uważnie sytuację, dopóki się nie zorientuje, czy ów koń trojański pozostanie jedynie pustą skorupą, czy też przyniesie zagrożenie jego własnej nadziei.

ROZDZIAŁ 3

Randall nachylił się nad Darlene, siedzącą przy oknie samolotu KLM, i zdążył jeszcze dojrzeć przesuwaną się w dole pejzaż holenderskiej stolicy. Amsterdam przypominał nieregularną szaro-rdzawą szachownicę, przy otoczonych kamieniczkami placach wznosiły się strzeliste wieże, a całość poprzecinana była lśniąco pasmami starych kanałów.

W mrocznej epoce swego związku z Barbarą przyjechał kiedyś do tego miasta na dwa dni. Zwiedzał je rutynowo, niecierpliwie: centralny plac nazywany Dam, handlową dzielnicę wokół Kalverstraat, dom Rembrandta, malarstwo van Gogha w Stedelijk Museum.

Teraz, w lądującym samolocie, myślał o tym, co go czeka podczas drugiej wizyty. Wiązał z nią obietnicę nowego życia. Wisząca nad projektem groźba, obwieszona w londyńskiej gazecie, wywiad niejakiego redaktora Plummera z tym strasznym pastorem de Vroome'em, przydawała Drugiemu Zmartwychwstaniu aury ryzyka i niepewności, a tym samym dreszczyku emocji. Po szachownicy miejskiego krajobrazu w dole przemieszczały się w tajemnicy przed sobą dwie antagonistyczne siły: ortodoksyjne legiony Drugiego Zmartwychwstania, dążące do wzmocnienia istniejącej religii, a naprzeciw nich rewolucjonista de Vroome, chcący uśmiercić żywego Jezusa i obalić Kościół istniejący od początków chrześcijaństwa.

Rozbawiło go to czarno-białe uproszczone rozróżnienie dobrych i złych, zupełnie jakby zestawiał produkty swego klienta z jego konkurencją w kampanii reklamowej. Od dawna jednak przywykł do lojalności wobec kontrahentów i to się nie zmieniło.

Ciekaw był, czy Wheeler i inni przeczytali artykuł Plummera i jaka była ich reakcja. Zastanawiał się, czy wspominać o tym wydawcy, który miał czekać na niego na lotnisku Schiphol. W końcu uznał, że marnuje czas, bo cała ekipa z pewnością wiedziała o artykule.

Pięć minut później samolot osiadł gładko na pasie startowym, potoczył się pod terminal i Randall z Darlene wyszli przez rękaw na dworzec lotniczy. Stojąc na trzęsącym się ruchomym chodniku przejechali dystans niemal trzech boisk futbolowych, zmierzając do odprawy celnej. Podszedł do nich holenderski celnik w mundurze, z uśmiechem na otwartej twarzy.

— Amerykanie? — zapytał, podpisując ich deklaracje celne. — O, pan Randall, powiadomiono nas o pańskim przybyciu. Może pan iść dalej.

Kiedy ruszyli za tragarzem, Darlene westchnęła z ulgą.

— Bałam się, że mi zabiorą dodatkowe papierosy.

Po wejściu do hali przylotów Randall natychmiast poczuł się zagubiony. Miał wrażenie, że jest w szklanej klatce wstawionej do większej szklanej klatki.

— Musimy wymienić walutę.—Darlene pociągnęła go za rękaw sportowej kurtki, wskazując na automat wymieniający pieniądze.

— Wheeler to załatwi — odparł — tylko gdzie on jest, u diabła? — Kiwnął do uśmiechniętej stewardesy KLM w niebieskim uniformie i białych rękawiczkach. — Gdzie możemy znaleźć znajomego, który na nas czeka?

Pokazała mu najbliższe z czworga drzwi prowadzących przez szklaną ścianę na zewnątrz. Wheeler właśnie szedł w ich stronę zamaszystym krokiem.

— Witamy w Amsterdamie! — ryknął, po czym dodał, zniżając głos: — Chcę, żebyś poznał prezesa naszej grupy wydawniczej, najważniejszą osobę w Drugim Zmartwychwstaniu, znanego wydawcę literatury religijnej... Nalegał, żeby tu przyjść...

Randall uświadomił sobie obecność mężczyzny, przy którym Wheeler wydawał się mały, dystyngowanego pana mającego prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Mężczyzna zdjął kapelusz, ukazując okrągłą czaszkę z przylizanymi srebrnymi włosami. Miał bystre oczy za szklami bez oprawy, spiczasty nos i duże żółte zęby.

— Doktor Emil Deichhardt — powiedział Wheeler, po czym przedstawił mu Stevena Randalla i Darlene Nicholson.

Deichhardt odprawił rytuał całowania Darlene w rękę, nie dotykając jej ustami, po czym zamknął dłoń Randalla w uścisku swej łapy i rzekł gardłowym, lecz poprawnym angielskim:

— Bardzo się cieszymy, że jest pan już z nami w Amsterdamie, panie Randall. Nasz zespół wreszcie jest w komplecie. Teraz będziemy mogli przedstawić światu efekt naszych wysiłków w najbardziej efektywny sposób. Tak, panie Randall, pańska reputacja pana wyprzedza.

Wheeler zachęcił wszystkich do opuszczenia hali przylotów.

— Nie traćmy czasu — ponaglał. — Zawieziemy was prosto do hotelu Amstel, najlepszego w mieście. Mieszka tam większość naszej kadry kierowniczej. Jak tylko się rozpakujecie, chcę cię widzieć, Steve, w kwaterze głównej. Poznasz najważniejszych ludzi z naszego personelu i ogólnie się zorientujesz. Potem... o pierwszej, Emilu?... mamy lunch ze wszystkimi pięcioma wydawcami i ich doradcami teologicznymi, poza profesorem Jeffriesem, który przybędzie za kilka dni. Twoja depesza z obietnicą ściągnięcia Floriana Knighta to prawdziwa bomba — dodał wydawca. —

Musisz mi później opowiedzieć, jak ci się to udało. Faktycznie, handlowiec z ciebie nie lada, Steve. O, jest nasza limuzyna.

Na podjeździe czekał na nich mercedes z holenderskim kierowcą. Drzwiczki były otwarte. Randall wraz z Darlene i Deichhardtem usiedli z tyłu, a Wheeler obok szofera.

Zostawili za sobą wysoką wieżę kontrolną lotniska, minęli niezidentyfikowany, nowoczesny czarny pomnik i dobrze oświetlonym tunelem dotarli do autostrady w kierunku miasta. Rozmowa była niezobowiązująca, Wheeler wymieniał z Deichhardtem uwagi na tematy wydawnicze, czasami wskazywał Darlene widoki, lecz Randall prawie tego nie słuchał.

Wolał milczeć i oszczędzać energię, zanim spadną na niego wrażenia z obcego miejsca i ze spotkań z nieznanymi wcześniej ludźmi. Jazda do centrum Amsterdamu trwała pół godziny. Dzień był ciepły, osiedla skąpane w słońcu. Minęli fabrykę IBM, a potem zjechali z autostrady i zaczęły się pojawiać nazwy ulic: Johan Huizngalaan, Postjesweg, Marnixstraat i na jednym z bardziej ruchliwych skrzyżowań napis ROZENGRACH.

— Niedaleko jest dom Anny Frank — powiedział Deichhardt do Darlene. — Kanał biegnie trzy metry wyżej niż lotnisko. Czy wiedziała pani, że właściwie większa część miasta leży poniżej poziomu morza? Ci Holendrzy to bardzo pracowity naród. Rozengracht... gracht znaczy kanał, natomiast straat i weg to ulica, a plein, słowo, z którym będziecie się często spotykać, oznacza plac, tak więc na przykład Thorbeckeplein to po prostu plac Thorbecke. Bitte, widzi pani ten tramwaj przed nami? I tę czerwoną skrzynkę, którą ma z tyłu?

Randall wyjrzał za okno i ujrzał kremowy, wąski tramwaj, który spowolnił ich jazdę.

— To skrzynka pocztowa — wyjaśnił Deichhardt. — W Amsterdamie, żeby wysłać list, trzeba podejść do tramwaju. Wygodne, prawda?

Mercedes skręcił i jechał wzdłuż Prinsengracht, a potem rzeki Amstel. Randall przyglądał się długim tramwajom wodnym ze szklanymi dachami, tłumom Holendrów na rowerach i motocyklach, a także w niedużych samochodach, głównie holenderskich marki DAF, fiatach i renaultach. Czuł się tak, jakby jechał wśród nich czołgiem. Patrzył na ceglane domy o wysokich szczytach i wydawało mu się, że jeszcze nigdy nie był w tym mieście.

Po skręceniu w lewo przejechali duży most i kierowca przyspieszył.

— Już dojeżdżamy — rzucił z przedniego siedzenia Wheeler. — Profesora Tulppleina jeden, to adres hotelu. Amstel stoi właściwie przy małej ślepej

ulicze, ale to jeden z najlepszych hoteli w Europie. Piękny, dziewiętnastowieczny budynek. Królowa Juliana i książę Bernhard urządzili właśnie w nim przyjęcie dla rodzin królewskich z całego kontynentu z okazji srebrnego wesela. Mam dla ciebie niespodziankę, Steve. Dostaniesz najlepszy apartament w hotelu, królewski, bo korzystała z niego czasami królowa. W porównaniu z nim my z doktorem Deichhardtem mieszkamy w pokojach dla służby.

— Dziękuję, ale to niepotrzebne — rzekł Randall.

— Ależ my wcale nie jesteśmy takimi altruistami, prawda, Emilu? — Wheeler puścił do niemieckiego wydawcy teatralne oko. — W tym naszym poświęceniu jest metoda, Steve. Od tej chwili liczy się dla ciebie tylko jedno, oczywiście poza najważniejszą sprawą, czyli zachowaniem tajemnicy: przygotowanie największej kampanii promocyjnej w historii ludzkości. Spodziewamy się, że po ujawnieniu naszego projektu zaczną do ciebie walić drzwiami i oknami dziennikarze z całego świata. Chcemy, żebyś przyjmował ich tak, jak królowie podejmują królów. Spotkanie w takim wnętrzu musi na nich wywrzeć odpowiednie wrażenie, dlatego dostałeś apartament królowej. Numery dziesięć, jedenaście i dwanaście. Panna Nicholson zajmuje pokój obok. Mamy nadzieję, że to otoczenie wprowadzi cię w twórczy nastrój, Steve, i naprawdę ruszysz z kopyta.

— Zamierzam dać z siebie wszystko — odrzekł Randall.

Mercedes stanął przed kamiennymi schodami i kolumnami hotelu Amstel. Odźwierny przytrzymał tylne drzwiczki samochodu, a kierowca wystawił na chodnik bagaże.

Randall wysiadł i pomógł wysiąść Darlene, a kiedy Wheeler przywołał go kiwnięciem dłoni, nachylił się do otwartego okna.

— Jesteś już zameldowany, Steve — rzekł wydawca. — Możesz odebrać z recepcji swoją pocztę, którą tam dostarczyliśmy, ale nie powinno być wiadomości od nikogo miejscowego. Oprócz celników na lotnisku, których powiadomiono, że mają przepuścić VIP-a, nikt nie wie, że przyjechałeś do Amsterdamu. Poza ekipą Drugiego Zmartwychwstania i paroma osobami z personelu hotelowego nikt nie może się dowiedzieć, że jesteś z nami związany. Jeżeli to się rozniesie, znajdą się ludzie gotowi na wszystko, dosłownie na wszystko, żeby wydobyć od ciebie jakieś informacje. Mogą się ukryć w twoim apartamencie, założyć podsłuch w twoim telefonie, przekupić obsługę... Jako nasz przyszły przedstawiciel wobec opinii publicznej i mediów będziesz na to narażony najbardziej z nas wszystkich. Pamiętaj o tym nieustannie i powiedz też swojej... sekretarce...

— Ona o niczym nie wie — odparł Randall. — A ja po prostu staję się od tej pory niewidzialnym człowiekiem.

— Czy możesz być gotów za trzy kwadranse? — zapytał Wheeler. — Samochód wróci po ciebie. Zadzwoń do mnie przed samym wyjściem, będę na ciebie czekał na dole w Krasnapolskim. Mamy mnóstwo pracy.

Randall patrzył, jak limuzyna powoli toczy się po zakręcie ślepej ulicy i znika z pola widzenia. Darlene i chłopiec hotelowy z bagażami weszli już do budynku. Pospieszył za nimi.

W holu przystanął na chwilę, żeby rozejrzeć się po wnętrzu. Orientalny chodnik biegł po marmurowej posadzce do wspaniałych schodów, przykrytych brązowym dywanem. Prowadziły na półpiętro, gdzie rozdzielały się na dwa ciągi stopni, kończących się na czymś w rodzaju balkonu widocznego z dołu. Po prawej czekali przy bagażach dwaj portierzy, a nieco dalej, w korytarzu, Darlene przyglądała się wystawie z damskimi torebkami w podświetlanej gablocie. Po lewej znajdowała się niewielka recepcja, a obok kontuar wymiany walut, z którego można było także nadawać depesze.

Podszedł do lady recepcji.

— Jestem Steven Randall. Zostałem już zameldowany...

— Tak jest, panie Randall. — Recepcjonista skłonił się lekko. — Mamy dla pana pocztę.

Wręczył mu plik grubych kopert i Randall zaczął je przeglądać. Biuro, biuro, biuro — wszystkie pochodziły z Randall Associates w Nowym Jorku, od Wandy Smith i Joego Hawkinsa, była też jedna bardzo gruba od Thada Crawforda, z pewnością projekt kontraktu z Cosmos Enterprises.

Zrobił już kilka kroków, gdy zawołał go recepcjonista.

— Panie Randall, jest jeszcze jedna wiadomość. Prawie jej nie zauważyłem w pańskiej przegródce.

— Jaka wiadomość? — Randall poczuł niepokój. Pamiętał słowa Wheelera: Nie powinno być wiadomości od nikogo miejscowego... Nikt nie wie, że tu jesteś.

— Jakiś dżentelmen zostawił to godzinę temu. Czeka na pana w barze.

Wiadomość miała formę wizytówki, z nazwiskiem wytłoczonym delikatną czcionką na środku: Cedric Plummer. W lewym dolnym rogu widniała nazwa miasta — LONDYN — a w prawym napis verte, sporządzony czerwonym atramentem.

Randall odwrócił kartę. Zobaczył słowa wypisane równym pismem, tym samym czerwonym atramentem: „Drogi panie Randall, witam Pana w Amsterdamie. Życzę powodzenia w Drugim Zmartwychwstaniu. Przyda im

się taki fachowiec od reklamy. Proszę spotkać się ze mną w barze dla omówienia pilnej sprawy w naszym wspólnym interesie. Plummer".

Plummer!

Randall, wstrząśnięty, schował wizytówkę do kieszeni. Miał przed oczami pierwszą stronę „London Daily Courier” — wywiad Plummera z pastorem de Vroome'em.

Skąd, u diabła, dziennikarz wiedział, że on przylatuje właśnie dzisiaj do Amsterdamu? W wiadomości pojawiły się poza tym słowa, których nie było w artykule, kryptonim Drugie Zmartwychwstanie.

Randall szczyił się opanowaniem, lecz teraz był na skraju paniki. Instykt podpowiadał mu, żeby natychmiast dzwonić do Wheelera, ale wydawca nie dotarł jeszcze do kwatery głównej w Krasnapolskim. Następnym odruchem była chęć ukrycia się bezpiecznie w hotelowym apartamencie. Lecz nie mógł przecież ukrywać się tam w nieskończoność.

Zaczął się uspokajać. Skoro istnieje nieprzyjaciel, należy mu stawić czoło, nie okazując słabości, tylko siłę. Jeśli możliwe, wykorzystać go. Wiedząc o nim zawczasu, uzbroić się odpowiednio. Poza tym ciekaw był wyglądu przeciwnika i chciał go poznać. Podeszedł do Darlene.

— Kochanie, ktoś na mnie czeka w barze — powiedział. — Sprawy służbowe. Idź na górę i rozpakuj się. Za minutkę wracam.

Zacząła protestować, lecz poddała się z uśmiechem i ruszyła za tragarzami w stronę windy.

Randall zapytał recepcjonistę o bar, a ten wskazał gestem na lewo od holu.

— Ten pan ma kwiat w butonierce — dodał.

Bar był przeszklony i przestronny. Randall zobaczył za oknami fragment kanału z płynącą barką. Po lewej miał egzotyczny bufet. Zasłaniała go drewniana krata opleciona winoroślą, a od dołu dekoracyjna pleciona mata. Obszedł zasłonę. Barman, jowialny Holender, wycierał szklanki.

O tej wczesnej porze zajęte były tylko dwa stoliki. Przy jednym jakiś grubas popijał sok pomarańczowy i studiował przewodnik. Na drugim końcu, przy stoliku pod oknem, siedział na wyściełanym na niebiesko krześle dobrze ubrany młody mężczyzna.

Nieprzyjaciel.

Randall ruszył ku niemu.

Nieprzyjaciel był strojnisiem. Włożył do butonierki kwiat.

Plummer miał cienkie matowe włosy, ciemne i zaczesane na bok, by maskować łysinę i wąski nos. Nad zapadniętymi policzkami i małą bródką w stylu van Dycka tkwiły paciorkowate oczy łasicy. Cerę miał bladą jak ostryga.

Ubrany był w prążkowany garnitur o konserwatywnym kroju i krawat z wysadzaną klejnotami spinką. Na palcu nosił wielki pierścień z turkusem. Nie nosi się tak jak większość dziennikarzy z Fleet Street, w wytartych marynarkach, pomyślał Randall.

Korespondent „Couriera” spostrzegł go, odłożył natychmiast gazetę i wstał.

— To dla mnie zaszczyt, panie Randall—powiedział piskliwym głosem, odsłaniając w mechanicznym uśmiechu wystające zęby. — Niechże pan usiądzie. Może drinka? Ja miałem cholerną ochotę na krwawą Mary, ale może...

— Nie, dziękuję — uciął Randall. — Mam tylko chwilę, właśnie się wprowadziłem.

— Wiem. Nie zajmę panu wiele czasu. Czytał pan moją wiadomość, prawda?

— Czytałem. Sprytnie pan to sformułował, żeby mnie tu ściągnąć.

— Ano właśnie, drogi panie Randall — odparł Plummer z uśmiechem niezdrowej ekscytacji. — Specjalnie dałem do zrozumienia, że wiem o pańskiej funkcji szefa reklamy w projekcie nazwanym Drugie Zmartwychwstanie. Chciałem wzbudzić pańską ciekawość i zyskać respekt. I jestem zachwycony, że mi się to udało.

Randalla zaczął mierzyć ten człowiek.

— Czego pan chce? — zapytał obcesowo.

— Pańskiej współpracy — odparł Plummer.

— W jakim sensie?

— Panie Randall, chyba już jest dla pana oczywiste, że mam wiarygodne źródło informacji, gotowe na każde moje zawołanie. Bez problemu dowiedziałem się o pańskim zaangażowaniu w tę sprawę, o wizycie w Londynie i o dacie pańskiego przybycia do Amsterdamu. A co do Drugiego Zmartwychwstania, to zapewne czytał pan mój artykuł we wczorajszym „Courierze”. To była pierwsza salwa.

Randall celowo siedział, nie odzywając się i bębniąc tylko palcami po blacie.

— Dobrze, może pan grać rolę mocnego Amerykanina — rzekł Plummer.

— Tylko niech pan będzie praktyczny. Przecież trudno się spodziewać, że można opublikować Biblię... czy też sam Nowy Testament... angażując w to kilkuset ludzi, i tajemnica nie przestanie w końcu być tajemnicą. Prawda wyjdzie na jaw, mój drogi panie, zawsze wychodzi. Moi współpracownicy znajają już twarze wszystkich osób odwiedzających waszą kwaterę główną w

Krasnapolskym. Wiem bardzo dużo na temat waszego projektu, naprawdę dużo...

— Skoro wie pan tak dużo, to ja nie jestem panu potrzebny — rzucił Randall i odsunął krzesło, żeby wstać.

— Chwileczkę, panie Randall, nie bawmy się w takie gry — zaprotestował Plummer. — Oczywiście, że nie wiem wszystkiego, przyznaję to. Ale dowiem się, i to na długo przedtem, zanim podacie to do publicznej wiadomości. Gdy tylko poznam zawartość Biblii, będę wiedział to, co chcę wiedzieć. Zapewniam pana, że w ciągu dwóch najbliższych tygodni będę już znał wszystkie szczegóły. Ale w moim fachu konkurencja jest bardzo ostra. Muszę być nie tylko pierwszy, ale również jedyny, panie Randall. I będę. Jednakże pańska współpraca oszczędziłaby mi mnóstwa wysiłku i przyspieszyła publikację sensacyjnego materiału o ładne parę dni. Proszę mnie właściwie zrozumieć, zależy mi tylko na dobrym tekście. Jak już go zdobędę, mogę nawet zacząć sprzyjać waszemu Drugiemu Zmartwychwstaniu, oczywiście pod warunkiem, że zdecyduje się pan na współpracę.

— A jeżeli nie?

— No cóż, mogę się trochę zniechęcić, a moje teksty mogą się stać wyrazem moich uczuć. — W jego głosie pojawiła się nuta perfidii. — Nie chciałby pan tego, prawda? Zapoznałem się trochę z pańską biografią, panie Randall, ze szczególnym uwzględnieniem klienteli obsługiwanej przez pana firmę w ostatnich latach. Przekonałem się, że ma pan czysto biznesowe i niesentymentalne podejście do reprezentowanych przez siebie osób i organizacji. Nie kierują panem wyższe racje czy nakazy jakiejś śmiesznej moralności. Oni panu płacą, a pan dla nich pracuje. To godne podziwu, to pańska siła. — Dziennikarz przerwał na chwilę. — Panie Randall, my też jesteśmy gotowi zapłacić.

Randall miał ochotę trzasnąć go w nos, zmazać ten przebiegły uśmiezek z bladej twarzy. Pohamował się jednak, ponieważ chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć.

— Jesteście gotowi zapłacić — powiedział. — Właściwie za co? Czego pan oczekuje?

— O, to już lepiej brzmi — ucieszył się Plummer. — Wierzyłem w pański rozsądek. Czego oczekuję? Chcę zobaczyć próbne wydruki tego... tego supertajnego Nowego Testamentu. Zdobędzie je pan bez problemu. Nikomu w Krasnapolskym to nie zaszkodzi. W odpowiedniej chwili wystartuje pan z kampanią reklamową, a ja dzięki temu pokonam konkurencję. Jestem gotowy do negocjacji z panem. Co mi pan odpowie, panie Randall?

Randall wstał.

— Odpowiem: odwal się, Plummer — rzucił i odwróciwszy się na pięcie, ruszył szybkim krokiem do wyjścia. Do jego uszu dobiegł pożegnalny pisk Plummera.

— Nie odwalę się, przyjacielu, dopóki nie ujawnię tajemnic Drugiego Zmartwychwstania! I jestem pewien, że mi się to uda, tak samo pewien, jak tego, że pan i cały ten kretyński projekt za dwa tygodnie będziecie niczym!

Randall wysłał Darlene pomimo jej sprzeciwów na autokarową wycieczkę po mieście, a na wieczór załatwił jej pływanie barką po kanałach, ze świecami. Następnie powiadomił George'a L. Wheelera, że już wyrusza do Grand Hotelu Krasnapolsky. Powiedział mu oczywiście o nieoczekiwanym spotkaniu z angielskim dziennikarzem, wywołując tą informacją serię nerwowych pytań. Po tej rozmowie przygotował się duchowo na pierwszą wizytę w strzeżonym i tajemniczym zamkniętym rewirze, w którym toczyła się działalność zespołu Drugiego Zmartwychwstania.

Wyglądając przez okno mercedesa wjeżdżającego właśnie na rozległy plac, usłyszał gardłowy głos kierowcy, Holendra w średnim wieku, który przedstawił się jako Theo.

— Jesteśmy na Dam, naszym głównym placu. To serce miasta, ulice rozchodzą się stąd promieniście, niczym szprychy w kole.

Randall pamiętał z poprzedniego pobytu niektóre z mijanych budynków. Na środku placu ludzie zbierali się jakby na dwóch wyspach. Jedna uformowała się wokół pomnika Wyzwolenia, wzniesionego przez Holendrów dla rodaków, którzy zginęli podczas drugiej wojny światowej. Kiedy był tu przed kilkoma laty, stopnie pomnika okupowało międzynarodowe towarzystwo hipisów i studentów, w dzień w większości odurzonych trawką, a w ciemnościach nocy często przyłapywanych na kopulowaniu. Dziś młodych ludzi było nie mniej niż wtedy, lecz wyglądali na bardziej przytomnych, rozmawiali ze sobą albo czytali w porannym słońcu. Druga ludzka wysepka tworzyła się na płaskim cementowym podeście, niczym trawnik bez trawy, z katarzyniarzem, teatrzykiem marionetek i budką z lodami, otoczoną dzieciarnią. Starsi mieszkańcy miasta odpoczywali tu na ławkach albo karmili gołębie.

— Na lewo Koninklijk Paleis — wychrypiał Theo. Randall posłusznie przyjrzał się wielkiemu Pałacowi Królewskiemu, który zajmował całą jedną pierzeję placu. — To nasze sanktuarium, jak dla Anglików Westminster — dodał kierowca. — Zbudowano je na bagnie, na trzynastu tysiącach drewnianych pali. Ale królowa tam nie przebywa. Mieszka za miastem, a w

pałacu urządza tylko oficjalne przyjęcia z okazji ważnych wydarzeń państwowych.

— Czy jest tam sala tronowa? — zaciekał się Randall.

— Sala tronowa? Troonkamer? Ik versta het niet. — Nagle Theo zrozumiał. — Ja, ja, ik weet wat u zegt. Natuurlijk, wij hebben het.

— Theo, czy mógłbyś mówić...

— Oj, przepraszam — zreflektował się kierowca. — Oczywiście, mamy salę tronową, to wielka ceremonialna komnata, ogromna, bardzo piękna.

Randall wyjął z kieszeni notatnik i zapisał kilka słów. Właśnie wpadł na pierwszy chwyt reklamowy i zamierzał go omówić ze swymi pracownikami. Zaczynał się dobrze czuć w Holandii.

— Przed nami de Bijenkorf — oznajmił Theo. Randall rozpoznał największy dom handlowy w Amsterdamie, de Bijenkorf, czyli Ul, sześciopiętrowy budynek wypełniony ludźmi ogarniętymi szaleńcami zakupów. — A tam obok to już Kras, tam pan jedzie — ciągnął Theo.

— Co takiego?

— Grand Hotel Krasnapolsky, tam jest kwatera główna. Trudno się to wymawia, więc wszyscy mówią Kras. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku polski krawiec o nazwisku Krasnapolsky zamknął swój zakład i otworzył na Warmoesstraat kawiarnię, z winem i naleśnikami a la Mathilde, przyrządzanymi przez jego szwagierkę. Potem dodał salę bilardową i Wintertuin, ogród zimowy, później dokupił domy wokół, dobudował kilka pięter i miał już hotel na sto pokoi. Dzisiaj jest ich trzysta dwadzieścia pięć. To właśnie Kras. O, tam stoi pan Wheeler, czeka na pana.

George L. Wheeler czekał rzeczywiście pod szklanym zadaszeniem. Gdy Randall wysiadł, wydawca uścisnął mu dłoń.

— No, dobrze, że wreszcie jesteś, cały i zdrowy — powiedział. — Przykro mi z powodu tej ohydnej historii z Plummerem. Jak on się, u diabła, dowiedział, że jesteś w Amsterdamie? Nie rozumiem tego.

— Dobrze by było zrozumieć — rzekł Randall ponuro.

— Tak, koniecznie. Zajmiemy się tym dzisiaj. Ostrzegalem cię, to przebiegłe typy, chcą nas zniszczyć za wszelką cenę. Ale nie martw się, pokonamy ich. — Pokazał szerokim gestem za siebie. — To właśnie Kras. Nasza forteca jeszcze co najmniej przez miesiąc, może dwa.

— Wygląda jak każdy inny luksusowy hotel — zauważył Randall.

— I tak jest dobrze — oświadczył Wheeler. — Wynajmujemy małą część parteru na spotkania robocze całej ekipy, a nasi pracownicy mają specjalną zniżkę we wszystkich hotelowych lokalach — w Barze Amerykańskim,

Palmowym Dworze i Białej Sali. Natomiast Drugie Zmartwychwstanie ufortyfikowało się tak naprawdę na pierwszym i drugim piętrze. Zajęliśmy te piętra w całości, przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa. Dla ciebie i twojej ekipy są przeznaczone dwie sale konferencyjne na pierwszym piętrze. Będziesz miał własny gabinet w Zaal F, pokój obok będzie twoim sekretariatem. Do tego jeszcze dwa pokoje, zwyczajne pokoje hotelowe, dwieście cztery i dwieście pięć, też przekształciliśmy na biura. Tam będziesz mógł się spotykać z ludźmi, prowadzić rozmowy, porozmyślać spokojnie czy nawet uciąć sobie drzemkę. Chociaż nie sędzę, żebyś miał zbyt często taką okazję.

— Ja też nie sędzę — zgodził się Randall. — No dobrze, od czego zaczynamy?

— Od wejścia do środka. — Wheeler ujął go pod ramię, lecz nie ruszył się z miejsca. — Jeszcze jedna rzecz. Hotel ma kilka wejść od strony Warmoesstraat i możesz wchodzić, którym chcesz. Można też używać głównego wejścia, tego za nami, ale wówczas zawsze istnieje ryzyko, że ktoś w rodzaju Plummera dopadnie cię podczas przechodzenia przez hol. Może się czaić w Prinses Beatrix Lounge albo w Prinses Margriet Zalen, albo w Barze Amerykańskim i zaczepić, zanim dotrzesz do wind. Oczywiście po wyjściu z windy każdy jest sprawdzany przez naszych strażników. Właściwie wolałbym, Steve, żeby osoby z czerwoną kartą wchodziły bocznym wejściem — zakończył wydawca.

— Co to jest czerwona karta? — spytał Randall.

— Zobaczysz. Najlepiej jest wchodzić od Warmoesstraat, tu obok. — Wheeler poprowadził go ulicą pomiędzy domem handlowym a hotelem. Stanęli przy tabliczce z napisem: INGANG KLEINE ZALEN. Obrotowe drzwi flankowały dwie kolumny z czarno-zielonego marmuru. — Właśnie tędy — rzekł wydawca.

Znaleźli się w wąskim holu, z którego otwarte szeroko drzwi prowadziły do małego pokoju po lewej i dużo większego po prawej. W drzwiach po prawej stał krzepki strażnik w letnim mundurze khaki, miał na sobie pas z nabojami i pistolet w kaburze.

— Korytarz przed nami prowadzi prosto do wind — rzekł Wheeler. — A teraz chodźmy przedstawić cię inspektorowi Helderingowi. — Skinął głową strażnikowi i powiedział: — Heldering na nas czeka.

Mężczyzna odsunął się na bok i Wheeler wprowadził Randalla do biura ochrony. Pracowało tutaj sześć osób. Dwie młode dziewczyny o bujnych kształtach przeglądały jakieś papiery. Dwóch opalonych młodzieńców w

cywili siedziało nad rozłożoną na stole mapą. Inny, nieco starszy, manipulował przy niewielkiej desce rozdzielczej, otoczony półkolem aparatury — mikrofonów, rzędów przycisków i ekranów telewizyjnych, pokazujących obraz z korytarzy dwóch wyższych pięter.

W pobliżu ekranów siedział za biurkiem żylasty mężczyzna po pięćdziesiątce, o poważnej twarzy holenderskiego mieszczanina z obrazów Rembrandta. Stojąca na biurku mosiężna tabliczka informowała, że to inspektor J. Helderling.

Inspektor skończył właśnie rozmowę telefoniczną. Odłożył słuchawkę i zerwał się z krzesła, by uścisnąć dłoń Randallowi, podczas gdy Wheeler dokonywał prezentacji.

Usiedli i wydawca zwrócił się do Randalla.

— Myślę, że będziesz chciał porozmawiać z naszym inspektorem, Steve, jak już się urządzisz. Jest barwną postacią i sprawuje się naprawdę fantastycznie, i w hotelu, i w mieście. Jak już zaczniemy nagłaśniać sprawę Międzynarodowego Nowego Testamentu, opinia publiczna będzie zdumiona, że udało nam się utrzymać tajemnicę przez tak długi czas.

— Na pewno — odrzekł Randall — pod warunkiem że utrzymamy ją do końca. — Uśmiechnął się do Helderlinga. — Proszę tego nie brać do siebie, inspektorze, jednak...

— Jednak obawia się pan, że Cedric Plummer spenetrował naszą ekipę — dokończył sucho Helderling. — Proszę się nie obawiać.

Randall był zdumiony.

— Pan Wheeler już zdążył panu powiedzieć o moim spotkaniu z Plummerem? — zapytał.

— Nic podobnego — odpowiedział inspektor. — Nie wiedziałem nawet, że jest już o tym poinformowany. Miałem właśnie przygotować dla niego raport na temat zdarzenia w barze hotelu Amstel. Spisał się pan znakomicie, panie Randall. Podobno powiedział mu pan, żeby się odwalił, a on na to, że najpierw zniszczy nasz projekt.

— Touché — odparł Randall z uśmiechem zakłopotania. — Skąd pan o tym wie?

— Nieważne. — Helderling wykonał lekceważący gest owłosioną ręką. — Staramy się wiedzieć, co robią nasi ludzie. Nie zawsze z powodzeniem, bo jednak wielebny de Vroome czegoś się tam dowiedział o naszych działaniach, ale jednak robimy, co możemy, panie Randall.

— Będzie pan rzeczywiście ciekawym kąskiem dla dziennikarzy, inspektorze — zauważył Randall.

— Nie wiesz o nim jeszcze nawet połowy, Steve — rzekł Wheeler. — Inspektor Helderling podjął służbę w Interpolu już w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, gdy organizacja została reaktywowana w Paryżu po drugiej wojnie. Dochrapał się stanowiska tylko o szczebel niższego od sekretarza generalnego i wciąż tam pracował, gdy udało nam się go ściągnąć z jego pięknego biura w Saint-Cloud i zatrudnić jako szefa ochrony Drugiego Zmartwychwstania.

— Decyzja nie była trudna — stwierdził Helderling. — W Interpolu pracowałem dla ludzi, i to było ważne. W Drugim Zmartwychwstaniu pracuję dla Pana Boga, i to jest jeszcze ważniejsze.

Praca dla Boga z bronią u pasa, pomyślał Randall.

— Chyba niewiele wiem o Interpolu — powiedział.

— Bo też niewiele da się powiedzieć — odparł Helderling.—Jest to organizacja zajmująca się współpracą między policją różnych państw w ściganiu międzynarodowych przestępców. Ja pracowałem w głównym biurze Interpolu w Paryżu, ale mamy oddziały w ponad setce krajów. Na przykład biuro w Stanach działa przy Departamencie Skarbu, biuro w Wielkiej Brytanii przy Scotland Yardzie. W Saint-Cloud przechowujemy akta ponad miliona przestępców. Każda kartoteka opisuje około dwustu cech ściganej przez nas osoby, takich jak rasa, kolor skóry, tatuaże, sposób chodzenia, ułomności, nawyki i tak dalej. Wprowadziłem ten sam system w Drugim Zmartwychwstaniu, oczywiście na małą skalę. Moja kartoteka zawiera wszystko, co powinniśmy wiedzieć o naszych pracownikach, ale takie same informacje zgromadziliśmy na temat dziennikarzy, radykalnych duchownych i różnych ekstremistów, a także konkurentów, którzy mogliby dążyć do zniszczenia efektów naszej pracy.

— Imponujące — rzekł Randall. Helderling skinął z kurtuazją głową.

— Również o panu musiałem się dowiedzieć wszystkiego, co się dało, panie Randall — dodał — zanim nasze biuro wyda panu kartę identyfikacyjną. Najważniejsze było poznanie pańskich słabości... czy dużo pan pije lub bierze narkotyki, z jakim typem kobiet się pan zadaje... a także pańskich czułych punktów: czy ktoś mógłby pana zaszantażować, gdyby znał jakieś kompromitujące informacje o pana córce Judy albo gdyby ujawnił szczegóły z życia osobistego pańskiej siostry Clare, albo na przykład nakłonił pannę Darlene Nicholson do intymnych zwierzeń na pański temat.

A niech mnie kule biją, pomyślał Randall, Wielki Brat patrzy.

— Widzę, że nie ma dla pana prywatnych spraw, nie ma świętości — powiedział.

— Święte jest tylko Drugie Zmartwychwstanie — oznajmił Helderling niewzruszony.

— I co — zdziwił się Randall z lekką irytacją—czy zdałem na piątkę?

— Nie całkiem — odparł poważnie Helderling. Otworzył szufladę i wyjął z niej mały kartonik. — Dostał pan B, czerwoną kartę B, ale to prawie najwyższy poziom. Nasz system...

— Ja to wyjaśnię — przerwał mu Wheeler. — Inspektor wprowadził system wzorowany trochę na systemie Interpolu. Wszyscy pracownicy Drugiego Zmartwychwstania zostali sklasyfikowani na pięciu poziomach bezpieczeństwa. Czerwona karta A oznacza dostęp do wszystkiego i wydano ją tylko mnie, czterem pozostałym wydawcom oraz panu Groatowi, który jest kuratorem sejfów. Karta B również oznacza dostęp do wszystkiego poza jednym zamkniętym pomieszczeniem. Karty w innych kolorach przeznaczone są dla pracowników mniej uprzywilejowanych. Jak więc widzisz, Steve, inspektor uważa, że w twoim wypadku warto zaryzykować. Zostałeś sklasyfikowany prawie na najwyższym poziomie.

Randall spojrzął ponad biurkiem na Helderlinga.

— A co to za zamknięte pomieszczenie, o którym wspomniał pan Wheeler? — zapytał.

— To stalowy sejf w podziemiach hotelu — odpowiedział inspektor. — Jego kuratorem jest właśnie pan Groat.

— I co ten sejf zawiera?

— Oryginalny papirus z roku sześćdziesiątego drugiego, z Ewangelią według Jakuba, oraz fragmenty pergaminu z roku trzydziestego, z raportem Petroniusza, a także oryginały ich przekładów w pięciu językach. Są cenniejsze niż całe złoto tego świata. — Helderling wstał, obszedł biurko i wręczył Randallowi kartę. — To pańska przepustka do Drugiego Zmartwychwstania, panie Randall. Może pan swobodnie wejść i rozpocząć pracę.

Dwie godziny później Randall wszedł do Zaal F, swego gabinetu na pierwszym piętrze, i usadowił się wygodnie w obrotowym skórzanym fotelu, wielce podekscytowany i zainspirowany pierwszymi spotkaniami z członkami zespołu Drugiego Zmartwychwstania.

Wheeler najpierw pokazał mu jego biuro — wyposażone w ciężkie dębowe biurko w kształcie litery L, szwajcarską elektryczną maszynę do pisania, kilka ustawionych przed biurkiem krzeseł, imponującą ognioodporną szafkę na akta, zamykaną na stalową sztabę, rzędy halogenowych lampek na suficie — a potem zmaterializowała się Naomi Dunn w roli jego przewodniczki.

Naomi przedstawiła go uczonym, specjalistom i ekspertom na pierwszym piętrze, ludziom, którzy poświęcili dwa ubiegłe lata na przygotowanie Międzynarodowego Nowego Testamentu. Po zakończeniu tego obchodu Randall oczekiwał na Wheelera. Za dwadzieścia minut wydawca miał go zabrać do Zaal G, jadalni dla dyrekcji projektu, na lunch z profesorem Deichhardtem i syndykatem wydawców oraz ich doradcami w sprawach teologicznych. Po lunchu Naomi zaprowadzi go na drugie piętro i przedstawi zespół fachowców od reklamy, z którymi miał od razu odbyć wstępną naradę, by przygotować ich do kilku tygodni wyętej pracy.

Na razie rozmyślał o naukowcach, z którymi spędził ostatnie dwie godziny. Wiedział, że będzie potrzebował ich pomocy w konstruowaniu wielowątkowej kampanii promującej nową Biblię. Wiedział też, jak trudno mu będzie zapamiętać te wszystkie obce twarze i głosy, ludzi, ich specjalności i olbrzymie pokłady intrygującej wiedzy. W kieszeni sportowej marynarki miał notatnik z żółtymi kartkami, na których zapisywał pospiesznie swoje uwagi w trakcie wędrówki po korytarzach, gdy spotykał w kolejnych pokojach wciąż nowe osoby.

Postanowił uporządkować pierwsze wrażenia i informacje, stworzyć zwarte dossier zespołu Drugiego Zmartwychwstania, które w przyszłości będzie poręcznym przewodnikiem jego pamięci.

Usiadł przy biurku, wkręcił papier do maszyny i zaczął szybko pisać.

13 czerwca DRUGIE ZMARTWYCHWSTANIE - EKSPERCI

HANS BOGARDUS.. . Długie jasne włosy, ciężkie powieki, bezbarwna twarz, niewieści głos. Dość szczupły. Pracował jako bibliotekarz w Netherlands Bijbelgenootschap (sprawdzić pisownię), Holenderskim Towarzystwie Biblijnym. W Drugim Zmartwychwstaniu od początku jest bibliotekarzem w czytelnicy, która znajduje się w hotelowym Schrijfzaal, pokoju do pisania. Teraz to pomieszczenie wypełniają od podłogi do sufitu książki. Są tu faksymile wszystkich najważniejszych rękopisów Biblii i kodeksów, reprinty albo oryginalne wydania Biblii we wszystkich językach. Nie lubię Bogardusa. Zimny jak piskorz. Niby usłużny i zręczliwy, ukrywa poczucie wyższości. Naomi mówi, że ma umysł jak komputer, potrafi znaleźć i objaśnić wszystko, czego się szuka. Będę go potrzebował, więc jakoś się muszę dogadywać.

WIELEBNY VERNON ZACHERY. . . Sławny kaznodzieja z Kalifornii, który zapęlał tłumami stadiony w Nowym Orleanie, Liverpoolu, Sztokholmie i Melbourne. Fundamentalista o tubalnym głosie i teatralnej twarzy. Hipnotyczny wzrok. Mówi z taką pewnością siebie, jakby był

wnukiem Pana Boga. Przyjaciół prezydenta USA oraz George'a L. Wheelera. Posadził mnie od razu na kanapie w pokoju do konsultacji, jakbym był Indianinem z Amazonii albo kanibalem, którego trzeba nawrócić. Jest jednak ważny dla sprzedaży Międzynarodowego Nowego Testamentu i powinienem się zastanowić, jak go najlepiej wykorzystać.

HARVEY UNDERWOOD... Prowadzi ośrodek badania opinii publicznej. Underwood Associates ma oddziały w Wielkiej Brytanii i Europie. Spokojny, zamyślony, prawdziwy dżentelmen. Wykonał dla Drugiego Zmartwychwstania sondaże na temat postaw wobec religii. Według kontraktu ma być obecny w Amsterdamie przez jeden tydzień w miesiącu, aż do dnia publikacji. Miałem z nim dobry kontakt i odbyliśmy przyjazną pogawędkę. Underwood ma mi przedstawić wyniki sondaży, przydadzą się do ustalenia głównych kierunków kampanii. Powiedział, że według ostatnich badań liczba ludzi chodzących raz w tygodniu do kościoła spadła w ciągu ostatnich dziesięciu lat z 50 do 40 procent. Po raz pierwszy ten spadek jest największy wśród katolików. Najlepszą frekwencję mają luteranie, mormoni i baptyści. Wśród protestantów duży spadek notuje

się natomiast w Kościele episkopalnym. Dziesięć lat temu 40 procent Amerykanów uważało, że religia traci na znaczeniu, dzisiaj uważa tak 80 procent. Poza tym sondaż wśród studentów wykazał, że dla 60 procent z nich religia i Kościół nie są ważne w życiu, ale dla pozostałych jednak zdecydowanie tak. Zgodziliśmy się obaj, że opublikowanie nowej Biblii może odwrócić tę tendencję.

ALBERT KREMER. . . Siedzi w następnym pokoju, w dziale redakcyjnym. Kieruje czteroosobowym zespołem. Według Naomi najważniejszym zadaniem edytorskim zaraz po tłumaczeniu nowej Biblii jest adiustacja i korekta tekstu. Kremer jest karłem i ma garb. Jest oddany sprawie, miły i trochę nieśmiały, z oczami wytrzeszczonymi jak lornetka z powodu nadczynności tarczycy. Jest Szwajcarem z Berna, z rodziny o korektorskich tradycjach. Jego ojciec, dziadek, pradziadek i prapradziadek byli korektorami Biblii i innych dzieł religijnych. Powiedział mi, że dokładność stała się rodzinnym fetyszem od czasu, kiedy przodek Kremera, imigrant, sczytując nowe wydanie Biblii króla Jakuba w Londynie, nie zauważył, że drukarze opuścili słówko „nie” w Księdze Wyjścia, w tekście dziesięciu przykazań, no i siódme przykazanie „Nie cudzołóż” wydrukowali jako „Cudzołóż”. Kiedy ta Biblia się ukazała, w roku 1631, nazwano ją Wypaczoną Biblią lub Biblią Cudzołożników i wzbudziła wielką uciechę wśród ówczesnych libertynów. Arcybiskup ukarał drukarzy grzywną w wysokości 300 funtów i przekazał te

pieniądze Oksfordowi i Cambridge na prasy drukarskie, a Wypaczoną Biblię kazał zniszczyć. Uchowało się tylko pięć egzemplarzy. Prawdziwą odpowiedzialność ponosił jednak krewny Kremera, nad którym to odium wisiało do końca życia. Od tej pory kolejne pokolenia Kremerów żyły wręcz w kulcie akuracności. „W Międzynarodowym Nowym Testamencie nie znajdzie pan ani jednego błędu korektorskiego” — zapewnił mnie Kremer.

PROFESOR ISAACS.. . Spotkałem go w wydzielonej części parteru, nazwanej pokojem gości honorowych, gdzie pracują odwiedzający nas naukowcy i teolodzy. Isaacs wziął urlop na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, jest specjalistą od dawnego języka hebrajskiego, bardzo poważanym za wkład w przetłumaczenie zwojów znad Morza Martwego. Zwrócił mi między innymi uwagę na to, jak nieznanomość niuansów językowych może przekształcić zwyczajne działanie w cud. „Podam panu przykład - powiedział melodyjnym, niemal słodkim głosem. - Hebrajskie słowo al tłumaczono zawsze jako „na” lub „po” i Pismo Święte mówi nam, że Jezus szedł po jeziorze. Jednakże al ma również inne znaczenie, mianowicie „przy”. Dlatego można by to równie dobrze tłumaczyć, że Jezus szedł obok wody, po prostu szedł przy brzegu jeziora. Zapewne propagandziści wczesnego chrześcijaństwa woleli jednak cudotwórcę od zwyczajnego spacerowicza.

Randall przerwał pisanie, przeczytał cztery zapisane kartki i jeszcze raz przejrzał swoje notatki. Przypomniały mu, jakie inspirujące okazały się spotkania z ekspertami na pierwszym piętrze. Byli to ludzie dążący konsekwentnie do celu. W przeciwieństwie do niego każdy z nich wydawał się kochać swoją pracę i odnajdywać w niej sens.

Rozmyślenia przerwało mu głośnie pukanie do drzwi, które natychmiast się otworzyły i pojawiła się w nich głowa George L. Wheelera.

— To dobrze, że pracujesz, Steve — powiedział. — Bardzo dobrze. Ale już czas na lunch. Przygotuj się na spotkanie z grubymi rybami.

Grube ryby.

Było ich dziesięciu. Siedzieli wokół wielkiego owalnego stołu, a rozmowa toczyła się na przemian po angielsku i francusku. Randall skonstatował, że chociaż jego francuski jest dość kulawy, rozumie niemal wszystko, co się do niego mówi w tym języku. A rozmowa była wyjątkowo męcząca.

Podawany przez dwóch kelnerów lunch — zupa żółwiowa i filety z łososia ze szparagami — nie powstrzymywał konwersacji. Słowa płynęły bez przerwy, elektryzowały atmosferę zarówno przed posiłkiem, jak i podczas jedzenia.

Przy sałatce owocowej i kawie Randall starał się zapamiętać wszystkich uczestników spotkania, nauczyć się ich rozróżniać. Siedząc między Wheelerem i profesorem Deichhardtem, przyjrzał się ponownie grubym rybom. Podobnie jak Wheeler, który miał obok siebie pastora Vernona Zachery'ego, pozostali wydawcy, z wyjątkiem jednego, też posadzili przy sobie teologów, którzy byli ich doradcami.

Obok Deichhardta siedział doktor Gerhard Trautmann, profesor teologii na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma w Bonn. Randall podejrzewał, i rozbawiło go to, że Trautmann specjalnie strzyże swój mnisi półksiężyc włosów tak, by upodobnić się do znanych z grafiki wizerunków Marcina Lutera. Następne miejsce zajmował angielski wydawca sir Trevor Young, młodo wyglądający pięćdziesięciolatek, lubujący się w wygłaszanych półgłosem kaśliwych komentarzach i niedomówieniach. Jego doradca, profesor Jeffries, był jeszcze w Londynie lub Oksfordzie.

Spojrzenie Randalla wędrowało dalej. Monsieur Charles Fontaine, wydawca z Francji, był przystojny, rudy, dowcipny i lubił epigramaty. Wheeler szepnął Randallowi do ucha, że Fontaine jest także bogaty, ma wspaniałą rezydencję przy Avenue Foch w Paryżu i dostęp do najwyższych kręgów politycznych w Pałacu Elizejskim. Jego doradcą był profesor Philippe Sobrier z College de France, zgaszony, zamknięty w sobie, wtopiony w tło. Lecz słuchając go, Randall poczuł instynktownie, że choć z niego szara mysz, to potrafi pokazać ząbki.

Następny był signor Luigi Gayda z Mediolanu, uderzająco podobny do papieża Jana XXIII. Miał albo powiększoną tarczę, albo po prostu cztery podbródki, jowialny styl bycia, wspominał często z dumą o licznych czasopismach, których był właścicielem, i o prywatnym odrzutowcu, którym podróżował po swym imperium finansowym. Był zagorzałym zwolennikiem amerykańskich metod biznesowych. To właśnie Gayda dowiedział się pierwszy o odkryciu profesora Montiego w Ostii i powiadomił o nim Deichhardta, który z kolei zorganizował syndykat wydawców nowej Biblii. Teologiem Gaydy był monsinior Carlo Riccardi, duchowny o bystrym intelekcie, wyrazistych rysach twarzy i orlim nosie. Prosta sutanna nadawała mu wygląd człowieka surowego. Związany z Pontificio Istituto Biblico w Rzymie, w Drugim Zmartwychwstaniu uczestniczył jako nieoficjalny przedstawiciel Watykanu. Randallowi, gdy przyglądał się obu Włochom, nasunęło się pytanie.

— Signor Gayda, jest pan wydawcą katolickim, j ak to możliwe, że wydaje pan protestancką Biblię i jak chce ją pan sprzedać w tak katolickim kraju jak Włochy?

Włoch uniósł ramiona w geście zdziwienia, a jego podbródki zadrżały.

— To całkowicie naturalne, panie Randall — odparł. — We Włoszech mieszka wielu protestantów, są szanowanymi ludźmi. W rzeczy samej Biblię protestancką były jednymi z najwcześniej opublikowanych w naszym kraju. Czy mogę to wydać? A czemu nie? Wydawcy katolicki muszą mieć imprimatur, zezwolenie na druk, ale oczywiście Watykan nie będzie ingerował w publikację protestanckiej Biblii.

— Pozwolisz, drogi Luigi, że wytłumaczę to panu Randallowi? — odezwał się monsinior Riccardi. — Być może wyjaśnię tym samym moją obecność w tym zespole. — Formułował przez chwilę swoją wypowiedź w myśli. — Trzeba panu wiedzieć, panie Randall, że pomiędzy protestanckim a katolickim Pismem Świętym istnieją niewielkie różnice, z wyjątkiem Starego Testamentu, w którym my dopuszczamy niektóre księgi jako wtórnokanoniczne, a nasi protestanci bracia — uznając je za apokryfy — nie. Poza tym nasze biblijne teksty są niemal identyczne, bez znaczących różnic teologicznych. We Francji istnieje nawet wspólna Biblia katolicko-protestancka, co zapewne mogą potwierdzić monsieur Fontaine i profesor Sobrier. Dwóch naszych teologów katolickich współpracowało z francuskimi protestantami przy tej edycji. Zdziwiło to pana?

— Właściwie tak — przyznał Randall.

— Ale tak właśnie jest — rzekł Riccardi — i w przyszłości taka współpraca będzie się rozwijać. Oczywiście ta konkretna Biblia nie ma naszego imprimatur, podobnie jak nie ma go pierwsze wydanie Międzynarodowego Nowego Testamentu. Ale jesteśmy nim zainteresowani. I jesteśmy zaangażowani, ponieważ, jak śmiem twierdzić, w przyszłości przygotujemy własne wydanie Międzynarodowego Nowego Testamentu, w wersji dostosowanej do wymogów naszej doktryny. Od protestanckich przyjaciół różnimy się szczególnie w jednym punkcie.

— W jakim? — spytał Randall.

— Chodzi oczywiście o związek Jakuba Sprawiedliwego z Jezusem — wyjaśnił Riccardi. — Jakub określa siebie mianem brata Jezusa. O braciach Jezusa piszą również święci Marek i Mateusz. Nasi protestanci przyjaciele proponują, żebyśmy interpretowali to dosłownie, jako brata krwi, co z kolei sugeruje... nie stwierdza kategorycznie, ale sugeruje... że Jakub, Jezus i ich rodzeństwo zostali poczęci w rezultacie fizycznego związku Marii z Józefem.

Dla katolików jest to nie do przyjęcia, tu nie może być dwuznaczności. Jak pan wie, my wierzymy w nienaruszone dziewictwo Marii. Od czasów Orygenesa i wczesnych Ojców Kościoła katolicy uważają, że Jakub był przyrodnim bratem Jezusa, synem Józefa z jego poprzedniego małżeństwa albo być może kuzynem. Innymi słowy, małżeństwo Marii z Józefem nie zostało skonsumowane. Jednakże uzgodnienie akceptowalnej interpretacji tej kwestii nie jest trudne, słowo „brat” nie ma bowiem w hebrajskim i aramejskim jednoznacznej definicji. Może oznaczać brata przyrodniego, szwagra, kuzyna, a także rodzonego brata. Tak czy inaczej zamierzamy stworzyć katolicką wersję Międzynarodowego Nowego Testamentu. Ojciec Święty w żadnym razie nie lekceważy przyszłych implikacji Ewangelii według świętego Jakuba i jej wartości dla wielonarodowej społeczności katolików na świecie.

Usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Randall powrócił do roli słuchacza. Przekonywał się stopniowo, że zainteresowania rozmówców są podzielone i zróżnicowane. Na przykład wielebny Vernon Zachery, profesor Sobrier, doktor Trautmann i monsinior Riccardi oddawali się przez dłuższy czas dyskusji nad potrzebą utrzymania tradycyjnego Kościoła.

Pastor Zachery uważał, że religijna odnowa zainspirowana przez nową Biblię stworzy tradycyjnemu Kościołowi sposobność, którą powinien wykorzystać do wzmocnienia swej pozycji i autorytetu.

— Do tej pory pozwalaliśmy sobie na słabości, brak reakcji i kompromisy wobec diabłów radykalizmu i rozbicia — twierdził Zachery. — Ale koniec z tym. Koniec z miękkością i ugodowością. Nasi wierni potrzebują autorytetu, jaki daje tradycja i dyscyplina. Musimy znów położyć nacisk na doktrynę i dogmat. Oferujemy ludziom rozszerzony Nowy Testament i powinniśmy podkreślać jego nieomyślność. W naszych kazaniach musimy interpretować na nowo zmartwychwstanie w świetle Ewangelii według Jakuba, uświadamiać, że był to akt Boga, inkarnacja, a także wskazywać na potrzebę braterskiej miłości i przebaczenia grzesznikom oraz obietnicę życia wiecznego.

Profesor Sobrier zgadzał się z tym, lecz z mniejszym zademciem.

— Jeżeli można, zacytuję mojego rodaka, filozofa Jeana-Marie Guyau — powiedział. — „Religia bez mitu, dogmatu i kultu, pozbawiona rytuałów, jest tylko bękartem. Religia to socjologia będąca fizycznym, metafizycznym i moralnym objaśnieniem wszystkich rzeczy”.

Doktor Trautmann prezentował poglądy jeszcze bardziej konserwatywne.

— Zgadzam się co do znaczenia ceremonii i rytuału — powiedział. — Doszedłem jednak do wniosku, że Kościół powinien przywiązywać większą

wagę do muzyki i śpiewu liturgicznego, natomiast czytanie Biblii podczas mszy świętej powinno odbywać się po łacinie, a nie we współczesnych, rodzimych językach. W moim przekonaniu mogłoby to, podobnie jak powtarzanie mantr w hinduizmie czy buddyzmie, umożliwić wiernym doświadczenie mistyczne, zachęcić ich do medytacji, zbliżyć... bardziej poprzez uczucia niż poprzez rozum... do jedności z Najwyższą Istotą. Krótko mówiąc, chociaż Ewangelia Jakuba przedstawi nowy obraz naszego Pana, Jezusa Chrystusa, możliwy do zaakceptowania przez racjonalistów, nie możemy pozwolić, żeby zredukowano go do przemijającej, świeckiej, historycznej postaci. Musimy przypominać naszym parafianom, że to poprzez Niego i Jego Kościół mogą odnaleźć rozwiązanie ostatecznych tajemnic naszego życia — istnienia i śmierci.

Randall wyczuwał, że słuchający Trautmanna wydawcy byli jego słowami lekko zaniepokojeni. Wymianę poglądów między teologami przerwał monsieur Fontaine.

— Panowie, jeżeli dobrze was rozumiem, pragnęlibyście w pełni odbudować bastiony starego, tradycyjnego Kościoła. Jednakże wykorzystując impuls, jaki nada religii Międzynarodowy Nowy Testament, wyłącznie jako narzędzie powrotu do tradycjonalizmu, możecie popełnić poważny błąd. Frakcje reformatorów w Kościele nadal będą niezadowolone i wkrótce utracie teren, który uda wam się początkowo zdobyć. Oczywiście można wzmocnić ortodoksję, głosząc prawdę objawioną, skoro tak chcecie, ale należy nadać temu współczesny sens.

Dyskusja toczyła się jeszcze przez jakiś czas, lecz wydawcy szybko zamilkli, pozostawiając teologom ich głębokie rozważania, tym razem nad wartością symbolizmu w wypowiedziach Jezusa, zapisanych w nowo odkrytej ewangelii.

Randall spostrzegł, że wydawcy słuchali tego uważnie tylko przez krótki czas, a potem zaczęli kręcić się niespokojnie. Traktowali chyba swych doradców trochę jako oszołomów, gotowych znowu liczyć, ile aniołów zmieści się na łebku szpilki. W końcu Deichhardt, Wheeler, Fontaine, Trevor i Gayda zaczęli podejmować konwersację i zmieniać jej tematykę na czysto biznesową, dotyczącą problemów wydawniczych i promocji ich wielkiej inwestycji.

— To odkrycie wywrze ogromny wpływ na różne wspólnoty wyznaniowe — rzekł sir Trevor, wyrażając swoje obawy — lecz boję się, że może spowodować tarcia pomiędzy nimi. Oczywiście najważniejsze zaakceptują wydany przez nas Nowy Testament, ale nie wszystkie. Być może efekty

publikacji nowej Biblii ujawnią się w pełni dopiero w przyszłym pokoleniu, co mnie martwi, bo skutkiem kontrowersji może być bankructwo każdego z nas. Potrzeba nam solidarności. Musimy zdobyć całość duchowieństwa, zanim nasi przeciwnicy zdołają nam zaszkodzić.

Profesor Deichhardt zbeształ go łagodnie za ten niepokój o komercyjny sukces w Wielkiej Brytanii.

— Pan, sir Trevorze, i George Wheeler w Ameryce nie musicie przewycięzać takich przeszkód jak my w Niemczech. Możecie od razu zasypać opinię publiczną reklamami i artykułami w setkach religijnych tygodników i miesięczników wydawanych w waszych krajach. W Niemczech stoimy wobec dwóch poważnych przeszkód. Pierwszą jest Biblia Lutra, używana niemal we wszystkich landach. Drugą zaś to, że jest ona publikowana wyłącznie przez członków Związku Towarzystw Biblijnych. Godząc się na zaakceptowanie Międzynarodowego Nowego Testamentu, związek ten musiałby się zgodzić na rezygnację z własnego dochodowego przedsięwzięcia. Być może będzie trzeba obiecać im udział w zyskach, żeby nie stawali okoniem.

— Niepotrzebnie się kłopotujesz, Emilu — odparł Anglik. — Również ty w Niemczech nie będziesz miał żadnych problemów. Gdy tylko ludzie usłyszą o Ewangelii świętego Jakuba, każdy będzie chciał mieć nową Biblię. Biblia Lutra zostanie uznana za namiastkę, niekompletną i zdezaktualizowaną, a wasz Związek Towarzystw Biblijnych będzie zmuszony do kolportowania Międzynarodowego Nowego Testamentu. Wspomnisz moje słowa. Jak tylko zaczną rozbrzmiewać werble reklamy... a pan Randall już o to zadba... popyt na nasz produkt zmiecie z drogi każdą przeszkodę. Możliwe, że ustąpią nawet wspólnoty odszczepieńców, które przysparzają mi tyle zgrzyzoty.

Wheeler i Fontaine zaczęli mówić o kosztach, cenach, dystrybucji i reklamie.

Randall dopijał kawę i słuchał zafascynowany. Potwierdzało się to, co już wyczuwał — widoczny rozdźwięk między teologami i wydawcami. Rozważania krążące wokół dolara, franka, marki, lira i funta irytowały teologów, a wydawcy z kolei równie mocno się niecierpliwili, słuchając ich religijnych dysput. Na własny użytek próbował określić precyzyjniej tę linię podziału. Teolodzy odnosili się do Międzynarodowego Nowego Testamentu z autentyczną pasją, fascynowały ich zapiski brata samego Jezusa i raport centuriona, który opisał sąd nad Panem. Powodowała nimi szczerza wiara w to nowe zmartwychwstanie prawdziwego Chrystusa. Wydawców z kolei, chociaż deklarowali w słowach chęć obudzenia w ludziach wiary i nadziei,

interesował przede wszystkim zysk. Byli tytanami biznesu, a tak się akurat złożyło, że działali w branży biblijnej. Równie dobrze mogliby wytwarzać paczkowaną żywność albo handlować paliwami i prowadzić takie same rozmowy na temat swoich produktów.

Ta schizma była niepokojąca, lecz w pełni ją rozumiał.

Emil Deichhardt podsumowywał właśnie swoje obawy o komercyjny sukces nowej Biblii.

— I nie zapominajcie, że w Niemczech musimy się zmierzyć z przeciwnikiem, który i wam może wyrządzić szkody. Niemcy zawsze były ośrodkiem reform w Kościele, począwszy od Lutera, a skończywszy na Straussie i Bultmannie. Obecnie staliśmy się siedliskiem działań graniczących z herezją. To już nie tylko demitologizowanie ewangelicznych opowieści i zwyczajny sceptycyzm co do istnienia Pana Jezusa i jego przesłania. Jesteśmy wylęgarnią wyjątkowo szkodliwego ruchu radykałów skupionych wokół de Vroome'a. Ten szaleniec jest nie tylko wrogiem zorganizowanych Kościołów, jest również wrogo nastawiony do naszych wspólnych, świętych wysiłków ratowania ludzkości przez edycję nowej Biblii. Pomyślcie o tym, przez co ja muszę przechodzić w Niemczech, panowie.

— W naszych krajach będziemy musieli się zmierzyć z tym samym problemem — zauważył Wheeler. — Reformatorzy de Vroome'a są wszędzie. Ja jednak wierzę, że po ukazaniu się nowej Biblii jej siła i prawda pograży tych ludzi, zmiecie ich z powierzchni ziemi. Rewelacje nowej ewangelii zaskoczą ich i znokautują, odbiorą wszelką chęć odwetu.

— Ponieważ element zaskoczenia jest kluczowy — włączył się do rozmowy Randall — czy jest pan przekonany, że robimy wszystko, co możliwe, żeby zawartość Międzynarodowego Nowego Testamentu nie dostała się w ręce Maertina de Vroome'a?

Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz, prześcigając się w opisach nowych środków ostrożności, zastosowanych w celu ukrycia wszystkiego przed de Vroome'em i jego fanatykami, czającymi się w całym mieście wokół Dam.

Po raz pierwszy od początku spotkania wydawcy i ich religijni doradcy wykazali jedność wobec łączącej ich sprawy i wiary.

Ciekawa rzecz, pomyślał Randall. Wystarczy znaleźć mieszkańcom Wieży Babel wspólnego wroga i od razu potrafią rozmawiać jednym językiem.

Następne spotkanie było jeszcze ciekawsze. Znalazszy się wśród ludzi swojego pokroju, Randall od razu się rozluźnił i poczuł swobodniej.

Naomi zaprowadziła go do pokoju dwieście cztery w Krasnapolskim — bardzo nowoczesnego urządzonego pomieszczenia o białych ścianach i biało

lakierowanych, kubistycznych meblach, ze lśniącochromymi lampami i wiszącą nad czerwoną kanapą kinetyczną rzeźbą w postaci sześcianu z przelewającym się płynem.

Randall, z drinkiem w dłoni, gawędził z Paddym O'Nealem, dublińczykiem o wyglądzie kierowcy ciężarówki, pracującym dla agencji reklamowych w Londynie i Nowym Jorku. O'Neal traktował Biblię z ujmującym lekceważeniem.

— Będę o niej pisał — przyrzekł Randallowi — ale niech pan nie oczekuje, że w nią uwierzę, chyba że będzie za to jakaś premia. Jestem wielbicielem Oscara Wilde'a. Pamięta pan, co Oscar powiedział kiedyś o ukrzyżowaniu Chrystusa i chrześcijaństwie? „Cała ta historia niekoniecznie musi być prawdziwa tylko dlatego, że ktoś oddał za nią życie”.

Następnie Randall poznał młodego mężczyznę, rozpierającego się niedbale w fotelu, tak że z boku wyglądał jak znak zapytania. Okazało się, że zna też wszystkie odpowiedzi.

— Elwin Alexander to nasze źródło ciekawostek prasowych — przedstawiła go Naomi.

— Jakiego rodzaju ciekawostek? — zainteresował się Randall.

— Wyjaśnij mu, Edwinie — skinęła na Alexandra Naomi.

— Naprawdę, chce pan wiedzieć? — Młody człowiek zadął głowę i spojrzał na Randalla. — No dobrze, skoro chce pan doświadczyć okrutnej i niezwyklej tortury. Tym właśnie karmię wygłodniałych reporterów i felietonistów. — Wziął głęboki oddech i na wydechu zaczął recytować w tempie licytatora na aukcji tytoniu: — Czy wie pan, że najkrótszy wiersz w angielskiej wersji Nowego Testamentu składa się tylko z dwóch słów: „Jezus zapłakał”? Czy wie pan, że apostołowie zwracali się do Jezusa per rabbi, nauczyciel? Czy wie pan, że w Nowym Testamencie przypisuje się Jezusowi dokładnie czterdzieści siedem cudów? Czy wie pan, że w Starym Testamencie nie wspomina się w ogóle o mieście zwanym Nazaret? Że w Nowym Testamencie nie ma ani słowa o tym, że Jezus urodził się w żłóbku, że składano mu hołd w stajence i że go ukrzyżowano? Czy wie pan, że Jezus nazywa siebie w ewangeliach Synem Człowieczym osiemdziesiąt razy? I na koniec, panie Randall, czy rozumiał pan już, co to jest źródło ciekawostek prasowych?

— Teraz już zrozumiałem, panie Alexander — z uśmiechem odpowiedział Randall.

Potem były kolejne twarze i dalsza ożywiona wymiana zdań. To jego personel, Randall cenił swoich pracowników i starał się zapamiętać

informacje o każdym z nich. Mężczyzna o wątlym, suchotniczym wyglądzie nazywał się Lester Cunningham. Wstąpił do szkoły teologicznej baptystów na południu tylko po to, żeby uniknąć powołania do wojska, i stał się człowiekiem autentycznie pobożnym. Wcześniej pracował w dziale reklamy w „Christian Bookseller”, „Christian Herald” i „Christianity Today”. Tęga holenderska mieszcza z Rotterdamu, bez makijażu i z grzywką, to Helen de Boer. Zdaniem Naomi, pośród trzystu dwudziestu pięciu milionów praktykujących i niepraktykujących protestantów na świecie nikt nie wiedział o Kościele protestanckim więcej od Helen. Była ekspertem, wiedziała wszystko o jego przedstawicielach: Lutrze, Melanchtonie, Kalwinie, Wesleyu, Swedenborgu, Eddym, Bonhoefferze, Schweitzerze i Niebuhrze. Z kolei Jessica Taylor była atrakcyjną dziewczyną o gibkiej figurze i ciemnych oczach, ostrzyżoną prawie na chłopczycę, ubraną w dopasowany kostium. Jej rodzice byli Amerykanami, ale wychowywała się w Portugalii. Zajmowała się archeologią biblijną i przed przyłączeniem się do Drugiego Zmartwychwstania uczestniczyła w pracach wykopaliskowych w Tell Dan na północ od jeziora Genezaret.

Na koniec Randall znalazł się twarzą w twarz z Oscarem Edlundem, melancholijnym Szwedem ze Sztokholmu, który miał się zająć artystyczną oprawą projektu. Choć wydawał się najmniej sympatyczną osobą w zespole, miał jednocześnie najlepsze referencje. Wyróżniały go marchewkowe włosy, lekki zez i dziobata twarz, a wiszący na jego szyi rolleiflex wyglądał jak dodatkowa część ciała. Edlund przez wiele lat był uczniem Steichena, a obecnie uchodził za jednego z najwybitniejszych fotografów na świecie.

— Pańskie fotografie oryginalnego papirusu i pergaminu wywołują ogromne zainteresowanie prasy — powiedział mu Randall. — Niepokoi mnie tylko, czy jakość reprodukcji będzie wystarczająca. Jak pan sądzi?

— Są pierwsza klasa—odrzekł Szwed—oczywiście biorąc pod uwagę materiał, z którym musiałem pracować. Te kawałki papirusu i pergaminu przeleżały pod ziemią dziewiętnaście stuleci, były mocno zniszczone, a do tego łamliwe. Zanim można się było z nimi zapoznać, specjaliści musieli je nawilżyć, ale tylko na tyle, żeby całość rozpostrzeć i dać pod szkło, uważając, aby przy tym nie rozmokły. Oczywiście aramejski tekst Jakuba i starszy od niego grecki pergamin musiałem fotografować w podczerwieni, żeby starożytne słowa w ogóle były czytelne. Myślę, że będzie pan zadowolony.

— Ile kompletów odbitek pan wykonał?

— Tylko trzy — odparł Edlund. — Na wyraźne polecenie szefostwa. Te trzy zestawy najpierw trafiły do profesora Jeffriesa i jego tłumaczy, chociaż

czasami pozwalano im obejrzyć fragmenty oryginału w sejfie. Kiedy już przekład był gotowy, wszystko wróciło do Krasnapolsky'ego. Dwa komplety zostały zniszczone, a trzeci... no cóż, pan go ma, panie Randall.

— Ja go mam?

— Tak, został dopiero wczoraj złożony w pancерnej szafie w pańskim gabinecie, razem z innymi zdjęciami do celów reklamowych. To wartościowy ładunek, panie Randall, trzeba się z nim ostrożnie obchodzić.

— Nie ma obawy.

— Oczywiście mam negatywy — dodał Edlund. — Właśnie je przeniosłem z sejfu do ciemni i w każdej chwili jestem gotowy zrobić setki odbitek dla prasy. Niech się pan nie martwi, są bezpieczne. Ciemnię zbudowaliśmy pod kierunkiem inspektora Helderlinga i zapewniam pana, że jest dobrze chroniona przed intruzami. Wezmę się do roboty, gdy tylko da mi pan sygnał.

— Świetnie — rzekł Randall. — Zdjęcia zrobią na ludziach niesamowite wrażenie. A teraz chyba powinniśmy odbyć naszą pierwszą naradę roboczą i zorientować się, na czym stoimy.

Jak się szybko przekonał, to, na czym stali, było przerażająco miałkie.

Profesor Deichhardt polecił wcześniej ludziom od reklamy, żeby zaczęli zastanawiać się nad pomysłami i robili wstępne notatki na podstawie znanych im fragmentów nowej Biblii, ale zabronił na razie tworzyć gotowe teksty. Obawiał się bowiem, że któryś z krążących wśród ekipy maszynopisów mógłby trafić na zewnątrz. Z tego powodu niewiele do tej pory osiągnęli i czekał ich ogrom pracy. A czasu było mało.

W pewnym momencie Paddy O'Neal wystąpił z pomysłem, który można było zrealizować od razu. Mogli pisać reportaże lub przeprowadzić wywiady z głównymi postaciami, stojącymi za Międzynarodowym Nowym Testamentem. Zaczęliby od cyklu ciekawych artykułów o profesorze Montim z Rzymu, który odkopał w ruinach antycznej Ostii Ewangelię według Jakuba i Pergamin Petroniusza. Napisaliby także o profesorze Henrim Aubercie z Paryża, geniuszu od datowania znalezisk węglem radioaktywnym, jego badania potwierdziły wiek obu rękopisów. Kilka tekstów poświęciłiby także profesorowi Bernardowi Jeffriesowi, który kierował trzema zespołami, tłumaczącymi aramejski i grecki tekst na cztery języki (plus amerykańska wersja angielskiej). Na koniec należało także napisać barwny reportaż o Karlu Hennigu, który drukował właśnie kilka wersji językowych nowej Biblii w Moguncji, mieście, w którym Jan Gutenberg wynalazł ruchomą czcionkę i wyprodukował pierwszą w historii mechanicznie drukowaną książkę.

Randall zgodził się z tym i poprosił, żeby przekazali mu do przejrzenia zgromadzone dotąd materiały o tych kluczowych postaciach.

— Jutro porozmawiam z Wheelerem i Deichhardtem. Niech nam dadzą zielone światło — powiedział. — Przyrzeknę im, że będziemy ostrożni, bo wiem, co ryzykujemy. Sam miałem dzisiaj rano dość niebezpieczną przygodę.

Opowiedział im krótko o spotkaniu z Plummerem i próbie przekupstwa. Okazało się, że Cunningham i Helen de Boer też doświadczyli nieprzyjemnych sytuacji. Po ukazaniu się wywiadu Plummera z pastorem de Vroome'em oboje odebrali anonimowy telefon z pogrózkami, lecz rozłączyli się, nie czekając, aż dzwoniący przedstawi swoje żądania. I oczywiście powiadomili o tym Helderinga.

— Takich zdarzeń na pewno będzie więcej — skwitował Randall — ale założmy, że uda nam się uchronić tajemnicę do dnia publikacji. Następne pytanie brzmi: W jaki sposób chcemy ogłosić opinii publicznej istnienie Międzynarodowego Nowego Testamentu?

Wszyscy jednomyślnie uznali, że powinno się to odbyć na konferencji prasowej dla dziennikarzy prasy, radia i telewizji z całego świata.

— Zgadzam się z tym — powiedział Randall. — Jednakże w moim przekonaniu jest to najbardziej sensacyjna wiadomość czasów nowożytnych, dlatego konferencja także powinna być wyjątkowa. Mam dwa szalone pomysły. Po pierwsze, chciałbym, żeby odbyła się w sali tronowej Pałacu Królewskiego w Amsterdamie. I chcę też, żeby uczestniczyli w niej nie tylko zgromadzeni dziennikarze, ale widzowie na całej kuli ziemskiej. Chcę, żeby powiadomienie o wielkim odkryciu, o stworzonym na jego podstawie zupełnie nowym Piśmie Świętym, było transmitowane na cały świat drogą satelitarną. Co wy na to?

Ekipa przyjęła te pomysły z entuzjazmem.

Helen de Boer zobowiązała się wy badać dyskretnie możliwość wykorzystania pałacu dwunastego lipca, bo w tym dniu właśnie mieli wszystko obwieścić światu. Lester Cunningham miał porozmawiać w tajemnicy z szefami International Telecommunications Satellite Consortium oraz European Broadcasting Union na temat użycia satelity Intelsat do przekazania relacji na żywo do siedemdziesięciu krajów członkowskich.

— No i na koniec — zaproponował Randall — porozmawiajmy o najważniejszym materiale, o naszej głównej sensacji, czyli o nowym Jezusie Chrystusie, o prawdziwym Jezusie, który objawi się poprzez nową Biblię. Najwięcej wysiłku trzeba będzie włożyć właśnie w przygotowanie i popularyzację opowieści o powrocie Chrystusa. Muszę się wam przyznać, że

zawartość nowych tekstów znam tylko pobieżnie, ale wiem, że po raz pierwszy dowiemy się, jak On naprawdę wyglądał i co się działo w latach, kiedy zniknął. Brat Jezusa napisał też, że Chrystus nie umarł na krzyżu, ale kontynuował swoją posługę i dotarł aż do Rzymu, a zmarł w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Jestem z was wszystkich najkrócej w Drugim Zmartwychwstaniu, więc nie zdążyłem się dowiedzieć wiele więcej. Ale mam nadzieję, że któreś z was miało już okazję rzucić okiem na Ewangelię według Jakuba i na Pergamin Petroniusza i że będziecie mogli...

Przerwał mu chóralny protest wszystkich obecnych. Jego sens był taki: Nikomu z nas nie pozwolono zapoznać się ze znaleziskiem w całości.

Ze względów bezpieczeństwa utrzymywano ich w niewiedzy, nic więc dziwnego, że nie wiedzieli, jak się zabrać do tematu. Randall był wściekły.

— Do diabła z tym — zwrócił się do nich. — Jeżeli mamy reklamować nowego Chrystusa, muszą nas do niego dopuścić. Już wiem, co trzeba zrobić przede wszystkim. Muszę dostać do ręki próbne wydruki i zorientować się, z czym właściwie mamy pracować. I obiecuję wam, że wy także wkrótce się z nimi zapoznacie. Teraz się rozejdziemy, ale na jutrzejszym spotkaniu powinienem mieć dla was dobre wieści.

Randall pozwolił sobie na krótki odpoczynek w swoim gabinecie. Choć czuł się skołowany po spotkaniu tak wielu osób w ciągu ostatnich sześciu godzin, wiedział, że czeka go jeszcze jedno ważne zadanie.

Najpierw jednak należało odrobić pracę domową. Podszedł do ogniotrwałej szafy pancерnej, otworzył ją kluczem i zdjął stalową sztabę. W górnej szufladzie leżała gruba koperta opatrzona napisem: ZDJĘCIA PAPIRUSU I PERGAMINU. JEDYNY EGZEMPLARZ. TAJNE.

Położył na biurku swą wypchaną już dość mocno aktówkę, otworzył ją i schował kopertę razem z innymi materiałami, zawierającymi informacje o Montim, Aubercie, Jeffriesie i Hennigu, które dostał od swoich współpracowników.

Do kompletu brakowało mu tylko jednej rzeczy, tej najważniejszej. Zamierzał ją zdobyć jeszcze tego wieczoru.

Podnosił już słuchawkę telefonu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i zanim zdążył powiedzieć „proszę”, weszła Naomi Dunn. Zamknęła drzwi i zmierzyła go beznamiętnym spojrzeniem.

— Wyglądasz, jakby cię przepuścili przez wyżymaczkę — stwierdziła.

— Czuję się raczej jak po praniu mózgu. I to w pralce, z setką innych osób. Zresztą sama wiesz, bo to przecież ty mnie do niej wpakowałaś. — Westchnął ciężko. — Co za dzień.

— To dopiero początek — oświadczyła Naomi bez cienia współczucia. Przysunęła sobie krzesło i usiadła na jego skraju, podkreślając w ten sposób służbowy charakter odwiedzin. — Widziałam, że przez cały czas robiłeś notatki.

— Taki mam zwyczaj — odrzekł — szczególnie gdy poznaję tak wiele osób naraz. Musiałem sobie zapisać, kto jest kim i czym się zajmuje.

— To trochę bez sensu, żebyś się musiał tym zajmować osobiście. Strata czasu i energii. Do takich rzeczy powinieneś mieć zawsze obok siebie sekretarkę. Ale to moja wina, powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Może załatwmy tę sprawę teraz, zanim wrócisz do pracy. — Zamilkła na moment. — Czy masz jakieś preferencje w tym względzie? To znaczy, czy chcesz zatrudnić do tego pannę Nicholson? Bo jeśli tak, to inspektor Helderling będzie musiał...

— Daj spokój, Naomi. Przecież wiesz, że nie.

— Chciałam mieć pewność — wzruszyła ramionami. — Teraz już jesteś formalnie w naszym zespole, jako jeden z jego najważniejszych członków, i chcemy, żebyś miał jak najlepsze warunki do pracy. Potrzebna ci zaufana sekretarka, obeznana ze sprawami wydawnictw religijnych.

Randall wsparł się łokciami o biurko i spojrzał jej prosto w oczy.

— A czemu nie ty, Naomi? Mam do ciebie zaufanie i... byliśmy ze sobą blisko.

— Ja... raczej nie. — Spłonila się. — Jestem potrzebna panu Wheelerowi.

— Wheelerowi? No tak, rozumiem. — W każdym razie zdawało mu się, że rozumie. Pomyślał sobie, że być może ten nieposzlakowany wydawca religijny ma na boku romans z byłą zakonnice. — Co wobec tego proponujesz, Naomi?

— To powinna być osoba już związana z projektem. Mam trzy wykwalifikowane dziewczyny, które są z nami od ponad roku. Wszystkie prześwietlone przez Helderlinga, mają zielone karty, czyli o stopień wyższe od pozostałych, które mają czarne. Możesz porozmawiać z każdą i zdecydować.

— Dzięki, ale nie chcę. Jestem zbyt zmęczony i mam jeszcze coś do zrobienia. Zaufam twojej opinii. Czy poleciałabyś którąś szczególnie?

— Właściwie tak — odparła szybko Naomi, wstając z krzesła. — Nawet przyprowadziłam ją ze sobą, na wypadek gdybyś poprosił mnie o radę. Czeka w drugim pokoju. Nazywa się Lori

Cook. To Amerykanka, sądziłam, że tak będzie ci wygodniej. Mieszkała dwa lata za granicą. Stenografię ma w jednym palcu i jest bardzo sprawna w

działaniu. Pracuje na tym pięttrze od czternastu miesięcy. Fanatycznie oddana projektowi... i religii.

— Ach tak?

— Co cię tak dziwi? — Oczy Naomi zwięzły się w szparki. — Chyba wolisz kogoś wierzącego, prawda? To bardzo pomaga. Ktoś, kto pracuje dla chwały bożej, nie będzie liczył godzin pracy. — Przerwała. — I jeszcze jedno. Ta dziewczyna ma fizyczną ułomność, jest kulawa. Nie pytałam ją o szczegóły, bo radzi sobie doskonale. Tak jak powiedziałam, to świetna kandydatka na sekretarkę, ale muszę cię ostrzec. — Naomi posłała mu zjadliwy uśmiezek. — Lori nie nadaje się raczej do zaspokajania potrzeb seksualnych.

Randall się skrzywił.

— Naprawdę myślisz, że to dla mnie takie ważne?

— Chciałam tylko, żebyś wiedział. Najlepiej spotkaj się z nią na chwilę, zanim zdecydujesz.

— Już zdecydowałem. Na tak. I spotkam się z nią. Na chwilę. Naomi podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Lori — powiedziała — pan Randall chce cię zobaczyć. Dziewczyna weszła, a Naomi po szybkiej prezentacji opuściła gabinet.

— Wejdz, wejdz i usiądź proszę — odezwał się Randall.

Naomi rzeczywiście nie skłamała. Lori Cook nie była pociągająca. Przypominała ptaszka, małego szarego wróbla. Podeszła, kulejąc, do jego biurka, usiadła i nerwowym gestem odgarnęła włosy, po czym złożyła ręce na podółku.

— Panna Dunn twierdzi, że jesteś świetna — zaczął Randall. — Jak rozumiem, pracujesz w innym dziale. Dlaczego chcesz zostawić tę pracę i zostać moją sekretarką?

— Ponieważ wiem, że od dzisiaj będzie się tutaj działo wszystko, co najważniejsze. Wszyscy mówią, że sukces Międzynarodowego Nowego Testamentu zależy teraz od pana i pańskiej ekipy.

— Przesadzają — odrzekł Randall. — Zwycięstwo jest pewne i bez tego. Ale możemy mu pomóc. Czy to dla ciebie takie ważne, żeby nowa Biblia odniosła sukces?

— To dla mnie najważniejsza rzecz w życiu — odparła dziewczyna. — Nikt z nas nie zna jej treści, ale z tego, co słyszałam, jest absolutnie cudowna. Nie mogę się już doczekać, kiedy ją przeczytam.

— Ja także, Lori — rzekł cierpko Randall. — Jakiego jesteś wyznania? — zapytał ją.

— Byłam katoliczką, ale niedawno odeszłam od Kościoła i zaczęłam chodzić na nabożeństwa prezbiteriańskie.

— Dlaczego?

— Nie jestem pewna. Powiedzmy, że wciąż poszukuję.

— Słyszałem, że mieszkałaś za granicą. Ciekawi mnie, dlaczego postanowiłaś wyjechać z kraju.

Lori Cook mocniej zacisnęła dłonie. Jej dziecinny, ledwie słyszalny głosik drżał.

— Opuściłam Bridgeport w stanie Connecticut mniej więcej dwa lata temu — odpowiedziała. — Po maturze poszłam do pracy, żeby zarobić pieniądze na podróżowanie. Postanowiłam to zrobić, gdy miałam dwadzieścia dwa lata, no i wybrałam się na tę... pielgrzymkę.

— Pielgrzymkę?

— Chciałam odnaleźć... niech się pan ze mnie nie śmieje... chciałam doświadczyć cudu. Jestem kaleką od urodzenia. Lekarze nie mogli zrobić nic z moją nogą, więc pomyślałam, że może Bóg będzie mógł. Odbyłam pielgrzymkę do wszystkich znanych świętych sanktuariów, do tych najślawniejszych, gdzie zdarzyły się autentyczne uzdrowienia. Po drodze pracowałam, żeby zarobić na dalszą podróż. Najpierw oczywiście do Lourdes. Skoro Matka Boska ukazała się Bernardecie, modliłam się, żebym i ja mogła ją ujrzeć. Wiedziałam, że przyjeżdża tam co roku dwa miliony pielgrzymów i pięć tysięcy z nich doznaje uzdowień... ze ślepoty, paraliżu, raka... a Kościół potwierdził pięćdziesiąt osiem przypadków i uznał je za cudowne.

Randall miał chęć zapytać, co stało się w Lourdes z jej chorobą, lecz Lori była tak skoncentrowana na swej opowieści, że zrezygnował.

— Potem pojechałam do sanktuarium Matki Boskiej w Fatimie — ciągnęła — w Portugalii, gdzie w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku Błogosławiona Dziewica pojawiła się trzem pastuszkom, stojąc na obłoku i świecąc jaśniej od słońca. Następnie odwiedziłam sanktuarium w Lisieux we Francji i katedrę w Turynie, gdzie przechowywany jest święty całun, potem Monte Allegre i kaplicę Sancta Sanctorum, żeby pomodlić się przed portretem naszego Pana, którego nie namalowała ręka śmiertelnika. Chciałam tam przejść dwadzieścia osiem świętych schodów na kolanach, ale mi nie pozwolono. Stamtąd pojechałam do Beauraing w Belgii, gdzie pięcioro dzieci miało wizje w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, i na koniec do Walsingham w Anglii, gdzie też podobno były uzdrowienia. I potem... już nigdzie. Randall przełknął ślinę.

— Przestałaś podróżować jakiś rok temu? — zapytał.

— Tak. Pan Jezus chyba nie wysłuchał moich modlitw w żadnym z tych miejsc. Widzi pan moją nogę, wciąż jest chroma.

Randall przypomniał sobie z ukłuciem bólu w sercu, jak podczas wakacji, jeszcze w szkole średniej, przeczytał Ludzkie więzy Somerseta Maughama. Bohater książki, Philip Carey, urodził się ze szpotawą stopą. W wieku czternastu lat stał się głęboko religijny i doszedł do przekonania, że jeśli Bóg tak zechce, wiara może przenieść góry. Uznał więc, że jeśli będzie się modlił bardzo długo i mocno wierzył, zostanie uzdrowiony. W nocy przed dniem cudu modlił się nago, by ucieszyć swego Stwórcę, a potem poszedł spać i zasnął z ufnością. Rano obudził się pełen radości i wdzięczności. „Pierwszym jego odruchem było wyciągnąć rękę i dotknąć stopy, która była już zdrowa, lecz to wydało mu się wątpieniem w dobroć bożą. Wiedział przecież, że noga jest zdrowa. W końcu jednak zdecydował się i palcami prawej stopy dotknął lekko lewej. Potem przesunął po niej dłonią. Pokuśtykał schodami na dół i...”.

To chyba właśnie pod wpływem tej lektury, pomyślał Randall, stałem się cynikiem.

A Lori Cook? Słuchał, co teraz powie.

— Nigdy nie obwiniałam o to naszego Pana — oświadczyła dziewczyna. — Mnóstwo ludzi się do niego modli i może po prostu był wtedy bardzo zajęty. Nie straciłam wiary. Rok temu zamierzałam wrócić do domu, ale dowiedziałam się o projekcie religijnym, do którego poszukują sekretarek. Jakiś instynkt kazał mi pojechać do Londynu na rozmowę. Przyjęli mnie i wysłali do Amsterdamu. Od tamtej pory pracuję w zespole Drugiego Zmartwychwstania i nigdy tego nie żałowałam. Jest tutaj mnóstwo tajemnic, ale to wszystko jest takie ekscytujące! Robię, co do mnie należy, i czekam na dzień, w którym się wreszcie dowiem, jakie to zbożne dzieło udało nam się stworzyć.

Randall był poruszony jej słowami.

— Nie rozczarujesz się, Lori — powiedział. — Dobrze, jesteś przyjęta.

Dziewczyna nie posiadała się z radości.

— Dziękuję, panie Randall! — wykrzyknęła. — Mogę zacząć natychmiast, jeżeli jest coś do zrobienia.

— Na razie nie — odparł. — Poza tym jest już prawie po godzinach pracy.

— Skoro tak, to zostanę jeszcze trochę i przeniosę rzeczy z mojego starego biurka do nowego.

Pokuśtykała do drzwi i miała już wyjść, gdy Randall przypomniał sobie, że zanim Naomi ją przyprowadziła, zamierzał załatwić bardzo ważną rzecz.

— Jeszcze chwilę, Lori — powiedział. — Jest jedna sprawa, w której możesz mi pomóc. Chcę jeszcze dzisiaj dostać do ręki angielską wersję Międzynarodowego Nowego Testamentu. Wiem, że Albert Kremer w dziale redakcyjnym ma odbitki szczotkowe. Połączysz mnie z nim?

Lori wyszła szybko, żeby wykonać swe pierwsze polecenie w nowej pracy. Randall czekał kilka minut i kiedy zabrzączał interkom, podniósł słuchawkę.

— Przykro mi, panie Randall — powiedziała Lori — ale pan Kremer już wyszedł. Pozwolę sobie coś zasugerować. Hans Bogardus, bibliotekarz, prowadzi rejestr wszystkich egzemplarzy. Zazwyczaj siedzi do późna. Może połączę z nim?

Po chwili Randall rozmawiał już bibliotekarzem.

— Panie Bogardus, mówi Steve Randall. Chciałbym dostać próbną odbitkę Nowego Testamentu i...

— A ja chciałbym dostać diament Kohi-noor, panie Randall — odparł Bogardus.

— Powiedziano mi — rzekł Randall, poirytowany jego impertynencją — że prowadzi pan rejestr i jest pan zorientowany, gdzie w danym momencie znajdują się poszczególne egzemplarze.

— Tak, ale żadna z osób mających odbitki nie ma prawa ich panu udostępnić. Nawet mnie nie wolno ich obejrzeć, chociaż jestem bibliotekarzem Drugiego Zmartwychwstania.

— Ale mnie wolno, przyjacielu. George Wheeler obiecał mi pokazać próbne wydruki zaraz po przyjeździe do Amsterdamu.

— Pana Wheelera już dzisiaj nie będzie. Jeżeli zaczeka pan do jutra, to na pewno...

— Muszę mieć egzemplarz jeszcze dzisiaj — przerwał mu Randall z rozdrażnieniem.

Głos Bogardusa spoważniał, bibliotekarz wydawał się już bardziej skłonny do współpracy.

— Jeszcze dzisiaj — powtórzył. — W takim razie tylko profesor Deichhardt może panu pomóc. W sejfie na dole jest jeden angielski egzemplarz, ale tylko on może zezwolić na jego wypożyczenie. Zdaje się, że Deichhardt jest jeszcze u siebie.

— Dziękuję — odparł Randall i rozłączył się.

— Zadzwoń do profesora Deichhardta i powiedz mu, że do niego idę — rzucił do Lori zajętej układaniem rzeczy w biurku. — Zajmę mu pół minuty. Powiedz, że to ważna sprawa.

Wyszedł na korytarz, gotów stoczyć bitwę.

Dwadzieścia minut później siedział już na tylnym siedzeniu mercedesa, a kierowca Theo wiozł go w zapadającym zmroku przez Dam.

Bitwa została wygrana.

Deichhardt, acz z wielkimi oporami, zgodził się z argumentem, że jeżeli syndykat wydawców chce rozreklamować Międzynarodowy Nowy Testament, to człowiek odpowiedzialny za reklamę powinien najpierw przeczytać tekst. Jednak wypożyczenie próbnego egzemplarza obwarowane było ścisłymi rygorami. Na tym etapie Randall mógł dostać tekst tylko na jedną noc. Musiał go przeczytać w swoim pokoju i nigdzie nie wynosić, nie wolno mu było robić szczegółowych notatek. Odbitkę należało oddać rano Deichhardtowi. Randall nie miał prawa opowiadać o tekście nikomu, nawet członkom swego zespołu. Na podstawie treści nowej ewangelii mógł tylko z grubsza naszkicować pomysły reklamowe i przechowywać je w pancernej szafie w swoim gabinecie.

Za dwa tygodnie, kiedy Karl Hennig przywiezie z Moguncji pierwsze wydrukowane egzemplarze Międzynarodowego Nowego Testamentu, Randall i jego ekipa mieli otrzymać po jednym do osobistego użytku. Dopiero wówczas będzie im wolno omawiać szczegółowo pomysły, które pojawią się w głowie Randalla podczas dzisiejszej nocnej lektury, i dopiero wtedy cały zespół będzie mógł się zabrać do planowania kampanii reklamowej.

Randall zgodził się oczywiście na te warunki i postanowił w duchu, że ich dotrzyma. Potem już tylko czekał niecierpliwie, aż kurator Groat przyniesie z sejfu komplet odbitek szczotkowych w wersji amerykańskiej.

Groat był niskim Holendrem o szerokim zadku i wydawał się równie prawdziwy jak woskowa figura z muzeum Madame Tussaud. Miał niedopasowany tupecik, mały fryzjerski wąsik, uniżone maniery podrzędnego urzędnika i wielki pistolet nieznannej marki (Randall zapytał go o markę i dowiedział się, że to FN 7,6 produkcji belgijskiej), który nosił w kaburze wystającej spod niezapiętej i zbyt kusej czarnej marynarki. Wręczył Randallowi odbitki szczotkowe, oprawione w białe tekturki i opatrzone niebieską pieczęcią w kształcie krzyża, sztywnym, formalnym gestem, jak gdyby powierzał mu wiadomość otrzymaną od samego Stwórcy.

Na siedzeniu mercedesa obok Randalla leżała więc teraz wypchana aktówka z Nowym Testamentem, materiałami od pracowników i fotokopiami znaleziska w Ostii. Pierwszy dzień pracy na rzecz Drugiego Zmartwychwstania powoli dobiegał końca. Rozparł się wygodnie i rozkoszował chwilami relaksu.

Widział przez okno, że wyjeżdżają z Dam na szeroką, wysadzaną drzewami aleję, która nazywała się Rokin. Rokin wkrótce przeszła w Muntplein i pojechali Reguliersbreestraat, a potem Theo musiał zwolnić na ruchliwym placu. Był to Rembrandtsplein, jeden z najpopularniejszych placów w mieście — Holendrzy lubili nazywać go swoim Broadwayem. Przy niedużym centralnym parku Randall rozpoznał budynek hotelu Schiller i Hof van Holland z tarasem. Przed kasą Rembrandtsplein Theater stała kolejka młodzieży.

Gdy zostawili plac za sobą, miasto nagle ucichło. Jechali teraz spokojną i pustą ulicą. Randall wpatrywał się w półmrok, chcąc przeczytać jej nazwę, żeby kiedyś wybrać się tu na spacer. Wreszcie dojrzał tabliczkę z napisem Utrechtsestraat.

Nagle poczuł nieprzepartą ochotę, by pójść pieszo, rozprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie był głodny, a podniecające oczekiwanie na lekturę Nowego Testamentu mógł jeszcze trochę przedłużyć. Mierzył go sam pomysł, żeby z jednego miejsca, w którym był zamknięty — Grand Hotelu Krasnapolsky — przenieść się do następnego — wnętrza mercedesa — tylko po to, żeby się znaleźć w kolejnym — apartamencie hotelu Amstel. Jeśli będzie pamiętał o zaleceniach Helderinga, z pewnością mógł sobie pozwolić na przechadzkę.

— Jak daleko jeszcze do hotelu Amstel, Theo? — zapytał.

— Wij zijn niet ver van het hotel. Blisko, nie daleko. Pięc, sześć przecznic — odparł kierowca.

— To dobrze. Zatrzymaj się tam na rogu, Theo, na skrzyżowaniu z kanałem.

Kierowca odwrócił ku niemu głowę, zaskoczony.

— Mam się zatrzymać, panie Randall?

— Tylko mnie wysadzisz. Chcę iść dalej na piechotę.

— Mam polecenie, żeby nie spuszczać pana z oka aż do samego hotelu — odparł Theo.

— Wiem, jakie masz polecenie, i możesz je wykonać. Nie musisz spuszczać mnie z oka, po prostu jedź sobie za mną powoli, i tyle. Może być?

— Ale... — Theo się wahał.

Randall pokręcił głową. Te automaty z ich zakichanymi instrukcjami, zaprogramowane, dosłowne, nieelastyczne.

— Posłuchaj, Theo — powiedział — ja też nie chcę naruszać zasad, tak samo jak ty. Przecież będziesz mnie widział. Po prostu od przyjazdu jeszcze

nie byłem w mieście i chciałbym się trochę rozruszać. Wyszadź mnie tutaj i jedź dziesięć metrów za mną.

Kierowca z głośnym westchnieniem zatrzymał auto przy krawężniku. Wysiadł, żeby otworzyć tylne drzwiczki, lecz Randall już stał na chodniku z aktówką w ręce.

— Wy tłumacz mi tylko, jak mam iść — poprosił.

— Musi pan iść wzdłuż kanału — pokazał na lewo. — Prinsengracht aż do końca i znajdzie się pan nad rzeką Amstel. Potem w prawo przez jedną, dwie... trzy ulice do Sarphatistraat, w lewo przez most i pierwsza uliczka to będzie Professor Tulpplein, gdzie jest pański hotel. Zatrąbię, gdyby pan źle skręcił.

— Dzięki, Theo.

Kierowca wszedł do stojącego na luzie mercedesa, a Randall ruszył przed siebie. Czując się swobodnie po raz pierwszy od srzyjazdu, odetchnął głęboko wieczornym powietrzem, uchwycił nocniej rączkę ciężkiej teczki i pomaszerował środkiem wąskiej alicy, biegnącej wzdłuż kanału.

Po minucie czy dwóch obejrzał się za siebie. Mercedes sunął sowoli, trzymając się posłusznie jakieś piętnaście metrów w tyle.

Było pięknie, spokojnie i cicho po całodziennym młynie w Kraslapolskym. Czuł, jak mięśnie ramion i pleców opuszcza napięcie. Przy parkometrach stały zaparkowane na noc karłowate samochody. Po lewej mijał rzędy oryginalnych kamieniczek z małymi schodami prowadzącymi do starych frontowych drzwi. Okna domów, pozbawione zasłon, były w większości ciemne i bez znaku życia wewnątrz. Dobrzy mieszczanie z Amsterdamu, pomyślał Randall, chodzą wcześniej spać.

Po drugiej stronie, poniżej wąskiej ulicy widział poprzez błękitną mgiełką wieczoru spokojne wody kanału. Stały tu zacumowane łodzie i barki mieszkalne. W niektórych paliło się światło i raz mignęło mu za oknem dziecko w piżamie. Lampy z barek rzuciły drżące refleksy na wodę.

Zmierzając wolnym krokiem ku końcowi kanału, wrócił pamięcią do wydarzeń dnia. Pomyślał o Darlene, mając nadzieję, że podobała jej się wycieczka po mieście. Przypomniał sobie spotkanie ze swoim zespołem, z młodymi, bystrymi ludźmi, a potem lunch z wydawcami i teologami, jakże podzielonymi mimo wspólnego celu. Pomyślał o Lori Cook, a to z kolei przywiodło mu na myśl Judy. Tak bardzo pragnął mieć ją teraz przy sobie i martwił się, jak przeżyje jego batalię rozwodową z Barbarą. A jednak te wszystkie postacie z jego dotychczasowego życia — córka i żona, Towery,

McLouglin, ojciec, matka, Clare, Tom Carey — wydawały mu się w ten cichy wieczór odległe i niewyraźne.

Przystanął na moment, gdy smyrgnął mu niemal spod nóg miauczący pręgowany kot. Ruszył dalej i nagle oślepiły go silne reflektory jakiegoś samochodu. Instynktownie przysłonił oczy i dojrzał sylwetkę pojazdu nadjeżdżającego od strony rzeki.

Sparaliżowany nagłym zdarzeniem patrzył, jak czarny sedan pędzi wprost na niego i rośnie w oczach. Czy ten cholerny idiota go nie widzi? Nie widzi mercedesa z tyłu? Potwór już niemal go dopadał, gdy sztywne nogi Randalla odzyskały sprawność. Zaczął usuwać się rakiem z drogi pędzącego pojazdu, lecz żółte światła nieubłaganie podążyły za nim. Samochód skręcił, jakby chciał go przejechać. Rzucił się do ucieczki w stronę kanału, potknął się i padając, wypuścił odruchowo z dłoni uchwyt aktówki, by się uchronić przed zderzeniem z chodnikiem.

Upadł i stracił na chwilę oddech. Usłyszał zgrzyt hamulców i pisk opon na jezdni i przetoczył się na bok akurat w momencie, gdy nieduży sedan stanął w poprzek ulicy, zmuszając kierowcę mercedesa do nagłego hamowania.

Z leżącej pozycji Randall zobaczył mężczyznę w czapce, który wysiadł z auta, przyskoczył do drzwiczek mercedesa i otworzył je raptownie. Uwagę Randalla przyciągnęła jednak natychmiast druga postać, która wysiadła z sedana po stronie pasażera. Był to człowiek bez włosów i bez twarzy, groteskowy i przerażający w naciągniętej na głowę pończosze, puścił się biegiem nie w stronę Randalla, lecz ku jakiemuś przedmiotowi, leżącemu na jezdni za samochodem.

Serce Randalla zamarło. Ten przedmiot to jego aktówka.

Każdy nerw ciała słał mu impulsy, które przynaglały do wstania. Dźwignął się z ziemi i stanął chwiejnie na nogach. Kolana załamały się pod nim jak zawiasy i chwycił się parkometru, żeby utrzymać równowagę.

Odrażająca postać o niesamowitej głowie spowitej nylonową błoną pochwyciła aktówkę i odwróciła się, by pobiec z nią z powrotem do sedana.

Randall poszukał wzrokiem swojego anioła stróża za kierownicą mercedesa, lecz Theo zniknął. Drugi z napastników, kierowca, wsiadł do sedana i cofał auto, ustawiając je przodem do pustej ulicy. Złodziej z aktówką już się do niego zbliżał.

— Zostaw to! — krzyknął Randall. — Policja! Policja! Rzucił się naprzód. Tamten już był przy otwartych drzwiczkach

samochodu i za moment miał wsiąść, lecz Randall błyskawicznie zmniejszył dzielący ich dystans, skoczył i chwycił go za nogi pod kolanami.

Zderzył się policzkiem z twardymi piszczelami i szorstkim sztruksem spodni złodzieja, który puścił drzwiczki i runął na ziemię.

Randall natychmiast na czworakach rzucił się ku aktówce. Ledwie jego ręka dotknęła gładkiej skóry, gdy coś grzmotnęło go z wielką siłą w plecy, a na szyi poczuł duszący uścisk palców. Próbował je oderwać i zaczął krzyczeć o pomoc, gdy nagle do jego uszu dobiegł dziwny przenikliwy dźwięk.

Odgłos gwizdka, coraz bliższy i głośniejszy.

Z wnętrza sedana rozległ się krzyk:

— De politie! De politie komt! Ga in de auto! Wij moeten vlug weggaan!

Nagle był wolny, palce puściły jego szyję i padł na twarz, ciężko dysząc, lecz zaraz dźwignął się na czworaki, dopadł aktówki i przycisnął ją mocno do piersi. Trzasnęły drzwiczki samochodu, zawył silnik i ciemny sedan wystartował niczym rakietą, a po chwili pochłonęła go ciemność nocy.

Randall, na wpół zamroczony, próbował się podnieść, lecz nie zdołał. Wtem poczuł, że chwytają go czyjeś silne ręce i ktoś pomaga mu stanąć na nogi. Odwrócił głowę i ujrzał niebieską czapkę z czarnym daszkiem, a pod nim szeroką, zatroskaną, rumianą twarz. Zobaczył też ciemnoniebieski uniform, gwizdek na łańcuszku, pałkę i odznakę. Holenderski policjant. Drugi, w takim samym mundurze, nadbiegał ulicą. Wołali do siebie coś, czego nie mógł zrozumieć.

Chwiejąc się jeszcze na nogach, Randall dostrzegł wreszcie swego kierowcę. Zdyszany i blady Theo, rozcierając sobie kark, wepchnął się między policjantów, zasypując ich potokiem słów.

— Panie Randall, panie Randall! — zawołał do niego. — Czy coś się panu stało?

— Nic mi nie jest — odparł. — Najadłem się tylko strachu i tyle. Co się z tobą działo? Szukałem cię...

— Chciałem panu pomóc, wyciągałem pistolet ze schowka, ale zamek się zaciął i jeden z nich zaszedł mnie od tyłu, dostałem w głowę i straciłem na chwilę przytomność. Ma pan teczkę? Oj, dzięki Bogu.

Ulicą nadjechał biały volkswagen z niebieskim kogutem na dachu i emblematem policji na drzwiach. Policjant za kierownicą zawołał do tego, który podtrzymywał Randalla.

— Vraag hem wat voor een auto het was en hoe veel waren daar.

— Sierżant pyta o markę samochodu i liczbę napastników — przetłumaczył mundurowy świetną angielszczyzną.

— Czarny sedan, ale marki nie znam, może renault — odpowiedział Randall. — Było ich dwóch. Ten w czapce napadł na mojego kierowcę i

prawie go nie widziałem. Ten, który chciał ukraść moją teczkę, miał na głowie pończochę. Być może był blondynem. Trochę niższy ode mnie, ale mocniej zbudowany. Miał sweter z golfem. Nic więcej nie pamiętam. Może mój kierowca więcej wam powie.

Policjant wypytał dokładnie Thea, a potem powtórzył wszystko sierżantowi. Ten pokiwał głową i biały volkswagen odjechał w mrok.

Następne dziesięć minut zajęły formalności. Randall pokazał swój paszport, a z okolicznych domów i z mostu nad Amstel przyglądali się temu gapię o przepaszających twarzach. Policjant spisał jego dane i uprzejmie wypytał. Randall opowiedział dokładnie całe zdarzenie, lecz co do celu swego pobytu w Amsterdamie był powściągliwy. Przyjechał na wakacje, być może odbyć także kilka spotkań w interesach, nic więcej. Czy przychodzi mu do głowy przyczyna, dla której ktoś chciałby mu zaszkodzić? Nie. Czy nie odniósł obrażeń poza zadrapanym kolaniem? Nie, był cały i zdrowy.

Mundurowego zadowolili te odpowiedzi i zamknął notes.

Przed Randallem stanął Theo.

— Sądzę, panie Randall, że teraz pojedzie pan już ze mną aż do hotelu — powiedział z poważną miną.

— Też tak sądzą — odrzekł, lekko tym rozbawiony. Tłumek gapiów się rozstał i Randall, z aktówką w objęciach, w towarzystwie obu policjantów podążył do limuzyny. Wsiadł, a kierowca zatrzasnął drzwiczki. W tylnym oknie pojawiła się twarz pierwszego z policjantów.

— Wij vragen excuus — powiedział. — Het spijt mij dat u verschrikt bent. Het... — przerwał, kręcąc głową. — Zapomniałem się — przeszedł na angielski. — Chciałem powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, co pana spotkało. Ale już po strachu, to było tylko dwóch drobnych złodziejasków, którzy chcieli ukraść panu teczkę, nic więcej.

Randall się uśmiechnął. Teczkę, nic więcej. Drobne złodziejaszki. Policjant dodał jeszcze:

— Jak tylko ich złapiemy, skontaktujemy się z panem w celu identyfikacji.

Nie złapiecie ich i za milion lat, miał chęć odpowiedzieć, ale powstrzymał się.

— Dziękuję. Bardzo panom dziękuję — odparł tylko.

Theo włączył silnik, a gdy policjant wyprostował się i odsunął od auta, Randall mógł się przypatrzeć jego odznace. Na metalowym owalu wyobrażono księgę, a nad nią skierowany do góry miecz. Maksyma na obrzeżu głosiła: Vigilat ut quiescant. Jak się domyślał, oznaczało to coś w rodzaju: Pilnują, żebyś czuł się bezpiecznie.

Miecz ochraniający księgę.

Wiedział jednak, że nie może czuć się bezpiecznie. W każdym razie dopóty, dopóki księga pozostanie tajemnicą.

ROZDZIAŁ 4

Był przekonany, że gdy po wielu latach spojrzy wstecz na swoje życie, będzie pamiętał doskonale ostatnie godziny tego wieczoru w apartamencie hotelu Amstel w Amsterdamie. Będzie je pamiętał jako kamień milowy, przełomowy moment swej wędrówki na tym świecie. Znalazł się w tym miejscu i w tym czasie jako istota bez kierunku i bez steru. Dzisiaj, chyba po raz pierwszy, jak sięgał myślami, poczuł, że może za czymś podążyć, że znalazł światło, które poprowadzi go drogą, którą zdecyduje się wybrać.

A jednak było w tym coś nieskończenie większego, coś, czego nie dało się dotknąć ani uchwycić, chociaż wydawało się namacalne i prawdziwe.

Z pewnością było w tym poczucie spokoju. A także bezpieczeństwa. Ponad wszystko zaś poczucie celu, choć nie był pewien, w jakim stopniu konkretne, ale jakoś nie miało to znaczenia.

Jednego w tych odczuciach brakowało, to wiedział na pewno. Ogarniające go doznania nie miały nic wspólnego z religią w jej ścisłym, ortodoksyjnym sensie. Mógł powtórzyć za Goethem, że tajemnice niekoniecznie muszą być cudami. Nie przenikało go więc religijne uniesienie, lecz raczej rodzaj ufności, trudnej do zdefiniowania siły. Pojawiło się w nim przekonanie, że jego egzystencja, podobnie jak życie wszystkich ludzi, została powołana do istnienia z jakiegoś powodu, dla jakiegoś wyższego celu. Stał się świadom ciągłości, swego połączenia z przeszłością, w której już w pewnym sensie żył, oraz z przyszłością, w której będzie żył wciąż na nowo, poprzez nieznanych mu, podobnych sobie śmiertelników, którzy przedłużą jego rzeczywistość aż po wieczny czas.

Zdawał sobie sprawę, że uczucia przenikającego jego całą istotę nie można jeszcze nazwać religijną wiarą, czyli niekwestionowaną wiarą w boskiego władcę czy też najwyższego planistę, który wyposaża człowieka w motywację i poczucie celu i który tłumaczy niewytłumaczalne. Było to raczej łatwiejsze do pojęcia, kielkujące dopiero przekonanie, że jego pobyt na ziemi ma sens nie tylko dla niego, lecz także dla tych, z którymi jego los mniej lub bardziej był powiązany. Mówiąc krótko, znalazł się tutaj nie przez przypadek i dlatego nie można go usunąć niczym śmiecia, nie był zerem tańczącym w pustce aż po swój kres i ciemność.

Pamiętał, jak ojciec zacytował mu kiedyś straszne, chwytające za gardło słowa świętego Augustyna: „Ten, który nas stworzył bez naszej pomocy, nie zbawi nas bez naszej zgody”. Randall stwierdził, z uczuciem zastarzałego żalu, że nie taka jest na razie jego wiara. Nie potrafił wyobrazić sobie tego,

któremu miałby powierzyć swoje zbawienie. Nie potrafił także przyjąć za Księgą, że nie potrzeba ujrzeć, aby uwierzyć. On musiał najpierw ujrzeć i dzisiaj chyba właśnie... coś zobaczył.

Co to było? Nie umiał opisać, być może potrzebował na to czasu. Na razie wystarczyło mu odkrycie w sobie owego przeświadczenia, że istnieje plan, że człowiek ma cel. Budziło to w nim chęć działania, nadzieję, niemal pasję życia.

Ta podróż do nieznannej krainy wiary rozpoczęła się przed dwiema godzinami, kiedy wrócił do hotelu Amstel i swego apartamentu, którego jeszcze nawet dobrze nie obejrzał. Wciąż był wstrząśnięty przygodą na ulicy. W mieście, które wydawało się bezpieczne i zamieszkane przez otwartych i przyjaznych ludzi, napadło go dwóch opryszków, a jeden z nich był zamaskowany. Policja uznała to za drobne przestępstwo, zwyczajne usiłowanie kradzieży. Jednakże Randall wiedział, o co chodziło. W aktówce, którą kładł właśnie na wielkim, ozdobnym łożu, miał nie jakąś tam książkę, lecz, jak napisał Heine, Księgę zawierającą wschody i zachody słońca, obietnicę i jej spełnienie, śmierć i narodziny, cały ten dramat ludzkiego istnienia, mądrą i wielką jak świat Księgę nad Księgami.

A jednak, rozmyślał dalej, ta sama Księga ze słów Heinego stała się w oczach wielu czytelników rzeczą zużyta i nieświeżą, nieprzystającą do nowej epoki, bezużyteczną spuścizną, która powinna trafić do lamusa cywilizacji. I oto właściwie z dnia na dzień, niemalże dzięki przypadkowi, tchnięto w nią nowe życie, przywrócono młodość i Księga wraz ze swym Bohaterem znów nabrała znaczenia. Znów miała stać się, jak obiecali jej promotorzy, Księgą nad Księgami. Co więcej, zawierała teraz klucz, hasło — Słowo — które z pomocą nowego, Jakubowego wizerunku Jezusa miało przywrócić wiarę, a co za tym idzie, sprawiedliwość, dobro, miłość, jedność i wreszcie wieczystą nadzieję, która wkroczy w materialistyczny, nieprawy i cyniczny, mechaniczny świat, zmierzający coraz szybciej ku Armagedonowi.

Tamci dwaj na ulicy byli gotowi go zranić, a może i zabić, dla zdobycia tego hasła, dla zdobycia Słowa. Do tej chwili Randall jedynie powierzchownie zgadzał się z ostrzeżeniem, że oto włączył się do niebezpiecznej gry. Teraz nie potrzebował już następnej przestrogi, gdyż został całkowicie przekonany. Był już gotowy na wszystko.

Dotarł do hotelu, pałając pragnieniem przeczytania Słowa, postanowił jednak z tym zaczekać, aż się trochę uspokoi. Wszedł do dużego salonu, gdzie na marmurowym stoliku stały butelki, wysokie szklanki i kubek z lodem.

Stolik otaczały ciemnocytrynowe fotele i długa kanapa obita niebieskim pluszem.

Na tacy znalazł nieco zrzędlawy w tonie liścik od Darlene. Nie podobało jej się, że cały dzień spędziła sama, ale wycieczka była świetna, a teraz popłynęła w ostami wieczorny rejs ze świecami po kanałach, bo pokojówka powiedziała jej, że ten ostatni jest najbardziej romantyczny. Wróci około północy.

Randall nalał sobie podwójną szkocką z lodem, pokręcił się trochę po królewskim salonie, usiadł za nowoczesnym biurkiem z blatem pokrytym marokinem, przyjrzał się przeszklonym drzwiom na balkon z widokiem na rzekę i dopił drinka. Następnie wezwał obsługę, zamówił sałatkę i stek oraz pół butelki beaujolais, po czym poszedł wziąć niespieszny prysznic.

Nałożył właśnie jedwabny włoski szlafrok na bawełnianą piżamę, gdy kelner wtoczył wózek z późnym posiłkiem. Randall oparł się pokusie czytania Międzynarodowego Nowego Testamentu przy jedzeniu, lecz nie mitrężył z kolacją zbyt długo.

W końcu, przepelniony oczekiwaniem otworzył aktówkę, wyjął oprawny w biały karton egzemplarz i usadowił się z nim na kanapie.

Na stronie tytułowej, poniżej słów Międzynarodowy Nowy Testament, przyłożono pieczętkę: PRÓBNY EGZEMPLARZ REDAKCYJNY. Pod spodem naklejono etykietę z kopią napisanego na maszynie memorandum firmy drukarskiej Karla Henniga z Moguncji. Hennig informował w nim, że egzemplarze próbne wydrukowano na zwykłym papierze, lecz do dwóch pierwszych edycji nowej Biblii użyty zostanie papier najlepszego gatunku. Pierwsza partia, przeznaczona wyłącznie dla mediów i kleru, nazwana edycją kaznodziejską, wydrukowana będzie na papierze biblijnym, natomiast drugie, handlowe wydanie, na papierze welinowym. Stronice miały mieć format dwadzieścia pięć na piętnaście centymetrów. Ponieważ była to Biblia przeznaczona głównie dla protestantów — lecz miała być także dostępna dla katolików — przypisy ograniczono do minimum i zgromadzono w osobnych aneksach na końcu każdej z ksiąg Nowego Testamentu.

Tekst Pergaminu Petroniusza umieszczono w formie dodatku między Ewangelią świętego Mateusza i świętego Marka i opatrzone przypisami wyjaśniającymi kulisy odnalezienia dokumentu w Ostii i jego weryfikacji, szczegółły przekładu z greki oraz związku z historią Chrystusa.

Nowo odkryty tekst autorstwa brata Jezusa włączono do tekstu jako część kanonu i umieszczono między Ewangelią świętego Jana i Dziejami Apostolskimi. Całość Nowego Testamentu została ponownie przetłumaczona w świetle najnowszego odkrycia. W późniejszym czasie miał zostać także

opublikowany Międzynarodowy Stary Testament, jako osobny tom w nowym przekładzie, uwzględniającym językowe zmiany wprowadzone dzięki ostiackiemu znalezisku. Datę wydania Nowego Testamentu wyznaczono na dwunasty lipca.

Randall we wczesnej młodości przeczytał Nowy Testament, a potem zaczytywał się bez końca w niektórych jego ustępach. Tego wieczoru nie miał cierpliwości do czytania synoptycznych ewangelii Mateusza, Marka i Łukasza oraz czwartej, Janowej, z jej symbolicznymi podtekstami. Chciał przejść od razu do nowych tekstów Jakuba i Petroniusza.

Znalazł stronicę z wydrukowanym tłustą czcionką tytułem:

RAPORT Z PROCESU JEZUSA, SPISANY PRZEZ PETRONIUSZA.
Dodatek.

Sam tekst sporządzony przez Petroniusza w imieniu Piłata zajmował dwie strony, a przypisy do niego cztery. Randall zaczął czytać.

Do Luciusa Aeliusa Seianusa, Przyjaciela Cesarza. Raport w sprawie wyroku wydanego przez Poncjusza Piłata, namiestnika Judei, iż niejaki Jezus z Nazaretu został skazany na śmierć przez ukrzyżowanie. W kwietniu, w szesnastym roku panowania cesarza Tyberiusza, w Jerozolimie Poncjusz Piłat, namiestnik Judei, ukarał Jezusa z Nazaretu za podburzanie do rebelii i skazał na śmierć przez powieszenie na krzyżu [Nota: patibulum].

Poruszony tym suchym, zimnym wyrokiem, niosącym się poprzez korytarze stuleci aż do obecnej chwili, Randall siedział znieruchomiały, czytając do końca tę urzędową relację, napisaną w piątek, 7 kwietnia Roku Pańskiego 30.

Nie tracąc czasu na powtórne czytanie ani rozmyślanie nad tekstem, przewrócił kartki do ostatniej strony Ewangelii świętego Jana. Z zapartym tchem odwrócił tę ostatnią.

I ujrzał tytuł, wspaniały w swej prostocie, realny i jednoznaczny, klucz do wiary, do długo wyczekiwanego zmartwychwstania.

EWANGELIA WEDŁUG ŚWIĘTEGO JAKUBA

Ja, Jakub z Jerozolimy, brat Pana Naszego Jezusa Chrystusa, najstarszy z jego ocalałych braci i syn Józefa z Nazaretu, mam wkrótce stanąć przed Sanhedrynem i głównym kapłanem Ananusem, oskarżony o wzniecanie rebelii, a to z powodu mego przewodzenia wyznawcom Jezusa wśród naszego ludu.

Niniejszym więc, jako sługa Boga i Pana Naszego Jezusa, dopóki pozostał mi jeszcze czas na dokonanie tego, co niezbędne, składam krótkie świadectwo życia i posługi kapłańskiej mojego brata Jezusa Chrystusa, aby zapobiec

mnożącym się wypaczeniom i kalumniom, a uczniom naszej wiary dać przewodnictwo przeciwko różnorodnym pokuszeniom, i aby przywrócić hart ducha naszym wyznawcom wśród prześladowanych dwunastu plemion diaspory.

Pozostali z synów Józefa, bracia Jezusa i moi także... [Nota: Brak części tekstu], a ja pozostałem, by opowiedzieć o pierworodnym i najukochańszym Synu. To jest moje świadectwo i wspomnienie żywota, a także świadectwo apostołów spośród Uczniów Jezusa, którzy widzieli to, czego ja ujrzyć nie mogłem, i przedkładałem oto prawdę o Synu, który mówił w imieniu Ojca, aby posłańcy mogli zanieść Nowinę wszystkim Ubogim. [Nota: Pierwsi chrześcijanie znani byli jako Uczniowie Jezusa, a także jako Ubodzy].

Pan Nasz Jezus Chrystus narodził się ze swej matki Marii, którą okrył cień jedności ze Stworzycielem, i przyszedł na świat na podwórku gospody w miejscu zwanym Betlejem, w roku odejścia z tego świata Heroda Wielkiego, kilka lat przed tym, gdy Kwirynus został prokonsulem Syrii i Judei, a Jezus poddany został obrzezaniu...

Słowo.

Znak. Światło. Manifestacja Boga.

Oszołomiony, z mokrym od potu czołem i pulsującymi skroniami, Randall czytał dalej, strona po stronie, aż do ostatniej, trzydziestej piątej, pochłonięty i poruszony do głębi głosem brata, rozlegającym się w roku sześćdziesiątym drugim, ponad trzydzieści lat po zdjęciu nieprzytomnego i krwawiącego Jezusa z barbarzyńskiego krzyża i przywróceniu go do życia. Tak przemawiał Jakub do nienarodzonych jeszcze, niezliczonych pokoleń, na kilka zaledwie miesięcy przed własną brutalną śmiercią.

Randall skończył czytać Ewangelię według Jakuba.

Koniec.

Początek.

Czuł się obezwładniony cudownością tekstu. Tekst był cudem, ponieważ dał mu poczucie obecności, wrażenie, że osobiście widział i słyszał człowieka z Galilei, dotykał go i był przez niego dotykany. Już wierzył. Człowiek czy Bóg, to było bez znaczenia. On, Steve Randall, uwierzył.

Trudno się było oderwać od tych stron i przejść do przypisów i objaśnień, lecz zrobił to, i siedem dodatkowych stron też przykuło jego uwagę.

Wciąż jednak nie pozwalał sobie na myślenie. Chciał tylko czuć, nie rozmyślać.

Wrócił szybko do początku świadectwa Jakuba i przeczytał go powtórnie. Potem przeczytał jeszcze raz dodatek, raport Petroniusza z procesu Jezusa.

W końcu odłożył delikatnie Międzynarodowy Nowy Testament na stolik i zagłębiwszy się w poduszki kanapy, pozwolił sobie prócz emocji także na moment zastanowienia.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak głęboko Słowo, ten nowy przekaz, przeniknęło pod skorupę jego cynizmu i wzbudziło emocje, których nie zaznał od czasu swej młodości w Oak City.

Stworzono go do życia po to, żeby coś znaczył dla siebie i dla innych.

Badał to nowe odczucie wciąż od nowa.

I teraz, po upływie dwóch godzin od wejścia do mieszkania i niemal godziny od momentu, w którym otworzył Międzynarodowy Nowy Testament, siedział na sofie, starając się powściągnąć emocje i przemyśleć tę lekturę jak człowiek rozsądny i inteligentny.

Raport Petroniusza był stosunkowo krótkim, urzędowym dokumentem. Rzeczowy ton i lapidarność tekstu — w którym zwykły rzymski centurion czy kapitan relacjonował swemu przełożonemu, prefektowi pretorianów w Rzymie, proces drobnego, osobliwego przestępcy — sprawiały, że był on po stokroć prawdziwszy, bardziej wiarygodny i przejmujący od pięknej, literackiej relacji świętego Łukasza.

Łukasz napisał:

Piłat więc zawyrokował, żeby ich żądanie zostało spełnione. Uwolnił im tego, którego się domagali, a który za bunt i zabójstwo był wtrącony do więzienia, Jezusa zaś zdał na ich wolę*.

* Łukasz, 23, 24-25, wyd. cyt.

Petroniusz zaś relacjonował:

O wschodzie słońca odbył się sąd przed pałacem Heroda. Faryzeusze i saduceusze upierali się jako świadkowie, że Jezus powinien być sądzony według prawa cywilnego, a nie mojżeszowego. Świadkowie stojący przed trybunałem to przyjaciele Rzymu, pragnący pokoju, w większości rzymscy obywatele. Oskarżali oni Jezusa o te przestępstwa i przedstawiali dowody na to, że ogłaszał siebie królem Izraela, twierdził, iż jego władza jest wyższa od cesarskiej, a także nauczał i głosił nieposłuszeństwo i rokosz w miastach, usiłując podburzać naszych poddanych do rebelii.

Randall rozmyślał dalej nad raportem podpisanym przez Petroniusza i przesłanym w imieniu „Poncjusza Piłata, prefekta Judei”, do „Luciusa Aeliusa Seianusa, Przyjaciela Cesarza” w Rzymie.

Petroniusz w dwóch zdaniach przywołał do życia tę straszną, finalną scenę w pretorium, z Piłatem stojącym na podwyższeniu przed milczącym Jezusem.

Oskarżony podjął się własnej obrony i zaprzeczył wszystkim zarzutom poza tym, że utrzymywał, iż ma władzę wyższą od cesarskiej. Oskarżony Jezus potwierdził, że jego Bóg powierzył mu misję zaprowadzenia Królestwa Bożego na ziemi.

Petroniusz poinformował następnie, że zapadł wyrok śmierci i Piłat rozkazał swemu pierwszemu centurionowi natychmiast przeprowadzić egzekucję. Po biczowaniu trójdzielnymi biczami Jezus został poprowadzony przez rzymskie straże do miejsca ukrzyżowania. Raport kończył się tak:

I odbyła się egzekucja za Owczą Bramą. Jego śmierć nastąpiła, jak sprawdzono, w dziewiątej godzinie. Dwaj przyjaciele skazanego, obaj członkowie Sanhedrynu, zwrócili się do Piłata o wydanie im ciała i otrzymali zgodę na pochówek. Sprawa Jezusa tym samym została zakończona.

Jeszcze mocniej poruszyła Randalla narracja Jakuba. W biografii trafiały się brakujące fragmenty, w miejscach, gdzie słowa lub całe zdania zniknęły po prostu dlatego, że papirus rozkruszył się albo starożytny atrament wyblakł i stał się nieczytelny. Naukowcy ednak, posługując się logiką i dedukcją, zdołali wypełnić te braki choć uzupełnienia ujęte były w gąszcz kwadratowych nawiasów, i w żaden sposób nie wypaczały obrazu prawdziwego Jezusa. Przeczytać Jakuba znaczyło uwierzyć bez najmniejszego wątpienia.

Jego słowa nie tylko emanowały prawdą — niosąc w sobie tę samą cierpką bezpośredniość, co tak zwany list powszechny świętego Jakuba w dotychczasowym Nowym Testamencie — lecz wskazywały także, że jest to historia jednej istoty ludzkiej bardzo bliskiej innej istocie. Surowa w swej prostocie narracja nie została upiękuszona przez propagandę autorów innych ewangelii czy późniejszych chrześcijańskich handlarzy, którzy w drugim stuleciu zręcznie spreparowali lub napisali na nowo fragmenty czterech ewangelii, zanim stały się one kanonem Nowego Testamentu w wieku czwartym.

Jakub, przywódca wyznawców Jezusa w Jerozolimie, opisał go ako Żyda, który chciał zmienić i ulepszyć judaizm. Jego relacji nie zaśmiecała teologia zorganizowanych chrześcijan, którzy zjawili się później i pisali o wydarzeniach, w których nie brali udziału.

Zamierzali oni drastycznie zmienić, a w końcu wyrugować judaizm. Zapożyczyli co najlepsze z jego moralności i historii, lecz zmienili sprawiedliwego Boga narodu wybranego w Boga, który wierzył w miłość zarówno do Żydów, jak i do nie Żydów. Kładli też wyjątkowy nacisk na powrót Mesjasza. Autorzy Ewangelii zaangażowali się nie tylko w głoszenie

Nowiny o człowieku i jego życiu, lecz także idei, na której mogliby zbudować swój chrześcijański Kościół.

Co więcej, Jakub rozgrzeszył Żydów z wszelkiej winy za śmierć Jezusa Chrystusa i w przeciwieństwie do apologetyki Marka, Mateusza, Łukasza i Jana całą winą obarczył Rzymian, a jego wersję potwierdził raport Petroniusza. Współcześni bibliści od dawna podejrzewali, że cała ta opowieść autorów Ewangelii o wahającym się Piłacie, którego żydowscy oficjele zmusili do skazania Jezusa na śmierć, była manipulowaniem prawdą dla celów politycznych.

W przypisie znajdował się cytat z pracy francuskiego uczonego, Maurice'a Goguela, z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego:

Ten, którego chrześcijanie przedstawiają jako wysłannika Boga i Zbawiciela, został skazany na śmierć przez rzymski trybunał. Fakt ten był przyczyną trudności w głoszeniu Ewangelii w świecie rzymskim, wywoływał bowiem wrażenie, że nawrócenie się na wiarę chrześcijańską oznaczało w istocie opowiedzenie się za buntownikiem, a więc otwarty sprzeciw wobec władzy cesarskiej. Dlatego też chrześcijanie bardzo chcieli udowodnić, że prokurator skazujący Jezusa był przekonany o jego niewinności i że publicznie oświadczył, iż musiał się poddać niezwykle silnej presji ze strony tłumu i przedstawicieli władz żydowskich.

W innym przypisie zacytowano słowa Paula Wintera, niemieckiego uczonego z Berlina, wypowiedziane w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku:

Pisząc prawdopodobnie w Rzymie, [Marek pragnął] podkreślić winę narodu żydowskiego, a szczególnie jego przywódców za śmierć Jezusa, to oni, a nie Rzymianie, mieli być odpowiedzialni za ukrzyżowanie. Nie należy jednak przyjmować, że ewangelistą powodowało antyżydowskie nastawienie, jego intencją była raczej obrona niż napaść. Zależało mu na uniknięciu wypowiedzi, które wzniciłyby wśród Rzymian antagonizm czy choćby podejrzliwość wobec wspieranych przez niego ideałów. (...) Nie chciał dać podstaw do wyciągnięcia wniosku, że Jezus miał jakikolwiek związek z wywrotową działalnością, która doprowadziła do wybuchu niedawnego powstania. Ewangelista stara się więc ukryć, że Jezusa osądzono i skazano za wzniesienie niepokojów. Marek argumentuje, że nie aresztowali go rzymscy żołnierze i nie został skazany z powodów politycznych przez rzymskiego asesora. Jego potępienie i późniejsza egzekucja wynikały z jakichś niejasnych nakazów prawa żydowskiego.

I teraz wreszcie Jakub Sprawiedliwy obalił to historyczne kłamstwo raz na zawsze.

Jednakże ponad to wszystko wybijała się zdecydowanie zduniewająca informacja o tym, że Jezus Chrystus przeżył swoje ukrzyżowanie — czy to z woli Boga, czy dzięki pracy ziemskiego nedyka — i nie tylko pokazał się ludziom, lecz dalej przemierzał raj, przedłużając swą duszpasterską działalność o dalsze dziewiętnaście lat przed wstąpieniem do nieba.

Jakub o Jezusie.

Niewiarygodne, lecz w pełni wiarygodne.

Trzęsienie ziemi, które miało zachwiać wielusetletnim kanonem ewangelicznym, a jednocześnie wzmocnić go jako budowlę zamieszkaną przez genialnego nauczyciela, mędrca, wizjonera i wiarygodnego proroka, do którego można się było odwoływać w epoce laukowego racjonalizmu, interpretować go i podążać jego śladem. Ogólnoświatowa sensacja, a także iskra nadziei, mogąca zainspirować człowieka do oddawania mu czci przez wiele przyszłych tuleci.

Jakub o Jezusie.

Był to starożytny pamiętnik, odarty ze zmyślenia, ukazujący złowika, nie zaś nienaturalny twór niebios, niechodzącego po rodzie i wskrzeszającego umarłych, nawet nie wyłącznie Syna tożego, lecz raczej Syna Człowieczego wszystkich czasów, który znał radość i cierpienie, który nauczał zrozumienia, dobroci i braterstwa, potępiając okrucieństwo, hipokryzję i chciwość.

Szukajcie w Piśmie, radził apostoł Jan. Steve Randall przeszukał to nowe Pismo, a teraz starał się podsumować, co go w tym tekście tak bardzo poruszyło, zainspirowało i uwzniośliło.

Jakub o Jezusie. W głowie Randalla tańczyły, śpiewały obrazy i wizje.

Narodziny dziecka na podwórku gospody w Betlejem. Czy zrodzonego przez piętnastoletnią dziewicę, która poczęła za sprawą Ducha Świętego, czy też przez młodą kobietę zapłodnioną przez ziemskiego partnera — to pozostało niewyjaśnione, tak przez Jakuba, jak i przez jego tłumaczy. Sugestie narodzin z dziewicy zawierały jednak słowa Jakuba „cień jedności ze Stwórcą”. [Przypis: Jakub sugeruje, że Jezus został poczęty przez Ducha Świętego i narodził się z Marii Dziewicy. Jak tłumaczył to Justyn Męczennik w roku 150: „Słowa: »Patrzajcie, oto dziewica pocznie«, oznaczają, że dziecko zostało poczęte bez stosunku, albowiem gdyby dziewica odbyła stosunek, nie byłaby już dłużej dziewicą. Moc Boga, który zstąpił na dziewicę, okryła ją niczym cień, sprawiając, że poczęła, choć była w dalszym ciągu dziewicą”. Z drugiej strony Jakub jednoznacznie nazywa siebie bratem

Pana Naszego Jezusa Chrystusa, można więc argumentować, że Jezus narodził się ze związku Józefa z Marią, a Jakub byłby późniejszym dzieckiem. Ewangelista Jan stwierdził w rzeczy samej, że Jezus urodził się „w zgodności z ciałem”]. A po swych narodzinach ósmego dnia został obrzezany.

Jakub potwierdził ucieczkę do Egiptu. Istniał król Herod, który tak się obawiał nadejścia Mesjasza, że kazał zamordować wszystkie dzieci poniżej drugiego roku życia w okolicach Betlejem. [Przypis: Okrucieństwo Heroda było dobrze znane jego współczesnym. Chociaż przestrzegał on prawa możeszowego i nie zabijał świń ani nie jadł wieprzowiny, uśmiercił swoją nigdyś ukochaną żonę i dwóch przybranych synów. Cesarz August skomentował to w Rzymie tak: „Wolałbym być świnią Heroda niż jego synem”].

Józef i Maria, ratując swego syna przed dzieciobójstwem, zbiegli do Hebronu na wybrzeżu, potem do Gazy, a później, nie wiadomo jakim środkiem lokomocji (brakujące słowa), dotarli do Peluzjum w Egipcie. Mieszkało tam milion Żydów i Jezus schronił się u swych krewnych w Aleksandrii, aż do śmierci Heroda. Kiedy rządy objął Archelaus, Józef z Marią i dzieckiem powrócili do Palestyny i osiedli w Galilei.

Jakub wy dobył też na światło dzienne, w zarysie tylko, lecz fascynującym, nieznany dotąd okres z młodości Jezusa. Uczył się on w beth hasefer, domu księgi, czyli szkole podstawowej, i przed trzynastym rokiem życia studiował już Prawo Jehowy, Księgę Jonasza, historie różnych mesjaszów oraz komentarze kaznodziejskie. Kilkakrotnie odwiedził ascetyczną wspólnotę esseńczyków, gdzie dyskutował z różnymi uczonymi na temat Księgi Henocha. To od nich przejął pragnienie zniesienia niewolnictwa i wytwarzania broni oraz składania krwawych ofiar. Oni też zarazili go pragnieniem spełnienia się Królestwa Mesjasza na ziemi. Przez pewien czas nauczał go faryzejski nauczyciel w Jerozolimie, a kapłani w świątyni byli pod wrażeniem jego wiedzy, dojrzałości i świętości. Jakub był obecny podczas konfirmacji swego brata.

Ich ojciec Józef był w istocie robotnikiem drzewnym [Przypis: W czasach Jezusa w języku hebrajskim ani aramejskim nie istniało słowo „cieśla”]. Ścinał cyprysy i cedry w lesie, naprawiał konstrukcje domów, wykonywał skrzynie, pługi i dzieże, lecz najstarszy syn Jezus nie pracował wraz z nim, tylko czasami pomagał mu w wykańczaniu drewnianych przedmiotów. Swą wczesną młodość Jezus spędził, pracując na roli i jako pasterz, uprawiał małe rodzinne poletko pszenicy, doglądał winorośli, a kiedy podrósł, zajmował się

stadem owiec. Rodzina Józefa mieszkała skromnie, w jednoizbowej glinianej chacie, której połowę zajmowały zwierzęta.

Po śmierci Józefa (odnośny fragment papirusu wykruszył się, lecz autorzy przypisów określili datę na trzy lata po bar micwie Jezusa) Jezus poruszył rodzinę i sąsiadów swoją modlitwą nad ciałem ojca: „Ojcze miłosierny, widzące oczy i słyszające uszy, wysłuchaj mojego wstawiennictwa za Józefem i ześlij Michała, dowódcę aniołów, i Gabriela, wysłannika Światła, i armie aniołów, aby poprowadzili duszę mego ojca Józefa aż przed Twoje oblicze na wysokościach”.

Następnie Jezus stał się głową rodziny, która składała się z jego matki, sióstr i braci, pracował na polu i w winnicy oraz studiował starożytne pisma. Wreszcie z boskiej inspiracji przekazał gospodarstwo Jakubowi, a sam zaczął głosić naukę miłości, jedności i nadziei po galilejskich wioskach. Znał język koine, popularną wówczas odmianę miejskiej greki, lecz do społeczności żydowskich przemawiał w codziennym aramejskim.

W jedenastym roku rządów cesarza Tyberiusza [Przypis: Jezus miał wówczas dwadzieścia dziewięć lat] odszukał człowieka zwanego Janepi Chrzcicielem i został ochrzczony. Następnie wycofał się w leśne ostępy, by medytować nad swą drogą i szukać przewodnictwa u swego Boga w niebie. Kiedy powrócił między ludzi, miał już pewność swej misji i jego nauczanie nabrało mocy i śmiałości.

Potem Jakub opisuje trzciniowym piórem wygląd Jezusa, gdy zaczął nauczać o zbawieniu dla gnębionych, dla zwykłych ludzi przygniecionych brzemieniem surowego legalizmu żydowskiej ortodoksji i uciskanych przez rzymskich okupantów. Jezus był nieco wyższego wzrostu od przeciętnego. [Przypis: Przeciętny wzrost jego ziomków w owych czasach wynosił prawie metr sześćdziesiąt, tak więc Jezus miał najpewniej metr sześćdziesiąt pięć]. Nosił włosy do ramion, kasztanowej barwy, zwijające się w loki poniżej uszu, gęstą brodę i wąsy. Miał wysokie czoło i szare, zapadnięte oczy, duży, haczykowaty nos i pełne wargi. Jego oblicze pokryte było krostami, a ciało owrzodzone. „Nasz Pan miał oszpecone ciało, lecz był piękny mocą ducha”. Spoglądał władczo, lecz często bywał zamyślony i milczący. W obejściu był uprzejmy, jednak czasami emanował srogością. Jego głos, głęboki i dźwięczny, działał kojąco na rosnącą liczbę wyznawców i uczniów. Trzymał się lekko przygarbiony, a chód miał nierówny z powodu utkania na jedną nogę, co stało się wyraźne w roku poprzedzającym ukrzyżowanie i sprawiało mu sporo trudności. [Przypis: W roku dwieście siódmym Tertullian z Kartaginy, jeden z wczesnych autorów chrześcijańskich, nawrócony w

Rzymie, odnotował, że Jezus był ułomny: „Jego ciało miało nieforemny jak na człowieka kształt”].

Wędrował wraz z osłem, który niósł jego bukłak na wodę, tykwę, zwoje z tekstami i zapasowe sandały. Szedł przed osłem, czasem w wełnianym okryciu głowy, ubrany w lnianą przepaskę na biodra i rzemieńne sandały, niosąc swą sakwę podróżną i kij.

Jakub przytoczył wypowiedzi Jezusa, które wypełniły w sumie siedem stron Międzynarodowego Nowego Testamentu. Zwracał się głównie do ubogich i cierpiących, by ich przebudzić. Tych, którzy byli mu przyjaciółmi, całował ze słowami „Pokój z tobą” i mówił im, że jest posłany przez Ojca z nieba, i mówił także: „Ci spośród was, którzy uwierzą we mnie, choćby umarli, żyć będą”. Powtarzał, że został zesłany, by zaprowadzić na ziemi nowe królestwo pokoju i miłości.

„Każdy, kto go usłyszał i zobaczył, doświadczał jego współczucia”. W jego oczach wszyscy byli jak jeden. Mówił o tyranii, ubóstwie i chaosie na tym świecie, które muszą ustąpić przed obiecaną przezeń sprawiedliwością, dobrem, pokojem i dzieleniem się z innymi. Ci, którzy uwierzą, zatriumfują nad śmiercią i w przyszłym Królestwie doświadczą szczęścia wiecznego.

Jezus dawał często szczegółowe nauki, napisał Jakub. Domagał się na przykład równości kobiet i mężczyzn. „Córka ma prawo dziedziczyć tę samą część, co jej bracia”. Jakub potwierdził także opowieść Jana o kobiecie pochwyconej na cudzołóstwie, lecz relacja tego pierwszego jest nieco odmienna. Jezus poszedł nauczać w świątyni, gdy faryzeusze, chcąc go podejść, przyprowadzili doń cudzołożnicę i powiedzieli: „Nauczycielu, tę kobietę pochwycono na cudzołożeniu. Takie kobiety nakazano nam kamienować. A ty co powiesz?”. A Jezus odpowiedział im na to: „Który z was jest wolny od grzechu, niech ją ukamieniuje”. Wówczas, przekonani przez własne sumienie, po kolei opuszczali świątynię. Jezus zaś dotknął brwi kobiety i zapytał: „Czy któryś z nich cię potępił?”. A ona odparła: „Żaden, Panie”. „I ja też ciebie nie potępiam. Idź i odtąd nie grzesz więcej” — powiedział Jezus.

Jakub zapisał liczne sentencje swego brata, zaskakująco aktualne w dzisiejszym świecie. Odnosiły się one do wykorzystywania biednych przez bogatych i klasę rządzącą, do konieczności zjednoczenia narodów i zakończenia wojen, do zapewnienia każdemu wykształcenia, potępiały zabobon, dogmat i rytuał, a w dwóch miejscach były to właściwie proroctwa zapowiadające dotarcie człowieka do planet na niebie w czasach, gdy świat stanie na skraju samozniszczenia.

Zgromadził też w swym tekście nieznanne dotąd aforyzmy, zalecenia i maksymy Jezusa, a także te, które wyraźnie posłużyły jako materiał źródłowy czterem ewangelistom, a później autorom apokryfów.

Według Jakuba: „Nasz Pan powiedział, że ten, który ma w koszu kęs jedzenia i pyta »Co będę jadł jutro?«, jest człowiekiem małej wiary". Według Jakuba: „Jezus napomniął ich: »Pamiętajcie, że żaden sługa nie może służyć dwóm panom. Jeśli zechcecie służyć i Bogu i mamonie, nic nie zyskacie tak u jednego, jak i u drugiego«. Według Jakuba: „Namaszczony powiedział swym wyznawcom: »Musicie się odnowić poprzez łączność z naturą i jej Stwórcą. Idźcie na łąki i do lasu i oddychajcie tam długo i głęboko, żebyście poznali powietrze i prawdę, i medytujcie nad prawdą, pozbywając się tego, co zanieczyszcza człowieka, co jest nieczystością ciała i złem umysłu. I tak, poprzez oddech i Świętego Ojca narodzicie się na nowo«".

To nie wszystko.

Były jeszcze te słowa, załączek Złotej Zasady: „Jezus powiedział: »Synowie Boga muszą stać się synami człowieka, niech każdy pociesza i wspiera drugiego, niech każdy każdemu będzie bratem. Każdy syn człowieczy stanie się synem Boga, jeżeli będzie kochał nie tylko tych, którzy go kochają, lecz także swoich nieprzyjaciół, i odpłacać będzie miłością za nienawiść. Jeżeli dwóch zawrze w tym domu pokój między sobą, mogą powiedzieć górze: «Porusz się» i góra się poruszy. Odnóście się do innych tak, jakbyście chcieli, żeby odnosili się do was. Nie czyńcie bliźniemu niczego, czego byście nie chcieli, żeby wam uczynił. Ci, którzy tego posłuchają, zamienią ziemię w niebo i staną się dziedzicami Królestwa Bożego«".

Były też słowa o sposobie życia: „Wówczas Jezus powiedział: »Pogardzajcie hipokryzją i złem. Szukajcie prawdy i dobra. Nie pozwólcie, by Królestwo Niebieskie uwiędło, jest ono bowiem jak gałąź palmy, z której opadają owoce, a owoce te są dobrem, które należy zebrać i posadzić ponownie«".

I były te słowa, filozofia na dziś: „I Jezus zebrał ich wokół siebie, i powiedział: »Nie zapomnijcie, jak długo istniał świat przed waszymi narodzinami, i pamiętajcie, jak długo istnieć będzie po waszej śmierci. Wiedźcie, że przy tym wasze ziemskie życie jest jak jeden dzień, a wasze cierpienia jak jedna godzina. Dlatego żyjcie z życiem, a nie ze śmiercią. Pamiętajcie moje słowo, by mieć wiarę, dawać miłość i czynić dobro. Albowiem błogosławieni będą ci, którzy zostaną zbawieni dzięki wierze w to słowo«".

Jakub był kilkakrotnie obecny przy tym, jak jego brat uzdrawiał chorych, lecz nigdy nie był świadkiem boskich cudów, o których krążyło tyle pogłosek. Widział, jak Jezus zajął się Łazarzem. Choć święty Jan upiększył później to zdarzenie i opisał je jako wskrzeszenie umarłego, Jakub daje nam własną relację naocznego świadka: „Wówczas Marta i Maria posłały po Jezusa, gdyż ich ukochany brat Łazarz poważnie zachorował i leżał bez ruchu. Udałem się wraz z Jezusem do domu na zboczu Góry Oliwnej i wszedłem z nim do środka. Tam Jezus spojrział na swego przyjaciela, dotknął jego rozpalonego czoła i zawołał: »O Łazarzu, mówię ci wstań«, a Łazarz wstał i odtąd miał się dobrze”.

Dwukrotnie w czasie swej działalności Jezus został brutalnie potraktowany przez centurionów. Raz było to w Kafarnaum, gdzie złamali mu nogę, która źle się zrosła i odtąd właśnie wyraźnie utykał. W obu wypadkach centurioni grozili mu aresztowaniem i karą, jeśli nie zaniecha agitacji wśród ludu. Jednakże nie został aresztowany i nie zaprzestał głoszenia swych nauk.

W szesnastym roku rządów Tyberiusza [**Przypis: Chrystus miał wówczas trzydzieści cztery lata**], Jezus udał się, głosząc ideę dobroci, miłosierdzia i pokoju — a także posłuszeństwa tylko Bogu i jemu samemu jako Słowu Boga — do Jerozolimy. Rzymscy okupanci ostrzegali go, że może swymi kazaniem sprowokować kolejną rebelię, a Jakub i hierarchia żydowskiego Sanhedrynu błagali, żeby poszedł nauczać gdzie indziej i nie ściągał na siebie gniewu Rzymian oraz Poncjusza Piłata, protegowanego prefekta Sejana i zawziętego antysemitę.

Jezus jednakże nie chciał słuchać tych ostrzeżeń i rad. Choć każdy jego ruch obserwowali opłaceni szpiegowie, nie przerwał nauczania, a podczas Paschy ośmielił się przemówić do tłumów tuż pod murami pałacu Heroda. Rozwścieczony tym Piłat odbył naradę z Herodem Antypasem, namiestnikiem Galilei, który przybył właśnie do miasta. Tego wieczoru Jezus spożywał świąteczną wieczerzę z uczniami w domu Nikodema. Opowiadał tam kolejny raz historię Wyjścia i odpowiadał na pytania zadawane przez najmłodszych, łamał praśny chleb, czyli macę, i pił gorzkie zioła i wino. Przekonany w końcu przez Jakuba i innych, by zniknął na jakiś czas z Jerozolimy i nauczał gdzie indziej, Jezus jeszcze tej nocy wyprawił się w drogę przez dolinę Kidron, gdy nieznany z imienia szpieg nasłał na niego oddział rzymskich żołnierzy. Jezus został pochwycony i zamknięty w areszcie.

Nazajutrz został osądzony przez Poncjusza Piłata przed pałacem Heroda. Oskarżony o opór wobec władzy i podburzanie do niepokojów, oczekiwał wyroku. Świadców zeznających przeciwko niemu byli Rzymianami lub

osobami, którym przyznano rzymskie obywatelstwo, żydowscy saduceusze lękali się bowiem świadczyć na niekorzyść Jezusa (w obawie przed reakcją jego zwolenników lub wywołaniem gniewu społeczności żydowskiej za wspieranie okupanta). Piłat podczas tego krótkiego procesu był nieprzejednany [Przypis: Król Herod Agrypa I informował cesarza Kaligulę, że Piłat jest niezmiennie „bezlitosny, nieelastyczny i zawzięty“]. Werdykt Piłata był zwięzły. „Będziesz ukrzyżowany” — powiedział do Jezusa. A ten odparł: „Patrzaj, twój dom opustoszał”.

Po dotkliwym biczowaniu — dwoma biczami zakończonymi psimi kośćmi uderzono Jezusa ponad sto razy — wraz z dwoma złoczyńcami, Dysmasem i Gestasem, został poprowadzony przez rzymskich żołnierzy za Bramę Owczą na niewielkie wzgórze pod murami Jerozolimy. Tam go ukrzyżowano. W ręce ani w stopy nie wbito mu żelaznych gwoździ, lecz przywiązano przeguby rzemieniem do belki krzyża, a nogi do podstawy z drzewa oliwnego. Wijąc się w udęce i wciąż krwawiąc z ran po chłście, spragniony i na wpół przytomny, wisiał w słońcu, oczekując śmierci. Jeden z żołnierzy, aby przyspieszyć jego koniec, przebił mu bok krótkim mieczem i rzekł ze śmiechem: „Niech teraz Eliasz przybędzie go uratować”. Kiedy wyciągnął miecz, Jezus stracił przytomność.

W dziewiątej godzinie [Przypis: trzecia po południu], centurion przyjrzał mu się, dotknął go i stwierdziwszy, że jest zimny, obwieścił jego śmierć. Wówczas przyjaciele Jezusa, Nikodem i Józef z Arymatei, powołując się na rzymskie prawo zezwalające na godny pochówek ukaranych za przestępstwa polityczne, poprosili Piłata o wydanie im ciała. Ich prośba została wysłuchana.

Przed zmrokiem Nikodem polecił uczniom, Szymonowi i Janowi, zdjąć ciało z krzyża i przenieść je do grobu jego rodziny, by tam przygotować do pogrzebu. Kiedy uczniowie poszli po Jakuba oraz po płótno do zawinięcia zwłok, mirrę i proszek aloesowy do namaszczenia, Maria z Magdali czuwała przy Jezusie leżącym na podłodze w przedsionku grobowca. Gdy mężczyźni wrócili z pogrążonym w smutku Jakubem, Maria powitała ich zdumiewającym okrzykiem: „Bracia, cud! Rabbuli, nasz Pan, żyje!”.

Według Jakuba jego brat w istocie był żywy, chociaż w śpiączce i ledwie oddychał. Jakub wraz z uczniami natychmiast przenieśli nieprzytomnego Jezusa do bezpiecznego miejsca w jaskini i posłali w tajemnicy po esseńskiego medyka, by zajął się nim, albowiem wciąż jeszcze trzymał się życia. Po zbadaniu Jezusa lekarz stwierdził, że miecz żołnierza ominął główne organy wewnętrzne ukrzyżowanego i Rzymianie przedwcześnie obwieścili

jego zgon. Esseńczyk opiekował się Jezusem przez cały tydzień i uratował go od śmierci. Lecz Jezus był osłabiony po zadanych mu torturach.

Według Jakuba:

Dwie są relacje o jego powstaniu z martwych. Maria z Magdali zaświadczyła, że nasz Pan Jezus Chrystus zmartwychwstał mocą swego Ojca w niebiosach. Medyk natomiast stwierdził, że Jezus przeżył swe ukrzyżowanie jako zwykły śmiertelnik, ponieważ jego rana przypadkiem okazała się płytką. [Przypis: Nie był to jedyny odnotowany przypadek przeżycia ukrzyżowania. Historyk Józef Flawiusz opisał podobny, który zdarzył się czterdzieści lat później. „Zostałem posłany przez cesarza Tytusa do wioski zwanej Thecoa, by sprawdzić, czy miejsce to nadaje się na obozowisko. Kiedy wróciłem, ujrzałem wielu jeńców ukrzyżowanych i w trzech z nich rozpoznałem moich znajomych. Okryło to mnie wielkim smutkiem i ze łzami w oczach udałem się do Tytusa i powiedziałem mu o nich, a cesarz kazał ich zaraz zdjąć z krzyży. Jednakże dwóch umarło pod ręką medyka, natomiast trzeci wrócił do zdrowia". Zob.: Flawiusz, Dawne dzieje Izraela]. Czy brat mój, a nasz Pan umarł i został przywrócony do życia przez Boga, czy też uzdrowiony został na ciele dzięki medycynie i woli bożej, tego nie umiem powiedzieć. Gdy jednak upewniłem się co do tego, pospieszyłem powiadomić o tym innych, którzy sądzą, iż nie żyje. I powiedziałem im: „Marantha, nasz Pan, powrócił”, a oni przyjęli jego powrót, radowali się i odnowili swą wiarę.

Wszyscy jak jeden zgodzili się, że wydarzył się cud. Jezus był żywy. Gdy już ozdrowiał i nabrał sił, pewnej nocy wezwał mnie i naszego wuja Szymona Kleofasa do swej kryjówki i rzekł do nas: „Jesteście moimi umiłowanymi i staniecie się źródłem życia dla wielu. Ogłaszajcie Dobrą Nowinę Syna i Ojca”. Potem powiedział, że musi odejść, a gdy spytałem dokąd, odparł: „Jest wiele miejsc w domu Ojca mego, muszę je odwiedzić i nieść tam posłanie zbawienia, aż zostanę wezwany, by wejść do Ojca w niebie”. Przed pianiem koguta odprowadziliśmy naszego Pana do wzgórza koło Betanii i kazał nam zostać i błogosławił nas, po czym odszedł z kijem w dłoni, i zniknął we mgle i ciemności. Uklękliśmy wtedy i złożyliśmy dzięki i wznieśliśmy nasze serca do nieba.

Amen. Jezus przeżył ukrzyżowanie i Jakub to potwierdził, a wszystko, co zapisał potem, usłyszał od naocznych świadków dalszej pielgrzymki Jezusa.

Jego wygląd fizyczny zmienił się z powodu przeżytych cierpień i prawie żaden ze spotkanych ponownie ludzi nie poznał go od razu. Jezus udał się do Cezarei, do Damaszku, odbył podróż do Partii i kolejną do Babilonii, powrócił

do Antiochii, a potem popłynął na Cypr, do Neapolu i w końcu dotarł do samego Rzymu.

Jakub dowiadywał się, że spotykano go w tych miejscach i wielu innych, od uczniów powracających do Jerozolimy. Marantha, mówili po aramejsku i Jakub wiedział, że Pan przyszedł do nich i że widzieli go na własne oczy.

Świadectwa jego drugiego posłannictwa były bardzo liczne. W wiosce Emaus, siedem mil od Jerozolimy, spotkali go Kleofas i Szymon, a Jezus łamał z nimi chleb. Na brzegu jeziora Genezaret spotkał Tomasza, Szymona Piotra i Szymona, syna Jonasza, objawił się im i spożył z nimi posiłek. Pięć lat po ukrzyżowaniu, na drodze do Damaszku, Szaweł z Tarsu — zwany Pawłem po swym nawróceniu — spotkał nocą nieznanego, a kiedy go zapytał, kim jest, ten odpowiedział: „Jestem Jezus”.

Ignacy z Antiochii jako chłopiec słyszał, jak Jezus przemawia na placu na długo po ukrzyżowaniu. Kiedy Ignacy dorósł, powiedział jego uczniom: „On jest żywy, widziałem go”. Później, gdy Jezus popłynął statkiem handlowym do Italii i szedł Via Appia do Rzymu, spotkał apostoła Piotra, a ten zupełnie osłupiał. Jezus powiedział: „Dotknij mnie i przekonaj się, że nie jestem bezcielesnym demonem”. Piotr dotknął go i uwierzył, że jest z krwi i kości. „Dokąd idziesz, Panie?” — zapytał. A Jezus odparł: „Przychodzę tu, aby ponownie być ukrzyżowany”. [Przypis: Jakub potwierdza tu słowa teologa Ireneusza — który pisał w okresie między rokiem sto osiemdziesiątym drugim i sto osiemdziesiątym ósmym i jako pierwszy wspomniał o czterech ewangeliach kanonicznych — że Jezus żył jeszcze w wieku pięćdziesięciu lat. Jakub potwierdza również informację nieznanego autora z Acta Pilati, Akt Piłata, znanych także jako Ewangelia Nikodema, napisanych prawdopodobnie około roku sto dziewięćdziesiątego, że Jezus nie umarł w roku trzydziestym, lecz między rokiem czterdziestym pierwszym a pięćdziesiątym czwartym, podczas panowania cesarza Klaudiusza].

Poznała go z wyglądu jedynie garstka bliskich, którzy znali go wcześniej, natomiast reszta uczniów i wyznawców wierzyła w jego wniebowstąpienie w pobliżu Betanii. Jakub, Szymon Kleofas i krewni Jezusa podtrzymywali tę wersję. Apostołowie bowiem, pragnąc uchronić Jezusa i zapobiec jego ponownemu aresztowaniu i ukrzyżowaniu, postanowili nie mówić nikomu o tym, co się naprawdę wydarzyło. Tak więc Jezus mógł bezpiecznie kontynuować swoje posłannictwo jako pokorny i święty Nauczyciel, ujawniając się tylko nielicznym.

W Rzymie, jak dowiedział się Jakub, widziano często jego brata Jezusa przy bramie miejskiej wśród żebraków i chorych, niosącego im pocieszenie i

pomoc. W dziewiątym roku rządów cesarza Klaudiusza sześćdziesięciu tysiącom rzymskich Żydów nakazano wynieść się z miasta. Jezus był pośród nich. „I Pan nasz, uciekając z Rzymu wraz z uczniami, przemierzył tej nocy żyzne pola jeziora Fucinus, które zostało osuszone przez cesarza Klaudiusza i było uprawiane przez Rzymian”. Jezus miał wówczas pięćdziesiąt cztery lata. Jakub napisał:

Paweł opowiedział mi, że kiedy przybył do Koryntu i zamieszkał z Żydem noszącym imię Aquila i jego żoną Priscilla trudniącymi się rzemiosłem skórzanym, dowiedział się o ostatecznej agonii i prawdziwym zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Jezusa. Aquila i Priscilla zostali wygnani z Rzymu wraz z innymi Żydami na rozkaz cesarza Klaudiusza. Edykt cesarski zabraniał praktykowania ich zakazanej wiary na ziemi rzymskiej. Aquila i Priscilla opuścili Rzym w towarzystwie Jezusa i odbyli uciążliwą podróż na południe do portu Puteoli. W tym portowym mieście, oczekując na statek ze zbożem, który miał go zabrać do Aleksandrii i dalej do Gazy, Jezus zebrał uchodźców w dzielnicy żydowskiej i mówił do nich o zachowaniu niewzruszonej wiary w Boga i w przyszłe Królestwo Ojca i Jego Syna. I ujawnił wówczas, że to on właśnie jest Synem Bożym. W zgromadzeniu był donosiciel, który za nagrodę wynoszącą piętnaście tysięcy sestercji poinformował miejscowe władze, że Jezus złamał cesarski nakaz. W wyniku tego oddział stacjonujących w garnizonie pod miastem żołnierzy rzymskich aresztował Jezusa pod zarzutem zdrady.

Skazano go na śmierć bez procesu. Na wzniesieniu pod Puteoli został wychłostany i przywiązany do krzyża, a jego krwawiące ciało pokryto łatwo palną substancją. Żołnierze postawili krzyż, podpalili Jezusa pochodnią i odeszli. Gdy tylko zniknęli, zerwał się silny wiatr od morza i zgasił płomień pochłaniające ciało naszego Pana. Kiedy Aquila i inni przyjaciele zdjęli osmalone ciało z krzyża, Jezus był już bez życia. Jego zwłoki zostały tymczasowo złożone w jaskini, w oczekiwaniu nocy i odpowiedniego pochówku. Nocą Aquila i Priscilla wraz z siedmioma osobami przynieśli całun i maści do zabalsamowania naszego Pana, lecz zastali jaskinię pustą. Uczniowie wpadli w konsternację i pomieszanie, lecz kiedy tak się zastanawiali, co się stało z ciałem, nagle wejście do jaskini wypełniło się jasnym światłem i Jezus objawił im się w całej chwale. Skinął na nich i Aquila, i Priscilla oraz siedmiu innych świadków podążyli za nim na wierzchołek odległej góry, wznoszącej się ponad Puteoli. Później, o świtaniu, Jezus dał im swoje błogosławieństwo, po czym natychmiast wzniósł się wysoko i zniknął im z oczu w obłoku, który uniósł go ku niebiosom, a

wszyscy padli w zadziwieniu i przerażeniu na kolana, składając dzięki Ojcu i Synowi.

I tak oto brat mój Jezus wstąpił do swego Stwórcy. Aquila i Priscilla opowiedzieli o tym w Koryncie Pawłowi, który opowiedział to mnie. Nasz Pan jest teraz wyniesiony na tron w niebiosach i siedzi po prawicy Ojca.

Jakub zamyka swoją relację akcentem osobistym:

Wiara w boski cel mego brata Jezusa umacniała się we mnie z dnia na dzień, a także we wszystkich jego uczniach. Jego przesłanie zostało poniesione dalej. Ja przestrzegałem prawa żydowskiego: nie spożywałem mięsa, nie piłem wina, nosiłem tylko jedno odzienie, a moje włosy i broda pozostawały niestrzyżone. Przewodziłem także jego Kościołowi w Jerozolimie. Nowina rozpowszechniona została między Żydami w diasporze, między innymi narodami od Damaszku aż po Rzym, pośród nawróconych w Samarii, a także pomiędzy tymi z Cezarei, Efezu i Joppy, gdzie chrzczymy obrzezanych i nieobrzezanych.

Władze podejrzewają mnie, mój ziemski czas dobiega końca. Dlatego przekazuję jedną kopię tej opowieści o Jezusie Mateuszowi dla Barnaby, do wykorzystania na Cyprze, i drugą Markowi dla Piotra w Rzymie, a tę przekażę komuś innemu.

Pozdrowienie Jakuba, pisane moją własną ręką.

[Przypis: Jakub, brat Jezusa, autor tej zaginionej ewangelii, został skazany na śmierć przez najwyższego kapłana w Jerozolimie w roku sześćdziesiątym drugim. Kilka miesięcy po napisaniu przez Jakuba tego świadectwa zwolniło się stanowisko pośród panujących z powodu zmiany rzymskich prokuratorów w Judei. Najwyższy kapłan Jerozolimy, zuchwały człowiek imieniem Ananus, uzurpował sobie władzę i postanowił pozbyć się Jakuba Sprawiedliwego, przywódcy wspólnoty chrześcijańskiej w Jerozolimie, oskarżając go o bluźnierstwo. Bluźnierstwo to, jak napisał Hegesippus w drugim stuleciu, miało polegać na głoszeniu przez Jakuba, że Jezus nie umarł na krzyżu. Według historyka Józefa Flawiusza: „Ananus zebrał sędziów Sanhedrynu i przyprowadził im brata Jezusa, zwanego Chrystusem, noszącego imię Jakub, a także kilku innych. Gdy sformułował oskarżenie wobec nich jako łamiących prawo, posłał ich na ukamienowanie”. Według innych świadków, gdy przygotowywano Jakuba do egzekucji, padł na kolana i modlił się: „Błagam Cię, Panie Boże i Ojcze, wybacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią”. Pewien zaprzyjaźniony kapłan chciał zapobiec zabójstwu i zwrócił się do katów: „Przestańcie! Co czynicie? Sprawiedliwy modli się za was!”. Jednakże

jeden z nich odsunął go na bok i pałką służącą do trzepania ubrań roztrzaskał mu głowę i zabił go na miejscu].

Tak oto umarł brat Jezusa.

Jego spuścizną, sporządzoną kilka miesięcy przedtem, w roku sześćdziesiątym drugim, był właśnie ten tekst. Słowo.

[Końcowy przypis: Wszelkie rozbieżności między czterema ewangeliami kanonicznymi a Ewangelią według Jakuba wyjaśnia to, że czterej ewangeliści, pisząc swoje teksty, Marek około roku siedemdziesiątego, Mateusz około osiemdziesiątego, Łukasz w latach osiemdziesiąt—dziewięćdziesiąt i Jan w latach osiemdziesiąt pięć—dziewięćdziesiąt pięć, nie wiedzieli o drugim posłannictwie Jezusa, o jego pobycie w Rzymie i drugim ukrzyżowaniu. Niewielki krąg apostołów znających prawdę utrzymywał ją w tajemnicy, by chronić dalsze nauczanie Jezusa. Trzy kopie biografii Jezusa, napisane przez Jakuba w roku sześćdziesiątym drugim, nie stały się szerzej znane, ponieważ jedna, posłana Barnabie na Cypr, zaginęła po jego śmierci w Salaminie, kopia Piotra zaginęła, kiedy ukrzyżowano go w Rzymie w roku sześćdziesiątym czwartym, trzecią zaś była ta ukryta w Ostii. Czterej ewangeliści nie mieli więc informacji wykraczających poza ograniczone, ustne relacje o śmierci Jezusa, jego zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu pod Jerozolimą w roku trzydziestym. Pisząc swe teksty czterdzieści, a nawet sześćdziesiąt lat po tych zdarzeniach, nie wiedzieli o późniejszym okresie życia Jezusa Chrystusa. Dalszą część historii i jej dopełnienie zawierał już tylko zapis Jakuba, który pozostawał nieznanym przez dziewiętnaście stuleci, aż po dzień dzisiejszy].

I wreszcie, pomyślał Randall, odnaleziono to świadectwo. Prawda. Cała prawda. Słowo w swej pełni.

Przypomniało mu się coś jeszcze. W Ewangelii według Jana znajdowała się dziwna obietnica, która brzmiała tak: „Jest ponadto wiele innych rzeczy, których Jezus dokonał, a które, gdyby je szczegółowo opisać, to sądzę, że cały świat nie pomieściłby ksiąg, które trzeba by napisać”.

A teraz świat mieścił już w sobie wszystkie księgi, które należało napisać. Nareszcie, w jednej jedynej księdze.

Tej właśnie, która leżała przed nim i była Słowem.

To porywająca opowieść, która zapewne zelektryzuje wszystkich. Steve Randall po jej dwukrotnym przeczytaniu zdał sobie sprawę, że oto w jego rękach spoczywa zadanie przekazania tego cudownego odkrycia czekającemu na nie światu.

Z pewnością było to największe wydarzenie w historii archeologii biblijnej. Właściwie w całej historii archeologii nie było chyba w ogóle odkrycia o

podobnej wadze. Czy dorównywało mu odnalezienie starożytnej Troi Homera przez Schliemanna? Albo odkrycie przez Cartera grobu Tutenchamona? Odnalezienie kamienia z Rosetty? Odkopanie człowieka neandertalskiego, brakującego ogniwa? Nie, nic nie przewyższało odkrycia profesora Augusta Montiego w ruinach antycznej Ostii we Włoszech.

Randall myślał teraz jak człowiek reklamy i wiedział, że gdy otworzy tamę, do głowy zaczną mu napływać dziesiątki pomysłów na zaprezentowanie nowej Biblii świata. A jednak nie wiedzieć czemu, nie chciał tej tamy otworzyć. Był egoistą, wciąż pochłoniętym osobistym wstrząsem, jaki przeżył pod wpływem lektury.

Jakże zazdrościł innym, zarówno wierzącym, jak i zachwianym w swej wierze i odstępcom od niej, tym, którzy potrzebowali Słowa i z pewnością przyjmą je jeszcze bardziej emocjonalnie od niego. Jego myśl powędrowała ku bliskim — choremu ojcu, zagubionej matce, wyzbytemu złudzeń Tomowi Careyowi, nawet ku siostrze Clare. Próbował wyobrazić sobie ich reakcję na wieść o odrodzonym, nowym Chrystusie.

Natychmiast pomyślał także o Judy i o swej żonie Barbarze, o wolności, o którą go prosiła, i miłości, której tak potrzebowała, o jej nadziejach na lepsze życie dla siebie i córki.

Wstał z kanapy, przeszedł powoli do sypialni i usiadł na skraju łóżka, wpatrując się w telefon.

W Amsterdamie był późny wieczór, więc u Barbary, sześć tysięcy mil stąd na zachód, trwało wczesne popołudnie.

Przemyślał wszystko jeszcze raz. W końcu podniósł słuchawkę i zamówił międzynarodową rozmowę z Ameryką.

Połączono go po piętnastu minutach.

— Halo, czy to ty Barbaro?

— Kto mówi?

— Tu Steve. Jak się miewasz?

— Steve? Nie za dobrze cię słyszę. Skąd dzwonisz?

— Jestem w Amsterdamie.

— W Amsterdamie? Mój Boże, a cóż ty robisz... aha, rzeczywiście, wspominałeś Judy o jakimś nowym zleceniu.

— No właśnie. A tak przy okazji, co u niej?

— Dałabym ci ją do telefonu, ale nie ma jej w domu. Wszystko z nią w porządku, świetnie sobie radzi.

— Wciąż chodzi do tego psychiatry?

— Tak, spotyka się z Arthurem. I przyjęli ją z powrotem do szkoły. Chyba pisze ci o tym w liście.

— To dobrze.

— Napisała piękny list do twojego ojca. Rozmawiałam niedawno z Clare, chyba powoli mu się poprawia.

— Nie odpowiedziałas jeszcze na moje pytanie, Barbaro. Jak się miewasz?

— No... nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, Steve.

— Dobrze, ja powiem pierwszy. Przede wszystkim chciałem cię przeprosić. Jest mi cholernie przykro, że tak się zachowałem, kiedy rozmawialiśmy w Oak City.

— Nie ma sprawy. Masz swoje...

— Jest sprawa, Barbaro. Powiem ci, dlaczego dzwonię. Przemyślałem to wszystko na spokojnie, to znaczy sprawę rozwodu i to, że ci powiedziałem, iż się nigdy nie zgodzę. Teraz chcę ci powiedzieć, że moje odczucia się zmieniły. Uważam, że zasługujesz na to, by być wolną i móc wyjść za Arthura Burke'a. To jest słuszne i chcę tego dla ciebie. To właśnie... no, po prostu jesteś wolna, możesz wnieść sprawę o rozwód, a ja nie będę się sprzeciwiał.

— Steve! Ja nigdy... no, nie wiem, co mam powiedzieć. Nie mogę w to uwierzyć. Modliłam się, żebyś to zrobił dla dobra Judy.

— Nie robię tego dla dobra Judy, tylko dla twojego, Barbaro. Zasłużyłaś na trochę szczęścia.

— Cholera... Steve, zatkało mnie. Co za uczucie! Od lat nie spotkało mnie z twojej strony coś tak miłego. Prawie mogłabym powiedzieć... i powiem... że cię za to Kocham.

— Daj spokój. Za mało jest miłości na świecie, żeby ją używać na byle co. Kochaj tego gościa, za którego chcesz wyjść, i Kochaj swoją córkę, to wystarczy. I wiedz, że ja też ją Kocham.

— Steve, mój miły, pamiętaj, że Judy jest tak samo twoją córeczką jak i moją. Możesz się z nią widywać, kiedy tylko zechcesz, przyrzekam ci to.

— Dzięki. Mam nadzieję, że ona też będzie tego chciała.

— Chce, Steve. Ona cię Kocha.

— Dobra, w każdym razie jutro postaram się zadzwonić do Crawforda i powiem mu, że zgodziliśmy się co do rozwodu. Niech się skontaktuje z tobą i uzgodni z twoim prawnikiem podział majątku i co tam jeszcze trzeba.

— Nie będzie żadnych problemów, Steve. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, jak ty się czujesz.

— Jeszcze nie wiem, ale lepiej, zdecydowanie lepiej. Układam sobie różne sprawy. Może jestem głupi, że pozwalam ci odejść, ale...

— Szkoda, że nam nie wyszło, Steve.

— Mnie też szkoda, ale tak się stało i już. Dobrze, że ty wychodzisz na prostą, Barbaro. Życzę wam obu jak najlepiej. Może kiedyś tam do was zajrzę, jak będę w okolicy.

— Zawsze będziesz mile widziany, Steve.

— Nie zapomnij powiedzieć Judy, że ją kocham. I jeśli jeszcze cokolwiek z tego zostało, ciebie też.

— My też cię kochamy, Steve. Trzymaj się.

— Do widzenia.

Odłożył słuchawkę na widełki łagodnym ruchem. Czuł się... jak przyzwoity człowiek. Od dawna tak o sobie nie myślał. Odczuwał też smutek, emocję bardziej mu znajomą.

Zastanawiał się, co go popchnęło do przecięcia tych więzów. Czyżby zmieknął pod wpływem fascynującej historii o Jezusie? A może to wyrzuty sumienia sprawiły, że się poddał? Czy też podświadomie chciał to zrobić już od dawna? Nieważne, stało się i koniec.

Wtem uświadomił sobie, że nie jest sam. Podniósł wzrok i w drzwiach między salonem a sypialnią ujrzał Darlene.

Wyglądała jak zwykle atrakcyjnie, w białej przezroczystej bluzeczce z prześwitującym siatkowym biustonoszem i w obcisłej niebieskiej mini podkreślającej kształtne długie nogi. Uśmiechała się do niego szeroko. Właściwie sprawiała wrażenie bardzo uradowanej.

Potrząsnęła wesoło blond włosami i weszła do sypialni.

— Jak się czuje mój kotek? — zamruczała.

— Myślałem, że jesteś na wycieczce. — Jej obecność zaskoczyła go.

— Skończyła się, głuptasie. — Nachyliła się, pocałowała go w nos i usiadła na łóżku, tuląc się do niego. — Już prawie północ.

— Naprawdę? — Coś przemknęło mu przez głowę i spojrzał na jej uradowaną twarz. — A kiedy ty wróciłaś?

— Jakies pięć minut temu.

— Byłaś w swoim pokoju?

— Nie, siedziałam w salonie. Byłeś tak zajęty rozmową, że mnie nie usłyszałeś. — Z jej twarzy nie schodził uśmiech. — Słuchałam, nie mogłam się powstrzymać.

— To nie ma znaczenia. Powiedz, jak...

— Ależ to ma znaczenie, Steve, i to wielkie. Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa.

— Z jakiego powodu? — zapytał, zaczynając coś podejrzewać.

— To chyba oczywiste, nie? — Udawała zdumienie. — Cieszę się, że wreszcie zdobyłeś się na rozstanie z tą ropuchą. Myślałam, że już nigdy się jej nie pozbędziesz. Ale zrobiłeś to, dzięki Bogu. Jesteś wolny, absolutnie wolny, chociaż długo to trwało. — Pocałowała go w policzek. — Nareszcie możemy być razem.

— Przecież jesteśmy razem, Darlene — odrzekł ostrożnie, patrząc na nią spod oka.

— Głuptasie, przecież wiesz, o czym mówię.

— No nie bardzo. O czym właściwie mówisz, Darlene? — Odsunął się i spojrzał jej w oczy.

— O tym, że możemy wziąć ślub, już najwyższy czas — odparła. — Dopóki żona wisiała ci na szyi, nie zwracałam ci tym głowy, przyznasz chyba? Godziłam się z losem, bo chciałam być z tobą. Wiedziałam, że ożeniłbyś się ze mną, gdybyś mógł. Każda dziewczyna tego pragnie. Teraz już możesz, kochanie, i jestem tym taka podekscytowana jak nigdy. — Darlene wstała i zaczęła rozpinąć bluzkę. — Chodźmy do łóżka, Steve, trzeba to uczcić. Szkoda marnować czas.

Randall także wstał i chwycił ją za przeguby rąk.

— Nie, Darlene — powiedział.

Uśmiech spelzł z jej twarzy. Spojrzała na jego dłonie.

— Co ty robisz, Steve? Puścił jej rękę.

— Nie będziemy świętować naszego ślubu, boja nie zamierzam się z nikim żenić, w każdym razie nie teraz.

— Nie zamierzasz? Żartujesz, prawda?

— Darlene, przypomnij sobie. Małżeństwo nigdy nie było częścią naszego układu. Czy kiedykolwiek obiecywałem ci ożenek? Od początku stawiałem sprawę jasno: jeżeli chcesz ze mną mieszkać, to świetnie, super. Możemy być razem i dobrze się bawić. Nigdy nie mówiłem o niczym więcej.

Darlene zmarszczyła gładkie czoło.

— Tak było kiedyś — stwierdziła — bo byłeś związany z inną kobietą. To znaczy... no, ja rozumiałam, że tak musi być. Ale mówiłeś, że mnie kochasz, i wierzyłam w to. Myślałam, że jak się rozwiedziesz, będziesz chciał być ze mną. To znaczy, tak na poważnie. — Usiłowała nie tracić dobrego humoru. — Posłuchaj, Steve, może nam być świetnie razem. Już jest świetnie, a może być dziesięć razy lepiej. Słyszałam, co mówiłeś przez telefon o swojej córce. To dobrze, że się o nią troszczysz, ale ona dorasta i niedługo odejdzie z twojego życia, tak czy inaczej. A ty nie będziesz się musiał tym martwić, bo będziesz miał mnie. Mam dwadzieścia cztery lata i chętnie dam ci tyle dzieci, ile

będziesz chciał. Pigułki za okno, robimy córeczki i synków, i jeszcze mamy z tego uciechę, czyż to nie piękne? Możesz zacząć wszystko od początku, Steve.

Randall przestępował skrepowany z nogi na nogę, wpatrując się w dywan.

— Możesz w to wierzyć albo nie, Darlene — rzekł cicho — ale ja nie chcę zaczynać od nowa. Mam pewne plany na przyszłość, lecz nie obejmują małżeństwa.

— Chcesz powiedzieć małżeństwa ze mną. — Jej głos nabierał ostrości, rysy twarzy stężały. — Uważasz, że zasługujesz na kogoś lepszego — ciągnęła. — Uważasz, że ja się nie nadaję na twoją żonę.

— Nigdy tego nie powiedziałem, bo to nieprawda. Wyjaśnię ci inaczej. Taki układ bez komplikacji, jaki mieliśmy dotąd, to jedno, a małżeństwo to coś całkiem innego. Wiem co nieco na ten temat, już próbowałem. My na dłuższą metę nie nadajemy się do poważnego związku. Przede wszystkim ja się nie nadaję. Jestem dla ciebie za stary, a ty zamłoda dla mnie. Nie mamy właściwie wspólnych zainteresowań. I jeszcze sto innych rzeczy. Nic by z tego nie wyszło.

— Pieprzenie — wypaliła Darlene. Była zła i okazywała to, po raz pierwszy odważyła się na takie zachowanie wobec niego. — Nie oszukuj mnie, Steve, tak jak oszukujesz wszystkich innych. Widzę cię na wskroś, jest tak, jak powiedziałam. Uważasz, że jesteś za świetny dla takiej dziewczyny jak ja. Coś ci powiem. Wielu mężczyzn błagałoby mnie na kolanach, żebym za nich wyszła. Wielu już to robiło. Kiedy Roy pojawił się na statku... Roy Ingram, pamiętasz?... przyjechał aż z Kansas City specjalnie po to, żeby mnie prosić o rękę. Dobrze o tym wiesz i wiesz, że go odrzuciłam, bo byłam lojalna wobec ciebie. Skoro jestem dobra dla Roya, to dlaczego nie dla ciebie?

— Do diabła, to nie ma z tym nic wspólnego! Ile razy mam to powtarzać? Albo ktoś do kogoś pasuje, albo nie, i tylko o to chodzi. Ja do ciebie nie pasuję, ale może Roy tak. Ty nie pasujesz do mnie, ale może będziesz pasowała do Roya.

— Może nawet zamierzam to sprawdzić — odparła, zapinając bluzkę. — Może faktycznie sprawdzę, czy Roy nie byłby dla mnie odpowiedniej szy.

— Zrób, jak uważasz, Darlene. Ja nie będę ci stał na drodze. Spoglądała mu twardo w oczy.

— Daję ci ostatnią szansę, Steve. Mam dość kurwienia się z tobą jestem przyzwoitą dziewczyną i chcę być traktowana z szacunkiem. Jeżeli jesteś gotów zachować się jak należy, zostanę. Jeżeli nie, odchodzę w tym

momencie, lecę pierwszym samolotem do domu i nigdy nie wrócę. Nigdy już mnie nie zobaczysz. Twoja decyzja.

Korciło go, żeby zerwać z niej ubranie, rzucić na łóżko i pieprzyć, aż dym jej pójdzie uszami. Pragnął jej. I nie chciał zostać sam. Ale pohamował się. Cena, jaką wyznaczyła Darlene, była za wysoka. Kolejne beznadziejne małżeństwo. Nie potrafił sobie tego wyobrazić, szczególnie teraz, kiedy odnajdywał drogę, która miała go poprowadzić do lepszego życia. Darlene nie była tą drogą, była ślepą uliczką. Co gorsza, widząc ją taką, jaka była, widząc tę młodą kobietę stojącą u progu życia, wiedział, że zniszczyłby to życie przez brak miłości i porozumienia. Związani małżeństwem, staliby się ofiarami: on samobójstwa, a ona morderstwa. Nie mógł do tego dopuścić.

— Przykro mi, Darlene — rzekł. — Nie mogę iść za twoją myślą.

Jej twarz zniekształciła maska gniewu.

— Więc dobrze, ty podły sukinsynu, już nigdy tego ze mną nie zrobisz! Idę się pakować, a ty możesz mi zarezerwować lot. I zapłacić za bilet. Powiedz im, że rano odbiorę bilet w kasie.

Randall wyszedł za nią do przedpokoju.

— Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? — zapytał bez przekonania.

Odwróciła się raptownie.

— Jestem pewna, że chcę bilet na samolot do Kansas City, w jedną stronę, rozumiesz? I nigdy, przenigdy już się do mnie nie zbliżaj!

Wybiegła z apartamentu, trzaskając drzwiami. Randall po chwili zaczął sobie robić mocnego drinka, zamierzając sprawdzić, czy uda mu się jeszcze popracować tej nocy.

Godzinę i trzy drinki później był tak pochłonięty przeglądaniem materiałów, że nawet nie zdążył się nad sobą poużalać. Przejrzał teczki z wywiadami i materiałami biograficznymi o profesorze Bernardzie Jeffriesie, specjalście od tłumaczeń, analizy tekstów i papirologii, o profesorze Henrim Aubercie, ekspercie od datowania metodą węgla radioaktywnego, o Karlu Hennigu, wydawcy i drukarzu. Ostatnią teczkę odłożył, postanowił najpierw przejrzeć ponownie Pergamin Petroniusza i Ewangelię według Jakuba. Przeczytał oba teksty z takim samym dreszczykiem emocji jak poprzednio i teraz chciał się czegoś dowiedzieć o ich odkrywcy.

Otworzył teczkę z materiałami opisującymi archeologa, profesora Augusta Montiego. Wewnątrz, ku jego rozczarowaniu, znajdowało się tylko pięć spiętych spinaczem kartek maszynopisu. Przeczytał je szybko.

Był tam zupełnie bezbarwny życiorys profesora. Sześćdziesiąt cztery lata. Wdowiec. Dwie córki, Angela i Claretta, ta druga już zamężna. Kariera

naukowa, stanowiska, nagrody. Obecnie dyrektor Istituto di Archeologia Cristiana, wykładowca archeologii na Uniwersytecie Rzymskim. Lista wykopalisk, w których uczestniczył lub które nadzorował we Włoszech i na Bliskim Wschodzie. Na koniec dwie strony pełne specjalistycznych, archeologicznych terminów na temat znaleziska w Ostii przed sześciu laty. I tyle. To miał być materiał reklamowy?

Randall nie wierzył własnym oczom. Profesor Monti dokonał najdonioślejszego odkrycia w historii świata, a informacje na jego temat były mniej więcej tak samo ekscytujące jak rozkład jazdy pociągów.

Poirytowany dopił szkocką i sięgnął po telefon.

Była pierwsza w nocy, ale powiedziano mu, że Wheeler zawsze pracuje do późna. Zamierzał z nim porozmawiać, nawet gdyby miał go obudzić. Postać Montiego była kluczowa w promocji Międzynarodowego Nowego Testamentu. Randall chciał znać przyczynę braku informacji i postarać się natychmiast o jak najwięcej szczegółów.

Zadzwoił do apartamentu Wheelera. W słuchawce rozległ się kobiecy głos. Była to Naomi Dunn.

— Mówi Steve — powiedział. — Chciałbym rozmawiać z George'em Wheelerem.

— Wheeler wyjechał z miasta — usłyszał. — Porządkuję papiery w jego pokoju. Mogę ci w czymś pomóc, Steve?

— Może i tak. Przeczytałem po raz pierwszy teksty Jakuba i Petroniusza w całości. Niesamowite. Jestem wstrząśnięty do głębi.

— Spodziewałam się tego.

— Tak mnie poruszyło to odkrycie — ciągnął Randall — że chciałem się też czegoś dowiedzieć o geniuszu, który tego dokonał, o profesorze Montim. Dostałem materiały na jego temat i właśnie je przejrzałem. Strasznie to kiepskie, suche i bezbarwne. Nie wiadomo, jak wpadł na trop tych znalezisk, właściwie to jest wielkie nic.

— Pan Wheeler i signor Gayda na pewno mogą ci dostarczyć...

— To nie wystarczy, Naomi. Ja potrzebuję jakiejś osobistej relacji, czegoś z sercem, z ikrą. Skąd wiedział, gdzie kopać, i czego właściwie tam szukał. Jak się czuł, kiedy znalazł to, co znalazł. Nie chodzi tylko o to, co zrobił, ale też co myślał przed odkryciem, w trakcie pracy i po dotarciu do znaleziska. Przecież to fantastyczna historia, nie możemy jej skopać.

— Masz rację — odparła Naomi. — Więc co zrobimy?

— Przede wszystkim, czy ktoś w ogóle przeprowadził z Montim jakąś osobistą rozmowę?

— Niech pomyślę. Na samym początku niektórzy z wydawców, a potem cała piątka spotkali się z nim kilkakrotnie w Rzymie, kiedy otrzymali prawa do pergaminu i papirusu od rządu włoskiego. Potem nie mieli już powodu się z nim spotykać. Ale pamiętam coś jeszcze. Kiedy zbieraliśmy zespół do akcji reklamowej, jeszcze zanim złożyliśmy ci propozycję, jedna z dziewczyn z twojej ekipy, Jessica Taylor, chciała porozmawiać z Montim i zdobyć więcej materiału. Później jeszcze Edlund próbował się z nim umówić w Rzymie, żeby porobić zdjęcia. Obojgu się nie powiodło, za każdym razem Monti w imieniu rządu włoskiego wizytował wykopaliska w jakimś trudno dostępnym, odległym terenie. Któraś z córek obiecała Jessice, a potem też Edlundowi, że da znać, jak tylko ojciec wróci do Rzymu. Ale już się nie odezwała.

— Kiedy to było?

— Ze trzy miesiące temu.

— No to profesor chyba już wrócił? Muszę się z nim zobaczyć, czas nam się kurczy. Naomi, czy mogłabyś zadzwonić do Rzymu i umówić mnie na spotkanie, powiedzmy, na pojutrze? Nie, czekaj, to będzie niedziela. W takim razie na poniedziałek. Jeżeli go nie będzie, powiedz córce czy komu tam, że i tak pojedę i znajdę go, gdziekolwiek teraz jest. Żadne „później” nie wchodzi w grę.

— Załatwione, Steve.

Poczuł się nagle zmęczony i bez życia.

— Dzięki, Naomi. A skoro już się tym zajmiesz, to umów mnie przy okazji z Aubertem w Paryżu i z Hennigiem w Moguncji, dobrze? Muszę się jak najszybciej zobaczyć ze wszystkimi szefami projektu. Znajdę na to czas, będę pracował wieczorami. Poza tym chciałbym mieć teraz jak najwięcej zajęć.

Po drugiej stronie nastąpił moment ciszy, a potem Naomi odezwała się mniej bezosobowym tonem.

— Czyżbym wyczuła nutkę... litości nad samym sobą w twoim głosie, Steve?

— Pewnie tak, Naomi. W końcu mnie to dopadło. Piję szkocką i trochę się nad sobą użalam. Chyba... sam nie wiem, ale chyba jeszcze nigdy nie czułem się taki samotny jak dzisiaj.

— A ja myślałam, że Petroniusz i Jakub pochłonęli cię bez reszty. To całkiem dobrzy przyjaciele, Steve.

— Wiem, Naomi, już mi pomogli. Ale muszę im poświęcić więcej czasu.

— A co z Darlene?

— Zerwaliśmy ze sobą. Wraca do Ameryki, to już postanowione.

— Rozumiem. — Zanim Naomi znów przemówiła, nastąpiła długa chwila milczenia. — Wiesz co, Steve, nie znoś, kiedy ktoś się czuje samotny. Wiem, jak to jest. Sama sobie z tym radzę, ale jakoś mnie przygnębia, gdy innym się to przytrafia. Szczególnie tym, których lubię. — Umilkła ponownie, po czym dodała: — Potrzebujesz towarzystwa, Steve? Jeżeli chcesz, mogę zostać u ciebie na noc.

— Tak, to by mi pomogło.

— Tylko dzisiaj i już nigdy więcej. I tylko dlatego, że nie chcę, żebyś był sam.

— Przyjdź, Naomi.

— Przyjdę. Ale tylko dlatego, że nie chcę, żebyś był sam.

— Będę czekał.

Odłożył słuchawkę i zaczął się rozbierać. Sam nie wiedział, dlaczego to robi. Nie zamierzał jej tego mówić, ale kochanie się z Naomi niewiele się różniło od samotności.

A jednak potrzebował kogoś, kogokolwiek i czegokolwiek, tylko na teraz, na to krótkie teraz, zanim się zbliży do Słowa w całej jego krasie i mocy. Zanim pozna jego odkrywcę w Rzymie.

ROZDZIAŁ 5

Termin spotkania Randalla z profesorem Montim udało się ustalić na poniedziałkowe przedpołudnie, tyle że nie w Rzymie, lecz w Mediolanie.

Trzy dni wcześniej w Amsterdamie obudziły Randalla odgłosy krzątania Naomi, która dość wcześnie ubrała się i wyszła z apartamentu. Pamiętając, ile ma do zrobienia, on także się nie wylegiwał. Po lekkim śniadaniu najpierw udał się do Darlene. Ponieważ drzwi do jej pokoju były zamknięte na głucho, z aktówką w ręce zszedł do holu hotelowego, żeby zarezerwować dla niej bilet na lot z Amsterdamu do Kansas City. Zostawił też w recepcji pożegnalny liścik i pieniądze na dodatkowe wydatki.

Następnie, chociaż różnica czasu oznaczała, że zbudzi swego prawnika w środku nocy, zamówił rozmowę z Thadem Crawfordem. Rozmawiali długo. Randall powtórzył mu rozmowę z żoną. Crawford z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że jego szef nie zamierza się sprzeciwić rozwodowi. Omówili warunki rozsądnej ugody, a potem przeszli do sprawy kontraktu z Cosmos Enterprises. Po uzgodnieniu z Ogdenem Towerym różnych kompromisowych rozwiązań, wkrótce miał powstać ostateczny kształt umowy. Co do niezręcznej sytuacji z odrzuceniem zlecenia Raker Institute, to z Jimem McLoughlinem nie było kontaktu i nikt nie wiedział, gdzie on przebywa.

O dziesiątej rano Randall wszedł do swego biura w Krasnapolskim, z cenną aktówką pod pachą. Tym razem nie próbował spacerów po Amsterdamie, lecz kazał kierowcy wieźć się pod samo wejście do Krasa. Wczorajsza napaść nie dawała mu spokoju, wezwał nawet sekretarkę, żeby podyktować jej raport dla ochrony. Lori Cook opisywała szczegóły zdarzenia z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Poleciał jej dostarczyć raport Helderlingowi, a kopie pięciu wydawcom.

Zgodnie z obietnicą miał zamiar udać się do profesora Deichhardta, aby zwrócić korektorskie wydruki Międzynarodowego Nowego Testamentu. Gdy wychodził z gabinetu, zadzwoniła Naomi. Chciała się z nim natychmiast zobaczyć w sprawie spotkań z Montim, Aubertem i Hennigiem.

Randall wezwał więc znowu Lori i wręczył jej odbitki szrotkowe.

— Włóż to do szarej koperty — polecił — i przekaz profesorowi Deichhardtowi do rąk własnych, nie zostawiaj u sekretarki. I uważaj, żeby cię ktoś nie porwał.

Lori wyszła, kulejąc, z pokoju, a po chwili zjawiała się Naomi z notatkami w ręce.

Spotkania Randalla z Aubertem w Paryżu i z Hennigiem w Moguncji udało się zaaranżować bez kłopotów.

— Ale ci Monti to dziwni ludzie — powiedziała Naomi. — Rozmawiałam z Angela, córką profesora, jest chyba także jego sekretarką. Przyznała, że wrócił już do Włoch, ale jest teraz tak zajęty, że nie będzie mógł się spotkać z nikim z zespołu Drugiego Zmartwychwstania. Nie pozwoliłam się spławić. Powiedziałam jej o tobie, Steve, i o tym, że uważasz profesora Montiego za najważniejszą osobę w kampanii reklamowej, lansującej nową Biblię. Nawet skłamałam, że wydajemy ją już wkrótce, więc czas jest coraz bardziej cenny. Ponieważ dalej próbowała przesunąć spotkanie na jakiś nieokreślony termin, zagroziłam jej, że przyjedziesz do Rzymu i będziesz obozował pod jego domem, dopóki z tobą nie porozmawia. To zadziałało. Skapitulowała i obiecała, że jej ojciec spotka się z tobą, tyle że nie w Rzymie. Pojechał właśnie samochodem do Mediolanu w jakiejś prywatnej sprawie, ale znajdzie dla ciebie czas w poniedziałek rano. Powiedziałam jej, że zatrzymasz się w hotelu Principe di Savoia, i umówiliśmy się, że profesor Monti zjawi się tam u ciebie w poniedziałek o jedenastej.

I tak Steve Randall znalazł się w niewielkim saloniku apartamentu siedemset pięćdziesiąt siedem w eleganckim hotelu w Mediolanie. Była za pięć jedenasta.

Wyjął z walizki miniaturowy dyktafon, sprawdził, czy działa, położył go na telewizorze i podszedł do okna. Spoglądał na Piazza della Repubblica, z trawnikami i drzewami, niemal wyludniony w porannym skwarze. Myślał o tym, jakie pytania zada profesorowi Montiemu. Miał nadzieję, że archeolog okaże się ciekawym rozmówcą, a jego angielski będzie zrozumiały.

Szybkie i ostre pukanie wyrwało go z zadumy. Profesor Monti przybył punktualnie. To dobry znak, pomyślał Randall. Podszedł do drzwi, otworzył je, zdecydowany powitać archeologa ciepło i serdecznie, i natychmiast opadła mu szczęka.

W progu stała młoda kobieta.

— Czy pan Steven Randall z zespołu Drugiego Zmartwychwstania? — zapytała z niemal brytyjskim akcentem.

— Tak, to ja — odparł zdezorientowany.

— Jestem Angela Monti, córka profesora Montiego.

— Ale ja miałem się spotkać...

— Wiem. Miał się pan spotkać z moim ojcem. Jest pan zaskoczony i rozczarowany. — Uśmiechnęła się. — Proszę się nie zniechęcać, zaraz

wszystko panu wyjaśnię, jeśli pan pozwoli. Pomogę też panu w zastępstwie ojca, jeśli się pan zgodzi. — Spojrzała w głąb pokoju. — Czy mogę wejść?

— Oczywiście, proszę mi wybaczyć — odrzekł zmieszany. — Proszę, niech pani wejdzie. Obawiam się, że na chwilę straciłem rezon.

— To zrozumiałe — stwierdziła, wchodząc do salonu. — Ojciec prosi o wybaczenie, że nie mógł się zjawić osobiście. Jednakże nie miał wpływu na okoliczności, jak zaraz to panu wyjaśnię.

Randall zamknął drzwi i przeszedł za nią na środek pokoju. Odwróciła się z wdziękiem, przyglądając się otoczeniu i mierząc go szczerze rozbawionym spojrzeniem.

— Przynajmniej ma pan tu klimatyzację—powiedziała. — Nie będzie się pan tak gorączkował. Ale poważnie mówiąc, to wielka ulga, bo na dworze jest prawie trzydzieści stopni. Wprawdzie jeszcze się człowiek nie rozpuszcza, ale duchota jest okropna.

Zaskoczenie i rozczarowanie, a także złość na profesora Montiego za niedotrzymanie obietnicy topniały w szybkim tempie, gdy Randall przyglądał się swemu gościowi.

Angela Monti była kobietą, której widok dosłownie zapierał dech w piersiach.

Mogła mieć metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Była w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, a oczy skryła pod wielkimi okularami przeciwsłonecznymi. Miała na sobie głęboko wyciętą, żółtą jedwabną bluzkę, spod której wyłaniał się biustonosz, nie całkiem mieszczący jej prowokacyjnie wyprężone piersi. Szeroki skórzany pasek okalał wąską talię, a rdzawa letnia spódniczka podkreślała zmysłową krągłość bioder.

Gdy odkładała na krzesło brązową torebkę, z pewnością od Gucciego, i zdejmowała kapelusz i okulary, nie mógł oderwać od niej wzroku. Ostrzyżone na pazia włosy były miękkie i kruczoczarne, migdałowe oczy w kolorze nefrytu, szeroki u nasady nos miał delikatne nozdrza, wydatne karminowe usta były wilgotne, a pod jedną z wysokich kości policzkowych miała pieprzyk. Na złotym łańcuszku wisiał na jej szyi krzyżyk, spoczywający w zagłębieniu między piersiami.

— Jest pan zły, że to ja przyszedłam zamiast ojca? — zapytała, świadoma jego spojrzenia.

— Nie, oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc, podziwiałem panią. Czy jest pani modelką albo aktorką?

— Dziękuję za miłe słowa — odparła bez skrepowania. — Jestem na to zbyt poważna. — Zmierzyła go spojrzeniem. — Inaczej sobie pana wyobrażałam.

— A czego się pani spodziewała?

— Powiedziano mi tylko, że jest pan słynnym specem od reklamy z Ameryki i będzie pan kierował kampanią promocyjną nowej Biblii. Chyba wszyscy za bardzo hołdujemy stereotypom. Mnie słowo reklama zawsze się kojarzyło z wielką trąbą... chciałam powiedzieć tubą... która robi mnóstwo hałasu. Nie spodziewałam się zobaczyć kogoś tak powściągliwego, o takim... jakby to ująć... amerykańskim wyglądzie... brązowe włosy i oczy, barczysty... a jednocześnie tak wyrafinowanego.

Próbuje mnie urabiać, pomyślał Randall, albo jest taka prostolinijna. Wszystko jedno, podoba mi się to.

— Może usiadzimy — zaproponował i oboje usadowili się na kanapie. — Proszę mi wierzyć, że pani obecność jest dla mnie miła, panno Monti...

— Angela — poprawiła go.

— Dobrze, w takim razie proszę mi mówić Steve.

— Dobrze, Steve — odparła z uśmiechem.

— Moim problemem jest presja czasu — powiedział Randall. — Zatrudniono mnie bardzo późno. To niesamowite przedsięwzięcie i zasługuje na wyjątkową kampanię reklamową, być może na najlepszą i największą w historii. Nie uda się ona bez ścisłej współpracy wszystkich zainteresowanych. W moim przekonaniu właśnie rola profesora Montiego w całej tej historii jest najbardziej dramatyczna i ekscytująca, dlatego zasługuje na szczególne uwypuklenie. Moi pracownicy próbowali się skontaktować z pani ojcem, lecz bez powodzenia. Teraz z kolei mnie spotkało to samo. Czy może mi pani wytłumaczyć, o co właściwie chodzi?

— Oczywiście — odparła. — Wyjaśnię to panu, niczego nie ukrywając. Przyczyną jest polityka, zazdrość i rywalizacja w rzymskim środowisku archeologicznym. Kiedy mój ojciec postanowił rozpocząć wykopaliska w Ostii, musiał uzyskać pozwolenie regionalnego inspektora archeologicznego. Był nim wówczas, przed siedmioma laty, doktor Fernando Tura, który ostatnio awansował. Ten człowiek zawsze rywalizował z moim ojcem, uważał, że poglądy ojca na temat archeologii biblijnej są zbyt radykalne. A procedura była taka, że to on musiał wyrazić zgodę na wysłanie wniosku ojca do Komisji Zabytków i Sztuk Pięknych w Rzymie, która, jeśli uzna wniosek za zasadny, przekazuje go Generalnemu Konserwatorowi Zabytków. To właśnie on wydaje formalne zezwolenie. Tura jednak robił trudności...

— To znaczy, że odrzucił wniosek pani ojca przed siedmiu laty?

— Przed wszystkim wyśmiał teorię ojca, że można tutaj, we Włoszech, odnaleźć jakikolwiek wartościowy rękopis sprzed czasów Marka czy Mateusza. Nie tylko wyśmiał, lecz opóźniał sprawę i szerzył kłamliwą opinię o ojcu w kręgach urzędowych. Takie drobiazgi nie mogły jednak powstrzymać ojca. Zwrócił się nieoficjalną drogą do swego przyjaciela w Komisji Zabytków, a ten mimo wściekłości Tury doprowadził do przekazania wniosku wyżej, gdzie został zaaprobowany. Potem, kiedy ojciec odkrył znalezisko i okazało się autentyczne, Tura wprost wychodził ze skóry z zazdrości i gniewu. Usiłował usunąć ojca w cień, aby nie dopuścić do wiązania z jego osobą jakichkolwiek zasług. Zaczął je wręcz przypisywać sobie, rozgłaszając, że to on, Tura, był geniuszem, który kazał profesorowi Montiemu kopać w Ostii. Mój ojciec był w jego opinii tylko kimś, kto trzymał łopatę. Tura spowodował, że Ministerstwo Nauki wysłało ojca za granicę, żeby nadzorował wykopaliska w różnych odległych miejscach.

— Czy ministerstwo w ogóle miało prawo cokolwiek mu nakazywać? — zapytał Randall.

— Właściwie nie — odparła Angela — ale wie pan, jak to jest w życiu. Tylko ci, którzy stanowią prawo, mogą bezpiecznie je łamać. To przywilej każdej władzy. Tura przekonał swoich znajomych w ministerstwie, że najlepiej będzie wysłać jego kolegę, profesora Montiego, za granicę. Oczywiście nikt nie może posłać gdzieś archeologa wbrew jego woli. Archeolodzy sami sobie wybierają wykopaliska. Memu ojcu dano do zrozumienia, że jeśli się nie podporządkuje, może stracić katedrę na Uniwersytecie Rzymskim. Mamy wprawdzie skromny spadek po matce, lecz ojciec zawsze się upierał, że należy on do Claretty, mojej starszej siostry, i do mnie, a jego własne dochody są niewielkie. Musiał więc zrobić, co mu kazano, żeby utrzymać posadę i pensję profesora.

— Sądziłem, że profesor zarobił jakieś pieniądze na swoim odkryciu? — zdziwił się Randall.

— Wszystkie odkrycia archeologiczne są własnością rządu włoskiego — odparła Angela. — Ojciec otrzymał pewien procent z sumy wpłaconej przez wydawców rządowi za prawa do wykorzystania odnalezionych tekstów. Ale od razu wydał te pieniądze, ponieważ zadłużył się bardzo, i to na lichwiarski procent, by móc prowadzić tak długotrwałe wykopaliska. Nie miał wyjścia. Kiedy panna Taylor, a potem pan Edlund z pańskiego zespołu chcieli się z nim zobaczyć, penetrował okolice Pelli... to tam uciekli starożytni ebionicy po pierwszej rebelii Żydów w Jerozolimie... pod kątem przyszłych wykopalisk.

Gdy ojciec wraca do Rzymu po każdym takim wyjeździe, ostrzega się go, żeby się nie wypowiadał na potrzeby reklamowe czy komercyjne, pod groźbą utraty pracy.

Randalla nie zadowolilo to wytłumaczenie.

— A co się stało dzisiaj? — zapytał. — Profesor był już w drodze do Mediolanu, przecież zgodził się ze mną spotkać.

— Zgodził się, bo udało mi się go przekonać, że kiedy zyska należy mu rozgłos, ludzie z ministerstwa już nie będą mogli mu zaszkodzić. Jakimś sposobem jednak, nie wiem jakim, doktor Tura dowiedział się, że ojciec jedzie na spotkanie z tobą, Steve. Tura dopadł go we Florencji i polecił natychmiast wracać do Rzymu. Ojciec bał się sprzeciwić. Wrócił do Rzymu i jutro leci do Egiptu. Dla mnie to była kropla, która przepełniła czarę, i postanowiłam spotkać się z tobą. Wiem wszystko to, co on wie, i mogę służyć pomocą. Chcę doprowadzić do tego, żeby wreszcie zyskał międzynarodowe uznanie, na jakie zasługuje. Wówczas stanie się silniejszy od tych zazdrosnych polityków w Rzymie, którzy zmuszają go do milczenia i zastraszają. Dlatego tu jestem i deklaruję gotowość współpracy.

Randall wstał i wziął do ręki dyktafon.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, Angelo — powiedział. — Potrzebuję cię. Będę miał mnóstwo pytań.

— Odpowiem na wszystkie. Możesz śmiało nagrywać.

— Pytanie pierwsze. Czy zjesz ze mną lunch? Wybuchnęła śmiechem. Była jeszcze piękniejsza, niż sądził.

— Jesteś czarujący, Steve. Oczywiście, że chętnie zjem z tobą lunch. Porządnie zgłodniałam.

— Zarezerwowałam stolik w restauracji na dole, ale skoro to ty przyszłaś zamiast ojca, może wolałabyś jakieś ciekawsze miejsce. Nie znam Mediolanu, czy masz tu ulubioną restaurację?

— Nie byłeś jeszcze nigdy w Mediolanie? W takim razie zabiorę cię do Galleria.

— Dokąd?

— Do Galleria Vittorio Emanuele. To najwspanialszy pasaż handlowy na świecie, szalony, niezwykły i romantyczny. Chodź, przekonasz się.

Wzięła go za rękę naturalnym gestem, a dotyk jej dłoni i bliskość natychmiast przejęły go dreszczem podniecenia.

— Czy w tym miejscu, do którego idziemy — zdołał wykrztusić — będziemy mogli nagrywać rozmowę? Musimy to zrobić.

— Ależ oczywiście — odparła wesoło. — Jesteśmy w Mediolanie, a nie w Rzymie. Tutaj jest tak: najpierw interesy, potem przyjemności. Nie bój się, nie będę cię uwodzić. — Ścisnęła delikatnie jego palce. — Przynajmniej na razie — dorzuciła lekko.

Na ulicy wsiedli do jej ferrari i po chwili byli już na Piazza della Repubblica, gdzie, jak wyjaśniła Angela, „powiesili Mussoliniego i Klarę Petacci”. Skręcili w szeroką Via Filippa Turati.

Randall chciał wiedzieć o dziewczynie jak najwięcej, a ona chętnie mówiła o sobie. Podczas jazdy opowiedziała mu krótko o swoim życiu. Miała piętnaście lat, gdy zmarła jej matka, pół Włoszka, pół Angielka. Angela studiowała na uniwersytecie w Padwie, a także przez dwa lata w Londynie. Zrobiła dyplom ze sztuki greckiej i rzymskiej. Jej starsza o pięć lat siostra Claretta mieszka z mężem i dwiema córkami w Neapolu. Angela była raz zaręczona. „Nic z tego nie wyszło — stwierdziła. — On był zepsuty i arogancki jak typowy Włoch, a ja jestem zbyt niezależna, żeby stać się osobą drugiej kategorii, cieniem mężczyzny”. Większość czasu poświęcała na pomoc ojcu, redagując jego prace naukowe i prowadząc dom w Rzymie, a poza tym dwa razy w tygodniu uczyła historii sztuki włoskiej w prywatnej szkole dla cudzoziemców. Niedawno skończyła dwadzieścia sześć lat.

Angela także chciała się czegoś dowiedzieć o Randallu, on jednak był powściągliwy. Wspomnił jej o swojej młodości na amerykańskim Środkowym Zachodzie i o chorobie ojca, ujawnił co nieco o pracy w reklamie w Nowym Jorku i tamtejszym życiu, napomknął o Barbarze i Judy, i o swej zgodzie na rozwód. O Darlene w ogóle nie wspomniął.

Angela słuchała uważnie i nie przerywała mu. W końcu zapytała:

— Czy mogę wiedzieć, ile masz lat, Steve?

Zawahał się, nieskory do ujawnienia, że jest od niej dwanaście lat starszy.

— Trzydzieści osiem — powiedział w końcu.

— Jesteś bardzo młody jak na człowieka sukcesu.

— Sukcesu w interesach, powinnaś dodać — odparł. Spostrzegł, że to umniejszanie swoich osiągnięć nie zostało przez nią niezauważone.

Angela pokazała za okno.

— Teatro della Scala, najświetniejsza opera na świecie. Budynek opery okazał się rozczarowaniem, był całkiem pospolity.

— Nie podoba ci się? — spytała. — Z La Scala jest tak jak z ludźmi, nie powinno się ich oceniać na podstawie wyglądu. Wszystko ważne jest w środku. Trzy tysiące miejsc. Idealna akustyka. Doskonała muzyka... Jesteśmy na Piazza della Scala, spróbuję gdzieś zaparkować.

Zaparkowała, zamknęła samochód i poprowadziła go do Galleria Vittorio Emmanuele.

— Jeżeli jesteś choć trochę taki jak ja, nie uwierzysz własnym oczom — powiedziała przed wejściem.

Weszli i Randall uznał, że jest taki jak ona, nie wierzył bowiem własnym oczom.

Galeria przypominała miniaturowe miasto w mieście. Pod ogromną przeszkloną kopułą, największym świetlikiem, jaki widział w życiu, biegły niekończące się rzędy sklepów. Zaraz po prawej miał dużą księgarnię Rizzollego, a po lewej butiki, biura podróży i dzienny hotel dla przyjezdnych biznesmenów. Były tu restauracje i trattorie pełne dobrze ubranych włoskich dżentelmenów i modnych kobiet, jedzących, pijących, rozmawiających, a tu i ówdzie pograżonych w lekturze popularnego mediolańskiego dziennika „Corriere della Sera”.

— Większość zaczyna od terza pagina, trzeciej strony, z informacjami kulturalnymi i recenzjami — wyjaśniła Angela. — Gazeta ma sześciuset korespondentów w całych Włoszech i dwudziestu sześciu za granicą. To największy dziennik ogólnokrajowy, ważny również dla twojej pracy.

— Wiem — odrzekł Randall. — Mamy ją w spisie, obok «L'Osservatore Romano», „La Stampa”, „Il Messaggero” i waszej Agenzia Nazionale Stampa Associata.

— I we wszystkich chcesz zamieścić reklamy Międzynarodowego Nowego Testamentu?

— A także historię profesora Montiego i jego odkrycia, jeżeli będziesz ze mną współpracować.

— Będę — odparła. — Przejdźmy na drugi koniec pasażu. Okazało się, że z przeciwległego wejścia widać było Duomo, katedrę mediolańską, czwartą co do wielkości na świecie, zdobioną dzwonniami i wieżami, stu trzydziestoma pięcioma delikatnymi pinaklami i dwoma setkami posągów świętych.

— Teraz już możemy jeść i rozmawiać — powiedziała, prowadząc go z powrotem do pasażu.

— Zawsze myślałem, że Mediolan to takie małe romantyczne, goniące za pieniędzmi miasto — wyznał Randall. — Nie spodziewałem się czegoś takiego.

— Czy czytałeś Henriego Beyle'a, Stendhala? — zapytała Angela.

— To jeden z moich ulubionych pisarzy — odrzekł. — Może dlatego, że był tak samo introwertyczny i zajęty analizowaniem własnego ego jak ja.

— Stendhal przyjechał tutaj, a potem kazał sobie wyryć na nagrobku napis: „Henri Beyle, Milanais”, mediolańczyk. Ja w sercu jestem rzymianką, ale rozumiem go.

Doszli do skrzyżowania dwóch głównych ciągów, skąpanych w słońcu przefiltrowanym przez kopułę.

Angela wybrała Caffé Biffi i znaleźli stolik na zewnątrz, trochę odizolowany od innych. Randall zaufał jej w wyborze menu na lunch. Zamówiła risotto milanese, ryż gotowany w rosole, zaprawiony masłem i szafranem, oraz osso buco, duszoną giez cielecą, a po zastanowieniu się nad dwoma winami, zdecydowała się na Valtellina, czerwone wino z regionu Sondrino.

Randall wcale nie miał ochoty na służbową rozmowę, wiedział jednak, że nie ma wyjścia. Postawił na stoliku dyktafon, nacisnął start i powiedział:

— Angelo, porozmawiajmy teraz o twoim ojcu, profesorze Montim. Opowiedz mi wszystko, co ci przyjdzie do głowy, a zacznijmy od tego, w jaki sposób został archeologiem.

— Lunch to za mało czasu na taką opowieść — zauważyła.

— Przynajmniej po trochu na każdy temat — poprosił — włącznie z samym odkryciem. Opowiedz mi o karierze ojca. Zastanowią się potem, które wątki są najciekawsze dla naszej kampanii, i wypytam cię o szczegóły przy następnej okazji.

— To będzie następna okazja?

— Mam nadzieję, że niejedna.

— Dobrze. Kariera ojca... Niech się zastanowię...

Augusto Monti studiował na Uniwersytecie Rzymskim i otrzymał dyplom z Facolta di Lettere, nauk humanistycznych. Przez trzy kolejne lata studiował archeologię w Londynie i na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Następnie wraz z innymi wyróżnionymi studentami stanął w Rzymie do egzaminu konkursowego. Najlepszy z uczestników otrzymał pracę na uniwersytecie, gdy tylko zwolniło się jakieś miejsce. Augusto Monti pobił wszystkich na głowę i wkrótce potem został profesorem archeologii chrześcijańskiej na rzymskiej uczelni.

Poza tym, że mianowano go dyrektorem Istituto di Archeologia Cristiana, dzień pracy Montiego na uczelni i poza nią nie różnił się wówczas tak bardzo od dzisiejszego. Cztery dni w tygodniu, stojąc przed mapami i tablicą w Aula di Archeologia, prowadził wykłady dla ponad dwóch setek studentów. Po południu lub między zajęciami szedł na piętro, do swego gabinetu obok biblioteki, gdzie siadał w obitym zieloną skórą fotelu za politurowanym

biurkiem, przyjmował interesantów i pisał artykuły do magazynów archeologicznych.

W czasie letnich wakacji lub specjalnych urlopów naukowych profesor Monti prowadził wykopaliska. Po raz pierwszy zyskał sobie uznanie po odkryciu nowych fragmentów katakumb otaczających Rzym. Były to podziemne korytarze i krypty, w których między pierwszym a czwartym stuleciem naszej ery pochowano sześć milionów chrześcijan. Szczególnie interesowało go poszukiwanie oryginalnego dokumentu napisanego w czasach Chrystusa lub wkrótce potem, poprzedzającego pojawienie się czterech ewangelii.

Większość uczonych zgadzała się, że taki dokument — nazywany dokumentem Q, od niemieckiego Quelle, czyli źródło — musiał istnieć. Podkreślali, że Ewangelia Łukasza i Ewangelia Mateusza zawierają wiele podobnych ustępów, których nie ma u Marka. Najwyraźniej dwaj pierwsi oparli swoje teksty na jakimś wcześniejszym źródle. Być może była to tylko relacja przekazana ustnie, stracona dla historii. Profesor Monti wierzył jednak, że był to tekst pisany, a skoro tak, to być może się zachował.

Przed dziesięcioma laty profesor Monti, opierając się na własnych badaniach i wnioskach, opublikował sensacyjny artykuł w „Notizie degli Scavi di Antichit’”, czasopiśmie poświęconym aktualnym wykopaliskom, prowadzonym w różnych krajach. Rozszerzoną wersję tego tekstu zamieścił w „Biblica”, jezuickim piśmie o światowej renomie, publikującym naukowe prace bibliologiczne. Artykuł nosił tytuł „Nowe kierunki w poszukiwaniach historycznego Jezusa Chrystusa”. Monti przeciwstawił się w nim większości istniejących opinii na temat możliwości odnalezienia Źródła Q.

— Na przykład jakich? — zapytał Randall. — Co sądzili uczeni i w jaki sposób argumentował twój ojciec?

— Spróbuję to uprościć — odparła. — Teolodzy i archeolodzy biblijni, tacy jak doktor Tura, koledzy ojca z uczelni, z Pontyfikalnego Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej i z Akademii Amerykańskiej w Rzymie, utrzymywali, że Źródło Q było przekazem ustnym. Uważali, że apostołowie niczego nie zapisywali, że nie mieli powodów tego robić z przyczyn eschatologicznych. Apostołowie byli bowiem przekonani o rychłym końcu świata i nadejściu Królestwa Niebieskiego. Nie kłopotali się więc pozostawianiem zapisków. Dopiero później, gdy świat się jednak nie skończył, doszło do napisania ewangelii. Relacje te nie miały jednak wartości historycznej, przedstawiały Jezusa przez pryzmat czystej wiary.

— I profesor się z tym nie zgadzał?

— Ojciec uważał, że jakieś zapisy powstały już przed Jezusem, jak świadczą o tym zwoje znad Morza Martwego. Uważał, że uczniami i przyjaciółmi Jezusa byli nie tylko niepiśmienni rybacy. Niektórzy z nich, na przykład Jakub, stali się nawet przywódcami pierwszych chrześcijan. Któryś z nich, mniej przekonany od innych o końcu świata, musiał więc podyktować lub spisać wypowiedzi Jezusa lub szczegóły z jego życia i nauczania. Ojciec często żartował, że największym odkryciem byłoby znalezienie dziennika prowadzonego przez samego Jezusa. Oczywiście były to tylko żarty, natomiast rzeczywiście miał nadzieję na znalezienie oryginalnej wersji tekstu Marka, nieprzerobionej przez późniejszych dokumentalistów, albo pierwotnego „źródła M”, czyli księgi świadectw, zbioru nauk czy przypowieści wykorzystanych przez Mateusza. Ojciec zakładał również istnienie jakiegoś dokumentu rzymskiego na temat śmierci Jezusa.

Randall, świadom, że wszystko to się nagrywa, dociekał dalej:

— Czy możesz powiedzieć coś więcej o sporze profesora Montiego ze środowiskiem naukowym?

— Inni uczeni uważali niemal jednomyślnie, że nowe rękopisy z pierwszego wieku można ewentualnie odnaleźć tylko w Egipcie, Jordanii lub Izraelu, gdzie papirus czy pergamin mógł się zachować dzięki suchemu klimatowi i glebie. We Włoszech, twierdzili, jest to niemal niemożliwe z powodu wysokiej wilgotności, więc gdyby rękopisy zostały tu przywiezione, dawno już musiałyby zgnić albo spłonąć w licznych pożarach nękających dawny Rzym. Ojciec argumentował, że wiele świętych tekstów i przedmiotów przemycano lub przewożono w pierwszym wieku z Palestyny do Włoch, żeby ocalić je od zniszczenia podczas rebelii i użyć do podtrzymania w wierze licznych nawróconych potajemnie chrześcijan w Rzymie i jego okolicach. Poza tym zachowany papirus z drugiego wieku odnaleziono w starożytnych ruinach Dura Europos nad rzeką Eufrat i w Herkulanum, gdzie klimat z pewnością nie jest suchy. Ponieważ zaś dokumenty z Palestyny były dla pierwszych chrześcijan bardzo cenne, zawijali je w skóry i zamykali w zapieczętowanych dzbanach bez dostępu powietrza, umieszczanych w grobowcach. Ojciec odnajdywał w katakumbach dobrze zachowane ciała, pachnidła i wazy z rękopisami. Największe wrzenie wśród archeologów wywołały jednak jego wywody na temat domniemanych informacji o Jezusie, jakie mogły się kryć w Źródle Q.

— Profesor miał jakąś własną teorię na ten temat? — zapytał Randall.

— O tak, i to bardzo radykalną. Jeżeli zejdziesz do katakumb świętego Sebastiana pod Rzymem, można tam zobaczyć wiele wyrytych na ścianach

obrazów, chyba z drugiego wieku. Są wśród nich wizerunki Jezusa jako pasterza niosącego jagnię lub prowadzącego stado owiec. Uważano je zawsze za przedstawienia symboliczne. Ojciec spekulował jednak, że jest to być może dowód, iż Jezus pracował w istocie jako pasterz, a nie cieśla. To była pierwsza z herezji. Ponadto uczeni uważali zawsze, że podróże Jezusa ograniczały się do niewielkiego obszaru w Palestynie, może takiego jak Mediolan czy Chicago. Ich zdaniem, gdyby wyprawiał się poza Palestynę, Ojcowie Kościoła rozpowiadaliby o tym w swoich pismach, by dowieść, że był Zbawicielem całego świata. Jednakże wspominali oni o podróżach dość rzadko.

— A profesor Monti?

— Ojciec twierdził, że nawet jeśli Jezus wyprawiał się gdzieś dalej, w tamtych czasach utrzymywano by to w tajemnicy, dla jego bezpieczeństwa. Sugestia, że przebywał poza Palestyną, nawet w Italii, można znaleźć w pismach Piotra, Pawła, Ignacego i innych. Ojciec nie wierzył także, że Jezus zmarł jako trzydziestolatek, lecz uważał, że znacznie później. Cytował w tej kwestii wiele źródeł, takich jak teksty... zapomniałam, Papiasza czy Tertuliana... w których czytamy, że Jezus był młody, by zbawiać młodych, w średnim wieku, by zbawiać tych w średnim wieku, i stary, by zbawiać starych. W owych czasach za starego uznawano kogoś po pięćdziesiątce.

Randall dopił wino, przełożył kasetę w dyktafonie i pytał dalej

— Czy profesor określił, gdzie we Włoszech mógł się znajdować taki dokument?

— Tak, w swym pierwszym artykule i w następnych także. Proponował zbadanie kolejnych katakumb pod Rzymem oraz domów, w których potajemnie spotykali się chrześcijanie, w mieście, wokół niego i na Wzgórzu Palatyńskim. W idealnym przypadku można było liczyć na odnalezienie domowej biblioteki jakiegoś bogatego żydowskiego kupca, takiego jak ci nieliczni mieszkający w dawnej Ostii. Byli oni pierwszymi chrześcijanami, a mieszkańcy portów morskich mogli mieć najszybszy dostęp do importowanych materiałów.

— I dlatego profesor zdecydował się na wykopaliska w Ostii?

— Zdecydowało o tym coś więcej — odparła Angela. — Była to pewna koncepcja, którą ojciec połączył kilka lat temu z określonym faktem. Koncepcja zakładała, że autor owej źródłowej ewangelii z Jerozolimy mógł wysłać jej kopię do jakiejś bogatej żydowskiej rodziny w którymś z portowych miast Italii. Jeżeli była to rodzina potajemnie nawrócona na chrześcijaństwo, najprawdopodobniej ukryła tekst w domowej bibliotece. A jeśli chodzi o fakt, to ojciec odnalazł w dopiero co otwartych katakumbach

świętego Sebastiana kryptę zawierającą kości młodego chrześcijanina, a także wskazówki, że mógł on co najmniej raz przebywać w Jerozolimie albo mieć tam znajomego centuriona, być może w czasach Piłata. W krypcie znajdowało się też nazwisko. Ojciec, niczym detektyw, starał się zebrać więcej informacji o tym młodzieńcu i odkrył, że był synem bogatego żydowskiego kupca i właściciela wielkiej willi na wybrzeżu, tam gdzie rozciągała się antyczna Ostia. Następnie zbadał topografię tamtego terenu, a szczególnie jego pagórkowatej części, która zerodowała przez wieki i spłaszczyła się. Ku swej satysfakcji odkrył pod ziemią starożytne ruiny i wówczas wystąpił do doktora Tury o pozwolenie na podjęcie wykopalisk.

Pokonawszy przeszkody natury politycznej, profesor Monti zaciągnął pożyczkę, żeby móc kupić na własność ziemię, na której chciał kopać. Zgodnie z włoskim prawem właściciel ziemi, na której prowadzi się wykopaliska, otrzymywał pięćdziesiąt procent wartości tego, co tam znaleziono. Jeżeli ziemia była tylko dzierzawiona, dwadzieścia pięć procent oddawało się jej właścicielowi, pięćdziesiąt rządowi, a archeolog zatrzymywał dla siebie pozostałą czwartą część.

Profesor Monti zatrudnił zespół fachowców — geodetę, inżyniera, kreślarza, fotografa, kryptografa, specjalistów od ceramiki i numizmatów oraz antropologa. Sprowadził na miejsce niezbędny sprzęt i prace się rozpoczęły. Badano kwadrat po kwadracie, za każdym razem na obszarze tylko dziesięciu metrów kwadratowych, przekopując się przez kolejne warstwy coraz głębiej.

— Wykopaliska trwały dwanaście tygodni — opowiadała Angela. — Ojciec wyliczył, że z każdego wykopu powinno się usunąć tyle trzydziestocentymetrowych warstw ziemi, ile stuleci dzieli współczesnych od czasów Jezusa, by w końcu dotrzeć do warstw kryjących w sobie dom rzymskiego kupca. Przekopując się przez glebę, podglebie i materiał aluwialny, natrafił zdumiony na warstwy porowatej skały wapiennej, uformowanej z osadów naniesionych przez podziemne ciekły wodne... bardzo podobne do skał w pobliskich, tak dobrze mu znanych katakumbach. Pierwszymi znaleziskami były duże ilości monet z czasów Tyberiusza, Klaudiusza i Nerona. Następnie, kiedy ojciec natrafił na cztery monety pochodzące z Palestyny... trzy z czasów Heroda Agrypy Pierwszego, który zmarł w roku czterdziestym czwartym, i jedną wybitą pod Poncjuszem Piłatem... jego nadzieje i ekscytacja wzrosły niepomiernie. I w końcu, tego najwspanialszego poranka w naszym życiu, odkopał kamienny blok zawierający dzban z Pergaminem Petroniusza i papirus z tekstem Ewangelii według Jakuba.

— Co się działo potem? — zapytał Randall.

— Potem? — Angela pokręciła głową, zdumiona na samo wspomnienie.

— Działo się wiele, bardzo wiele. Ojciec udał się do laboratorium Amerykańskiej Szkoły Badań Orientalnych w Jerozolimie. Fragmenty papirusu okazały się tak kruche, że trzeba je było umieścić w nawilżaczach, a następnie wyczyścić alkoholem, posługując się pędzlami z włosia wielbłądziego. Dopiero po wykonaniu tych prac umieszczono je pod szkłem i zaczęto badać. Dokument Petroniusza był w kiepskim stanie, choć jako oficjalne pismo sporządzono go na najlepszym pergaminie. Ewangelia Jakuba, miejscami zbrązowiała lub poczerniała, zetlała na brzegach, z wieloma dziurami, napisana została trzciniowym piórem i atramentem sporządzonym z sadzy, gumy i wody, na papirusie najgorszej jakości, na arkuszach rozmiarów dwanaście na dwadzieścia pięć centymetrów. Jakub pisał po aramejsku z błędami, bez interpunkcji, a zasób jego słownictwa określono na około osiemset słów. Analitycy tekstów w Jerozolimie potwierdzili autentyczność dokumentu i wydali nawet ogólnikowy komunikat na temat odkrycia w wewnętrznym biuletynie, rozprowadzanym wyłącznie w kręgach naukowych. Eksperci odesłali ojca do laboratorium profesora Auberta w Paryżu, żeby sprawdził, czy pergamin istotnie pochodzi z roku trzydziestego, a papirus z sześćdziesiątego drugiego. Szczegółów dowiesz się od Auberta. W każdym razie to odkrycie wydawało się zdarzeniem niemal nadprzyrodzonym, Steve.

— A moim zdaniem było efektem wnikliwości i uporu twojego ojca, Angelo.

— Odkrycie tak, ale nie to, że dokumenty się zachowały. To był prawdziwy cud. — Przerwała, skupiając na nim spojrzenie swych zielonych oczu. — Czy pozwolili ci przeczytać cały tekst, Steve?

— Tak, kilka dni temu w Amsterdamie. Efekt był piorunujący.

— To znaczy?

— Na przykład zadzwoniłem do żony i zgodziłem się na rozwód, chociaż przedtem nie chciałem o tym słyszeć.

Angela pokiwała głową.

— Rozumiem to. Mnie też się przydarzyło coś podobnego. Nienawidziłam doktora Fernanda Tury za te utrudnienia i złośliwości wobec ojca. Poprzysięgłam mu nawet wendetę. Szukałam czegoś, czym mogłabym go zaszantażować, skompromitować, zranić. Nie było to trudne. Doktor Tura, szanowany uczony i ojciec rodziny, ma na boku kochanka, młodego chłopaka. Kiedy wspomniałam o tym ojcu i powiedziałam, że chcę to wykorzystać przeciwko Turze, poprosił mnie, żebym tego nie robiła, lecz okazała

miłosierdzie, nadstawiła drugi policzek, tak jak on to uczynił. Pokazał mi wówczas po raz pierwszy włoski przekład Pergaminu Petroniusza i Ewangelii według Jakuba. Tej nocy, Steve, płakałam, poznałam, co to współczucie. Odrzuciłam na zawsze pragnienie zemsty i nadstawiłam drugi policzek. Od tamtej pory wiem, że spokój wewnętrzny możemy osiągnąć nie wskutek odpłacania za krzywdę, lecz dzięki zrozumieniu, dobroci i wybaczeniu.

— Dla mnie to nie jest jeszcze takie pewne. Wciąż staram się odnaleźć... drogę.

— Odnajdziesz ją, Steve — odparła z uśmiechem. Randall wyłączył dyktafon.

— Pierwsza sesja zakończona — rzekł. — Przypuszczam, że mogłabyś mi opowiedzieć o ojcu wiele więcej?

— To prawda. W jedno popołudnie nie da się przekazać wszystkich szczegółów. No i są zdjęcia, mnóstwo zdjęć z wykopalisk. Musisz je koniecznie zobaczyć, Steve. Możesz zostać w Mediolanie do jutra?

— Chciałbym, ale mam bardzo napięte terminy, Angelo. Jeszcze dziś lecę do Paryża. Stamtąd do Frankfurtu i Moguncji, i za trzy dni powinienem być w Amsterdamie. — Spojrzał na dziewczynę z nieskrywanym upodobaniem. Wcale nie miał ochoty się z nią rozstawać. — Dałaś mi dokładnie to, czego potrzebowałem, Angelo. Będę mógł te informacje wykorzystać i uwypuklić osiągnięcia twojego ojca, tak jak na to zasługuje. Ale chciałbym się jeszcze z tobą zobaczyć. Mam pewną propozycję. Dysponuję otwartym budżetem na kampanię promocyjną i mogę zatrudniać, kogo chcę. Mógłbym cię włączyć do zespołu jako konsultanta, z wynagrodzeniem i pokryciem kosztów. Czy mogłabyś przyjechać do Amsterdamu?

Jej pełne, karminowe wargi ułożyły się w uśmiech.

— Zastanawiałam się, czy mnie o to poprosisz — odparła.

— Poprosiłem.

— A ja odpowiadam: kiedy mam tam przyjechać?

— Jak wrócę z tej podróży, za trzy dni. Co do twojego wynagrodzenia...

— Nie chcę pieniędzy. Lubię Amsterdam i chcę się przysłużyć dobremu imieniu ojca. Zależy mi na tym, żeby nowa Biblia trafiła do wszystkich. No i...

Nie chciał jej popędzać, lecz po chwili jednak zapytał:

— No i, Angelo?

— E voglio essere con te, Stefano, a basta.

— To znaczy?

— I chcę być z tobą, Steve. I tyle.

Steve Randall przybył do Paryża w nocy. Podczas lotu jego umysł wypełniały obrazy Angeli Monti. Był zdumiony swoim oczarowaniem dziewczyną, którą dopiero co spotkał i której prawie nie znał.

Zameldował się w L'Hotel, tętniącym życiem zajeździe przy Rue des Beaux-Arts na lewym brzegu Sekwany. Miejsce wpadło mu kiedyś w oko podczas spaceru tylko dlatego, że obok wejścia miało wmurowaną tablicę upamiętniającą Oscara Wilde'a, który tu mieszkał aż do swej śmierci w roku tysiąc dziewięćsetnym.

Ponieważ restauracje hotelowe były hałaśliwe, pełne jazzu i rozbawionych młodych ludzi, Randall przeszedł się do Le Drugstore na Boulevard St-Germain i znalazł miejsce na piętrze. Tutaj też królowały jazz i młodzież, ale jakoś mu to już nie wadziło. Zjadł stek i popijając różowe wino, oddawał się fantazjom na temat ponownego spotkania z Angela Monti.

Udało mu się zwrócić myśli na inne tory, kiedy po powrocie do hotelu zabrał się do lektury materiałów o profesorze Aubercie, słynnym dyrektorze instytutu datowania metodą węgla radioaktywnego w Centre National de la Recherche Scientifique.

Był ranek. Przed półgodziną przyjechał taksówką do nowego kamiennego gmachu Centre National przy Rue d'Ulm. Kiedy wysiadał z taksówki przed budynkiem CNRS w chłodne ranne powietrze, opadły go nagle wątpliwości. Angela Monti, niefachowiec opowiadający o archeologii, to jedno, pomyślał. Ale profesor, specjalista od datowania, który miał mu tłumaczyć, jak potwierdził wiek dokumentów z wybrzeża Ostii, to zupełnie co innego. Choć czytał trochę o metodzie węgla ^{14}C , nie miał przygotowania naukowego i liczył na to, że Aubert będzie dlań tak wyrozumiały jak dla pytającego dziecka.

Jego obawy okazały się bezpodstawne. Rozmawiali od dziesięciu minut i profesor Aubert w istocie okazywał mu taką cierpliwość, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

Początkowo Francuz trochę go onieśmielał. Był wysokim, dobrze zbudowanym i elegancko ubranym mężczyzną po czterdziestce. Miał zaczesane do góry, wypomadowane włosy, galijską twarz z orlim nosem, a kiedy mówił nienaganną angielszczyzną, podkreślał słowa zmrużeniem oczu i sztywnymi gestami ręki. Jednakże Randall szybko rozbił tę fasadę arystokratycznej wyniosłości, okazując zainteresowanie jego pracą. Dla Auberta praca była wszystkim. Kiedy się zorientował, że Randall jest nią autentycznie zaciekawiony, usztywnienie zniknęło i stał się czarującym rozmówcą.

Najpierw poskarżył się na wpół przepraszająco Randallowi, że jego żona Gabrielle, samozwańcza dekoratorka wnętrz, zmieniła funkcjonalny gabinet z metalowymi meblami w ekspozycję zabytków z epoki Ludwika XVI. Następnie poprowadził go korytarzem do laboratorium instytutu.

Po drodze Randall włączył dyktafon i Aubert zaczął tłumaczyć mu w najprostszych słowach węglową metodę radiodatowania.

— Odkrył ją Amerykanin, profesor Willard Libby, który otrzymał za to w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii. Dzięki temu niezwykłemu odkryciu możemy teraz dość precyzyjnie datować odnalezione kości, kawałki drewna czy fragmenty papiirusu, nawet sprzed sześćdziesięciu tysięcy lat. Wiadomo było, że odkąd istnieje życie na Ziemi, każdy żyjący organizm, czy to człowiek, czy zwierzę lub roślina, bombardowany jest promieniowaniem kosmicznym wszechświata. Na skutek tego bombardowania azot zamienia się w radioaktywne cząsteczki węgla. Wszystko, co żyje, absorbuje węgiel radioaktywny aż do momentu swej śmierci. Natomiast od chwili śmierci w tkankach zaczyna ubywać atomów węgla, w tempie dającym się określić. Wiadomo, że obiekt organiczny traci połowę węgla radioaktywnego po upływie pięciu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu lat od jego śmierci. Wyposażony w tę wiedzę, Willard Libby założył, że gdyby udało się zmierzyć ilość węgla i produktów jego rozpadu, pozostałych w martwym organizmie, wówczas można by także wyliczyć ilość radioaktywnego węgla, który uległ rozpadowi. Tym sposobem, dzięki wyliczeniu straty, można określić, kiedy dany obiekt po raz ostatni absorbował węgiel, czyli był żywy. Innymi słowy, panie Randall, można określić wiek obiektu.

— Czy profesor Libby wymyślił także metodę pomiaru? — zapytał Randall, zaczynając powoli rozumieć cały proces.

— Oui. Stworzył tak zwany zegar węgla czternaście, urządzenie oparte na liczniku Geigera, które określa, jak wiele węgla radioaktywnego stracił obiekt od momentu swej śmierci. Dzięki temu nauka otrzymała nareszcie wiarygodny system datowania. Teraz możemy ustalić rok, w którym kawałek węgla drzewnego palił się w ognisku prehistorycznego jaskiniowca, czas, kiedy jakaś skamielina była jeszcze żywym zwierzęciem, albo wiek domu na podstawie drzazgi z jego konstrukcji. Podobno Libby przebadiał dziesięć tysięcy różnych obiektów. Dzięki jego metodzie udowodniono kiedyś, że para indiańskich sandałów znalezionych w jaskini w Oregonie miała dziewięć tysięcy lat. Duży kawałek drewna odłupany z łodzi pogrzebowej faraona, znaleziony w jego grobowcu, pozwolił wyznaczyć datę śmierci egipskiego

władcy na rok dwutysięczny przed Chrystusem. Fragment lnianej tkaniny, w którą owinięto zwój znad Morza Martwego, pomógł dowieść, że tekst napisano pomiędzy rokiem sto sześćdziesiątym ósmym przed Chrystusem a dwieście trzydziestym trzecim naszej ery, prawdopodobnie około roku setnego przed Chrystusem. Z drugiej strony, kości człowieka z Piltdown, znalezione w żwirowym jarze na torfowiskach w Sussex, uważano za prehistoryczne do czasu, kiedy testy fluorowe przeprowadzone przez profesora Oakleya i potwierdzone potem metodą węgla radioaktywnego wykazały, że człowiek z Piltdown pochodzi z czasów współczesnych i cała sprawa jest fałszerstwem.

Weszli do laboratorium, gdzie nad palnikami podgrzewały się bulgoczące retorty i słychać było miarowe tykanie liczników Geigera.

— Monsieur Randall, teraz już pan wie, w jaki sposób potwierdziliśmy wiek pergaminu i papirusu z Ostii. Pokażę panu w skrócie, jak to zostało zrobione.

Podszedł do dwóch połączonych ze sobą urządzeń. Jedno z nich było dwukrotnie szersze od drugiego i wyglądały jak dwie metalowe szafki wyposażone w nieznaną Randallowi aparaturę. Mniejsze urządzenie miało na wierzchu tablicę rozdzielczą, a niżej półkę z dwoma zegarami i było połączone rurkami z szerszym, otwartym w środku i zawierającym skomplikowany model licznika Geigera.

— To właśnie jest aparatura, którą datowaliśmy znaleziska profesora Montiego — rzekł francuski chemik. — Kiedy profesor zjawił się tutaj przed sześcioma laty, by przeprowadzić decydujące badanie, był już poinformowany, że musi mi przekazać niewielkie próbki pergaminu i papirusu. Kiedy profesor Libby datował zwoje znad Morza Martwego, potrzebował trzydziestu gramów, czyli ponad uncji włókien lnianych. Od tamtych czasów metoda została znacznie udoskonalona. Libby stosował początkowo bryłki węgla, którymi mazał wewnątrz takiego cylindra jak ten, tak jakby go malował farbą. Przy tej metodzie zużywało się sporo drogiego zabytkowego materiału. Teraz potrzebujemy go już znacznie mniej.

— Ile papirusu i pergaminu zużył pan, profesorze? — zapytał Randall.

Francuski uczoney uśmiechnął się lekko.

— Na szczęście bardzo niewiele, ponieważ musimy to spalać. W przypadku węgla drzewnego wystarczą trzy gramy. Do kawałka drewna, dziesięć. A do zbadania znalezisk profesora Montiego poprosiłem o piętnaście gramów... prawie pół uncji... pergaminu i po dwanaście gramów papirusu z dwóch różnych fragmentów.

— I spalił je pan — powiedział Randall do dyktafonu i podsunął go bliżej rozmówcy.

— Nie od razu — odparł Aubert. — Na początek każdą taką próbkę należy oczyścić fizycznie i chemicznie, żeby nie zawierała węgla z zewnątrz, który ją zanieczyścił już po śmierci komórek.

— Ma pan na myśli zanieczyszczenie promieniowaniem w efekcie prób z bombami wodorowymi czy jądrowymi?

— Nie, to nie działa na materię, która jest już martwa—wyjaśnił uczony. — Próbki profesora Montiego musiałem oczyścić z resztek organicznych, takich jak korzonki i inne pozostałości, które mogłyby wpłynąć na wynik badania. Potem spaliłem każdą z próbek w strumieniu tlenu, aż pozostał z niej tylko popiół. Powstały w wyniku spalania kwas węglowy został oczyszczony, wysuszony i wprowadzony do licznika Geigera. Przede wszystkim, jak widać po sposobie zbudowania tego urządzenia, musimy wyeliminować jakiegokolwiek promieniowanie zewnętrzne, które mogłoby sfalszować wyniki. Voil?

Profesor Aubert, porwany tematem, wdał się w zawile wyjaśnienia całego procesu. Mówił o łańcuchu wzmacniającym, otoczonym pierścieniem rtęci, o impulsach z licznika geigerowskiego, umieszczonych w antykoincydencji z impulsami proporcjonalnymi, o promieniowaniu kosmicznym i promieniowaniu gamma.

Randall zupełnie się pogubił, lecz wszystko było nagrane na kasecie i postanowił, że kiedy Lori Cook spíše nagranie, poprosi kogoś w Amsterdamie o wytłumaczenie zawilości.

— Rozumiem — zwrócił się do Auberta. — Jak długo trwało całe badanie, profesorze?

— Dwa tygodnie, ale to było sześć lat temu. Przy dzisiejszej aparaturze zajęłoby to nam jeden dzień.

— I czego się pan dowiedział w rezultacie badania? — zapytał Randall.

— Że możemy datować próbki papirusu i pergaminu w obrębie dwudziestu pięciu lat od czasu, kiedy istniały i zostały zapisane.

— Jakie to były daty?

— Na szczęście mogłem poinformować profesora Montiego, że pomiary metodą węgla radioaktywnego wykazały niezbicie, iż Pergamin Petroniusza pochodzi z roku trzydziestego, a Ewangelia według Jakuba z sześćdziesiątego drugiego. Innymi słowy, mogłem zapewnić profesora, że najnowocześniejsza aparatura naukowa dwudziestego wieku potwierdziła fakt... fakt, monsieur... że pergamin pochodzi z okresu, gdy Poncjusz Piłat wydał wyrok na Jezusa,

natomiast papirus z czasów, kiedy żył jeszcze brat Jezusa i mógł napisać prawdziwą historię Mesjasza. Odkrycie w Ostii było autentyczne ponad wszelką wątpliwość.

— Ze stuprocentową pewnością?

— Tak jest.

Randall wyłączył dyktafon.

— Pański wkład pracy, profesorze — powiedział — bardzo nam pomoże w promowaniu Międzynarodowego Nowego Testamentu.

— Ta współpraca to dla mnie przyjemność. — Uczony spojrzął na zegarek. — Mam pewną sprawę do załatwienia — rzekł — a potem jestem umówiony na lunch z żoną. Czy zechciałby mi pan towarzyszyć, monsieur Randall?

— Nie chciałbym przeszkadzać...

— Nie będzie pan. Porozmawiamy sobie jeszcze. Byłbym bardzo rad.

— Dziękuję. W rzeczy samej mam czas aż do wieczora, to znaczy do odjazdu pociągu do Frankfurtu.

— Ah, bon. Spotka się pan z Hennigiem. Na pewno będzie bardziej komunikatywny ode mnie. — Aubert poprowadził Randalla do wyjścia. — Zatrzymamy się tylko na chwilę pod katedrą Notre Dame, muszę tam podrzucić wyniki badań pewnego obrazu. A potem spotkamy się w Café de Cluny z madame Aubert. Przyjemnie będzie razem coś przekąsić.

Randall doświadczył następnie męczącej jazdy citroenem profesora, wbijając stopy w podłogę przez całą trasę na drugą stronę

Sekwany, do esplanady przy katedrze. Strażnik na parkingu poznał Auberta i szybko znalazł mu miejsce. Podeszli do głównego wejścia, gdzie profesor zostawił go.

— Wracam dosłownie za minutkę — powiedział. — Muszę tylko przekazać któremuś z księży wyniki.

Randall został na zewnątrz, przyglądając się barwnemu tłumowi turystów zwiedzających słynny kościół. Aubert w istocie po kilku minutach był z powrotem.

— Czy przyjrzał się pan rzeźbom nad portalem? — zapytał. — Zacząłem się nimi szczególnie interesować od czasu pracy nad Międzynarodowym Nowym Testamentem. Oczywiście wie pan, że nie istnieje żadne rzeźbiarskie czy malarskie wyobrażenie Jezusa, wykonane w jego czasach. Nie istnieje, ponieważ nie mogło zostać wykonane. Żydzi... a pierwsi chrześcijanie byli przecież Żydami... uważali sporządzanie wizerunków za świętokradztwo i prawo żydowskie zakazywało tworzenia portretów. Jest oczywiście portret Jezusa w Watykanie, o którym legenda mówi, że został narysowany przez

Łukasza i uzupełniony przez anioły. Ale to oczywiście nonsens. Jestem zdania, że najstarszym wizerunkiem Jezusa jest ten z katakumb, z roku dwieście dziesiątego. Niech pan teraz spojrzysz tam, w górę.

Randall podążył wzrokiem za palcem profesora i na fasadzie Notre Dame zobaczył rzeźbę modlącej się Marii, koronowanej przez anioła, obok której stał Chrystus w koronie, z berłem w ręce, i błogosławił ją.

— Dzieło jest znane pod nazwą Koronacja Dziewicy — ciągnął Aubert. — Pochodzi z trzynastego wieku. Jest to typowe w swej absurdalności wyobrażenie Jezusa w sztuce. Żaden artysta nie znał jego wyglądu, lecz wyobrażali go jako przystojnego mężczyznę, w pełni chwały. Kiedy ludzie dowiedzą się z zapisów Jakuba, jak Jezus wyglądał naprawdę, będzie to dla nich szok. Co poczną wtedy z całą tą nieprawdziwą sztuką? Być może to samo, co zrobiono podczas rewolucji francuskiej. Rewolucjoniści uważali posagi starotestamentowych królów na fasadzie katedry za wyobrażenie władców Francji i zwalili je. Kto wie, czy nie doświadczymy tego samego w tym roku. A później te fałszywe wizerunki naszego Pana zostaną zastąpione przez prawdziwe... z semickim nosem, zniekształconą sylwetką i całą resztą. Tak będzie lepiej. Ja wierzę w prawdę, panie Randall.

Wrócili do Citroëna i pojechali przez Pont de l'Archevêché a potem Quai de la Tournelle. Gdy Quai de la Tournelle przeszło w Quai de Montebello, Randall z zazdrością patrzył na Francuzów, niespiesznie przeglądających książki i plakaty na stoiskach bukinistów nad Sekwaną. Po lewej mignął mu sklep o nazwie Shakespeare and Company, ulubione miejsce Jamesa Joyce'a w innym mieście, przypomniał sobie.

Skręcili w szeroki Boulevard St Michel i dziesięć minut później, kiedy mogli wreszcie zaparkować, profesor poprowadził Randalla w stronę kawiarni na rogu Boulevard St Michel i Boulevard St-Germain. Ten ostatni był chyba punktem zbornym wszystkich pojazdów i przechodniów na lewym brzegu. Na zielonej markizie chroniącej od słońca trzy rzędy marmurowych stolików i wiklinowych krzeseł widniała nazwa: CAFÉ DE CLUNY.

— To ulubiona kawiarnia mojej żony — stwierdził Aubert. — Samo serce lewego brzegu. Pełno tu młodych. Widzi pan to żelazne ogrodzenie po drugiej stronie ulicy? Jest tam park z ruinami rzymskiej budowli, wzniesionej trzysta lat... albo nawet mniej, według Jakuba... po śmierci Chrystusa. Widzę, że Gabrielle jeszcze nie przyszła. — Spojrzał na zegarek. — Gdzie woli pan usiąść, monsieur Randall, w środku czy na zewnątrz?

— Zdecydowanie na zewnątrz.

— Popieram.

Większość stolików była wolna i kiedy usiedli, Aubert pstryknął palcami na kelnera w białej kurtce.

— Zaczekamy z lunchem na Gabrielle — powiedział. — Jeżeli woli pan coś lekkiego, polecam omelette soufflée a la saucisse. Na razie zamówimy aperitif. Ja biorę pastis duval. Pastis Duval, garçon — zwrócił się do kelnera.

— Dla mnie też — poprosił Randall.

— La meme chose pour lui — rzucił kelnerowi Aubert. Poczęstował Randalla papierosem, lecz ten odmówił, pokazując swoją fajkę. Aubert wsunął papierosa do długiej lufki i kiedy obaj zapalili, profesor rozprostował nogi i obserwując z łagodnym zainteresowaniem przechodniów, po raz pierwszy wyglądał na rozluźnionego.

Po chwili, pocierając grzbiet nosa i wydmuchując dym, odwrócił głowę ku Randallowi.

— Myślałem o tym — rzekł — jakie to dziwne okoliczności sprawiły, że właśnie ja badałem autentyczność tych dokumentów i stałem się odpowiedzialny za przedstawienie ich światu.

— Dlaczego dziwne? — zapytał Randall.

— Dlatego że nigdy nie byłem osobą religijną, a właściwie wręcz przeciwnie — wyznał Aubert. — I nawet teraz, jeśli w ogóle wyznaję jakąś religię, nie jest to z pewnością żadna ortodoksja. Przyznam jednak, że całe to wydarzenie... mam na myśli mój skromny udział w przygotowaniu nowej Biblii... wywarło na mnie głęboki wpływ.

Randall zawahał się, lecz ciekawość przeważała.

— Czy zechce pan powiedzieć o tym coś więcej, profesorze? — poprosił.

— Zmienił się mój sposób patrzenia na świat. I z pewnością zmieniły się moje związki z bliskimi. Jeśli naprawdę to pana interesuje...

— Tak, bardzo.

— Wychowałem się w Rouen — mówił dalej Aubert. — W rodzinie bardzo luźno związanej z katolicyzmem. Rodzice byli nauczycielami i hołdowali religii tylko w minimalnym stopniu, właściwie można by ich nazwać wolnomyślicielami, racjonalistami. Pamiętam, że obok Biblii stał u nas zawsze na półce egzemplarz Życia Jezusa Ernesta Renana, un livre qui a fait sensation, mais qui est charmant. Och, proszę wybaczyć, chciałem powiedzieć, że była to sensacyjna książka, w której autor czarująco przekonywał, że cztery ewangelie to tylko legendy, cuda Chrystusa nie wytrzymują konfrontacji z nauką i są jedynie mitami, a historia zmartwychwstania pochodziła z imaginacji Marii Magdaleny. Ma pan więc obraz mojej młodości... Biblia, a obok Renan. W pewnym momencie nie

mogłem już dłużej utrzymać tej ambiwalentnej i schizofrenicznej w istocie postawy.

— Kiedy to było? — zapytał Randall. Podano aperitify, łyknął więc pastis i czekał.

— Zmiana nastąpiła, gdy rozpocząłem studia na politechnice, gdzie zacząłem od radioelektryczności, by potem skoncentrować się na chemii. Kiedy już byłem naukowcem pełną gębą, zerwałem z religią do końca. Uznałem, że to merde, i zmieniłem się w zimnego sukinsyna. Wie pan na pewno, jak to jest, gdy się odnajduje coś nowego, nowe podejście, człowiek ma wtedy skłonność do przesady. Kiedy już zdecydowałem się porzucić wiarę i ufać tylko podejściu naukowemu, zacząłem szanować i akceptować wyłącznie to, co można było zbadać w laboratorium, co można było zobaczyć, usłyszeć, poczuć lub przyjąć na logikę. Po ukończeniu studiów trwałem w tej postawie, pracowałem i żyłem wyłącznie w perspektywie terażniejszości, naszego czasu tu, na ziemi. Nie interesowało mnie życie pozagrobowe. Moją religią stał się fakt, a Bóg, Syn Boży, piekło i niebo to nie były fakty.

Aubert przerwał, pociągnął łyk aperitify i zachichotał jakby do siebie.

— Skoro mowa o niebie, przypomniało mi się, jak kiedyś zaatakowałem koncepcję nieba za pomocą naukowej logiki. Napisałem dla naszej gazety studenckiej krótką pseudonaukową rozprawę, analizując w niej możliwość pójścia do nieba. Zająłem się danymi na temat rozmiarów nieba, jedynymi jakie istnieją. Święty Jan w Apokalipsie pisze tak: „I zmierzył Miasto trzciną poprzez dwanaście tysięcy stadiów: długość, szerokość i wysokość jego są równe”. Innymi słowy, niebo to doskonały sześciąt o boku tysiąca pięciuset mil... używając miary amerykańskiej. Wyliczyłem więc, że zajmuje ono obszar pięciuset kwintylionów stóp sześciennych. Na każdego człowieka, który poszedł do nieba, trzeba liczyć dziesięć stóp sześciennych, żeby mógł stać wyprostowany, co oznaczało, że w niebie może się pomieścić zaledwie pięćdziesiąt kwintylionów ludzi. Jednak od czasów Jana żyło na ziemi i umarło już ponad trzysta sześć sekstylionów ludzi, którzy mieli nadzieję znaleźć się w niebie. Czyli o wiele, wiele więcej, niż mogło się tam zmieścić. Właściwie to przeludnienie w niebie nastąpiło już wieki temu. I co pan na to?

— Załatwił ich pan — odparł Randall ze śmiechem. — Bardzo sprytne.

— Nawet za bardzo — powiedział Aubert. — Bo na końcu okazało się, że to ja zostałem załatwiony. Oczywiście moje naukowe zacięcie było godne podziwu, lecz moja znajomość Biblii pozostawiała wiele do życzenia. W następnym numerze naszego pisma ukazał się zgryźliwy list profesora teologii z Institut Catholique w Paryżu, który zbeształ mnie za niedokładne

przeczytanie Nowego Testamentu. Święty Jan opisywał bowiem nie niebo na wysokościach, lecz tu, na ziemi: „I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową”. Ta wizja nieba była Nową Jerozolimą, prawdziwym Izraelem, z jego dwunastoma bramami i rzekami, i miało tam zamieszkać tylko „dwanaście pokoleń synów Izraela”. Rozmiary tego miasta były więc wystarczające i nie groziło mu przeludnienie. Była to dla mnie nauczka, żeby nie starać się przykładać do Biblii miary naukowej. Lecz oczywiście nie przekonało mnie to, że takie miejsce jak niebo w ogóle może istnieć.

— Podejrzewam, że bardzo wielu ludzi nie jest przekonanych o jego istnieniu — rzekł Randall. — W końcu nie wszyscy są fundamentalistami. Całkiem sporo ludzi, nawet pośród wierzących, nie odczytuje Biblii dosłownie.

— Wciąż jednak nazbyt wielu wierzy w niebo, życie pozagrobowe, osobowego Boga i wszystkie te stare przesady — stwierdził Aubert. — Nie jest to wiara zrodzona z rozsądku, lecz ze strachu, oni się boją nie wierzyć. Lękają się mieć wątpliwości. Ja zawsze miałem wątpliwości, monsieur Randall. Nie chciałem wierzyć i poddać się czemuś, czego nie akceptował mój sceptyczny umysł. Ten sceptycyzm ściągnął na mnie poważne kłopoty, kiedy się ożeniłem z Gabrielle.

— Jak długo jest pan żonaty, profesorze? — zapytał Randall.

— Właśnie minęło dziewięć lat. Moja żona pochodzi ze skrajnie ortodoksyjnej, żyjącej w bojaźni bożej, katolickiej rodziny. Jest głęboko wierząca, tak jak jej rodzice, którzy oboje żyją i którzy bardzo ją zdominowali, szczególnie ojciec. To jeden z najbogatszych przemysłowców i członek świeckiej hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego w Europie. Jest jednym z przywódców Prałatury Świętego Krzyża i Opus Dei, nazywanej potocznie Opus Dei, dzieło Boże. Mniej potocznie i mniej oficjalnie znanej jako Octopus Dei, czyli ośmiornica Boża, ewentualnie Święta Mafia. — Profesor zerknął na Randalla. — Słyszał pan o Opus Dei?

— Nie... nie sędzę.

— A więc krótko. Opus Dei założył w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym w Madrycie hiszpański prawnik, który został księdzem. José Maria Escriv? de Balaguer. Jest to właściwie elitarne i na wpół tajne stowarzyszenie świeckich katolików, ale skupia także księży, stawiające sobie za cel rechrystianizację świata zachodniego. Wymaga ono od swych członków... z których zaledwie dwa procent to księża... by prowadzili życie w duchu chrześcijańskim, według nakazów Ewangelii. Ruch rozprzestrzenił się z Hiszpanii na cały świat, do Francji, Stanów Zjednoczonych i

siedemdziesięciu innych krajów, aż w końcu Watykan musiał go uznać i podjąć z nim współpracę. Opus Dei liczy prawdopodobnie... któż to wie naprawdę... sto tysięcy członków, a może dwukrotnie więcej. Starają się wpływać na gospodarkę, na rządy i politykę, na edukację młodzieży. Ja ich nazywam świeckimi jezuitami. Składają śluby ubóstwa, posłuszeństwa i czystości, które jednakże dla takich ludzi jak mój teść interpretowane są inaczej. Bogaci powinni na przykład wierzyć w cnotę ubóstwa, lecz mogą pozostać bogaci, należy okazywać posłuszeństwo Bogu, ale w razie konieczności można zachować się w sposób niegodny, trzeba żyć w duchu czystości, ale można mieć żonę i dzieci czy nawet kochankę, ponieważ, jak to oni mówią „Czystość to nie celibat”. Ma pan teraz obraz mojego teścia i atmosfery, w jakiej wychowywała się Gabrielle. Rozumie pan?

— Tak, rozumiem — odparł Randall, zastanawiając się, dlaczego Aubert mu o tym wszystkim mówi.

— A więc żona z Opus Dei, a mąż od Renana — ciągnął Aubert. — Kiepska chemia. Byliśmy dla siebie stworzeni, gdyby nie ten konflikt. W ostatnich latach coraz poważniej nabrzmiewała między nami kwestia dzieci. Kościół mówi: rozmnażajcie się. Opus Dei mówi: rozmnażajcie się. Mój teść to samo. W Księdze Rodzaju napisano: „Bądźcie płodni i mnożcie się i zaludniajcie ziemię”. Więc moja żona, skądinąd subtelna kobieta, musi mieć dzieci, i to nie jedno czy dwoje, tylko wiele. Ja natomiast pozostałem naukowcem, świadomym zagrożenia nuklearnego, znającym dane na temat przeludnienia, a poza tym nie mogłem pozwolić, żeby jakaś organizacja, która z uporem sprzeciwia się kontroli urodzin, dyktowała mi, co mam robić. Nie chciałem być przyczyną pojawienia się na świecie kolejnych dzieci, nawet jednego dziecka. Rok temu sytuacja stała się poważna. Żona pod naciskiem rodziców zaczęła się domagać potomstwa. Nie zgodziłem się. Mój teść zaczął namawiać Gabrielle, żeby wystąpiła o unieważnienie małżeństwa. Nie chciała tego, ale chciała mieć dziecko. Ja także tego nie chciałem, ale nie chciałem też dziecka. Szczerze mówiąc, raczej nie przepadałem za dziećmi. Mon Dieu, byliśmy w ślepej uliczce, ale takiej, która mogła skończyć się rozwodem. I wtedy coś się wydarzyło, właściwie to mnie przydarzyło się coś takiego, co rozwiązało konflikt i uratowało moje małżeństwo.

Randall ciekaw był, co się stało, lecz nie naciskał, pozostając biernym słuchaczem.

Aubert po chwili podjął wątek.

— Przed dziesięcioma miesiącami francuski wydawca Międzynarodowego Nowego Testamentu, mój dobry znajomy monsieur Fontaine, zjawił się u

mnie i zapytał, czy chciałbym się zapoznać z efektem badań autentyczności papirusu i pergaminu. Poszedł załatwiać jakieś sprawy, a mnie zostawił francuski przekład Pergaminu Petroniusza i Ewangelii według Jakuba. Oczywiście rozumie pan, że podczas badań nie pokazano mi tych dokumentów w całości, a nawet gdyby, to i tak przecież nie znam aramejskiego. Tak więc zapoznałem się z ich treścią po raz pierwszy dopiero dziesięć miesięcy temu. — Aubert westchnął. — Nie wiem, czy w ogóle potrafię wyrazić słowami, co czułem po przeczytaniu raportu Petroniusza i tekstu Jakuba, szczególnie tekstu Jakuba.

— Chyba to rozumiem — rzekł Randall.

— Nie sędzę, żeby ktokolwiek mógł to zrozumieć. Oto ja, obiektywny naukowiec, sceptyczny wobec tego, co niezbadane, poszukujący prawdy, natrafiłem nagle na tę prawdę. I była to prawda, której prawdziwość jakimś niewytłumaczalnym zrzędzeniem losu, albo opatrności, właśnie ja sam potwierdziłem, zbadałem laboratoryjnie. Teraz już nie mogłem jej zaprzeczać. Jezus stał się rzeczywistością. Jaka była moja reakcja? Jakby to powiedzieć... zostałem odmieniony. Skoro Syn Boży był faktem, to zgodnie z logiką także Bóg był faktem. Po raz pierwszy w życiu, niczym Hamlet zacząłem rozumieć, że sana świecie rzeczy nieznanne naszej nauce i filozofom. Przez całe wieki ludzie wierzyli w Chrystusa bez dowodów, tylko dzięki ślepej wierze, i teraz oto tę ich wiarę miały umocnić fakty. Możliwe wobec tego, że można by uwierzyć także w inne abstrakcje, takie jak dobra wola i boska motywacja w stworzeniu świata albo życie pozagrobowe. Dlaczego nie?

Aubert rzucił Randallowi wyzywające spojrzenie, ten jednak wzruszył tylko ramionami i powtórzył:

— Istotnie, dlaczego nie.

— Wtedy też zrozumiałem po raz pierwszy, monsieur Randall, tych moich kolegów naukowców, którzy potrafili pogodzić wiarę ze światopoglądem naukowym. Na przykład Blaise Pascal w siedemnastym wieku uzasadnił swoją wiarę takim stwierdzeniem: „Serce ma swoje racje, których rozum nie zna”.

— Sądziłem, że Pascal był filozofem — powiedział Randall.

— Oczywiście, ale zajmował się głównie fizyką i matematyką — wyjaśnił Aubert. — Jako szesnastolatek napisał traktat o przecięciach stożkowych. Stworzył podstawy teorii prawdopodobieństwa. Wynalazł pierwszy komputer i wysłał jeden egzemplarz królowej szwedzkiej Krystynie. Zajmował się badaniem ciśnienia atmosferycznego. A jednocześnie wierzył w cuda, ponieważ sam jednego doświadczył. Wierzył w Najwyższą Istotę. Napisał tak:

„Ludzie pogardzają religią i boją się, że nie ma w niej prawdy. By temu zaradzić, należy im najpierw pokazać, że religia nie sprzeczywa się rozumowi, że jest godna czci i warta szacunku, następnie sprawić, by była przyjazna, i szczerze pragnąć, by okazało się to prawdą, na koniec wreszcie dowieść, że jest prawdziwa”. A oto słynny zakład Pascala: albo Bóg istnieje, albo nie istnieje. Czemu by więc się nie założyć? Załóż się, że Bóg istnieje: „Jeśli wygrasz, zyskujesz wszystko, jeśli przegrasz, nie tracisz nic. Zakładaj się tedy, że jest, bez wahania”. Tyle Pascal, ale byli też oczywiście inni.

— Inni?

— Uczeni, którzy godzili rozum z tym, co nadprzyrodzone. Nasz ukochany Pasteur wyznał na przykład, że im bardziej kontempluje tajemnice natury, tym bardziej jego wiara przypomina wiarę bretońskiego chłopca. Albert Einstein także nie widział konfliktu między nauką a religią. Nauka zajmowała się „tym, co jest”, powiadał, religia zaś tym, co „powinno być”. Einstein napisał tak: „Najpiękniejszym i największym przeżyciem, jakie może być dane człowiekowi, jest poczucie tajemniczości. Wrażenie, że za wszystkim, czego doświadczamy, ukrywa się coś, czego nasz umysł nie może ogarnąć i czego piękno i majestat dosięga nas jedynie pośrednio jako słabe odbicie, to jest religijność. W tym sensie jestem religijny”.

Profesor Aubert próbował sprawdzić, jakie wrażenie wywiera na Randallu, i dodał z nieśmiałym uśmiechem:

— W tym sensie ja także zaliczam się do ludzi religijnych, panie Randall. Uznałem nawet za zabawną uwagę Froude'a o tym, że przesady nauki sztydzą z przesądów wiary. Nagle stałem się innym człowiekiem, jeśli nie w mojej pracy, to na pewno w życiu osobistym. Zmieniło się zupełnie moje podejście do żony, do jej odczuć i pragnień, do znaczenia rodziny. Nawet pomyślałem, żeby wydać na świat dziecko... nad tym też się musiałem poważnie zastanowić, no i...

Przerwał mu kobiecy głos.

— Henri, chéri, te voilà?! Excusemoi, chéri, d'etre en retard. J'ai été retenue. Tu dois etre afflarne.

Aubert zerwał się z miejsca, rozpromieniony, i Randall także wstał. Zobaczył młodą kobietę, na oko po trzydziestce, z idealnie utapirowaną fryzurą, o doskonałej twarzy ze starannym makijażem, elegancko ubraną. Kiedy podeszła do ich stolika, Aubert wziął ją w ramiona i ucałował w oba policzki.

— Gabrielle, kotku — rzekł — pozwól, że ci przedstawię mojego gościa z Ameryki. Monsieur Steven Randall pracuje przy projekcie Drugie Zmartwychwstanie w Amsterdamie.

— Enchantée — powiedziała Gabrielle Aubert.

Randall ujął jej dłoń i wówczas dopiero spostrzegł, że żona profesora jest w zaawansowanej ciąży.

Podążyła za jego spojrzeniem i potwierdziła z uśmiechem.

— Tak — przytaknęła, niemal wyśpiewując to słowo. — Henri i ja spodziewamy się dziecka, mniej więcej za miesiąc.

Nocny pociąg do Frankfurtu nad Menem wyruszył z Gare l'Est w Paryżu o dwudziestej trzeciej. Steve Randall miał własny przedział sypialny. Łóżko już było pościelone i natychmiast położył się spać, a o siódmej piętnaście rano obudził go dzwonek i jednocześnie ostre pukanie do drzwi przedziału. Konduktor przyniósł mu tacę z herbatą, biskwitami, masłem i rachunkiem na dwa franki, a także oddał paszport i bilet kolejowy.

Randall podciągnął roletę w oknie i przez następny kwadrans przyglądał się widokom przypominającym kolorową, lecz zmieniającą się dioramę — zielone lasy, betonowe wstęgi autostrad, wysokie, ostro rysujące się budynki, a potem coraz więcej torów, czerwony Schlafwagen na bocznicy i w końcu wieża kontrolna z napisem FRANKFURT/MAIN HBF.

Po wymianie czeków podróżnych na marki w kantorze na dworcu Randall pojechał brudną taksówką do hotelu Frankfurter Hof przy Bethmannstrasse. Zameldował się, zapytał Freulein w recepcji, czy nie ma dla niego poczty, kupił „International Herald-Tribune”, a potem zaprowadzono go do dwupokojowego apartamentu z widokiem na Kaiserplatz.

Był więc w Niemczech, w kraju Henniga, w ciągu niecałych pięćdziesięciu godzin odwiedził już czwarte miasto i czwarty kraj i czuł się tym nieco skołowany.

Samochód z kierowcą od Henniga miał się zjawić za trzy kwadransy, by zawieźć go do Moguncji. Tymczasem zamówił porządne śniadanie, przeczytał gazetę, przejrzał raz jeszcze teczkę z materiałami o Hennigu, zadzwonił do Lori Cook w Amsterdamie, żeby załatwiła przepustkę i jakieś biurko dla Angeli Monti, dowiedział się, że doktor Florian Knight przyjechał przedwczoraj z Londynu razem z profesorem Jeffriesem, i w końcu trzeba było wychodzić.

Jazda z tętniącego życiem Frankfurtu do spokojniejszej Moguncji trwała pięćdziesiąt minut. Kierowca, palący cygaro starszawy

Niemiec, wjechał wykonanym na zamówienie porsche na czteropasmową autostradę przy tablicy z napisem AKFANG 80 KM. Na poboczach stali uginający się pod ciężarem plecaków autostopowicze. Mijali niezliczone wielkie ciężarówki z płóciennymi budami. Czasami pojawiał się policjant na motocyklu, w srebrzystym hełmie. Mijali zielone lasy i niebieskie stacje benzynowe, pomarańczowożółte drogowskazy z czarnymi strzałkami do miasteczek i wsi, małe lotniska, gospodarstwa, szare plujące dymem fabryki, aż w końcu pokazał się napis: RUDESHEIM/MAINZ/BITTE. Zjechali z autostrady i po przekroczeniu jednego ceglaneanego mostu nad torami i drugiego nad szeroko rozlanym Renem znaleźli się w Moguncji.

Pięć minut później stanęli przed nowoczesnym, sześciopiętrowym, narożnym biurowcem z dwójgiem obrotowych drzwi.

— Das ist die Hennig Druckerei, hier, mein Herr — oznajmił kierowca.

Nareszcie, pomyślał Randall. Zobaczy zaraz Międzynarodowy Nowy Testament, jak na ostatniej próbie kostiumowej, przed przekazaniem całego nakładu do dystrybucji. Żałował, że profesor Monti lub Angela — właściwie głównie Angela — nie może być tutaj z nim, by ujrzeć, jak marzenie zrodzone w ruinach starożytnej Ostii spełnia się we współczesnym niemieckim mieście Moguncji.

Randall otworzył drzwiczki, żeby wysiąść, gdy kątem oka dostrzegł postać wyłaniającą się z budynku jednym z wyjść. Postać jakby znajomą. Mężczyzna o bladej cerze, oczach łasicy i z krótką bródką przystanął, by zapalić papierosa, i kiedy wkładał go do ust, obnażył wystające zęby. Randall natychmiast cofnął się do wnętrza auta, żeby nie zostać zauważonym.

To był Cedric Plummer z „London Daily Courier”.

Randall skulił się na tylnym siedzeniu i czekał. Plummer wypuścił z ust obłok dymu, nie rozglądając się, przeszedł na światłach na drugą stronę ulicy i po chwili zniknął mu z oczu.

Cedric Plummer w Moguncji, wychodzący z kwatery głównej drukarza i producenta Słowa, z fortecy, która miała ochraniać księgę!

Cóż to, u diabła, miało oznaczać?

Nie tracąc już więcej czasu, pospieszył do budynku, gdzie recepcjonistka w niebieskim żakiecie zawiozła go windą na górę i poprowadziła wyłożonym marmurem korytarzem do dyrektorskiego gabinetu.

W przestronnym biurze, jakby żywcem przeniesionym ze Skandynawii, powitał go miążdżącym uściskiem dłoni Karl Hennig, drukarz w zespole Drugiego Zmartwychwstania.

— Willkommen! — ryknął głębokim, chrapliwym głosem, od którego aż drżały bębenki w uszach. — Świetnie, że w końcu się pan zjawił w mieście Jana Gutenberga, który odmienił oblicze świata, tak jak niedługo odmieni je ponownie Karl Hennig.

Niemiecki drukarz przypominał z postury zapaśnika. Ostrzyżony krótko, na modłę pruską, miał nieproporcjonalnie dużą głowę, twarz apoplektyka, która wyglądała jak zdefasonowana potężną pięścią, oczy osadzone głęboko w oczodołach, kartoflowaty nos, spękane suche usta i gruby kark. Wypisz wymaluj zapaśnik sumo, ubrany w garnitur z szarego jedwabiu. Powitał Randalla z radością, nie tylko jako współpracownika w tajnym projekcie, lecz także jako Amerykanina. Herr Hennig lubił bowiem Amerykanów, szczególnie obrotnych biznesmenów, i szczyił się tym, że jego angielski jest amerykański, nie brytyjski, i to bez niemieckiego akcentu, choć z żalem przyznał, że rzadko ma okazję się nim posługiwać.

— Bitte, setzen Sie sich, proszę, niech pan siada — powiedział, podsuwając Randallowi wygodny skórzany fotel, stojący między biurkiem a ścianą, zakrytą całkowicie ogromną reliefową mapą Moguncji z napisem na srebrnej tabliczce: Anno Domini 1633 bei Merian. — Napijemy się czegoś, prawda? — wychrypiał, podchodząc do dębowego bufetu, mieszczącego w środku barek i małą lodówkę. Nalał szkockiej do szklaneczek z kostkami lodu i jedną podał Randallowi, a sam usadowił się z drugą na wielkim dyrektorskim fotelu za biurkiem. Mówił właściwie bez przerwy i nawet przypomniał Randallowi o włączeniu dyktafonu.

— Mój ojciec założył tę firmę, ponieważ nie mógł znieść głupoty niemieckich drukarzy — oznajmił. — Jedni dostarczali do sklepów papier listowy, a inni koperty, które w ogóle do niego nie pasowały, więc ojciec zaczął drukować papier i koperty w kompletach i dorobił się na tym fortuny. Po jego śmierci... a właśnie zaczynał rozkręcać druk książek... ja przejąłem biznes. Nie interesowała mnie papeteria i skoncentrowałem się całkowicie na książkach. Obecnie mam pięciuset pracowników. No cóż, trzeba powiedzieć, że Karl Hennig radzi sobie całkiem nieźle.

Randall starał się okazywać miną, że robi to na nim wrażenie.

— Na szczęście — ciągnął Hennig — siedziałem kiedyś dość głęboko w branży biblijnej i chyba to skoniło profesora Deichhardta do zaproponowania mi tej roboty. W Niemczech większość wydań Biblii drukuje się w Stuttgarcie, ale są to byle jakie wydania. Ja trzymałem się od nich z daleka, wolałem zostać w Moguncji, pod okiem Gutenberga. Moguncja jest lepiej położona, mniej więcej pośrodku między Hamburgiem i Monachium, i łatwiej

stąd prowadzić dystrybucję. Zostałem więc tutaj i postarałem się zgromadzić w firmie prawdziwych drukarzy, tych nielicznych, którzy szanują swój fach, którzy drukarstwo mają we krwi. Stworzyliśmy razem kilka najwspanialszych bibliofilskich edycji Pisma Świętego. I chociaż później musiałem odejść od Biblii, gdyż przynosiło to zbyt mały dochód, udało mi się na szczęście zatrzymać kilku doświadczonych weteranów, więc kiedy wypłynęła sprawa z Międzynarodowym Nowym Testamentem, dysponowałem załóżkiem fachowej ekipy.

— Ile czasu zajmie panu wydrukowanie tej Biblii? — zapytał Randall.

— Niech pomyślę. — Hennig cmoknął z namysłem ustami. — Może powiem tak. Biblia to cholernie gruba księga. Jeżeli robi się całość, Stary Testament i Nowy, to oznacza wydrukowanie około siedmiuset siedemdziesięciu pięciu tysięcy słów, czyli sześciu... siedmiu ksiąg o typowej czcionce. Jeżeli czas nas nie goni, mniej więcej rok zajmuje zaprojektowanie czcionki i formatu, jakieś dwa lata skład i próbne wydruki, i niecały rok ostateczny druk i oprawa. Cztery lata, no ale to przy całej Biblii. Teraz robimy tylko Nowy Testament. Jest cieńszy od Starego i mniej pracochłonny, ale za to wykonujemy go z wielką starannością i artyzmem. Nowy przekład Starego Testamentu, który jest dłuższy, wydrukujemy później, już bez tej presji czasu. Zresztą tak na marginesie, pierwsza edycja Nowego Testamentu jest limitowana, wie pan o tym?

— Limitowana?

— Ależ oczywiście, to tak zwana edycja kaznodziejska, w czterech językach, lecz przeznaczona tylko dla duchowieństwa, dziennikarzy i przywódców politycznych, dla niewielkiej grupy odbiorców. Kiedy ją wypuścimy, każdy z wydawców zajmie się w swoim kraju drukiem tańszego, ogólnodostępnego wydania, i ja zrobię to samo w Niemczech. Na razie spędziłem ponad rok na projektowaniu tej drugiej edycji, a druk i oprawa nie potrwają dłużej niż pół roku.

— Co sprawiło panu najwięcej problemów?

— Papier. Przy druku Biblii zawsze problemy stwarza papier, oczywiście mam na myśli wydanie popularne. Tekstu jest tak cholernie dużo, nawet w cieńszym Nowym Testamencie, że nie można użyć zwykłego papieru. Musi być lekki i cienki, ale nie za cienki, żeby tekst nie przebijał na drugą stronę. No i musi być trwały, przecież ludzie często używają jednej Biblii przez całe swoje życie. Jednocześnie koszt też nie może być zbyt wysoki. No, ale do tej pierwszej edycji użyjemy papieru najwyższej jakości.

— Kiedy cały nakład ma być gotowy?

— Mam nadzieję, że za dwa tygodnie.

— A co z bezpieczeństwem? — zapytał jakby od niechcienia Randall. — W Krasnapolskim w Amsterdamie ochrona jest bardzo czujna. A jak pan sobie tutaj radzi z ukryciem operacji przed wzrokiem ciekawskich?

Niekształtne oblicze Henniga ułożyło się w ponury grymas.

— Trudna sprawa, psiakrew — mruknął. — Strasznie to upierdliwe i kosztowało mnie majątek. Powiem panu, co zrobiłem. Mamy tu w sąsiedztwie kilka drukarni. Największą z nich podzieliłem na połowę i odizolowałem od reszty budynku, postawiłem strażników i zatrudniłem tam moich najlepszych i najstarszych zaufanych drukarzy. Nawet kupiłem dwie kamienice na mieszkania dla nich i ich rodzin, i też obstawiłem je strażnikami. Było kilka nerwowych chwil, ale ogólnie jest w porządku, operacja jest ściśle chroniona. Wierz mi, Steve... mogę panu mówić Steve?... że dzięki mojej czujności nikt z zewnątrz nie ma pojęcia, co tutaj robimy.

— Na pewno nikt? — rzucił Randall cicho.

Hennig spojrzał na niego wilkiem, kompletnie zaskoczony.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Steve?

— Chcę powiedzieć, że widziałem, jak Cedric Plummer wychodził z tego budynku, kiedy ja wchodziłem.

— Plummer? — Hennig był wyraźnie zmieszany. — Ty znasz Plummera?

— Próbował mnie przekupić, jak tylko przyjechałem do Amsterdamu. Chciał, żebym wykradł dla niego próbny wydruk. Zależy mu na tym, żeby napisać o nowej Biblii przed nami, po swojemu, co oczywiście zniszczyłoby naszą kampanię.

— No cóż, Plummer to odrębny przypadek — bąknął Hennig, który już się opanował. — Jako jedyny zdołał się co nieco dowiedzieć. Ale możesz mi wierzyć, że ten mały sukinsyn nie zdobędzie nawet pół egzemplarza od Karla Henniga. Mogę to przysiąc na grób mojego ojca.

— A jednak wszedł do budynku — nie ustępował Randall.

— Nikt go tutaj nie zapraszał i nikt z nim nie będzie rozmawiał — wychrypiał Hennig. — Oczywiście, że chce wykraść egzemplarz. Dzwonił do mnie trzy razy, z Londynu i Amsterdamu. Czytałem ten jego cholerny wywiad z de Vroome'em we „Frankfurter Allgemeine” i nie chciałem w ogóle z nim rozmawiać. Ale wczoraj zadzwonił po raz czwarty i tym razem odebrałem, żeby mu osobiście powiedzieć, że ma się odczepić. Chciał zrobić ze mną wywiad. Ostrzegłem go, że jeśli się pojawi w promieniu dziesięciu kilometrów od firmy, to każę go zastrzelić. Mimo to dzisiaj przyszedł niezapowiedziany. Kiedy sekretarka poinformowała mnie, że stoi przed jej

biurkiem, byłem wściekły, miałem ochotę wyjść i skopać mu tyłek. Nie martw się, nie straciłem głowy, po prostu kazałem sekretarce pozbyć się go, nie wpuściłbym gnojka za próg tego pokoju. W końcu zrezygnował i poszedł sobie. Wierz mi, Steve, że...

Hennig obrócił się na krześle i sięgnął po fotografię kobiety, stojącą na szafce z telewizorem. Wstał i podszedł ze zdjęciem w ręce do Randalla.

— Nikt nie poświęcił więcej niż ja, żeby ten projekt się powiódł — powiedział. — Spójrz na tę fotografię.

Randall ujrzał portret zmysłowej, teatralnie upozowanej młodej kobiety przed trzydziestką. W dolnym prawym rogu widniała dedykacja: *Meinem geliebten Karl von deiner Helga*.

— Poznajesz tę twarz? — zapytał Niemiec.

Istotnie, wydawała mu się znajoma. Wyłączył magnetofon.

— To chyba jest niemiecka aktorka, która grała w...

— Tak, to ona — wszedł mu w słowo Hennig. — Widziałeś ją na pewno w wielu filmach. Helga Hoffmann. — Odstawił fotografię na miejsce i stał, podziwiając ją. — Jestem kawalerem, Steve — oznajmił — a ona była jedyną kobietą, z którą chciałem się w ogóle ożenić. Spotykaliśmy się przez dwa lata. Helga jest głęboko zaangażowana w swoją pracę i pewnie zbyt ambitna, by myśleć o małżeństwie, w każdym razie obecnie. Powiedziała mi jednak, że pod pewnymi warunkami mogłaby ze mną zamieszkać. — Hennig znów spojrzał na zdjęcie. — Niestety aktorki wysoko mierzą. Helga marzy o willi i własnym jachcie na Riwierze, w St Tropez, lecz nie ma dość pieniędzy na takie ekstrawagancje. Gdybym spełnił jej marzenia, na pewno zrobiłoby to na niej wrażenie. Właściwie wiem, że mógłbym wówczas dostać od niej wszystko, czego pragnę. — Hennig sposepniał. — Powiesz może, że to nie miłość, Steve, ale mnie by to wystarczyło. Nie jestem człowiekiem sentymentalnym, lecz praktycznym. Niczego nigdy nie pragnąłem bardziej od tej kobiety. To znaczy, było tak, dopóki nie wyniknęła sprawa z Biblią. W rezultacie okazałem się nie tyle praktyczny, co próżny. Skupiłem się na tym, żeby moje nazwisko zostało związane z Międzynarodowym Nowym Testamentem. Nie wiem dlaczego, może chciałem coś udowodnić ojcu, który i tak już nie żyje. A może chciałem zapewnić sobie swego rodzaju nieśmiertelność? Tak czy inaczej zajęcie się Biblią wymagało takich nakładów finansowych, że przynajmniej na razie nie mogę obdarować Helgi.

— A może Helga mogłaby poczekać? — zapytał Randall.

— Nie wiem. Może po prostu ktoś inny, w Berlinie czy Hamburgu, zapewni jej luksusy, których ona pragnie. Zobaczymy. Chcę w każdym razie

powiedzieć, Steve, że skoro postanowiłem już zostać drukarzem najważniejszej Biblii w historii, nie zamierzam dopuścić, żeby cokolwiek zagroziło temu przedsięwzięciu. I z całą pewnością dla zyskania wątpliwego rozgłosu nie ujawnię tekstu jakimś Plummerom ani innym podobnym, za żadną cenę. Wierzysz mi?

— Wierzę.

— Mam nadzieję, że wyłączyłeś ten cholerny dyktafon podczas moich osobistych dywagacji.

— Był wyłączony.

— Czuję, że będziemy się dobrze dogadywać — mruknął Hennig. — Chodźmy, pokażę ci teraz drukarnię, w której właśnie drukuje się Nowy Testament. To jeden z trzech zakładów, które tutaj mamy, a tuż obok jest Muzeum Gutenberga. Zostało nam jeszcze trochę czasu do lunchu.

Wyszli w milczeniu z gabinetu Henniga, a na ulicy Randall odruchowo zaczął się rozglądać, czy gdzieś nie czai się Cedric Plummer, żeby dopaść drukarza. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Poszli piechotą, a Hennig pomimo okazałej postury narzucił takie tempo, że Randall po minięciu dwóch przecznic zaczął się pocić.

Niemiec zatrzymał się w końcu przy dziedzińcu nowoczesnego, trzypiętrowego budynku i spojrzał na swój złoty zegarek.

— Mamy jeszcze czas na krótkie zwiedzanie — powiedział. — Wejźmy do środka.

— Co tutaj jest? — zapytał Randall.

— Ach, wybacz, Steve. Spędzamy tu tyle czasu... To nasze Muzeum Gutenberga. Możesz włączyć dyktafon, podam ci trochę informacji do twoich artykułów.

Na otwartym dziedzińcu, naprzeciwko przeszklonej gabloty informacyjnej stało na cokole brązowe popiersie przedstawiające dość posepnego Jana Gutenberga z sumiastym wąsem i przystrzyżoną bródką.

Hennig machnął lekceważąco ręką w stronę posagu.

— To nic niewarte — rzekł. — Stoi tu tylko dla turystów. Nikt tak naprawdę nie wie, jak on wyglądał, nie zachował się żaden wizerunek z jego czasów. Jest tylko jedna grafika, wykonana szesnaście lat po jego śmierci, znajduje się w Paryżu. Wygląda na niej zupełnie inaczej. Ma gniewną twarz, podkreślony wąs i dłuższą brodę, rozwidloną na końcu jak u chińskiego mędrca. Wiemy, że był sfrustrowanym, ale cholernie twardym człowiekiem. Kiedyś miasto było mu winne pieniądze i z tego powodu Gutenberg pobił

jakiegoś urzędnika. Oczywiście wylądował w więzieniu. Są na to dowody. Ale poza tym niewiele o nim wiadomo.

Weszli przez szklane drzwi na parter muzeum. Hennig przywitał bileterkę i przyjął pełen szacunku salut strażnika w granatowej kurtce z czerwonymi wyłogami.

— Jestem w zarządzie muzeum — zwrócił się do Randalla — i wśród sponsorów. Kolekcjonuję rzadkie wydania Biblii. Wiedziałaś o tym? Mam jeden z zachowanych egzemplarzy czterdziestodwuwersowej Biblii. Przypuszczam, że mógłbym ją sprzedać za ponad milion dolarów i kupić Heldze jej wymarzoną willę, a wówczas byłaby moja. Ale nie zrobię tego. Spójrz tutaj, Steve.

Poprowadził Randalla do wielkiej mapy świata wiszącej na ścianie. Widniało pod nią siedem guzików oznaczonych datami: 1450, 1470, 1500, 1600, 1700, 1800 oraz napisem Dziś.

— Naciska się guzik i na mapie zapalają się światełka ilustrujące rozwój drukarstwa na świecie — wyjaśnił Hennig i nacisnął 1450. Zapaliła się jedna lampka. — Widzisz? Tylko Moguncja. — Nacisnął 1470 i zapaliło się kilka lampek. — Drukarnstwo się rozwija — rzekł z zadowoleniem. — A teraz nacisnę Dziś, popatrz. — Mapa rozbłysła niczym przeładowana światełkami choinkowa dekoracja. — Wynalezienie druku nastąpiło tak późno między innymi dlatego — tłumaczył dalej Hennig — że tak niewielu ludzi na świecie potrafiło czytać i pisać. Ale w czasach Odrodzenia potrzeba stała się matką wynalazku, a kiedy to się dokonało, nic już nie mogło powstrzymać rozwoju słowa drukowanego. Na początek ukazała się Biblia, a potem słowniki i kroniki. O wiele tańsze od rękopisów wychodzących spod rąk kopistów, kaligrafów i iluminatorów. Gutenberg prawdopodobnie właśnie dlatego wynalazł ruchomą metalową czcionkę, żeby odebrać monopol kopistom i samemu zarobić pieniądze. Tyle że odkąd zajął się drukarstwem, bez przerwy był po uszy w długach. Hennig rozejrzał się po sali.

— Na parterze mamy jeszcze inne eksponaty — powiedział. — Na przykład replikę warsztatu Gutenberga i jego ręcznej prasy. Ale nie wiemy, czy jest rzetelna, bo nie zachował się żaden opis jego drukarni. Możemy to sobie podarować, Steve, szkoda czasu. Chodźmy na chwilę na górę, jedną rzecz koniecznie musisz zobaczyć. Nie wyłączaj nagrywania.

Weszli po szerokich schodach, a na piętrze Hennig zapytał o coś strażnika i otrzymał odpowiedź.

— Doskonale — powiedział. — Przewodniczka akurat oprowadza grupę. Chodźmy, Steve.

Randall wszedł za nim do ciemnego, dużego pomieszczenia. W jednej ze ścian znajdowały się cztery podświetlane witryny. Wyeksponowano w nich kolekcję ręcznie pisanych Biblii, pieczołowicie wykaligrafowanych przez klasztornych skrybów przed rokiem tysiąc czterysta pięćdziesiątym. Hennig zniżył głos.

— Dwom mnichom wykonanie takiej Biblii zajmowało ponad dwa lata — powiedział. — A jeden z pierwszych drukarzy po Gutenbergu w ciągu dwóch miesięcy wyprodukował dwadzieścia cztery tysiące egzemplarzy księgi Erazma.

Niemiec poprowadził go w głąb sali i Randall spostrzegł przed szklaną gablotą przysadzystą młodą kobietę, tłumaczącą coś małej grupce zwiedzających. Gdy podszedł bliżej, zobaczył tabliczkę z napisem: DIE GUTENBERG-BIBEL MAINZ 1452—1455. Jasny reflektor oświetlał leżącą za szkłem Biblię Gutenberga.

Młoda przewodniczka skończyła mówić po niemiecku i spojrzawszy na Randalla, natychmiast zaczęła monotonnym głosem przemowę po angielsku:

— Sporządzenie bogato iluminowanej Biblii, takiej jaką widać w gablocie po prawej, zabierało mnichom trzydzieści do czterdziestu lat. Jan Gutenberg na swej ręcznej prasie wydrukował w ciągu trzech lat dwieście dziesięć takich Biblii. Na świecie istnieje obecnie czterdzieści siedem zachowanych egzemplarzy lub ich fragmentów... w Nowym Jorku, Londynie, Wiedniu, Paryżu, Waszyngtonie, a także na Harvardzie, Yale i w Oksfordzie. Biblia, którą tutaj widzimy, to drugie wydanie, na papierze welinowym, warte milion marek niemieckich, czyli dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Na każdej stronie są dwie kolumny po czterdzieści dwa wersy. Gutenberg zaczął od Biblii trzydziestosześciowersowej, którą jednak wydał dopiero później. Tę wydał w całości, a w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym wydrukował pierwszy na świecie łaciński słownik Catholicon Balbusa.

Przewodniczka przeszła teraz na język francuski i Randall poczuł, że Hennig szarpie go niecierpliwie za rękaw. Ruszył za nim i po chwili znaleźli się w oświetlonej części muzeum.

— Ciekawe to było — powiedział Randall.

— Kompletne banialuki — burknął Niemiec. — Nie istnieje ani cień dowodu, że to Gutenberg lub jakiś inny człowiek samodzielnie wynalazł druk w takiej formie, w jakiej jest znany dzisiaj. Na podstawie pośrednich dowodów możemy wydedukować, że wymyślił ruchomą czcionkę. Ja też wierzę, że tak było, choć nie potrafiłbym tego dowieść. Istnieje trzydzieści uznanych dokumentów z tamtego okresu, które wspominają o nim, lecz tylko

trzy z nich napomykają o jego związkach ze sztuką druku. I cóż nam mówią te teksty? — Hennig zawiesił głos, jakby zwracał się z tym pytaniem do dyktafonu Randalla. — Nagrywasz to? — zapytał.

— Oczywiście.

— To dobrze, bo te informacje mogą ci się przydać. Wynika z tych dokumentów, że Gutenberg pochodził z rodziny mieszczańskiej, a jego ojciec nazywał się Gensfleisch... wówczas było w zwyczaju przybieranie nazwiska matki. Gutenberg pracował jako złotnik. Był oskarżony przez kobietę o imieniu Anna o złamanie obietnicy małżeństwa. Na dziesięć lat wyprowadził się z Moguncji do Strasburga i w tym okresie zlecił prawdopodobnie budowę urządzeń drukarskich. Wrócił do Moguncji, gdzie pożyczył od różnych osób dwa tysiące guldenów na jakiś duży projekt, najpewniej czterdziestodwuwersową Biblię. Istnieje zapis, że pożyczył pieniądze na maszyny do druku książek. Ale czy chodziło o słynną Biblię?

— Ta młoda przewodniczka powiedziała, że tak.

— Zapomnij o niej i słuchaj Karla Henniga. Poza patriotycznymi wywodami tej młodej damy nie ma nawet skrawka dowodu, że miał w ogóle związek z drukowaniem tej wielkiej Biblii, kojarzonej z jego nazwiskiem. Prawdopodobnie wyprodukował ją Johann Fust, człowiek, który wspierał finansowo Gutenberga, oraz drukarz nazwiskiem Peter Schoeffer. Datę śmierci Gutenberga, tysiąc czterysta sześćdziesiąty siódmy lub sześćdziesiąty ósmy rok, znamy tylko dlatego, że człowiek, który pożyczył mu sprzęt drukarski, zwrócił się do arcybiskupa o zwrot „pewnych form, liter, instrumentów, narzędzi i innych przedmiotów rzemiosła drukarskiego, które Gutenberg pozostawił po swej śmierci, a które należały i wciąż należą do mnie”. No i to właściwie wszystko, Steve. Niewiele więcej od tego, co wiedzieliśmy o Jezusie przed odkryciem Ewangelii Jakuba.

— Zakładając, że Gutenberg jednak coś wynalazł, co to dokładnie było?

— W uproszczeniu, wynalazł formę do odlewu czcionek. Była to forma miedziana, ja używam trwalszej, stalowej. Gutenberg wyrzeźbił pojedyncze czcionki. Wyciął sztance. Podniósł powierzchnię liter, żeby tworzyły relief. Zauważył, że litera musi być odwrócona, żeby wydrukowała się prawidłowo. Wymyślił tacę, czy też formę do trzymania czcionek. No i na koniec wynalazł sposób, który pozwalał na ponowne pokrycie matrycy farbą i wykonanie następnej odbitki. Jego wynalazkiem był więc mechaniczny druk i dzięki niemu jestem tu dzisiaj z tobą, a Ewangelia Jakuba będzie wkrótce powszechnie czytana i może zmieni ludzkość.

Kiedy wyszli z muzeum i ruszyli słoneczną ulicą, Hennig przypomniał Randallowi o włączeniu dyktafonu.

— Przed zwiedzaniem drukarni chcę ci opowiedzieć, co tam robimy — rzekł. — Dla tej specjalnej edycji kaznodziejskiej stworzyłem czcionkę, którą nazwałem czternastopunktowym Nowym Gutenbergiem. Wyjaśnię ci to. Gutenberg, przygotowując trzydziestosześciowersową Biblię, wycinał czcionki tak, by imitowały litery z ksiąg ręcznie odbijanych przez mnichów. Użył kroju gotyckiego, który w Niemczech nazywamy Textur, ponieważ ma się wrażenie, że tekst jest wpleciony w stronicę. Efekt jest bardzo artystyczny i przyjemny dla oka, lecz taka czcionka wyglądałaby dzisiaj dziwnie. Gotyki jest zbyt ciężki, z zawijasami i spiczastymi narożnikami. Wymyśliłem więc krój, który tylko kojarzy się z gotykiem, jest bardziej obły i przejrzysty, bardziej współczesny. A oto i nasza drukarnia. Chodź, rzucimy okiem.

Po przejściu przez punkt kontrolny — Randall nie zapomniał wziąć ze sobą czerwonej karty — weszli do wielkiej i głośnej hali i krętymi schodkami wspięli się na stalowy pomost, biegnący przez całą długość ściany. W dole stały cztery maszyny drukarskie i uwijało się kilkudziesięciu pracowników w niebieskich kombinezonach. Karl Hennig zaczął znów mówić, przekrzykując łoskot maszyn.

— To, co widzisz, to dwie maszyny arkuszowe, te bliżej nas, a dwie pozostałe to maszyny drukujące z roli. Właśnie drukują się stronicę limitowanej edycji kaznodziejskiej. Arkusze schodzą z maszyn, są składane, zszywane i przycinane. Następnie dokłada się do tego przygotowane już okładki i oprawione książki jadą do magazynów. Gotowe egzemplarze będą czekały w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Monachium i Mediolanie aż do dnia, w którym obwieścicie światu o odkryciu i o nowej Biblii.

Hennig spojrzał w dół i pokiwał ręką kilku starszym pracownikom, a oni odpowiedzieli mu serdecznymi gestami, co sprawiło mu wyraźną przyjemność.

— To moi weterani, najbardziej godni zaufania — powiedział z dumą. — Te dwie maszyny drukują wersję angielską, a tamte francuską. W hali obok kończą drukować wersję niemiecką i włoską.

Randallowi przyszedł na myśl pewien problem logistyczny i postanowił o to zapytać.

— Karl, za trzy czy cztery tygodnie to wszystko będzie już powszechnie znane i miliony ludzi będą chciały zdobyć dla siebie egzemplarz Międzynarodowego Nowego Testamentu. Skoro wydanie popularne będzie

robione później, osobno w pięciu krajach, to jak chcecie zdążyć z dostarczeniem tak wielkiej liczby egzemplarzy, gdy popyt sięgnie szczytu?

— No tak, nie mówiliśmy jeszcze o tym — zreflektował się Hennig. — Zaraz wyjaśnię. Do wydania popularnego musimy zrobić cały skład od nowa. Nie możemy tego uczynić przed ogłoszeniem wszystkiego publicznie, bo nie moglibyśmy już gwarantować bezpieczeństwa. Dlatego zaczniemy składać wydanie popularne dopiero w dniu twojego wystąpienia. Gdybyśmy składali tekst tak jak przy edycji limitowanej, na linotypach obsługiwanych przez ludzi, trwałoby to miesiąc albo dwa. Ale wydanie popularne będzie składane elektronicznie, metodą CRT, fenomenalnie szybko. CRT to skrót od cathoderay tube. Skład całej Biblii, Starego i Nowego Testamentu, metodą elektroniczną potrwałoby siedem i pół godziny. Ponieważ Nowy Testament to jedna czwarta całości, w systemie CRT złożymy go w ciągu dziewięćdziesięciu minut. Minut, rozumiesz, nie dwóch miesięcy. Na drugi dzień ruszamy z drukiem i kilka milionów egzemplarzy tańszego wydania trafi do księgarń co najmniej miesiąc przed Bożym Narodzeniem. Chodź, pokażę ci resztę drukarni, tę drugą połowę, w której prowadzę normalną komercyjną produkcję.

Zeszli z pomostu i rozpoczęli obchód po mniejszych halach. Randall stopniowo zaczął wyczuwać wiszącą w powietrzu dziwną, niewytłumaczalną niechęć, niemal wrogość. Młodzi drukarze odpowiadali na pozdrowienia Henniga zdawkowo i bez uśmiechu. Kiedy próbował ich zagadywać, okazywali się nagle bardzo zajęci pracą lub odpowiadali monosylabami. Mijając jedną z takich grup, Randall uchwycił kątem oka, że robią w kierunku swego szefa obsceniczne gesty i usłyszał, jak któryś mruknął: Lausiger Kapitalist. Knauseriger Hundsfott. Nie zrozumiał znaczenia, lecz czuł, że nie życzą Hennigowi dobrze.

Kierowali się już do wyjścia, gdy do Henniga podszedł strażnik i powiedział coś półgłosem, z zatroskaną miną.

— Przepraszam, zaraz wrócę — rzekł Niemiec do Randalla. — Mamy mały problem.

Randall poszukał toalety i stanął przed jednym z dwóch pisuarów. Drugi zajmował jakiś pracownik biura w białej koszuli. Na ścianie przed sobą Randall zobaczył toporną karykaturę Henniga, namalowaną pisakiem. Przedstawiała nagiego właściciela drukarni z penisem zamiast głowy, z dwoma workami złota w rękach, miażdżącego obutą nogą głowę robotnika. Obok ktoś nabazgrał: Henig ist ein schmutziger Ausbeuter der Armen und der Arbeiter!

Randall spojrział na mężczyznę obok, który zapinał już rozporek.

— Czy mówi pan po angielsku? — zapytał.

— Trochę.

— Co to znaczy? — pokazał hasło na ścianie. Urzędnik zawahał się.

— To niezbyt uprzejme...

— Nie szkodzi.

— Hennig to podły wyzyskiwacz ubogich i robotników. Randall z niepokojem w sercu opuścił toaletę i ruszył korytarzem odszukać swego gospodarza. Znalazł go za rogiem. Hennig, podparty pod boki, przyglądał się z ponurą miną, jak jeden z pracowników zamalowuje podobną jak na ścianie toalety karykaturę i napis.

— Czułeś, że coś tu nie gra, co? — zapytał Niemiec, bynajmniej niezakłopotany.

— Widziałem ten sam rysunek na ścianie w ubikacji — odrzekł Randall.

— Widziałeś też na pewno, jak zachowują się wobec mnie młodszy pracownicy.

— Obawiam się, że trudno tego nie zauważyć, Karl. I nie usłyszeć pewnych rzeczy.

— Słyszałeś, tak? Słyszałeś lausiger Kapitalist, prawda? I knauseriger Hundsfott też? Tak, nazywają mnie ohydny kapitałistą i skurwysyńskim kutwą. Jakbyś pochodził dłużej po drukarni, usłyszałbyś jeszcze Geizhals, dusigrosz, oraz unbarmherziger Schweinehund, bezwzględny sukinsyn. Teraz pewnie mylisz, że Karl Hennig to jakiś potwór, co?

— Niczego nie myślę. Po postu nie rozumiem, o co chodzi.

— Wszystko ci wytłumaczę — zapewnił Hennig. — Chodźmy stąd. Zarezerwowałem stolik w restauracji hotelu Meinzer Hof i nie chciałbym się spóźnić. Ktoś jeszcze zje z nami lunch.

Wyszli na ulicę i Hennig przystanął.

— To tylko sześć przecznic stąd — powiedział — ale jeżeli jesteś zmęczony, możemy wziąć samochód.

— Przejdźmy się.

— To dobrze, bo po drodze będę mógł ci wyjaśnić to, co zobaczyłeś. Wyłącz proszę dyktafon, niech to zostanie między nami.

Randall pstryknął wyłącznikiem i przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu. W końcu Hennig zaczął mówić.

— Zawsze byłem... i nie ukrywam tego... dość twardym szefem. W powojennych Niemczech było to konieczne do przetrwania. Wojna nas spustoszyła, a potem mogli przetrwać tylko najsilniejsi. Warunkiem

przetrwania są pieniądze, dużo pieniędzy, i zająłem się drukiem Biblii tylko z tego powodu, że był na nią duży popyt. Na drogich wydaniach można się było naprawdę wzbogacić. Zyskałem więc sobie reputację dobrego drukarza książek religijnych. Potem coś się wydarzyło.

Niemiec zatopił się w myślach i przez kilka minut znowu szli w milczeniu.

— Po prostu zainteresowanie religią w Niemczech zaczęło słabnąć — podjął Hennig. — Nie tak wiele lat temu ludzie ubodzy, gnębieni, a także związani z nauką zaczęli głosić, że Bóg jest martwy. Wpływ religii się kurczył, a wraz z tym malał popyt na Biblię. Zorientowałem się, że nie przetrwam, jeżeli jakoś nie powetuję sobie strat spowodowanych malejącą sprzedażą, że nie mogę zostawić wszystkich jajek w kościelnym koszyku. Zacząłem się stopniowo przerzucać na druk tanich książek, popularnych powieści, także pornografii. Tak, w Niemczech rynek pornografii mocno się wówczas rozwijał i byłem gotów ją drukować dla zapewnienia sobie dopływu gotówki. Za nic nie chciałem popaść w ubóstwo i stać się bezradnym, chciałem mieć pieniądze, i to dużo. Poza tym, przyznaję, wiązałem się wówczas z wieloma kobietami, kosztownymi młodymi kobietami, a potem pojawiła się Helga Hoffman. Na takie życie potrzebowałem gotówki. Zaczynasz rozumieć, Steve?

— Obawiam się, że nie — odparł Randall.

— No tak, oczywiście. Nie znasz po prostu mentalności niemieckiego rzemieślnika. Z powodu tej drastycznej zmiany, z Biblii na pornografię, popadłem w poważny konflikt z moimi pracownikami i ich radą pracowniczą. Zarówno młodzi, jak i starzy mieli za sobą długą drukarską tradycję rodzinną, szczylicili się swoim rzemiosłem, swoim fachem i tym, co wychodzi spod ich rąk, było to dla nich niemal ważniejsze od zarobków. Ich ojcowie i dziadkowie pracowali zawsze dla wydawców dzieł religijnych i praca u mnie była dla tych ludzi powodem do dumy. A teraz niemal porzuciłem Biblię i zająłem się drukiem tanich książek bez żadnej wartości. To ich frustrowało, czuli się zdegradowani. Nie podobało im się także to, że zmienił się system pracy. Masowa produkcja wymagała od nich większego tempa, większego wysiłku. Stopniowo zaczęli się coraz bardziej buntować, zaczęli nawet mówić o strajku. W moich drukarniach jeszcze nigdy nie było strajku, a moi najlepsi pracownicy nie mieli do niego powodów. Teraz jednak zamierzają strajkować nawet ci, którzy nie mogą sobie pozwolić na utratę pracy. Właściwie przewodniczący Związku Zawodowego Papieru i Druku, Zoellner, wyznaczył już jego datę. To było kilka miesięcy temu i oczywiście odbyliśmy rozmowy,

ale bez rezultatów. Ja nie mogę ustąpić, Zoellner i jego ludzie też nie ustąpią. Jest pat, a strajk ma się rozpocząć za tydzień.

— Ależ Karl — powiedział Randall — przecież musi być jakiś sposób, żeby im uświadomić, że drukujesz właśnie najważniejszą Biblię w historii drukarstwa.

— Nie ma szans — odrzekł Hennig. — Zaraz do tego dojdę. Po pierwsze, kiedy profesor Deichhardt zwrócił się do mnie, nie powiedział mi, co będzie zawierała Biblia, którą chciał u mnie drukować. Poinformował tylko, że jest radykalnie odnowiona i niezwykle ważna. Początkowo nie chciałem przyjąć jego zlecenia, bo uznałem, że za mało na tym zarobię. Nie chciałem odkładać na bok zyskowej roboty, nieważne, że niskiego lotu, nie zależało mi na prestiżu. Deichhardt się jednak uparł ze względu na moją przeszłość. I wiesz, co zrobił?

Randall pokręcił głową.

— Zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy — ciągnął niemiecki drukarz — i zaaranżował mi prywatne spotkanie z profesorem Trautmannem we Frankfurcie. Byłem pod wrażeniem, bo Trautmann to jeden z naszych najwybitniejszych teologów. Podczas spotkania wręczył mi maszynopis i poprosił, żebym przeczytał go na miejscu, w jego obecności. Był to niemiecki przekład Pergaminu Petroniusza i Ewangelii świętego Jakuba. — Hennig zerknął na Randalla. — Czytałeś te teksty?

— Tak, niedawno.

— Czy wstrząsnęły tobą tak samo jak mną?

— Głęboko poruszyły.

— W moim przypadku to było duchowe przebudzenie — powiedział Hennig. — Wręcz nie wierzyłem, że taka duchowa przemiana mogła przydarzyć się mnie, żadnemu zysku biznesmenowi. A jednak tak się stało. Mój system wartości przewrócił się do góry nogami. Ach, cóż to była za oczyszczająca duszę noc! Nie miałem wątpliwości, co powinienem zrobić. Przyjąłem tę robotę, zgodziłem się wydrukować specjalną edycję kaznodziejską. Oznaczało to rezygnację z innych, bardziej zyskowych, lecz mało godziwych zleceń. Oznaczało to znacznie mniejszy zarobek. I oznaczało też, że muszę na razie zapomnieć o Heldze.

— Ale to nie wystarczyło twoim pracownikom? — zapytał raczej retorycznie Randall.

— Nie, ponieważ większość w ogóle nie wie, że podjąłem się znów godziwej drukarskiej roboty. Inspektor Helderling przyjechał tu specjalnie z Amsterdamu i wprowadził bardzo surowe zasady bezpieczeństwa. Mogłem

zatrudnić do tego zadania tylko niewielką liczbę weteranów, którzy zostali zobowiązani do zachowania pełnej tajemnicy. Cała reszta pracowników nie ma pojęcia, że wróciłem do najlepszych tradycji sztuki drukarskiej, że poświęciłem lwią część moich zysków tylko po to, żeby wziąć udział w historycznej religijnej przygodzie.

— I strajk w przyszłym tygodniu jest nieunikniony?

— Jeszcze nie wiem — odrzekł Hennig z tajemniczym uśmiechem — ale za kilka minut będę wiedział. Jesteśmy pod Meinzer Hof. Wejdźmy na ostatnie piętro, do restauracji, i poznajmy odpowiedź.

Zaintrygowany Randall wszedł za Niemcem do hotelu i wjechali windą na ósme piętro.

Sala restauracyjna była jasna i pogodna, z przeszkloną ścianą dającą wspaniały widok na Ren. Maître d'hôtel powitał ich głębokim ukłonem i poprowadził szybko do stolika pod oknem, przy którym siedział krępy, grubo ciosany mężczyzna o zmierzwionej rudej czuprynie, zagłębiony w lekturze jakichś papierów.

— Herr Zoellner, mein Freund! — zawołał Hennig. — Ich will schon hoffen dass Sie noch immer mein Freund sind? Ja, ich bin da, ich erwarte ihr Urteil.

Mężczyzna zerwał się z krzesła.

— Es freut mich Sie wieder sehen zu können, Herr Hennig.

— Lecz przedtem, Herr Zoellner, proszę poznać Amerykanina, który będzie reklamował pewną szczególną książkę z naszej drukarni. To jest Herr Randall... a to Herr Zoellner, przewodniczący Związku Zawodowego Papieru i Druku, krajowego związku drukarzy. Powitałem go jako mojego przyjaciela — wyjaśnił Randallowi — i powiedziałem, że oczekuję na jego werdykt. — Wskazał gestem krzesło Zoellnerowi i podsunął drugie Randallowi. — No to jak będzie, Herr Zoellner — spojrzał na szefa związku. — Jak brzmi wyrok? Życie czy śmierć dla Karla Henniga?

Twarz Zoellnera rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Herr Hennig, es bedeutet das Leben! — wykrzyknął radośnie. — Będzie pan żył, my wszyscy będziemy żyli dzięki panu. To dobra wiadomość. — Uniósł plik kartek i ciągnął z ożywieniem: — Propozycja, którą pan przedstawił naszemu związkowi, to najlepszy kontrakt między pracodawcą i pracownikami, za mojej pamięci. Podwyżki płac, zasiłek chorobowy, fundusz emerytalny, nowe urządzenia rekreacyjne... Herr Hennig, informuję pana z przyjemnością, że władze związku wyraziły zgodę i w tym tygodniu

przedstawiają te propozycje naszym członkom, którzy powinni je przyjąć jednomyślnie.

— Jestem zachwycony — wychrypiał Hennig. — A więc zapominamy o strajku? Działamy dalej wspólnie?

— Ja, ja, wspólnie — promieniał Zoellner, skłaniając z szacunkiem głowę. — Będzie pan bohaterem, może nie bardzo bogatym, ale bohaterem. Co się stało, że zmienił pan nastawienie?

— Przeczytałem pewną książkę, nic więcej — odparł Karl Hennig z uśmiechem. — Widzisz, Steve? — zawrócił się do Randalla. — Stałem się taki sentymentalny, że aż mnie mdli. Wyobraź sobie tylko, praktycznie z dnia na dzień przeobrazić się z diabła w świętego Henniga! Ale nagle zapragnąłem dzielić się z innymi. Może jestem idiotą, ale szczęśliwym.

— Kiedy podjąłeś tę decyzję? — dopytywał się Randall.

— Zaczęła kiełkować chyba tej nocy, gdy przeczytałem pewien maszynopis. Ale przemiana wymagała czasu. Być może dokonała się dopiero w zeszłym tygodniu, kiedy ten kryzys w drukarni osiągnął apogeum i kiedy przeczytałem sobie ponownie fragmenty tekstu. To mnie uspokoiło i pomogło podjąć decyzję. Postanowiłem, że wolę być raczej drugim Gutenbergiem niż krezusem i casanową. A więc mamy pokój, to cudownie. Trzeba to uczcić. — Hennig zadzwonił widelcem o szklanę, żeby przywołać kelnera. — Spełnimy toast bocksteinem z regionu Saary, to białe wytrawne wino i ma tylko osiem procent alkoholu. Jesteśmy tak podekscytowani, że tyle nam wystarczy.

Spokojny posiłek w hotelowej restauracji trwał ponad dwie godziny. Po wyjściu Zoellnera Hennig zadzwonił po porsche z kierowcą, by odwieźć Randalla do Frankfurtu.

Podczas jazdy niemiecki drukarz rozprawiał z humorem o krytym basenie o olimpijskich wymiarach, jaki zamierzał wybudować dla swoich pracowników. Mówił ze smutkiem o swym uczuciu do aktorki Helgi. Opowiadał o swoich upodobaniach i wspominał o własnej łoży w miejscowej operze. W pewnej chwili wskazał na mijaną właśnie winnicę, z której pochodziło pyszne mogunckie wino. Później zwrócił uwagę Randalla na ciche miasteczko — stare ceglane domy, wąskie uliczki, strzelista wieża kościoła, nieduży rynek, strzeżony przez figurę świętego ze świeżymi kwiatami w rękach, nazywało się Hockheim i mieszkali w nim jacyś jego krewni. Po wjechaniu na autostradę porsche pomknęło szybciej i Hennig zamilkł.

Wydawało się, że niemal po chwili — chociaż minęła prawie godzina — pochwyił ich frankfurcki wir i zgiełk. Policjanci w koszulach z krótkimi

rękawami stali na postumentach i kierowali ruchem, ulice pełne były tramwajów, dostawczych furgonetek, volkswagenów, ludzi spieszących na zakupy lub wracających z pracy do domu. Pod biało-czerwonymi parasolami Terrasen-Cafe niektórzy spędzali codzienną Teestunde. Hennig otrząsnął się z zadumy.

— Wracasz do swojego hotelu, Steve? — zapytał.

— Tak, ale tylko się wymelduję i zaraz potem lecę do Amsterdamu.

Hennig polecił po niemiecku szoferowi, żeby podjechał pod Frankfurter Hof. Gdy dojeżdżali do Kaiserplatz, oznajmił:

— Gdybyś potrzebował jeszcze jakichś informacji, to ja niedługo też się u was zjawię.

— A dokładnie kiedy?

— Jak będą oprawione pierwsze egzemplarze. Prawdopodobnie tydzień przed twoim wystąpieniem.

Samochód stanął przed wejściem do hotelu. Randall uściskał dłoń drukarza.

— Bardzo ci jestem wdzięczny za współpracę, Karl — powiedział. — Tylko trochę mi przykro, że musiałeś się fatygować ze mną do Frankfurtu.

— Nie, nie, nic się nie stało — odrzekł Hennig. — I tak musiałem tu przyjechać. Zaprosiłbym cię jeszcze na drinka, ale mam o piątej spotkanie w barze hotelu Intercontinental. No to auf Wiedersehen, Steve.

Randall wszedł do holu i skierował się do recepcji, żeby zapytać, czy nie ma dla niego wiadomości, gdy nagle stanął jak wryty.

Do kontuaru podchodził właśnie szczupły mężczyzna ze spiczastą bródką.

Cedric Plummer. Najpierw w Moguncji, teraz tutaj.

Randall przypomniał sobie nagle stare opowiadanie Maughama, w którym służący mówi do kupca w Bagdadzie: „Panie, byłem właśnie na targu i potrafiła mnie jakaś kobieta, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem, że to jest Śmierć. Popatrzyła na mnie i pogroziła mi palcem... Pożycz mi proszę swego konia, panie. Pojadę do Samary, tam Śmierć mnie nie znajdzie”.

Później kupiec sam udał się na targ i też spotkał tam Śmierć. Zapytał ją, dlaczego pogroziła służącemu, a ona odparła: „Nie groziłam mu wcale, tylko zapowiedziałam niespodziankę. Zdziwiło mnie, że spotykam go w Bagdadzie, skoro jesteśmy umówieni na dziś wieczór w Samarze”.

Wspomnienie bezsensowne, chociaż nie tak całkiem...

Randall zatrzymał się i patrzył. Plummer stanął przy kontuarze i skinał na recepcjonistę. Randall minął go szybko, odwracając twarz i skierował się do

windy. Chciał umknąć jak najszybciej przed wzrokiem dziennikarza, ale dotarł do niego arogancki, piskliwy głos.

— Guter Herr — powiedział — nazywam się Cedric Plummer.

— Tak, oczywiście, wiem, kim pan jest — odparł recepcjonista.

— Gdyby ktoś do mnie dzwonił, wracam za godzinę. Jeśli to będzie coś pilnego, to proszę mnie szukać w barze hotelu Intercontinental, mam tam ważne spotkanie.

Randalla przeszył dreszcz niepokoju. Stał przed drzwiami windy i obejrzał się ostrożnie za siebie. Plummer już zniknął z widoku.

Randall wszedł do windy i zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał. Plummer i Hennig mieli ważne spotkania w tym samym miejscu, o tej samej godzinie. Czy był to przypadek, czy może spisek? Przypomniał sobie słowa Henniga: „Kazałem sekretarce pozbyć się go. Nie wpuściłbym gnojka za próg tego pokoju”.

Coś tu się nie zgadzało.

Postanowił na razie zostawić tę sprawę nierozstrzygniętą. Wróci do Amsterdamu i jutro — bo dzisiaj miał spotkać się z Angela i nie mógł się już tego doczekać — postara się, żeby przez kilka następnych dni ktoś bardzo pilnie obserwował Karla Henniga.

Theo zawiózł go mercedesem do hotelu Amstel, gdzie w recepcji czekała na niego wiadomość, na którą tak liczył. Angela Monti przybyła do Amsterdamu i zamieszkała w hotelu Victoria. Oczekiwała na spotkanie z nim.

Szybko wziął prysznic, ubrał się i postarał wyrzucić z umysłu myśli o Hennigu i Plummerze. Zszedł na dół i kazał kierowcy zawieźć się do hotelu Victoria. Zadzwoił do jej pokoju, a potem podszedł do pokrytych zielonym dywanem schodów i czekał, aż się zjawi.

Jej widok wprowadził go w osłupienie. Widział ją do tej pory tylko raz i już przy rozstaniu w Mediolanie wiedział, że od lat nie spotkał dziewczyny tak pociągającej jak Angela. Obraz tej jakże pięknej kobiety towarzyszył mu przez cały tydzień. Teraz jednak poczuł się zupełnie oszołomiony jej obecnością. Myśleć o niej, że jest piękna, wydało mu się nietaktem. Była najbardziej zachwycającą i podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Podeszła do niego i całkiem naturalnie pozwoliła się wziąć w ramiona, poczuł ciepło jej miękkich warg na swoich ustach i był już pewien, że Angela Monti zabrała mu serce.

Theo zawiózł ich do Bali, ekskluzywnej indonezyjskiej restauracji przy Leidsestraat. Randall odesłał kierowcę, zapewniając go, że jest całkowicie bezpieczny, ponieważ nie ma przy sobie żadnych ważnych papierów. Wziął

Angele pod ramię i weszli do restauracji, ciemnoskóry kelner w turbanie poprowadził ich do jednej z trzech małych salek w głębi.

Usiedli przy stoliku pod ścianą i zamówili Rijstafel, indonezyjski szwedzki stół, lecz nawet nie zwrócili uwagi na bogactwo potraw, które przed nimi postawiono — sajor soto, czyli zupę, wołowinę w sosie jawajskim, różne rodzaje fasoli, wielkie krewetki, smażony kokos. Jedli, odzywając się z rzadka, popijając wytrawne mozelskie wino, kochając się wzrokiem i dotykiem palców.

Wyszli z Bali, trzymając się za ręce, i spacerowali w lekkim chłodzie letniej nocy. Minęli Leidseplein, zatrzymując się, by posłuchać trzech chłopaków brzdąkających na gitarach. Z mostu na Prinsengracht patrzyli, obejmując się, ku innemu, odległemu mostowi, gdzie setki świateł lśniły w ciemności niczym rzędy pereł. Później weszli na szeroki most na Singel, gdzie w dole kołysały się oświetlone łodzie, wyładowane kwiatami.

Magiczny wieczór zamienił się w noc, a oni wciąż stali na moście, teraz już niemal zupełnie sami.

Angela powiedziała Randallowi, że Naomi znalazła jej pokój do pracy na tym samym piętrze, co jego gabinet, niemal za ścianą.

— Wiem — odparł. — Poprosiłem ją o to.

— Chcesz mnie codziennie mieć tak blisko siebie? — zapytała z wahaniem.

— Chcę, i to bardzo.

— Nie boisz się, że popełniasz błąd, Steve? Prawie mnie nie znasz.

— Byłaś z mną przez cały ten tydzień, codziennie i co noc. Znam cię, Angelo, znam cię bardzo dobrze.

— Ja czułam to samo — szepnęła.

Spojrzał znowu na kanał, a kiedy odwrócił się do niej, ujrzał zamknięte oczy, lekko poruszające się usta i złożone dłonie. Po chwili otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Co robiłaś? — zapytał. — Modliłaś się? Skinęła głową.

— To mi pomogło — odparła.

— W czym, Angelo?

— W tym, co zamierzam zrobić. — Wciąż się uśmiechała. — Zabierz mnie do hotelu, Steve.

— Do którego?

— Twojego. Chcę zobaczyć, jak mieszkasz.

— Naprawdę chcesz zobaczyć, jak mieszkam? Wsunęła rękę pod jego ramię.

— Nie — odparła. — Chcę po prostu być z tobą.

Leżeli nadzy na łóżku, zwróceniu do siebie twarzami, całowali się i pieścili, jej dłoń głaskała skórę na jego biodrze i brzuchu, jego ręka spoczywała na jej udzie.

Odkąd się położyli, nie zamienili słowa, słyszeli tylko swoje coraz szybsze oddechy i bijące coraz głośniejsze serca.

Jego dłoń prześliznęła się po wilgotnym trójkącie jej miękkich włosów łonowych, palce odnalazły wydatny pączek łechtaczki i powoli, delikatnie zaczęły ją masować. Biodra Angeli uniosły się odruchowo, usłyszał jej głośny oddech i westchnienie rozkoszy. Ręka dziewczyny przesunęła się w dół i uchwyciła stwardniały penis, palce zaczęły pocierać go miłośnie, aż nabrzmiął jeszcze bardziej i Randall poczuł, że zaraz wybuchnie.

Z jej piersi wyrwał się niski, proszący jęk, niczym daleki krzyk błagający o pełnię miłości. Zabrała rękę i przetoczyła się na plecy obok niego, zamykając oczy i rozchylając usta.

W przyćmionym świetle nocnej lampki patrzył na nagą Angełę, kobietę, w którą miał wniknąć, którą miał posiadać, stać się z nią jednością. Była gotowa... kruczoczarne włosy rozrzucone na bieli poduszki, zamknięte powieki, usta lekko otwarte, coraz cięższy oddech i unoszące się wraz z nim wzgórki piersi z purpurowymi obwódkami wokół twardych sutków, zagłębienie pępka, szerokie biodra, pośladki.

Była gotowa do miłości.

I on także był gotów.

Jej kolana uniosły się, krągłe uda zaczęły się otwierać. Wsunął się między jej nogi i penis odnalazł wejście do pochwy o gładkości satyny, ustępliwe i śliskie od wilgoci. Zanurzył się w niej powoli, a gorące ściany zamknęły się wokół niego, wciągając go coraz głębiej, pochłaniając w ciasnym uścisku.

Głaskał ją w środku i pieścił, wysuwał się i dźgał głębiej, aż oboje zaczęli jęczeć z rokoszy zmieszanej z bólem, jej nogi owinięły się wokół jego pleców, a dłonie zacisnęły na ramionach. Ujeżdżał ją z miłością, nie przestając ani na moment, ona kołysała się pod nim i wyginała, lecz utrzymywał rytm, zdobywając jej rozplamione ciało i czując, jak pochłania go ekstaza namiętności, jakiej nie doznał jeszcze nigdy w życiu.

Wczepiała się palcami w jego włosy, wbijała kłykcie między żebra, jej pośladki unosiły się i opadały wraz z jego pchnięciami. Pochwa, biodra, cała dolna połowa ciała, falowały kolistym ruchem, coraz szybciej i szybciej, a penis w rytm tego falowania wnikał w pochłaniające go chciwie giętkie naczynie.

— O Boże — wyszeptał. — Och, najdroższa...

Pięści zabębniły po jego śliskim od potu grzbiecie. Bezwiednie uchwycił mocno jej biodra.

— Kochany — jęknęła — kochany, idę...

Biodra uniosły się wysoko, a uda zacisnęły wokół niego niczym imadło, zadrżała w konwulsji totalnego orgazmu, a on wytrysnął w nią całkowicie, wypełniając ją nasieniem i szczytując w jej wnętrzu bez końca.

— Kocham cię — wyszeptał jej do ucha. — Kocham cię, kocham cię.

— Och, Steve, nigdy mnie nie opuszczaj, przenigdy.

Leżeli wtuleni w siebie, bezpieczni, spełnieni i rozluźnieni. Angela zasnęła z twarzą na jego piersi, tak słodką, kochaną i spokojną.

Randall, rozgrzany wciąż jej oddaniem i ciepłem jej ciała, pograżył się w leniwych rozmyślaniach. Posiadał tak wiele kobiet, lecz nigdy nie było tak jak teraz. Nie z Barbarą, z pewnością nie z Barbarą, którą mógł już wspominać z pewną czułością, świadom, że ich mechaniczne, pozbawione miłości łóżkowe potyczki były zarówno jego porażką, jak i jej. Nie z Dartene i nie z tymi, które miał przed Darlene, z ich nieruchomą, pasywną martwością lub ćwiczonymi sztuczkami gejszy. I nie z Naomi, i wieloma podobnymi do niej przed Naomi, z ich dozowaną usłużnością, podległością, miłością francuską i ręcznie produkowanymi spazmami.

Nigdy jeszcze, przez tyle nocy dorosłego życia, nie doznał — dając lub biorąc, ofiarowując czy przyjmując — orgazmu zrodzonego i spełnionego wyłącznie z miłości, nigdy, aż do tej nocy w Amsterdamie, z tą młodą kobietą, na tym właśnie łóżku. Miał ochotę zapłakać. Nad zmarnowanym czasem? Z głębokiej radości? Z litości dla tych wszystkich, którzy żyją i umierają, nie zaznając poczucia tej ostatecznej jedności?

Pocałował czule jej policzek, wtulił głowę w poduszkę, powieki opadły mu ciężko na oczy i po chwili zasnął.

Obudził go natarczywy dzwonek telefonu. Przez zasłony w oknie sączyła się szarość świtu, a zegarek na nocnym stoliku pokazywał dwadzieścia po szóstej. Angela wciąż pogrążona była we śnie.

Sięgnął niezdarnym ruchem po słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

— Słucham — mruknął sennie.

— Steve? Tu George Wheeler — usłyszał cichy, lecz przytomny głos. — Wybacz, że cię budzę tak nagle, ale musiałem. Słuchasz mnie?

— Już nie śpię, George.

— Więc słuchaj, to bardzo ważne. Musisz przyjechać do szpitala Vrije Universiteit, głównego szpitala Amsterdamu. Bądź tam najpóźniej za godzinę,

dobrze? Zapisz sobie adres, Beolelaan tysiąc sto piętnaście, zresztą taksówkarz będzie wiedział. W szpitalu powiedz, żeby cię wpuścili do pokoju Lori Cook, na czwartym piętrze. Ja tam będę, wszyscy tam będziemy.

— Zaraz, zaraz, George, ale co się, u diabła, stało?

— Dowiesz się na miejscu, to nie jest na telefon. Na razie niech ci wystarczy, że stało się coś zupełnie niesamowitego. Musisz przyjechać.

ROZDZIAŁ 6

Randall obiecał taksówkarzowi dziesięć guldenów ekstra, jeśli dojedzie do szpitala przed siódmą trzydzieści. Kierowca postarał się zarobić na tę premię.

— Sześć minut przed czasem — oznajmił z dumą, gdy zatrzymali się przed siedmiopiętrowym budynkiem z napisem ACA-DEMISCH ZIEKENHUIS DER VRIJE UNIVERSITEIT na drewnianym daszku przed wejściem.

Zastanawiając się wciąż, cóż to za niesamowite zdarzenie wymagało jego obecności w szpitalu, Randall wszedł po kamiennych schodach i przez obrotowe drzwi do szpitalnego holu. Gdy tylko podszedł do recepcji, starsza kobieta zza lady zapytała go:

— Czy pan Randall? Potwierdził skinieniem głowy.

— Proszę sobie usiąść — powiedziała recepcjonistka. — Pan Wheeler dzwonił, że już schodzi.

Zbyt niespokojny, by siedzieć, zapalił fajkę i zaczął oglądać modernistyczne mozaiki na ścianach holu. Jedna przedstawiała Ewę powstającą z żebra Adama, druga Kaina i Abla, a jeszcze inna Chrystusa uzdrawiającego dziecko. Nagle usłyszał swoje nazwisko. Odwrócił się i ujrzał George'a L. Wheelera, który zmierzał ku niemu żwawym krokiem, wycierając okulary w złotej oprawie i osadzając je na mięsistym nosie.

Wydawca położył mu ojcowskim gestem rękę na ramieniu i ryknął radośnie:

— Jak to dobrze, że wróciłeś z podróży akurat w tym czasie, Steve! Chcę, żebyś obserwował wszystko od samego początku, chociaż na razie nie będziesz mógł tego wykorzystać. Musimy sprawę utrzymać w sekrecie, dopóki nie będziemy mieli pewności, ale jak tylko lekarze wszystko potwierdzą, roztrąbimy rzecz na cały świat.

— O czym ty mówisz, George?

— Myślałem, że już ci powiedziałem. Dobra, opowiem ci w skrócie po drodze.

Prowadząc Randalla do windy, Wheeler zniżył głos, lecz nie potrafił ukryć podniecenia.

— Wczoraj wieczorem — zaczął — byłem na kolacji z sir Trevorem w Dikker en Thijs, właściwie zaprosił nas signor Gayda, pamiętasz, nasz włoski wydawca, ze swoim doradcą, monsiniorem Riccardim. Nagle dostałem pilny telefon od Naomi. Powiedziała mi tylko ogólnie, o co chodzi, i prosiła, żebym zaraz przyjechał do szpitala. Pojechaliśmy wszyscy i siedziałem tu przez całą noc. Widzisz, jakie mam worki pod oczami?

— George, na miłość boską — zniecierpliwiał się Randall — powiesz mi wreszcie, co się stało?

— Przepraszam, Steve, już ci mówię. — Podeszli do windy, lecz Wheeler odciągnął go na bok. — Z tego, co wiem do tej pory... a informacje są jeszcze bardzo skąpe i chaotyczne... dziewczyna z twojej ekipy, ta, co się tak dobrze zna na archeologii... zapomniałem nazwiska...

Randall chciał już powiedzieć Angela Monti, lecz uzmysłowił sobie, że wydawca jeszcze nie wie o jej przystąpieniu do zespołu.

— Jessica Taylor? — zapytał. — Ta Amerykanka...

— Właśnie. — Wheeler klasnął w dłonie. — Panna Taylor odebrała wczoraj tuż przed północą dziwny telefon od twojej sekretarki, tej kulawej dziewczyny... Lori Cook. Lori płakała i wciąż powtarzała, że miała wizję, że coś jej się ukazało i że uklękła i pomodliła się do tej wizji, żeby mogła chodzić normalnie, a kiedy wizja zniknęła, Lori wstała i okazało się, że już nie kuleje, że chodzi całkowicie normalnie, tak jak ty czy ja.

— Co takiego?! — wykrzyknął Randall z niedowierzaniem. — Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej, Steve. Lori przestała kuleć i powtarzała przez telefon, żeby ktoś do niej przyjechał, bo jest bardzo osłabiona i ma gorączkę. Oczywiście Jessica Taylor natychmiast pojechała do jej mieszkania i zastała Lori leżącą na podłodze. Ocuciła ją, ale dziewczyna tak bredziła, że Jessica nie wiedziała, co począć, i zadzwoniła do mnie. Nie zastała mnie, ale Naomi odebrała i od razu wezwała karetkę, a potem skontaktowała się ze mną w restauracji, a ja zadzwoniłem do doktora Fassa, naszego lekarza. Powiadomiłem też innych i wszyscy błyskawicznie zjechali do szpitala. I co o tym myślisz, Steve?

Podczas tej przemowy Randall przypominał sobie pierwsze spotkanie z Lori Cook, tym szarym wróbelkiem skrepowanym swoją ułomnością, opowiadającym o pielgrzymce, jak to nazwała, do Lourdes, Fatimy, Turynu i Beauraing, o drodze nadziei i rozpacz w poszukiwaniu cudownego uzdrowienia.

— Co myślę? — powtórzył pytanie. — Nie wiem, George, chciałbym poznać fakty. Przykro mi, ale ja nie wierzę w cuda.

— Ależ Steve, sam przecież nazwałś Międzynarodowy Nowy Testament cudem — przypomniał mu Wheeler.

— Nie mówiłem tego dosłownie, to była metafora. Nasze dzieło jest rezultatem naukowo prowadzonych wykopalisk, ma racjonalną podstawę. Ale cudowne uzdrowienie... — Randall przerwał, przypomniał sobie bowiem

słowa Lori Cook, która powiedziała mu, że nowa Biblia jest dla niej wszystkim, istnym cudem. Zakiełkowało w nim podejrzenie. — Chyba nie wszystko mi powiedziałeś, George? — zapytał. — Czy Lori wyjawiała, co wywołało tę jej wizję i ten tak zwany cud?

— Jesteś jasnowidzem, Steve, bo właśnie chciałem o tym mówić — odparł Wheeler z niezmiennym entuzjazmem. — Masz cholerną rację. Istniała taka przyczyna, a było nią ni mniej, ni więcej, tylko naruszenie zasad bezpieczeństwa przez naszego szefa reklamy, niejakiego Stevena Randalla. Jesteś bezpośrednio odpowiedzialny za to, co się stało, Steve, ale ze względu na rezultat wybaczyliśmy ci.

— Ja naruszyłem zasady bezpieczeństwa?

— Oczywiście. Pomyśl tylko. Profesor Deichhardt wypożyczył ci Nowy Testament na jedną noc do przeczytania. Zobowiązałeś się zwrócić próbny wydruk nazajutrz, i to osobiście. A ty poprosiłeś o to Lori Cook.

— Tak, pamiętam. Miałem zanieść wydruk Deichhardtowi, ale musiałem odbyć pilną rozmowę z Naomi w sprawie mojego wyjazdu i poprosiłem Lori. Byłem pewien, że załatwi sprawę. Może powinienem był to zrobić osobiście, ale... właściwie czemu to takie straszne, że Lori odniosła wydruk?

Wheeler uśmiechnął się kwaśno.

— Twoja Lori powiedziała wczoraj Jessice, przed przyjazdem karetki, że kazałeś jej oddać książkę Deichhardtowi do rąk własnych, nikomu innemu. Zgadza się?

— Oczywiście.

— No i dziewczyna faktycznie się tym przejęła. Poszła do Deichhardta, ale jego akurat nie było i nie zgodziła się zostawić wydruku sekretarce. Postanowiła zaczekać, aż profesor wróci. Ale bliskość tego „świętego przedmiotu”, jak to określiła Lori... sprawiła, że nie mogła się oprzeć pokusie, to tak jakby się trzymało w ręce świętego Graala i nie mogło na niego spojrzeć. Więc powiedziała sekretarce, że idzie coś zjeść, ale zamiast tego schowała się w jednym z magazynów na naszym piętrze w Krasnapolskim i przeczytała Pergamin Petroniusza i Ewangelię Jakuba. Właściwie, jeśli jej wierzyć, to tekst Jakuba przeczytała cztery razy i dopiero wtedy odniosła wydruk Deichhardtowi.

— Wcale nie wątpię, że przeczytała to cztery razy — rzekł Randall. — I co było dalej?

— Lori przez cały tydzień nie mogła myśleć o niczym innym. To, co Jakub napisał o Jezusie, przepełniało jej umysł i serce. Zaczęła sobie wyobrazać, na jawie i we śnie, jak Jezus przemierza ziemię, jak udaje mu się przeżyć

ukrzyżowanie, jego śmiałą wyprawę do Rzymu, a także Jakuba w Jerozolimie, w obliczu śmierci spisującego tę historię na papirusie. Wczoraj była sama w mieszkaniu, jak zwykle pogrążona w swoich fantazjach, i nagle zamknęła oczy, złożyła ręce na sercu i zaczęła się modlić do Jakuba Sprawiedliwego, żeby przywrócił jej pełnię życia, tak jak ożywił dla niej postać Jezusa. I proszę bardzo, gdy otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą krąg światła, świetlistą kulę, która unosiła się w powietrzu, a w niej brodatą postać Jakuba Sprawiedliwego w długiej szacie. Święty Jakub podniósł rękę i pobłogosławił ją, a Lori, w uniesieniu i przerażeniu jednocześnie, znów padła na kolana, zamknęła oczy i zaczęła się modlić, żeby jej pomógł. Kiedy je otworzyła, wizji już nie było. Lori wstała, przeszła kilka kroków i okazało się, że nie kuleje. Rozpłakała się i zaczęła powtarzać w kółko na głos: „Jestem uzdrowiona, jestem uzdrowiona”, a później udało jej się dodzwonić do Jessiki Taylor. Jessica zastała ją zemdloną czy może w transie, to nie jest jasne, no i resztę już znasz, Steve. Chodźmy na górę.

Wjechali windą na czwarte piętro i ruszyli korytarzem ku grupce osób zgromadzonych przed drzwiami pokoju Lori Cook.

Randall rozpoznał Jessicę Taylor z notatnikiem w ręce i rudowłosego fotografa Oscara Edlunda z zawieszoną na ramieniu kamerą. Ze znajomych twarzy zauważył jeszcze signora Gaydę, monsiora Riccardiego, doktora Trautmanna i pastora Zachery'ego.

Gdy podszedł bliżej, okazało się, że wszyscy otaczają kręgiem lekarza w białym kitlu. U jego boku stała atrakcyjna pielęgniarka w schludnym niebieskim uniformie z białym kołnierzykiem. Wheeler wyjaśnił mu szeptem, że to właśnie doktor Fass, lekarz ekipy Drugiego Zmartwychwstania. Fass był dystyngowanym mężczyzną koło sześćdziesiątki, rzeczowym i nieco oschłym internistą.

— Tak, prześwietliliśmy pannę Cook zaraz po przyjęciu na oddział — odpowiadał lekarz na czyjeś pytanie. — A wracając do pańskiego poprzedniego pytania, to nie, nie wiemy, jaki dokładnie był stan panny Cook przed tymi halucynacjami... czy też nazwijmy to traumatycznym doświadczeniem... z wczorajszej nocy. Próbujemy się skontaktować z jej rodzicami, którzy podróżują po Bliskim Wschodzie, mamy nadzieję uzyskać od nich jakąś dokumentację medyczną choroby, która spowodowała kalectwo panny Cook w dzieciństwie. Na razie dysponujemy tylko jej własną relacją, raczej nieprofesjonalną. Na podstawie tego opisu sędzę, że była to jakaś odmiana zapalenia kości, którą pacjentka przechodziła około piętnastu lat temu.

— Czy może pan opisać tę chorobę, doktorze? — zapytał Randall.

— W przypadku panny Cook stan zapalny wystąpił w prawej piszczeli, kości między kolanem i stopą. Musiał być na tyle poważny, że kość została zniszczona... można to zobaczyć na zdjęciu rentgenowskim... a pacjentka pamięta opuchliznę, ból i częste ataki gorączki. Choroba nie była właściwie leczona, nie przeprowadzono też operacji i w następstwie pojawiła się ułomność.

— Doktorze Fass — zapytał z kolei Wheeler — jakby pan wyjaśnił to, co się stało tej nocy? Jakkolwiek na to patrzeć, Lori Cook wyzdrowiała, prawda? Chodzi normalnie?

— Tak, mogę potwierdzić, że panna Cook chodzi normalnie — odparł lekarz. — Przeszła pomyślnie badania u fizjoterapeuty, przeprowadzone w obecności dyrektora szpitala. Po południu zajmie się nią neuropsychiatra. W tej chwili badają ją doktor Rechenberg i doktor Koster, których poprosiłem o konsultację. Natomiast co do ostatniej nocy, to nie jestem chyba dość kompetentny, żeby to wyjaśnić. Z jednej strony, być może panna Cook doznała w dzieciństwie swoistego szoku nerwowego, a wczorajsze halucynacje zniwelowały jego skutki, czyli kalectwo, na zasadzie autosugestii. W takim wypadku moglibyśmy ją teraz nazwać ofiarą przewlekłej neurastenii, a wyzdrowienia nie należałoby nazywać cudem. Z drugiej jednak strony... — doktor Fass spojrział po twarzach słuchaczy i zamrugał — jeżeli przyczyna kalectwa była organiczna i panna Cook została uzdrowiona bez ingerencji medycznej, mielibyśmy do czynienia z zupełnie inną kwestią. Przytoczę tu słowa sławnego chirurga z szesnastego wieku, doktora Ambroise'a Parego, na temat jednego z jego pacjentów: *Je le pansay, Dieu le guerit*, „Ja go opatrzyłem, Bóg go wyleczył”. — Lekarz złożył przepaszająco ręce. — Teraz zechcą mi państwo wybaczyć, muszę wrócić do moich kolegów. Jutro, może pojutrze, będziecie mogli porozmawiać z pacjentką, ale chcielibyśmy ją zatrzymać na obserwacji minimum przez dwa tygodnie.

Gdy Fass otworzył drzwi pokoju, Randall precyzyjnie się przez tłum, żeby zajrzeć do Lori. Udało mu się tylko rzucić okiem.

Lori Cook, drobna i chłopięca, siedziała na brzegu szpitalnego łóżka z podwiniętą powyżej kolan koszulą. Obok niej przykucnął lekarz, obmacując łydkę prawej nogi, a dwóch innych przyglądało się temu z uwagą. Lori wyglądała, jakby było jej to zupełnie obojętne. Wzniosła oczy w górę, a na jej ustach igrał tajemniczy uśmiezek. Robiła wrażenie bardzo szczęśliwej.

Po chwili drzwi zostały zamknięte. Randall odwrócił się w zamyśleniu i zobaczył, że wszyscy się rozchodzą, a Wheeler stoi w głębi korytarza w towarzystwie dwóch osób i przyzywa go gestem.

Towarzyszami Wheelera byli signor Gayda, włoski wydawca, i jego doradca, katolicki teolog ksiądz Riccardi. Usiedli wszyscy w poczekalni dla odwiedzających, w wyłożonych skórą fotelach.

— I co pan sądzi o tym wszystkim, monsinior Riccardi? — zapytał teologa Wheeler. — Wy, katolicy, macie spore doświadczenie w tych sprawach, prawda?

Ksiądz wygładził przód swej sutanny i po chwili namysłu odpowiedział:

— Jeszcze za wcześnie o tym rozsądzać, panie Wheeler. Kościół jest w tych kwestiach bardzo ostrożny i raczej jesteśmy przeciwni pochopnemu potwierdzaniu cudów.

— Ależ to z całą pewnością jest cud! — wykrzyknął Wheeler.

— Na pierwszy rzut oka wyzdrowienie panny Cook istotnie robi wrażenie — przyznał ksiądz Riccardi. — Powinniśmy jednak wstrzymać się z osądem. Od czasów gdy Pan Jezus dokonał około czterdziestu niekwestionowanych cudów, jego wierni także doświadczenia pewnych znaków, i to po dziś dzień. Tego jesteśmy pewni. Musimy natomiast zapytać, jaka właściwie jest prawdziwa natura cudu. Uznajemy, że powinno to być zdarzenie niezwykle, widzialne samo w sobie, a nie tylko poprzez swój rezultat, zdarzenie niewytłumaczalne w kategoriach zwykłych oddziaływań pewnych sił, dające się wyjaśnić jedynie szczególną boską interwencją. Bóg objawia się poprzez kolejne cuda zgodnie ze swoją wolą. Jednakże nie każde uzdrowienie wynikające z głębokiej wiary można przypisać boskiej interwencji. Proszę pamiętać, że na każde pięć tysięcy uzdrowień związanych z sanktuarium Matki Boskiej w Lourdes, Kościół określa mianem cudu być może jeden procent.

— Ponieważ większość z nich to dzieło wyobraźni — rzekł z właściwą sobie pedanterią Gayda. — Wyobraźnia, siła sugestii, dają zupełnie niezwykle efekty. Weźmy na przykład urojoną ciążę. Maria królowa Anglii, która panowała do roku tysiąc pięćset pięćdziesiątego ósmego, tak bardzo pragnęła dziecka, że dwukrotnie przeszła urojoną ciążę ze wszystkimi objawami prawdziwej. Przypomnijmy sobie eksperyment francuskiego neurologa z lat trzydziestych, który powiedział niewidomemu pacjentowi, że właśnie przypalono ogniem jego ramię i uległ poparzeniu. Na skórze pacjenta pojawił się bąbel, mimo że został on oszukany... nie było żadnego przypalania, wyłącznie sugestia. Albo z kolei przypadki stygmatyzmu, krwawienia z ran w

miejscach, gdzie był zraniony Chrystus, ile już było takich przypadków, monsinior Riccardi?

— Trzysta trzydzieści dwa. Osoby te krwawiły z dłoni i boku, tak jak Chrystus krwawił na krzyżu. Pierwszym zweryfikowanym przypadkiem był święty Franciszek z Asyżu w roku tysiąc dwieście dwudziestym czwartym, a ostatnim ze znanych Teresa Neumann w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym.

— Widzisz więc, George, co może siła sugestii — zwrócił się Gayda do Whelera. — Ci ludzie wierzyli w mękę Chrystusa i cierpieli tak samo, jak on cierpiał. Podobnie, dzięki tej samej mocy sugestii, nasza Lori Cook tak bardzo pragnęła wyzdrowienia i jej wiara w nową Biblię była tak silna, że w końcu wyzdrowiała.

Wheeler rozłożył ręce.

— Ale to jednak jest cud — powtórzył. — Po prostu cud.

— Możliwe. — Ksiądz Riccardi wstał i skinął głową Wheelerowi. — Przyjrzymy się temu przypadkowi bardzo dokładnie. Kto wie, może to dopiero początek? A gdy nasz Jakub dotrze ze swym świadectwem do wszystkich narodów i roznieci wiarę w Mękę Pańską, Pan Bóg odpowie na to i pojawi się obfitość cudów? Modlimy się o to.

Riccardi z Gaydą wyszli i Randall został sam z Wheelerem.

— Dobra nasza, Steve — powiedział wydawca uszczęśliwiony. — Czuję to, wierz mi. Teolodzy dobrze wiedzą, że to cud, pierwszy cud boży, który można przypisać nowej Biblii. Nawet protestanci nie mogą tego zignorować, chociaż mają inne podejście do cudów niż katolicy. A wyobrażasz sobie, jak katolicy zaczną się domagać imprimatur na publikację Międzynarodowego Nowego Testamentu? Jak tylko ruszymy z informacją, Steve, chcę żebyś puścił w świat tę historię. Czy możesz sobie wyobrazić lepszą reklamę? I to bez nachalności, bez naciągania, po prostu zbożna misjonarska praca. Pomyśl, ile dobrego możemy tym zdziałać.

Ile dobrego możemy zdziałać... dziesięć dolarów za egzemplarz, pomyślał Randall, lecz nie powiedział tego głośno.

Ponieważ był pod głębokim wrażeniem.

Coś przydarzyło się dziewczynie, którą znał osobiście, która była kaleką i przestała nią być.

Nie potrafił tego wyjaśnić. Nauka najwyraźniej także nie potrafiła. Czemu by zatem nie nazwać tego zgodnie z prawdą— cudem?

Pięć godzin później Randall siedział przy stoliku w kawiarnianym ogródku obok Angeli Monti i opowiadał jej o swych przeżyciach w szpitalu.

Spotkali się w De Pool, w połowie drogi pomiędzy hotelem Victoria, gdzie Angela pracowała przez całe rano nad notatkami, a Krasnapolskim, gdzie Randall też miał mnóstwo zajęć.

Angela wysłuchiwała opowieści o cudownym ozdrowieniu Lori Cook bez specjalnego zdziwienia i wątpliwości.

— Nie żebym była taką dobrą katoliczką — powiedziała — chociaż jestem wierząca, ale dlatego, że w naszym pozornie racjonalnym świecie jest moim zdaniem wiele tajemnic, których nie potrafimy przeniknąć, gdyż nasze postrzeganie jest ograniczone. Kto wie, czy w hierarchii żywych istot we wszechświecie nie znajdujemy się zaledwie o poziom wyżej od mrówek?

Trzymając się za ręce, zaczęli zwierzać się sobie z każdej spędzonej osobno minuty, gdy zmaterializował się kelner, by przyjąć zamówienie.

— Ty już znasz ten lokal — rzekł Randall — i znasz teraz mnie. Co mi proponujesz?

— Ludzie, którzy mają przed sobą dużo pracy, powinni mało jeść — odrzekła z uśmiechem. — Tu są lekkie dania, na przykład... — Odwróciła się do kelnera. — Poprosimy gulasz węgierski.

Kelner odszedł, a ona podjęła przerwana rozmowę.

— Opowiedz mi do końca, co robiłeś, Steve.

— Niech sobie przypomnę. Jeszcze ze szpitala zadzwoniłem do ciebie, prawda? Tak jak ci powiedziałem, może nam się przydać wszystko, co zdołasz sobie przypomnieć albo wygrzebać w swoich notatkach i w papierach ojca. Na tej podstawie sformułujemy kolejne pytania i tak dalej.

— Część już spisałam i mogę ci dać do przeczytania.

— To wspaniale. No więc ze szpitala pojechałem do Krasa, gdzie Les Cunningham i Helen de Boer... to ludzie z mojego zespołu, poznasz ich wkrótce... czekali już na mnie z dobrymi wieściami. Rząd holenderski wyraził zgodę na zorganizowanie konferencji prasowej dwunastego lipca w Pałacu Królewskim w Amsterdamie. Mamy też zgodę na transmisję na cały świat drogą satelitarną, przez Intelsat. Potem sporządziliśmy tajną notatkę dla pięciu wydawców i kilku innych osób związanych bezpośrednio z tą sprawą, zaproponowałem naradę na jutro przed południem dla omówienia ostatecznych przygotowań. ...Ejże, czy ja ci już tego nie mówiłem przez telefon, kiedy umawialiśmy się na lunch?

— Częściowo — przyznała Angela,

— Nienawidzę się powtarzać. Ale tyle się ciągle dzieje...

— Ależ powtarzaj się, Steve. Uwielbiam brzmienie twojego głosu. I co się działo później?

— Zwołałem spotkanie mojego zespołu w pokoju dwieście cztery. Zwykle tam się naradzamy i rozdzielamy zadania, ale to wewnątrz jest tak przyjemne, że pomyślałem sobie, że moglibyśmy tam trochę wspólnie pomieszkać, ty i ja...

Angela ścisnęła jego dłoń.

— Znalazłeś czas w tym młynie, żeby pomyśleć o mnie? To bardzo miłe, Steve. Ale chyba masz teraz tyle roboty, że nie starczy ci czasu na „pomieszkanie” — odparła z uśmiechem.

— Mam nadzieję, że starczy — rzekł Randall. — To prawda jednak, czas nas goni. W każdym razie spotkanie było owocne.

— O czym rozmawialiście?

— Opowiedziałem im o wszystkim. Oczywiście Jessica Taylor знаła sprawę od początku, ale reszta nic nie wiedziała. Opowiedziałem im, jak Lori Cook przeczytała potajemnie Ewangelię Jakuba i co było potem, i że teraz chodzi normalnie. To była dla nich prawdziwa sensacja. Zleciłem Jessice napisanie dwóch tekstów, reportaży. Jeden w pierwszej osobie, jakby opowieść samej Lori o jej życiu, chorobie, latach kalectwa, podróżach w poszukiwaniu cudu i w końcu o tym, co się zdarzyło po przeczytaniu Jakuba i Petroniusza. A drugi tekst to relacja Jessiki o wypadkach wczorajszej nocy. Paddy O'Neal ma przygotować rzeczową informację dla prasy o całym zdarzeniu, z mocnymi odniesieniami do nowej Biblii. Oczywiście musimy poczekać z publikacją tych materiałów na ostateczną opinię lekarzy i teologów. Po konferencji prasowej wypuścimy w świat nie tylko te historie, ale wiele innych.

— Nie wiedziałam, że to funkcjonuje w ten sposób — rzekła Angela, kręcąc ze zdziwieniem głową. — Myślałam zawsze, że dziennikarze sami dokopują się do informacji, tak jak mój ojciec podczas wykopalisk.

— Nie całkiem, nie całkiem — odparł ze śmiechem Randall. — Pewnie, że dziennikarze sami uganiają się za sensacjami, ale redakcje w dużym stopniu bazują też na materiałach z zewnątrz, od rzeczników prasowych i specjalistów public relations. Informacje i przecieki na każdy właściwie temat... czy to będzie wojna, polityka, religia czy edukacja... pochodzą najczęściej od rzeczników reprezentujących armię, przywódcę państwa, organizację kościelną czy uczelnię. Nie tylko artyści, sportowcy i handlowcy mają swoich ludzi od promocji. Nawet Jezus Chrystus ich miał, bo przecież kazał swoim uczniom i apostołom iść w świat i głosić Słowo, prawda?

— Brzmi to niemal cynicznie — stwierdziła Angela.

— Częściowo to prawda, ale tylko częściowo. Po prostu na świecie tyle się dzieje, że media nie są w stanie dotrzeć do wszystkiego. Trzeba im w tym pomagać, więc dostarczamy im informacji, oczywiście w naszym własnym, dobrze pojętym interesie. I każdy stara się dać mediom coś, co w jego przekonaniu będzie dla ludzi ważniejsze od informacji jego konkurentów.

— O czym jeszcze rozmawialiście na tym spotkaniu, Steve?

— Przekazałem im materiał, który nagrałem z tobą w Mediolanie, i poinformowałem, że jesteś na miejscu i mogą eie. pytać o kwestie związane z archeologią. Dostaną też do spisanie taśmy z moimi rozmowami z Aubertem i Hennigiem. Aha, i był też z nami doktor Florian Knight. Pamiętasz, wspominałem ci o nim wczoraj przy kolacji?

— Ten rozgoryczony młody człowiek z British Museum?

— Tak. Jest skwaszony, ale przyjechał, jak mi obiecała jego dziewczyna, i powoli zaczyna współpracować. Profesor Jeffries miał rację, to absolutny geniusz, jeżeli chodzi o aramejski i krytyczną analizę tekstów biblijnych. Jego robotę można porównać do pracy detektywa, który dodatkowo potwierdził autentyczność odkrycia.

— I co Knight wam powiedział, Steve?

— Przede wszystkim wyjaśnił, w jaki sposób Jeffries zabrał się do tłumaczenia Międzynarodowego Nowego Testamentu. Jeffries w końcu wprowadził go we wszystko i Knight opowiedział nam to ze szczegółami. Okazuje się, że Jeffries przyjął tę samą procedurę, którą posłużyli się tłumacze Biblii króla Jakuba przed trzystu pięćdziesięciu laty. Wiesz jak się to odbyło?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparła Angela. — Wiem tylko, bo czytałam tę Biblię podczas zajęć z klasycznych tekstów, że jest to przykład wyjątkowo pięknej angielszczyzny.

— I jedyne wielkie dzieło literackie, jakie powstało kolegiąlnie — dodał Randall. — Według słów Knighta, Anglię nękały w roku tysiąc sześćset czwartym religijne waśnie i król Jakub, pragnąc zjednoczyć różne strony tych sporów wokół wspólnego celu, przystał na propozycję rektora oksfordzkiej uczelni, purytanina nazwiskiem Reynolds, żeby zatrudnić do nowego przekładu Biblii pięćdziesięciu czterech duchownych. Król Jakub był zresztą ostatnią osobą, po której można by się spodziewać zainteresowania takim projektem. Kochał księgi, lecz kochał także występki, był próżny i bardzo zniewieściały. Poddani mawiali o nim, że po królu Elżbiecie nastąpiła królowa Jakub.

Angela wybuchnęła śmiechem.

— Bardzo zmyślne. Ten twój Knight powiedział coś takiego?

— Czasami bywa dowcipny. W każdym razie król ostatecznie zatwierdził czterdziestu siedmiu tłumaczy, grupę bardzo różnych i ciekawych ludzi. Najstarszy z nich miał siedemdziesiąt trzy lata, najmłodszy dwadzieścia siedem. Byli wśród nich kaznodzieje, lingwiści, uczeni. Jeden z nich znał piętnaście języków, w tym aramejski, perski i arabski. Inny uczył greki królową Elżbietę, jeszcze inny przeczytał Biblię po hebrajsku w wieku sześciu lat. Był wśród nich uchodźca z Belgii, był alkoholik, był umierający na gruźlicę, który pracował w łóżku, był wdowiec, który zmarł w trakcie prac i pozostawił jedenaścioro dzieci bez środków do życia. Zostali podzieleni na sześć zespołów. Dwa pracowały w Oksfordzie, dwa w Cambridge i dwa w opactwie Westminster. Nowy Testament tłumaczyły po połowie dwa zespoły — ośmioosobowy w Oksfordzie i siedmioosobowy w opactwie.

— Ale jak tylu ludzi mogło tłumaczyć jedną książkę, Steve? — dziwiła się Angela.

— Po prostu każdej grupie przydzielono jakiś fragment Biblii po grecku lub hebrajsku, a w obrębie grupy każdy tłumacz dostał do przełożenia osobny rozdział lub kilka rozdziałów. Potem pokazywali sobie nawzajem swoje przekłady, dyskutowali, nanosili poprawki, a kiedy już cały zespół zakończył pracę, przekazywał tekst innej grupie do dalszego opracowywania. Całość była gotowa po dwóch latach i dziewięciu miesiącach. Następnie tę pierwszą wersję zredagowała i ujednoliciła dwunastka wybranych uczonych, a potem przepisał ją w ostatecznym kształcie jeden człowiek pracujący pod nadzorem biskupa, niejaki Miles Smith, syn rzeźnika i absolwent uniwersytetu w Oksfordzie, miał dziewiętnaście lat. Rezultat? Licząca tysiąc pięćset stronic księga, znana jako Biblia króla Jakuba, wydana w roku tysiąc sześćset jedenastym, pięć lat przed śmiercią Szekspira.

— I Międzynarodowy Nowy Testament został przygotowany taką samą metodą?

— Tak. Profesor Jeffries stworzył trzy komitety translatorskie, z pięcioma lingwistami, tekstoznawcami i historykami wczesnego chrześcijaństwa w każdym. Profesor Trautmann kierował w Cambridge pierwszą grupą, która przetłumaczyła cztery ewangelie i Dzieje Apostolskie. Profesor Sobrier i zespół z Westminsteru przetłumaczyli rozdziały od Listu świętego Pawła do Rzymian do Apokalipsy świętego Jana. Komitet w Oksfordzie, kierowany przez Jeffriesa, zajął się przekładem Pergaminu Petroniusza i Ewangelii świętego Jakuba. Niesamowita praca... O, Angelo, niosą nasze jedzenie.

Kiedy kończyli lunch, podszedł do nich krążący między stolikami chłopak z ulotkami i położył jedną przy talerzu Randalla. Ten zerknął na kartkę, zamrugnął zdziwiony i przyjrzał się jej uważniej.

— Angelo, o co tu chodzi, u diabła? — zapytał.

Tekst ulotki głosił: ZAPRASZAMY DO WIGNAND FOCKING. Róg Pijlsteeg i Dam.

— Ach — odparła — to bardzo stary bar tu niedaleko i obiekt sprośnych żartów angielskich turystów, z powodu słowa focking. Ale focking to sławny holenderski koniak. Chciałbyś może spróbować?

— Nie, dzięki. — Randall odsunął ulotkę. — I żadnych sprośności, obiecuję. Muszę wrócić do pracy z trzeźwym umysłem.

— Ja też powinnam jeszcze trochę popracować, chyba że...

— Chyba że co?

— Że potrzebowałbyś sekretarki. Skoro Lori Cook ma zostać w szpitalu jeszcze przez dwa tygodnie, to musi ją ktoś zastąpić w tym najgorętszym dla ciebie okresie.

— To świetny pomysł — ucieszył się. — Będiesz mogła zajmować się swoją pracą i jednocześnie mi pomagać. Naprawdę chciałabyś to robić?

— Jeśli ty chcesz.

— Chcę.

— To cudownie. Pójdę do hotelu zabrać moje papiery.

— Pójdę z tobą. Pomogę ci nieść tornister do szkoły.

Hotel Victoria był starym sześciopiętrowym, narożnym budynkiem. Jego okna wychodziły z jednej strony na dworzec główny po przeciwnej stronie kanału, a z drugiej na port.

Było wilgotno i duszno. Kiedy weszli na piętro i ruszyli szerokim korytarzem do pokoju sto pięć, koszula lepiała się Randallowi do pleców od potu. W pokoju Angeli wydawało się nieco chłodniej. Miał kremowe ściany, na podłodze leżał zielony, kojący oczy dywan. Było w nim szerokie zapraszające łóżko, jasnozielona szafa i kilka krzeseł oraz biurko, na którym stała przenośna maszyna do pisania.

— Może mógłbym wziąć szybki prysznic, kiedy ty będziesz się pakować? — zapytał Randall.

— W łazience nie ma kabiny — stwierdziła Angela — tylko ręczny prysznic przy wannie. Ale ma silny strumień.

— To mi w zupełności wystarczy. — Randall zrzucił buty, zdjął marynarkę i resztę rzeczy, aż został tylko w bokserkach. — Co mi się tak przyglądasz? — zapytał.

— Patrzę, jak wyglądasz w świetle dnia — odrzekła.

— I co?

— Zmykaj do łazienki.

Po wejściu do wanny Randall zasunął różową zasłonkę, żeby nie zachlapać grubej, puszystej maty łazienkowej. Odkręcił wodę i skierował na siebie mocny strumień z prysznica. Od razu poczuł się lepiej i przez kilka minut siedział, nucąc pod nosem i biczując wodą twarz, ramiona i pierś. Odświeżony wstał i zaczął się namydlać.

Odkładając mydło, usłyszał metaliczny chrobot i odwrócił się tak szybko, że omal sienie pośliznął. Zasłonka się odsunęła i ujrzał nagą Angele. Bez słowa weszła do wanny, wzięła do ręki mydło i powiedziała z uśmiechem:

— Ja też się trochę spociłam, Steve.

Zaczęła namydlać mu brzuch, biodra, uda, a on skierował na nią strumienie wody z prysznica.

— Przyjemnie? — zapytał.

— Och, jeszcze jak — odparła. — Zaczekaj, namydlę się. Skierował prysznic w bok i patrzył, jak Angela naciera się mydłem, aż upodobniła się do eterycznej zjawy z miliona bąbelków.

Piana rozpuszczała się powoli, wyłonił się spod niej jeden stwardniały sutek, potem drugi, strumyki mydlanej wody spływały po nagim brzuchu Angeli, zbiegając się między udami. Randall poczuł pulsowanie i rosnącą nabrzmiałość między nogami. Odłożył rączkę prysznica i sięgnął ku dziewczynie, a ona wsunęła się w jego objęcia i przywarła do śliskiego ciała.

— Mm, jak mi dobrze, Steve — mruknęła.

— Kocham cię, najdroższa.

Odsunęła się odrobinę i spojrzała na jego podbrzusze.

— Jest piękny — powiedziała. — Nie możemy tego zmarnować. Jedną ręką odsunęła znów na bok zasłonkę. Wyszli z wanny, stając na miękkim grubym dywaniku. Angela opadła na kolana i pociągnęła go za sobą. Oparła się z tyłu na rękach i powoli osunęła na plecy, unosząc do góry nogi. Rozchyliła je i objęła go w pasie, przyciągając do siebie ociekające wodą ciało.

To było szalone, spontaniczne, cudowne i oboje wiedzieli, że nie potrzebują gry wstępnej.

Opadł między jej uda i gdy spłynęły resztki piany, ukazując aksamitny czerwony otwór, wszedł w nią, głęboko, coraz głębiej, i pozostał w środku, a jej dłonie głaskały go po mokrych plecach.

— Jeszcze nigdy nie byłem z syreną — wyszeptał.

— I jak jest? — zapytała, niemal niesłyszalnie.

Nie odpowiedział, bo już się poruszali, a ona знаła odpowiedź. Ciała klaskały w mokrym aplauzie, coraz mocniej, szybciej, aż w końcu stały się jednym, złączyły, stopiły ze sobą i Randall krzyknął:

— O Boże, Angela, idę!

Jeszcze nigdy nie był tak spełniony i taki szczęśliwy.

Wrócił do Krasnapolsky'ego wczesnym popołudniem i natychmiast został ściągnięty z obłoków na ziemię.

— Panie Randall, wszędzie pana szukają — powiedział mu strażnik, któremu pokazał przy wejściu swą czerwoną kartę. — Inspektor Helderling chce, żeby pan zaraz udał się do sali C.

— A gdzie jest inspektor?

— Czeka tam na pana razem z wydawcami.

Randall pospiesznie ruszył do holu. Przyszedł do hotelu w radosnej euforii, rozluźniony i przepelniony spokojem. Angela została w Victorii. Zaniósł ją na łóżko i zasnąła, podczas gdy on się ubierał. Teraz jego nastrój raptownie się zmienił. Oczekiwali go niecierpliwie mężczyźni, którzy „wszędzie go szukali”, i brzmiało to złowieszczo. Instynkt podpowiadał mu, że stało się coś bardzo złego.

Minął windy i wbiegł po schodach na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Przystanął dla nabrania oddechu i na prawo od schodów zobaczył drzwi z napisem Zaal C. Podszedł do nich i nacisnął klamkę, lecz drzwi się nie otworzyły. Nagle spostrzegł po raz pierwszy, że jest w nich wizjer. Zastukał mocno i czekał.

Po chwili usłyszał ze środka stłumiony głos.

— Jest pan sam, panie Randall?

— Tak — odpowiedział.

Szczęknęła zasuwka i drzwi się otworzyły. Stał w nich flegmatyczny inspektor Helderling, który zaprosił go gestem do środka. Ujrawszy grupkę mężczyzn siedzących ciasnym kręgiem wokół stołu, Randall wiedział już, że instynkt go nie mylił. Musiało się stać coś złego.

Wydawcy — Deichhardt, Wheeler, Gayda, Young, Fontaine — siedzieli spowici kłębamii dymu z papierosów, jedno wolne krzesło należało do inspektora, a drugie zapewne czekało na niego. W pokoju był jeszcze ktoś. W rogu siedziała Naomi Dunn z notatnikiem w jednej i długopisem w drugiej ręce. Każda z tych znanych mu twarzy była inna, a jednak wydawały się niemal podobne. Zrozumiał, że to dlatego, iż na wszystkich malował się ten sam wyraz. Wyraz głębokiego zaniepokojenia.

Pierwszy odezwał się Wheeler.

— Gdzieś ty się, u diabła, podziewał, Steve? — rzucił z rozdrażnieniem. — Zresztą nieważne. — Wskazał mu niecierpliwym gestem krzesło między sobą a Deichhardtem. — Zwołaliśmy to pilne posiedzenie przed półgodziną. Jesteś nam potrzebny.

Randall usiadł, patrząc, jak Helderling zamyka znów drzwi na zasuwę i wraca na swoje miejsce. Ponieważ prawie wszyscy palili papierosy lub cygara, on także poszukał nerwowo swojej fajki.

— Co się stało? — zapytał.

W odpowiedzi usłyszał gardłowy głos Deichhardta.

— Panie Randall, żebyśmy mieli pewność — profesor podniósł ze stołu różową kartkę formatu A-4. — Czy to jest tajna notatka, którą rozesłał pan do nas dzisiaj rano?

— Zgadza się — odparł Randall. — Zaproponowałem w tym piśmie, żebyśmy poinformowali o wydaniu Międzynarodowego Nowego Testamentu w sali tronowej Pałacu Królewskiego w Amsterdamie podczas konferencji prasowej transmitowanej na cały świat. Mamy już na to wstępną zgodę i możemy działać dalej, jeśli to panom odpowiada.

— Odpowiada, jak najbardziej — przytaknął Deichhardt. — To wspaniały pomysł, wart naszego niezwykłego przedsięwzięcia.

— Dziękuję — odrzekł ostrożnie Randall, wciąż nie wiedząc, co ich tak zaniepokoiło.

— Wracając do pańskiego pisma — kontynuował Deichhardt. — Czy pamięta pan, o której zostało rozesłane?

— Około... — Randall namyślał się chwilę — sędzę, że około dziesiątej rano.

— A teraz mamy prawie czwartą po południu — stwierdził Deichhardt, spoglądając na złoty kieszonkowy zegarek. — Tak więc — potoczył wzrokiem po zebranych — tajna notatka dotarła do zainteresowanych przed sześcioma godzinami. To ciekawe.

— Steve — wtrącił się Wheeler, kładąc Randallowi dłoń na ramieniu — w ilu egzemplarzach sporządziłeś tę notatkę?

— W dziewiętnastu, o ile dobrze pamiętam.

— Do kogo były adresowane?

— Nie mam przy sobie listy — odparł Randall. — Ale na pewno otrzymali ją wszyscy obecni w tym pokoju.

— To jest siedem osób — rzekł Wheeler. — Zostaje jeszcze dwanaście.

— Muszę pomyśleć...

— Ja mam listę — odezwała się Naomi. — Przyniosłam ją na wszelki wypadek.

— Przeczytaj brakujące nazwiska.

— Jeffries, Riccardi, Sobrier, Trautmann, Zachery, Kremer, Groat, O'Neal, Cunningham, Alexander, de Boer, Taylor. Dwanaście osób plus was siedmiu, razem dziewiętnaście.

Sir Trevor Young pokręcił ze zdumieniem głową.

— Niesamowite. Tylko najbardziej zaufany personel. Czy nie przeoczyliśmy nikogo, panie Randall? A może przekazał pan te informacje ustnie jeszcze komuś?

— Ustnie? — Randall uniósł brwi. — No cóż, moja sekretarka, Lori Cook, wiedziała o negocjacjach z władzami holenderskimi i Intelsatem, ale oczywiście nie znała samej notatki. No i wspomniałem o tym Angeli Monti, która pracuje dla nas w zastępstwie swego ojca.

Profesor Deichhardt spojrział na Helderinga.

— Czy panna Monti została skontrolowana?

— Tak — odparł inspektor. — Mamy do niej pełne zaufanie, tak jak do wszystkich wymienionych osób.

— No i jeszcze ja — rzekł lekkim tonem Randall. — Ale ja jestem autorem notatki.

Deichhardt odchrząknął.

— Dwadzieścia jeden osób, nie licząc panny Cook — powiedział. — Tylko one poznały treść tajnej notatki. Sami najbardziej zaufani ludzie. Nie wiem, co o tym sądzić.

— Ale o czym? — był ciekaw Randall, nieco już zniecierpliwiony. Deichhardt zabębnił palcami po stole.

— O tym, panie Randall, że dokładnie trzy godziny po rozesłaniu przez pana tajnej notatki jej treść była już znana pewnemu pastorowi, który sam siebie nazywa dominus, niejakiemu Maertinowi de Vroome, przywódcy RROC, Radykalnego Ruchu Odnowy Chrześcijaństwa i naszemu wrogowi.

Randall był kompletnie zaskoczony.

— De Vroome zdobył naszą notatkę? — zapytał, wciąż jeszcze nie dowierzając.

— Nie inaczej — rzucił niemiecki wydawca.

— Ale to niemożliwe!

— Może i niemożliwe, ale zdobył ją i tyle — rzekł Wheeler. — De Vroome wie teraz gdzie, jak i kiedy chcemy ogłosić naszą wielką sensację.

— A skąd my wiemy, że on wie? — dopytywał się Randall.

— Stąd — odpowiedział Deichhardt — że tak samo jak de Vroome znalazł drogę do zespołu Drugiego Zmartwychwstania, nam również udało się niedawno umieścić wtyczkę w jego otoczeniu. Nasz informator udaje...

Inspektor Helderling uniósł się z krzesła, grożąc mu palcem.

— Ostrożnie, profesorze, ostrożnie. Deichhardt skinął głową.

— W istocie, szczegóły nie są dla pana istotne — mówił dalej do Randalla.

— W każdym razie mamy w RROC kogoś, kto zadzwonił do mnie parę godzin temu i podyktował treść informacji, którą z kolei de Vroome przekazał swoim współpracownikom. Chce pan przeczytać? Proszę bardzo.

Randall wziął od niego kartkę z tekstem i uważnie go przeczytał.

Drogi Bracie!

Informuję Cię poufnie, że syndykat ortodoksów zamierza zapowiedzieć nową Biblię 12 lipca w sali tronowej Pałacu Królewskiego w Amsterdamie i ma to być transmitowane na cały świat przez satelitę Intelsat. Przygotowania są w toku. Wkrótce powiadomimy Cię o naszym spotkaniu. Do tego czasu powinniśmy zdobyć egzemplarz tej Biblii. Omówimy wówczas treść naszego oświadczenia, które przekazemy światowym mediom na dwa dni przed konferencją prasową ortodoksów. Musimy nie tylko stąpić ostrze ich propagandy, lecz zniszczyć ich i uciszyć już na zawsze.

W imię Ojca, Syna i przyszłości naszej Wiary.

Dominus Maertin de Vroome

Randall drżącą ręką oddał kartkę Deichhardtowi.

— Jak on się dowiedział? — zapytał jakby sam siebie.

— Oto jest pytanie — rzekł profesor.

— A co my zamierzamy z tym zrobić? — chciał wiedzieć Randall.

— To też jest właściwe pytanie — zauważył niemiecki wydawca. — Zdecydowaliśmy już o naszym pierwszym kroku. Ponieważ de Vroome zna datę naszego wystąpienia, postanowiliśmy zmienić termin na wcześniejszy, który do ostatniej chwili będzie znany tylko osobom w tym pokoju i kilku innym, na przykład Hennigowi. Konferencja prasowa odbędzie się nie w piątek dwunastego lipca, lecz w poniedziałek ósmego, cztery dni wcześniej. Zapewne uda się panu przesunąć termin rezerwacji sali tronowej i czasu na Intelsacie.

Randall poruszył się niespokojnie na krześle.

— Z tym nie powinno być problemu — odrzekł. — Ale martwi mnie co innego, mianowicie brak czasu. Mojemu zespołowi zostają w tej sytuacji tylko dwa tygodnie i trzy dni na przygotowanie kampanii promocyjnej o

największym zasięgu we współczesnym świecie. Nie wiem, czy się ze wszystkim uporamy.

— Człowiek wierzący poradzi sobie ze wszystkim — odezwał się signor Gayda. — Wiara przenosi góry.

— Niewierzącemu natomiast — wtrącił monsieur Fontaine — odpowiednia zachęta finansowa może zastąpić wiarę.

— Ani ja, ani moi ludzie nie potrzebujemy żadnej zachęty — odparł Randall z irytacją. — Potrzebujemy tylko tego, czego nam właśnie brakuje, czasu. No dobrze — wzruszył ramionami — niech będzie dwa i pół tygodnia.

— Doskonale — rzekł Deichhardt. — Przesuwamy termin nie tylko po to, żeby wymanewrować de Vroome'a. Chcemy także skrócić czas, w którym coś jeszcze mogłoby pójść źle. Nie wiemy, czy nie będzie kolejnego przecieku. Powiadomiliśmy już Henniga w Moguncji o zmianie i o tym, że musimy dostać wcześniej kilka gotowych egzemplarzy Biblii. Przyśle je niebawem, żeby i pańscy ludzie mogli przeczytać Petroniusza i Jakuba. Jednakże czyniąc to, wystawiamy się na poważne niebezpieczeństwo. Czytał pan informację de Vroome'a do jego popleczników. Obiecuje im, że zdobędzie Międzynarodowy Nowy Testament, zanim zaczniemy go rozpowszechniać. W jego tonie brzmi arogancka pewność siebie. Zapewne liczy na to, że ten sam zdrajca, który przekazał mu pańską notatkę, wkrótce dostarczy mu naszą Księgę nad Księgami. I kolejne pytania: Jak de Vroome zdobył notatkę? Jak chce nam wykraść Biblię? Krótko mówiąc, kto jest zdrajcą w naszych szeregach?

— Tak, kto jest przeklętym Judaszem w tym budynku?! — wykrzyknął Wheeler. — Kto nas sprzedaje szatanowi za trzydzieści nędznych srebrników?

— I jak go dopaść — dodał Deichhardt — zanim zada nam kolejny cios?

Randall rozejrzał się po twarzach obecnych.

— Czy ktoś ma jakieś pomysły? — zapytał.

Inspektor Helderling podniósł głowę znad notatnika, w którym coś zapisywał.

— Proponowałem, żeby zbadać wykrywaczem kłamstw wszystkie osoby, które znały treść pańskiej notatki.

— Nie, nie — zaprzeczył Deichhardt stanowczo. — Musielibyśmy ujawnić zbyt wiele szczegółów, a poza tym wpłynęłoby to demoralizująco na lojalną większość naszych ludzi.

— Jednak nie wszyscy są lojalni — upierał się Helderling. — Jeden z pewnością nie jest. Nie przychodzi mi do głowy nic innego.

— Musi być jakiś lepszy sposób.

Randall słuchał tego jednym uchem, usiłując uchwycić kielkującą w głowie myśl. Jego wyobraźnia zaczęła pracować na pełnych obrotach. Tę samą sytuację, która spowodowała przeciek, można było wykorzystać do przyłapania zdrajcy. Skupił się na szczegółach, usiłując nie słuchać gwaru wokół, i po chwili miał gotowe rozwiązanie, logiczne i bezpieczne.

— Ja mam pewien pomysł — powiedział, podnosząc głos. — Sądzę, że może się okazać skuteczny.

Zapadła nagle cisza i oczy wszystkich skierowały się na niego. Randall wstał, odszedł kilka kroków, pocierając z namysłem fajkę i powrócił do stołu.

— Pomysł wydaje się niemal zbyt prosty, ale nie widzę w nim słabych punktów — zaczął. — Posłuchajcie, panowie. Przypuśćmy, że sporządzimy kolejną ściśle tajną notatkę dotyczącą naszych planów. Jej treść jest nieistotna, musi tylko brzmieć wiarygodnie i odnosić się w logiczny sposób do naszych dalszych działań po konferencji prasowej. Przypuśćmy teraz, że roześlemy tę informację do tych samych osób, które otrzymały pierwszą notatkę... oczywiście pomijając obecnych tutaj. Tekst będzie identyczny w każdym egzemplarzu, poza jednym słowem, które zostanie zmienione. Inaczej mówiąc, w każdej kopii notatki znajdzie się jedno słowo, którego nie będzie w pozostałych. Sporządzimy listę adresatów pisma wraz z odpowiadającym każdemu słowem kodowym. Czy rozumiecie panowie, do czego zmierzam? Jeżeli treść notatki znowu przecieknie do de Vroome'a, tak jak poprzednio, nasz informator dowie się o tym, sprawdzi, jakie słowo kodowe zawiera wykradzony tekst i dzięki temu dopasujemy do niego zdrajcę.

Randall przerwał, obserwując reakcję obecnych. — Niezłe, całkiem niezłe — mruknął Wheeler.

Profesor Deichhardt natomiast wydawał się nieco zdezorientowany, podobnie jak pozostali.

— Czy może pan to wytłumaczyć na konkretnym przykładzie? — zapytał. — Chcę mieć pewność, że dobrze zrozumiałem.

Umysł Randalla tworzył w lot kolejne rozwiązania. Właśnie przyszedł mu do głowy następny pomysł.

— Proszę bardzo — rzekł. — Posłużmy się przykładem Ostatniej Wieczery. Uczestniczyło w niej dwunastu uczniów, prawda? To akurat bardzo pasuje do naszych celów. Sporządzimy listę dwunastu osób, które poznały treść mojej notatki. Pominiemy naszą ósemkę, jak już mówiłem, a także... na moje ryzyko... Jessicę Taylor, która pomoże mi przygotować pismo. Tak więc fałszywą notatkę otrzyma dwanaście osób. Jeżeli żadna z nich nas nie zdradzi, to będzie oznaczało, że zdrajcą jest Jessica, Naomi, ja

albo któryś z panów przy tym stole. Na razie zakładamy jednak, że to jeden z tej dwunastki ponownie ujawni tajemnicę pastorowi de Vroome'owi. Naomi, przeczytaj nam, proszę, te nazwiska.

Naomi wstała.

— Jeffries, Trautmann, Zachery, Riccardi, Sobrier, Groat, Kremer, Monti, O'Neal, Cunningham, Alexander, de Boer.

Randallowi przyszło na myśl jeszcze jedno nazwisko, dopiero co przybyłego do Amsterdamu doktora Floriana Knighta. Jednakże ten młody człowiek był wciąż pełen goryczy, miał niechętny stosunek do projektu, który zniszczył owoc jego ciężkiej pracy i chyba nie można go było dopuścić do tej gry. Z drugiej strony, skoro stanowił takie zagrożenie, może powinno się go włączyć? Randall wolał jednak nie kusić Knighta, przypuszczał zresztą, że profesor Jeffries podzieli się informacją ze swym protegowanym.

— Doskonale, Naomi — powiedział. — To są osoby, które dostaną naszą nową tajną notatkę.

Profesor Deichhardt westchnął ciężko. Miał niezbyt zadowoloną minę.

— Trudno sobie nawet wyobrazić, że ktoś z nich mógłby zdradzić, panie Randall — stwierdził. — Każda z tych osób została dokładnie sprawdzona, większość jest w naszym zespole od samego początku i wszystkim zapewne osobiście zależy na uchronieniu nowej Biblii przed zagrożeniem.

— A jednak ktoś to zrobił, profesorze — zauważył Wheeler.

— No tak, no tak, w istocie... Proszę kontynuować, panie Randall.

— Powiedzmy — podjął swój wywód Randall — że napiszemy coś w tym rodzaju: „Ścisłe tajne. Jako kontynuację naszej konferencji prasowej w Pałacu Królewskim, czyli w istocie dnia poświęconego Jezusowi, postanowiliśmy poświęcić dwanaście kolejnych dni tym Jego uczniom, których ewangelie synoptyczne wymieniają z imienia, to znaczy apostołom. Zorganizujemy w tych dniach wiele imprez promujących publikację nowej Biblii. Pierwszy z owych dwunastu dni poświęcony będzie świętemu Andrzejowi". Tej treści notatkę wyślemy do profesora Jeffriesa, a więc kodem rozpoznawczym Jeffriesa będzie „apostoł Andrzej". W kolejnej kopii notatki ostatnie zdanie zostanie zmienione i będzie brzmiało tak: „Pierwszy z owych dwunastu dni poświęcony będzie świętemu Filipowi". Przekazujemy tę kopię na przykład Helen de Boer i otrzymuje ona kod „apostoł Filip". Następną notatkę dostaje pastor Zachery, a w miejsce Filipa podstawiamy Tomasza. I tak dalej. Każdej osobie przypisujemy imię innego apostoła i kiedy się okaże, że de Vroome zdobył już kopię notatki, wystarczy sprawdzić, który apostoł został w niej wymieniony, i będziemy natychmiast wiedzieli, kto zdradził. Czy to jasne?

Rozległ się chór potakujących głosów, a profesor Deichhardt mruknął:

— Aż nazbyt jasne. I nazbyt straszne.

— Co jest takie straszne? — zdziwił się Randall.

— Przypuszczenie, że ktoś z naszej dwunastki może się okazać zdrajcą.

— Skoro Jezusa mógł zdradzić jeden z jego najbliższych uczniów, to równie dobrze może coś takiego przytrafić się nam — rzekł cicho Randall.

— Ma pan rację—odparł Deichhardt. Wstał z wyrazem zadumy na twarzy i spojrzał na zgromadzonych. — Zgadzą się, prawda, panowie? Stawka jest zbyt poważna, żeby się wdawać w przypuszczenia czy sentymentalizm. Panie Randall, niech pan zastawia swoją pułapkę bez chwili zwłoki.

Po długim pracowitym dniu Randall z uczuciem ulgi wsiadł do mercedesa, by wrócić do swego apartamentu w hotelu Amstel. Było pół godziny przed północą.

W portfelu schowanym w wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki miał kartkę, na której osobiście spisał nazwiska dwunastu członków zespołu Drugiego Zmartwychwstania, adresatów fałszywej notatki, wraz z odpowiadającymi im imionami apostołów.

Zastanawiał się, ile czasu zabierze zdrajcy przekazanie de Vroome'owi kopii notatki albo jej treści. Poprzednie pismo dotarło do pastora już po trzech godzinach. Dwanaście wersji napisanych osobno na maszynie przez Jessicę Taylor było gotowych w trzy kwadransy po zakończeniu narady z wydawcami. Każdy egzemplarz został doręczony adresatom do rąk własnych przez ludzi Helderlinga, w Krasnapolskim albo w ich mieszkaniach w mieście. Musieli pokwitować odbiór własnoręcznym podpisem, a Randall czekał w biurze ochrony, dopóki się nie upewnił, że cała dwunastka otrzymała notatkę.

Od tego czasu minęło ponad pięć godzin. Randall był przekonany, że jeśli zdrajca postanowił dostarczyć notatkę de Vroome'owi, powinna się już znajdować w rękach pastora. Teraz pozostawało tylko liczyć na to, że szpieg wydawców w szeregach radykałów nie został zdemaskowany i wkrótce da znać, która wersja tekstu dotarła do wroga.

Przed wyjściem z biura zadzwonił do Angeli i umówili się na późną kolację. Pomimo zmęczenia nie mógł się oprzeć pokusie spotkania. Zjedli w eleganckiej restauracji hotelu Polen, rozmawiając cicho i wymieniając się wspomnieniami swej przeszłości. Randall wiedział, że nie potrafiłby się rozstać z Angielą, gdyby nie pewność, że rano znów ją zobaczy. Odwiózł dziewczynę do Victorii, lecz jeszcze teraz, dojeżdżając do hotelu Amstel, czuł dotyk jej miękkich warg na swoich ustach.

Po chwili Theo skręcił w lewo i zatrzymał się przed hotelem. Randall wysiadł, życzył kierowcy dobrej nocy i skierował się do wejścia.

Nagle ktoś go zawołał. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę, który wyłonił się z cienia za parkującymi samochodami.

— Panie Randall — powtórzył. — Jedną chwileczkę, jeśli można.

Mężczyzna zbliżał się ku niemu i w świetle lamp przed hotelem Randall rozpoznał twarz. Cedric Plummer.

Randall odwrócił się, bardziej zły niż zdziwiony, i chciał odejść, lecz Plummer chwycił go za ramię.

— Spadaj — warknął Randall, wrywając się. — Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— To nie chodzi o mnie — odparł dziennikarz. — Przyszedłem tu, bo tak życzył sobie... ktoś ważny, kto chciałby się z panem spotkać.

— Nie sędzę, żebym chciał się spotkać z kimkolwiek z twoich znajomych, Plummer. — Randall postanowił, że nie da się w nic wciągnąć. Ruszył ku schodom, lecz Anglik nie ustępował.

— Proszę posłuchać, niech pan nie odchodzi. To pastor Maertin de Vroome mnie przysłał, to on chce się z panem zobaczyć.

Randall zatrzymał się w pół kroku.

— De Vroome? — Spojrzał podejrzliwie na dziennikarza. — Naprawdę jest pan jego wysłannikiem?

— Tak, jak najbardziej — odparł Plummer, kiwając żwawo głową.

— Skąd mogę wiedzieć, że to nie jakaś pańska sztuczka?

— A po co miałbym kłamać? Co bym na tym zyskał? Randall wahał się. Był nieufny, a jednocześnie podekscytowany i pragnął uwierzyć.

— Jakąż to sprawę może mieć do mnie de Vroome? — zapytał.

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Akurat — rzekł zgryźliwie Randall. — Dlaczego w takim razie wybrał pana, zagranicznego dziennikarza, na swego posłańca? Mógł przecież do mnie zadzwonić.

Zachęcony pytaniem, Plummer pospieszył z obszerną odpowiedzią.

— Pastor de Vroome ma w zwyczaju załatwiać sprawy nie wprost. Jest bardzo podejrzliwy w kontaktach osobistych. Człowiek o jego pozycji musi być ostrożny. Telefonowanie jest ryzykowne. Nie chciałby także spotkać się z panem w miejscu publicznym. Gdyby pan znał pastora, zrozumiałby pan jego zachowanie.

— A pan go zna?

— Całkiem dobrze, panie Randall. Mam zaszczyt nazywać go swoim przyjacielem.

Randall przypomniał sobie sensacyjny wywiad Plummera z kontrowersyjnym duchownym w londyńskim „Daily Courier”. Był to obszerny, szczegółowy tekst i fakt ten jakoś dodawał wiarygodności twierdzeniu Plummera o przyjaźni z de Vroome' em.

Zastanawiał się, czy przystać na spotkanie. Liczba możliwych pułapek przewyższała chyba korzyści, jednakże czuł nieodpartą chęć, żeby się zgodzić. Tajemniczy Maertin de Vroome był jedyną przeszkodą na drodze do sukcesu Drugiego Zmartwychwstania i nowej przyszłości Randalla. Nieczęsto miało się okazję stanąć oko w oko z takim wrogiem. Pokusa była bardzo silna. Dominus de Vroome był przeciwnikiem wartym podjęcia tej gry.

— Kiedy pański przyjaciel chciałby się ze mną zobaczyć? — zapytał podekscytowanego dziennikarza.

— Nawet teraz, jeśli to panu odpowiada.

— To taka pilna sprawa, że czeka na mnie nawet w środku nocy?

— Nie wiem, czy jest pilna. Ale de Vroome to nocny marek.

— Gdzie teraz jest?

— W swojej kancelarii w Westerkerk.

— Dobrze, jedźmy. Dowiemy się, czego chce nasz wielki człowiek.

Po kilku minutach jechali już pięcioletnim jaguarem coupe Plummera wzdłuż Prinsengracht, Kanału Książęcego, który wił się po zachodnich obrzeżach śródmieścia. Zagłębiony w fotelu sportowego auta Randall przyglądał się profilowi dziennikarza i zastanawiał nad tym, jak bliska może być jego zażyłość z wpływowym przywódcą religijnych radykałów.

— Ciekawi mnie pańska znajomość z de Vroome'em — powiedział. — Nazwał go pan swoim przyjacielem...

— Bo to prawda. — Plummer nie odrywał spojrzenia od drogi.

— Co to za rodzaj przyjaźni, panie Plummer? Czy wynajął pana jako swego propagandzistę? Pracuje pan na rzecz jego ruchu reformatorskiego? Czy jest pan po prostu jednym z jego wielu szpiegów?

Upierścieniona dłoń Plummera puściła kierownicę i zakreśliła w powietrzu lekceważący, dziwnie zniewieściały gest.

— Co też pan opowiada, chłopie drogi, to nie jest aż tak melodramatyczne. — odparł. — Powiem panu otwarcie, co nas łączy. Dominus i ja mamy wspólne zainteresowania, związane z tym, co knujecie w Krasnapolskim. Każdy z nas ma własny powód, dla którego chce dowiedzieć się wszystkiego, zanim profesor Deichhardt zacznie tym karmić masy. Okazało się, że mogę

trochę pomóc de Vroome'owi, dostarczając mu różnych informacji, na które taki dziennikarz jak ja zawsze gdzieś natrafi. W zamian oczekuję od niego bardzo poważnej pomocy. Liczę, że dzięki niemu zdobędę materiał na wyłączność i obwieszczę światu sensacyjną wieść, zanim wy zdążycie to zrobić. — Plummer obnażył wystające zęby w krzywym uśmiechu. — Może to pana razi, ale cóż, chłopie drogi, c'est la guerre.

Szczerłość rozmówcy raczej rozbawiła, niż zdenerwowała Randalla.

— Widzę, że nie ma pan wątpliwości, że de Vroome poda panu nasze głowy na tacy? — zapytał.

Plummer znów się uśmiechnął.

— Jestem tego pewien.

— Przynajmniej uczciwie pan nas ostrzegł.

— No cóż, zasady fair play wyniosłem z Eton. Cokolwiek pan o mnie myśli, Randall, jestem dżentelmenem. I dominus de Vroome także.

— Właśnie, de Vroome. W sumie niewiele o nim wiem — rzekł Randall. — Kim on jest oficjalnie? Głową Holenderskiego Kościoła Reformowanego?

— Nie, ponieważ Nederlands Hervormd Kerk, Holenderski Kościół Reformowany, nie ma formalnego przywódcy — odparł Plummer. — Cztery czy pięć milionów holenderskich protestantów, skupionych w tysiąc czterystu sześćdziesięciu sześciu parafiach, wybiera pięćdziesięciu czterech przedstawicieli, duchownych i świeckich, do synodu. Można by więc powiedzieć, że Kościołem kieruje synod, ale też nie tak do końca. Jego członkowie są raczej świadkami. Jak mawia de Vroome, synod jest nie tyle władzą, ile sumieniem Kościoła. W porównaniu z Anglią czy Ameryką Kościół w Holandii może wydawać się niemal anarchistyczny, mocno związany ze społecznością wierzących. Dominus został wybrany przez radę kościelną jako głowa jednego lokalnego kościoła, jednej parafii, być może nawet najważniejszej w kraju, lecz tylko tej jednej. Wciąż mi powtarza, że nie ma żadnej szczególnej władzy, nawet we własnym kościele. Jego autorytet oparty jest na sile osobowości. Jego zadaniem jest mówić to, co trzeba, umieć słuchać i nigdy nie zapominać, że Kościół tak naprawdę należy do wiernych. Mówię o tym po to, żeby pan zrozumiał, z jakiego rodzaju człowiekiem pan się spotka.

— Mówi pan o nim tak, jakby to był zwyczajny pastor z dzielnicy — powiedział Randall. — Tymczasem on jest przecież przywódcą Radykalnego Ruchu Odnowy Chrześcijaństwa, z legionami świeckich i duchownych zwolenników na całym świecie.

— To także jest prawda — przyznał Plummer — ale jedno drugiemu nie zaprzecza. Na poziomie lokalnym de Vroome jest jak zwyczajny człowiek i właśnie to, że w codziennym życiu postępuje zgodnie z tym, czego naucza... jest ucieleśnieniem wiary zwykłych ludzi... sprawia, że świat postrzega go niczym króla. Co do tej etykiety radykała... samo słowo brzmi groźnie, ale oznacza po prostu kogoś, kto chce dokonać fundamentalnej i drastycznej zmiany istniejącego porządku. W tym sensie dominus de Vroome jest rzeczywiście radykalnym przywódcą religijnym. A oto Westerkerk — Plummer pokazał przez przednią szybę — konsekrowany w roku tysiąc sześćset trzydziestym pierwszym, zbudowany w stylu neoklasycznym, prawdopodobnie ma najwyższą wieżę w Amsterdamie. Brzydactwo, co? Ale to pierwszy kościół Holandii. Zawiera tu śluby rodzina królewska, a dzięki obecności de Vroome'a jest to chyba najważniejsza świątynia protestancka.

Zaparkowali na Westermarkt. Randall stał na placu, czekając, aż dziennikarz zamknie jaguara. Kościół przypominał mu gigantyczną holenderską kamieniczkę, zwieńczoną sięgającą w niebo wieżą. To połączenie wydało mu się zarazem sympatyczne i odpychające i zupełnie tak samo wyobrażał sobie gospodarza świątyni. Przyjrzał się bliżej podświetlonej fasadzie i spostrzegł, że zbudowana jest z małych cegiełek, których czerwień z czasem zbrązowiała i wygląda teraz jak zaschnięta krew. Uznał ostatecznie, że jednak jest to odpychające i pastor de Vroome najpewniej także.

— Co właściwie znaczy dominus? — zapytał Plummera, który stanął przy nim.

— Mistrz, przewodnik — odparł Anglik. — Pochodzi z łaciny i jest tutaj odpowiednikiem „wielebnego”.

Ruszyli w stronę kościoła.

— De Vroome wysłał pana do mnie — rzekł Randall — ale nie wiedział, że przyjmę zaproszenie. Czy będzie mnie oczekiwał?

— Czeka na pana.

— I na pewno pan nie wie, o czym będzie chciał ze mną rozmawiać?

— Nie powiedział mi i ja to rozumiem. Powie panu sam. Mogę się co najwyżej domyślać.

— Mam nadzieję, że nie będzie próbował wydobyć ode mnie jakichś informacji — powiedział Randall.

— Chłopie drogi, de Vroome nie jest tak obcesowy, za jakiego uchodzi. Potrafi być przekonujący, ale to prawdziwy pacyfista. Obawiam się, że jest pan pod wpływem tych brutalnych filmów, których tyle w amerykańskiej telewizji. Albo może nasłuchiwał się pan historii o zwłokach pod Westerkerk?

— O jakich zwłokach?

— Nie wie pan? Dawniej parafian chowano pod posadzką kościoła. Smród rozkładu był tak intensywny, że wierni przynosili ze sobą na mszę buteleczki z wodą kolońską. W rzeczy samej, niektórzy starsi parafianie przynoszą je nawet dzisiaj, chociaż już nie śmierdzi. Nie, panie Randall, nikt nie zamierza pana umieścić pod podłogą. — Plummer wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Przynajmniej ja tak uważam.

Randall przez chwilę miał chęć mu opowiedzieć o tym, jak pierwszego dnia w Amsterdamie napadnięto go nad kanałem właśnie w okolicach Westerkerk, lecz zrezygnował z tego pomysłu.

Minęli masywne, podwójne drzwi frontowe kościoła i skierowali się do małego domu, który przylegał do bocznej ściany świątyni. Pomalowany na zielono, z muślinowymi firankami w oknach sprawiał wrażenie przytulnego. Na drzwiach widniało jedno słowo: KOSTERIJ.

— Główne wejście do kościoła jest zamknięte — wyjaśnił Plummer. — To plebania, dowiem się, gdzie jest dominus.

Weszli do środka. Plummer zniknął w głębi domku, a gdy po chwili wrócił, wskazał większe drzwi z boku korytarza.

— Jest w kościele, chodźmy.

Randall podążył za nim. Przepastną świątynię oświetlał tylko jeden z czterech brązowych kandelabrow i większość nawy kryła się w półmroku. Jeśli nie liczyć czerwonego chodnika, który biegł przez całą jej długość i krzyżował się z takim samym, biegnącym przez transept, wewnątrz sprawiała wrażenie surowego i skromnego. W centralnym miejscu znajdowała się kazalnica w postaci zadaszzonego balkoniku między kamiennymi kolumnami.

Plummer rozglądał się przez chwilę.

— Tam jest — powiedział, pokazując palcem. — W środkowym rzędzie, naprzeciwko ambony.

Randall wyteżył wzrok i dostrzegł samotną postać okutanego w czerń duchownego. De Vroome siedział na krześle, opierając łokcie na kolanach i kryjąc twarz w dłoniach.

— Medytuje — szepnął Plummer pełnym respektu tonem. Postać poruszyła się, uniosła głowę i spojrzała w ich stronę, lecz światło było tak słabe, że Randall nie był pewien, czy zostali zauważeni.

— Już wie, że pan przyszedł. — Dziennikarz dotknął jego ramienia. — Zaczekamy w kancelarii, on za chwilę przyjdzie.

Wrócili na plebanię i weszli schodami na piętro. Było tu dwoje drzwi. Na tych po lewej widniał napis WACHT KAMER, a po prawej SPREEK KAMER.

— Poczekalnia i rozmównica — rzekł Plummer, kierując się na prawo. — Rozmównica to jego kancelaria. Widzi pan lampkę nad drzwiami? Kiedy dominus chce, żeby mu nie przeszkadzano, światło jest czerwone.

Wystrój pomieszczenia zaskoczył Randalla. Spodziewał się mimo wszystko wnętrza na miarę księcia Kościoła o międzynarodowej sławie, tymczasem było ono przytulne i bezpretensjonalne. W kątku do siedzenia stała kanapa, dwa foteliki i stolik do kawy. Był też kominek, biurko i krzesło z prostym oparciem, półki z książkami, obraz z kilkoma rzędami tarcz herbowych i drugi, współczesny, przedstawiający Ostatnią Wieczerzę. Pokój oświetlało kilka rozmieszczonych w różnych miejscach lamp.

Randall nie usiadł, wolał stać. Czuł narastające napięcie. Obawiał się, że Wheeler i wydawcy uznają to spotkanie za nieroztropne, a Helderling na pewno by się na nie nie zgodził. Nie miał pojęcia, co właściwie de Vroome wie na temat Drugiego Zmartwychwstania, lecz było jasne, że ma swoich szpiegów i wie niejedno. Randall postanowił, że nie da się wciągnąć w pułapkę.

Zafrasowany tym, że zgodził się przyjść do jaskini wroga, podszedł niespokojnie do okna. W tym momencie skrzypnęły drzwi i stanął w nich pastor Maertin de Vroome, trzymający na rękach syjamskiego kota.

Jego wzrost i wiek również zaskoczyły Randalla. Był wysoki — prawie metr dziewięćdziesiąt — i stosunkowo młody jak na swoją pozycję w Kościele, z pewnością nie miał jeszcze pięćdziesiątki. Ubrany był w prostą, ciemną sutannę bez ozdób. Miał gęste, długie włosy o lnianej, niemal szafranowej barwie i ascetyczną twarz o rozbrajająco błękitnych oczach, wąskich ustach i zapadniętych policzkach. Choć jego ciało okrywała sutanna, Randall domyślał się, że jest szczupły i żyłasty.

Plummer, przykurczony i jękający się niczym obłudny Uriah Heep, dokonał prezentacji.

— Wielebny, to jest pan Steven Randall. Panie Randall oto dominus de Vroome.

Duchowny bezceremonialnie zrzucił kota na dywan, zrobił krok do przodu i chudą ręką uścisnął krótko dłoń Randalla.

— Witamy w Westerkerk — powiedział. Głos miał łagodny, lecz głęboki i dźwięczny. — To wyjątkowo uprzejme z pańskiej strony, że zechciał się pan zjawić o tej późnej porze. Słyszałem oczywiście o panu i pomyślałem, że takie

spotkanie wyjdzie nam obu na dobre. Proponuję, żeby pan usiadł na kanapie. Jest szczególnie wygodna, może nawet przełamać pańskie opory.

Twardy zawodnik, pomyślał Randall, sadowiąc się na kanapie. Twardy, uprzejmy i groźny.

— Czemu pan sądzi, że mam jakieś opory do przełamania? — zapytał. Zwracanie się do de Vroome'a per dominus wydało mu się pretensjonalne, a ponieważ ten religijny radykał w ogóle mało mu się kojarzył z księdzem, wybrał więc formę „pan”.

— Jak rozumiem, jest pan nowym członkiem w zespole Drugiego Zmartwychwstania — odparł de Vroome — cokolwiek ten idiotyczny kryptonim oznacza, chociaż przypuszczam, że to akurat wiem. Zapewne opowiedziano już panu o mnie jako o przeciwniku religijnej ortodoksji, reprezentowanej przez pańskich pracodawców. Wysłuchał pan tylko jednej strony i kierując się naturalną lojalnością wobec swych szefów, z pewnością uważa mnie pan za wcielenie samego szatana. Przyjął pan postawę obronną i postanowił stawić mi opór.

Randall nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Czy na moim miejscu zachowałby się pan inaczej? — zapytał. — Moim zadaniem jest chronić tajemnicę, pan zaś dąży do jej odkrycia.

Na wąskich ustach de Vroome'a zaigrał pobłażliwy uśmieszek.

— Panie Randall, doprawdy, nie muszę się posługiwać panem, żeby odkryć prawdziwe cele Drugiego Zmartwychwstania i poznać treść waszej nowej Biblii. Jest pan moim gościem i nie zamierzam pana stawiać w niezręcznej sytuacji, ciągnąc za język.

— Dziękuję — odrzekł Randall. — Czego pan w takim razie ode mnie oczekuje?

— Przede wszystkim, że mnie pan wysłucha. Powinien pan wiedzieć, jakie cele przyświecają mnie, a jakie pańskim mocodawcom i ich lokajom. Wbrew pańskiemu mniemaniu nie ma pan o tym pojęcia.

— Postaram się być otwarty — rzekł Randall.

— Nikt nie potrafi być otwarty w pełni. — De Vroome machnął lekceważąco dłonią. — Ludzie zazwyczaj mają głowy pełne uprzedzeń, rozmaitych tabu, mitów i zwykłych kłamstw. Nie oczekuję otwartości na wszystko, co powiem, lecz mam nadzieję, że pański umysł nie będzie też całkowicie zamknięty na moje argumenty.

— Nie jest zamknięty — odparł Randall, nie bardzo rozumiejąc, czemu de Vroome przywiązuje do tego taką wagę.

— Pragnę nowego Kościoła, panie Randall — zaczął de Vroome ?— podobnie jak miliony ludzi, którzy wierzą w to samo co ja i domagają się tego. Pragniemy Kościoła, który odpowiadałby potrzebom nowoczesnych społeczeństw i miał dla nich znaczenie. Wymaga to przede wszystkim nowego zrozumienia Pisma Świętego, które należy odczytać w świetle obecnej wiedzy. Pierwszym, który wezwał do broni w naszej bezkrwawej rewolucji, był niemiecki teolog Rudolf Bultmann. Jego zdaniem poszukiwanie ziemskiego Jezusa jest stratą czasu. Należy odkryć esencję, głębsze znaczenie i prawdę w naukach wczesnego chrześcijaństwa... chodzi mi o kerygmat... poprzez odmitologizowanie Nowego Testamentu, oczyszczenie Ewangelii, jak mówi Bultmann, z elementów zmyślonych. Jeśli współczesny człowiek ma powrócić do religii, musimy, zdaniem Bultmanna, pozbyć się z Nowego Testamentu postaci dziewicy, która urodziła dziecko, wszelkich cudów, zmartwychwstania i sprzecznego z nauką straszenia piekłem i obiecywania nieba. Jako spadkobiercy wszystkich wielkich badaczy prawdy, od Galileusza i Newtona po Mendla i Darwina, uważamy za Allanem Wattsem, że nie do przyjęcia są takie elementy Ewangelii, jak odziedziczony po Adamie grzech pierworodny, dogmat niepokalanego poczęcia, odpokutowanie naszych grzechów przez Jezusa na krzyżu, jego fizyczne zmartwychwstanie po śmierci i wstąpienie do nieba w cielesnej postaci, a także zmartwychwstanie nas wszystkich w dniu Sądu Ostatecznego, kiedy to mamy na zawsze zostać skazani, fizycznie i duchowo, na męki piekielne lub niebiańskie rozkosze. Żeby uwierzyć, dzisiejszy człowiek potrzebuje przesłania, które uzna za wiarygodne, przesłania od nauczyciela czy mędrca, który być może miał na imię Jezus i którego słowa mogą nam pomóc w zmaganiach z rzeczywistością istnienia. Innymi słowy... jak skomentował rozważania Bultmanna pewien oksfordzki teolog... człowiekowi potrzeba przesłania, które pomoże mu „sprostać myśli o swej nieuchronnej śmierci, dzięki czemu zacznie naprawdę żyć”. Krótko mówiąc i parafrazując Renana, chcemy wyprodukować człowieka, który nie jest uzależniony od wiary, lecz w tej wierze trwa. Czy wypowiadam się jasno, panie Randall?

— Jak najbardziej, pastorze.

— Znaleźliśmy się na takim etapie — ciągnął de Vroome — że jeśli Pismo Święte ma pozostać użyteczne dla zbawienia człowieka i być dla niego oparciem, niezbędna jest radykalna rewizja treści Ewangelii. Wiara w Jezusa jako Mesjasza czy postać historyczną nie ma dziś dla religii żadnego znaczenia. Znaczenie ma jedynie odczytanie na nowo, w głębszy sposób, społecznego przesłania pierwszych chrześcijan. Nieważne, kto je

wypowiedział albo kto je spisał, ważne jest tylko, co ono znaczy dla nas dzisiaj, szczególnie gdy zostanie oczyszczone z elementów nadprzyrodzonych i mitycznych, stając się czystym przekazem miłości człowieka do człowieka, przekazem wiary w braterstwo wszystkich ludzi. I tutaj dochodzimy do konserwatystów podtrzymujących wiarę w starego Chrystusa i w stare mity, do ludzi, których zamierza pan reprezentować...

— Dlaczego pan uważa, że są aż tak konserwatywni? — przerwał mu Randall. — Skąd ta pewność, że oni także nie są gotowi do drastycznej zmiany?

— Stąd — odparł duchowny — że znam ich wszystkich osobiście, co do jednego, i znam ich sposób myślenia. Nie mówię tu o producentach nowej Biblii. Tych pięciu jest godnych jedynie pogardy. Kierują się wyłącznie własnym, egoistycznym interesem. Ich Pismo Święte to rejestr wpływów na koncie, a ich jedyna religia to bilans zysków i strat. Do przetrwania potrzebują takich jak Trautmann, Zachery, Sobrier, Riccardi i Jeffries, a także tradycyjnych rad kościelnych i anachronicznych towarzystw biblijnych. To wyznawane przez nich poglądy osłabiły religię i zahamowały rozwój Kościoła na całe stulecia. Oni wiedzą, że podstawowym powodem istnienia religii jest lęk przed śmiercią. Nauczają więc jednocześnie o fałszywym strachu i fałszywej nadziei i odgradzają się zasłoną rytuału i dogmatów od prawdziwych ludzi z ich prawdziwymi problemami. Prawdziwa teologia, jak to ujął Tillich, zajmuje się tym, co dotyka nas ostatecznie... znaczeniem naszej egzystencji, sensem życia. Ale ortodoksyjni teolodzy to ignorują. Jak mówią moi przyjaciele z Centro pro Unione w Rzymie, ci ludzie chcą tylko uchronić swój stary klub religijny, ortodoksyjne status quo, przed nieuchronnym procesem rozpadu. Jeżeli sienie zreformują albo nie ustąpią pola reformatorom takim jak my, pojawią się nowe pokolenia pozbawione religii, pozbawione wiary oraz woli przetrwania, która tylko z wiary może wypłynąć.

— Mówił pan o zweryfikowaniu Biblii — rzekł Randall. — Ale jak chciałby pan zreformować organizację samego Kościoła?

— W sensie praktycznym?

— Tak, w sensie praktycznym.

De Vroome zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, głaszcząc ocierającego się o jego nogę kota.

— Jestem orędownikiem chrześcijańskiej jedności — powiedział w końcu. — Katolicy i protestanci powinni być w jednym

Kościele. Na świecie zwycięży duch ekumenizmu. Będzie to Kościół, który przestanie krzewić ślepa wiarę, utrzymywać celibat i niepodważalność

autorytetu swoich duchownych. Ten Kościół odrzuci bogaczy i będzie łożył na pomoc wiernym zamiast na wielkie katedry, takie jak Westerkerk albo Westminster, Notre Dame czy świętego Patryka w Nowym Jorku. Będzie współpracował ze społeczeństwem poprzez niewielkie wspólnoty, które, miast wysłuchiwać pouczeń, będą się cieszyć duchowym świętowaniem. Ten Kościół będzie integrował mniejszości, będzie uznawał równość kobiet i podejmował akcje społeczne. Będzie wspierał kontrolę urodzin, zezwalał na aborcję, sztuczne zapłodnienie, pomoc psychiatryczną i edukację seksualną. Będzie się przeciwstawiał rządowi i przedsiębiorcom, którzy zabijają, uciskają, zatrują środowisko i wykorzystują ludzi. Będzie to Kościół współczucia, a jego duchowni i wierni będą żyć zgodnie ze słowami Kazania na Górze, a nie tylko je powtarzać.

— I jest pan zdania, że teolodzy i wydawcy z Drugiego Zmartwychwstania nie pragną również takiego Kościoła? — zapytał Randall.

Wąskie usta de Vroome'a znów ułożyły się w pobłażliwy uśmiezek.

— A pan jest zdania, że oni chcą tego samego co ja i wielka rzesza innych ludzi? Proszę ich o to zapytać. Niech pan ich spyta, dlaczego zwalczają mój ruch, jeżeli nie wyłącznie z chęci zachowania hierarchii i anachronicznych metod działania. Niech pan zapyta, dlaczego w kwestiach etyki chrześcijańskiej wahają się zawsze pomiędzy zatwardziałym fanatyzmem a kompromisem. Kompromis to lenistwo. Fanatyzm zaś to nadmiar entuzjazmu, a co za tym idzie brak miłości. Jest jednak trzecia droga, droga reagowania na potrzeby naszych bliskich i sąsiadów. Niech pan zapyta swoich współników, czy zgodzą się porzucić dogmatyczne nauki i przyzwolić na swobodną dyskusję. Niech pan zapyta, co robią... tu i teraz... w sprawach rasowych, ubóstwa albo nierównego rozdziału dóbr. Niech pan zapyta, czy zrezygnują ze swych rozrośniętych instytucji na rzecz uniwersalnej wspólnoty chrześcijan, w której ksiądz czy pastor nie jest kimś szczególnym, nie jest dygnitarzem, lecz raczej sługą rozwijającym życie duchowe tych, którzy go zatrudniają. Niech im pan zada te pytania, panie Randall, a kiedy panu odpowiedzą, zrozumie pan coś, czego oni nie chcą zrozumieć... że podstawową kwestią życiową nie jest przygotowanie się na to, co będzie po śmierci, lecz praca nad stworzeniem nieba tutaj i teraz, na ziemi. — De Vroome przerwał, przez chwilę wpatrywał się w Randalla, po czym mówił dalej, ważąc każde słowo. — Co do tej tajemniczej Biblii, którą przygotowują pańscy przyjaciele, to niezależnie od jej zawartości, od dobrych wieści, które może zawierać, i od sensacji, którą może wywołać... nie jest to owoc miłości. Motywacja wydawców tej książki jest równie obrzydliwa co grzeszna. Ich wyłącznym

celem jest zysk. Natomiast ortodoksyjnym teologom chodzi głównie o odciążenie ludzi od ziemskich reform, o zastraszenie ich tak, by powrócili do starej beznadziei, do Kościoła rytuałów, mistycyzmu i złudzeń. Zapewniam pana, że chcą tą swoją nową Biblią zetrzeć mnie na proch i zniszczyć podziemny Kościół. Tak, tak, panie Randall, ich motywacja jest obrzydliwa i grzeszna.

— Muszę zaprotestować, pastarze. — Randall podniósł głos. — Naprawdę uważam, że posuwa się pan za daleko. Takie zarzuty wobec wydawców mogą być uzasadnione, i choć sądzę, że ocenia ich pan zbyt surowo, nie jestem w stanie ręczyć za ich motywację. Poznałem jednak także innych członków zespołu i są to ludzie oddani, z gruntu uczciwi, którzy ze szczerym przekonaniem bronią tego, co uznali za boskie objawienie. Chociażby profesor Jeffries z Oksfordu, pierwszy, którego poznałem. Wierzę głęboko, że zaangażował się w projekt, powodowany wyłącznie oddaniem sprawie i duchowym...

Pastor de Vroome podniósł rękę, przerywając mu.

— Niech pan już nic nie mówi. Chociażby profesor Jeffries, powiada pan. Otóż Jeffries to właśnie doskonały przykład tego, o czym mówię. Nie przeczę, że to człowiek oddany nauce, nie kwestionuję też jego religijnego zapału. Lecz biorąc udział w tworzeniu nowej Biblii, Jeffries kieruje się zupełnie innymi motywami. Są to rachuby czysto polityczne.

— Polityczne? — zdziwił się Randall. — Trudno mi w to uwierzyć.

— Trudno panu? A czy słyszał pan kiedyś o Światowej Radzie Kościołów?

— Oczywiście. Mój ojciec jest duchownym, nieraz o niej mówił.

— Czy wie pan coś bliższego na ten temat? — napierał de Yroome.

Randall się zawahał.

— Jestto... jak pamiętam... międzynarodowa organizacja skupiająca większość Kościołów protestanckich. Ale szczegółów nie znam.

— Zaraz je panu przedstawię i przy okazji odmaluję wyraźniejszy portret naszego altruistycznego profesora Jeffriesa — rzekł de Vroome. Jego oblicze jakby stężało, głos nabrał twardych tonów. — Światowa Rada Kościołów w Genewie reprezentuje dwieście trzydzieści dziewięć Kościołów protestanckich, anglikańskich, prawosławnych i orientalnych z dziewięćdziesięciu krajów. Skupiają one czterysta milionów wiernych na całym świecie. Rada jest jedyną organizacją religijną, która swym potencjałem i autorytetem może się równać z Watykanem. Jednakże od swego powstania w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym w Amsterdamie nigdy, aż po dziś dzień, nie przypominała Watykanu pod żadnym względem.

Jak to określił jej sekretarz generalny podczas pierwszego zgromadzenia, jest ona „Radą Kościołów, a nie Radą jednego niepodzielnego Kościoła”. Natomiast trzecie zgromadzenie obwieściło z Indii: „Światowa Rada Kościołów to wspólnota Kościołów uznających Jezusa Chrystusa jako Boga i Zbawiciela w zgodzie z Pismem Świętym”. Krótko mówiąc, jest to ciało złożone z luźno ze sobą powiązanych Kościołów o różnym zapleczu społecznym i rasowym, poszukujących porozumienia, dążących do zjednoczenia chrześcijan, budujących konsensus między wiarą a działalnością społeczną. Między zgromadzeniami zwoływanymi co pięć, sześć lat władzę w radzie sprawują jej komitet centralny i komitet wykonawczy. Tym samym dwa najważniejsze stanowiska w radzie to funkcja sekretarza generalnego, który pracuje na pełnym etacie, oraz przewodniczącego, który pełni tę funkcję honorowo. Większy wpływ na organizację ma sekretarz generalny, który kieruje w Genewie biurem z dwoma setkami pracowników, odgrywa rolę łącznika pomiędzy Kościołami i jest rzecznikiem rady, reprezentującym ją na zewnątrz.

— Ale nie dysponuje formalną władzą? — zapytał Randall.

— W obecnym stanie rzeczy zdecydowanie nie — odparł de Vroome. — Sekretarz nie sprawuje władzy, ma jednak, jak powiedziałem, wielkie wpływy. I tu wracamy do pańskiego uczonego i uduchowionego idealisty profesora Bernarda Jeffriesa. Hierarchia ortodoksów, wyższe duchowieństwo i zatwardziali konserwatyści, planuje zdominowanie następnego zgromadzenia rady i osadzenie Jeffriesa na stanowisku sekretarza generalnego, a potem przekształcenie rady przy jego pomocy w protestancki Watykan z kwaterą główną w Genewie. Konserwatyści chcą znowu rządzić poprzez edykty i zakazy, zwrócić wyznawców z powrotem ku ślepej wierze i zniszczyć nadzieję na przekształcenie religii w żywe doświadczenie człowieka. A czym chcą się posłużyć, dążąc do osiągnięcia swoich celów? Oczywiście propagandowym szumem, wywołanym przez nową Biblię, którą przygotowują pańscy koledzy w zespole Drugiego Zmartwychwstania.

Słuchając pastora, Randall przypomniał sobie, że już raz słyszał nazwisko Jeffriesa w powiązaniu ze Światową Radą. Mówiła o tym Valerie Hughes, narzeczona Knighta. Wówczas jednak brzmiało to jakoś składnie i logicznie. Wersja de Vroome'a ukazywała motywację kandydata w zupełnie innym, bardzo niekorzystnym świetle.

— Czy profesor Jeffries wie o tych zamysłach konserwatystów? — zapytał.

— Czy o nich wie? — odparł de Vroome. — To on właśnie kieruje całą tą machinacją, prowadzi potajemnie aktywną politykę, która ma go wynieść do

władzy. Dysponuję kopiami korespondencji między Jeffriesem i jego spiskowcami, mogę dowieść każdego mojego słowa.

— Czy uważa pan, że ten plan może się powieść?

— Może się powieść, jeżeli nowa Biblia zapewni mu odpowiednią reklamę i uznanie w kręgach konserwatystów.

— Zadam to pytanie jeszcze inaczej — powiedział Randall. — Czy pańskim zdaniem Jeffriesowi się uda?

— Nie — odparł głucho de Vroome z bladym uśmiechem. — Nie uda się ani jemu, ani całej reszcie.

— Dlaczego?

— Ponieważ zamierzam ich powstrzymać. I zrobię to poprzez usunięcie trampoliny, z której Jeffries chce się wybić na czoło, to znaczy przygotowywanej przez was nowej Biblii. Zdyskredytuję ją i zniszczę, zanim zdążycie poinformować opinię publiczną o jej wydaniu i dotrzeć z nią do ludzi. Gdy tego dokonam, sekretarzem generalnym Światowej Rady Kościołów zostanie zupełnie ktoś inny. Tak, panie Randall, ja sam zamierzam zostać następnym sekretarzem generalnym.

Randall nie mógł ukryć zdumienia.

— Jak to? Przecież występuje pan przeciwko wszelkiej władzy w Kościele i...

— To prawda — przerwał mu szorstko pastor — i właśnie dlatego muszę zostać sekretarzem rady, żeby ją chronić przed żądnymi władzy. I żeby dzięki niej zjednoczyć chrześcijan. Żeby zaczęła odpowiadać na autentyczne potrzeby społeczne.

Randall był zdezorientowany. Nie potrafił wyczuć, czy de Vroome jest uczciwy w swoich dążeniach, czy raczej kieruje nim taka sama ambicja i żądza władzy jak jego przeciwnikami. I było coś jeszcze. De Vroome oznajmił właśnie, że pragnie zniszczyć nową Biblię. Randall czuł, że musi mu wybić z głowy to bezsensowne dążenie.

— Nie będę się wypowiadał na temat przywództwa w Światowej Radzie Kościołów — zwrócił się do pastora. — Mogę natomiast i chcę skomentować pańską postawę wobec nowego przekładu Pisma Świętego, którego pan nie czytał i o którym niewiele pan wie. Pomijając kwestie polityczne, nie rozumiem doprawdy, jak duchowny może chcieć zniszczyć... to pańskie słowo... zniszczyć, Biblię? Biblię, która może przynieść pocieszenie milionom ludzi, dać im nową nadzieję i wiarę, nakłonić do braterstwa i miłości, czyli dokonać tego wszystkiego, do czego dąży pański ruch radykalnej reformy. Jak

może pan uważać chęć zniszczenia Słowa za moralnie uzasadnioną, skoro nie zna pan nawet treści tego przesłania?

De Vroome zmarszczył brwi.

— Nie muszę znać przesłania — odparł. — Wystarczy, że znam jego heroldów.

— Jak mam to rozumieć?

— Wiem wszystko, co trzeba wiedzieć, o osobach związanych z odkryciem i jego weryfikacją, z produkcją i promocją nowej Biblii.

Randall po raz pierwszy zaczął tracić panowanie nad sobą.

— To jakieś insynuacje — stwierdził ostrym tonem. — Poznałem większość tych ludzi dość blisko i jestem przekonany, że są to osoby uczciwe, szczerze i przepelnione poczuciem dobrej misji. Pan nie zna ich nawet w części tak dobrze jak ja.

— Czyżby? — De Vroome był rozbawiony. — W takim razie porównajmy naszą wiedzę o tym stadku oddanych sprawie nabożnisiów.

Pastor wstał, z szuflady biurka wyciągnął kartonową teczkę i położył ją na blacie. Wyjął z teki gruby plik papierów i pokazał je Randallowi.

— To moje dossier na temat członków ekipy Drugiego Zmartwychwstania — oznajmił. — Nie mamy czasu na czytanie wszystkiego, ale mogę panu powiedzieć co trzeba o każdym, którego pan wymieni.

— Może pan kłamać — odrzekł Randall.

— Wystarczy, że pan ich zapyta, czy to, co ujawniłem, jest prawdą — zripostował pastor. — Właściwie chciałbym, żeby pan to zrobił.

— No więc słucham — rzucił kwaśno Randall.

— Pańskiego idealistę profesora Jeffriesa już omówiliśmy — rzekł de Vroome spokojnym, rzeczowym tonem. — Przyjrzyjmy się teraz Georgeowi L. Wheelerowi, bogatemu wydawcy dzieł religijnych, który włączył pana do projektu. Co pan właściwie o nim wie? Czy wie pan, na przykład, że ten rekin biznesu był na skraju bankructwa, gdy postanowił sprzedać swoje wydawnictwo Ogdenowi Towery'emu, prezesowi Cosmos Enterprises? Tak, tak, to prawda. Ale transakcja jeszcze nie została sfinalizowana. Towery uzależnia to od efektów publikacji nowej Biblii. Tak więc, jeżeli Wheeler chce przetrwać jako biznesmen i utrzymać swój status społeczny, musi odnieść sukces. Towery chce kupić jego firmę tylko z jednego powodu. Dzięki związkowi z nową Biblią pragnie podtrzymać swój prestiż we wpływowych kręgach Kościoła Chrześcijan Baptystów. Dlatego właśnie Wheeler zatrudnił pana, żeby się wykazać przed Towerym i uratować własny tyłek.

— Ale to nie są dla mnie żadne nowości — odparł Randall cierpko. Był poirytowany arogancją Holendra, lecz w duchu musiał przyznać, że dowiedział się jednak czegoś nowego. Nie miał pojęcia, że los firmy Wheelera zależy całkowicie od sukcesu Międzynarodowego Nowego Testamentu.

— To nie są dla pana żadne nowości? — powtórzył de Vroome. — Może za chwilę wyżej mnie pan oceni. Przyjrzyjmy się na przykład nowej Bernadecie z Lourdes, pańskiej niepozornej sekretarce Lori Cook. Dziś rano w szpitalu uniwersyteckim był pan świadkiem cudu, nieprawdaż? Panna Cook, kaleka od dzieciństwa, miała wczoraj wizję... i oto już chodzi bez utykania. Niesamowite! Przykro mi to mówić, ale prawda jest taka, że panna Cook zawsze mogła chodzić normalnie. Nawet trudno ją nazwać oszustką, to po prostu żalosna, neurotyczna istota, okłamująca nawet samą siebie. Odkrycie prawdy nie było trudne, wystarczył jeden telefon do Ameryki. Pastor z naszego ruchu, który mieszka w niedalekim sąsiedztwie państwa Cook, rozejrzył się trochę i odpowiednia dokumentacja jest już w drodze. Mamy dowody na to, że Lori Cook uprawiała w szkole lekkoatletykę, tego się nie da robić bez zdrowych nóg. Jej prawdziwy problem polegał na tym, że była nieatrakcyjna i nie interesowali się nią chłopcy. Kiedy zatrudniła się przy waszym projekcie, postanowiła udawać kalekę, żeby zwrócić na siebie choć trochę uwagi otoczenia. A ostatnio wpadła na pomysł, że może się stać gwiazdą, odgrywając drugą Bernadettę.

Ozdrowiała za sprawą cudu, jest w centrum uwagi, wszyscy ją kochają... Niedługo stanie się legendą... Apeluję do pana, panie Randall, niech pan nie wykorzystuje tej historii w kampanii reklamującej nową Biblię. Nie chciałbym zranić nieszczęsnej dziewczyny, ale jeżeli pan posłuży się tym niby-cudem, będę zmuszony ujawnić całą mistyfikację. Nie proszę też, żeby mi pan uwierzył na słowo...

— Nie wierzę — wtrącił Randall, wstrząśnięty rewelacjami pastora.

— ...proszę tylko, żeby się pan głupio nie upierał przy wykorzystaniu Lori Cook do promocji Biblii, bo wtedy naprawdę pan pożałuje. — De Vroome wziął kota na kolana i pogrzebał w papierach na biurku. — Kogo z pańskiej trzódki teraz omówimy? Może jedną z osób, które pan odwiedzał w ubiegłym tygodniu? Które pan podobno dobrze zna i którym ufa?

Randall nie odpowiedział.

— Milczenie znakiem zgody? — spytał de Vroome. — Więc krótko. Był pan w Moguncji, u Karla Henniga. Świetny, bezpośredni facet z tego drukarza, co? Miłośnik książek i Gutenberga, prawda? I nie tylko, panie

Randall. To ten sam Karl Hennig, który wieczorem dziesiątego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku wraz z tysiącami innych studentów wziął udział w marszu z pochodniami przez Berlin. Faszystowskim marszu, zakończonym wiecem na Unter den Linden. Tam właśnie Hennig z kolegami, tak podziwiani przez doktora Goebbelsa, wrzucili do ognia dwadzieścia tysięcy książek, książek Einsteina, Zweiga, Manna, Freuda, Zoli, Jacka Londona, Uptona Sinclaira. Tak, tak, Karl Hennig, zakochany w drukarstwie nazistowski niszczyciel książek. Tę informację zawdzięczam mojemu przyjacielowi — de Vroome pokazał za siebie — panu redaktorowi Plummerowi.

Randall, oszołomiony tymi rewelacjami, niemal zapomniał o obecności dziennikarza w pokoju.

Ujrzał, że Plummer uśmiecha się, mile polechtany pochwałą.

— To prawda — powiedział Anglik. — Mam negatyw fotografii, na której młody Hennig wrzuca książki do ognia.

Randallowi stanęły przed oczami wydarzenia w Moguncji i we Frankfurcie. Hennig prawdopodobnie nie godził się na rozmowę z Plummerem, dopóki nie poznał powodu odwiedzin dziennikarza. A potem pod presją szantażu zgodził się na spotkanie we Frankfurcie.

— Dlaczego uparliście się, żeby zdyskredytować Henniga? — wybuchnął. — Co chcecie przez to osiągnąć?

— Chcemy zdobyć próbny egzemplarz nowej Biblii — odrzekł Plummer z uśmiechem. — To niewielka cena za odzyskanie starego negatywu.

De Vroome pokiwał głową na potwierdzenie jego słów.

— Otóż to — rzekł. — Nasza cena to jeden egzemplarz Biblii. Randall opadł na kanapę, niezdolny wykrztusić słowa.

— Jeszcze dwie osoby i damy sobie spokój — ciągnął nieubłaganie de Vroome. — Przyjrzyjmy się wybitnemu i obiektywnemu człowiekowi nauki. Oto profesor Henri Aubert, specjalista od datowania węglem radioaktywnym. Widział się pan z nim w Paryżu, prawda? Z pewnością powiedział panu, że odkrycie, którego autentyczność weryfikował, przywróciło mu wiarę i człowieczeństwo, natchnęło pragnieniem, by dać żonie dziecko, które zawsze chciała mieć. Czyż nie tak? Otóż profesor Aubert okłamał pana, ponieważ jest fizycznie niezdolny do spłodzenia dziecka. Dlaczego? Dlatego że przeszedł przed laty udaną operację podwiązania nasieniowodów. Był zwolennikiem kontroli urodzin i dał się chirurgicznie wysterylizować. Profesor Aubert nie zasłużył na zaufanie. Nie może dać swojej żonie dziecka.

— Ale przecież dał! — wykrzyknął Randall. — Poznałem panią Aubert, widziałem, że jest w ciąży.

Na twarz pastora znów wypłynął pobłażliwy uśmiezek.

— Panie Randall, ja nie powiedziałem, że madame Aubert nie może zajść w ciążę, tylko że sprawcą tej ciąży nie może być profesor. Oczywiście, że ona jest w ciąży, tyle że ze swoim kochankiem, monsieur Fontaine'em... tak, tym nieskazitelnym wydawcą francuskiej wersji nowej Biblii. Aubert po prostu postanowił przymknąć na to oko. I wcale nie dlatego, że pragnie dziecka albo chce zatrzymać żonę przy sobie. Chodzi mu o to, żeby uniknąć skandalu w chwili, gdy wraz z kilkoma kolegami został nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie chemii za odkrycie, nad którym pracowali od wielu lat, niezwiązane z datowaniem węgłem. Dla pańskiego uczonego zaszczyty znaczą więcej niż duma i prawdomówność. Chyba nie można komuś takiemu zaufać także w innych sprawach, nie sądzi pan?

Randall nie chciał uwierzyć pastorowi, lecz nie miał już siły zaprzeczać temu istnemu adwokatowi diabła. Czekał.

— Na koniec zachowałem najciekawszy dla pana i najbardziej osobisty kasek — rzekł de Vroome. — Choć będzie to bolesne dla nas obu, opowiem panu teraz o Angeli Monti z Rzymu, pańskiej ostatniej miłości.

Randall miał chęć wstać i wyjść. Wiedział jednak, że musi wysłuchać pastora do końca.

— Oczywiście poznał pan jej ojca, profesora Augusta Montiego, autora odkrycia, na którym opiera się nowa Biblia? — zapytał de Vroome i nie czekając na odpowiedź, dodał: — A może wcale się pan z nim nie spotkał, podobnie jak wielu innych ostatnimi czasy? Sądzę, że to drugie. Czemu tak jest? Dlatego że zazdrośni zwierzchnicy Montiego wciąż wysyłają go na jakieś wykopaliska gdzieś daleko w Azji? Czyż nie to właśnie opowiada wszystkim naokoło, i panu także, jego córka? Proszę wybaczyć, ale Angela Monti kłamie. Gdzie wobec tego przebywa jej ojciec? Otóż ukrywa się gdzieś na przedmieściach Rzymu, okryty niesławą, na wymuszonej przez rząd emeryturze. Przyczyna? Rząd włoski dowiedział się, że profesor Monti, przygotowując teren pod wykopaliska, zachował się bardzo nieładnie. Zamiast wydzierżawić ziemię, oszukał jej właścicieli, ubogich rolników, i kupił ziemię dla siebie na własność, żeby nie musieć się później z nimi dzielić połową wartości znaleziska. Wyprowadził tych ludzi dosłownie w pole, a kiedy odkrył to, co tam odkrył, chłopci udali się ze skargą do ministerstwa. Rząd zrefundował im stratę i skandal zatuszowano, ale profesor musiał

zrezygnować z pracy na uniwersytecie w Rzymie i zniknąć z oczu opinii publicznej.

Randall już miał dosyć. Trząśnięty całym z oburzenia.

— To stek kłamstw i nie wierzę w ani jedno słowo! — zawołał. De Vroome wzruszył ramionami.

— To nie na mnie powinien pan krzyżeć — odparł — tylko na Anagę Monti. To ona zataiła przed panem prawdę, i to nie tylko po to, by chronić swego żalostnego ojca. Chce także przy pańskiej pomocy wypromować jego nazwisko jako najważniejszej postaci w waszym przedsięwzięciu. Wówczas profesor Monti będzie mógł przeciwstawić się władzom i powrócić w glorii, a rząd włoski nie ośmieli się już ujawnić skandalu. Panna Monti okłamała pana i wykorzystuje do swoich celów. Przykro mi, ale taka jest prawda.

— Nie mam zamiaru w to uwierzyć — powiedział Randall.

— Więc proszę porozmawiać z panną Monti.

— Na pewno to zrobię.

— Niech pan tylko nie traci czasu na pytanie jej, czy to, co powiedziałem, jest prawdą — rzekł de Vroome — bo znowu pana okłamię. Lepiej niech pan poprosi, żeby zawiozła pana do ojca.

— Nie posunę się do czegoś takiego — warknął Randall.

— W takim razie może pan nigdy nie poznać prawdy.

— Jest wiele prawd, pastorze, tak jak jest wiele punktów widzenia i możliwości interpretacji faktów.

De Vroome pokręcił przecząco głową.

— W wypadku osób, o których mówiliśmy, prawda jest tylko jedna — odparł. — Jak głosi mit, Poncjusz Piłat zapytał Pana Jezusa: Quid est Veritas? „Czym jest prawda?”. Ja mógłbym odpowiedzieć Piłatowi anagramem jego pytania: Est vir qui adest, czyli „Jest tym, który przed tobą stoi”. Tak, panie Randall, człowiek, który stoi przed panem w tym pokoju, Maertin de Vroome, poznał prawdę. Gdyby pan badał, tak jak ja badałem, gdyby poszukał pan prawdy, tak jak ja szukałem, uwierzyłby mi pan i zaufał. Jeżeli tak się stanie, doceni pan także to, że zaprosiłem dziś pana do siebie.

— Ano właśnie — rzekł Randall. — Czekałem, żeby o to zapytać. Po co właściwie zostałem tu zaproszony, pastorze de Vroome?

— Chciałem przekonać pana o uczciwości naszych celów i ukazać panu, jak wygląda uczciwość ludzi stojących za Drugim Zmartwychwstaniem — odrzekł duchowny. — Chciałem, żeby pan zrozumiał, że wprowadzają pana w błąd, wykorzystują do niecnego celu i oszukują. Jest pan traktowany instrumentalnie, podobnie jak wielu innych, przez komercyjny syndykat

wydawców i grupę niereformowalnych bigotów o wypaczonych umysłach. Ściągnąłem pana tutaj, żeby przekonać do naszej sprawy. Obawiam się jednak, że moje wysiłki, by otworzyć panu oczy i pomóc ujrzeć światło, tylko pana do mnie zniechęciły.

— Czego konkretnie pan ode mnie oczekuje? — zapytał Randall.

— Pańskich usług i genialnych pomysłów w pańskiej specjalności. Potrzebujemy pana po naszej stronie, po stronie słusznej sprawy, żeby przeciwstawić się propagandzie Drugiego Zmartwychwstania i rozkrzewić naszą ideę odnowienia religii i wiary na całym świecie. Moja oferta jest bardzo szczodra, panie Randall, może pan opuścić tonący statek i przejść na inny, płynący pod pełnymi żaglami. To dla pana szansa na uratowanie własnej przyszłości i uczciwości, szansa na trwanie w wierze. Co do korzyści doczesnych, moi towarzysze i ja możemy panu zaoferować tyle samo, co Wheeler i jego kohorta. Niczego pan nie straci, a wszystko może zyskać.

Randall wstał.

— Z tego, co tu usłyszałem — powiedział — nie zyskam niczego, a mogę stracić wszystko. Ja wierzę w ludzi, z którymi pracuję, pastorce de Vroome. Nie wierzę natomiast panu. Zamiast faktów słyszałem tylko plotki. Zamiast słów świadczących o uczciwości, zapowiedź szantażu. Pańska tak zwana sprawa to mglista obietnica. Drugie Zmartwychwstanie natomiast już się wydarza. A co do pańskiej osoby... — spojrzał na człowieka siedzącego bez ruchu za biurkiem. Jego twarz była nieprzeniknioną maską. Randall nie był pewien, czy odważy się mówić dalej, lecz jednak mówił: — ...Sądzę, że ma pan w sobie tyle samo, jeśli nie więcej, egoizmu i ambicji co ludzie, z którymi pracuję. Z pewnością jest pan bardziej fanatyczny. Pewnie uważa pan, że to konieczne dla dobra sprawy, ale ja nie mógłbym pracować z człowiekiem tak nieelastycznym, tak przekonanym o własnej nieomyślności. Nie mógłbym stać się zaprzańcem i pomagać wam w zniszczeniu czegoś, w co sam wreszcie zacząłem prawdziwie wierzyć. Słowo. Tak, Słowo, które zamierzamy podarować światu. Niczego pan nie wie o tym wielkim przesłaniu, pastorce de Vroome, i jeśli stanie się po mojej myśli, niczego się pan nie dowie, dopóki nie dotrze ono bezpiecznie do świata. Dobrej nocy, pastorce. Mogę panu życzyć dobrej nocy, ale nie mogę życzyć powodzenia.

Randall oczekiwał, że posypią się nań gromy, lecz spotkało go rozczarowanie. De Vroome kiwał tylko głową i Randall czułby, że w swoim dramatyzmie wyszedł na idiotę, gdyby nie jedna rzecz, która paliła go do żywego. De Vroome zaatakował ludzi, którzy nie mogli się bronić — Jeffriesa, Wheelera, Lori Cook, Henniga, Auberta, nawet Angelę i jej ojca.

Człowiek, który POLECIEĆ zwracać się do siebie dominus, mistrz, okazał się bezwzględny i mściwy. Randall uznał, że nie musi się wstydzić swego wybuchu.

— Uczciwe postawienie sprawy — stwierdził de Vroome. — Nie mam zamiaru pana przekonywać do siebie i do naszej idei, nie będę powtarzał, jak bardzo się pan myli co do ludzi, których pan tak lojalnie broni. Każdy z nas już powiedział to, co chciał. Proszę jednak pamiętać, że pana ostrzegłem, że ujawniłem pewne fakty na temat pańskich kolegów. Prosiłem też, żeby poszukał pan prawdy samodzielnie. Gdy pan to zrobi, może się okazać, że będzie pan chciał tu wrócić. Jeżeli stanie się to przed publikacją Biblii, a wierzę, że tak, niech pan pamięta, moje drzwi zawsze stoją otworem. Przyda się pan naszej Sprawie.

— Dziękuję, pastorze.

Randall odwrócił się i chciał wyjść, gdy de Vroome znów się odezwał.

— Jeszcze ostatnia rada, panie Randall. — Wypuścił kota i wstał, a w ślad za nim wstał także Plummer. — To również upomnienie dla pana i pańskich kolegów — rzekł de Vroome, rozkładając kartkę niebieskiego papieru. — Szkoda waszego czasu i energii na zastawianie tak idiotycznych i dziecinnych pułapek na mnie. — Podniósł kartkę do góry. — Mówię o tej notatce, tak zwanej tajnej notatce, którą rozesłał pan kilka godzin temu do swoich współpracowników.

Randall przełknął nerwowo ślinę i czekał na dalszy ciąg.

— Stworzyliście fikcyjną notatkę na temat akcji promocyjnej — ciągnął de Vroome — specjalnie po to, żeby sprawdzić, czy ktoś z personelu jest nielojalny i zdradza nam szczegóły waszych posunięć. Liczył pan na to, że po przeczytaniu tego pisemka rozpoczną jakieś działania, żeby was uprzedzić, i dzięki temu Helderling wykryje sprawcę przecieku i będzie mógł go wyeliminować z ekipy. Popułnił pan jednak błąd merytoryczny, a właściwie dwa błędy, ponieważ jest pan amatorem w dziedzinie teologii. Oczywiście ktoś tak obeznany z tekstem Ewangelii jak ja musiał od razu zauważyć ten idiotyzm i pańska śmieszna pułapka nie zadziałała. Niech pan już więcej nie bawi się ze mną w takie podchody albo przynajmniej zostawi to ekspertom.

Randall czuł, jak krew napływa mu do głowy. De Vroome chyba nie odkrył, na czym naprawdę polegała pułapka. Jeszcze nie wszystko przepadło.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o co chodzi, pastorze — powiedział.

— Doprawdy? Wyjaśnię więc panu dokładniej. — De Vroome przyjrzał się niebieskiej kartce. — Napisał pan tutaj, że dwanaście kolejnych dni po ogłoszeniu waszej sensacji poświęconych będzie dwunastu uczniom Jezusa,

wymienionym z imienia w Nowym Testamencie. Następnie wylicza pan ich imiona, łącznie z Judaszem. — De Vroome pokręcił głową. Randall czekał w napięciu, aż duchowny odczyta ostatnie zdanie ze słowem kodowym, które pozwoli ujawnić zdrajcę w szeregach Drugiego Zmartwychwstania. De Vroome jednak nie czytał dalej. Opuścił kartkę i kręcąc znów głową, stwierdził: — Co za głupota.

— Nie rozumiem. — Randall był zdezorientowany.

— Własnej głupoty? — De Vroome zaśmiał się sardonicznie. — Czy naprawdę oczekiwał pan, że ktoś się nabierze na pismo, w którym zapowiada pan obchody związane z dwunastoma apostołami, wśród których znajdzie się Judasz? Judasz Iszkariot, historyczny synonim zdrajcy, człowiek, który wydał Jezusa?

Randall się skrzywił. To rzeczywiście było głupie. Podyktował pismo w wielkim pośpiechu, a potem także nie było czasu, żeby pokazać je komuś z ekspertów.

— Pański drugi błąd — ciągnął de Vroome — to stwierdzenie, że w Nowym Testamencie wymieniono z imienia dwunastu apostołów, podczas gdy każdy teolog wie, że było ich trzynastu. Po zdradzie Judasza Jezus zastąpił go Maciejem, trzynastym wymienionym z imienia uczniem. — Pastor potrząsnął niebieską kartką. — Naprawdę, panie Randall, niczego pan nie uzyska takimi dziecinnymi sztuczkami. Proszę nas nie lekceważyć. Proszę nas szanować i w końcu się do nas przyłączyć.

Randall wpatrywał się w kartkę zgłodniałym wzrokiem. Ostatnie zdanie. Musi zobaczyć ostatnie zdanie. Serce waliło mu jak młotem. Rozpaczliwie usiłował wymyślić coś, żeby sprowokować de Vroome'a do ujawnienia ostatniej linijki pisma.

— Bardzo dziękuję za ten krótki wykład z teologii — zaczął, starając się panować nad głosem — obawiam się jednak, że trafił pan jak kulą w płot, ponieważ ja nie napisałem żadnej notatki.

De Vroome prychnął zniecierpliwiony.

— Jest pan niepoprawny. Wciąż pan trzyma się swoich gier. Chyba poznałby pan własny podpis?

— Oczywiście.

De Vroome podsunął pismo w jego stronę po blacie biurka.

Randall na miękkich nogach podszedł bliżej i spojrzał na kartkę. Ostatnie zdanie, nad podpisem, skoczyło mu do oczu.

Pierwszy z tych dwunastu dni poświęcony będzie apostołowi Mateuszowi.
Mateusz.

Podniósł głowę, usiłując ukryć uczucie triumfu i zrobić zakłopotaną, przepraszającą minę.

— Tak, to mój podpis — powiedział. — Wygrał pan, de Vroome.

Pastor pokiwał z satysfakcją głową i składając powoli kartkę, rzekł:

— Niech pan nie zapomina o jednym, panie Randall. Dowiemy się wszystkiego o tej nowej Biblii, zanim zdążycie omamić nią ludzi. Przygotujemy ich do przetrzymania waszego szturmu. Jeżeli chce się pan znaleźć po stronie zwycięzców, wróci pan tutaj i będzie pracował ramię w ramię z nami. A teraz pan Plummer odwiezie pana do hotelu.

— Dziękuję, ale wolę trochę pooddychać świeżym powietrzem — odparł szybko Randall.

— Jak pan sobie życzy.

De Vroome odprowadził go do drzwi i już bez słowa wypuścił ze swego gabinetu.

Po kilku minutach Randall znalazł się w cieniu gęstych drzew otaczających Westermarkt, kierując się ku najbliższej latarni na pustym o tej porze placu.

W głowie rozbrzmiewało mu tylko jedno imię, rezonując echem pod czaszką.

Mateusz.

Nastał czas prawdy. Który z dwunastu adresatów dostał notatkę z tym słowem kodowym? Kto był zdrajcą?

W żółtym świetle latarni Randall wyciągnął z kieszeni marynarki listę dwunastu apostołów wraz z przypisanymi im nazwiskami członków zespołu Drugiego Zmartwychwstania.

Rozłożył kartkę i przebiegł ją wzrokiem.

Apostoł Andrzej — Bernard Jeffries Apostoł Tomasz — pastor Zachery Apostoł Szymon — Gerhard Trautmann Apostoł Jan — Riccardi Apostoł Filip — Helen de Boer Apostoł Bartłomiej — Groat Apostoł Judasz — Albert Kremer Apostoł Mateusz...

Apostoł Mateusz.

Obok imienia Matusz widniało nazwisko Angela Monti.

ROZDZIAŁ 7

Po spędzeniu bezsennej nocy Steve Randall obudził się późnym rankiem najczarniejszego dnia w całym swoim dotychczasowym życiu.

Kazał kierowcy zawieźć się nie do Krasnapolsky'ego, lecz do sąsiedniego, pięciopiętrowego budynku przy Dam, do de Bijenkorf, największego domu handlowego w Amsterdamie.

Dwadzieścia minut wcześniej zadzwonił do Angeli, która urzędowała się już w pokoiku obok jego gabinetu, żeby przejąć obowiązki Lori Cook.

Rozmowa była właściwie monologiem, jego monologiem.

— Angelo, muszę się z tobą spotkać w ważnej sprawie — powiedział. — Nie w biurze, gdzieś na mieście. Może w domu handlowym przy Dam? Czy jest tam jakaś kafeteria?

Okazało się, że są dwie, na parterze i na czwartym piętrze. Umówili się w tej na górze.

Randall wszedł do de Bijenkorf od strony Dam i skierował się do wind. Mijał szybko lady i półki wypełnione biżuterią, rękawicami, sztucznymi kwiatami i płytami z muzyką, niczego nie widząc, na nic nie zwracając uwagi, myśląc tylko o rychłej konfrontacji z Angela Monti.

Prawdopodobieństwo, że go okłamała i że jest zdrajczynią, było bardzo wysokie. Początkowo nie chciał wierzyć twierdzeniom de Vroome'a, że profesor Monti popadł w niełaskę i że Angela posługuje się swym ciałem, żeby pomóc ojcu odzyskać dobre imię. Trudno było uwierzyć nawet w to, że współpracowała z wrogiem Drugiego Zmartwychwstania, choć miał na to dowód. Dlaczego miałyby niszczyć projekt, którego upadek oznaczałby też ostateczne pograżenie ukochanego rodzica? Chyba że — i była to realna możliwość — ten rodzic wcale nie był taki ukochany. Jeśli Angela z jakiegoś powodu nienawidziła ojca, mogła szukać sposobności zrujnowania projektu opartego na jego odkryciu.

Jakkolwiek było, budzący grozę fakt pozostawał faktem: zastawiona poprzedniego dnia pułapka niezaprzeczalnie ujawniła Angele jako informatora de Vroome'a. A przecież jeszcze wczoraj w południe, a także ubiegłej nocy, był z nią tak blisko, kochał ją i ufał jak żadnej innej kobiecie. Niemal niemożliwością było uwierzyć, że zdradziła nie tylko projekt, lecz także ich miłość. Nie dało się jednak zaprzeczyć niezbitym dowodom, że tak właśnie się stało.

Za kilka minut miał się tego dowiedzieć. Bał się tej prawdy, lecz chciał ją poznać, nawet gdyby miał ją wydusić z Angeli siłą.

Najchętniej udusiłby ją gołymi rękami za zdruzgotanie tej odrobiny wiary, którą dopiero co udało mu się zyskać. Wiedział, że z tej beznadziejnej konfrontacji żadne z nich nie wyjdzie jako zwycięzca.

Wysiadł z windy na czwartym piętrze i zobaczył po lewej napis BUFET. Angela już stała przy długim barze, z tacą w ręce, czytając menu. Podszedł do niej i rzucił:

— Weź mi tylko herbatę. Zajmę jakieś miejsca.

Odwrócił się natychmiast, żeby nie widzieć jej twarzy. Stoliki były pozajmowane, lecz wysokie stołki przy kontuarze pod ścianą stały puste. Randall usiadł plecami do baru i czekał. Wydawało mu się, że w nieskończoność.

— Dzień dobry, kochanie. — To była Angela.

— Dzień dobry — odparł chłodno. Wziął od niej tacę i trzymał tak, żeby dziewczyna nie mogła go pocałować. Kiedy usiadła, zaczął pilnie mieszać swoją herbatę, unikając jej spojrzenia.

— Co się stało, Steve? — zapytała. — Jakoś dziwnie się dzisiaj zachowujesz.

Spojrzał w jej oczy, piękne, zdziwione teraz, zielone oczy, za którymi kryło się kłamstwo i zdrada.

Było mu niedobrze, zwyczajnie niedobrze, nie wiedział, od czego i jak zacząć.

— Steve? — nalegała Angela. — Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Jak?

— Tak jakoś... zimno.

Żeby z tym skończyć, musiał coś powiedzieć.

— Angelo, wczoraj dowiedziałem się czegoś o tobie i muszę o tym porozmawiać. — Wziął głęboki oddech i drżącym głosem wygłosił pierwsze oskarżenie. — Okłamałaś mnie, mówiąc o swoim ojcu.

Policzki dziewczyny poczerwieniały.

— Ja cię okłamałam? Kto tak powiedział? To jakiś obłąd! — Jej głos też drżał. — Powiedz, o co chodzi, Steve!

— Dowiedziałem się, że twojemu ojcu wcale nie zlecano prac wykopaliskowych, tak jak mówiłaś. Zwolniono go z uniwersytetu i musiał przejść na emeryturę. Mieszka gdzieś na przedmieściach Rzymu, niemal w ukryciu. I to się nie stało wczoraj, tylko niedługo po odkryciu archeologicznym w Ostii.

Zawahał się, czy mówić jej wszystko, ale Angela nie pozwoliła mu zamilknąć.

— Steve, powiedz, co jeszcze słyszałeś? Nie ukrywaj niczego.

— Profesor Monti musiał przejść na emeryturę wskutek decyzji ministerstwa, ponieważ oszukał właścicieli terenu, na którym prowadził badania, przejął od nich działkę na własność, zamiast wydzierżawić, żeby zatrzymać pięćdziesiąt procent wartości znaleziska, a nie tylko dwadzieścia pięć. Sprawa wypłynęła już po zakończeniu wykopalisk. Ministerstwo zatuszowało skandal, żeby nie obniżyć wartości samego odkrycia. Do mediów nic się nie przedostało, właściciele ziemi zostali wynagrodzeni... a właściwie kupieni... przez ministerstwo, żeby milczeli. Twój ojciec okrył się niesławą i musiał odejść z uniwersytetu. Dostał emeryturę, ale pod warunkiem, że będzie się trzymał z daleka od Drugiego Zmartwychwstania i w ogóle zniknie z widoku. A ty, kochana córeczka, okłamywałaś wszystkich naokoło, żeby uchronić jego dobre imię. Tę część twojego kłamstwa potrafię zrozumieć, Angelo, ale jego dalszy ciąg jest dla mnie niezrozumiały... i niewybaczalny.

— Jaki dalszy ciąg?

— Unikalaś współpracy z naszym zespołem, dopóki ja się nie pojawiłem na horyzoncie. Wielki spec od reklamy, zatrudniony przez syndykat do wypromowania nowej Biblii. Dla ciebie byłem kimś, kto mógł uczynić znamienitego profesora Montiego tak sławnym i podziwianym na świecie, że rząd włoski nie mógłby już go dłużej trzymać w tym swoistym areszcie domowym i musiałby puścić cały skandal w niepamięć. Do osiągnięcia swojego celu z rozmysłem mnie wykorzystałaś i okłamałaś, byłem tylko pionkiem w twojej grze.

Angela patrzyła na niego. Rozdzielała ich przepaść milczenia.

— Naprawdę uważasz, że cię wykorzystałam, Steve? — zapytała w końcu.

— Nie wiem. Ale muszę się dowiedzieć.

— Uważasz, że kochałam się z tobą, oddałam ci się tylko po to, żebyś się stał w moich rękach marionetką, która pomoże mojej rodzinie?

— Posłuchaj...

— Kto ci to wszystko powiedział? Kto ci powiedział, że kłamałam, że cię wykorzystałam? Że mój ojciec popadł w niełaskę, bo popełnił oszustwo, okazał się przestępcą? Od kogo to wszystko słyszałeś, Steve?

— Rozmawiałem wczoraj z pastorem Maertinem de Vroome'em — odparł.

Przyglądał się Angeli uważnie, chcąc wywnioskować z jej reakcji, jak blisko jest związana z nieprzyjacielem. Jej reakcją było wyłącznie zdumienie.

— Rozmawiałaś z de Vroome'em? — powtórzyła cicho.

— Tak, wczoraj wieczorem. Zaprosił mnie do siebie i poszedłem. Rezultat tego spotkania niech jeszcze chwilę zaczeka. De Vroome, jak wiadomo, chce

nas zniszczyć, więc gromadzi w tym celu dossier na temat głównych uczestników Drugiego Zmartwychwstania. Ma wszystkie informacje o tobie i twoim ojcu. Część z nich mi ujawnił. Nie uwierzyłbym może w prawdziwość tych faktów, gdybym się nie dowiedział o czymś znacznie poważniejszym.

— Znacznie poważniejszym? O czym ty mówisz?

— Za chwilę ci wyjaśnię. Na razie żądam odpowiedzi na pytanie, czy de Vroome powiedział mi prawdę, czy nie, Angelo.

— Nieprawdę! — wykrzyknęła drżącym głosem. — To wszystko nieprawda. Jeżeli nawet cię okłamałam, to w drobnych szczegółach, zupełnie nieistotnych, tylko dlatego, że cię jeszcze dobrze nie znałam. Ale to, co ci powiedział de Vroome, że mój ojciec popełnił przestępstwo, jest absolutną nieprawdą. To potwarz wymyślona przez wrogów ojca, przez doktora Turę albo samego de Vroome'a.

— Jeżeli to jest nieprawda, to jaka jest prawda, Angelo? — zapytał Randall.

— Znasz już włoskie przepisy związane z wykopaliskami, Steve. Większość terenu w Ostii jest własnością rządową, z wyjątkiem wąskiego pasa na wybrzeżu, tam właśnie, gdzie ojciec chciał kopać. Te kilka akrów znajdowało się w rękach prywatnych. Ojciec zaproponował właścicielom, dwóm braciom i siostrze, do wyboru... sprzedaż albo dzierżawę.

— Czy powiedział im, czego zamierza szukać?

— Oczywiście. Uznali go niemal za wariata. Nie chcieli w tym w ogóle uczestniczyć, zależało im tylko na pozbyciu się bezużytecznej działki i z największą ochotą ją sprzedali. Wyśrubowali zresztą cenę tak, że ojciec z trudnością zgromadził tyle pieniędzy.

— Skąd w takim razie przeświadczenie de Vroome'a, że profesor zachował się nieuczciwie?

— To sprawka Tury oczywiście. Kiedy odkrycie stało się faktem, Tura po prostu szalał z zazdrości. Porozumiał się z poprzednimi właścicielami terenu i przekonał ich, że sprzedając działkę ojcu, stracili fortunę. Nakłonił ich, żeby poskarżyli się w ministerstwie, żeby powiedzieli, że ojciec skłamał, kupując ziemię, że nie wiedzieli, iż chodzi o wykopaliska. Ludzie z ministerstwa byli zmuszeni przeprowadzić dochodzenie. Odbyło się zamknięte przesłuchanie, które dowiodło, że ojciec postąpił właściwie, a zarzuty są bezpodstawne. Został całkowicie oczyszczony. W ministerstwie jest protokół z tego przesłuchania i jeśli zostanie odtajniony, będziesz mógł go przeczytać.

— A co potem zrobił twój ojciec?

— Był oczywiście zadowolony, że wszystko się wyjaśniło. Ale to bardzo nerwowy i wrażliwy człowiek, Steve. Trudno mu było znieść ciężar tego dochodzenia, a szczególnie to, że ludzie, których uważał za przyjaciół, w ogóle rozważali zarzuty przeciwko niemu, okazali mu taki brak zaufania. Jeszcze przed zakończeniem sprawy zrezygnował z pracy na uniwersytecie i z własnej woli odszedł na emeryturę. Nie chciał mieć już nic wspólnego z tą polityką. Osiągnął swój życiowy cel i to mu wystarczało.

— I jest na emeryturze?

— Tak. Prowadzi życie pustelnika, poświęcając się pisaniu i nauce. Jest rozgoryczony tym, jak go potraktowano, i nie chce mieć nic wspólnego z ludźmi z kręgów akademickich, a nawet z tymi, którzy zajmowali się później jego odkryciem. Ojciec uważa, że informacja o jego osiągnięciach będzie mówiła sama za siebie. A jednak doktor Tura, chcąc usprawiedliwić swoje zachowanie i chronić swoją pozycję, wciąż szerzy insynuacje i pogłoski o skandalu. De Vroome to usłyszał, pewnie nawet spotkał się z Turą, i włączył oszczerstwa do swego dossier. No bo dlaczego nie? Jak sam powiedziałeś, Steve, de Vroome chce zniszczyć projekt i ludzi z nim związanych. Dlaczego spotkałam się z tobą w Mediolanie, skoro przedtem nie chciałam rozmawiać z twoimi pracownikami? Po prostu musiałam się upewnić, że będziesz miał właściwe informacje na temat ojca. Skoro on wierzy, że samo ogłoszenie jego osiągnięć musi wystarczyć światu, to ja, jako jego córka, powinnam dopilnować, żeby to było kompletne i prawdziwe.

— A dlaczego zgodziłaś się pracować w Amsterdamie jako konsultantka?

Na twarzy Angeli pojawił się cień uśmiechu.

— Nie po to, żeby cię wykorzystać, Steve. Nie było takiej potrzeby. Zaprosiłeś mnie i przystałam na propozycję, ale nie po to, żeby zapewnić ojcu lepszą reklamę. On tego nie potrzebuje. Zgodziłam się, bo... poczułam coś do ciebie, od pierwszej chwili... chciałam być przy tobie.

Randall był poruszony jej słowami, lecz nie mógł sobie teraz pozwolić na miękkość. Miał w zanadrzu o wiele poważniejsze oskarżenie. W chwili gdy bomba wybuchnie, ich związek umrze na zawsze. Angela była Mateuszem, była zdrajczynią i musiał ją poinformować o swoim odkryciu, zanim powiadomi o tym Helderlinga, Wheelera i innych.

— Angelo — powiedział — czy nie ma żadnej innej przyczyny, dla której włączyłaś się do pracy nad projektem?

— Innej przyczyny? Nie, jest tylko ta jedna. — Zmarszczyła brwi. — Co masz właściwie na myśli?

— Może na przykład chciałaś coś zrobić dla kogoś jeszcze, poza swoim ojcem i mną.

— Kogoś innego? O co ci chodzi?

Randall zrozumiał, że ciosu nie da się złagodzić. Musiał uderzyć wprost.

— O to, że jesteś tajnym informatorem pastora de Vroome'a. Powiedz, dlaczego to robisz? Dlaczego przekazujesz nasze tajemnice wrogowi?

Jeszcze nigdy nie widział u nikogo tak zaskoczonej miny. Nie przestraszonej, tylko zwyczajnie zaskoczonej. Angela poruszała bezgłośnie ustami, niezdolna wymówić słowa.

— Co takiego? — wykrztusiła wreszcie. — Coś ty powiedział? Powtórzył jeszcze raz to samo i dodał:

— Mam niezbite dowody na to, że pracujesz dla de Vroome'a.

— Steve, co ty wygadujesz? Przecież to jakieś szaleństwo! Randall nie dał się zbić z tropu.

— Wczoraj późnym popołudniem rozesłałem do dwunastu osób z naszego personelu tajną notatkę. Jedna kopia trafiła do de Vroome'a. To była twoja kopia, Angelo, wiem to na sto procent.

Jej zdumienie wydawało się jak najbardziej autentyczne.

— Ja przekazałam jakąś tajną notatkę de Vroome'owi? Przecież ja go w ogóle nie znam! W życiu nie widziałam go na oczy i nie chcę widzieć. Dlaczego miałabym to robić? Nic z tego nie rozumiem, Steve!

— Zaraz zrozumiesz, tylko słuchaj uważnie. — Najpierw powiedział o pierwszej notatce, której treść przeciekła do de Vroome'a, a potem o drugiej, która była pułapką i której kopię z imieniem kodowym Mateusz widział poprzedniej nocy w Westerkerk.

— Notatkę z imieniem Mateusz dostałaś tylko ty, nikt inny, Angelo. Mam podpisane przez ciebie potwierdzenie. Chyba to pamiętasz?

— Pamiętam, oczywiście. Akurat przносиłam rzeczy z mojego poprzedniego pokoju w Krasnapolskim do twojego sekretariatu. Przyszedł strażnik i przyniósł notatkę, pamiętam, że spojrzałam na nią i nie wydała mi się zbyt ważna, więc włożyłam ją do segregatora z korespondencją i zniosłam do biura Lori. Schowałam teczkę do szuflady w drugiej szafce na akta, to też pamiętam, bo tylko ta szuflada była pusta. Notatka na pewno tam jest.

Randall zastanawiał się nad jej słowami. Albo Angela była kryształowo uczciwa, albo miał do czynienia z najbezczelniejszym kłamstwem w życiu. Za niewinnością dziewczyny przemawiało niewiele.

Istnieje tylko jedna notatka z imieniem Matuesz w ostatnim zdaniu — powiedział. — Ty twierdzisz, że wciąż ją masz, a ja wiem, że widziałem ją u de Vroome'a. Ta sama kartka nie może być jednocześnie w dwóch miejscach.

— Nie potrafię tego wyjaśnić — odparła Angela. — Po prostu jedźmy teraz do twojego biura i sprawdźmy to.

— Dobrze, przekonajmy się.

Zanim ruszyli do wyjścia z baru, Angela stanęła przed nim twarzą w twarz.

— Ty mi nie wierzysz, prawda? — zapytała.

— Wiem tylko to, co wiem — odparł. — De Vroome pokazał mi twoją kopię notatki i tyle.

— Steve, czy ty nie rozumiesz, że to, co mi zarzucasz, nie ma sensu? Przecież ten okropny człowiek chce zdyskredytować nową Biblię, a mnie zależy na jej powodzeniu, jeżeli nie ze względu na ciebie, to na ojca, na jego dobre imię i uznanie, jakie mu się należy. Jak mogłabym współpracować z kimś, kto w rezultacie zniszczyłby także mojego ojca?

— Nie wiem. Być może jest wiele rzeczy, których nie wiem o profesorze Montim i jego córce. Nie jest wcale wykluczone, że nienawidzisz swojego ojca.

Angela nie odpowiedziała. W jej oczach widział rozpacz. Dziesięć minut później znaleźli się w Krasnapolskim i weszli do sekretariatu.

Randall czekał z posępną miną, podczas gdy ona otwierała szafkę i wysuwała szufladę.

— Jest pod „N” — powiedziała, przyklękając — w teczce z napisem „Notatki służbowe”. — Otworzyła segregator na literze N i spojrzała zaskoczona na Randalla. — Nie ma jej. Jestem pewna, że... — Zaczęła gorączkowo przewracać teczki w segregatorze. — Może włożyłam pod złą literę. Zaczekaj, zaraz ją znajdę.

Mijały minuty, lecz teczka się nie znalazła. Angela wstała z wyrazem paniki na twarzy. Randall bynajmniej nie zaczął wierzyć w jej uczciwość.

— Na pewno włożyłaś notatkę do teczki? — zapytał.

— Wydaje mi się, że tak — odparła niepewnie. — Przeniosłam rzeczy i zaczęłam segregować papiery...

— Czy ktoś wchodził do sekretariatu, zanim skończyłaś i zamknęłaś szafkę na klucz?

— Czy ktoś... Tak, było kilka osób, szukali cię. Nic ważnego, więc nie mówiłam ci o tym przy kolacji, ale zapisywałam nazwiska. — Podeszła do biurka i zajrzała do notatnika. — Jessica Taylor wpadła na chwilę, pytała, czy

czegoś jeszcze od niej nie potrzebujesz. Powiedziałam jej, że nie wiem, gdzie jesteś.

— Byłam na dole, z Helderlingiem, żeby dopilnować doręczenia notatek. Kto jeszcze przyszedł?

— Był Elwin Alexander i... no jasne, jak mogłam zapomnieć. Jego też zapisałam, spójrz tutaj, Steve. — Pokazała palcem nazwisko u dołu strony: doktor Florian Knight.

— Knight? — zdziwił się Randall.

— Tak, doktor Knight — odparła Angela z wyraźną ulgą. — Dzięki Bogu, teraz się wszystko wyjaśni. Teraz mi uwierzysz. Knight przyszedł, kiedy segregowałam papiery. Chciał się zobaczyć z tobą, powiedział, że obiecałeś dać mu jakieś materiały, żeby wiedział, jakich informacji będziesz od niego potrzebował. Rzeczywiście tak było?

— Tak.

— Knight zobaczył na moim biurku segregatory i powiedział, że może sam w nich znajdzie to, o czym mówiłeś. Pokazał mi swoją przepustkę, taką, jaką mam ja i inni konsultanci, więc nie widziałam powodu, żeby mu odmówić. Przejrzał teczki i stwierdził, że większość materiałów jest chyba jednak u ciebie, ale na razie chciałby pożyczyć ostatnie notatki służbowe, bo dopiero od niedawna jest w zespole. Powiedział, że zwróci to wszystko rano, kiedy przyjdzie do ciebie.

— I zwrócił?

— Najwyraźniej nie — odparła Angela, wskazując bezradnym gestem biurko. — Na pewno ma jeszcze tę twoją notatkę.

— Na pewno jej nie ma — rzekł ponuro Randall. — Ma ją Maertine de Vroome. — Uderzył pięścią w otwartą dłoń. — Florian Knight, niech to diabli. Powinienem być się domyślić.

— Domyślić? Czego?

— Nieważne.

— Źle zrobiłam, że mu pożyczyłam te papiery?

— To teraz nie ma znaczenia. Nie mogłaś wiedzieć, że źle.

— Ale już rozumiesz, że nie mam nic wspólnego z pastorem de Vroome'em, Steve? Teraz musisz mi uwierzyć. Chodź, pójdziemy do niego razem. Niech potwierdzi w twojej obecności, jak to było, i niech to wszystko wyjaśni się do końca.

— Ja nie potrzebuję żadnych wyjaśnień — stwierdził z goryczą Randall.

Przeklinał się w myśli za swój sentymentalizm. Już w chwili gdy usłyszał od narzeczonej Knighta o jego nienawiści do Jeffriesa i projektu, zdawał sobie

sprawę, że nie powinien wciągać na siłę młodego uczonego do zespołu Drugiego Zmartwychwstania. Knight od samego początku był najsłabszym ogniwem i najbardziej ze wszystkich mógł pragnąć zarobku, którego nowa Biblia go pozbawiła. Przypomnił sobie wczorajsze obawy i decyzję, żeby nie posyłać fałszywej notatki Knightowi, w próżnej nadziei, że prawdziwym sabotażystą jest ktoś inny. A jednak był nim doktor Florian Knight. Niech to diabli.

— Pójdziemy do niego, Steve? — zapytała Angela.

— Ty nie musisz — odparł. Próbował się uśmiechnąć. — Angelo, wybac mi, że ci nie zaufałem. Mogę powiedzieć tylko jedno: kocham cię.

Wtulila się w jego ramiona, ich usta się spotkały. Kiedy skończyli się całować, powiedziała:

— Kocham cię, kocham cię tak, że nie potrafiłbyś odwzajemnić tej miłości.

— To się jeszcze okaże — rzucił z uśmiechem, wypuszczając ją z objęć. — A wracając do doktora Knighta, to chcę się z nim spotkać w cztery oczy.

Randall zszedł szybko do gabinetu Knighta, lecz sekretarka poinformowała go, że doktora nie ma.

— Dzwonił, że dzisiaj nie przyjdzie — powiedziała.

— A gdzie jest?

— Pracuje w hotelu. Hospice San Luchasio.

— Co takiego?

— Zapiszę panu na kartce. W San Luchasio mieszkają prawie wszyscy nasi teolodzy i duchowni. To dziwne miejsce. Tu jest adres, Waldeck Pymontlaan dziewięć.

Randall nie miał czasu na dociekanie, co takiego dziwnego jest w tym hotelu. Wziął kartkę i ruszył do drzwi.

— Czy mam zadzwonić do doktora Knighta, że pan przyjdzie? — zapytała jeszcze sekretarka.

— Nie, nie. Zrobię mu niespodziankę.

Hotel San Luchasio rzeczywiście był dziwny.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwyczajny czteropiętrowy budynek mieszkalny, stojący przy szerokiej ulicy. Było to jednak miejsce, o jakim Randall nigdy dotąd nie słyszał — hotel przeznaczony wyłącznie dla protestanckich i katolickich duchownych i zakonnic oraz ich rodzin.

Theo, który wioził Randalla na konfrontację z Knightem, okazał się kopalnią informacji na ten temat, bo przez ostami rok woził trasą między Krasnapolskim i San Luchasio niezliczonych księży, a także świeckich teologów, którzy otrzymali specjalne pozwolenia.

Hotel, zbudowany w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, nazwano od imienia świętego, który był pierwszym naśladowcą świętego Franciszka z Asyżu. Były tu trzydzieści cztery pokoje z pięćdziesięcioma łózkami. Obok holu, jak wyjaśnił Theo, znajdowała się duża sala z wieloma oknami, służąca jednocześnie jako sala modlitwy i jadalnia. Stały tam przestawne siedziska, każde z osobnym stolikiem. Jeżeli gość chciał się modlić lub medytować, odwracał siedzisko ku świętym obrazom na ścianie. W porze posiłków mógł je odwrócić ku środkowi sali i jeść przy swoim stoliku. Hotel miał również własną kaplicę z witrażowym oknem. Wisiały tam dwie sutanny, jedna dla księdza katolickiego, druga dla anglikańskiego pastora. W szafie na środku trzymano naczynia liturgiczne, potrzebne do odprawiania mszy.

Hol budynku zupełnie nie kojarzył się z hotelem, lecz raczej z salonikiem przytulnej i schludnej prywatnej rezydencji. Wokół ścian biegły poziome pasy boazerii, do której umocowano tapicerowane oparcia dla siedzących na stołkach. Wisiało tu wiele obrazów i gobelinów ze scenami biblijnymi, co dawało cudownie barwny efekt. Klasyczny hotel przypominała tylko recepcja, w której rezydowała piersiasta matrona około pięćdziesiątki.

Nieźle miejsce, pomyślał Randall, na spotkanie z wybitnym teologiem i wygarnięcie mu, że jest sukinsynem i przeklętym zdrajcą.

— Chciałbym się widzieć z doktorem Florianem Knightem — zwrócił się do recepcjonistki. — Pracujemy razem.

Tęga matrona sięgnęła po telefon.

— Czy spodziewa się pana? — zapytała.

— Być może — odparł Randall.

— Zadzwońię do pokoju. Pańska godność, jeśli można? Podał nazwisko i przeszedł nerwowym krokiem do drzwi sali

jadalno-modlitewnej, a kiedy wrócił do recepcji, kobieta odkładała już słuchawkę.

— Doktor Knight jest u siebie — powiedziała. — Zaczeka na pana przy windzie. Czwarte piętro.

Gdy Randall wysiadł z windy, uczony istotnie stał już na korytarzu. Był tym samym doktorem Knightem, którego Randall widział zaledwie wczoraj, jakby wyjętym z obrazów Beardsleya, a jednak wyglądał jakoś inaczej. Nie był nerwowy, pobudzony i gniewny, lecz dziwnie spokojny i rozluźniony. Wydawał się również głęboko nad czymś zadumany i niemal nieobecny duchem.

Weszli do niewielkiego, skromnie umeblowanego pokoju i Knight zaprosił go, żeby usiadł.

— Zaproponowałbym panu drinka — powiedział tonem mniej wyniosłym niż zazwyczaj, niemal sympatycznym — ale alkohol jest w tym franciszkańskim hotelu surowo zabroniony. Poza tym jest tu bardzo przyjemnie. Poczciwi braciszkuje prowadzą to miejsce tak, jakby dyrektorem był sam święty Franciszek, a że on upodobał sobie rozmowy z ptakami, tutejsza obsługa też swiergocze do gości. Wszystko to jest bardzo urocze. — Knight usiadł na brzegu łóżka i mówił dalej: — Przykro mi, że musiał pan sam się do mnie fatygować, panie Randall. Zamierzałem być w Krasie jutro od rana i byłbym do pana dyspozycji. No, ale skoro już pan jest, proszę powiedzieć, o co chodzi. Czy coś się stało?

— O tak, stało się — odrzekł z naciskiem Randall. — I ma to związek z pańską osobą.

— A więc słucham, miły panie.

Randall postanowił nie tracić czasu i nie owijać niczego w bawełnę.

— Doktorze Knight — zaczął — wczoraj pod koniec dnia pożyczył pan teczkę z dokumentami od mojej sekretarki, panny Monti. Była wśród nich tajna notatka, która kilka godzin później znalazła się w rękach Maertina de Vroome'a, zawziętego wroga naszego przedsięwzięcia.

Przerwał, oczekując gwałtownej reakcji uczonego, zaskoczenia albo protestu. Knight jednak nie okazał żadnej emocji.

— Przykro mi to słyszeć — odparł, otwierając paczkę mięto wek i wkładając jedną do ust. — Jednakże przyznam, że nie jestem zaskoczony.

Randall spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Nie jest pan zaskoczony?

— No cóż, nie spodziewałem się, że to dotrze do de Vroome'a, ale taka możliwość zawsze istniała. Zdziwiło mnie tylko, że pan to odkrył. Czy jest pan pewien, że pastor rzeczywiście zdobył tę notatkę?

— Jestem pewien jak wszyscy diabli — oświadczył Randall. — Byłem wczoraj u niego i widziałem ją na własne oczy.

— A skąd wiadomo, że to ta sama, którą wzięłem od panny Monti?

Randall, nieco poirytowany tak rzeczowym podejściem Knighta do własnych zdradzieckich poczynań, wyjaśnił mu metodę kodowania notatek i opowiedział pokrótce o swym spotkaniu z de Vroome'em i późniejszej konfrontacji z Angela.

— I co pan teraz powie? — zapytał.

— Bardzo sprytnie — odparł Knight z podziwem. Wciąż ssał miętówki, lecz ręka trzymająca pudełko lekko teraz drżała.

— Natomiast pan wcale nie postąpił sprytnie — powiedział Randall. — Postąpił pan bardzo głupio. Przypuszczałem, że może pan zagrażać naszemu bezpieczeństwu, odkąd się dowiedziałem, że pańska książka, Chrystus bez tajemnic, stała się nieaktualna w świetle nowej Biblii. Powinienem był wiedzieć, że ktoś tak rozpaczliwie potrzebujący gotówki i tak rozgoryczony z powodu porażki będzie zdolny do wszystkiego, żeby odzyskać to, co w jego odczuciu słusznie mu się należy.

Pudełko w dłoni Knighta drżało nieco mocniej.

— Więc wie pan o mnie wszystko?

— Wiedziałem to już w Londynie — odparł Randall. — Byłem jednak pod takim wrażeniem pańskich referencji, pańskiej potencjalnej przydatności dla naszego projektu... do tego jeszcze Valerie wstawiła się za panem...

— Valerie, no tak.

— ...i w końcu stłumiłem wszystkie wątpliwości i wmówiłem sobie, że można panu jednak zaufać. Myliłem się. Jest pan zdrajcą. Zamierzam to ujawnić. Koniec z panem, doktorze Knight.

— Nie — zaprotestował Knight niemal gorączkowo. Chłodna, angielska fasada jego spokoju zaczęła się walić w gruzy. I nagle Randall miał przed sobą człowieka, który zmienia się i starzeje w oczach, niczym Dorian Gray.

— Nie, niech pan im nie mówi! — zawołał błagalnie. — Niech pan nie dopuści, żeby mnie wyrzucili!

— Nie dopuści? — zdumiał się Randall. — Sam pan się przyznał do przekazania tajnej notatki de Vroome'owi, a teraz...

— Niczego nie przekazywałem de Vroome'owi bezpośrednio, proszę mi uwierzyć. Jeżeli okazałem słabość i zdradziłem, to tylko w drobiazgach zupełnie nieszkodliwych. Ale i to już się zmieniło, teraz można mi już zaufać w stu procentach. Jestem całkowicie oddany Drugiemu Zmartwychwstaniu, to całe moje życie. Nie mogę pozwolić, żeby mnie odsunęto od tej pracy.

Florian Knight wstał podekscytowany i zaczął chodzić po pokoju, wyłamując palce.

Randall przyglądał mu się, zaskoczony sprzecznościami w zachowaniu. Ten człowiek jest chory, pomyślał, to po prostu histeryk. Postanowił przywołać go ostro do porządku.

— Doktorze Knight — rzucił ostrym tonem — jak pan może mówić o swoim oddaniu, skoro przed chwilą przyznał pan, że ujawnia nasze tajemnice

pastorowi de Vroome'owi? Nie będziemy przecież tolerować zdrajcy w naszych szeregach!

— Nie jestem zdrajcą!—wybuchnął Knight. Stał tuż przed Randallem.
— Czy pan nie rozumie? Zamierzałem nim zostać, ale... nie mogłem, zwyczajnie nie mogłem. Odkąd poznałem prawdę, nie byłem w stanie tego zrobić. I teraz pan nie może mnie usunąć. Jeżeli pan to zrobi, zabiję się.

— O czymże pan, u diabła, mówi?! — wykrzyknął Randall. — To wszystko się kupy nie trzyma. To śmieszne, mam tego dość...

Chciał wstać z krzesła, lecz Knight przytrzymał go za ramiona.

— Nie, nie, panie Randall, proszę mi dać szansę. Wszystko panu wyjaśnię, opowiem od początku i wtedy pan zrozumie. Bałem się tego, ale teraz widzę, że muszę, bo inaczej wszystko stracone. Proszę mnie wysłuchać.

Randall usiadł z powrotem, a Knight po chwili odzyskał panowanie nad sobą, przysiadł znów na skraju łóżka i wpatrując się w podłogę, zaczął mówić:

— Na początku naszej rozmowy trochę nadrabiałem miną. Myślałem, że zrozumie pan, że się zmieniłem i jestem godny zaufania. Teraz jednak widzę, że wciąż uważa mnie pan za sprzedawczyka i zamierza usunąć z zespołu. Nie ma więc innego sposobu, jak tylko wyznać panu całą prawdę. Nie widzę zresztą powodu, żebym chronił innych...

Innych. Randall wyprostował się i nadstawił ucha.

— ...i obawiał się wyjawić panu, co się wydarzyło wczoraj wieczorem i dziś rano. — Spojrzał na Randalla. — Może pan uważa, że mówię nieskładnie...

— Proszę kontynuować — ponaglił go Randall.

— Dziękuję. Co do mojego rozgoryczenia i złości na Jeffriesa, to prawda. Kochana Valerie popełniła niedyskrecję, mówiąc panu o tym, ale wybaczam jej. Zawsze się stara mnie chronić przede mną samym — przez twarz Knighta przemknął cień uśmiechu — i uratować dla siebie. Jestem jej wielce oddany. Istotnie, Valerie błagała mnie, żebym się przyłączył do Drugiego Zmartwychwstania, i zgodziłem się, ale nie z tych powodów, które miała na myśli. Zjawiłem się tutaj, jak słusznie pan przypuszczał, pełen złych emocji i zupełnie niegodny zaufania. Wiedziałem, że Drugie Zmartwychwstanie ma wrogów. Czytałem wywiad Plummera z Maertinem de Vroome'em i jeszcze dwa inne jego artykuły utrzymane w podobnym tonie. Nie miałem żadnego planu, ale gdzieś tam we mnie kiełkowała myśl, że przyłączając się do was, będę mógł poprawić własną sytuację.

— Czyli zdobyć pieniądze — rzucił zgryźliwie Randall.

— No... tak. Uczciwie mówiąc, uważałem, że moją sytuację poprawią właśnie pieniądze. Pieniądze, które umknęły mi sprzed nosa z powodu zbliżającej się publikacji Międzynarodowego Nowego Testamentu, pieniądze na wyleczenie mojego słuchu, na ślub z Valerie i zapewnienie jej utrzymania, na życie, jakie powinno przysługiwać obiecującemu angielskiemu naukowcowi.

— I skontaktował się pan z Cedrikiem Plummerem? — zapytał Randall.

— To nie było konieczne — odparł Knight. — Plummer sam mnie odnalazł. A ściślej mówiąc, odnalazł mnie jego przedstawiciel.

— Przedstawiciel? — Randall uniósł brwi. — Ktoś z Krasnapolsky'ego?

— Tak.

Randall wyjął z kieszeni marynarki dyktafon.

— Pozwoli pan? — zapytał.

— Chce pan to nagrywać? W jakim celu? — zaniepokoił się Knight.

— Skoro były w to zamieszane inne osoby...

— Rozumiem. To pomoże mnie oczyścić?

— Tego nie mogę panu gwarantować, doktorze Knight. Jeżeli ma pan naprawdę coś na swoją obronę, nagranie zadziała na pańską korzyść. Jeśli natomiast panu nie uwierzę, oddam panu taśmę i będzie pan mógł osobiście przedstawić swoją historię Wheelerowi i reszcie.

— To uczciwe postawienie sprawy. — Knight przyjrzał się dyktafonowi.

— Moja ława przysięgłych — powiedział. — Dzięki temu urządzeniu moja mowa obrończa będzie możliwie najpełniejsza i bardziej natchniona.

— A więc po pańskim przybyciu do Amsterdamu zgłosił się do pana ktoś inny niż Cedric Plummer — sprowadził go na ziemię Randall.

— Tak, ktoś, kto znał dobrze moją sytuację życiową. Ta osoba zasugerowała mi, że może znajdzie się sposób na zdobycie pieniędzy, które mi się słusznie należały. Odmówiłem. Nie potrafiłem zawieść waszego zaufania. Nie potrafiłem stać się drugim Rogerem Casementem*.

* irlandzki nacjonalista, który podczas pierwszej wojny światowej zdradził Wielką Brytanię, upatrując we współpracy z Niemcami szansy na niepodległość Irlandii.

W ciągu kilku pierwszych dni po przyjeździe nabrałem zwyczaju kopiowania wszelkich dokumentów, które trafiły mi do rąk. Słuchałem uważnie wszystkiego, co mogłem usłyszeć, i potajemnie sporządzałem z tego notatki. Nie zrobiłem jednak nic, dopóki ten ktoś znów się do mnie nie zwrócił. Chciałem wiedzieć, ile będą warte moje usługi. W zamian zostałem zapytany, co mogę zaoferować. Przekazałem więc tej osobie mój niewielki

zbiór skopiowanych dokumentów i zaraz potem przedstawiono mi Plummera, który poinformował mnie łaskawie, że moje zdobycze im się przydadzą.

— Czy to wtedy właśnie poznali datę naszej konferencji prasowej w Pałacu Królewskim i plan transmitowania jej przez satelitę?

— Tak. Plummer powiedział jednak, że to im nie wystarczy. Chcieli, żebym w dalszym ciągu przekazywał informacje, ale najważniejsze było dla nich zdobycie egzemplarza nowej Biblii, a przynajmniej jej nowych części, czyli tekstów Petroniusza i Jakuba, przy których pracowałem, lecz nie znałem ich w całości. Plummer powiedział, że mogą otrzymać te materiały jeszcze inną drogą, ale...

— Hennig — mruknął Randall.

— Co takiego?

— Nieważne. Proszę mówić.

— Powiedział, że nie mogą ryzykować i chcą mieć podwójną pewność. Potem wymienił cenę i to mnie zbiło z nóg. Taka kwota mogła rozwiązać wszystkie moje problemy. Nie byłem w stanie się oprzeć. Zgodziłem się zdobyć dla nich nową Biblię, a przynajmniej te nowe rozdziały. Obiecałem im to dostarczyć właśnie do wczoraj.

Randall oniemiał ze zdumienia.

— Jak pan mógł coś takiego obiecać? — zapytał. — Przecież wydrukowane egzemplarze są w drukarni pod kluczem, a próbne odbitki w sejfie w Krasnapolskim.

— Nie tak do końca. — Florian Knight pokiwał przecząco palcem. — Nie odstępujemy jednak od chronologii. Próbowałem zdobyć egzemplarz nowej Biblii przedwczoraj, ale bez powodzenia. Chciałem jakoś ułagodzić moich... mojego kontrahenta i dowieść swej dobrej woli, więc przekazałem mu to, co jeszcze się dało, między innymi tę pańską notatkę-pułapkę.

— Rozumiem.

— Oczywiście to ich nie zadowoliło. Chcieli Biblii i niczego innego. Byłem przekonany, że zdobędę egzemplarz wczorajszego wieczoru.

— Ale się nie udało — rzekł Randall.

— Wprost przeciwnie. Udało się w pełni — odparł Knight. Randall nachylił się ku niemu.

— Zdobył pan Międzynarodowy Nowy Testament?

— Nie bez pewnych trudności. Musi pan wiedzieć, że nie wszystkie próbne wydruki znajdują się w sejfie. Własny egzemplarz ma na przykład każdy z głównych teologów, wśród nich profesor Jeffries. Proszę pamiętać, że wciąż pozostaję z nim w dość bliskich stosunkach. Mogę wchodzić do jego pokoju i

korzystać z księgozbioru. Wiedziałem, że trzyma swój egzemplarz w aktówce zamykanej na zamek z szyfrem. Jeffries jest roztargniony i wszystko sobie zapisuje. Przeszukałem jego pokój i znalazłem ten numer. Nauczyłem się go na pamięć. Wczoraj wieczorem Jeffries wyszedł do miasta i wtedy zakradłem się do jego pokoju, otworzyłem aktówkę i wyjąłem próbną odbitkę Międzynarodowego Nowego Testamentu. Wyniosłem ją z hotelu i zrobiłem w zakładzie na mieście fotokopie stron z przekładami Pergaminu Petroniusza i Ewangelii świętego Jakuba. Potem zaniósłem odbitki na miejsce, zamknąłem teczkę i wróciłem do siebie z fotokopiami.

— Przekazał je pan tamtym? — zapytał Randall i czekał na odpowiedź, wstrzymując oddech.

Knight pokręcił głową.

— Byłem tego bliski — odparł. — Chciałem od razu zadzwonić do mojego łącznika, przekazać im teksty jeszcze tego wieczoru i zainkasować trzydzieści srebrników. No, ale wie pan, jestem, kim jestem, przede wszystkim naukowcem, ciekawskim naukowcem, a nie człowiekiem interesu. Nie mogłem się oprzeć chęci przeczytania Ewangelii Jakuba.

— Przeczytał ją pan — powiedział powoli Randall — i co się potem wydarzyło?

— Cud — odparł po prostu Knight.

— Co takiego?

— Moje spotkanie z Panem Jezusem i cud, który się potem stał. Gdyby pan znał mnie lepiej, panie Randall, wiedziałby pan, że wcale nie jestem głęboko wierzący. Patrzyłem zawsze na Chrystusa i na jego działalność obiektywnie, jako naukowiec. Nigdy tak naprawdę nie wpuściłem go do serca, nie zbliżyłem się do niego. Ale wczoraj przeczytałem Jakuba, a potem siedziałem na łóżku jak teraz i płakałem. Po raz pierwszy zobaczyłem Jezusa tak po prostu, po raz pierwszy poczułem jego współczucie. Doznałem największego poruszenia emocjonalnego w moim życiu. Czy potrafi pan to zrozumieć?

Randall pokiwał w milczeniu głową.

— Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy — mówił Knight z narastającą ekscytacją. — Przepelniała mnie miłość do Chrystusa, wiara i pragnienie, żeby stać się godnym jego łaski. Potem chyba zasnąłem i we śnie albo w półjawie, w środku nocy, zobaczyłem Jezusa, dotknąłem skraju jego szaty i usłyszałem, jak mówi do mnie... do mnie!... słowa, które zapisał jego brat Jakub. Błagałem go, żeby mi wybaczył grzechy, te popełnione i te przyszłe, i obiecałem poświęcić mu całe swoje życie. Jezus pobłogosławił mnie i oznajmił, że odtąd wszystko będzie już ze mną dobrze. Pewnie pan

myśli, że taka wizja, we śnie czy na jawie, czyni ze mnie szaleńca? Sam bym tak pomyślał, panie Randall, gdyby nie to, co nastąpiło później.

Florian Knight, nieco wyczerpany, zatopił się w introspekcji i zamilkł. Randall, poruszony jego przeżyciem, przywołał go do rzeczywistości.

— Co nastąpiło później, Florianie? Knight otrząsnął się z transu i zamrugął.

— Coś niewiarygodnego — odparł. — Obudziłem się dzisiaj wcześniej rano, przez okno wpadało słońce. Ociekałem potem. Czułem się oczyszczony z wszelkiego zła. Czułem spokój. Leżałem i nagle usłyszałem słodki, piękny dźwięk. To był śpiew ptaka. Usłyszałem śpiew ptaka, ja, który nie słyszałem ptaków od lat, który ledwie mogłem dosłyszeć, co do mnie mówią ludzie, a i to musieli stać blisko i prawie krzyczeć, i usłyszałem go w dodatku bez aparatu słuchowego, bo nigdy nie zakładałem go na noc! O, leży tam na stoliku. Nie mam go przy sobie, pan tego nie zauważył, ale słyszałem każde pańskie słowo, wyraźnie, bez żadnego wysiłku. Rano prawie zwariowałem ze zdumienia i radości. Gdy usłyszałem tego ptaka, wyskoczyłem z łóżka, włączyłem radio i popłynęła muzyka. Otworzyłem drzwi na korytarz i słuchałem trajkotania pokojówek na korytarzu. Słyszałem wszystko. Ofiarowałem się

Chrystusowi, a on mi przebaczył i przywrócił mi słuch! Uzdrowił mnie. To jest cud, bez wątplenia. Czy pan mi wierzy, Randall?

— Wierzę panu, Florianie — odparł Randall, głęboko poruszony. Zastanawiał się, co jeszcze usłyszy. Nie musiał czekać długo.

— Kiedy jako tako doszedłem do siebie — ciągnął Knight — zadzwoniłem do mojego łącznika. Powiedziałem, że chcę się z nim spotkać. Zamiast pójść do pracy, pojechałem do jego mieszkania na przedmieściach Amsterdamu. Oznajmiłem mu prosto z mostu, że nie mogę zdobyć dla nich nowej Biblii. Powiedziałem, że żałuję, że w ogóle mu to obiecałem, i żałuję przekazania mu nawet tych mniej ważnych materiałów, które już ode mnie dostał. Zażądałem zwrotu tego, co dałem mu wczoraj, tej pańskiej notatki z imieniem Mateusz. Odpowiedział, że jej nie ma, że jest u kogoś innego. Pewnie dotarła już do de Vroome'a, chociaż nie wiedziałem tego.

— Ano dotarła — stwierdził Randall.

— Ten człowiek, ten mój łącznik, zaczął nalegać, żebym jednak postarał się zdobyć Biblię. Odpowiedziałem, że sama myśl o tym jest dla mnie wstrętna. On na to, że na pewno zapłacą mi więcej, niż było umówione. Powiedziałem, że nie mam zamiaru się targować. Zaczął mi grozić, że jeżeli odmówię, ujawni, że dla nich pracowałem. Odparłem, że mam to w nosie, i

wyszedłem. Wróciłem tutaj, zniszczyłem fotokopie, żeby przypadkiem nie wpadły w łapy de Vroome'a, i zaraz potem dowiedziałem się, że pan tu jest i chce się ze mną widzieć. Teraz już pan wie, co zawdzięczam nowej Biblii, Jakubowi, mojej pracy tutaj i dlatego modlę się o to, żeby mnie pan nie wyrzucił. Ja muszę zostać, panie Randall. Muszę pomagać w tym zbożnym dziele.

Randall słuchał i zastanawiał się. Nie ulegało kwestii, że Florian Knight odzyskał słuch, wszystko jedno czy za sprawą cudu, czy psychicznej przemiany. W pewnym sensie tak czy inaczej był to cud. Nie miało przy tym znaczenia, czy uzdrowienie Lori Cook było oszustwem, czy nie, ponieważ historia Knighta sama w sobie była dowodem mocy oddziaływania nowej Biblii. Jednakże Randall postanowił, że tego cudu nigdy nie ujawni ani wydawcom, ani szerszej publiczności, nie pozwoli go wykorzystać do promocji Międzynarodowego Nowego Testamentu. Poradzi Knightowi, żeby w dalszym ciągu nosił aparat słuchowy, dopóki nowa Biblia nie ukaże się drukiem. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Knight jest teraz całkowicie wiarygodny. Pozostała jeszcze tylko jedna sprawa.

— Florianie — powiedział — jeżeli chce pan z nami zostać, chce pan pomagać, jak to pan określił, w zbożnym dziele, to proszę zacząć od ujawnienia, kim jest prawdziwy zdrajca w naszym gronie, kim jest pański łącznik i przyjaciel de Vroome'a.

— Ten człowiek nie jest przyjacielem de Vroome'a — odparł Knight. — Nie wiem nawet, czy zna go osobiście. To przyjaciel Cedrica Plummera, zorientowałem się od razu przy pierwszym spotkaniu. Zabrali mnie do nocnego klubu Fantasio. Oni obaj palili trawkę i czuło się, że są w wielkiej zażyłości. Więc na pewno mój łącznik przekazywał informacje Plummerowi, a ten z kolei de Vroome'owi.

— To oczywiste — odrzekł Randall. — Teraz poproszę o nazwisko tego człowieka. Kto jest zdrajcą w Drugim Zmartwychwstaniu, Florianie?

— Kto jest naszym Judaszem? To bibliotekarz Hans Bogardus. To jego musimy się jak najszybciej pozbyć, jeśli nie chcemy, żeby nasz Chrystus został ukrzyżowany powtórnie i już na zawsze.

Randall wrócił do hotelu i udał się prosto do swego biura. Siedząca w sekretariacie Angela Monti spojrzała nań pytająco znad maszyny do pisania.

— Czy to doktor Knight, Steve?

— Nie.

— To bardzo się cieszę. W takim razie kto?

— Nie teraz, Angelo. Porozmawiamy później. Połącz mnie z Deichhardtem, a jeśli go nie ma, to z Wheelerem.

Randall wszedł do swego gabinetu, wyjął dyktafon i zabrał się do wymazywania z taśmy niektórych fragmentów rozmowy z Knightem. Gdy skończył, schował urządzenie do teczki i czekał na sygnał od Angeli.

W końcu zniecierpliwiony wziął teczkę i wrócił do sekretariatu akurat w chwili, gdy dziewczyna odkładała słuchawkę.

— Nie ma ich, Steve — oznajmiła. — Sekretarka Deichhardta powiedziała, że obaj pojechali do Moguncji na spotkanie z Hennigiem.

— A kiedy wrócą?

— Nie wiedziała.

Randall zaklął pod nosem. Będzie musiał sam wykonać brudną robotę. Zdawał sobie sprawę, że konfrontacja z Bogardusem jest pilna. Zbyt wiele było do stracenia.

Wyszedł na korytarz i po chwili stanął pod drzwiami pokoju sto dziewięćdziesiąt. Wisiała na nich tabliczka z napisem BIBLIOTEKA w pięciu językach, a pod spodem, kursywą, Hans Bogardus.

Randall zebrał się w sobie i wszedł do środka.

Bogardus siedział przy wielkim stole zavalonym książkami i pochylony nad jakimś tomem robił notatki. Długie włosy opadły mu na twarz. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł głowę. Jego twarz wyrażała zaskoczenie. Chciał wstać, lecz Randall powstrzymał go gestem.

— Niech pan siedzi — powiedział, zajmując krzesło naprzeciw bibliotekarza. Postawił teczkę na stole i otwierając ją, patrzył wprost na niego. Wydał mu się tak samo odpychający jak poprzednio. Pomijając wyłupiaste oczy i grube wargi, twarz młodego Holendra była niemal płaska, z samymi nozdrzami zamiast nosa i bladą, prawie albinoską karnacją.

— Co słyhać, panie Randall? — zapytał falsetem Bogardus.

— Mam coś dla pana — odparł Randall. Bibliotekarz spojrział z ożywieniem na otwartą teczkę.

— Przyszły gotowe Biblie z Moguncji? — dociekał.

— Nie, nie przyszły — odpowiedział Randall — ale nawet gdyby, to ty i tak nie dostaniesz do ręki ani jednej, Hans.

Białe rzęsy Bogardusa zatrzepotały czujnie. Zwilżył językiem tłuste wargi.

— Ale... dlaczego? Nic nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz — rzekł Randall, stawiając na stole dyktafon. — Pierwszy głos należy do doktora Floriana Knighta, ten drugi to mój. Nagrałem to niecałą godzinę temu.

Wcisnął odtwarzanie i z miniaturowego urządzenia popłynęło wyznanie doktora Knighta. Minuty wlokły się boleśnie, a blade oblicze Bogardusa stopniowo nabierało rumieńców. Bibliotekarz siedział bez ruchu i tylko jego przyspieszony oddech akompaniował słowom uczonego.

Nagranie dobiegało końca. W ciszy pełnego książek pokoju popłynęło wypowiedziane z bezwzględną szczerością oskarżenie: Kto jest naszym Judaszem? To bibliotekarz Hans Bogardus. To jego musimy się jak najszybciej pozbyć, jeśli nie chcemy, żeby nasz Chrystus został ukrzyżowany powtórnie i już na zawsze.

Rozległ się szum pustej taśmy. Randall wyłączył dyktafon, schował go do teczki i lodowatym wzrokiem spojrzął w oczy Bogardusowi.

— Czy zaprzeczysz tym słowom w obecności doktora Knighta i wydawców oraz inspektora Helderinga? — zapytał.

Hans Bogardus nie odpowiedział.

— No cóż, Hans, wszystko jasne — rzekł Randall. — Na szczęście dla nas to, co zdołałeś przekazać de Vroome'owi przez swego przyjaciela Plummera, nie miało zbyt wielkiej wartości. Niczego więcej nie przekażesz, a już z pewnością nie będzie to egzemplarz nowej Biblii. Zaraz poproszę Helderinga, żeby przysłał tu strażnika. Popilnuje cię do chwili, gdy skontaktuję się z Deichhardtem albo Wheelerem i zostaniesz formalnie zwolniony.

Randall spodziewał się wybuchu, potoku zaprzeczeń, gorączkowej obrony.

Nic takiego nie nastąpiło.

Na płaską twarz młodego Holendra wypląnął kpiący, niemal złowrogi uśmieszek.

— Jest pan śmieszny, panie Randall — odezwał się. — Pańscy wielcy szefowie z pewnością mnie nie zwolnią.

— Tak uważasz, Hans? — Randall nie spodziewał się takiego zuchwalstwa. — Przecież wystarczy, że...

— Nie uważam, tylko wiem — przerwał mu Bogardus. — Kiedy usłyszą, co odkryłem, nie odważą się mnie wyrzucić. Zostanę w tej pracy, dopóki sam nie zdecyduję się odejść. A nie odejdę, dopóki nie będę miał przy sobie nowej Biblii.

On jest szalony, pomyślał Randall, nie ma sensu z nim rozmawiać.

— Dobrze, w takim razie sprawdzimy to od razu — powiedział. — Zaraz zadzwonię do Moguncji, do Deichhardta i Wheelera.

Bogardus wsparł się o stół, z jego ust nie schodził kpiący uśmieszek.

— Niech pan dzwoni — odparł. — Niech pan im powie, że Hans Bogardus jest genialny, że odkrył w ich Biblii coś, czego nie zauważyli wszyscy

naukowcy, teolodzy i tłumacze, bo byli zbyt ślepi. Niech pan im powie, że Bogardus znalazł w Biblii fatalny błąd, błąd, który ich zniszczy, jeżeli zdecyduję się go ujawnić, świadczy bowiem o tym, że jest ona fałszerstwem. A ujawnię to z pewnością, jeśli mnie zmuszą do odejścia.

To rzeczywiście szaleniec, uznał Randall. A jednak Holender mówił z takim przekonaniem... Nąomi powiedziała kiedyś, że Bogardus ma umysł jak komputer, że potrafi znaleźć wszystko...

— Fatalny błąd w nowej Biblii, Hans? — powtórzył, decydując się jednak go wysłuchać. — Jak mogłeś znaleźć błąd w książce, której nie widziałeś na oczy, nie mówiąc już o przeczytaniu?

— Przeczytałem tyle, ile trzeba — odparł Bogardus. — Od roku czujnie słucham i patrzę, zbieram co się da, fragment tu, kawałek tam... Jestem bibliotekarzem dokumentalistą, inni zlecają mi znalezienie jakiegoś słowa, zdania czy cytatu. To wszystko jest oczywiście tajne, ale widziałem wiele oddzielnych kawałków tej układanki. To prawda, że większości nie znam. Nie znam nawet dokładnego tytułu nowej Biblii. Nie wiem, co właściwie zostało odkryte. Nie znam pewnie dziewięćdziesięciu procent tekstu. Ale wiem, że zawiera nieznaną dotąd materiał na temat Chrystusa, ze szczegółami jego dalszej działalności. Wiem na pewno, że opisany został jego pobyt poza ówczesną Palestyną, między innymi również w Rzymie.

Randall był pod wrażeniem, zaczynał nabierać respektu wobec bibliotekarza.

— No dobrze, Hans — powiedział. — Załóżmy, że istotnie poznałeś drobną część tekstu. Czy chcesz powiedzieć, że ta odrobina wystarczyła ci, żeby znaleźć pomyłkę...

— Fatalny błąd.

— Niech będzie, fatalny błąd, którego nie spostrzegli najwybitniejsi badacze, ludzie, którzy znają cały tekst, którzy czytali go i tłumaczyli latami?

— Tak — rzucił Bogardus. — Dlatego że ci ludzie mają klapki na oczach, widzą tylko to, co chcą zobaczyć, i patrzą oczami wiary. Coś podobnego już się w Amsterdamie zdarzyło, pomiędzy rokiem tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym a tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. Człowiek nazwiskiem Hans van Meegeren odkrył sześć nieznanych obrazów Vermeera, namalowanych w siedemnastym wieku, i sprzedał je największym muzeum światowym za trzy miliony dolarów. Krytycy i specjaliści zachwycali się tymi obrazami jako autentykami. Nie zauważyli, że dłonie Chrystusa na portrecie są dłońmi samego van Meegerena, że krzesła na innym obrazie są krzesłami z jego pracowni, że olej użyty do malowania zawiera syntetyczną żywicę, która

nie istniała przed rokiem tysiąc dziewięćsetnym, podczas gdy Vermeer zmarł w tysiąc sześćset siedemdziesiątym piątym. Falszerstwo zostało później udowodnione. Ale jeżeli ktoś chciał odkryć prawdę, nie musiał wcale widzieć obrazów w całości. Wystarczył centymetr kwadratowy płótna, zawierający syntetyczną żywicę. Podobnie ja widziałem dość, widziałem centymetr kwadratowy z całej waszej Biblii i to mi wystarczy, żeby ją uznać za fałszerstwo. Wysłuchawszy już tyle, Randall postanowił pójść dalej.

— I o tym błędzie powiadomiłeś Plummera i de Vroome'a, tak? — zapytał.

Bogardus zawahał się.

— Nie, jeszcze nie — odparł.

— A to dlaczego?

— To... sprawa natury osobistej. Randall wsparł się dłońmi o blat i wstał.

— Teraz już wiem na pewno, że kłamiesz, Hans. Gdybyś naprawdę coś znalazł, natychmiast poszedłbyś z tym do Plummera. Przecież on ci za to płaci, prawda?

Bogardus zerwał się z miejsca z zaróżowioną z oburzenia twarzą.

— Cedric nic mi nie płaci! — zawołał. — Robię to dla niego z miłości!

Randall znieruchomiał. Więc na tym rzecz polega, uprzytomnił sobie, Bogardus i Plummer są parą. Odkrył homoseksualny wątek tej historii.

Bogardus mówił, nie patrząc na niego.

— Zatrzymałem to na razie dla siebie, niczego nie ujawniłem Cedricowi. Wiem, jaką to by miało wartość dla niego, większą nawet niż cała nowa Biblia. Gdyby napisał o tym błędzie, obwieścił o nim światu, zyskałby sławę i pieniądze. Ale zataiłem moje odkrycie, to mój as w rękawie. A to dlatego, że ostatnio Cedric nie był dla mnie zbyt dobry i chociaż on nie wie, że ja wiem, zrozumiałem, że nie jest mi wierny. Ma kogoś młodszego i o wiele bardziej atrakcyjnego. Cedric obiecał mi, że kiedy to wszystko się skończy, kiedy zdobędę dla niego nową Biblię, zabierze mnie na wakacje do północnej Afryki. Tak, dzięki temu Cedric na razie jeszcze jest ze mną. Ale jeżeli coś pójdzie źle, wyciągnę asa z rękawa. Mogę wysadzić to wszystko w powietrze.

Randall skrzywił się, słysząc żalną desperację w głosie Holendra, rozpacz człowieka, który boi się utracić ukochaną osobę. Zastanawiał się, ile prawdy może być w twierdzeniu bibliotekarza, że znalazł w Międzynarodowym Nowym Testamencie coś, co mogłoby zdyskredytować to dzieło. Bogardus kłamie, uznał, usiłuje wymyślić coś, co go uchroni przed wyrzuceniem z pracy i odcięciem od dostępu do nowej Biblii. Nie było wyjścia, musiał rzucić wyzwanie zdrajcy.

— Hans — zaczął — nie przekonałeś mnie niestety. Nie mam podstaw, żeby nie powiedzieć o tobie wydawcom, a to oznacza natychmiastowe zwolnienie. Przechwalasz się tylko, że znalazłeś jakąś nieścisłość w nowej Biblii, nazywasz to z zadęciem fatalnym błędem, a tak naprawdę niczego nie masz. Jeżeli jest inaczej, teraz jest właściwy moment, żebyś to udowodnił.

— Uważa pan, że kłamię? — rzucił Bogardus ze złością. Ale niczego więcej nie dodał.

— Czekam — rzekł Randall.

Bogardus oblizał wargi, lecz wciąż milczał.

— W porządku — powiedział Randall — teraz już wiem na pewno, że jesteś nie tylko zdrajcą, ale i oszustem. To jasne, że musimy się ciebie pozbyć.

Obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

— Proszę posłuchać! — zawołał Bogardus i podbiegł, by zagrozić mu drogę. — Może im pan powiedzieć, żeby mnie wyrzucili, ale lepiej niech pan na tym nie poprzestaje. Właściwie to nie ma znaczenia, czy się dowiedzą, dla nich i tak jest już za późno. Niech im pan powie, żeby zajrzeli do papirusu numer dziewięć, czwarta linijka od góry. Nikt poza mną nie odkrył, co ona oznacza. Jeżeli powiem o tym Cedricowi, a on światu, to będzie koniec Drugiego Zmartwychwstania. Ale — Bogardus wziął głęboki oddech — obiecuję nigdy tego nie ujawnić, jeśli dostanę od nich nową Biblię. Jeżeli nie, są zgubieni.

— Wylecisz stąd jeszcze dzisiaj, Hans — oświadczył Randall.

— Papirus numer dziewięć, czwarta linijka. Sam się pan przekona.

Randall odsunął go na bok, otworzył drzwi i wyszedł. Dobrze, sam się przekona.

Godzinę później już wiedział.

Siedział przy biurku, ze słuchawką telefonu przy uchu, przytrzymywaną barkiem. Czekał, aż telefonistka w drukarni Henniga w Moguncji zlokalizuje Wheelera i połączy go z nim. Jednocześnie przeglądał po raz kolejny tekst z „fatalnym błędem” w Ewangelii Jakuba, w czwartej od góry linijce na papirusie numer dziewięć.

Niełatwo było dotrzeć do tej informacji. Po pierwsze Randall nie był naukowcem. Po drugie nie miał dostępu do znajdujących się w sejfie oryginałów. Poza tym oczywiście nie znał aramejskiego.

To ostatnie okazało się najpoważniejszą przeszkodą, kiedy przypomniał sobie, że dysponuje kompletem fotografii papirusu, wykonanych przez Edlunda i leżących w szafie pancерnej.

Wpatrywał się w błyszczące zdjęcie fragmentu oznaczonego numerem dziewięć, nie będąc w stanie niczego wywnioskować z szeregów znaków maszerujących przez kartkę niczym mrówki, pełnych zawijasów i częściowo nieczytelnych. Jednakże do fotografii dołączono spis tytułów kolejnych rozdziałów i numerację akapitów, wskazującą miejsce każdej linijki aramejskiego tekstu w przetłumaczonej Ewangelii Jakuba. Papirus numer dziewięć, czwarty wiersz od góry, odpowiadał rozdziałowi dwudziestemu trzeciemu i wierszowi sześćdziesiątemu szóstemu tekstu Jakuba w angielskim wydaniu Międzynarodowego Nowego Testamentu.

Randall nie miał już teraz dostępu do próbnego wydruku, a wydawców nie było w mieście, ale przypomniał sobie, co mówił mu Knight. Profesor Jeffries miał egzemplarz w swojej aktówce.

Angielski teolog z ochotą zgodził się mu pomóc i Randall opuścił jego gabinet z przetłumaczonym wersem: „I Pan nasz, uciekając z Rzymu wraz z uczniami, przemierzył tej nocy żyzne pola jeziora Fucinus, które zostało osuszone przez cesarza Klaudiusza i było uprawiane przez Rzymian”.

Zwyczajne, nieskomplikowane zdanie.

Gdzież tu było miejsce na „fatalny błąd”, o którym mówił Bogardus?

Żydzi zostali wypędzeni z Rzymu w roku czterdziestym dziewiątym i Jezus wyszedł razem z nimi. Według Jakuba był to ostatni rok jego życia. Co się tu mogło nie zgadzać?

Randall zaangażował do poszukiwań Elwina Alexandra i Jessicę Taylor, nie mówiąc im, o co konkretnie chodzi. Kazał zebrać wszelkie materiały na temat rządów cesarza Klaudiusza, wypędzenia Żydów z Rzymu w roku czterdziestym dziewiątym oraz żyznych pól pod miastem, leżących na terenie osuszonego jeziora Fucinus. Jego pracownicy przewertowali pisma starożytnych — Tacyta, Swetoniusza i Kasjusza Diona, a także nowożytnych historyków, przed Gibbonem i po nim. Wkrótce zjawili się u niego z fotokopiami znalezionych materiałów.

Randall przedzierał się bezradnie przez te wszystkie teksty, gdy nagle rzuciła mu się w oczy data, w jednej chwili zrozumiał, o jakim to fatalnym błędzie mówił Bogardus.

Jezioro Fucinus leżało w górskiej kotlinie Apeninów Środkiem wyeh i nie miało odpływu. Podczas nawiedzających te tereny deszczów regularnie wylewało i zamieniało okolicę w mokradła. Cesarz Klaudiusz kazał swoim inżynierom osuszyć jezioro. Zadanie okazało się wyjątkowo trudne. Trzeba było przebić się czterokilometrowym tunelem przez góry, by odprowadzić wodę do rzeki Ciris. Klaudiusz zatrudnił trzydzieści tysięcy robotników,

którzy przez dziesięć lat drążyli tunel i w końcu wody jeziora Fucinus spłynęły do rzeki, a jego nieckę przekształcono w żyzne pola.

Według Jakuba Jezus wędrował przez te pola w roku czterdziestym dziewiątym.

Według rzymskich historyków jezioro zostało osuszone dopiero w roku pięćdziesiątym drugim.

Oto był błąd znaleziony przez Bogardusa.

Jezus szedł przez osuszone jezioro w roku czterdziestym dziewiątym, choć wówczas jeszcze było pełne wody i zostało z niej opróżnione dopiero trzy lata po jego śmierci.

Prawdopodobnie nikt nie zwróciłby uwagi na tę niezgodność, tak jak nikt nie zwrócił na nią uwagi do tej pory poza holenderskim bibliotekarzem. Jeżeli jednak ktoś to wyciągnie na światło dzienne i nada sprawie rozgłos, ludzie będą zdezorientowani, tak jak zdezorientowany był w tej chwili Steve Randall.

Musiało istnieć wyjaśnienie tej pomyłki.

Odezwała się telefonistka z drukarni:

— Pan Wheeler został powiadomiony i już idzie do aparatu. Po chwili w słuchawce zadudnił tubalny głos George'a L.

Whelera.

— Halo! Czy to ty, Steve?

— Tak, George, musiałem...

— Wyciągnęli mnie z ważnego zebrania, powiedzieli, że to bardzo pilna sprawa. Co jest takie cholernie ważne? Dlaczego nie może poczekać, aż wrócę?

— Bo nie może, George — odparł Randall, niespieszony jego poirytowaniem. — Mamy poważny problem.

— Jeżeli chodzi o kampanię...

— Chodzi o cały projekt, George, o Biblię. Będę się streszczał. Wczoraj spotkałem się z Maertinem de Vroome'em.

— Co? Widziałeś się z de Vroome'em?

— Tak. Posłał po mnie, więc poszedłem. Z ciekawości.

— To niebezpieczna ciekawość. I czego on chciał?

— Później ci opowiem. Teraz najważniejsze...

— Posłuchaj, Steve, porozmawiajmy o tym jutro, co? — W głosie Wheelera czuło się napięcie. — Muszę wracać na spotkanie, wszyscy wydawcy są u Henniga. Mamy twarde orzech do zgryzienia. Jutro...

— Wiem wszystko o tym twoim orzechu, George — przerwał mu Randall.
— Odkryłem, że Plummer i de Vroome szantażują Henniga. Mają dowody, że palili książki jako faszysta w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku.

W słuchawce rozległ się stłumiony okrzyk zaskoczenia.

— Skąd to wiesz? — zapytał Wheeler.

— Od de Vroome'a.

— A to sukinsyn.

— I co zamierzacie z tym zrobić? — zapytał Randall.

— Jeszcze nie wiemy. De Vroome ma negatywy, ale zdjęcia mogą kłamać, w każdym razie w tym wypadku zniekształcają prawdę. Karl Hennig był wtedy prawie dzieckiem, dopiero zaczął liceum, on to traktował jako wygłupy i po prostu przyłączył się do zabawy. Który chłopak nie chciałby spalić swoich szkolnych książek? Hennig nie był nazistą, nie należał do Hitlerjugend, nic z tych rzeczy. Ale jeżeli to się wydostanie na zewnątrz, zaczną z tego robić sensację... ty jesteś specem od reklamy, Steve, więc wiesz.

— Byłoby kiepsko. Mogłoby zaszkodzić sprzedaży.

— No więc nie wydostanie się — rzekł sucho Wheeler. — Mamy kilka pomysłów, jak ich uciszyć, a już na pewno nie zapłacimy de Vroome'owi. Nie ujawnimy naszej tajemnicy niezależnie od wszystkiego.

— Właśnie dlatego dzwonię, George — powiedział Randall. — Odkryłem podobną historię tutaj, w Krasnapolskim, i chcę wiedzieć...

— Jaką historię? Co znowu się dzieje?

Randall opowiedział mu w skrócie, jak dzięki spotkaniu z de Vroome'em poznał tożsamość zdrajcy w zespole.

— Kto to jest? — warknął Wheeler.

— Nasz bibliotekarz, Hans Bogardus. Rozmawiałem z nim przed godziną i do wszystkiego się przyznał. Przekazywał informacje...

— Jest zwolniony! Powiedziałaś mu to?

— Jeszcze nie, George. Posłuchaj...

— To idź i powiedz mu to natychmiast. Powiedz, że to decyzja profesora Deichhardta i moja. Niech Helderling pójdzie do niego ze swoimi ludźmi i niech go wywalą na zbity pysk.

— To nie jest takie proste, George. Dlatego dzwonię.

— To znaczy?

— Bogardus uważa, że ma na nas haka. Twierdzi, że znalazł dowód na podważenie autentyczności Ewangelii Jakuba. Jeżeli spróbujemy go wyrzucić, ujawni wszystko Plummerowi... oni są parą, George, taka jest prawda... i wtedy będzie po nas, tak powiedział.

— Co ty, u diabła, wygadujesz, Steve? Jaki znów dowód? Randall przeczytał mu ze swoich notatek fragment dotyczący jeziora Fucinus i powiedział o niezgodności dat.

— To idiotyzm! — wybuchnął Wheeler. — Mamy najlepszych specjalistów na świecie, od datowania węglem, od analizy tekstów, od aramejskiego, od historii starożytnej. Przecież to lata pracy, Steve. Każda linijka, każde słowo w tekście Jakuba było oglądane pod lupą, i to nie raz, przez najtęższe głowy i najbystrzejsze oczy. Wszyscy jak jeden mąż potwierdzili autentyczność tego odkrycia, Steve. Kto by słuchał jakiegoś szurniętego bibliotekarza, któremu się wydaje, że znalazł błąd?

— Pewnie, że nikt nie będzie słuchał bibliotekarza, George, ale cały świat wysłucha pastora Maertina de Vroome'a, jeżeli on się o tym dowie.

— Nie dowie się, bo nie ma sprawy. Nie ma żadnego błędu. Znaleźisko Montiego jest autentyczne. Biblia jest nie do ruszenia.

— A jak wyjaśnisz to, że w nowej Biblii Jezus idzie po osuszonym jeziorze trzy lata przed jego osuszeniem?

— Jestem przekonany, że to Bogardusowi coś się pomyliło albo ty coś pokręciłeś. To nie ulega kwestii. No, ale dobrze, żeby cię uspokoić, przeczytaj mi to jeszcze raz. Zaczekaj, wezmę jakąś kartkę i długopis. No, czytaj te bzdury, Steve.

Randall przeczytał powoli. Kiedy skończył, Wheeler powiedział:

— Dziękuję, Steve. Pokażę to pozostałym, ale niczego się nie spodziewaj. Po prostu zapomnij o sprawie i rób dalej swoje. Mamy tu poważniejszy problem do rozwiązania.

— No dobrze — odparł Randall, nieco uspokojony. — W takim razie zaraz idę do Bogardusa i powiem mu, że jest zwolniony. Helderling dopiluje, żeby się wyniósł z hotelu.

W słuchawce zapadła na krótką chwilę cisza.

— Co do tego Bogardusa, Steve... — odezwał się Wheeler. —

Jasne, że go wyrzucimy, ale po namyśle uważam, że to obowiązek mój albo Deichhardta. Zatrudnianie i zwalnianie pracowników to jest nasza działka, a Deichhardt jest szczególnie wyczulony na formalne sprawy. Jak to Niemiec, wiesz. Daj sobie na razie spokój z Bogardusem, Steve, zajmij się swoją robotą, a my jutro wszystko załatwimy oficjalnie. Tak będzie najlepiej. Teraz naprawdę muszę już wracać do Henniga i reszty. Aha, jeszcze jedno, Steve, dzięki za twoją czujność. Zatkaleś przeciek w tamie, naprawdę należy ci się nagroda. A z tym jeziorem... jak mu tam... Fucinus... nie myśl już o tym. To bzdura. Wheeler się rozłączył.

Pięć minut później Randall wciąż siedział przy biurku i jakoś nie mógł przestać myśleć o jeziorze Fucinus. Usiłował zrozumieć, co go tak niepokoi. I zrozumiał.

Zaniepokoiła go zmiana w tonie Wheelera i jego ostateczne podejście do kwestii zwolnienia Bogardusa. Wydawca najpierw chciał wyrzucić bibliotekarza natychmiast, gdy jednak dowiedział się o jego groźbie, wycofał się i odłożył sprawę na później.

Dziwne.

Lecz jeszcze bardziej nękała Randalla inna myśl. Nie rozumiał, dlaczego Wheeler tak zlekceważył informację o błędzie w chronologii, odkrytym przez Holendra. Po prostu zmiotł ją pod dywan, nie podając żadnych kontrargumentów. Oczywiście Wheeler nie był teologiem ani naukowcem, więc może nie należało oczekiwać od niego wyjaśnienia. Ktoś jednak będzie musiał to wyjaśnić, skonstratował Randall, i to jak najszybciej.

Podniósł głowę, czując rosnącą pewność. On przecież także był Strażnikiem Wiary, nowej Wiary. Zarówno jako człowiek, jak i spec od reklamy nie mógł sprzedawać światu (ani w istocie samemu sobie) czegoś, do czego nie będzie całkowicie przekonany. Musiał znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytania.

Najważniejsze z nich dotyczyło błędu znalezionego przez Bogardusa. Brak wyjaśnienia tej kwestii mógł zniszczyć wiarygodność całego przedsięwzięcia.

Przypomniał mu się wiersz George'a Herberta: Z braku ćwieka przepada podkowa, z braku podkowy przepada koń, z braku konia przepada jeździec.

Nie, jeździec tym razem nie przepadnie, postanowił.

Nie odłoży tej sprawy.

Randall połączył się z Angela.

— Zadzwoń do Naomi Dunn — poprosił — i powiedz, że chcę polecieć do Paryża za jakieś dwie godziny. Niech mnie umówi na popołudnie z profesorem Aubertem w jego laboratorium.

— Jeszcze raz? Czy coś się stało, Steve?

— Nie, nic takiego. Chcę się tylko czegoś dowiedzieć.

Znowu był w Paryżu, w Centre National de la Recherche Scientifique przy Rue d'Ulm, gdzie mieścił się instytut profesora Auberta.

Siedzieli naprzeciwko siebie na dwóch końcach sofy w stylu Ludwika XVI. Aubert otwierał segregator, który przed chwilą mu przyniesiono. Zanim zajrzał do środka, potarł krzaczastą brew, na jego ptasiej twarzy malowało się zdziwienie.

— Wciąż nie rozumiem, panie Randall, dlaczego chce pan ponownie przejrzeć wyniki badań. Przecież nie powiem panu nic innego niż za pierwszym razem.

— Chcę się tylko upewnić, że niczego pan nie przeoczył, profesorze. Aubertowi to nie wystarczyło.

— Nie ma mowy, żebym cokolwiek przeoczył — odparł — szczególnie badając taki obiekt jak znalezisko Montiego. — Przyjrzał się Randallowi badawczo. — Czy coś szczególnie pana nurtuje?

— Szczerze mówiąc, tak — przyznał Randall. — Powstało pewne nieporozumienie dotyczące przekładu tekstu na arkuszu numer dziewięć. — Randall wyciągnął z aktówki fotografię papiirusu, zrobioną przez Edlunda. — Tego właśnie.

— Piękny okaz — rzekł profesor, wzduszając z rezygnacją ramionami. — No dobrze. Zajrzyjmy jeszcze raz do raportu z badań.

Randall nabił i zapalił fajkę, patrząc, jak Francuz przegląda zawartość segregatora, wyciąga dwie kartki żółtego papieru i czyta je dokładnie.

Po dłuższej chwili Aubert podniósł głowę.

— Podsumowanie badań metodą izotopu węgla radioaktywnego potwierdza to, co już wiemy. Papiirus jest absolutnie autentyczny. Pochodzi z pierwszego wieku i można go logicznie datować na rok sześćdziesiąty drugi, kiedy Jakub spisał swoje świadectwo na arkuszach ze sprasowanego włókna.

Randall chciał mieć podwójną pewność. Po drodze do Paryża poczytał co nieco na ten temat.

— Profesorze — zaczął — niektórzy poważni badacze krytykują jednak metodę datowania węglem radioaktywnym. Na przykład G.E. Wright zbadał fragment starożytnego drewna trzykrotnie i za każdym razem wyszła mu inna data. W bardzo szerokim przedziale czasowym, między rokiem siedemset czterdziestym szóstym a dwieście osiemdziesiątym dziewiątym przed naszą erą. Po raporcie z badań Libby'ego nad zwojami znad Morza Martwego ukazał się w „Scientific American” artykuł, w którym zarzucono tej metodzie wiele „niejasności, sprzeczności i słabych punktów”, stwierdzając ostatecznie, że nie jest ona jednak „tak jednoznaczna jak zmywarka do naczyń”. Czy pan się zgadza na taki margines błędu?

Profesor Aubert roześmiał się.

— Oczywiście, krytycy mieli rację, jeżeli chodzi o badania z lat pięćdziesiątych. Wówczas margines błędu mógł wynosić kilkadziesiąt lat. Stopniowo jednak metoda została udoskonalona i dziś możemy datować starożytne znalezisko z dokładnością do dwudziestu pięciu lat. Może się pan

pozbyć swoich wątpliwości co do papirusu numer dziewięć. Moje doświadczenie w tej mierze powinno panu wystarczyć. Powiem nawet nieskromnie, że powinno panu wystarczyć samo moje słowo. Jestem człowiekiem godnym zaufania, monsieur Randall.

— Czyżby? — wyrwało się Randallowi. Nie chciał tego mówić, lecz stawka była zbyt wysoka. — Czy aby na pewno można panu w pełni zaufać, profesorze?

Aubert, który zaczął już wstawać, uznając spotkanie za zakończone, usiadł z powrotem. Jego ptasia twarz stężała.

— Co chce pan przez to powiedzieć, monsieur"? — zapytał. Randall uzmysłowił sobie, że musi już teraz brnąć do końca.

— Chcę powiedzieć, że podczas naszego ostatniego spotkania nie powiedział mi pan prawdy na swój temat — wypalił bez ogródek.

Francuz przyglądał mu się przez chwilę, po czym zapytał ostrożnie:

— Co konkretnie ma pan na myśli?

— Mówił pan wiele o własnej wierze. Powiedział pan, że dał żonie dziecko, którego tak pragnęła. Później dowiedziałem się z pewnego źródła, że kilka lat temu poddał się pan dobrowolnie sterylizacji i jest pan niezdolny do... zapłodnienia.

Aubert był wyraźnie wstrząśnięty.

— Z pewnego źródła? — powtórzył. — Kto pana o tym poinformował?

— Maertin de Vroome — odpowiedział Randall. — Ten człowiek przeprowadził dochodzenie na temat wielu osób związanych z naszym projektem. Powiedział mi o tym z własnej nieprzymuszonej woli.

— I pan mu uwierzył? Przecież poznał pan Gabrielle, widział pan, że jest w zaawansowanej ciąży.

Ta rozmowa stawała się dla Randalla coraz trudniejsza. Był jednak zdecydowany doprowadzić ją do końca.

— Nie powiedziałem, że pańska żona nie może mieć dziecka. Natomiast według de Vroome'a pan nie może być jego ojcem, chociaż powiedział mi pan, że nim jest. — Po chwili dodał: — Poruszam tę kwestię tylko dlatego, że rozmawiamy o zaufaniu, profesorze.

Aubert pokiwał głową jakby do siebie i jego ton stał się bardziej ustepliwy.

— Dobrze. Ma pan rację. Jeśli ma pan polegać na moim słowie, muszę być wiarygodny we wszystkim, bez wyjątku. To prawda, przeszedłem przed łąty operację, wasektomię. Był to idiotyzm z mojej strony, ale jestem wysterylizowany. Nie mogę dać kobiecie dziecka. O takich rzeczach jednak nie mówi się zazwyczaj obcym ludziom i nie powinien pan na tej podstawie

osądzać mojej uczciwości. Istotne jest to, co powiedziałem panu o wrażeniu, jakie zrobiły na mnie teksty, i to, że uwierzyłem. Mówiłem prawdę. I prawdą jest także, że powiedziałem mojej żonie, iż pragnę dziecka tak samo jak ona, a może nawet bardziej. Dlatego poprosiłem ją, żeby znalazła... jakiś sposób i zaszła w ciążę.

Randallowi było teraz wstyd, że w ogóle poruszył tę kwestię. Nienawidził de Vroome'a za to, że podważył w nim zaufanie do kolegów.

— Bardzo przepraszam, profesorze — powiedział. — Przykro mi, że w ogóle kwestionowałem pańską prawdomówność.

Francuz próbował się uśmiechnąć, lecz bez powodzenia.

— W tych okolicznościach to całkowicie rozumiałe — rzekł. — Czy jest pan usatysfakcjonowany?

— Całkowicie — odparł Randall. — Upewniłem się już ponad wszelką wątpliwość, że tekst na papirusie pochodzi z czasów Chrystusa.

— Pardon, monsieur Randall, ale obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. — W głosie profesora pojawiła się profesjonalna czujność. — Ja się nie zajmowałem datowaniem tekstu. Nie mogę zagwarantować, że pochodzi z pierwszego wieku. Badanie metodą węgla radioaktywnego potwierdziło, że materiał, na którym napisano Ewangelię według Jakuba, włącznie z papirusem numer dziewięć, można datować na czasy Chrystusa, natomiast autentyczność samego tekstu... choć osobiście jestem jej pewny... nie leży w obszarze moich naukowych kompetencji.

Randall nigdy dotąd nie był świadom tego rozróżnienia.

— Kto w takim razie jest w tej sprawie kompetentny? — zapytał po namyśle. — Kto bada autentyczność tekstu?

— W tym wypadku jeszcze co najmniej dwóch innych specjalistów — odparł Aubert. — Jeden musi zbadać papirus w promieniach ultrafioletowych, żeby sprawdzić, czy nie ma na nim śladów wcześniejszego pisma, czy ktoś nie wykorzystał po prostu starego papirusu, z którego usunął wcześniejszy tekst. Drugi to chemik, który przeprowadza analizę atramentu, bada skład pigmentów. Jakub Sprawiedliwy używał pióra z przyciętej skośnie trzciny, a maczał je w atramencie sporządzonym z sadzy zmieszanej z jakimś rodzajem starożytnego kleju. Analiza atramentu może wykazać, czy pochodzi on z interesującego nas okresu, około roku sześćdziesiątego drugiego.

— Ale kto bada to, co zostało napisane tym atramentem, kto bada sam tekst?

— Doświadczeni naukowcy, teolodzy i lingwiści, eksperci od krytycznej analizy tekstu. Lingwiści porównują tekst aramejski z innymi pismami w tym

języku, o potwierdzonej autentyczności. Najistotniejszym kryterium będzie poziom i styl starożytnego języka, sposób posługiwania się nim, autentyzm samego aramejskiego. — Profesor Aubert wysilił się na uśmiech. — Ale to wszystko zostało zrobione, monsieur Randall. Autentyczność tekstu Ewangelii według Jakuba badały całe zespoły specjalistów. Nie ma powodu, żeby wątpić w jakość ich pracy.

— Oczywiście ma pan rację — odrzekł Randall. — Ale założmy, że jestem człowiekiem nierozsądnym i do tego upartym. Założmy, że wciąż tkwią we mnie resztki niedowiarstwa. Jak mógłbym zyskać ostateczną pewność?

— Bardzo prosto. Konsultując się z największym na świecie znawcą języka aramejskiego. Nic więcej już się nie da zrobić.

— A kto jest tym największym znawcą?

— Wybitnych jest oczywiście wielu — odparł Aubert — na przykład profesor Jeffries z zespołu Drugiego Zmartwychwstania, a pośród naszych przeciwników pastor de Vroome. Ale jeden znawca aramejskiego przerasta ich wszystkich o głowę. To opat Mitros Petropoulos z klasztoru Simopetra na górze Athos.

— Opat Petropoulos — powtórzył Randall, marszcząc czoło. — Nic mi nie mówi to nazwisko. Nie słyszałem też o górze Athos. Gdzie to jest?

— To jedno z ostatnich naprawdę ciekawych miejsc na ziemi — odparł profesor Aubert z upodobaniem. — Athos to monastyczna wspólnota na półwyspie na Morzu Egejskim, czterysta pięćdziesiąt kilometrów na północ w prostej linii od Aten. To małe autonomiczne terytorium z dwudziestoma prawosławnymi klasztorami. Kieruje nimi Święty Synod w Kayres, składający się z dwudziestu mnichów, po jednym z każdego klasztoru. Wspólnota została założona prawdopodobnie w dziewiątym wieku przez Piotra Atonitę i była jedynym ośrodkiem chrześcijaństwa, który przetrwał czasy islamu, czyli okres rządów muzułmańskich. Athos zamieszkiwało na początku stulecia chyba około ośmiu tysięcy mnichów. Obecnie jest ich trzy tysiące.

Wszystko to było dla Randalla zupełną nowością i brzmiało nieco dziwnie.

— I czym ci mnisi się tam zajmują? — zapytał.

— Tym samym, co mnisi na całym świecie — odparł Aubert. — Modlą się. Poszukują religijnej ekstazy, jedności z Bogiem. Boskiego objawienia. Właściwie na Athos istnieją dwa odłamy. Jeden klasycznie mnisi, ortodoksyjny, surowy, sztywno przestrzegający reguł i ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Drugi jest bardziej demokratyczny, o luźniejszej regule, mnisi mogą mieć pieniądze, rzeczy osobiste, zezwala się na pewne wygody. Oczywiście opat Petropoulos należy do ortodoksów, lecz jest znany

na całym świecie jako czołowy ekspert od aramejskiego. Poświęca się nauce z równą pasją co modlitwie, podobnie jak inni mnisi, którzy w chwilach wolnych od zajęć duchowych zajmują się nauczaniem, malarstwem czy ogrodnictwem.

— Czy poznał pan opata osobiście, profesorze?

— Osobiście nie, lecz rozmawiałem z nim raz przez telefon... trudno uwierzyć, ale niektóre klasztory mają telefony... i pisywaliśmy do siebie. Musi pan wiedzieć, że góra Athos to prawdziwa składnica starożytnych rękopisów, w bibliotekach klasztornych mają tam około dziesięciu tysięcy cennych pism i tekstów. Opat Petropoulos przysyłał mi kilka razy średniowieczne manuskrypty do zbadania. Z tego, co wiem, jest ostatecznym autorytetem, jeśli chodzi o aramejski z pierwszego wieku.

Podczas tej wypowiedzi Randall odnalazł w swojej aktówce zastrzeżony spis współpracowników Drugiego Zmartwychwstania, byłych i obecnych. Wśród nazwisk tłumaczy i językoznawców z całego świata nie było jednak opata Mitrosa Petropoulosa.

— To dosyć dziwne — zwrócił się do Auberta. — Mamy oto największe odkrycie w dziejach archeologii. Jest to tekst w języku aramejskim. Z drugiej strony mamy opata, najwybitniejszego znawcę tego języka na świecie. A jednak ten ekspert nigdy nie wziął udziału w naszej pracy. Czy przychodzi panu do głowy, profesorze, dlaczego się do niego nie zwrócono?

— Jestem pewien, że konsultowano się z opatem w którymś momencie — odparł Aubert. — Jest nie do pomyślenia, żeby odkrycie na miarę papirusu Jakuba nie zostało mu pokazane. Musi być jakieś wyjaśnienie, czemu go nie ma na pańskiej liście.

— Ciekawe jakie.

— O to musi pan już zapytać Deichhardta albo Wheelera. To oni zatrudniali specjalistów. Albo profesora Montiego, on na pewno będzie wiedział.

— Tak, oczywiście — rzucił niepewnie Randall. Jednakże kontakt z Wheelerem w Moguncji był teraz prawie niemożliwy. Profesor Monti zaszył się gdzieś pod Rzymem i dotarcie do niego też było trudne. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. — Profesorze — zapytał — czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

Aubert wstał i wskazał aparat na biurku.

— Pójdę teraz zobaczyć, co się dzieje w laboratorium — powiedział. — Może pan swobodnie porozmawiać. Moja sekretarka pana połączy.

— Bardzo dziękuję. Proszę powiedzieć, żeby zadzwoniła do Grand Hotelu Krasnapolsky w Amsterdamie, do panny Angeli Monti.

Rozmawiał z Angelą już od kilku minut, wypytując o różne sprawy związane z ich pracą.

Wreszcie niemal od niechcenia zadał pytanie, o które mu chodziło.

— Przy okazji, Angelo, chcę cię zapytać jeszcze o jedną rzecz. Czy twój ojciec po odkopaniu papirusu Jakuba pokazał go jakimś specjalistom od aramejskiego, czy zrobili to dopiero wydawcy po nabyciu praw do znaleziska?

— Oczywiście, że ojciec dał papirus do zbadania. Sam dosyć dobrze czyta po aramejsku i zorientował się, jaką wartość ma znalezisko, ale nie ufał sobie do końca. Musiał zapytać najlepszych znawców języków semickich.

— W Rzymie? Czy jeszcze gdzieś? — dopytywał się Randall.

— Wszędzie — odparła Angela. — Nie mógł postąpić inaczej. Rezultaty znasz. — Zamilkła na chwilę. — Dlaczego o to pytasz, Steve?

— Po prostu z ciekawości.

— Z ciekawości? Znam cię już nazbyt dobrze, żeby w to uwierzyć. Dlaczego pytasz o aramejski?

Randall uznał, że nie ma powodu utrzymywać sprawy w tajemnicy. Angela okazała się w pełni lojalna i godna zaufania.

— Nie mam teraz czasu wchodzić w szczegóły — odpowiedział. — Wiem, kim jest szpieg de Vroome'a w naszym zespole. Nie Florian Knight, ktoś inny. Dowiedziałem się od tej osoby, że w tekście jest... pomyłka w tłumaczeniu z aramejskiego, czego skutkiem jest błąd rzeczowy.

— Ależ to niemożliwe! Tekst badali najlepsi znawcy tego języka!

— Właśnie to mnie nurtuje — odrzekł Randall. — Nie skonsultowano się z najwybitniejszym z nich. Czy mówi ci coś nazwisko opata Mitrosa Petropoulosa z Athos w Grecji, Angelo?

— Opat Petropoulos? Oczywiście. Miałam okazję go poznać. Ojciec wiedział, że jest największym znawcą aramejskiego i pięć lat temu wybraliśmy się na półwysep Athos. Opat przyjął nas bardzo serdecznie.

— To znaczy, że twój ojciec pokazał mu papirus?

— Tak, Steve. Poprosił go o zbadanie autentyczności tekstu. To było niezapomniane przeżycie, ten klasztor... zapomniałam nazwę... był taki malowniczy. Opat analizował tekst przez wiele godzin i dopiero na drugi dzień skończył. Musieliśmy zostać na noc i jeść to ich okropne jedzenie... chyba gotowaną ośmiornicę. Petropoulos był pod ogromnym wrażeniem,

powiedział, że to odkrycie jest nieporównywalne z żadnym innym, i zapewnił nas, że tekst jest jak najbardziej autentyczny.

— To wspaniała wiadomość, wierz mi — rzekł Randall z ulgą. — Zastanawiam się tylko, dlaczego profesor Deichhardt nie zaprosił opata do współpracy, na przykład zamiast Jeffriesa.

— Wydawcy chcieli to zrobić, Steve. Ojciec zarekomendował im Petropoulosa i chcieli go zatrudnić. Ale on się nie zgodził. Był akurat w trakcie długotrwałego postu, na dodatek w klasztorze są kiepskie warunki sanitarne, woda jest zanieczyszczona i to wszystko tak go osłabiło, że dość poważnie się rozchorował. Nie miałby nawet siły udać się do Amsterdamu. Wydawcy nie mogli czekać, aż wyzdrowieje. Musiało im wystarczyć, że pozytywnie zweryfikował rękopis Jakuba. Przekład mógł nadzorować inny uczoney, niemal tak samo biegły w aramejskim.

— To wszystko wyjaśnia — rzekł Randall.

— Czy przestaniesz się teraz zamartwiać i wrócisz wreszcie do mnie?

— Możesz być pewna, że wrócę. Zobaczymy się wieczorem, kochanie.

Po tej rozmowie Randall poczuł się lepiej. Błąd znaleziony przez Bogardusa musiał wynikać z jakiejś pomyłki w przekładzie. Dalsze dociekania można było pozostawić wydawcom i ich teologom. On sam był już spokojny, że Międzynarodowy Nowy Testament... i jego własna, świeżo umocniona wiara... są już dobrze chronione przed wrogiem.

Pięć minut później czekał z teczką pod pachą przed gabinetem Auberta, by podziękować profesorowi za jego czas i cierpliwość.

— Wszystko się wyjaśniło — powiedział, gdy Aubert wrócił z laboratorium. — Wracam do Amsterdamu. Bardzo panu dziękuję, profesorze, za pomoc.

— Ah, bon, bardzo się cieszę. Odprowadzę pana do wyjścia. — Ruszyli korytarzem. — Czyli dowiedział się pan, że opat Petropoulos współpracował z zespołem Drugiego Zmartwychwstania? — zapytał Aubert.

— Nie całkiem — odparł Randall. — Ale przed pięciu laty miał okazję zbadać papirus i potwierdził jego autentyczność. Profesor Monti z córką osobiście wybrali się do Grecji i spędzili na górze Athos dwa dni, podczas gdy Petropoulos dokładnie analizował tekst.

Aubert zmierzył go czujnym spojrzeniem.

— Czy dobrze usłyszałem, monsieur Randall, że panna Monti towarzyszyła ojcu w odwiedzinach u opata? — zapytał.

— Zgadza się.

— Była razem z ojcem w klasztorze na Athos?

— Tak, sama mi o tym powiedziała. Profesor Aubert wybuchnął głośnym śmiechem.

— Pas possible! — zawołał. Randall zatrzymał się w pół kroku.

— Co pana tak rozśmieszyło, profesorze? — zapytał zaskoczony.

— Przepraszam. — Aubert położył mu rękę na ramieniu. — Ale panna Monti zażartowała sobie z pana, monsieur Randall. Zrobiła pana... jak to się mówi... zrobiła pana w balona.

— Nie rozumiem. — Randallowi zupełnie nie było do śmiechu.

— Zaraz pan zrozumie. Chodzi o to, że każdy, kto ma jakieś pojęcie o tym miejscu, wiedziałby, że panna Monti nie mogła tam być. Nie mogła w ogóle postawić stopy na półwyspie ani przed pięciu laty, ani nigdy. Dlatego między innymi to miejsce jest tak wyjątkowe. Granicy tego okręgu administrowanego przez mnichów nie wolno przekroczyć żadnej kobiecie. I od tysiąca lat żadnej tam nie wpuszczono.

— Co pan mówi?

— Taka jest prawda, monsieur Randall. Ze względu na śluby czystości, aby unikać pokus seksualnych, już w dziewiątym wieku kobietom zakazano wstępu na półwysep. W rzeczy samej, poza owadami i ptakami, których nie da się kontrolować, zakaz ten dotyczy płci żeńskiej w ogóle, włącznie ze zwierzętami. Są tam koguty, ale nie ma kur, są byki, ale nie ma krów, są barany, ale nie ma owiec. Są koty i psy, ale wszystkie rodzaju męskiego. To świat należący wyłącznie do rodzaju męskiego. Nie narodziło się tam nigdy żadne dziecko. Dlatego panna Monti, mówiąc, że tam była, zażartowała sobie z pana.

— Mówiła to całkiem poważnie — odparł Randall niemal szeptem.

Widząc jego minę, profesor Aubert także spoważniał.

— Może po prostu profesor Monti pojechał do opata sam — powiedział.

— Żadne z nich nie widziało go na oczy — odparł ponuro Randall — a opat Petropoulos nigdy nie widział papirusu. — Zamilkł na chwilę. — Ale teraz go zobaczy, już moja w tym głowa. Profesorze, jak mogę się dostać na Athos?

ROZDZIAŁ 8

Dwa dni później Randall znalazł się niespodziewanie dla siebie w samym środku Średniowiecza.

Wczesnym słonecznym popołudniem przybył do celu swej podróży, klasztoru Simopetra. Była to bardzo stara budowla z kamienia i drewna, z galeryjkami i balkonami na wspornikach, przyklejona do skały czterysta metrów ponad wodami Morza Egejskiego.

Z torbą podróżną i cenną aktówką w rękach szedł znużony przez pylisty dziedziniec, podążając za ojcem Spanosem, furtianem w purpurowym habicie. Furtian powitał go, gdy przybył tu na grzbiecie osła z przewodnikiem Vlahosem, zezowatym chłopakiem cuchnącym stajnią.

— Proszę za mną, proszę za mną — powiedział ojciec Spanos toporną angielszczyzną i Randall, już trochę zdyszany, zaczął wchodzić po rozchwierutanych drewnianych schodach, prowadzących w głąb klasztoru.

Gdzieś z dołu dał się słyszeć ciężki, powolny odgłos walenia młotem, którego echo przypominało raczej stłumiony dźwięk dzwonu.

Randall zatrzymał się zaskoczony.

— Co to jest? — zapytał mnicha.

— To semandron, jego drugie wezwanie — odpowiedział ojciec Spanos. — Nasz gong. Drewniany młot uderza w cyprysową deskę, wzywa stu mnichów na modlitwę. Pierwsze wezwanie o północy. Drugie teraz, po południowym posiłku. Rozpoczyna się śpiewanie godzinek i liturgia. Trzecie i ostatnie, przed zachodem słońca.

— Jak długo trwa ta druga pora modlitw? — zapytał Randall, gdy dotarł na górę.

— Trzy godziny. Ale proszę się nie lękać, opat Petropoulos oczekuje pana i skróci swe praktyki. — Mnich wyszczerzył się w uśmiechu. — Pan głodny, nie?

— Właściwie...

— Posiłek już czeka na pana. Jak pan skończy, opat będzie gotowy. Chodźmy.

Randall znów ruszył za mnichem, szerokim, wilgotnym korytarzem o bielonych ścianach, mijając poobtłukiwane bizantyńskie kolumny i gdzieś tam freski z postaciami świętych o wyłupionych oczach. W końcu dotarli do przypominającej celę poczekalni o świeżo pomalowanych na szaro ścianach. Na środku stał stół i dwie drewniane ławy. Na stole przygotowano

pojedyncze nakrycie: cynowy talerz i dzbanek z zielonym jabłkiem jako przykrywką, widelec wątpliwej czystości i dużą drewnianą łyżkę.

— Teraz pan zje — powiedział ojciec Spanos, wskazując mu miejsce przy stole. — Po posiłku opat z panem porozmawia w swoim pokoju, tutaj za ścianą.

— Jak się opat czuje? — zainteresował się Randall. — Słyszałem, że chorował przez ostatnie lata.

— Tak, był chory. Problemy z trawieniem. Przeszedł dur brzuszny. Ale nasz opat bardzo odporny. Tutejszy klimat, duchowe życie, lecznicze zioła i moc z dotykania świętych ikon dały mu nowe siły. Wrócił już do zdrowia.

— Czy w ostatnich latach podróżował gdzieś poza Athos?

— Nie, był tylko dwukrotnie w Atenach. Ale niedługo planuje dalszą podróż. — Mnich odwrócił się i zaklaskał głośno w ręce. — Teraz akolita poda panu jedzenie — powiedział.

— Zanim ojciec odejdzie, chciałbym jeszcze o coś zapytać — rzekł Randall. — Słyszałem, że do świątobliwej wspólnoty na półwyspie nie mają wstępu kobiety. Czy to prawda?

Ojciec Spanos skłonił lekko głowę i odparł poważnym tonem:

— Edykt w tej sprawie wydano przed dziesięcioma wiekami. Żadna żeńska istota, człowiek czy zwierzę, nie skalala swoją obecnością naszej wspólnoty. Trzy wyjątki. W roku tysiąc trzysta czterdziestym piątym król serbski pozwolił wysiąść na brzeg swojej żonie. W nowszych czasach próbowała wejść do jednego z klasztorów królowa rumuńska Elżbieta, a po niej lady Stradford de Recliffe, żona ambasadora brytyjskiego. Obie zostały zawrócone z drogi. Poza tymi próbami z namowy szatana nigdy nie było tu kobiety. Przykład. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym zmarł w szacownym wieku osiemdziesięciu dwóch lat nasz dobry brat Mihailo Tolto. Przez całe swoje życie nigdy nie widział kobiety.

— Jak to możliwe?

— Matka ojca Mihaila zmarła przy porodzie — wyjaśnił mnich. — Przywieziono go do nas jako noworodka, cztery godziny po narodzinach. Wyrósł na mężczyznę i zestarzał się, nie opuszczając nigdy półwyspu, nie miał więc okazji zobaczyć kobiety. Jeszcze jeden przykład. Znany grecki ginekolog, zmęczony nieustannym badaniem kobiet, chciał odpocząć od nich w spokoju, przyjechał więc na Athos. Wiedział, że tutaj na pewno nie zobaczy żadnej potencjalnej pacjentki. To prawda, nie dotyka nas kuszenie Ewy. Są tylko bracia i Bóg. Mam nadzieję, że będzie panu smakował nasz skromny posiłek.

Gdy ojciec Spanos wyszedł, zjawił się nieśmiały akolita w habicie i podał Randallowi lunch. Był to prosty posiłek, złożony z grudowatej owsianki, kawałków ryby, importowanego sera owczego, dyni, czarnego chleba, tureckiej kawy i pomarańczy. Angela przestrzegła go przed gotowaną ośmiornicą, to samo mówił jego przewodnik Vlahos, na szczęście nie podano mu tego dania. Podano za to czerwone wino, które dodało smaku potrawom.

Randall nie koncentrował się jednak najedzeniu, lecz na wydarzeniach sprzed dwóch dni w Paryżu.

Angela Monti zawiódła jego zaufanie. Okłamała go. Pośród trudów podróży myślał o niej nieustannie z wściekłością i żalem. Pokochał tę piękną Włoszkę i wierzył jej. Gdy przed tygodniem uznał ją za zdrajczynię, udowodniła mu, że się pomylił. Pokochał ją za to jeszcze bardziej i zawierzył jej. A jednak okłamała go ponownie, tym razem naprawdę i ponad wszelką wątpliwość.

Przy końcu podróży z Francji do Grecji — jak na ironię do miejsca, w którym nigdy nie było kobiet — ta jedna kobieta wciąż okupowała jego umysł. Chociaż w rzeczywistości nigdy tutaj nie była, on przywiózł ją ze sobą. Kiedy tak o niej myślał, jego gniew stopniowo topniał. Próbował nawet znaleźć jakieś wytłumaczenie na jej kłamstwo, ponieważ ją kochał. Lecz nie znajdował żadnego.

Postanowił wypędzić ją z myśli, odprawić wewnętrzne egzorcyzmy.

Wspominał wydarzenia ostatnich trzech dni, które doprowadziły go na ten dziwny, izolowany skrawek lądu, zamieszkanym przez istoty płci męskiej.

W piątek po południu, po odkryciu kłamstwa Angeli — niech ją diabli, wyrzuc ją, usuń na zawsze, bądź wolny, skoncentruj się — pod wpływem nagłego impulsu postanowił poddać błąd wykryty przez Bogardusa ostatecznemu osądowi największego na świecie znawcy aramejskiego.

Sobotni poranek w Paryżu poświęcił na załatwienie formalności — zaproszenia i zezwolenia na odwiedzenie klasztoru na górze Athos. Gdyby nie prestiż i koneksje profesora Auberta, trwałoby to wiele tygodni, lecz dzięki Aubertowi sprawa została załatwiona w kilka godzin. W greckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych wyrażono zgodę na wyrobienie Randallowi diamonitron, specjalnego paszportu do okręgu autonomicznego zarządzanego przez mnichów, miał go odebrać w Salonikach. Aubert zwrócił się do swego kolegi z tamtejszego uniwersytetu, a ten z kolei skontaktował się z opatem Petropoulosem, który zgodził się przyjąć Randalla w klasztorze Simopetra. Potem rozpoczęły się pospieszne przygotowania do podróży.

Kiedy już wszystko zostało ustalone, Randall zadzwonił do Amsterdamu, do hotelu Victoria, i zostawił dla Angeli Monti wiadomość, że wyjeżdża na kilka dni, bo zlecono mu specjalną misję. Próbował także skontaktować się z Wheelerem w Krasnapolskim, lecz okazało się, że wydawca w dalszym ciągu przebywa w Moguncji. Pozostawił więc dla niego niemal zaszyfrowaną informację o celu swego wyjazdu i zapewnił, że wróci na czas, by przygotować konferencję prasową.

W sobotę po południu, po czterech godzinach lotu, wylądował w Salonikach. Jeżdżąc po szerokich arteriach miasta, wśród grecko-mauretańskich domów i niezliczonych bizantyńskich kościołów, dotarł do konsulatu amerykańskiego, gdzie odebrał swój paszport. Potwierdził rezerwację na ostatni etap podróży, a noc spędził w hotelu Mediterranean. Nie była to spokojna noc.

W niedzielny poranek popłynął brudnym, usmarowanym olejami parowcem osiemdziesiąt mil do Dafni, portu na półwyspie. Tutaj podstemplował mu paszport policjant w welwetowej czapce z podwójnym bizantyńskim orłem, w białej spódniczce i z pomponami przy butach. Następnie długowłosi mnisi celnicy przejrzyli jego bagaże, a jeden z nich nawet obmacał mu klatkę piersiową, by się upewnić, że nie jest przebraną kobietą.

Vlahos, przewodnik, już na niego czekał. Młody Grek ubrany był normalnie, poza butami zrobionymi z pasów gumy z opon, które ułatwiały mu chodzenie po górach. Vlahos wynajął engaze, łódź, którą popłynęli do niedalekiej przystani pod klasztorem Simopetra. Budowla przypominająca klasztor Lhasy wznosiła się wysoko nad morzem, posadowiona na wierzchołku skały.

Z przystani ruszyli dalej na wynajętych osłach. Po dwudziestu minutach wspinania się górską ścieżką, wijącą się niebezpiecznie po nagim klifie, dotarli do sanktuarium z ikoną Matki Boskiej ze świętym Joachimem i świętą Anną. Gdy nabierali wody do manierek, Vlahos wyjaśnił Randallowi, że Simopetra oznacza Srebrną Skałę, a klasztor założył w roku tysiąc trzysta sześćdziesiątym trzecim pewien pustelnik, pod wpływem wizji.

Randall najchętniej uciekłby z niebezpiecznego szlaku. Myślał o tym, żeby jak najszybciej uwolnić się od wierzgającego osła i męczącego słońca i znaleźć się w bezpiecznym, solidnym schronieniu na szczycie. Po kwadransie wyczerpującej jazdy dotarli tam wreszcie, ponad poletkami kapusty wznosiły się wysokie mury klasztoru z przegniłymi drewnianymi balkonami. Od klasztornej bramy spieszył im naprzeciw furtian.

I cały ten egzotyczny koszmar, pomyślał Randall, tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak to możliwe, że Jakub pisze o wędrowce Jezusa po dnie rzymskiego jeziora, jeżeli zostało ono osuszone dopiero trzy lata później!

Wyprawa wydała mu się wariactwem, klasyczną donkiszoterią. Zdumiony, że się w ogóle na nią zdecydował, Randall wiedział jednak, co nim powodowało. Nie chciał utracić bardzo jeszcze wątej wiary.

— Panie Randall...

Ocknął się z zamyślenia i zobaczył stojącego w drzwiach ojca Spanosa.

— Panie Randall, opat Petropoulos może już pana przyjąć. Zwyczajowo zwracamy się do niego „ojcze”.

Pokój opata był zaskakująco przestronny i jasno oświetlony. Ściany pokrywały religijne freski o żywych barwach, lecz dość topornej formie, z wyobrażeniami archanioła Gabriela, Chrystusa i Dziewicy na tronie. Z sufitu zwisał wielki metalowy kandelabr, a rozstawione wszędzie blaszane lampki oliwne zalewały pomieszczenie żółtym światłem. Przy okrągłym, zarzuconym starymi księgami stole stał patriarcha, z pewnością ponad siedemdziesięcioletni.

Miał na sobie ciężki czarny habit z wyszytą czaszką z pischczelami, czarną czapkę przypominającą fez i toporne chłopskie buty. Był niewysoki i kruchy, o brązowej, pergaminowej skórze twarzy. Nosił długie włosy, białą brodę i wąsy. Na cienkim nosie widniały dziwne, prostokątne okulary bez oprawek.

— Witam w Simopetrze, panie Randall — odezwał się opat. Głos miał łagodny, wręcz kojący. — Mam nadzieję, że podróż nie zmęczyła pana nadmiernie.

— To dla mnie zaszczyt, że ojciec zechciał mnie przyjąć — odrzekł Randall.

— Czy mój angielski pana satysfakcjonuje, czy woli pan może rozmawiać po francusku lub włosku?

— Po angielsku, jak najbardziej — odparł z uśmiechem Randall — choć wolałbym mówić po aramejsku, gdybym znał ten język.

— Ach, aramejski. Nie jest wcale taki straszny, jak pan sądzi. Oczywiście mnie trudno jest to ocenić, ponieważ poświęciłem całe życie na jego zgłębianie. Proszę, niech pan siada. — Opat usadowił się przy stole na wyściełanym skórą krześle, a Randall szybko usiadł obok. — Spodziewam się, że chce pan spędzić u nas noc przed powrotem do Salonik?

— Jeśli to możliwe.

— Cieszą nas goście, bo nieczęsto są tutaj widywani. Oczywiście musi pan być przygotowany na pewne niedogodności. Na przykład wanna jest

urządzeniem w klasztorze nieznanym. Zwykliśmy mawiać: „Kto raz zanurzył się w Chrystusie, nie musi się już myć powtórnie”. Pański materac został jednak okadzony dymem i nie znajdzie pan w nim żadnych insektów.

— Interesuje mnie tylko język aramejski, ojcie Petropoulosie. Reszta nie ma znaczenia.

— No tak, oczywiście. Język Naszego Pana. Język skromny, niezbyt piękny, a jednak wypowiedziano w nim największe prawdy tego świata. Tak, aramejski. To język semicki. Nazwany tak od wyżyny Aram w Syrii i Mezopotamii. Aramejczycy byli nomadami, którzy w piątym wieku przed Chrystusem zaczęli się osiedlać w północnej Palestynie, obejmującej także Galileę. Za czasów młodości Chrystusa był to język ubogich, natomiast hebrajskim posługiwali się głównie ludzie wykształceni... kapłani, uczeni, sędziowie. Aramejskim mówiły masy oraz ludzie związani z handlem. Ale oba te języki są blisko ze sobą spokrewnione. Można powiedzieć, że są kuzynami.

— A co je różni od siebie?

— Niełatwo to wyjaśnić — odrzekł opat, głaszcząc brodę. — Hebrajski i aramejski mają ten sam alfabet pisany, złożony z dwudziestu dwóch znaków. Lecz są to wyłącznie spółgłoski, nie istnieją znaki dla samogłosek. W mowie jednakże każdy z języków ma więcej głosek, niż zawiera jego alfabet. Dlatego ktoś piszący po hebrajsku i ktoś drugi piszący po aramejsku użyją tych samych spółgłosek do tego samego słowa, lecz obaj dodadzą do niego trochę inne znaki sugerujące samogłoski. Na przykład, jeśli ktoś napisałby Pan lub Bóg po hebrajsku, wymawiałoby się to Eli, po aramejsku zaś Elia. Czy wyrażam się jasno?

— No cóż, chyba co nieco zrozumiałem.

— Nie jest to takie ważne — stwierdził opat. — Jak przypuszczam, interesuje pana starożytny aramejski?

— To prawda.

— Przejdźmy więc do rzeczy. Muszę powiedzieć, panie Randall, że nic nie wiem o powodach pańskich odwiedzin poza skąpą informacją z Salonik, że chodzi o jakiś papirus z pierwszego wieku.

— Czy słyszał ojciec o Drugim Zmartwychwstaniu?

— O Drugim Zmartwychwstaniu?

— Tak. To kryptonim projektu związanego z publikacją nowej Biblii. Grupa wydawców zamierza wspólnie przedstawić światu nową wersję Nowego Testamentu, opartą na doniosłym odkryciu archeologicznym we Włoszech przed sześciu laty.

— A tak, oczywiście — przerwał mu opat. — Teraz sobie przypominam. Bibliista z Anglii, profesor Jeffries, chciał mnie zaprosić do współpracy przy tłumaczeniu znaleziska. Nie wyjaśnił bliżej, o co chodzi, ale brzmiało to bardzo intrygująco. Gdyby nie moja choroba, pewnie bym się nie oparł pokusie. Ale nie mogłem wyjechać. Czy może mi pan powiedzieć, panie Randall, o co chodziło? Proszę się nie obawiać, zachowam rzecz w tajemnicy.

W ciągu następnych pięciu minut Randall bez najmniejszego wahania przedstawił mnichowi najważniejsze fakty związane z Ewangelią według Jakuba i Pergaminem Petroniusza.

Gdy skończył, oczy Petropoulosa błyszczały z ekscytacji.

— Czy to możliwe? — wymamrotał. — Czy mógł się zdarzyć: taki cud?

— Mógł i zdarzył się — powiedział cicho Randall. — Wieli' jednak zależy od opinii ojca o jednym zagadkowym fragmencie w tekście Jakuba.

— To dzieło Pana — rzekł opat — a ja jestem jego sługą. .

— Odkrywcą tych tekstów — mówił dalej Randall, wyjmując z aktówki fotografię papirusu numer dziewięć — jest profesor Monti z Włoch, który prowadził wykopaliska w Ostii, niedaleko Rzymu. Poinformowano mnie, że profesor wraz z córką odwiedzili ojca przed pięciu laty, by potwierdzić autentyczność znaleziska. Potem jednak dowiedziałem się, że córka profesora w żadnym wypadku nie mogła przebywać na półwyspie Athos.

— To absolutnie niemożliwe.

— No właśnie. Zastanawiałem się jednak, czy może sam profesor nie odwiedził ojca w celu konsultacji.

Bujna broda opata poruszyła się na boki.

— Nikt taki z pewnością mnie nie odwiedził — odparł. — W każdym razie... — zamilkł i zmrużył oczy, próbując sobie coś przypomnieć. — Monti, powiedział pan? Czy on wykładał na uniwersytecie w Rzymie?

— Zgadza się.

— Pamiętam, że pisał do mnie. Tak, z pewnością, to było cztery czy pięć lat temu, a może nawet wcześniej. Ten profesor zapraszał mnie do Rzymu, chciał zapłacić za podróż, żebym obejrzał jakiś aramejski papirus. Miał dużo pracy i nie mógł przyjechać tutaj. Później... teraz to sobie przypominam... profesor Jeffries także wspominał o włoskim archeologu, który odnalazł wyjątkowej wagi dokumenty z pierwszego wieku. Ale nie miałem nigdy okazji spotkać profesora Montiego osobiście, ani tutaj, ani nigdzie indziej.

— Tak też myślałem — stwierdził Randall, starając się ukryć gorycz w głosie. — Chciałem się tylko upewnić. — Położył na stole fotografię arkusza papirusu oraz kartkę z angielskim przekładem tego fragmentu. — To właśnie

ten tekst, który chciałem ojcu pokazać. Najpierw jednak wytłumaczę krótko, na czym polega problem, który mam nadzieję przy pomocy ojca rozwiązać.

Nie wspominając o sprawie Bogardusa, wyjaśnił opatowi, że nowa Biblia już się drukuje, tymczasem ktoś zauważył w jej tekście niezgodność chronologiczną, dotyczącą wędrówki Jezusa przez osuszone jezioro Fucinus.

— Według rzymskich historyków — zakończył Randall — jezioro to zostało osuszone dopiero trzy lata później, już po śmierci Jezusa.

Opat pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Proszę mi pokazać przekład — powiedział.

— Czwarta i piąta linijka — rzekł Randall, podając mu kartkę.

Opat przebiegł tekst oczami, a potem przeczytał go na głos. „I Pan nasz... przemierzył tej nocy żyzne pola jeziora Fucinus, które zostało osuszone przez cesarza Klaudiusza i było uprawiane przez Rzymian”.

— Teraz chciałbym zobaczyć aramejski oryginał, panie Randall — powiedział po chwili namysłu.

Randall podał mu fotografię. Grecki duchowny skrzywił się na widok zdjęcia.

— To reprodukcja, panie Randall — zauważył. — Muszę zobaczyć oryginalny papirus.

— Nie mam go, ojcze. Nie uzyskałbym zgody na przewiezienie papirusu, jest zbyt cenny. Trzymają go w strzeżonym sejfie w Amsterdamie.

Opat nie krył rozczarowania.

— W takim razie moje zadanie jest podwójnie trudne. Samo czytanie tych małych aramejskich znaków już jest niełatwe. A odczytywanie ich z reprodukcji i akuratne przetłumaczenie jest prawie niemożliwe.

— Ale tę fotografię wykonano w podczerwieni, żeby wzmocnić zatarte znaki i...

— To nie ma znaczenia, panie Randall. Reprodukacja to wtórne źródło, bardzo niepewne ze względu na moje stare oczy.

— Czy zechce ojciec przynajmniej spróbować? — zapytał Randall.

— Tak, oczywiście. Zrobię, co się da. — Mnich wstał z wysiłkiem, poczłapał do nocnego stolika i wyjął z szuflady duże szkło powiększające.

Randall obserwował w napięciu, jak Petropoulos studiuje fotografię papirusu przez lupę. Głęboko skoncentrowany, pochylał się nad zdjęciem przez kilka wlokących się w nieskończoność minut. W końcu odłożył lupę na stół i wziął znów do ręki kartkę z przekładem. Przeczytał angielski tekst ponownie, oddał go Randallowi i gładząc długą brodę, wskazał na fotografię.

— Rozumie pan oczywiście—rzekł—że profesor Jeffries i jego koledzy mieli nade mną tę przewagę, że badali oryginalny papirus. Biorąc to pod uwagę, można domniemywać, że ich przekład jest doskonały. Jeżeli tak, to zwój, którego fragment mi pan przedstawił, należy uznać za najdonioślejsze odkrycie w historii chrześcijaństwa.

— Nie wątpię, że tak jest — odparł Randall. — Mam jednak wątpliwości, a w każdym razie zastanawiam się nad tym, czy tłumaczenie z aramejskiego jest dokładne.

Opat Petropoulos namyślał się przez chwilę.

— Na tyle, na ile mogę to stwierdzić na podstawie tej reprodukcji, przekład jest staranny — odpowiedział.—Nie przysięgłbym jednak, że jest absolutnie ścisły. Wiele liter, jak sam pan widzi, zatarto się niemal całkowicie z upływem stuleci. Niektóre słowa w tych dwóch wątpliwych liniijkach są ledwie czytelne.

— Wiem, ojczy, jednakże...

— Z tymi dawnymi manuskryptami zawsze tak jest — mówił dalej stary Grek, ignorując go. — Laik nie pojmie tego do końca. Po pierwsze, mamy tu do czynienia z materiałem pisarskim, z papirusem. Jak został wytworzony? Ten starożytny papier zrobiono z rdzenia łądygi rośliny pochodzącej z terenów nad Nilem w Egipcie. Rdzeń cięto na paski, a potem dwie krzyżujące się warstwy takich pasków sklejało razem. Taki papirusowy materiał nie był bardziej trwały od dzisiejszego taniego papieru pakunkowego, i z pewnością nie zakładano, że ma przetrwać dziewiętnaście stuleci. W wilgotnym klimacie papirus szybko ulegał zniszczeniu. W suchych miejscach zachowywał się dłużej, lecz stawał się wyjątkowo kruchy, mógł się dosłownie rozpaść w proch od samego dotknięcia. Ten fragment, który mi pan pokazał, był prawdopodobnie tak kruchy i podniszczony, że tekst na nim jest niemal nieczytelny. Ponadto w pierwszym wieku pismo aramejskie było pismem prostym, a litery pisano osobno, nie łącząc ich w wyrazy. Mogłoby się wydawać, że dzięki temu łatwiej będzie rozróżnić je przy czytaniu, jest jednak odwrotnie. Dużo łatwiej czyta się wyrazy napisane kursywą, gdy litery są połączone. Niestety, takie pochyłe pismo stosowano dopiero w dziesiątym wieku. Te wszystkie trudności zwielokrotniają się jeszcze, gdy tekst jest dostępny tylko w reprodukcji.

— A jednak udało się go odczytać i przetłumaczyć w całości — zauważył Randall.

— To prawda, podobnie jak ponad trzy tysiące fragmentów starożytnych manuskryptów, które złożyły się na Nowy Testament. Z tego osiemdziesiąt

sporządzono na papirusie, a dwieście napisano kapitalikami, czyli dużymi literami. Udało się je przetłumaczyć, ale było to niezwykle trudne.

— W wypadku tego papirusu też udało się przezwyciężyć trudności — upierał się Randall. — Ewangelia według Jakuba została przetłumaczona, i powiedział ojciec, że przekład jest staranny. Jak w takim razie wyjaśnić tę nieścisłość?

— Powodów może być kilka — odrzekł opat. — Nie wiemy na przykład, czy Jakub był piśmienny i czy mógł spisać tekst własnoręcznie. Możliwe, że tak, ale prawdopodobne jest także, że podyktował go zawodowemu skrybie i tylko podpisał się na końcu. Wasz papirus może być pierwotnym tekstem, ale może być także jedną z dwóch pozostałych kopii, które Jakub, jak twierdzi, posłał do Barnaby i Piotra. Poza tym pisarz mógł coś źle usłyszeć podczas dyktowania, zrozumieć opacznie i tak to zanotować. Również kopista mógł ze zmęczenia czy roztargnienia pomylić jakiś wyraz, a nawet zdanie. Proszę pamiętać, że w aramejskim zwykła kropka umieszczona pod albo nad wyrazem lub postawiona w niewłaściwym miejscu może całkowicie zmienić znaczenie. Na przykład słowo oznaczające „martwego” może również oznaczać „wioskę”, w zależności od miejsca kropki. Przyczyną nieścisłości mógł być właśnie taki drobny błąd. Sam Jakub także mógł już wszystkiego dobrze nie pamiętać. Spisując swoją relację trzynaście lat po śmierci Chrystusa, mógł pomylić okoliczności jego wyjścia z Rzymu.

— Wierzy ojciec w taką pomyłkę?

— Nie — odparł opat. — Ten materiał był na tyle cenny już w tamtych czasach, że nie dopuszczono by do takiej niedbałości.

— Więc co ojciec myśli?

— Myślę, że to jednak współcześni tłumacze, przy całym szacunku dla profesora Jeffriesa i jego kolegów, musieli zrobić błąd w przekładzie na angielski i inne języki. Mogły być dwa powody popelnienia takiego błędu.

— Jakże?

— Przede wszystkim nie znamy wszystkich słów aramejskich, jakie znał Jakub w roku sześćdziesiątym drugim. Nie znamy całego aramejskiego słownika. Pamiętam pewne odkrycie w grotach Wadi Murabba'at, w wyschniętym korycie rzeki na Pustyni Judejskiej. Poproszono mnie o pomoc przy tłumaczeniu. Były to umowy prawne po aramejsku, napisane w roku sto trzydziestym oraz dwa listy przywódcy żydowskiej rebelii, Bar Kochby, organizatora powstania przeciwko Rzymowi w roku sto trzydziestym drugim. Znalazłem w tych tekstach liczne słowa aramejskie, których przedtem nie znałem.

— Jak wobec tego mógł je ojciec przetłumaczyć?

— Tak samo jak zapewne postąpił profesor Jeffries i jego zespół z nieznanymi pojęciami, na które musieli natrafić w tekście Jakuba, czyli poprzez porównanie ze znanymi słowami i formami gramatycznymi i poprzez zrozumienie kontekstu. Zmierzam jednak do tego, żeby pan zrozumiał, iż czasem niemożliwe jest wyrażenie starożytnego tekstu we współczesnej angielszczyźnie czy innym języku. Wówczas sztuka przekładu zamienia się raczej w sztukę interpretacji. No, a interpretacja może jednak prowadzić do pomyłek. — Opat Petropoulos pogładził w zamyśleniu brodę i mówił dalej: — Druga pułapka, panie Randall, polega na tym, że słowa aramejskie mają po kilka znaczeń. Jest na przykład takie, które może oznaczać „inspirację”, „wskazówkę” albo „szczęśliwość”. Tłumacz musi rozsądzić, które ze znaczeń miał na myśli autor. Decyzja tłumacza jest subiektywna i obiektywna zarazem. Subiektywnie musi rozważyć wzajemne relacje różnych wyrazów w zdaniu czy kilku zdaniach. Obiektywnie powinien dobrze się przyjrzeć, czy jakaś kropka albo kreska nie zatarła się z czasem i nie zmieniła znaczenia słowa. Bardzo łatwo można coś przeoczyć, błędnie odczytać, przeinaczyć. Człowiek jest istotą omylną. Tłumacze Nowego Testamentu w wydaniu zwanym Biblią króla Jakuba, którzy pracowali z tekstem starogreckim, określali Jezusa jako „Jego Syna”. W starożytnej grece nie istniał zaimek „jego” i w Revised Standard Version zostało to zmienione. Jezus stał się po prostu „Synem”, co jest dokładniejsze i inaczej określa naszą relację wobec Jezusa.

— Czy w wypadku tego przekładu także mogło się zdarzyć coś podobnego? — zapytał Randall.

— Jak najbardziej. W angielskim przekładzie Jezus „przemierzył tej nocy żyzne pola jeziora Fucinus, które zostało osuszone”. Jeżeli „pola jeziora” odczytamy jako „pola wokół jeziora” albo „pola obok jeziora”, a zamiast „zostały osuszone” napiszemy „zostaną osuszone”, znaczenie całkowicie się zmieni.

— Uważa ojciec, że te słowa mogły zostać błędnie odczytane i przetłumaczone?

— Wierzę, że to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

— A jeśli przekład jest jednak dokładny?

— Wówczas uznałbym całą Ewangelię według Jakuba za bardzo podejrzaną.

— A co by ojciec powiedział, jeżeli jest to tylko błąd w tłumaczeniu?

— Powiedziałbym, że tekst jest autentyczny, i uznałbym go za najdonioślejsze odkrycie w historii ludzkości.

— Ojcie Petropoulosie — rzekł Randall, nachylając się ku niemu — czy nie uważa ojciec, że warto by było sprawdzić, czy ten tekst jest w istocie najdonioślejszym odkryciem?

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie Randall? — zapytał zdziwiony opat.

— Proponuję, żeby ojciec udał się ze mną jutro do Amsterdamu, zbadał oryginalny papirus i ustalił raz na zawsze, czy mamy do czynienia z autentycznym odkryciem, czy z mistyfikacją.

— Mam jechać z panem do Amsterdamu?

— Tak, jutro. Wszystkie koszty zostaną pokryte, a klasztor otrzyma szczerą dotację na swoje utrzymanie. A co najważniejsze, Międzynarodowy Nowy Testament zostanie oczyszczony z podejrzeń o fałszerstwo.

Opat pokiwał w zamyśleniu głową.

— To ostatnie jest najważniejsze — odparł. — W rzeczy samej, byłby to udział w dziele bożym. Ta podróż może dojść do skutku, panie Randall. Ale nie jutro.

— Wspaniale! — wykrzyknął Randall. — Kiedy ojciec mógłby wyruszyć?

— Od dawna planowałem wziąć udział, jako przedstawiciel naszej mnisiej wspólnoty na Athos, w kongresie greckiego Kościoła prawosławnego, któremu będzie przewodniczyć mój zwierzchnik i przyjaciel, Jego Świątobliwość Patriarcha Konstantynopola. Musimy wspólnie postarać się wzmocnić więzy między naszymi wiernymi, których jest osiem milionów. Inauguracja kongresu obędzie się za tydzień w Helsinkach. Miałem zamiar odlecieć z Aten do Helsinek za pięć dni.

Opat powoli wstał. Randall był pewien, że pod bujną brodą mnicha kryje się uśmiech.

— Tak więc, panie Randall — ciągnął Petropoulos — przyszło mi właśnie do głowy, że mógłbym wyjechać dzień wcześniej i nieco nadłożyć drogi. W końcu Amsterdam leży niemal na szlaku do Helsinek, czyż nie? Chcę zobaczyć ten papirus, panie Randall, i przekonać się, czy mamy do czynienia z cudem, czy z oszustwem. A teraz może pan odpocznie nieco przed obiadem? Poczęstujemy pana naszym ulubionym przysmakiem. Czy jadł pan kiedyś gotowaną ośmiornicę, panie Randall?

Spodziewał się, że po powrocie do Amsterdamu George Wheeler i pozostali wydawcy zrobią mu awanturę z powodu trzydniowej

niezapowiedzianej nieobecności, i dlatego reakcja Wheelera była dla niego kompletnym zaskoczeniem.

Randall wrócił wieczorem poprzedniego dnia i planował natychmiast zobaczyć się z Wheelerem, a potem jeszcze wyjaśnić sprawę do końca z Angela Monti. Jednakże droga powrotna — niebezpieczna jazda w dół zbrocza na grzbiecie osła, rejs łodzią, a potem przybrzeżnym parowcem, lot z Salonik do Paryża, przesiadka, lot do Amsterdamu i w końcu jazda taksówką do hotelu Amstel — wyczerpała go bardziej niż podróż na górę Athos.

Wszedł do swego pokoju, niemal zataczając się ze zmęczenia, i zasnął, nie mając nawet siły wziąć prysznic.

Rano, jadąc do biura w Kransnapolskym, doszedł do wniosku, że nie jest jeszcze gotowy do konfrontacji z Angela. Były ważniejsze sprawy. Czekają go tego dnia dwa sprawdziany wiary — w prawdziwość Słowa i w uczciwość tej dziewczyny. Było oczywiste, że Słowo ma pierwszeństwo.

Zadzwoił więc z biura wydawców do swego sekretariatu, przywitał się z Angela, zbył milczeniem jej ciepłe słowa i poinformował, że będzie przez cały dzień zajęty z Wheelerem. Dobrze wiedział, że wcale mu to nie zajmie całego dnia, ale nie chciał się z nią widzieć tak szybko. Poprosił ją o uzyskanie pewnych informacji w Netherlands Bijbelgenootschap, holenderskim towarzystwie biblijnym. Co do spotkania wieczorem, powiedział, że zadzwoni do niej później, ponieważ nie wie, jak długo będzie zajęty.

Mając to z głowy, wkroczył do gabinetu Wheelera, przygotowany na najgorsze. Lecz czekała go niespodzianka.

Zaczął mówić już od progu, nie dopuszczając w ogóle wydawcy do słowa. Opowiedział mu o swojej wyprawie na górę Athos i o wszystkim, co zobaczył i usłyszał w ciągu pięciu minionych dni.

Wheeler słuchał go z życzliwym zainteresowaniem, a kiedy Randall skończył, zwrócił się doń tonem wyrażającym niemal uznanie.

— Nie, Steve, nie martwiło mnie wcale, że zaniedbałeś trochę przygotowanie kampanii. Nikt z nas nie ma ci tego za złe. Zależy nam, żebyś był w pełni przekonany, że wszystko jest w porządku. W końcu trudno by było wymagać, byś wkładał serce w promocję produktu, co do którego masz wątpliwości.

— Dziękuję, George. Jak tylko opat Petropoulos obejrzy papirus numer dziewięć i wyda opinię pozytywną, pozbędę się wszelkich wątpliwości.

— Za to też jesteśmy ci wdzięczni, Steve — powiedział Wheeler. — Zawsze chcieliśmy wyciągnąć opata z jego pustelni i poprosić o konsultację,

ale nigdy nam się to nie udało. Miałeś więcej szczęścia i możemy ci tylko podziękować za inicjatywę. Oczywiście my sami nigdy nie wątpiliśmy w autentyczność papirusu. Ale dobrze móc się pochwalić opinią opata i przyjemnie będzie patrzeć, jak rozwiewa twoje ostatnie troski.

— Bardzo to wspaniałomyślne z twojej strony, George — odparł Randall. — Jeżeli chodzi o przygotowania do konferencji prasowej, to nadrobie wszelkie zaległości.

— Hm, konferencja prasowa. Wszystkim nam ulży, kiedy już będziemy to mieli za sobą. Tymczasem muszę ci powiedzieć, że na razie możemy spać trochę spokojniej, chociaż oczywiście trzeba zachować czujność.

— Co masz na myśli? — zapytał Randall.

— W sprawie Henniga chyba udało nam się wypracować rozwiązanie, które uchroni go przed szantażem Plummera — wyjaśnił Wheeler. — Natomiast jeśli chodzi o naszego Judasza, Hansa Bogardusa, to został zwolniony. Wyrzuciliśmy go natychmiast po powrocie z Moguncji.

— Naprawdę?

— Tak. Oczywiście zaczął się burzyć, groził, że doniesie o tym niby „fatalnym błędzie” Plummerowi i de Vroome'owi i będziemy skończeni, gdy tylko nowa Biblia ujrzy światło dzienne. Powiedzieliśmy mu, że może sobie robić, co chce, bo wysiłki jego mocodawców i tak spełzną na niczym. Kiedy dostaną do rąk nową Biblię, przekonają się, że nie da się jej zniszczyć. No, w każdym razie wywaliliśmy go i tyle.

Randall był pod wrażeniem. Samo to, że wydawcy nie ulękli się Bogardusa i jego rewelacji, a także bez oporów zgodzili się poddać tekst opinii opata Petropoulosa, pomogło mu niemal całkowicie pozbyć się wątpliwości.

Pozostawała do załatwienia jeszcze jedna sprawa.

— Mam prośbę, George — zwrócił się do wydawcy. — Chciałbym porównać zdjęcie papirusu numer dziewięć z oryginałem, zobaczyć, czy rzeczywiście oryginał jest czytelniejszy. Inaczej mówiąc, chciałbym się przekonać, z czym będzie miał do czynienia opat.

— Chcesz zobaczyć oryginał? Nie ma problemu, jeżeli cię to uszczęśliwi. Zadzwonię do Groata, żeby wyjął papirus z sejfu i zejdziemy na dół. Szczerze mówiąc, nie będąc ekspertem, jak Jeffries czy Petropoulos, wiele tam nie wypatrzysz. Ale wrażenie robi sam widok słów napisanych osobiście przez brata Jezusa. Będiesz mógł o tym opowiadać wnukom.

Wszystko to wydarzyło się przed dziesiątą rano, a teraz, osiem po dziesiątej, Randall zjeżdżał razem z Wheelerem windą do podziemia w Krasnapolskim, gdzie mieścił się specjalnie wybudowany sejf, strzegący

skarbów, którym zawdzięczał swe powstanie Międzynarodowy Nowy Testament.

W piwnicy zasalutował im siedzący na rozkładanym krześle strażnik i ruszyli ponurym korytarzem, betonowa posadzka odbijała echem ich kroki. Skręciwszy za róg, ujrzeni na końcu korytarza jasny prostokąt światła.

— To sejf — wyjaśnił Wheeler.

Kiedy podeszli bliżej, Randall dostrzegł masywne, ognioodporne drzwi z czarno-białą tarczą szyfrującą.

Nagle z głębi sejfu wyskoczyła krępa ludzka postać i puściła się biegiem w ich stronę.

Randall i Wheeler zatrzymali się zaskoczeni. Randall wpatrywał się zdumiony w człowieka z przekrzywionym tupecikiem na głowie i rozwianymi połami marynarki, pod którą podskakiwał pistolet w kaburze. To Groat, opiekun sejfu.

Gdy dotarł do nich, był tak zdyszany, że nie potrafił wykrztusić słowa.

Wheeler złapał go za ramiona.

— Groat, do ciężkiej cholery, co się stało?! — krzyknął.

— Mijnheer Wheeler! — wrzasnął mężczyzna. — Pomocy! Ik ben bestolen! Politie!

Wheeller potrząsnął nim mocno.

— Do diabła, chłopie! Mówże po angielsku! Spreek Engels!

— Pomocy... trzeba wezwać policję! — wydyszał Holender. — Ja... okradziono nas!

— Uspokój się, Groat, to miejsce jest obstawione strażnikami — ofuknął go Wheeler. — Weź się w garść i powiedz mi wreszcie, co się stało.

Groat rozkaszał się spazmatycznie, lecz po chwili udało mu się opanować.

— Papirus... — wykrztusił. — Papirus numer dziewięć zniknął. Ktoś go ukradł!

— Oszalałeś? To niemożliwe! — ryknął wydawca.

— Szukałem wszędzie... wszędzie — odpowiedział płaczliwie

Groat. — Nie ma go w szufladzie... ani w innych miejscach. Nie ma go nigdzie. Zniknął!

— Nie wierzę w to — warknął Wheeler. — Przepuść mnie, sam zobaczę.

Wydawca ruszył szybko w stronę sejfu, a za nim człapał przerażony strażnik.

Randall podążał ich śladem powoli, próbując poukładać sobie wszystko w głowie, próbując zrozumieć.

Gdy stanął w otwartych drzwiach sejfu, rozejrzał się po wielkiej, ogniotrwałej, pancernej komorze. Głęboka na co najmniej sześć metrów i szeroka na trzy, miała ściany ze zbrojonego betonu, do których przytwierdzono rzędy metalowych szuflad. Cztery fluorescencyjne lampy na suficie oświetlały stojący na środku długi stół, pokryty białą tkaniną. Na stole leżało kilka prostokątnych szyb.

Randall przyglądał się, co robią Wheeler z Groatem.

Strażnik wyciągał kolejno szerokie szuflady ze szklanymi pokrywami, a Wheeler sprawdzał ich zawartość, coraz bardziej podenerwowany i czerwony na twarzy.

Randall przyjrzał się wnętrzu ponownie, szukając jakiegoś miejsca, gdzie ktoś mógłby odłożyć papierus albo nawet go ukryć. Po lewej umieszczono wysoko pod sufitem dwa otwory wentylacyjne, a niżej, na poziomie oczu, tablicę z przełącznikami i wskaźnikami, zapewne do regulacji temperatury i wilgotności pomieszczenia. Kamienna posadzka była pusta.

Wheeler podszedł do niego z pociemniałą, posępną twarzą. Skurczony z przerażenia Groat trzymał się z tyłu.

— To niemożliwe, ale on ma rację — wychrypiał wydawca. — Papierus numer dziewięć zniknął.

— Tylko ten jeden? — zapytał Randall, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. — Czy pozostałe są na swoim miejscu?

— Tylko ten — odparł Wheeler, trzęsąc się z wściekłości i niepokoju. — Cała reszta jest nietknięta. — Przyjrzał się masywnym stalowym drzwiom i zamkowi. — Żadnych zadrapań, żadnych śladów włamania — stwierdził.

— Kiedy ostatni raz widział pan papierus numer dziewięć? — zwrócił się Randall do Groata.

— Wczoraj wieczorem — wymamrotał kurator drżącym głosem. — Zawsze przed pójściem do domu zaglądam do każdej szuflady, sprawdzam, czy są w dobrym stanie, czy wilgotność jest prawidłowa.

— Czy ktoś był tutaj od tamtej pory? — zapytał Wheeler.

— Nie, nikogo nie było. Dopiero pan z panem Randallem...

— A strażnicy Helderinga? — dociekał Randall.

— Nie mogliby tego zrobić — odparł kurator. — Włamanie jest niemożliwe, a kombinacji szyfru żaden z nich nie zna.

— Kto ją właściwie zna?

— Powiem ci, kto zna szyfr, Steve — powiedział Wheeler. — Tylko siedmiu ludzi, oczywiście Groat, poza tym Heldering i piątka wydawców: Deichhardt, Fontaine, Gayda, Young i ja. Nikt więcej.

— Czy ktoś mógł wykraść numer?

— W żadnym wypadku — odparł sucho Wheeler. — Nie został nigdzie zapisany, wszyscy nauczyliśmy się go na pamięć. — Pokręcił głową. — To niesamowite, to nie miało prawa się zdarzyć. Kompletnie tego nie rozumiem. Musi być jakieś proste wytłumaczenie. Powtarzam, to nie miało prawa się zdarzyć.

— Ale się zdarzyło — rzekł Randall. — I przypadkiem jest to ten fragment papirusu, który mieliśmy obejrzeć.

— Mało mnie obchodzi, który to fragment — warknął Wheeler. — Nie możemy pozwolić na utratę choćby jednego skrawka. Boże, przecież to katastrofa. Te dokumenty nie są naszą własnością, należą do rządu Włoch, są skarbem narodowym. Musimy je zwrócić w terminie. Ale jeszcze gorsze jest to, że bez kompletu oryginałów nie będziemy mogli dowieść autentyczności Międzynarodowego Nowego Testamentu.

— Szczególnie bez papirusu numer dziewięć — dorzucił cicho Randall. — Co do którego są wątpliwości.

— Nie ma żadnych wątpliwości — prychnął Wheeler, krzywiąc się z irytacją.

— Ale de Vroome z Plummerem będą trąbić o tym na cały świat. Mogą zdeprecjonować nową Biblię, jeżeli opat Petropoulos nie wyjaśni tej nieścistości.

— Petropoulos! — Wheeler plasnął się w czoło. — Zapomniałem o nim. Kiedy ma przyjechać?

— Jutro rano.

— Niech to szlag. Steve, musisz odwołać jego wizytę. Poinformuj go, że badanie musi zostać przełożone na później, że skontaktujemy się z nim w Helsinkach.

— Nie mogę tego zrobić, George. — Randall poczuł skurcz w sercu. — On już jest w drodze do Amsterdamu.

— Cholera, Steve, musisz! Co mu pokażemy? Dobra, nie traćmy czasu. Trzeba zawiadomić Helderlinga, Deichhardta i resztę. Musimy znaleźć ten cholerny papirus.

— I policję — dodał Groat. — Trzeba zawiadomić policję amsterdamską.

— Czyś ty oszalał, człowieku? — natarł na niego Wheeler. — Jeżeli wpuścimy tutaj policję, to po nas. Przecież de Vroome natychmiast się o wszystkim dowie. Nie, to wykluczone. Mamy dość własnych ochroniarzy. Helderling zaraz zwoła swoich ludzi. Prześwietlimy wszystkich na wylot. Każdy pokój, każde biurko będzie wybebeszone do samego spodu.

Przeszukamy nawet mieszkania naszego personelu na mieście. Znajdziemy ten papirus. Groat, zostań tutaj i pilnuj sejfu. Strażnik przy windzie niech też zostanie. Ja idę na górę i ogłaszam alarm, a ty, Steve... przede wszystkim zawiadom Petropoulosa, że na razie nie możemy go przyjąć.

Dziesięć minut później Randall wszedł do swego gabinetu i znalazł kopertę opartą o kalendarz na biurku.

Była to depesza z Aten, podpisana przez opata Mitrosa Petropoulosa.

Opat istotnie był już w drodze do Amsterdamu i aż się palił do pracy. Miał przylecieć Air France z Paryża, nazajutrz o dziesiątej pięćdziesiąt.

Randall jęknął w duchu. Oto przybywał najwybitniejszy ekspert, a on nie miał mu kompletnie niczego do pokazania. Poczul mdłości — ich przyczyną nie było napięcie nerwowe, lecz stracone zaufanie.

Nazajutrz rano Randall zjawił się na lotnisku Schiphol pół godziny przed przylotem samolotu opata. Popijając kawę — już trzecią tego ranka — czuł się przybity jak jeszcze nigdy dotąd. Nie wiedział, co powiedzieć opatowi poza prawdą, której wydawcy nie pozwalali ujawniać. Wyobrażał sobie konsternację opata na wieść o takiej stracie. Zastanawiał się także, czy Petropoulos nie nabierze podejrzeń, jakie nękały jego samego już od wczorajszego wieczoru.

Akcja poszukiwania śladów prowadzących do papirusu utknęła bowiem w ślepej uliczce.

Heldering ze swymi ludźmi przesłuchał wszystkie osoby związane z Drugim Zmartwychwstaniem. Agenci zajrzeli do każdego zakamarka w każdym pokoju na obu piętrach Kransapolsky'ego. Sporządzili listę osób nieobecnych tego dnia w pracy i odnaleźli je w mieście, włącznie z doktorem Knightem w hotelu San Luchasio i Angeli Monti w Victorii. Przeszukane zostało mieszkanie Groata, a także, jak podsłuchał Randall, agentom udało się zakraść do kwatery Hansa Bogardusa.

Ekipa Helderlinga nie natrafiła na najmniejszy ślad zaginionego papirusu.

Wydawcy zamknęli się na naradzie z Helderingiem, nie zamierzając się poddawać ani ulegać panice. Wszystko było otoczone tajemnicą, natomiast Randalla nurtowały wątpliwości.

Zeszłej nocy siedział sam w hotelu Amstel, oddając się rozmyśleniom. Odebrał jeden telefon od Angeli, lecz zbył ją, kłamiąc, że ma ważne spotkanie z personelem w sąsiednim pokoju, obiecał zobaczyć się z nią nazajutrz wieczorem, czyli dzisiaj. Było to kolejne przygnębiające wydarzenie, ale nie mógł dłużej unikać Angeli.

Myśli, które nękały go wczoraj, wciąż mu towarzyszyły. Nagłe zniknięcie papirusu tuż przed przyjazdem opata nie mogło być przecież dziełem przypadku. Wzbraniał się jednak przed wyciągnięciem ostatecznych konkluzji. Powtarzał sobie wciąż od nowa, że zaginięcie papirusu uderzało w pięciu wydawców równie mocno jak w podstawy jego wiary. Niemożliwe, żeby zrobił to ktoś z nas, przekonywał się w myśli. A przecież kradzież papirusu przez kogoś z zewnątrz była jeszcze mniej prawdopodobna.

Cień podejrzenia i nieufności ciągle w nim tkwił, zaprzeczając wszelkiej logice.

— Pan Steven Randall proszony jest do informacji w holu głównym — usłyszał nagle komunikat z głośnika.

Co to mogło być?

Zapłacił szybko i wyszedł z kafeterii, kierując się do informacji. Podał swoje nazwisko i po chwili trzymał w ręce kartkę z wiadomością.

Pan Steven Randall proszony jest o telefon do pana George L. Wheelera w Krasnapolskim. Sprawa niecierpiąca zwłoki.

Po chwili Randall przyciskał już do ucha słuchawkę, nie mając pojęcia, czego się spodziewać. Wiedział tylko jedno: samolot z opatem Petropoulosem na pokładzie miał wylądować za cztery minuty.

Głos Wheelera zabrzmiał w słuchawce nie jak warknięcie czy dudnienie, lecz niczym dzwon, radosny dzwon.

— Steve, to ty? Wspaniałe wieści! Fantastyczne! Papirus się znalazł! Mamy go!

Serce skoczyło Randallowi do gardła.

— Nie uwierzyłbyś! — krzyczał rozradowany Wheeler. — Okazało się, że nikt go nie ukradł, był w sejfie przez cały czas! I co ty na to? Właściwie to znaleźliśmy go już tylko w akcie rozpacz. Nie wiedzieliśmy kompletnie, co robić, i godzinę temu wymyśliłem, żeby jeszcze raz przeszukać sejf. Ale tym razem kazałem rozmontować wszystkie szuflady, wyjąć je i rozebrać na części. Dwóch gości wzięło się do roboty i kiedy wyjęli szufladę numer dziewięć, on tam był! Rozumiesz to? Wiesz, co się stało? Tylina ścianka szuflady się poluzowała i papirus razem z ochronną folią jakoś wysliznął się przez tę szparę. Leżał po prostu za szufladą, pod ścianą sejfu. Na szczęście, dzięki Bogu, nic mu się nie stało, jest w nienaruszonym stanie. I co ty na to, Steve? Cieszysz się?

— No pewnie, że się cieszę, i to bardzo — odparł Randall niemal bez tchu.

— Przywieź swojego opata, wszyscy na niego czekamy. Niech przeczyta tekst i będzie po sprawie — zakończył Wheeler.

Randall odwiesił słuchawkę i stał oparty o ścianę budki, czując wielką ulgę.

— Wylądował samolot Air France z Paryża, lot numer dziewięćset dwanaście — rozległo się z głośników.

Ruszył ku wyjściu dla pasażerów, gdzie podróżni mieli się pojawić po odprawie celnej.

Był gotów na przyjęcie opata, na przyjęcie prawdy... i na trwanie w wierze. Niesamowita scena, pomyślał Randall.

Od dwudziestu minut wszyscy stali, wpatrując się z uwagą, w zupełnej ciszy, w jedyną siedzącą osobę, w opata Mitrosa Petropoulosa z klasztoru Simopetra na górze Athos.

Sędziwy mnich pochylał się nisko nad brązowym papierusem, który został wyjęty z celofanowej koperty i umieszczony między dwiema szybami. Opat był całkowicie pochłonięty analizowaniem wyblakłych aramejskich znaków, naniesionych wąską kolumną na szorstkie podłoże. Raz po raz sięgał po grube szkło powiększające lub notował coś wiecznym piórem w leżącym obok notatniku.

Profesor Deichhardt, George Wheeler, monsieur Fontaine, sir Trevor Young oraz signer Gay da stali za plecami opata, utrzymując pełen szacunku dystans i obserwując w napięciu każdy jego ruch.

Za wydawcami krył się kurator sejfu Groat, poważny, ale już spokojniejszy.

Randall — w towarzystwie profesora Jeffriesa, doktora Knighta, profesora Sobriera i monsiniora Riccardiego — stał przy wejściu do pomieszczenia, nie mogąc oderwać oczu od tego spektaklu o niewiadomym finale.

Zastanawiał się, czy nie czekają na wyrok śmierci. Spojrzał na zegarek. Minęło dwadzieścia pięć, nie, już dwadzieścia sześć minut.

Opat Petropoulos poruszył się nagle, prostując swą kruchą postać.

— Doskonale — odezwał się mocnym głosem, gładząc brodę i odwracając się do wydawców. — Jestem zadowolony.

Cisza została przerwana.

— Mogę wyjaśnić tę niezgodność — ciągnął opat. — Popołniono drobny błąd, zrozumiały w tych okolicznościach, w odczytaniu aramejskich znaków, a co za tym idzie, w przekładzie. Wystarczy poprawić ten błąd i nikt już nie będzie kwestionował tekstu. Jest autentyczny ponad wszelką wątpliwość.

Poważne, napięte twarze pięciu wydawców rozpromieniły się jak na komendę, emanując uczuciem ogromnej ulgi.

— Cudownie, cudownie! — zawołał profesor Deichhardt. — Więc na czym polegał ten błąd, wielbny ojczy?

Opat sięgnął po swój notatnik.

— Zdanie, które sprawiło nam tyle kłopotów, przełożono pierwotnie tak: „I Pan nasz, uciekając z Rzymu wraz z uczniami, przemierzył tej nocy żyzne pola na jeziorze Fucinus, które zostało osuszone przez cesarza Klaudiusza i było uprawiane przez Rzymian”. Tłumacze musieli przeoczyć kilka niemal niewidocznych znaczków, kreseczek i zawijasów. Kiedy sieje dojrzy, słowa nieco się zmieniają i znaczenie zdania również. Prawidłowy przekład powinien więc brzmieć następująco: „I Pan nasz, uciekając z Rzymu wraz z uczniami, przemierzył tej nocy żyzne pola nad jeziorem Fucinus, które zostanie osuszone przez cesarza Klaudiusza i będzie uprawiane przez Rzymian”. Jak widzicie, słowo „nad” odczytano błędnie jako „na” i w drugiej części zdania zmieniono czas przyszły na teraźniejszy. — Opat popatrzył po twarzach zebranych. — Wasz problem został rozwiązany, panowie. Wszystko już jest w porządku. Muszę też dodać, że obejrzenie na własne oczy rękopisu Jakuba było jednym z najbardziej poruszających wydarzeń w moim długim życiu. Jego odkrycie to szczytowy moment w duchowej historii człowieka. Ten tekst odmieni na lepsze całe chrześcijaństwo. Dziękuję wam, panowie, za możliwość tak bliskiego obcowania z Naszym Panem.

— To my dziękujemy! Dziękujemy z całego serca, wielbny ojczy! — zawołał profesor Deichhardt. Razem z Wheelerem pomogli opatowi wstać z krzesła. — A teraz — obwieścił niemiecki wydawca — pójdziemy na górę i uczymy szczęśliwe zakończenie sprawy uroczystym obiadem. Mam nadzieję, czcigodny opacie, że przyłączysz się do nas przed wyruszeniem do Helsinek.

— To dla mnie zaszczyt — odrzekł mnich. Wheeler wziął ze stołu jego notatnik.

— Ja się trochę spóźnię — powiedział. — Muszę zadzwonić do Henniga. Trzeba wstrzymać oprawianie wydrukowanych egzemplarzy. Musimy poprawić tekst i jeszcze raz wydrukować arkusz z tą stroną.

— Tak, tak, trzeba to zrobić natychmiast — zgodził się Deichhardt. — Powiedz Hennigowi, że nie możemy mieć opóźnienia. Zapłacimy ludziom za nadgodziny.

Kiedy ruszyli do wyjścia, stojąca przy drzwiach sejfu grupka z Randallem rozstała się, żeby przepuścić opata i wydawców. Petropoulos zatrzymał się na chwilę przed Randallem.

— Widzi pan teraz, panie Randall — rzekł — co miałem na myśli, kiedy pokazał mi pan w klasztorze fotografię papyrusu. Nie była tak czytelna. Nie

miała głębi, nie było na niej widać wszystkich wgłębień i odcisków na papirusie. Dla kogoś takiego jak ja, kto całe życie spędził wśród starych rękopisów, oryginał przedstawia zupełnie inną wartość badawczą.

— Cieszę się, że mógł go ojciec zobaczyć — odparł Randall. — Bez ojca nie rozwikłalibyśmy tej sprawy.

— I bez pana również — odparł z uśmiechem opat.

Po tych słowach wyszedł w otoczeniu wydawców, do których dołączyli Sobrier i Riccardi. Randall został w towarzystwie zdenerwowanego profesora Jeffriesa, wniebowziętego Floriana Knighta i krzającą się Groata.

— Momencik, panie Groat — zwrócił się do kuratora Jeffries. — Zanim pan schowa papirus, chciałbym jeszcze raz rzucić okiem na to przekłete zdanie.

Profesor począłpał do stołu, na którym leżał między szklanymi płytami papirus. Randall i Knight stanęli obok niego.

Jeffries był wyraźnie przygnębiony. Odpowiadał przecież osobiście, jak uświadomił sobie Randall, za pracą zespołu tłumaczy i ostateczny kształt przekładu. Odkrycie tak poważnej pomyłki musiało urazić ambicję naukowca.

Profesor przyłożył do oczu swoje binokle i wpatrywał się w papirus, marszcząc czoło.

Randall, który nigdy jeszcze nie widział oryginału, nachylił się, żeby na niego popatrzeć. Starożytny papier był jasnobrązowy, pomarszczony, poznaczony cętkami, cienki i kruchy, o postrzępionych brzegach. Widniały w nim dwie nierówne dziury, jakby włókna papirusu zostały wyskubane przez małą rybkę. Najbardziej zdumiała Randalla wyrazistość aramejskiego pisma. Gołym, niewyćwiczonym okiem potrafił odcyfrować całe fragmenty ciasno stłoczonych linijek.

— Hmm, nie rozumiem tego — mruzczał tymczasem Jeffries. — Zupełnie nie rozumiem, jak mogłem źle odczytać to zdanie. Przecież jest takie wyraźne, że nie da się go przetłumaczyć inaczej, niż zrobił to opat. Są smugi, są zatarcia, to oczywiste, ale powinienem był bez problemu odczytać wszystko poprawnie. — Pokręcił ze smutkiem głową. — To chyba wiek robi swoje. Oczy już nie te.

— Czy to pan osobiście przetłumaczył ten fragment? — zapytał Randall.

— Tak — westchnął profesor.

— Ale w zespole były poza panem jeszcze cztery osoby, prawda? I wszystkie cztery źle odczytały to zdanie?

— To rzeczywiście dziwne. No, ale błąd jest oczywisty.

— Błędem jest przede wszystkim to — odezwał się z krzywym uśmiechem Florian Knight — że koledzy, którzy pracują z kimś tak wybitnym jak profesor Jeffries, nigdy nie ośmielią się zakwestionować jego opinii. Mówię to tylko z szacunku dla pańskich osiągnięć, profesorze.

— Żeby mieć osiągnięcia, trzeba mieć bystry wzrok, Florianie — prychnął Jeffries. — A mój już taki nie jest. Nie zamierzam uczestniczyć w tak trudnych przedsięwzięciach. W rzeczy samej — spojrzał na swego protegowanego — moje miejsce powinien zająć ktoś młodszy, kto lepiej widzi i sprawniej myśli. Niedługo chyba zrezygnuję z mego stanowiska w Oksfordzie, być może przeniosę się do Genewy, gdzie czekają mnie zupełnie odmienne zadania. Kiedy będę odchodził, na uczelni poproszą mnie o polecenie kogoś na moje miejsce. Nie zapomniałem o obietnicy, którą ci złożyłem, Florianie. Zresztą nie znam nikogo, kto bardziej od ciebie nadawałby się do tej roboty.

Knight skłonił się lekko.

— Pańska opinia wiele dla mnie znaczy, profesorze. Cóż za pomyślny dzień. — Wskazał leżący pod szkłem papirus. — Naprawdę liczy się przede wszystkim cud. Zgadza się chyba wszyscy ze słowami opata Petropoulosa, że ten tekst zmieni całkowicie oblicze chrześcijaństwa.

Randall postukał palcem w szklaną płytę.

— Profesorze, to są te dwie linijki, które przetłumaczył właśnie opat, prawda?

— Tak, to one, wiersz czwarty i piąty — potwierdził uczony. Randall pochylił głowę nisko nad papirusem, starając się dobrze przyjrzeć niewielkim znakom.

— Zdziwiające — powiedział — ale te litery są o wiele wyraźniejsze niż na fotografii. — Spojrzał na Jeffriesa. — Jaka może być tego przyczyna, profesorze? Sądziłem, że fotografia w podczerwieni wydobywa nawet te miejsca, które w oryginale są nie do odczytania. Powinna więc być wyraźniejsza od oryginału. Czyż nie mam racji?

— Nie chciałbym generalizować — Jeffries nagle stracił zainteresowanie całą sprawą.

— Mówił mi o tym Edlund, a on chyba wie najlepiej — ciągnął Randall.

— Jeżeli idzie o akuratność, zawsze odwołujemy się do oryginału — odparł Jeffries wyraźnie zniecierpliwiony. — No dobrze, mam już dość tej przekłętej historii. Chodźmy na obiad, może podadzą żabę, specjalnie dla mnie.

Wjechali windą na parter, gdzie Randall pożegnał obu oksfordczyków i rezygnując z posiłku, wrócił do swojego biura. Angeli na szczęście nie było, bo poprzedniego dnia zlecił jej kolejną pracę w towarzystwie biblijnym.

Zadowolony, że nie będzie musiał znosić niczyjej obecności, wszedł do swego gabinetu, zdjął marynarkę, poluźnił krawat i zapalił fajkę. Chodził po pokoju pogrążony w myślach, zupełnie nie mając nastroju na radosne ucztowanie w jadalni. Nękało go złe przeczucie i starał się zrozumieć, skąd się ono bierze. Hans Bogardus zagroził projektowi, wynajdując błąd w tekście Jakuba. Niekwestionowany autorytet w osobie opata wyjaśnił pochodzenie tego błędu i nowa Biblia odzyskała swą nieskazitelność. Randalla jednak niepokoiło to, co wydarzyło się między jednym a drugim faktem.

W klasztorze na górze Athos opat niezbyt chętnie wypowiadał się o autentyczności papirusu, lecz przyznał w końcu, że przekład jest prawidłowy. Mogło się wydawać, że cała Ewangelia według Jakuba może budzić pewne podejrzenia. Dzisiaj jednak, kilka dni później, Petropoulos obejrzał zapis Jakuba w oryginale i zawyrokował bez wahania, że aramejski został odczytany błędnie, wobec czego Międzynarodowy Nowy Testament jest poza wszelkim podejrzeniem.

Jaka była przyczyna tej zmiany? Ponowne zbadanie papirusu czy może... nowy papirus poddany badaniu?

Niesamowite zniknięcie papirusu i równie niewiarygodne jego odnalezienie było największą niedorzecznością w całej sprawie. Dwa zbiegi okoliczności akurat w chwili, gdy oryginał był tak potrzebny?

No cóż, być może.

Być może.

W starożytnym aramejskim zdumiewające było to, że milimetrowej wielkości kreseczka, umieszczona tu czy tam, mogła aż do tego stopnia stanowić o różnicy między oszustwem a boską prawdą. Taki drobiazg mógł zdecydować o całej przyszłości i fortunie pięciu wydawców.

Najbardziej nie dawała mu spokoju sprawa fotografii. Skoro opat nie mógł odczytać liter na zdjęciu, powinien mieć jeszcze większe problemy z oryginałem. Randall był przekonany, że fotografia w podczerwieni wydobywa szczegóły, których nie można dostrzec na oryginale. A jednak znaki na fotografii były o wiele mniej wyraźne niż te, które widział przed chwilą na papirusie.

To przecież kompletnie nie miało sensu. A może przeciwnie, może właśnie jest w tym sens aż nadto głęboki?

Randall otworzył ogniotrwałą szarękę na akta i wyciągnął szufladę, do której schował zdjęcie papirusu numer dziewięć. Segregator ze zdjęciami Edlunda leżał na wierzchu. Wyjął pierwszą odbitkę. Widniała na niej nie dziewiątka, lecz jedynka, chociaż był pewny, że położył fotografię na wierzchu. Przerzucił pozostałe zdjęcia i znalazł oznaczone numerem dziewięć na samym spodzie.

Postanowił przejść nad tym do porządku dziennego, ponieważ nieraz już zdarzało mu się źle odłożyć dokumenty. Najpewniej wsunął do segregatora dziewiątkę, nie patrząc gdzie.

Położył połyskliwą odbitkę formatu dwadzieścia na trzydzieści na biurku i usiadł, żeby ponownie się jej przyjrzeć.

Odnalazł wers czwarty i piąty i zaczął je studiować. Były takie same jak przedtem, a jednak wydały mu się jakieś inne.

Przetarł oczy. Tekst był wyraźniejszy, bardziej czytelny niż wówczas, gdy go oglądał w klasztorze na górze Athos. A może tak mu się tylko zdawało. Ale, u diabła, te znaki rzeczywiście były czytelniejsze, a nawet wyraźniejsze niż litery na oryginale, który dopiero co oglądał w sejfie. Jeśli to była fotografia, którą pokazał opatowi, ten nie powinien mieć trudności z odczytaniem tekstu, co więcej, powinien go odczytać bez trudu.

Randall odłożył zdjęcie na blat i zamknął oczy.

Czy wzrok go oszukiwał? Czy zdjęcie było to samo? A może to znowu cynizm jego postępowania, cecha, której tak bardzo nienawidziła Barbara, nienawidził jego ojciec i on sam także, autodestrukcyjny brak wiary we wszystko, co wartościowe, rozrastający się w nim na powrót, jak tkanka rakowata?

Czy rzeczywiście miał powód do podejrzeń, czy tylko nurzał się w znajomym, żalonym i bezpodstawnym sceptycyzmie?

Mógł to sprawdzić w jeden sposób.

Zerwał się z krzesła, włożył marynarkę i wziął do ręki fotografię. Tylko jeden człowiek mógł znać odpowiedź. Autor zdjęcia, Oscar Edlund, fotograf w zespole Drugiego Zmartwychwstania.

Pół godziny później Randall wysiadł z taksówki przed domem, w którym mieszkał Edlund, dziewiętnastowieczną trzypiętrową kamienicą przy nabrzeżu Nassaukade.

Wynajęto ten dom na mieszkania dla kilku ludzi związanych z projektem. Byli wśród nich redaktor Albert Kremer, publicyści Paddy O'Neal i Elwin Alexander i właśnie Edlund, który miał tutaj swoją pracownię i ciemnię.

Taksówkarz nie zatrzymał się w zatoczce przed wejściem do budynku, zajmował ją bowiem czerwony sedan z kierowcą w uniformie. Randall podszedł bliżej, próbując się domyślić, co oznacza złoty pióropusz na drzwiach wozu i napis: Heldhaftig, Vastberaden, Barmhartig.

Kierowca jakby czytał w jego myślach, nachylił się bowiem do okna i spytał dobrodusznie:

— Pan pewnie Amerykanin? Te słowa oznaczają „Bohaterscy, zdecydowani, pomocni”. To motto amsterdamskiej straży pożarnej, a ten samochód należy do komendanta.

— Dziękuję — odparł Randall, zastanawiając się, co też mógł tutaj robić komendant straży.

Kiedy podchodził do drzwi wejściowych, te się otworzyły i wyszedł z nich Oscar Edlund z mężczyzną w mundurze ze złotymi insygniami i w czapce z daszkiem, zapewne właśnie szefem strażaków. Ospowata twarz fotografa była jeszcze smutniejsza niż zwykle. Zobaczył Randalla i dał mu znak, żeby zaczekał. Po chwili Edlund pożegnał się z oficerem, który wszedł do auta i odjechał.

— Powinienem być najpierw zadzwonić i zapytać, czy nie jesteś zajęty — rzekł przepraszająco Randall, podchodząc do Szweda. — Co tu się dzieje? — Wskazał na odjeżdżający samochód.

Edlund przeczesał palcami zmierzwioną marchewkową czuprynę.

— To ty nic nie wiesz? — zapytał zdziwiony. — W nocy wybuchł pożar na tyłach domu.

— Czy komuś coś się stało?

— Na szczęście nie. Dom był pusty, wszyscy poszli na zebranie do Krasa.

— Zebranie w Krasie? W jakiej sprawie? — zdziwił się z kolei Randall.

— Miało być ze wszystkimi wydawcami, ale przyszli tylko Deichhardt i panna Dunn. Mówili, że musimy pracować wydajniej, i takie tam bzdety. Kompletna strata czasu.

— I wtedy właśnie wybuchł pożar?

— Tak — odparł ponuro Edlund. — Sąsiad zobaczył dym i wezwał strażaków. Kiedy Paddy, Elwin i ja wróciliśmy, ogień już był ugaszony. Potem musiałem czekać przez pół nocy, aż wszystko zbadają, żeby ustalić przyczynę.

Randall przyjrzał się budynkowi.

— Dom wydaje się nietknięty — zauważył.

— Dlatego że ogień się nie rozprzestrzenił — wyjaśnił Edlund. — Ugasili go tam, gdzie wybuchł, czyli w mojej pracowni. Niestety poczynił spore zniszczenia.

— Spaliła się tylko twoja pracownia i nic więcej? — dopytywał się Randall.

— Tak jest. Pół ciemni poszło z dymem — rzekł przygnębiony fotograf. — Chodź, pokażę ci.

Przeszli przez wąski hol i znaleźli się przed drzwiami pomieszczenia na tyłach budynku. Czuło się tutaj wyraźną woń spalenizny. Ciężkie dębowe drzwi z szyfrowym zamkiem, podobnym do tego, który chronił sejf w Krasnapolskim, zostały rozbite strażackimi toporkami. Drugie, wewnętrzne drzwi były poczerniałe i nadpalone.

— Moja pracownia i ciemnia, a raczej to, co z nich zostało — powiedział Edlund. — Niewiele tu widać, bo nie ma jeszcze prądu. W tej części wywołuję odbitki i suszę je. Widzisz, tam po prawej? Spalony sprzęt, spalona kotara, za którą jest reszta pomieszczeń. Wejźmy dalej.

Przeszli przez cuchnące swądem pomieszczenie do następnego, w którym obrazu zniszczenia dopełniały szczątki aparatów fotograficznych i reflektorów oraz rozbita szafka kartotekowa.

Edlund rozejrzał się bezradnie po pokoju.

— Ogień prawdopodobnie wybuchł tutaj — powiedział. — Co za bajzel. Teraz będę musiał pracować po dwadzieścia pięć godzin na dobę, żeby nadrobić straty.

— A przyczyna pożaru?

— Strażacy najpierw uważali, że to akt wandalizmu — odparł Szwed. — Ale udowodniłem im, że to niemożliwe. Te pomieszczenia zostały specjalnie przebudowane ze względów bezpieczeństwa. Nie ma tu jak się dostać... otwory wentylacyjne są za małe, a drzwi widziałeś. Ciężkie, dębowe, ognioodporne, musieli je rozbijać toporami. Żaden podpalacz nie mógł znać kombinacji szyfru.

— A ile osób ją znało? — zapytał Randall.

— Myślę, że oprócz mnie kilku ludzi — odrzekł fotograf. — To przecież oni kazali zbudować tę ciemnię. Przypuszczam, że szyfr znał Helderling, może też Deichhardt i inni wydawcy. W końcu przekonałem strażaków, że nie mógł się tu wdrzeć zwyczajny wandal, bo nie miał po prostu takiej możliwości.

— A jeśli pomógłby mu ktoś z naszego zespołu? Edlund spojrzał mu w oczy.

— Też o tym myślałem, ale to nielogiczne. Dlaczego ktoś z zespołu miałby niszczyć naszą własną pracę?

— W rzeczy samej, dlaczego — mruknął Randall jakby do siebie.

— Przed chwilą, gdy przyszedłeś, komendant straży właśnie przekazał mi raport. Nie są pewni w stu procentach, ale uznali, że przyczyną pożaru był przypadek lub zwarcie instalacji elektrycznej. — Szwed zmarszczył nos. — Śmierdzi tutaj. Wyjdźmy. — Kiedy wrócili do sieni, Edlund dodał: — Bardzo przepraszam, Steve, że ci zawracam głowę moimi kłopotami. Szczególnie że pofatygowałeś się do mnie osobiście, i to pierwszy raz. Kiepski ze mnie gospodarz. Masz jakąś sprawę, tak?

— Tylko pewien drobiazg—odparł Randall, pokazując mu szarą kopertę z odbitką. — Chciałbym rzucić okiem na negatyw zdjęcia, które zrobiłeś. Chodzi o fotografię papierusa numer dziewięć.

Edlund zrobił przerażoną minę.

— Ale, Steve, to niemożliwe! Widziałeś tę zniszczoną szafkę w pracowni, prawda? Właśnie w niej trzymałem negatywy. Wszystko poszło z dymem, ani jeden się nie uchował. Ale się nie martw, już ustaliłem, że jutro porobię nowe zdjęcia papierusa i pergaminu w sejfie w Krasnapolskim. Pojutrze będę miał komplet nowych negatywów i pokażę ci, który sobie zażyczysz.

— Nie w tym problem — rzekł Randall. — Mam wszystkie odbitki z twoich starych negatywów i chciałem właśnie porównać zdjęcie papierusa numer dziewięć z jego oryginalnym negatywem. Chciałem sprawdzić, czy wszystkie szczegóły wyszły dokładnie tak samo.

Edlund nie krył zaskoczenia.

— No pewnie, że wyszły. To, co jest na negatywie, jest też na odbitce. Sam wywołuję swoje zdjęcia i jeszcze nigdy się nie zdarzyło...

— Oscarze, chyba źle mnie zrozumiałeś — przerwał mu Randall. — Nie podważam jakości twojej pracy. Chodzi o to, że przeglądałem wszystkie odbitki pod kątem naszej kampanii i jedna, tylko ta jedna, wydała mi się nieco gorsza jakościowo, nieco mniej wyrazista od pozostałych.

— Która? Dziewiątka? To niemożliwe — gorączkował się Edlund. — Wszystkie zdjęcia są tej samej jakości, były tak samo naświetlone i wywołane. Masz tę odbitkę przy sobie? Pokaż.

Randall wyciągnął fotografię z koperty i podał mu ją. Szwed przez chwilę przyglądał się zdjęciu.

— Jest w porządku — stwierdził. — Wszystko widać. Wybacz, Steve, ale ta odbitka niczym się nie różni od innych.

— Fotografowałeś papierus w podczerwieni, prawda? — zapytał Randall.

— Oczywiście.

— Dlaczego tak się to robi?

— Sądziłem, że się na tym znasz — odparł Edlund. — Podczerwień po prostu wydobywa to, co jest mało czytelne. Papirus odbija promieniowanie podczerwone i zyskuje na wyrazistości.

— I tak właśnie wykonałeś to zdjęcie, które trzymasz w ręce? — Randall się zawahał. — Czy aby na pewno to ty je zrobiłeś? — dodał. — Przyjrzyj się dobrze, Oscarze. Czy przysięgłbyś, że to twoje zdjęcie?

Edlund, zamiast przyjrzeć się odbitce, popatrzył zdumiony na Randalla.

— O czym ty mówisz, Steve? No jasne, że moje. Przecież jestem jedynym fotografem w zespole Drugiego Zmartwychwstania, żaden inny nie ma dostępu do tych obiektów. Osobiście zrobiłem wszystkie zdjęcia i odbitki. Skąd w ogóle pomysł, że mógł być ktoś inny?

— Po prostu wydaje mi się trochę inne od pozostałych — odparł Randall. — Różni się od nich jakością albo może raczej... stylem.

— Stylem? Naprawdę nie rozumiem, do czego zmierzasz. — Edlund, lekko poirytowany, podniósł fotografię do światła i przyjrzał się jej ponownie, tym razem z większą uwagą.

— Skoncentruj się na czwartej i piątej linijce tekstu — powiedział Randall.

— Widzę je. Są w porządku. Doskonale czytelne.

— I właśnie o to chodzi — odparł Randall. Zastanawiał się, czy ujawnić Szwedowi całą sprawę, czy powiedzieć mu, że kiedy pierwszy raz oglądał zdjęcie z opatem Petropoulosem, tekst był niewyraźny, tak samo jak zapewne na oryginale, a teraz tajemniczym sposobem znaki stały się czytelne zarówno na papirusie, jak i na fotografii. Postanowił jednak udawać, że widział oryginał już wcześniej.

— Oscarze, gdy pierwszy raz oglądałem papirus, te wersy bardzo trudno było odczytać. A na tym zdjęciu wyszły tak wyraźnie. Nie rozumiem tego.

— Ty możesz tego nie rozumieć — odparł Edlund — ale każdy fotograf zrozumie. Kiedy fotografuję taki obiekt jak ten papirus, zaplamiony, miejscami pociemniały, niewyraźny, stosuję przy kopiowaniu technikę maskowania. Gdybym mocniej naświetlił całość odbitki, żeby wydobyć gorsze miejsca, reszta tekstu zostałaby prześwietlona. Przesyłaniam więc światło padające z powiększalnika na papier, żeby doświetlić tylko niektóre obszary. Dzięki temu zdjęcie jest bardziej jednolite i czytelniejsze niż oryginał. Oto całe wyjaśnienie. Pokażę ci. — Podsunął odbitkę Randallowi. — Widzisz, tutaj maskowanie wzmocniło czwartą i piątą linijkę tekstu. Pamiętam, że na tym arkuszu było jeszcze

— Gdzieś ty się podziewał, do ciężkiej cholery? — warknął wydawca.

Randall zawahał się, zbity z tropu nieoczekiwaną agresją w głosie pryncypała.

— Potrzebowałem kilku zdjęć do kampanii... — zaczął.

— Nie wciskaj mi tego kitu — przerwał mu Wheeler. — Wiem, gdzie byłeś. Pojechałeś do Edlunda i właśnie stamtąd wracasz.

— Zgadza się. W jego ciemni był pożar i pokazywał mi...

— Nie opowiadaj mi tu o pożarze. Chcę wiedzieć, po co tam węszyłeś. Nie pojechałeś po żadne zdjęcia, tylko po prostu ciągle błaznujesz z papierusem numer dziewięć.

— Mam jeszcze pewne wątpliwości i chciałem coś sprawdzić — przyznał Randall.

— Ano właśnie. Edlund ci nie pomógł, więc postanowiłeś jeszcze raz zawracać głowę opatowi — rzekł gniewnie Wheeler. — Dowiedz się, że nie zobaczysz się z opatem ani teraz, ani kiedy indziej. Pojechał już na lotnisko. I nie próbuj być cwany i kontaktować się z nim w Helsinkach albo w klasztorze na górze Athos. Poradziliśmy mu, żeby nie rozmawiał na temat Ewangelii według Jakuba z nikim, także z naszym personelem, a on się na to z ochotą zgodził. Opat Petropoulos, tak samo jak my, pragnie uchronić boże dzieło przed tymi, którzy chcą mu zaszkodzić.

— Ja nie chcę niczemu szkodzić, George. Chciałbym mieć tylko stuprocentową pewność co do autentyczności tekstów.

— Opat ją potwierdził, my również, więc czego ty jeszcze, u diabła, chcesz?

— Chcę przekonać samego siebie, w końcu jestem częścią tego przedsięwzięcia...

— No to zachowuj się odpowiednio! — Wheeler był już siny ze złości. — Zachowuj się jak jeden z nas, a nie jak dywersant od de Vroome'a. Sam sprowadziłeś tu opata, żeby obejrzał oryginał, a kiedy potwierdził jego prawdziwość, ty w dalszym ciągu się czepiasz nie wiadomo czego.

Randall nie odpowiedział. Wheeler nachylił się ku niemu.

— Powiem ci, co chcielibyśmy zrobić, Randall — zagrzmiął. — Najchętniej wzięlibyśmy kogoś innego na twoje miejsce, ale jest już za późno. Zgodziliśmy się więc, że jeśli zajmiesz się swoją robotą i nie będziesz wtykał nosa w naszą, jakoś dotrwamy do końca. Zatrudniliśmy cię za ciężkie pieniądze, żebyś przedstawił nową Biblię świata, a nie po to, byś prowadził prywatne śledztwo.

Już ją zbadali po tysiącokroć kompetentni fachowcy, którzy wiedzą, co robią. Po prostu nie odgrywaj roli adwokata diabła, bo de Vroome'owie tego świata radzą sobie i bez twojej pomocy. Masz jedno jedyne zadanie do wykonania i jest nim sprzedanie nowej Biblii ludziom, którzy jej potrzebują.

— I zamierzam to zrobić — rzekł Randall bezbarwnym tonem.

— Nie interesują mnie zamiary — odparował Wheeler — tylko efekty. Posłuchaj, Steve. My wiemy, kto zniszczył ciemnię Edlunda. To któryś ze zbirów de Vroome'a...

— A jakim cudem się tam dostał?

— Nieważne. Po prostu pamiętaj, że to sprawka de Vroome'a, masz na to nasze słowo. Nie zamierzamy się więcej narażać na ataki tego przekłętogo radykała. Widać, że jest już bardzo zdesperowany i zdolny do wszystkiego. Postanowiliśmy załatwić go na dobre. Przesuwamy datę konferencji prasowej, ostatni raz. Urządzimy ją za osiem dni, w piątek piątego lipca. Już rozmawiałem z twoimi ludźmi, żeby uzgodnili to z Pałacem Królewskim i z Intelsatem. Rozsyłamy depesze i zaproszenia do dziennikarzy. Puścimy pierwsze teksty w prasie, żeby podgrzać atmosferę, żeby ludzie już wiedzieli, że za tydzień od jutra czeka ich wielkie wydarzenie. Hennig ma dostarczyć twojej ekipie nieoprawione egzemplarze, jak tylko zejdą z maszyny. Ludzie od reklamy... co oznacza również ciebie... mają pracować dzień i noc aż do chwili, kiedy wejdziemy do Pałacu Królewskiego, żeby obwieścić światu Dobrą Nowinę. Rozumiesz, Steve? Od tej minuty tylko i wyłącznie praca, nic więcej.

— Oczywiście, George.

Wheeler podszedł do drzwi i odwrócił się do Randalla.

— Uwierz mi na słowo, Steve. Nie znajdziesz tego, czego szukasz, ponieważ to nie istnieje. Więc przestań gonić za zjawami i zaufaj nam.

Wydawca wyszedł, a Randall został sam ze swymi pytaniami bez odpowiedzi. I nagle pomyślał o jeszcze jednej osobie. Kolejnej zjawie. Ostatniej, która mogła znać wyjaśnienie.

Po raz pierwszy od kilku dni chciał się nareszcie zobaczyć z Angela Monti.

Pracował ze swoim zespołem do późna i dopiero po dziesiątej wieczorem mógł w końcu wyruszyć na odkładane tak długo spotkanie.

Pragnął tego spotkania równie mocno, jak się obawiał. Od momentu kiedy dowiedział się w Paryżu, że Angela go oszukała, od wyprawy na górę Athos, wydarzyło się tak wiele, że jego gniew z upływem czasu trochę zelżał. Lecz nieufność pozostała. Gdyby miał wybór, unikałby w dalszym ciągu

konfrontacji z Angela i prawdą. Nie miał jednak takiej możliwości, a stawka była zbyt duża.

Kiedy zapukał z wahaniem do drzwi pokoju dwieście pięć w hotelu Victoria, był zdecydowany potraktować dziewczynę chłodno i rozmawiać z nią wprost. Gdy jednak drzwi się otworzyły i ujrzał uwodzicielskie zielone oczy i rysujące się pod białą koszulką zmysłowe kształty, niemal zapomniał o swym postanowieniu. Odwzajemnił uścisk Angeli, czując przechodzące po ciele ciarki wywołane zapachem jej perfum, naciskiem pełnych piersi, ciepłem ciała. W końcu musnął jej policzek ustami i udało mu się od niej odsunąć.

Angela naląła mu szkockiej, a sobie koniaku i rozmawiali chwilę o nieważnych sprawach. Randall nie potrafił od razu wystąpić z oskarżeniem. Z każdą mijającą sekundą było mu coraz trudniej zakwestionować jej uczciwość.

Była jednakże inna sprawa, którą chciał z nią omówić. Fotografie. Potrzebował ich jak najwięcej do kampanii reklamowej. Niestety, jak wyjaśnił Angeli, Edlundowi przydarzyło się nieszczęście, spłonęła jego pracownia. Randall przypomniał jej, że podczas ich pierwszego spotkania w Mediolanie mówiła mu o zestawie zdjęć wykonanych podczas wykopalisk w Ostii.

— Czy masz tutaj te fotografie? — zapytał. — Szczególnie zależy mi na zdjęciach papirusu Jakuba, tych, które twój ojciec mógł zrobić zaraz po wykopaniu znaleziska. A może są jakieś zbliżenia tekstu, zrobione już po zakonserwowaniu papirusu i włożeniu go pod szkło?

Okazało się, że Angela istotnie przywiozła ze sobą do Amsterdamu spory wybór fotografii. Wyjęła je z kartonowego pudła i położyła na dywanie na środku pokoju.

Usiedli po turecku na podłodze i Randall przyglądał się uważnie kolejnym odbitkom, które mu podawała.

Wizualny zapis wykopalisk był fascynujący sam w sobie. Między innymi po raz pierwszy zobaczył, jak wygląda profesor Monti, niski, krępy mężczyzna koło sześćdziesiątki, o łagodnej, cherubinowej twarzy włoskiego kataryniarza. Zdjęcia ukazywały robotników pocących się w wykopach pod upalnym rzymskim słońcem. Było też kilka pozowanych zdjęć Angeli i jej starszej siostry Clarety, wyższej, szczuplejszej i nie tak pięknej, wraz z ojcem po jego triumfie. Były zdjęcia profesora prezentującego swoje znalezisko do obiektywu, lecz ze zbyt dużej odległości, żeby można było dostrzec aramejski tekst.

Było na tych fotografiach wszystko, z wyjątkiem tego, na czym najbardziej Randallowi zależało.

— Świetnie, Angelo — powiedział, odkładając ostatnią odbitkę. — Wiele z tych zdjęć możemy wykorzystać w kampanii. Przejrzyj w weekend jeszcze raz i najlepsze wybierzemy dla prasy.

— Nie słyszę w twoim głosie zbyt wielkiego entuzjazmu — zauważyła, patrząc na niego spod oka.

— Nie, nie, zdjęcia są świetne — odparł. — Miałem tylko nadzieję, że będą też jakieś zbliżenia papierusa.

— Było ich trochę, jeśli dobrze pamiętam. Ojciec wpatrywał się w niektóre całymi godzinami, jeszcze zanim potwierdzono autentyczność odkrycia i rząd włoski wypożyczył oryginały wydawcom. Podszkolił się nawet w aramejskim, żeby móc czytać tekst nie gorzej niż po angielsku czy niemiecku. Na dobrą sprawę nauczył się wszystkiego na pamięć, znał każde słowo, każdą literkę, taki był z nich dumny.

— Gdzie teraz są te zdjęcia?

— Nie wiem. Chciałam je przywieźć do Amsterdamu, nie mogłam ich jednak znaleźć. Pytałam ojca, ale on jest roztrzepany jak każdy naukowiec. Nie wiedział, co z nimi zrobił, chyba dlatego, że i tak miał już każdy arkusz w głowie. Prawdopodobnie przekazał zdjęcia ministerstwu, a ministerstwo profesorowi Deichhardtowi. — Spojrzała na niego z nadzieją. — Może zapytasz Deichhardta?

— Zapytam go z pewnością — odparł.

— Swoją drogą, myślałam, że dostałeś komplet odbitek od Edlunda — powiedziała Angela.

— Dostałem, ale... no, nieważne. Chciałem po prostu obejrzeć jeszcze jakieś inne.

Dostrzegając w jej oczach niewypowiedziane pytania i starał się unikać jej wzroku. Zajął się pilnie zbieraniem zdjęć z podłogi i układaniem ich w pudło.

Kiedy się z tym uporał, zorientował się, że Angela wciąż mu się przygląda.

— Steve — zapytała cicho — dlaczego mnie tak unikałeś?

— Ja ciebie unikałem?

— Tak. Coś się musiało stać. Kiedy znów będziesz mnie kochał? Randall czuł, jak sztywnieją mu mięśnie karku.

— Gdy znowu będę mógł wierzyć w ciebie, Angelo — odpowiedział.

— A teraz nie wierzysz we mnie?

— Nie — odparł głucho. — Nie wierzę.

Stało się, wreszcie to wykrztusił. Poczł ulgę, poczuł, że jego gniew jest w pełni uprawniony. Spojrzał jej prosto w oczy, spodziewając się protestu. Angela jednak nie odezwała się, a jej piękna twarz pozostała nieruchoma.

— Dobrze — powiedział. — Skoro tego chcesz, skończmy już z tą sprawą. Czekała w milczeniu.

— Nie wierzę w ciebie, ponieważ nie wierzę tobie — zaczął Randall. — Okłamałaś mnie po raz drugi. Poprzednio było to drobne kłamstwo, nic takiego. Tym razem sprawa jest o wiele poważniejsza.

Spodziewał się jakiejś reakcji, ale się nie doczekał. Widział w oczach dziewczyny raczej smutek niż zaniepokojenie.

— Kłamałaś, mówiąc o klasztorze na górze Athos — ciągnął Randall. — Powiedziałaś, że pojechałaś tam z ojcem na spotkanie z opatem Petropoulosem, że opat obejrzał papirus i potwierdził jego autentyczność. Pamiętasz, prawda? To było ordynarne kłamstwo, Angelo. Wiem to, bo sam się wybrałem na górę Athos i widziałem się z opatem. Byłem tam w zeszłym tygodniu.

— Wiem, że tam byłeś, Steve.

Nie zapytał ją, skąd wie, nie chciał odbiegać od tematu.

— Ale ty tam nie byłaś — odparł. — Od tysiąca lat nie wpuszczono na Athos żadnej kobiety. Nie wolno im przebywać w rejonie zarządzanym przez mnichów. Co więcej, twój ojciec także tam nie był, opat nigdy nie widział go na oczy, podobnie jak nie widział na oczy papirusu, aż do dzisiejszego ranka. Czy zaprzeczysz temu, Angelo?

— Nie zaprzeczę, Steve. — Jej głos był ledwo słyszalnym szeptem. — Nie mogę, bo rzeczywiście cię okłamałam.

— W takim razie nie oczekujesz chyba, że ci jeszcze kiedykolwiek zaufam?

Zamknęła oczy i zakryła je dłonią, po czym spojrzała na niego z udręką.

— Steve... nie wiem, czy zdołam do ciebie dotrzeć. Tak wiele dzieje się w twojej głowie, a tak niewiele w sercu. A tylko twoje serce mogłoby zrozumieć, że czasami kłamstwo jest najuczciwszą rzeczą, jaką można komuś powiedzieć, jeżeli się go kocha. Gdy zadzwoniłeś z Paryża, moje serce usłyszało tę część ciebie, część twojej natury, która najbardziej mnie martwi i która najmniej mi się podoba.

— I co to takiego? — zapytał z irytacją.

— Twój cynizm. Irracjonalny cynizm, którym się osłaniasz. Możliwe, że on cię chroni przed zranieniem, Steve. Ale oddziela cię także od życia, nie pozwala przyjąć albo dać miłości, prawdziwej, głębokiej miłości. Bez wiary

nie można kochać. Słyszałam twój głos w słuchawce, kiedy telefonowałeś z Paryża, i wyczułam, że znów zwątpiłeś w autentyczność odkrycia. Czułam, jak tracisz tę odrobinę zaufania, którą dopiero co zyskałeś. Znowu stawałeś się Stevenem Randallem, który nie potrafił się zbliżyć do własnej żony, dziecka, rodziców, do nikogo. Pomimo stuprocentowych dowodów, przedstawionych przez najwybitniejszych naukowców i znawców Biblii na świecie, znów próbowałeś zdyskredytować cud, jakim jest znalezisko z Ostii. W Paryżu, na Athos czy gdziekolwiek, wciąż poszukujesz kogoś, choćby nawet samego diabła, kto się z tobą zgodzi i usprawiedliwi twój cynizm. Nie mogłam już tego znieść, musiałam to przerwać, i to wcale nie przez wzgląd na ojca, wierz mi, tylko przez wzgląd na ciebie. I powiedziałam to, co mi w tym momencie wpadło do głowy. Pamiętałam nazwisko opata z świętej góry Athos, bo pisałam na maszynie listy ojca do niego. Ale poza tym nie wiedziałam niczego o tym miejscu, więc palnęłam głupie, nieudolne kłamstwo. Tak, skłamałam, byłam gotowa powiedzieć cokolwiek, żebyś tylko nie niszczył ostatniej rzeczy, jaka mogła nadać znaczenie twemu życiu. Zupełnie jakbyś obsesyjnie dążył do tego, co się nie udało de Vroome'owi... do pogrążenia Drugiego Zmartwychwstania, zniszczenia dzieła życia mojego ojca, nowej nadziei dla ludzkości i wreszcie także naszego związku i samego siebie. Staralam się temu zapobiec, Steve. Nie udało się, pojechałeś jednak na Athos, ciągnąłeś to dalej. A kiedy opat Petropoulos nie zgodził się z tobą i poparł nasz punkt widzenia, nie dajesz za wygraną. Nieważne fakty, udowodniane wciąż na nowo, ty musisz brnąć dalej. Nie wiem, za czym gonisz tym razem. Ale widzę, że te zdjęcia wcale cię nie interesują. Szukasz czegoś, co pozwoli ci powiedzieć, że słusznie nie uwierzyłeś, słusznie nie zaufałeś. A ja jestem gotowa znowu skłamać, Steve. Jestem gotowa skłamać nawet tysiąc razy, żeby cię odwieść od samozniszczenia.

Angela oddychała ciężko, wyraźnie opadła z sił. Sięgnęła po jego dłonie i okryła je swoimi, wypatrując w jego twarzy oznak zrozumienia. Ponieważ Randall sienie odezwał, mówiła dalej:

— Ja cię kocham, Steve. I zrobię wszystko, żebyś i ty kochał mnie, żebyś uwierzył we mnie i w to, w co ja wierzę... w nasz projekt. Mając taką wiarę, mógłbyś poznać miłość... nie tylko do mnie, ale i do samego siebie. Czy myślisz, że to możliwe?

Wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem.

— Tak, możliwe — odparł.

— Co mam zrobić, powiedz. Zrobię wszystko, o co poprosisz.

— Wszystko? — odrzekł cicho. — Więc dobrze. Jedź jutro ze mną do Rzymu.

— Do Rzymu?

— Tak. Chcę się spotkać z twoim ojcem.

— Z ojcem? — powtórzyła niczym echo. — To takie ważne dla ciebie?

— Chcę porozmawiać z człowiekiem, który odkrył Słowo. Chcę mu pokazać fotografię, zapytać o kilka rzeczy. On jest już ostatnią instancją. Po rozmowie z nim przestanę szukać. Tego przecież pragniesz, prawda? Żeby przestał dociekać, żeby uwierzył. Teraz wszystko w twoich rękach, Angelo. Zabierzesz mnie do ojca?

— Czy to... rozwieje twoje wątpliwości i zaufasz mi? — spytała.

— Tak.

Westchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy.

— Dobrze, Steve. To błąd... ale widocznie musimy go popełnić. Jutro polecimy do Rzymu. Spotkasz się z profesorem Augustem Montim, twarzą w twarz. Może to rzeczywiście rozwiąże sprawę.

ROZDZIAŁ 9

Samolot Alitalii wylądował na lotnisku Leonarda da Vinci pod Rzymem w późne piątkowe popołudnie. Gdy szli szeroką czerwoną rampą ku odprawie celnej i paszportowej, Randallowi krążyła po głowie jedna bardzo budująca myśl.

Angela go tym razem nie zawiodła.

Przed budynkiem terminalu wsiedli do taksówki. Minęli wielki pomnik brodatego Leonarda, herb miasta z błękitnym napisem Roma, tablice reklamowe: Pepsi-Cola, Ethiopian Airlines, Visit Israel, Telefunken, Olivetti, minęli zielone parasole sosen, pola cukinii i brokułów, targ żywnościowy Cassa del Mercato, domy mieszkalne na przedmieściu San Paolo, tor wyścigowy dla psów Cinodromo, strzaskane budowle Forum Romanum i Koloseum — i przez całą tę półgodziną jazdę do hotelu Excelsior wypełniało Randalla narastające uczucie ekscytacji.

To starożytne, a zarazem nowe miasto, myślał, to właśnie miejsce, gdzie się wszystko zaczęło. I po upływie wielu stuleci ludzie nadal będą pamiętać, że tutaj właśnie rozpoczęło się Drugie Zmartwychwstanie i miało swój początek odrodzenie wiary. Tutaj żalosny, materialistyczny świat raz jeszcze odzyskał nadzieję. Wszystko to było możliwe — i Randall modlił się, żeby tak się stało — jeżeli tylko ostatni cień zwątpienia zostanie rozproszony przez sprawcę tego przedsięwzięcia, który aż dotąd unikał ludzi zamierzających ogłosić światu wielką nowinę.

Kiedy się zameldował w Excelsiorze i wyszedł do czekającej przed hotelem Angeli, miał wrażenie, że wkroczył na rozżarzone palenisko. Było samo południe i Rzym dosłownie smażył się w lipcowym słońcu.

Pojechali wynajętym oplem, na szczęście z klimatyzacją i przysłoniętymi oknami.

— Gotowy? — zapytała Angela, sadowiac się na tylnym siedzeniu. Na jej twarzy nie było uśmiechu. — Pojedziemy prosto do mojego ojca.

— Jeszcze raz wielkie dzięki — odparł Randall. Dziewczyna powiedziała coś do kierowcy po włosku, a potem powtórzyła adres po angielsku.

— Villa Bellavista, zaraz na początku Via Belvedere Montello. Włączyli się do ruchu na Via Veneto i ruszyli na spotkanie z profesorem Augustem Montim w jego azylu, rodzinnej willi na przedmieściu.

Nareszcie, pomyślał Randall.

Jazda zabrała im trzy kwadranse. Randall odczytywał nazwy niektórych placów i ulic po drodze. Piazza Barberini. Via del Tritone. Piazza Cavour.

Viale Vaticano, na obrzeżach Watykanu. Via Aurelia, wylotówka z Rzymu. Via di Boccea, już za miastem, wśród pól i rzadko rozrzuconych osiedli. W końcu, po ostrym skręcie w prawo, samochód stanął na Via Belvedere Montello.

— To tutaj — oznajmiła Angela. — Villa Bellavista. Randall wyjrzał przez okno. Za zielonym żelaznym ogrodzeniem z różowo-żółtą kamienną podmurówką, wśród zielonych trawników i drzew stał, częściowo zasłonięty cyprysami i sosnami, piętrowy budynek o czerwonych ścianach.

Angela powiedziała coś do kierowcy i opel potoczył się wzdłuż płotu, aż stanął przed bramą, strzeżoną przez siwowłosego dozorcę. Angela pomachała doń ręką, mężczyzna odpowiedział jej tym samym i brama się otworzyła. Po chwili stanęli przed tarasem prowadzącym do wejścia. Randall, z aktówką w ręce i sercem przepełnionym oczekiwaniem i obawami, wszedł za Angela po schodach. Nie potrzebowała klucza, frontowe drzwi były bowiem otwarte.

Znaleźli się w sieni wyłożonej glazurowaną cegłą, ze schodami po lewej i salonem po prawej. Weszli do salonu. Był to olbrzymi pokój ze sklepionym sufitem. Stały w nim dwa fortepiany i cała kolekcja różnych lamp.

Sporo tu przestrzeni, jak dla samotnego uczonego na emeryturze, pomyślał Randall.

Angela poprowadziła go do zielonej, wyściełanej welwetem kanapy, przy której stał stolik i kilka kremowych krzeseł. Randall jednak nie usiadł. Zaabsorbował go bowiem dziwny i niepokojący widok.

Okna salonu były okratowane od góry do dołu. A w bocznych drzwiach pojawiły się dwie identycznie ubrane kobiety. Miały na sobie granatowe uniformy z białym kołnierzykiem i fartuszkami, a włosy skrywały wykrochmalone czepki.

Randall odwrócił się zaskoczony do Angeli. Patrzyła na niego w napięciu i po chwili pokiwała głową.

— Tak, ojciec tutaj mieszka — powiedziała. — To dom wariatów.

Kwadrans później, chodząc nerwowo po salonie — a właściwie pokoju przyjęć — Randall wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po rewelacjach Angeli.

Wnętrze willi zwodniczo przypominało urządzenie prywatnej rezydencji, w której mógł zaszyć się sławny archeolog po dokonaniu epokowego odkrycia. W rzeczy samej była to niegdyś podmiejska rezydencja bogatego rzymianina, została jednak sprzedana grupie włoskich psychiatrów, którzy urządzili tu casa di cura, sanatorium dla umysłowo chorych. Lekarze dbali o to, żeby

pomieszczenia i atmosfera domu kojarzyły się z normalnym mieszkaniem, gdyż mogło to mieć zbawienny wpływ na pacjentów.

A jednak — używając obcesowego określenia Angeli — był to po prostu dom wariatów. Profesor Monti był zaś od ponad roku najbardziej prominentnym pacjentem, którego prywatności najpilniej strzeżono.

— Teraz może zrozumiesz moje opory i kłamstwa — mówiła rozemocjonowana, opowiadając mu o wszystkim. — Ojciec jeszcze rok temu czuł się znakomicie, miał sprawny, bystry umysł. I nagle, z dnia na dzień, jego psychika kompletnie się załamała. Zamknął się w sobie, dostał pomieszania zmysłów i właściwie brak z nim kontaktu. Od tamtej pory przebywa tutaj, ale nie mogłam tego nikomu ujawnić, ani wydawcom, ani nawet tobie, Steve. Gdyby wiadomość o chorobie ojca wydostała się na światło dzienne, wrogowie ojca albo wrogowie projektu mogliby ją wykorzystać. Miałoby to fatalny wpływ na stosunek do znaleziska i nowej Biblii. Nie mogłam na to pozwolić, dlatego nie dopuszczałam do ojca nikogo, aż do wczoraj. Wczoraj zrozumiałam, że nie powstrzymam cię przed odkryciem prawdy. Przyjechaliśmy więc do Rzymu, żebyś przekonał się na własne oczy i już nie zarzucał mi kłamstwa. Czy wreszcie mi zaufasz, Steve?

— Teraz i zawsze, kochanie — odparł, biorąc ją w ramiona, poruszony i zawstydzony do głębi. — Wybacz mi, Angelo. Jest mi naprawdę przykro. Mam nadzieję, że mi przebaczysz.

Przebaczyła mu, gdyż była w stanie zrozumieć jego podejrzliwość.

— Poza tym — dodała — przywiozłam cię do ojca jeszcze z jednego powodu. Zazwyczaj jest w stanie podobnym do katatonii, ale czasami, bardzo rzadko, miewa krótkie momenty przytomności. Gdy go odwiedzamy z siostrą, nie ma zupełnie kontaktu z rzeczywistością, ale miałam nadzieję, że kiedy mu pokażesz zdjęcia i przemówisz do niego, poruszy to jakąś strunę w jego umyśle i będzie mógł rozwiązać twoje wątpliwości.

— Dziękuję, Angelo. Czuję jednak, że wiele sienie spodziewasz po tym spotkaniu, prawda?

— Raczej nie. Chociaż nigdy nie wiadomo. Ludzki umysł kryje w sobie tyle tajemnic. Na razie pójdę do niego sama, ty zaczekaj.

Wyszła, a Randall krążył po pokoju, próbując zrozumieć, co mogło sprawić, że tak genialny naukowiec jak profesor Monti mógł z dnia na dzień popaść w stan graniczący z obłędem. Randall stracił już niemal ochotę na to spotkanie. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z chorym umysłowo człowiekiem i nie był pewien, czego się spodziewać i jak się zachować.

Musiał to jednak doprowadzić do końca, póki istniała choćby isierka nadziei, że jakieś słowo czy gest profesora rozwieje jego wątpliwości.

Angela Monti wróciła po kilku minutach, lecz nie sama. Towarzyszyła jej wysoka, koścista młoda pielęgniarka.

— I jak on się miewa? — zapytał Randall, patrząc na ściągniętą twarz dziewczyny.

— Spokojny, łagodny, cichy — odparła i dodała, przełykając ślinę: — Nie poznał mnie.

Starła się powstrzymać łzy. Randall wziął ją w objęcia, próbując uspokoić. Wygrzebała z torebki chusteczkę, osuszyła oczy i spojrzała na niego z nikłym uśmiechem.

— Tak jest za każdym razem. Nie przejmuj się, Steve, zaraz mi przejdzie. Możesz teraz iść do niego, siostra Branchi cię zaprowadzi. Próbowałam mu powiedzieć o tobie, ale nie wiem, czy coś dotarło do niego. Spróbuj, tak czy inaczej. Ja pójdę zadzwonić do naszej gospodyni, moja siostra przyjeżdża dzisiaj z Neapolu z dziećmi, żeby się ze mną zobaczyć.

Randall ruszył za siostrą Branchi sterylnym białym korytarzem. Pielęgniarka wyjęła z kieszeni pęk kluczy i po chwili stanęli pod drzwiami.

— To pokój profesora — powiedziała i widząc, że drzwi są uchylone, zmarszczyła brwi. — Powinny być zamknięte na klucz — mruknęła. Zajrzała do środka i odwróciła się do Randalla z wyraźną ulgą. — To pokojówka, zbiera naczynia po obiedzie.

Po kilku sekundach pokojówka wyszła, niosąc tacę. Obie kobiety rozmawiały przez chwilę półgłosem po włosku.

— Zapytałam ją, jak on się miewa — wyjaśniła pielęgniarka, gdy tamta odeszła. — Powiedziała, że jak zwykle, siedzi przy oknie i patrzy w przestrzeń. Może pan wejść. Przedstawię pana i zostawię was samych. Ile czasu pan potrzebuje?

— Nie wiem — odparł Randall nerwowo.

— Doktor Venturi zaleca, żeby odwiedziny nie trwały dłużej niż kwadrans.

— W takim razie mam kwadrans — zgodził się.

Siostra Branchi otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Ku jego zaskoczeniu, pokój nie przypominał szpitalnego. Wyglądał raczej jak połączenie sypialni i biblioteki w normalnym mieszkaniu. Był słoneczny, wygodny, nawet przytulny, przyjemnie klimatyzowany. Przez duże okno widać było fragment ogrodu. To miłe wrażenie zakłócały tylko kraty w oknie, które wraz ze szpitalną bielą ścian przypominały, że mieszkaniec jest pacjentem kliniki psychiatrycznej. Przy oknie, kołysząc się mechanicznie w

przód i w tył, niemal zagubiony w czeluści bujanego fotela, siedział niski, starszy mężczyzna o pulchnej twarzy, okolonej kępkami białych włosów. Wodnistymi, pustymi oczami wpatrywał się w kwiaty za oknem. Był mniej zażywny, bardziej zmizerniały niż na zdjęciach sprzed sześciu lat.

Siostra Branchi podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Profesorze Monti — powiedziała głośno, jakby budziła go ze snu — ma pan gościa z Ameryki. — Skinęła na Randalla, stawiając krzesło naprzeciw fotela. — Profesorze, to właśnie pan Randall. Interesuje się pańską pracą.

Monti przyglądał się pielęgniarce z niejakim zainteresowaniem, trudno było jednak poznać, czy zauważył obecność Randalla.

— Zostawię was teraz samych, panie Randall — rzekła kobieta. — W razie czego proszę mnie wezwać dzwonkiem, a jeśli nie, to wrócę za piętnaście minut.

Gdy wyszła, Randall usiadł naprzeciw małego człowieczka, który w końcu spostrzegł, że ma gościa, i wpatrywał się weń w milczeniu, bez zainteresowania.

— Jestem Steve Randall, z Nowego Jorku — przedstawił się ponownie Randall. — Jestem przyjacielem Angeli. Rozmawiała z panem przed chwilą i wspomniała o mnie, pamięta pan, profesorze?

— Angela — powtórzył Monti martwym tonem, nie okazując najmniejszej emocji.

— Na pewno wyjaśniła panu mój związek z Drugim Zmartwychwstaniem — ciągnął Randall. — Zajmuję się promocją nowej Biblii, promocją pańskiego odkrycia.

Miał wrażenie, że przemawia do białej ściany za fotelem Montiego. Najchętniej wezwałby siostrę Branchi i uciekł z tego miejsca. Mówił jednak dalej. Tłumaczył, jak George L. Wheeler zatrudnił go i ściągnął do Amsterdamu. Opowiadał, jacy wszyscy są podekscytowani zbliżającą się konferencją prasową, kiedy ostiackie znalezisko stanie się znane milionom ludzi na całym świecie.

W miarę jak Randall mówił, profesor słuchał jakby uważniej. Choć nie odpowiadał, nieco się ożywił i wyglądał po prostu jak stary, zgrzybiały człowiek, który słucha niezbyt pilnie monologu obcej osoby.

W Randalla wstąpiła otucha. Może zbliżał się jeden z okresów przytomności Montiego, wywołany opowiadaniem o bliskich mu sprawach? Może dziś właśnie będzie miał szczęście?

— Profesorze Monti, wyjaśnię panu, z jaką sprawą do pana przyjechałem — powiedział.

— Tak.

— Pańskie odkrycie zostało potwierdzone. Poszerzony Nowy Testament przetłumaczono na cztery języki. Nowa Biblia ma się ukazać na dniach i jest tylko... — zawahał się, po czym dokończył: — Pojawił się pewien problem i mam nadzieję, że pan pomoże go rozwiązać.

— Tak.

Randall przyjrzał się twarzy profesora. Dostrzegł wyraz zaciekawienia albo tak mu się wydawało. Błysnął promyk nadziei.

Wyjął z aktówki dyktafon i fotografię papirusu.

— Kilku z nas odkryło niepokojący błąd, w każdym razie sądzimy, że może to być błąd w tłumaczeniu — powiedział. — To jest fotografia papirusu numer dziewięć, jednego z odkopanych przez pana. Jednakże wcześniej widziałem inne zdjęcie tego arkusza i wyglądało trochę inaczej. To właśnie mnie zaniepokoiło. Zastanawiam się, czy papirus numer dziewięć nie został przez kogoś zmieniony albo czy nie podłożono w jego miejsce innego, specjalnie spreparowanego.

Profesor Monti pochylił się ku niemu na swoim bujaku.

— Tak?

Zachęcony tym Randall kontynuował wywód.

— Nie ma już możliwości sprawdzenia, czy to zdjęcie pokazuje oryginalny papirus, czy ten ewentualnie podmieniony. Negatyw tej odbitki spłonął w pożarze. Jednakże, profesorze, wiem od Angeli, że poświęcił pan temu znalezisku tyle czasu, że w pańską pamięć wrył się każdy z tych aramejskich znaków, każdy zakręt i kropka. Powiedziała mi, że poznałby pan od razu, czy jest to reprodukcja oryginału, czy raczej przerobionego lub podmienionego papirusu. To sprawa najwyższej wagi, profesorze. Musimy poznać prawdę. Proszę powiedzieć, czy pańskim zdaniem ta fotografia przedstawia papirus, który odkopał pan w Ostii?

Podał odbitkę Montiemu, a ten wziął ją ostrożnie w obie, drżące lekko dłonie. Przez dłuższą chwilę nie spojrzał w ogóle na zdjęcie, lecz kołysząc się w fotelu, patrzył w oczy Randalla.

W końcu, jakby przypominając sobie, co trzyma w rękach, przeniósł wzrok na odbitkę. Powoli przechylił ją stroną okna, do słońca wpadającego przez kraty. Na kragłą twarz wypłynął uśmiech i Randall znowu poczuł przypływ nadziei.

Mijały minuty. Profesor Monti opuścił fotografię na kolana, nie odrywając od niej wzroku. Zaczął poruszać wargami i Randall wyteżył słuch, by pochwycić niewyraźne słowa.

— To prawda, to prawda — mówił profesor. — Ja to napisałem. — Uniósł głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. — Ja jestem Jakub Sprawiedliwy. Byłem świadkiem tych wydarzeń. — Głos uczonego przybrał na sile. — Ja, Jakub z Jerozolimy, brat Pana Naszego Jezusa Chrystusa, najstarszy z jego ocalałych braci i syn Józefa z Nazaretu, mam wkrótce stanąć przed Sanhedrynem i głównym kapłanem Ananusem, oskarżony o wzniecanie rebelii, a to z powodu mego przewodzenia wyznawcom Jezusa wśród naszego ludu.

Randall opadł zniechęcony na oparcie krzesła.

Mój Boże, pomyślał, temu starcowi się zdaje, że jest Jakubem Sprawiedliwym, bratem Jezusa.

Profesor Monti wznosił oczy do sufitu. Przemawiał coraz żarliwiej.

— Pozostali z synów Józefa, bracia Jezusa i moi także, są to Juda, Szymon, Jozjasz i Jan. Wszyscy oni są poza granicami Judei i Idumei, ja zaś pozostałem, by opowiedzieć o pierworodnym i najukochańszym Synu.

Profesor Monti recytował z pamięci ciężko akcentowaną angielszczyzną początek Ewangelii według świętego Jakuba. W jego słowach było jednak coś niezwykłego. Randall od razu to wychwycił. Monti wymienił imiona braci Jezusa i Jakuba, których brakowało w oryginalnym tekście, albowiem ten fragment papirusu wykruszył się i rozpadł.

Trudno to było zrozumieć, chyba że archeolog miał tak doskonale rozeznanie w Biblii, iż potrafił przywołać te imiona z pamięci, przeczytawszy je wcześniej w Ewangelii świętego Mateusza, w Dziejach Apostolskich lub w pracy Euzebiusza z Cezarei, teologa wczesnochrześcijańskiego.

— Ja, Jakub Sprawiedliwy, brat Naszego Pana...

Profesor Monti deklamował ten sam fragment wciąż od nowa. Randall słuchał go ze ściśniętym sercem, przejęty smutkiem z powodu losu starego uczonego i nieszczęsnej Angeli.

Słowa profesora stopniowo przechodziły w mamrotanie, aż w końcu zamilkł i znów wpatrywał się tylko w ogród za oknem.

Randall wyjął mu delikatnie fotografię z dłoni i schował ją do teczki. Wyłączył dyktafon i spojrzął na zegarek. Z kwadransa została mu minuta czy dwie.

— Dziękuję, panie profesorze — powiedział, wstając — za pański czas i współpracę.

Ku jego zdziwieniu Monti także podniósł się z fotela. Wydawał się jeszcze drobniejszy. Poczłapał do swego biurka, usiadł przy nim i na moment jakby

zapomniał o celu swego działania. Po chwili jednak otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę i ołówek.

Narysował coś na papierze, przyjrzał się swemu dziełu, dodał kilka kresek i pokiwał z aprobatą głową. Podał kartkę Randallowi.

— Dla ciebie — wymamrotał. — Prezent. — Uratuje cię. Prezent od Jakuba.

Randall wziął od niego kartkę. Zobaczył toporny rysunek.

Obrazek przedstawiał narysowaną schematycznie, jakby dziecięcą ręką, rybę z przebitym włócznią bokiem.

Profesor powiedział, że to podarek od Jakuba, talizman, który go uratuje. Oczywiście było to bez sensu, lecz Randall zastanawiał się, co mogło oznaczać w zamglonym umyśle Montiego. Doszedł do wniosku, że nigdy się tego nie dowie.

Otworzyły się drzwi i Randall szybko schował rysunek do kieszeni, podziękował ponownie profesorowi, i wyszedł na korytarz, do siostry Branchi.

— Zaprowadzę pana do signoriny Monti — powiedziała. Randall jednak nie chciał jeszcze opuszczać kliniki. Przyszło mu coś do głowy.

— Signora Branchi — zapytał — czy jest w tej chwili któryś z lekarzy opiekujących się profesorem? Lekarz, który pracował bezpośrednio z pacjentem?

— Tak, oczywiście — odparła. — Mamy siedmiu lekarzy, a szefem kliniki jest doktor Venturi. Zajmował się profesorem od samego początku.

— Czy mógłbym z nim porozmawiać, choćby krótko?

— Proszę poczekać. Zobaczę, czy doktor jest wolny.

Doktor Venturi znalazł chwilę na rozmowę. Był szczupłym, łysiejącym Włochem o sympatycznych ciemnych oczach. Nie wyglądał wcale na lekarza, pewnie dlatego, że zamiast białego fartucha miał na sobie garnitur w kratkę.

Jego gabinet również nie przypominał lekarskiego, z empirowym biurkiem, nowoczesnymi kanapami, bujnymi zielonymi roślinami i abstrakcyjnymi obrazami na ścianach.

Randall, w ostatniej rozpaczliwej próbie znalezienia jakiegoś klucza do tajemnicy papyrusu numer dziewięć, opowiedział terapeutce o swym niezbyt udanym spotkaniu z profesorem Montim.

— Czy zdarzało się już wcześniej, że uważał się za Jakuba Sprawiedliwego? — zapytał.

— Dość często — odparł Venturi. — To dla nas zagadkowa sprawa, ponieważ takie zachowanie nie zgadza się z ogólnymi objawami. Widzi pan,

człowiek, któremu się wydaje, że jest Jezusem czy jak w tym przypadku... bratem Jezusa... to zazwyczaj paranoik z kompleksem wyższości. Profesor Monti natomiast cierpi na zanik pamięci i stany katatonii, związane z histerią i wpływające z poczucia winy. Klinicznie rzecz biorąc, może doświadczać urojeń, ale pacjent tego typu nie utożsamiałby się z postaciami uduchowionymi, takimi jak Jezus czy Jakub, lecz raczej z kimś, kto czułby się winny na przykład skrzywdzenia Jezusa czy Jakuba. Jego zachowanie jest więc dla mnie niezrozumiałe. Lecz z drugiej strony niewiele wiemy o psychice profesora, o jego życiu wewnętrznym, i chyba niewiele się już na ten temat dowiemy.

— Czy to znaczy, że nie zna pan kariery zawodowej profesora — zapytał Randall zdziwiony — i nie słyszał pan o jego odkryciach?

— Ach, panie Randall, więc pan wie o odkryciu w Ostii? Nie mogłem o tym rozmawiać, ponieważ...

— Pracuję przy tym projekcie, doktorze.

— Nie byłem tego pewien. Córki profesora wymogły na mnie przyrzeczenie, że nie ujawnię tajemnicy nikomu obcemu, i dotrzymuję słowa.

— Co pan wie o dokonaniach profesora? — zapytał Randall.

— Właściwie niewiele. Nazwisko Monti było mi oczywiście znane, ale dopiero od jego córek dowiedziałem się o wykopaliskach w Ostii i ich wielkim znaczeniu dla teologii biblijnej.

— Ale nie wie pan, co właściwie zostało znalezione?

— Nie wiem. Czy sugeruje pan, że gdybym wiedział, mógłbym lepiej zrozumieć, dlaczego profesor uważa się za Jakuba, brata Chrystusa?

— Do pewnego stopnia tak, panie doktorze. Odkrycie profesora Montiego stało się impulsem do stworzenia nowej wersji Biblii. Jego znaczenie jest przeogromne.

— Tak też sądziłem. Czytałem ostatnio w „Il Messaggero” trzyczęściowy artykuł jakiegoś angielskiego dziennikarza...

— Cedrica Plummera.

— Właśnie, Plummera. Tekst był dość powierzchowny i zawierał niewiele faktów, ale dotyczył przygotowywanej w Amsterdamie publikacji nowej Biblii, za którą stoją chrześcijańscy konserwatyści, pragnący powstrzymać zmiany w Kościele. Było to dość intrygujące, ale zanadto oparte na pogłoskach i domysłach, tak że trudno było potraktować rzecz poważnie.

— Jest jak najbardziej poważna — zapewnił Randall.

— Ach, wobec tego wielka szkoda, że profesor Monti nie będzie mógł się cieszyć owocem swego epokowego odkrycia — rzekł Venturi, szczerze tym

przejęty. — Być może nowa Biblia pomoże nam zrozumieć przyczynę jego urojeń, ale dla samego pacjenta niewiele to znaczy. Czy coś jeszcze się wydarzyło podczas spotkania, panie Randall?

— Obawiam się, że nie — odrzekł Randall i w tym momencie przypomniał sobie o rysunku. Wyjął go z kieszeni marynarki i podał lekarzowi. — Profesor narysował to dla mnie, kiedy wychodziłem — wyjaśnił. — Powiedział, że to podarek, który mnie uratuje.

— No tak, ryba — skwitował to Venturi i zamiast wziąć od niego kartkę, pogrzebał wśród papierów na biurku, i po chwili rozłożył na blacie sześć podobnych szkiców. — Jak pan widzi, panie Randall, mam tu prywatną kolekcję tych dzieł profesora. Dość często obdarowuje nimi lekarzy i pielęgniarki, ale obawiam się, że ich tematyka ogranicza się do tego jednego motywu... ryby przebitej włócznią. To wręcz jego obsesja.

— Ta ryba musi coś oznaczać — powiedział Randall. — Czy próbował pan ustalić, co profesor chce przez to zakomunikować?

— Naturalnie, ale nie doszedłem do żadnych wniosków, poza tym, że ryba także jest związana z jego urojeniem. Jak pan zapewne wie, pierwsi chrześcijanie w czasach prześladowań posługiwali się symbolem ryby jako tajemnym znakiem, po którym się rozpoznawali. Ciekawe jest pochodzenie tego wizualnego hasła. Mesjasz był znany swoim pierwszym wyznawcom jako „Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawiciel”, co w tłumaczeniu na grekę, język używany przez rzymskich okupantów, brzmiało: Iesus Christos Theou Tios Soter. Pierwsze litery tych pięciu słów tworzą wyraz I-CH-TH-Y-S, co oznacza po grecku właśnie rybę. Nauka o rybach to ichtiologia.

— Fascynujące — przyznał Randall, przyglądając się ponownie rysunkowi. — A włócznia? Czy także była częścią symbolu?

— Nie — odparł doktor Venturi. — Włócznię dodał już od siebie profesor Monti. Wymowa tego znaku jest raczej negatywna, ale kto wie, co naprawdę dzieje się w głowie mojego pacjenta? Czy uważając się za brata Jezusa, ujawnia chęć rywalizacji z nim, wbijając włócznię w jego symbol, rybę? Czy może raczej rana zadana Jezusowi odzwierciedla zagrożenie, jakie profesor Monti odczuwa jako Jakub? Obawiam się, że nie odkryjemy już tej tajemnicy.

Doktor Venturi wziął do ręki fajkę z morskiej pianki i woreczek z tytoniem.

— Nie będzie panu przeszkadzało? — zapytał.

Randall pokazał mu swoją wrzosową fajkę, wymienili się tytoniami i zapalili, po czym wrócili do rozmowy na temat Montiego. Randall postanowił cofnąć się trochę w czasie.

— Kiedy profesor trafił do kliniki, panie doktorze? — zaczął. — I jeśli to nie tajemnica, w jakich okolicznościach to się wydarzyło?

— W jakich okolicznościach? — Venturi wypuścił z ust kłęb dymu. — Historia choroby jest oczywiście tajna, ale Angela Monti poprosiła mnie, żebym był z panem szczery, jeśli chodzi o stan jej ojca.

— Angela jest w poczekalni — rzekł szybko Randall. — Może się pan upewnić.

— Nie ma potrzeby — odparł psychiatra. Pyknął z fajki i odłożył ją na ceramiczną popielniczkę. — Mój własny kontakt z tym przypadkiem rozpoczął się przed rokiem i dwoma miesiącami. Lekarz rodzinny Montich, który akurat jest moim kolegą, zwrócił się do mnie o pomoc dla swego pacjenta, czyli profesora, który znalazł się w uniwersyteckiej poliklinice. Doznał nagłego, dotkliwego załamania nerwowego. Udałem się tam natychmiast, zbadałem go i postawiłem diagnozę.

— Co właściwie spowodowało, że profesor znalazł się w szpitalu?

— Chce pan znać okoliczności, w jakich doszło do załamania? — zapytał retorycznie psychiatra. — Dwa dni przedtem profesor Monti pracował jak zwykle na uniwersytecie, wykladał, odbywał konsultacje, pisał wniosek o grant na nowe wykopaliska. Odbywał też, jak prawie co dzień, liczne spotkania z umówionymi gośćmi.

— Co to byli za goście?

— Ludzie, których mógłby przyjmować każdy inny wybitny naukowiec. Koledzy po fachu, archeolodzy z zagranicy, czasem ktoś z rządu. Być może także dostawcy ekwipunku do wykopalisk, doktoranci, redaktorzy czasopism archeologicznych. Może córka profesora powie panu coś więcej. W każdym razie pracował do późna, wychodził też na jakieś spotkania na mieście, a wieczorem, kiedy nie wrócił na kolację, Angela zadzwoniła do portiera na wydziale, żeby przypomniał profesorowi, że powinien już iść do domu. Portier poszedł na piętro do jego gabinetu, zapukał, a kiedy nikt nie odpowiedział, zdecydował się wejść, gdyż widział palące się światło. Zobaczył profesora za biurkiem, na którym panował straszny bałagan. Lampa była przewrócona, a profesor Monti bełkotał coś niezrozumiale, zupełnie rozkojarzony, aż w końcu popadł w stupor. Przerażony portier zadzwonił po jego córkę, która natychmiast wezwała pogotowie.

Randall wzdrygnął się na myśl o koszmarze, jaki musiała przeżyć Angela.

— Czy od tamtej pory udało się z nim nawiązać jakiś kontakt? — dociekał Randall.

— Niestety nie, ani razu — odparł Venturi. — Ma pustkę w mózgu. Mówiąc dosadnie, po prostu utracił zmysły. Od tamtej pory nie ma kontaktu z rzeczywistością.

— I nie ma nadziei, żeby przywrócić go do normalności?

— Któż to wie, panie Randall. Kto wie, co przyniesie nam przyszłość w psychiatrii, czego dowiemy się o biochemii zaburzeń umysłowych? Na razie nie da się nic zrobić, a niech mi pan wierzy, że próbowaliśmy wszystkiego. Po kilku dniach przeniosłem profesora do Villa Bellavista. Stosowaliśmy różne metody... psychoterapię, środki farmakologiczne, elektrowstrząsy w znieczuleniu. Na próżno. Obecnie staramy się, żeby był spokojny, żeby dobrze sypiał. Zachęcamy go również do aktywności, próbujemy zająć robieniem makram w naszej pracowni, pływaniem w basenie... Ale on się w ogóle tym nie interesuje. Większość czasu spędza przy oknie, wpatrzony w przestrzeń. Czasami słucha muzyki albo ogląda telewizję, ale nie sędzę, żeby coś z tego przyswajał.

— Panna Monti uważa, że zdarzają mu się momenty przeblysku — rzekł Randall.

— Jest jego córką. — Psychiatra wzruszył ramionami. — Skoro to jej przynosi jakąś ulgę, nie wyprowadzamy jej z błędu.

— Rozumiem. A czy ktoś go odwiedza poza córkami?

— Tylko wnuki w czasie świąt i w urodziny była jego gosposia.

— Nikt z zewnątrz?

— Kilka osób zwracało się o pozwolenie na wizytę, ale wszystkim odmówiliśmy — odparł doktor Venturi. — Córki profesora życzą sobie, żeby jego obecność w klinice i nieszczęsny stan pozostały, o ile to możliwe, tajemnicą.

— A co do tych osób, które zwracały się o pozwolenie — dociekał Randall. — Czy pamięta pan, kto to był?

— Nazwisk nie pamiętam. — Venturi machnął fajką. — Kilku dawnych kolegów profesora z uniwersytetu. Powiedzieliśmy im, że profesor cierpi na nerwicę i musi mieć spokój. To było na samym początku, potem już żaden z nich się nie starał.

— Czy poza nimi jeszcze ktoś próbował się z nim zobaczyć?

— Teraz, gdy pan się tak dopytuje, przypomniałem sobie jeszcze jedną osobę. Pamiętam, bo to było nie tak dawno i jest to człowiek o znanym nazwisku.

— Kto taki? — zapytał Randall zaintrygowany.

— Sławny duchowny, pastor Maertin de Vroome. Zwrócił się do nas na piśmie z prośbą o wizytę u profesora. Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie wrażenie. Nie wiedziałem, że byli przyjaciółmi. Zresztą wkrótce potem uświadomiono mi, że wcale nie byli. W pierwszej chwili miałem jednak nadzieję, że odwiedziny pastora mogą być dobrym bodźcem dla mojego pacjenta. Przekazałem więc list de Vroome'a córkom, a one odrzuciły prośbę, i to dość stanowczo, że tak powiem. W rzeczy samej, jest pan pierwszą osobą spoza rodziny, której zezwoliliśmy na wizytę u profesora. — Venturi spojrzął na zegarek. — Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, panie Randall?

— Nie — odparł Randall, wstając. — Dowiedziałem się już wszystkiego. Dziękuję, doktorze.

Podróż powrotna do centrum Rzymu upłynęła im w posepnym nastroju.

Chociaż z wahaniem, opowiedział jednak Angeli, skulonej obok niego na tylnym siedzeniu opla, o przebiegu swego spotkania z profesorem Montim i o rozmowie z doktorem Venturim.

Angela wspominała ojca jako człowieka o bystrym, żywym umyśle. Jaka to szkoda, stwierdziła z bezbrzeżnym smutkiem, że nigdy się nie dowie o tych wszystkich cudownych wydarzeniach, które nastąpią w rezultacie jego odkrycia.

— On już to wie — zapewnił ją Randall. — Wiedział od chwili, gdy go dokonał. Cieszył się w pełni świadomością zbawiennych skutków, jakie jego praca przyniesie światu.

— Jesteś słodki, Steve. — Pocałowała go w policzek.

Angela zaprosiła Randalla na kolację do rodzinnego domu Montich, lecz chociaż propozycja była kusząca, uznał, że lepiej będzie odmówić.

— Pobądź trochę z rodziną — zaproponował. — Będziemy mieli jeszcze dla siebie dość czasu. Poza tym muszę wracać do Amsterdamu. Wheeler i tak się wścieknie, że nie było mnie dzisiaj w pracy.

— Kiedy lecisz?

— Chyba późno w nocy. Chcę jeszcze załatwić trochę prywatnej korespondencji, póki tu jestem, bo w Amsterdamie nie będzie na to czasu. Muszę napisać do rodziców i do córki. Napiszę też do Jima McLougline, opowiadałem ci o nim. Ta sprawa wciąż mnie gnębi. Mojemu prawnikowi nie udało się go zlokalizować, ale list może jakoś mu przekazać.

— W takim razie jedźmy najpierw do twojego hotelu — powiedziała Angela. — Potem kierowca zawiezie mnie do domu.

— A kiedy wrócisz do Amsterdamu? — zapytał Randall. — Jutro rano?

— Jutro wieczorem — odparła z przekornym uśmiechem. — Jeśli mój szef mnie nie wyrzuci z pracy. Chciałabym pójść na zakupy z siostrą i do Ogrodów Borghese z siostrzenicami. Pańska sekretarka wróci jutro wieczorem, panie Randall, zgadza się pan?

— Nie zgadzam się, ale będę czekał.

— Chciałabym cię jeszcze o coś zapytać. — Spojrzała na niego bez uśmiechu.

— Tak?

— Co zamierzasz zrobić, kiedy wrócimy do Amsterdamu?

— Oczywiście rzucić się w wir pracy — oznajmił. — Ach, o to ci chodzi — dodał, widząc napięcie na jej twarzy. — Czy będę jeszcze węszył w kwestii papierusu i zdjęcia? Nie będę, Angelo. Twój ojciec był ostatnią instancją, i to już koniec. Ślepa uliczka. Nawet gdybym chciał, nie mam już dokąd się zwrócić. Odkładam moje detektywistyczne zapędy na półkę i zajmuję się wyłącznie kampanią. Oddaję się w pełni sprzedawaniu Słowa.

— Pomimo wątpliwości?

— Przemyślałem to tutaj, w Rzymie — odrzekł. — Zawsze wątpiłem w rzeczy tajemne, ale zarazem nigdy do końca nie straciłem wiary. Czy znasz modlitwę Ernesta Renana? „Boże, o ile Bóg istnieje, zbaw moją duszę, o ile posiadam duszę”. To właśnie cały ja, tu i teraz.

Angela się roześmiała.

— I można z czymś takim żyć?

— Nie mam wyboru — odparł, ściskając jej dłoń. — Nie martw się, poradzę sobie... Oto i Excelsior. Daj buzi na pożegnanie i do zobaczenia jutro, kochana.

Randall wszedł do hotelowego holu, wziął z recepcji klucz i skierował się do wind.

Jedna właśnie zjechała na dół i wysiadali z niej pasażerowie. Kiedy się opróżniła, Randall wsiadł i wyciągnął rękę do guzika z cyfrą pięć. W tym momencie do windy wsiadł ktoś jeszcze i sięgając ponad jego ramieniem, nacisnął czwórkę. Rękaw tamtego był rękawem sutanny.

Drzwi się zamknęły i winda ruszyła. Randall odwrócił się, spojrzał na przybysza i aż zapało mu dech w piersiach.

Nad czarną sutanną zobaczył zapadniętą twarz z igrającym na wąskich wargach uśmiechem.

— I znów się spotykamy, panie Randall — powiedział pastor Maertin de Vroome. — Jak się udało dzisiejsze spotkanie z profesorem Montim?

— Skąd pan, u diabła, wie, że się z nim widziałem? — wyrzucił z siebie Randall, zupełnie skonsternowany.

— Przyjechał pan do Rzymu, żeby się z nim zobaczyć, tak samo jak wcześniej ja to zrobiłem. Proste. Obserwowanie pana posunięć, panie Randall, uznałem za swój święty obowiązek. Od naszego ostatniego spotkania śledziłem z narastającą ciekawością i respektem pańskie kroki. Jest pan, jak to czułem od początku, poszukiwaczem prawdy. Nie ma ich zbyt wielu. Ja także do nich należę. I cieszę się, że podążamy tym samym tropem, że nasze ścieżki się znów splątały. Być może tutaj, w wiecznym mieście, nadszedł czas na naszą kolejną rozmowę.

— Na jaki temat? — zapytał Randall poirytowany.

— Na temat fałszerstw, jakimi są Ewangelia według Jakuba i Pergamin Petroniusza.

— Skąd pan jest taki cholernie pewny, że to fałszerstwa?

— Stąd, że właśnie widziałem się z fałszerzem i poznałem wszystkie szczegóły tego oszustwa — odrzekł de Vroome. — To moje piętro — dodał, gdyż winda właśnie stanęła. — Przypuszczam, że pan też tutaj wysiada, panie Randall?

Randall siedział oszołomiony w głębokim pluszowym fotelu, w przestronnym pokoju de Vroome'a w hotelu Excelsior. Przyszedł tu za pastorem posłusznie, zupełnie zbity z tropu jego stanowczym stwierdzeniem.

Wciąż jeszcze chciał wierzyć, że to tylko sztuczka de Vroome'a, kolejna z jego gier. Choć sam miał wątpliwości co do projektu, teraz zdecydowany był wątpić w szczerą intencję nieprzyjaciela. A mimo to nie mógł. Jakaś nuta w głosie tamtego, gdy rozmawiali w windzie, kazała mu wierzyć, że tym razem ociera się o prawdę.

Duchowny zaproponował mu drinka i Randall nie odmówił.

— Co pan wybiera? — zapytał de Vroome, przypatrując się butelkom w barku. — Ja się napiję koniaku z wodą.

— Proszę szkocką z lodem.

— Proszę bardzo.

De Vroome zaczął mówić, przygotowując drinki.

— Większość osób zaangażowanych w produkcję Międzynarodowego Nowego Testamentu... tak, panie Randall, znam już tę nazwę... to uczciwi, przyzwoici ludzie, żywo zainteresowani sprawami ducha, jak pan to kiedyś ujął. Wierzą w esencję Słowa, podobnie jak ja w nią wierzę. Jednakże ludzie ci tak bardzo marzą o odnowie uniwersalnej wiary, że podążyli za tymi, którzy nimi manipulują. Dali się omamić osobom traktującym religię jako

źródło zysku, a także władzy, ludziom, którzy nie cofną się przed niczym, żeby przetrwać. — Przerwał na chwilę. — Nawet przed sfalszowaniem Ewangelii.

De Vroome podszedł ze szklaneczkami w rękach do stolika, postawił przed Randallem szkocką i rozsiadł się wygodnie na kanapie.

— Może pan przestać wątpić, panie Randall — powiedział. — Podążał pan właściwym tropem. Falszerz istnieje naprawdę. Widzieliśmy go. Rozmawialiśmy z nim. — Uniósł swoją szklanę. — Za prawdę — wygłosił krótki toast z krzywym uśmiechem. Wypił łyk koniaku i widząc, że Randall nie tknął swojego drinka, pokiwał wyrozumiale głową. — Przejdźmy w takim razie do faktów — oświadczył. — Chce pan wiedzieć, w jaki sposób namierzyliśmy falszerza? Nie mieliśmy takiej możliwości, choć wiedzieliśmy, że istnieje, czy też istniał. To on sam nas odnalazł, panie Randall. Przynętą okazały się artykuły Plummera o rozłamie wśród Kościołów chrześcijańskich, o moich próbach reformy i oczywiście o przygotowywanej przez ortodoksów zupełnie nowej wersji Nowego Testamentu, opartej na nieznanym odkryciu archeologicznym we Włoszech. Teksty Plummera trafiły do wielu światowych gazet poprzez jedną z agencji prasowych, między innymi do popularnego rzymskiego dziennika „Il Messaggero”.

Na razie wszystko się zgadza, pomyślał Randall. Nie dalej jak przed godziną wspominał o artykule w „Il Messaggero” doktor Venturi.

— Jak pan zapewne się domyśla — ciągnął de Vroome — Cedric Plummer otrzymał po swoich sensacyjnych tekstach pokaźną liczbę listów. Nasz angielski żurnalista ma oczywiście swoje wady, ale z pewnością nie należy do nich brak szacunku dla czytelnika. Stara się czytać każdy list, a jeden z nich, wysłany z Rzymu za pośrednictwem redakcji „Il Messaggero”, przeczytał kilkakrotnie, zanim go przyniósł do mnie, do Westerkerk. List ów, napisany na taniej papeterii, pochodził od Francuza osiadłego od wielu lat w Rzymie. Ten człowiek nie podpisał się własnym nazwiskiem, lecz zabawnym i nieco go umniejszającym pseudonimem... Duca Minimo. Czy zna pan włoski, panie Randall?

— Nie znam.

— Duca Minimo znaczy po włosku Księżę Niczego. Świetny kontrpunkt dla zawartości samego listu, która dosłownie zwała z nóg. — De Vroome pociągnął łyk koniaku i kontynuował swój wywód. — List wydawał się nazbyt wspaniały, by mógł być prawdziwy. Francuz napisał w nim, że przeczytał artykuły Plummera z wielkim zainteresowaniem. Tak się wyraził, „z wielkim zainteresowaniem”, choć nigdy nie słyszałem stwierdzenia mniej

adekwatnego do wagi sprawy. Napisał dalej, że nowa Biblia opierać się będzie, w jego przekonaniu, na odkryciu archeologicznym profesora Augusta Montiego, dokonanym w ruinach antycznej Ostii przed sześciu laty. Było to niesamowite znalezisko... ni mniej, ni więcej, tylko nieznaną ewangelią, napisaną po aramejsku przez Jakuba Sprawiedliwego, brata Jezusa, wcześniejsza od czterech kanonicznych ewangelii Nowego Testamentu. Prócz tego tekstu profesor Monti odkopał także dokument na pergaminie, oficjalny raport o procesie Jezusa, wysłany z Jerozolimy do Rzymu. Na podstawie obu tych tekstów, napisał Duca Minimo, stworzono tak zwany Międzynarodowy Nowy Testament, który ma zostać wkrótce ogłoszony światu. Jednakże, stwierdzał dalej nasz tajemniczy Francuz, sam fundament nowej Biblii jest oszukaństwem, a odkrycie Montiego starannie od wielu lat przygotowywanym fałszerstwem. Wiadomo mu o tym, ponieważ to on sam jest owym fałszerzem i teraz z dumą może powiedzieć, że uznanie tekstów za autentyczne stawia go w rzędzie największych literackich fałszerzy w historii, wyżej od Irelanda, Chattertona, Psalmanazera czy Wise'a.

Czuje oczy pastora de Vroome'a wypatrywały jakiejś reakcji Randalla, ten jednak siedział nieruchomo.

— W każdym razie, odczytany człowiek z tego naszego korespondenta, nie ma dwóch zdań — dodał duchowny.

Randall, choć chłonał każde jego słowo, postanowił na razie się nie odzywać.

— Wracając do treści listu — podjął de Vroome — Francuz napisał do Plummera, że jest gotowy ujawnić swoją rolę w mistyfikacji i powiedzieć o tym publicznie w przededniu pojawienia się nowej Biblii. Napisał też, że jeśli Plummer chce poznać szczegóły mistyfikacji oraz cenę za dostarczenie próbki jego wytworów, gotów jest spotkać się na neutralnym gruncie w celu negocjacji. To pierwsze spotkanie miało się odbyć sam na sam, określonego dnia w określonym miejscu w Paryżu, przy czym Plummer miał mu zafundować bilet lotniczy i jakąś skromną kwotę na wyżywienie i nocleg.

Widząc, że pastor skończył, Randall pociągnął duży łyk szkockiej. Nagle poczuł, że bardzo potrzebuje drinka.

— Czy list od razu wydał się panu wiarygodny? — zapytał.

— Nie, oczywiście, że nie — odparł de Vroome. — Świat jest pełen religijnych maniaków i w normalnych okolicznościach zignorowałbym coś takiego. Im dłużej jednak analizowałem list, tym bardziej czułem, że jego autor może pisać prawdę. Wiarygodności dodawał mu jeden dość przekonujący fakt. Francuz napisał mianowicie, że odkrycie profesora

Montiego zostało dokonane w antycznej Ostii. Znaliśmy już rolę profesora w całej tej historii, lecz miejsce wykopalisk trzymane było w ścisłej tajemnicy. Wiedzieliśmy tylko, że znajdowało się we Włoszech. Zrobiło to na mnie wrażenie, tym bardziej że dość szybko udało mi się zweryfikować tę informację poprzez moje powiązania w Rzymie. Gdy podałem nazwę miejscowości moim znajomym, potwierdzili, że istotnie profesor Monti prowadził tam wykopaliska i dokonał wiekopomnego odkrycia, które na razie pozostaje tajemnicą. Autor listu podał też nazwę waszej publikacji... Międzynarodowy Nowy Testament... co również udało mi się potwierdzić. Nie mogłem tego zignorować. Nawet jeżeli ten Duca Minimo nie był rzeczonym fałszerzem, nawet jeżeli uzyskał swoje informacje z drugiej ręki, wiedział tyle, że należało go potraktować poważnie. Poza tym nie musiał sam być źródłem tej wiedzy, wystarczyło, że miał do niej dostęp. Poleciałem Plummerowi, żeby odpisał mu na poste restante w Rzymie, tak jak chciał, ustalił termin i miejsce spotkania w Paryżu i wysłał mu pieniądze na podróż. Spotkanie odbyło się tydzień temu.

— Plummer się z nim spotkał? Gdzie?

— Na Pere-Lachaise.

— Co to jest?

— Cmentarz, nie słyszał pan o nim? — zdziwił się de Vroome. — Pere-Lachaise to słynny cmentarz, gdzie spoczywa wiele sławnych osobistości... Heloiza i Abelard, Chopin, Balzac, Sarah Bernhardt, Colette... Nasz fałszerz napisał, że będzie czekał na Plummera przy rzeźbie Jacoba Epsteina, która stoi nad grobem Oscara Wilde'a. Teatralny pomysł, przyzna pan. A jednak całkiem sensowny. Pere-Lachaise to świetne miejsce na spotkanie dla kogoś, kto nie chce się rzucać w oczy. Byłem tam kiedyś. Rozległy teren, cisza, spokój, pagórki, ścieżki, topolowe i akacjowe zagajniki. Dla łowcy sensacji, takiego jak Plummer, to też intrygujące miejsce.

— I tam właśnie się spotkali? — dopytywał się Randall.

— Tam, ale nie przy grobie Wilde'a. Gdy Plummer przybył na cmentarz, strażnik przy bramie zapytał go o nazwisko i wręczył mu zaklejoną kopertę z wiadomością. Była w niej karteczka od Francuza. Zmienił miejsce spotkania, polecił dziennikarzowi iść do grobu Balzaca. Widocznie przy nagrobku Wilde'a był zbyt duży ruch. Plummer uznał to za wyjątkowo poetycki akcent, spod pióra Balzaca wyszło bowiem wiele opisów różnych łotrzyków i złoczyńców, a teraz jego grób przyciągnął człowieka, który mógł się okazać największym fałszerzem w historii ludzkości.

De Vroome przerwał, dopił swój koniak i spojrzał na pustą szklaneczkę Randalla.

— Jeszcze raz szkocka? — zapytał.

— Nie, nie, dziękuję. Proszę mówić dalej. I co się wydarzyło?

— Cedric Plummer, jako rasowy dziennikarz, zrobił obszerne notatki ze spotkania. Czytałem je i przedstawię panu ich esencję. Nasz samozwańczy fałszerz nazywa się naprawdę Robert Lebrun. Okazało się, że to człowiek sędziwy, ma osiemdziesiąt trzy lata. Nie jest jednak zgrzybiałym starcem, ma bystry umysł i świetną pamięć. Włosy ufarbowane na brązowo, szare oczy, na jednym katarakta. Okulary w stalowej oprawce, spiczasty nos, mocno pomarszczona twarz. Średniego wzrostu, ale wydaje się niższy, bo jest przygarbiony. Chodzi dziwnym krokiem, powłócząc jedną nogą, gdyż jest amputowana. Ma protezę, o czym nie lubi mówić. Historia jego życia dodaje całej sprawie wiarygodności.

— Skąd pochodzi?

— Z Paryża. Urodził się i wychował na Montparnasse. Nie powiedział Plummerowi zbyt wiele. Stali przy grobie Balzaca w ostrym słońcu i szybko go to zmęczyło. W młodości pracował jako terminator u rytownika. Pochodził z ubogiej, licznej rodziny i dla zdobycia pieniędzy na jej utrzymanie zaczął popełniać drobne fałszerstwa. Odkrył, że ma do tego talent. Podrabiał paszporty, potem banknoty o niskich nominałach, aż w końcu zabrał się do listów historycznych, rzadkich manuskryptów, fragmentów iluminowanych średniowiecznych Biblii. W pewnym momencie przesadził jednak. Próbował podrobić, bez odpowiedniego przygotowania, jakiś rządowy dokument. Szczegółów nie znam. W każdym razie wpadł, został aresztowany, a ponieważ wchodził już wcześniej w konflikty z prawem, skazano go na zesłanie do sławetnej kolonii karnej w Gujanie Francuskiej. Życie tam było dla młodego Lebruna nie do zniesienia. Władze więzienia nie zajmowały się jego resocjalizacją, stał się oporny jak nigdy przedtem i był za to karany. W pewnym momencie, kiedy osadzono go na jednej z trzech wysp, znanych później pod wspólną nazwą Diabelska Wyspa, Lebrun był bliski samobójstwa. Wówczas właśnie zaprzyjaźnił się z katolickim duszpasterzem z Francji, z zakonu Zgromadzenia Ducha Świętego. Ksiądz odwiedzał kolonię karną dwa razy w tygodniu. Zainteresował się Lebrunem, zwrócił go w stronę wiary, podsuwał mu religijne lektury i w końcu życie młodego więźnia nabrało celu i sensu. Po trzech latach pobytu w Gujanie Lebrun otrzymał możliwość ułaskawienia. Plummer nie dowiedział się szczegółów, ale rzecz okazała się

oszustwem i od tamtej pory Lebrun jeszcze bardziej zgorzkniał i zamknął się w sobie. Szczegółnej nienawiści nabrał do religii.

— Nie rozumiem tego — rzekł zdziwiony Randall.

— Niewiele wiem na ten temat, proszę wybaczyć — odparł de Vroome. — Lebrun ujawnił jedynie, że ów ksiądz, któremu zaufał, złożył mu propozycję w imieniu władz. Jeżeli zgodzi się wziąć udział w pewnym niebezpiecznym przedsięwzięciu czy eksperymencie i wyjdzie z tego cało, odzyska wolność. Lebrun się wahał, lecz pod namową duchownego skorzystał z propozycji. Przeżył, choć stracił nogę, wolność była warta nawet takiej ceny. Jednakże obiecane ułaskawienie nie otrzymał i musiał wrócić do tropikalnego piekła. Od dnia czarnej rozpaczki poprzysiął zemstę... nie, wcale nie rządowi Francji, lecz duchowieństwu, a dokładnie wszelkiej religii i jej kapłanom. To wtedy w jego gniewnym umyśle i sercu zrodził się szalony, perwersyjny plan, żeby zakpić sobie z wyznawców Chrystusa i zadać potężny cios wszystkim Kościołom.

— Podsuwając im fałszywą nową ewangelię — mruknął Randall.

— Tak, a do tego jeszcze fałszywy pergamin, pogańskie źródło dotyczące procesu Chrystusa, którego tak znienawidził. Lebrun chciał poświęcić resztę życia na przygotowanie tej mistyfikacji. Zamierzał najpierw przekonać opinię publiczną do jej prawdziwości, a następnie ujawnić wszystko, by udowodnić fałszywość religii i obnażyć łatwowierność jej naiwnych wyznawców. Przygotowywał się do tego od roku tysiąc dziewięćset osiemnastego, gdy wrócił do więzienia w Gujanie, aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, kiedy to Francja zlikwidowała kolonię karną. Zgłębiał Biblię i historię chrześcijaństwa w pierwszym wieku, aż w końcu, po trzydziestu ośmiu latach odsiadki, wrócił do kraju jako wolny człowiek, lecz jednocześnie były skazaniec, opętany pragnieniem odwetu.

— I wówczas sporządził te mistrzowskie fałszyfikaty?

— Nie tak od razu — odparł de Vroome. — Przede wszystkim potrzebował pieniędzy, podjął więc na nowo przestępczą działalność. Uruchomił jednoosobową fabryczkę fałszywych paszportów. Kontynuował także studia nad Pismem Świętym, życiem Jezusa, wczesnym chrześcijaństwem i oczywiście językiem aramejskim. Był samoukiem wręcz genialnym. W końcu zgromadził dość pieniędzy na zdobycie niezbędnych starożytnych materiałów i przeprowadził się do Rzymu, gdzie w tajemnicy zaczął preparować papirus i pergamin. Ukończył tę pracę, ku swojej wielkiej satysfakcji, przed dwunastu laty.

Randall był tak oszołomiony i zaintrygowany, że całe jego niedowierzanie i nieufność gdzieś się ulotniły.

— A profesor Monti? — zapytał. — W którym momencie pojawił się w tej historii Monti? Czy Lebrun znał go przed przyjazdem do Rzymu?

— Nie, nie znał go osobiście, ale oczywiście natrafił na jego nazwisko podczas swych studiów nad archeologią biblijną. A potem, któregoś dnia, gdy zastanawiał się wciąż, gdzie ukryć swoje falsyfikaty, żeby zostały następnie odkopane, wpadł mu w ręce radykalny artykuł profesora w jednym z fachowych czasopism. Randall pokiwał głową.

— Tak, wiem. Monti ogłosił kontrowersyjną tezę, że brakującego Źródła Q należy szukać nie w Palestynie czy Egipcie, lecz we Włoszech.

— Ano właśnie — odparł de Vroome, wyraźnie pod wrażeniem. — Widzę, że odrobił pan zadanie domowe, panie Randall. Ale idźmy dalej. Po przeczytaniu tego artykułu Lebrun poczuł, że brakujące elementy jego kombinacji zaczynają trafiać na miejsce. Jednym z sugerowanych przez Montiego terenów ewentualnych wykopalisk były starożytne ruiny na wybrzeżu, w okolicach Ostii. Po przestudiowaniu topografii tego obszaru Lebrunowi udało się umieścić falsyfikaty pod ziemią, w ruinach rzymskiej willi z pierwszego wieku.

— Jak to możliwe, że nikt go na tym nie przyłapał? — zapytał Randall, czując znów przypływ sceptycyzmu.

— Nie wiem — odparł duchowny — ale zrobił to. Sądzę, że Lebrun jest zdolny do wszystkiego. Należy też pamiętać o jego nieskończonej cierpliwości. Po zakopaniu papirusu i pergaminu odczekał ładnie kilka lat, żeby zapieczętowany dzban i blok kamienny wtopiły się w strukturę ruiny i wydawały się nadszarpnięte zębem czasu. Rząd włoski zezwolił w tym okresie na kolejne wykopaliska w Ostii. Lebrun liczył na to, że jego falsyfikaty zostaną przy tej okazji odkryte. Lecz prowadzone wówczas prace były dość powierzchowne. Profesor Monti tymczasem publikował kolejne artykuły, propagujące poszukiwanie Źródła Q we Włoszech, i był z tego powodu coraz częściej wyśmiewany i krytykowany przez swych konserwatywnych kolegów. Lebrun dowiedział się o tych kontrowersjach. Domyślił się, że Monti bardzo pragnie udowodnić, że jego przypuszczenia nie są czczym wymysłem. Francuz uznał, że nadszedł czas działania. Siedem lat temu, jak powiedział Plummerowi, odwiedził profesora na uniwersytecie. Jak się okazało, trafnie ocenił sytuację psychologiczną naszego archeologa.

— Czyli profesor złapał haczyk? — spytał Randall. — Ale co nim było?

— Niewielki fragment papirusu z aramejskim tekstem, który Lebrun przyniósł ze sobą— odparł de Vroome. — Naprawdę nie należy go lekceważyć, to człowiek diabolicznie wręcz przebiegły. Z fałszywego papirusu numer trzy usunął dwa fragmenty materiału, żeby wyglądał autentyczniej. Jeden z tych kawałków zostawił bez zmian, a drugi pokrył tekstem i zaprezentował Montiemu. Przewidział oczywiście, że profesor zapyta go, jak zdobył ten skrawek. Opowiedział mu więc, że zajmuje się po amatorsku historią Rzymu z pierwszego wieku i pracuje nad książką na temat tego okresu. Weekendy poświęca na zwiedzanie miejsc związanych w starożytności z handlem. W czasach Tyberiusza i Klaudiusza Ostia była dużym portem morskim i Lebrun od lat wędrował po tym obszarze, próbując ustalić, jak wyglądał ów port, żeby zamieścić opis w swojej książce. Tak w każdym razie powiedział Montiemu. Powiedział też, że stał się już znany mieszkańcom tej okolicy i pewnego razu zaczepił go miejscowy ulicznik, proponując kupno antycznej pamiątki. Był to właśnie ów fragment papirusu, który Lebrun pokazał profesorowi.

— Czy Monti nie chciał wiedzieć, jak znalazł się w rękach chłopaka? — zapytał Randall.

— Oczywiście, że chciał, ale Lebrun miał odpowiedź na wszystko. Wyjaśnił mu, że ulicznik zwykł bawić się z rówieśnikami, kopiąc tunele w zboczach pagórków. Tydzień wcześniej odkopali fragment kamionkowego naczynia, które rozleciało się, gdy wyciągnęli je z ziemi. W środku znajdowały się kawałki starego papieru, które chłopcy początkowo używali do gry w karty, jako pieniądze, aż w końcu większość wyrzucili. Nasz ulicznik zachował jednak swój skrawek, przypuszczając, że może na nim zarobić parę lirów. Lebrun zapłacił mu jakieś grosze, niepewny co do wartości znaleziska, i dopiero w domu przyjrzał się skrawkowi uważniej. Mając rozległą wiedzę na temat starożytnych manuskryptów, niemal od razu dostrzegł jego potencjalne znaczenie, a teraz chciałby, żeby potwierdził to autorytet, jakim jest profesor. Według słów Lebruna, Monti był zainteresowany, aczkolwiek dość sceptyczny. Poprosił o zostawienie mu papirusu na tydzień, do dokładnego zbadania. Może pan sobie wyobrazić, co było potem.

Randall słuchał uważnie. Przedtem sam podważał autentyczność Drugiego Zmartwychwstania, teraz zaś nie dowierzał historii Lebruna, która tę autentyczność kwestionowała. Obie podstawy były równie niepewne, lecz jedna musiała być prawdziwa.

— Ciekaw jestem, pastorze, co też ten Robert Lebrun jeszcze wymyślił — rzekł do de Vroome'a.

— Widzę, że wciąż jest pan sceptyczny, tak jak na początku profesor Monti. — Duchowny spojrział na niego spod oka. — Wierzę jednak, że się pan przekona, tak jak przekonał się profesor po tygodniu badania papiirusu. Kiedy Lebrun znów zjawił się u niego, Monti nie ukrywał radości. Był niezwykle podekscytowany. Obwieścił, że przyjrzał się fragmentowi bardzo dokładnie i jak najbardziej wierzy w jego autentyczność. Był to prawdopodobnie urywek z nowotestamentowego kodeksu, starszego od wszystkich istniejących, włącznie z najstarszą znaną ewangelią, napisaną przez Marka najpewniej w roku siedemdziesiątym. Skoro ten skrawek został znaleziony, musiało być ich w ziemi więcej. Gdyby udało się odnaleźć większe fragmenty tekstu, byłoby to najbardziej niebywałe odkrycie biblijne w historii. Monti był gotów wystąpić o odpowiednie zezwolenia, jeśli Lebrun pokaże mu miejsce znaleziska. Francuz zgodził się podjąć współpracę pod dwoma warunkami. Po pierwsze, jeśli wykopaliska okażą się sukcesem, otrzyma połowę zysku. Po drugie, profesor musi mu obiecać anonimowość, pełną dyskrecję i nie wspominać w ogóle o jego roli, ponieważ był we Włoszech cudzoziemcem i ze względu na konflikty z prawem w młodości we Francji mógł zostać deportowany do kraju. Monti zgodził się na obydwa warunki i porozumienie zostało zawarte.

— I wówczas profesor rozpoczął wykopaliska?

— Rozpoczął je nieco później, po półrocznych przygotowaniach. I po trzech miesiącach kopania natrafił na drugi zapieczętowany dzban, zawierający Ewangelię według Jakuba i Pergamin Petroniusza. A teraz, po upływie sześciu lat, świat ma otrzymać tę piątą ewangelię i nowy wizerunek Jezusa w postaci Międzynarodowego Nowego Testamentu.

— Pastorze — rzekł Randall, prostując się. — Chyba poproszę o następnego drinka.

— Ja też się jeszcze napiję — odparł duchowny, wstając. Randall zaczął nerwowo nabijać fajkę. Szukał tych drzwi do prawdy, a teraz, gdy już zostały otwarte, nie mógł dojrzeć wyraźnie, co jest w środku.

— Ta historia nie mogła się tak skończyć — powiedział. — Musi mieć jakieś zakończenie.

— Oczywiście, że ma zakończenie — stwierdził pastor — a nawet dwa. Jedno związane z Lebrunem i Montim, a drugie z Lebrunem, Plummerem i mną.

De Vroome wrócił z drinkami, usiadł na kanapie i podjął wątek na nowo.

— Według Lebruna, kiedy znalezisko z Ostii zostało potwierdzone i teksty przejęli wydawcy z Drugiego Zmartwychwstania, profesor Monti podzielił się

z nim uczciwie swoim zyskiem. Jednak to nie pieniądze, jak pan pamięta, były właściwym celem naszego fałszerza. Czekał, aż Kościół zaakceptuje odkrycie. Dopiero wtedy chciał ujawnić mistyfikację i dokonać ostatecznego aktu zemsty. Czekał cierpliwie, rok za rokiem, na publikację nowej Biblii, by móc obwieścić światu o szalbierstwie Kościoła. Przed rokiem przydarzyło mu się coś, co zburzyło ten spokój. Przepuścił większość pieniędzy od Montiego na gry hazardowe i uliczne kobiety i został praktycznie bez grosza. Do ubóstwa był jednak przyzwyczajony i to nie ono było przyczyną jego następnego kroku. Był nią autentyczny romans. Sędziwy Francuz zakochał się jak idiota w jednej z prostytutek nawiedzających Ogrody Borghese. Była to młoda, głupiutka, ale sprytna dziewczyna. Starzec zupełnie jej nie pociągał, chyba że mógłby jej zapewnić pewne wygody czy nawet luksus. Lebrun wyznał uczciwie Plummerowi, że rozpaczliwie pragnie ją posiadać i widzi tylko jedno rozwiązanie. Mianowicie szantaż.

— I kogo miałyby szantażować? Profesora Montiego?

— Zgadł pan. Obsesja Lebruna, żeby skompromitować Kościół, z biegiem lat nie wygasła, lecz teraz przyćmiła ją nowa, silniejsza. Potrzeba pieniędzy, za które mógłby kupić miłość. Dlatego postanowił spotkać się z Montim ponownie...

— Kiedy dokładnie to nastąpiło?

— Nie wiem.

Zapewne właśnie przed rokiem i dwoma miesiącami, pomyślał Randall.

— Czy przypadkiem nie w maju ubiegłego roku? — zapytał.

— Bardzo możliwe — odparł de Vroome. — W każdym razie spotkał się z profesorem gdzieś poza uczelnią. Chciał się dowiedzieć, kiedy wreszcie przełomowa publikacja się ukáže. Przekład był już wówczas gotowy i przygotowywano go do druku u Henniga w Moguncji. Monti zapewnił więc Lebruna, że nowa Biblia ukáže się w następnym roku, czyli w obecnym. Wyjawił mu nawet jej tytuł. I wówczas Lebrun wyłożył mu prawdziwy cel swej wizyty. Powiedział, że rozpaczliwie potrzebuje większej gotówki, i to jak najszybciej. Monti jednak nie miał pieniędzy, a nawet gdyby je miał, nie widział powodu, żeby ponownie płacić Francuzowi. „Powód się znajdzie — oznajmił na to Lebrun. — Jeśli nie dostanę tych pieniędzy, zniszczę pana i zniszczę nową Biblię. Ujawnię prawdę o pańskim odkryciu. A prawda jest taka, że to mistyfikacja, wymyślona przeze mnie i przygotowana tymi oto rękami”. Wyobraża pan sobie zapewne, jakie to zrobiło wrażenie na nieszczęsnym profesorze.

— Ale Monti mu chyba nie uwierzył? — zapytał Randall.

— Oczywiście, że nie, nie był w stanie uwierzyć w coś takiego. Jednakże Lebrun, jak powiedział Plummerowi, był na to przygotowany. Miał ze sobą niepodważalny dowód, że teksty Jakuba i Petroniusza zostały sfalszowane.

— Jaki dowód?

— Tego Plummerowi nie wyjawiał — odparł de Vroome. — Ale dowód musiał być rzeczywiście niezbity, ponieważ Monti, kiedy go zobaczył, doznał szoku. Lebrun powiedział mu: „Jeżeli da mi pan pieniądze, oddam panu ten dowód, pańska reputacja pozostanie nienaruszona, a Międzynarodowy Nowy Testament nie straci autentyczności. Jeśli pan odmówi, wszystko ujawnię. Co pan na to?”. Zdesperowany profesor odpowiedział, że wobec tego postara się jakoś zdobyć pieniądze.

— I zdobył je?

— Jak pan już wie, nawet nie miał takiej możliwości. Wrócił do swego gabinetu na uczelni. Może pan sobie wyobrazić, jak siedział tam samotnie, skamieniały z rozpaczą, ze świadomością, że został oszukany, że dorobek jego życia obrócił się w ruinę, że odejdzie w niesławie, a ludzie z Drugiego Zmartwychwstania, którzy mu zaufali, zostaną bankrutami. Popadł w kompletną depresję psychiczną, załamał się nerwowo. Kiedy Lebrun zadzwonił do niego po kilku dniach, żeby odebrać zapłatę, powiedziano mu, że profesor ciężko zachorował i nie ma go na uczelni. Sądząc, że to jedynie wybieg, Francuz zaczął śledzić córki profesora i pewnego dnia dotarł za nimi do Villa Bellavista. Gdy odkrył, że to prywatna klinika psychiatryczna, musiał w końcu pogodzić się z faktem, że Monti jest już dla niego nieprzydatny.

— Czy próbował rozmawiać z Angela Monti albo jej siostrą? — zapytał Randall.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Zaczął raczej, jak wyznał Plummerowi, rozglądać się za nową ofiarą. Włoskie Ministerstwo Kultury odpadało, gdyż zdawał sobie sprawę, że dla władz nie będzie żadnym przeciwnikiem, że może zostać aresztowany, a dowód fałszerstwa zniszczony. Syndykatu wydawców także się obawiał, ponieważ przypuszczał, że będą bronić zainwestowanych milionów wszelkimi sposobami i może się to dla niego źle skończyć. Myślał też o pójściu do prasy, ale bał się, że zostanie uznany za szaleńca, a dziennikarze mogą się dokopać do jego niechlubnej przeszłości. Doszedł w końcu do wniosku, że jedynym wyjściem będzie znalezienie kogoś, kto pragnie zniszczyć Drugie Zmartwychwstanie równie mocno jak on. I wówczas wpadły mu w ręce artykuły Cedrica Plummera w „Il Messaggero”. Lebrun zwiertzył w tym swoją szansę, i miał rację.

Randall sięgnął drżącą nieco ręką po szkocką.

— Czym się skończyło spotkanie Plummera z Lebrunem? — zapytał. — Czy zapłaciliście mu i zdobyliście dowód fałszerstwa?

Pastor de Vroome zmarszczył brwi, wstał i z pudełka na nocnej szafce wyjął cienkie cygaro.

— To właśnie jest to drugie zakończenie — odparł, zapalając je. — Dziwniejsze od wszystkiego, co się zdarzyło przedtem. Plummer wynegocjował z Lebrunem pewien układ. Francuz ukrył swój dowód w jakimś bezpiecznym miejscu pod Rzymem. Miał wrócić do Włoch, wydobyć go z kryjówki i czekać na Plummera. Ustalili czas i miejsce spotkania, jakiś obskurny bar, do którego chadzał Lebrun. Plummer miał tam obejrzeć dowód fałszerstwa, a następnie zapłacić za niego, a także za pisemny opis mistyfikacji, stosunkowo niedużą sumę pieniędzy.

— Ile? — zaciekawił się Randall.

De Vroome stał nad nim, puszczając kłęby dymu z cygara.

— Lebrun zażądał pięćdziesięciu tysięcy dolarów — odparł — ale Plummer zaczął się z nim targować i w końcu zbił cenę do dwudziestu tysięcy.

— Czy to drugie spotkanie się odbyło?

— Można tak powiedzieć. Ale najpierw opowiem panu o pewnej zmianie, którą wprowadziliśmy przed tym spotkaniem. Kiedy Plummer wrócił do Amsterdamu i opowiedział mi o wszystkim, byłem przepełniony nadzieją i radością. Od razu uznałem, że transakcja jest zbyt ważna dla naszej sprawy, żeby pozostawić ją w rękach Plummera. Jest dobrym dziennikarzem i wspiera nas, ale nie zna się na papierusach ani tym bardziej na analizie tekstów w języku aramejskim. Natomiast ja jestem w tych sprawach ekspertem. Byłem przekonany, że dowodem, o którym mówił Lebrun, będzie drugi fragment papierusu wyrwanego z arkusza numer trzy albo coś w tym rodzaju. Tylko ja miałem wystarczające kwalifikacje, żeby ocenić taki dowód, pojechałem więc z Plummerem do Włoch.

— Kiedy to było?

— Przed trzema dniami. Pojechaliśmy na miejsce spotkania w Rzymie...

— Gdzie dokładnie w Rzymie?

— To studencki bar czy kafejka na styku Piazza delle Cinque Lune... placu Pięciu Księżyców i Piazza di S. Appolinare. Brzmi romantycznie, ale to niezbyt malownicze miejsce, z zasłonką z plastikowych niebieskich pasków w drzwiach przeciwko muchom, jak w jakimś algierskim przybytku rozpusty. Nazywa się Bar Fratelli Fabri, bar Braci Fabri. Mieliśmy się tam spotkać z Lebrunem o pierwszej po południu. Przyszliśmy kwadrans wcześniej, z

dwudziestoma tysiącami dolarów w kieszeni, usiedliśmy przy stoliku na zewnątrz i czekaliśmy w dość dużym napięciu, jak się pan zapewne domyśla.

— I co, przyszedł? — zapytał niecierpliwie Randall.

— Pięc po pierwszej, gdy zaczęliśmy się już niepokoić, nagle naprzeciwko baru zatrzymała się taksówka i wysiadł z niej starszy, mocno przygarbiony mężczyzna. Podszedł, kulejąc, do kierowcy, żeby zapłacić, a Plummer chwycił mnie za ramię i zawołał: „To Robert Lebrun, to on!”. Potem zerwał się z krzesła i krzyknął: „Lebrun, tutaj jestem!”. Mężczyzna odwrócił się raptownie, omal się nie przewrócił z powodu sztucznej nogi. Spojrzał na nas i nagle bardzo się zmienił. Zaczął nam wygrażać pięścią, był po prostu wściekły. Krzyknął do Plummera: „Złamałeś słowo! Chcesz mnie sprzedać klechom!”. Pokazał palcem na mnie i wtedy zdałem sobie sprawę, że przecież jestem w sutannie. Idiotyczna gafa, nie pomyślałem, żeby się przebrać w cywilne ubranie. Stary oszust doszedł do wniosku, że Plummer pracuje dla Kościoła, że chce zdobyć dowód fałszerstwa tylko po to, żeby go zniszczyć. Plummer chciał przejść na drugą stronę ulicy, wytłumaczyć mu wszystko, ale był duży ruch i nie zdążył. Lebrun wsiadł z powrotem do taksówki i odjechał. Już się nie odezwał i nie udało nam się go odnaleźć. Nie ma żadnego Lebruna w książce telefonicznej ani w rejestrze meldunkowym.

— Czyli nic nie macie — podsumował Randall.

— Poza tym, co panu opowiedziałem, nic — przyznał de Vroome. — Ale moja relacja był pełna, ujawniłem wszystkie nasze sekrety, ponieważ wiem, że żywi pan wobec nowej Biblii te same podejrzenia i ponieważ potrafił pan osiągnąć cel, którego niestety ja nie osiągnąłem. Spotkał się pan jako jedyny z profesorem Montim. A tylko Monti zna prawdziwe nazwisko fałszerza i wie, gdzie on mieszka. Jest naszą ostatnią szansą. Jak pan myśli, czy profesor nam pomoże?

Randall schował fajkę, podniósł teczkę i wstał.

— Wie pan przecież, że Monti doznał załamania nerwowego — odparł. — Jest w klinice psychiatrycznej. Jakże mógłby nam pomóc?

— Ależ jego koledzy z uniwersytetu powiedzieli nam, że stan Montiego jest przejściowy — zaproponował de Vroome.

— Tak zostali poinformowani, ale to nieprawda — odrzekł Randall. — Ja go widziałem, próbowałem z nim rozmawiać, lecz bez powodzenia. Profesor Monti jest ciężko chory psychicznie i raczej już z tego nie wyjdzie.

Pastor de Vroome jakby zapadł się w siebie.

— W takim razie jesteśmy zgubieni — powiedział, patrząc Randallowi w oczy. — Chyba że wie pan jeszcze o czymś, co mogłoby nam pomóc. Pomoże nam pan?

— Nie — odparł krótko Randall. Ruszył do drzwi, lecz po drodze zatrzymał się przy pastorze. — O niczym nie wiem i nie mogę wam pomóc — powtórzył — ale nawet gdybym mógł, nie jestem pewien, czy chciałbym. Nie jestem nawet pewien, czy Robert Lebrun w ogóle istnieje. A jeśli istnieje, nie jestem pewien, czy można mu wierzyć. Dziękuję za zaufanie i za pańską uprzejmość, ale postanowiłem wrócić do Amsterdamu. Moja pogoń za prawdą skończyła się tutaj, w Rzymie. Dobranoc.

Wchodząc po schodach piętro wyżej, do swego pokoju, Randall rozmyślał o tym, że nie powiedział holenderskiemu duchownemu całej prawdy.

Okłamał go z rozmysłem. Nie wątpił wcale, że człowiek nazwiskiem Robert Lebrun jest gdzieś w Wiecznym Mieście i że ma dowód fałszerstwa. Było to logiczne i pasowało doskonale do sekwencji zdarzeń, które już znał.

Teraz musiał jakoś znaleźć Lebruna i wydobyć od niego dowód. Nie zamierzał wcale wracać do Amsterdamu, jeszcze nie. Chciał podjąć ostatnią próbę poznania prawdy. I wiedział, co może go do niej doprowadzić.

Wszystko zależało od kolejnej rozmowy telefonicznej z Angela Monti.

ROZDZIAŁ 10

Nazajutrz rano, w upalny i duszny rzymski dzień, Steve Randall czekał w chłodnym salonie domu Montich na gospozię Lucrezię. Miała mu przynieść to, czego tak uporczywie poszukiwał.

Kiedy poprzedniego wieczoru zadzwonił do Angeli, nie było jej w domu. Wyszła gdzieś z siostrą i oddzwoniła dopiero po północy.

Postanowił nie mówić jej o swym niespodziewanym spotkaniu z pastorem de Vroome'em i o jego rewelacjach. Nie chciał jej gnębić informacją, że epokowe odkrycie ojca może się okazać mistyfikacją, tym bardziej że nie miał na to jednoznacznych dowodów.

— A więc rano wracasz do Amsterdamu? — zapytała Angela.

— Chyba popołudniem, wczesnym popołudniem — odpowiedział. — Rano chciałbym załatwić jeszcze jedną sprawę, ale potrzebuję twojej pomocy. — Starał się mówić lekkim, rzeczowym tonem. — Czy możesz mi powiedzieć, co się stało z papierami twojego ojca, z materiałami, które miał w swoim biurku na uniwersytecie? Czy kiedy zachorował, a ściślej mówiąc, kiedy odwiozłaś go do szpitala, to wszystko tam zostało?

— Nie — odparła Angela. — Tydzień po tym, jak umieściliśmy go z Garetta w klinice, pojechałyśmy obie na uczelnię, do jego gabinetu... wciąż pamiętam, jaka bolesna była świadomość, że ukochana bliska osoba stała się nagle tak bezradna... a więc pojechałyśmy tam, popakowałyśmy jego notatki, książki i inne rzeczy w kartony i zabrałyśmy do domu, razem z szafką kartotekową.

— Wszystko?

— Tak, nie zostawiłyśmy ani jednej kartki. Robiłyśmy to z myślą, że ojciec kiedyś wydobreje i będzie tego potrzebował. Co prawda takie zakończenie wydawało nam się raczej niemożliwe, ale trochę nas to podnosiło na duchu. Nawet nie przeglądałam tych papierów, nie miałam siły, kartony stoją tak, jak je ustawiono.

— Rozumiem to doskonale, Angelo. Posłuchaj, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym przejrzał te rzeczy, szczególnie materiały, które ojciec miał na biurku?

— Nie, nie widzę przeszkód. Nie ma tego zbyt wiele, możesz to sobie obejrzeć. — Przerwała. — A czego właściwie szukasz, Steve?

— Pomyślałem sobie, że skoro twój ojciec nie może uczestniczyć w naszej konferencji prasowej, to może znajdę w jego papierach coś, co przemówiłoby w Amsterdamie w jego imieniu.

— Bardzo fajny pomysł — ucieszyła się Angela. — Tylko że jutro rano nie będzie mnie w domu, wychodzę z siostrą. Jeśli wolisz poczekać na mój powrót...

— Nie, nie — przerwał jej szybko. — Nie mam już tyle czasu. Jeżeli się zgodzisz, żebym to zrobił sam...

— Dobrze. Powiadomię Lucrezię. To nasza gospoia, jest u nas od zawsze. Problem tylko w tym... — zawiesiła głos.

— W czym, Angelo?

— Przecież ty nie znasz włoskiego, więc jak cokolwiek przeczytasz? Gdybym ja była na miejscu... Zaraz, zaraz... przecież Lucrezia zna nieźle angielski, w razie czego może ci przetłumaczyć co trzeba. Albo przywieź to do Amsterdamu i ja ci pomogę po powrocie. O której chcesz przyjść?

— Może być dziesiąta?

— Może być. Powiem gosposi, żeby na ciebie czekała i pokazała ci kartony. Czy do szafki też chciałbyś zajrzeć?

— To by trwało zbyt długo. Na razie wystarczą mi te rzeczy, które trzymał pod ręką, na biurku — odparł Randall.

Po tej rozmowie było mu przykro, że musiał okłamać Angele. Niestety nie mógł jej powiedzieć, czego szuka. Najpierw należało odnaleźć Roberta Lebruna.

Ślad był bardzo nikły, ale jednak istniał. Pierwszą jego część ujawnił nieświadomie doktor Venturi, gdy powiedział, że profesor Monti owego fatalnego dnia wychodził na jakieś spotkania w mieście.

Drugi element stanowiło stwierdzenie de Vroome'a, że w tym właśnie dniu profesor spotkał się z człowiekiem o nazwisku Lebrun.

Te dwie informacje łączyły się w całość. Co prawda dość niepewną, lecz mimo to mogła świadczyć o tym, że Robert Lebrun naprawdę istniał.

O poranku następnego dnia Randall czekał na gospoie Montich w willi niedaleko Piazza del Popolo. Był to nieduży, stary dom, właściwie wielkości dwupoziomowego mieszkania, odnowiony i o pogodnym wystroju. W salonie stały zielono-złote weneckie meble, wygodne i drogie. Gospoia, piersiasta i dość leciwa matrona w niebieskim fartuchu, który spowijał ją jak namiot, poczęstowała go kawą i ciasteczkami. Wręczyła mu też zostawiony przez Angele słownik włosko-angielski i zeszła do piwnicy po kartony z papierami profesora Montiego.

Randall nalał sobie kawy i zastanowił się po raz kolejny nad nurtującymi go pytaniami. Czy profesor Monti udał się rzeczywiście owego majowego dnia przed czternastoma miesiącami na spotkanie z Robertem Lebrunem? A

jeśli tak, to czy zapisał gdziekolwiek ten fakt? Czy też w natłoku zajęć i spotkań zapomniał go odnotować? Albo bał się to zrobić?

Wypił łyk kawy i w tym momencie zjawiała się Lucrezia. Postawiła przed nim na dywanie kartonowe pudło.

— Pan zobaczy ten tutaj — mruknęła. — Ja przyniosę drugi.

Wyszła, a Randall usiadł na podłodze i zaczął powoli wyjmować zawartość kartonu.

Domyślał się, że zapracowany profesor musiał zapisywać terminy w biurkowym kalendarzu lub jakimś notatniku. Musiał mieć coś takiego pod ręką, w ostateczności mogły to być notki jego sekretarki, chyba że przechowywał wszystkie dane w głowie.

Randall sięgał coraz głębiej, wyjmując kolejno maszynopisy wykładów, segregatory z notatkami z badań, korespondencję, która już nigdy nie zostanie wysłana, onyksowe korytko na pióra, puste kołonotatniki.

W końcu w jego ręce znalazł się notes w brązowej skórkowej oprawie, ze spinaczem do papieru wsuniętym między kartki mniej więcej w połowie. Złote litery wytłoczone na okładce głosiły po włosku: TERMINARZ.

Serce zaczęło mu bić mocniej.

Otworzył notatnik w miejscu, gdzie wsunięty był spinacz. U góry kartki widniała data — 8 Maggio. Niżej w kolejnych linijkach wydrukowane były godziny. Część linijek zapisano czarnym atramentem. Randall przebiegał wzrokiem poszczególne zapisy.

10.00 — Conferenza con professori

12.00 — Pranzo con professori

14.00 — Visita del professor Pirsche alla Facolt?

Jak dotąd nic, tylko spotkania z innymi profesorami i wizyta jednego z zagranicy, chyba Niemca.

Jego spojrzenie powędrowało niżej i nagle się zatrzymało.

16.00 — Appuntamento con R.L. de Doney. Importante.

Randall wpatrywał się w kartkę jak zahipnotyzowany.

R.L. to był oczywiście Robert Lebrun. Doney — słynna restauracja i kawiarnia, rzymska gran caffè, na Via Vittoria Veneto, obok hotelu Excelsior. Appuntamento oznaczało spotkanie.

Uzmysłowił sobie, że znalazł właśnie to, czego szukał. Poczł dreszcz podniecenia.

Późnym popołudniem w maju ubiegłego roku profesor Monti miał się spotkać o czwartej po południu z Robertem Lebrunem w restauracji Doney. To tam właśnie, według słów de Vroome'a, Lebrun powiedział profesorowi o

swym rzekomym fałszerstwie i to wtedy rozpoczęła się mroczna wędrówka Montiego w szaleństwo.

Randall odłożył terminarz do pudła, pochował szybko pozostałe rzeczy i wstał z podłogi. Lucrezia wchodziła właśnie do pokoju z drugim kartonem.

— Tutaj tylko naukowe książki, papierów nie ma — oznajmiła.

— Dziękuję, Lucrezio — odparł, podchodząc do niej. — Nie będę tego przeglądał. Już znalazłem to, czego szukałem. Bardzo ci dziękuję.

Cmoknął ją w pulchny policzek i zostawiwszy zaskoczoną gospozię pośrodku pokoju, ruszył do wyjścia.

Randall wysiadł z taksówki przed wejściem do hotelu Excelsior. Minał drzwi i grupkę gawędzących w słońcu kierowców, i stanął na chodniku, przyglądając się scenerii, w której przed ponad rokiem

Robert Lebrun ujawnił swoją straszliwą tajemnicą profesorowi Montiemu.

Kawiarnia i restauracja Doney składała się z dwóch części. Restauracja mieściła się w przedłużeniu parteru hotelu Excelsior, a stoliki kawiarni stały na zewnątrz, zajmując chodnik aż do rogu Via Vittorio Veneto.

Stojąc w dotkliwym skwarze, Randall był wdzięczny losowi, że kawiarnię chronią przed słońcem błękitne markizy. O tej porze, w sobotnie przedpołudnie, wyglądała zapraszająco, choć nie obiecywała mu jeszcze sukcesu w poszukiwaniach.

Przy stolikach siedziało niewielu gości. Ludzie poruszali się w zwolnionym tempie, a cała scena wyglądała niemal jak martwa natura. To ten cholerny rzymski upał późnoczerwcowy, pomyślał Randall, odbiera wszelką energię i chęć działania.

Zastanawiał się, co począć z tą szczątkową informacją, którą udało mu się zdobyć. Wiadomo było, że to Lebrun wezwał Montiego na spotkanie, a więc to Lebrun z pewnością wyznaczył Doney na miejsce rozmowy. Skoro tak, to musiał tu często bywać, inaczej bowiem wybrałby jakieś mniej uczęszczane miejsce. W takim razie mogła go też pamiętać obsługa kawiarni, ale nie musiało tak być.

Randall przyjrzał się kilku ospałym kelnerom. Nosili białe uniformy z niebieskimi epoletami i stójkowym kołnierzem, i czarne spodnie. Trzymali w rękach menu w kolorze lawendy albo puste tace. W pobliżu przejścia między stolikami, prowadzącego do restauracji, stał z założonymi do tyłu rękami starszy Włoch o wyglądzie szefa. Miał na sobie jasnoniebieską marynarkę i smokingowe spodnie. Kierownik sali, domyślił się Randall.

Usiadł przy stoliku i po chwili kelner przyniósł mu lawendowe menu.

— Czy jest kierownik sali? — zapytał Randall, otwierając jadłospis.

— Si — odparł kelner i rzucił w stronę starszego mężczyzny: — Giulio! Tamten podszedł szybko, trzymając długopis nad bloczkiem zamówień.

— Czym mogę panu służyć?

Randall przebiegł wzrokiem menu. Jego spojrzenie zatrzymało się na Gelati, lodach, a potem na Granita di limone, sorbecie cytrynowym.

— Poproszę sorbet — powiedział. Giulio zapisał.

— Czy to wszystko?

— Tak.

Kierownik sali wydarł kartkę z bloczka, podał ją kelnerowi i zabrał menu.

— Właściwie — rzekł Randall — chciałbym zapytać o coś jeszcze, ale nie o jedzenie. — Wyciągnął z portfela trzy banknoty tysiąclirowe. — Jestem amerykańskim pisarzem i potrzebuję pewnych informacji. Może będzie pan mógł mi pomóc.

Przez profesjonalnie poważną twarz Włocha przebiegł cień zainteresowania. Nie spuszczał wzroku z pieniędzy w dłoni Randalla.

— Chętnie panu pomogę — stwierdził — jeśli to będzie możliwe.

Randall złożył banknoty i wsunął je szefowi do ręki.

— Od jak dawna pracujesz w Doney, Giulio? — zapytał.

— Od pięciu lat. — Mężczyzna schował pieniądze do kieszeni, mrucząc: — Grazie, sir.

— Czy pracowałeś tutaj w maju zeszłego roku?

— O tak, proszę pana. — Giulio wyraźnie się ożywił, mówił przyjaznym tonem. — To jeszcze przed sezonem, ale ruch już jest duży.

— Dobrze, więc powiem ci, o co chodzi. Pewien człowiek ma informacje, które mogą mi się przydać. Mój przyjaciel spotkał się z nim w maju ubiegłego roku, właśnie tutaj. Powiedział mi, że ten człowiek jest w Doney częstym bywalcem. Rozpoznajesz stałych gości, Giulio?

— Oczywiście. — Twarz Włocha się rozpromieniła. — To nie tylko mój obowiązek, ale także pozytywna strona tego zawodu. Większość znam z nazwiska, mówią mi czasem o swoich sprawach. A kogo konkretnie pan szuka?

— To Francuz, który mieszka od dawna w Rzymie — odparł Randall. — Nie mam pojęcia, jak często tutaj bywa, ale mówiono mi, że się pojawia. — Randall wziął głęboki oddech i wypowiedział zakłęcie, które miało otworzyć szesam. — Nazywa się Robert Lebrun.

— Lebrun — powtórzył Giulio bezbarwnym tonem.

— Tak, Robert Lebrun.

— Zastanawiam się — rzekł Włoch z wahaniem, jakby bojąc się stracić swój napiwek. — Niestety, proszę pana, nie przypominam sobie stałego klienta o tym nazwisku. Na pewno bym go pamiętał.

Randalla ogarnęło zwątpienie. Usiłował przypomnieć sobie, jak de Vroome scharakteryzował Lebruna.

— Spróbuję go opisać — powiedział. — Może to coś da.

— Bardzo proszę.

— To stary człowiek, koło osiemdziesiątki. Pomarszczona twarz, okulary. Jest twojego wzrostu, ale mocno się garbi. Kojarzysz go teraz, Giulio?

Włoch pokręcił ze smutkiem głową.

— Przykro mi, ale przychodzi tutaj tylu... Randall przypomniał sobie coś jeszcze.

— Zaraz, już wiem, to może być ważne. Lebrun utyka, dawno temu stracił nogę i ma protezę.

— Faktycznie, przychodzi ktoś taki! — Giulio ponownie się ożywił. — Nie wiedziałem, że to Francuz, bo świetnie mówi po włosku. Ale on się nie nazywa Lebrun. Właściwie nie wiem jak, ale czasami, kiedy wypije za dużo pernodu, żartuje sobie i mówi, że jest Enrico Toti. To taki tutejszy żart. Pewnie pan nie rozumie?

— Nie.

— W Ogrodach Borghese — Giulio pokazał w głąb ulicy — stoi wiele posągów, między innymi wielka rzeźba nagiego mężczyzny w bohaterskiej pozie. Stoi na kamiennym cokole, właściwie opiera się o skałę, bo ma tylko jedną nogę. To właśnie Enrico Toti, na cokole jest data jego śmierci, rok tysiąc dziewięćset szesnasty. Ten Toti pomimo swego kalectwa zgłosił się na ochotnika do wojska podczas pierwszej wojny światowej. Nie przyjęli go oczywiście, ale on zgłosił się ponownie i robił to tyle razy, że w końcu musieli się zgodzić. Poszedł walczyć z tą swoją jedną nogą, o kuli, i został wielkim bohaterem. No i właśnie ten nasz gość żartował sobie, że to on kiedyś nazywał się Toti. Tylko tyle o nim wiem...

— No cóż, ten człowiek może używać wielu nazwisk... — Randall zauważył, że Giulio nagle uśmiechnął się szeroko. — Co takiego? — zapytał.

— Właśnie mi się przypomniało jeszcze jedno — odparł kierownik sali. — To idiotyczne, ale...

— Mów.

— Dziewczyny na ulicy... wie pan... przezywają go, bo pozuje na intelektualistę i eleganta, a jest taki załosny i ubogi. Nazywają go — Giulio

zachichotał — Duca Minimo, to znaczy Książę Niczego. Wyśmiewają się z niego.

Randall chwycił go za ramię.

— Tak, to on! — zawołał podniecony. — Duca Minimo to Robert Lebrun!

— Bardzo się cieszę — odrzekł Włoch, pewien już, że nie straci zarobku.

— Czy w dalszym ciągu bywa w Doney? — zapytał Randall.

— Ależ tak, prawie każdego popołudnia, jeśli jest ładna pogoda. Przeważnie koło piątej. Wypija swojego pernoda albo negroni, dowcipkuje, czyta gazetę.

— Czy był tu także wczoraj?

— Wczoraj miałem inną zmianę. Zaraz się dowiem. Podszedł do stojących niedaleko kelnerów, zadał im pytanie i po

chwili dwóch z nich pokiwało żwawo głowami. Kierownik sali powrócił uśmiechnięty do Randalla.

— Tak—powiedział. — Toti, ten pański Lebrun, był tu wczoraj o zwykłej porze. Pewnie dzisiaj też przyjdzie.

— To znakomicie — odparł Randall. Wyjął z portfela pięć tysięcy lirów w banknocie i wręczył Włochowi. — Posłuchaj, Giulio, to dla mnie bardzo ważne.

— Dziękuję panu bardzo — ucieszył się tamten. — Z przyjemnością panu pomogę.

— Zróbmy tak. Wrócę tu za kwadrans piąta. Jeśli Lebrun się pojawi, pokażesz mi go, dobrze? Gdyby przyszedł wcześniej, zadzwoń do mnie do hotelu. Mieszkam tu, w Excelsiorze. Nazywam się Steven Randall. Zapamiętasz?

— Nie zapomnę na pewno, panie Randall.

— I jeszcze jedno, Giulio. Czy nasz przyjaciel przyjeżdża do Doney, na przykład taksówką, czy raczej przychodzi piechotą?

— Zawsze piechotą, proszę pana.

— W takim razie musi mieszkać gdzieś w okolicy. Z tą sztuczną nogą nie przyszedłby gdzieś z daleka.

— Ma pan rację.

— Dobrze — rzekł Randall, wstając. — Więc widzimy się za piętnaście piąta.

— A pański sorbet? — zapytał Giulio.

— Możesz go wypić za moje zdrowie. Ja już dziś jestem po deserze.

Randall spędził pięć niespokojnych godzin w swoim pokoju na piątym piętrze hotelu Excelsior.

Usiłował nie myśleć o czekającym go spotkaniu. Wyjął z walizki papeterię, usiadł przy stoliku pod oknem i próbował się skupić na załatwieniu zaległej korespondencji.

Napisał rutynowy list od troskliwego syna do rodziców w Oak City, dołączając pozdrowienia dla Clare i wujka Hermana. Do Judy w San Francisco napisał krótki liścik, bardziej krajoznawczy niż ojcowski. Zaczął też pisać do Jima McLoughlina z Raker Institute, żeby wyjaśnić mu, że Randall Associates stara się go zlokalizować od kilku tygodni i powiadomić, iż z przyczyn od siebie niezależnych (nie wspomniał ani słowem o transakcji z Towerym) nie może przyjąć jego zlecenia. Nie wiedział jednak, jak zakończyć list, więc podarł go i wyrzucił do kosza.

Zalegał też z odpowiedziami na listy swego prawnika i zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niego do Nowego Jorku, w końcu jednak uznał, że nie ma do tego cierpliwości.

Podobnie zrezygnował z powiadomienia Angeli, że jeszcze nie wyjechał z Rzymu. Obawiał się, że mogłoby się to skończyć kolejnymi kłamstwami albo przysporzyć jej nowych zgryzot.

Odłożył także na później telefon do George'a L. Wheelera. Musiał być na niego wściekły, bo do konferencji prasowej pozostało zaledwie sześć dni. Randall chciał jednak przed rozmową z szefem wysłuchać Roberta Lebruna.

Choć starał się usilnie odpychać myśli o tajemniczym Francuzie, okazało się to ponad jego siły.

Przystąpił do Drugiego Zmartwychwstania przed ponad dwoma tygodniami, żeby się zająć kluczowym dla projektu zadaniem i poznać prawdziwą siłę wiary. A potem większość czasu, aż do obecnej kulminacji w Rzymie, spędził na próbach zniszczenia jedynej rzeczy, na której mógłby wiarę oprzeć.

Pogoń za destrukcją rozpoczęła się od błędu odkrytego przez Bogardusa. I trwała do tej pory, być może z powodu „błędu Randalla”. Jak wytknęła mu to Angela i jak powtarzały niejednokrotnie bliskie mu osoby, owym błędem był jego nieprzejeđnany cynizm. Tak więc można by te działania nazwać czystym szaleństwem, gdyby nie to, że opierały się na uczciwym rozumowaniu, zgodnie z którym prawdziwa wiara nie polega na pozbawionym wątpliwości mistycyzmie. Żeby uwierzyć, trzeba poznać twardą, namacalną rzeczywistość.

Wszystkie wątki prowadziły do Roberta Lebruna. Jakkolwiek na to patrzeć, to on właśnie mógł dostarczyć ostatecznej odpowiedzi.

Randall wciąż o tym rozmyślał, gdy usiadł wreszcie, spięty i niespokojny, przy stoliku w Doney. Nie był już nawet pewien, czy pragnie, żeby Lebrun się pojawił. Wiedział tylko, że chce mieć tę udawkę za sobą.

Po raz chyba dziesiąty w ciągu ostatniego kwadransa spojrzął na zegarek. Było sześć po piątej. Wypił kolejny łyk dubonnetu i w tym momencie ujrzał kątem oka, że zmierza ku niemu Giulio, szef sali.

— Panie Randall, przyszedł — rzucił Giulio półgłosem, zatrzymując się przy jego krześle.

— Gdzie jest?

— Siedzi w tym rzędzie, trzy stoliki za mną. Pozna go pan na pewno.

Włoch usunął się na bok i Randall odwrócił dyskretnie głowę.

Lebrun siedział tam rzeczywiście, dokładnie taki, jak go opisał de Vroome. Wydawał się nawet niższy i bardziej zgarbiony, niż Randall się spodziewał. Gładko zaczesane brązowe włosy, z pewnością farbowane. Trupio koścista twarz o rysach naznaczonych starością, cała w drobnych bruzdach i zmarszczkach. Okrągłe okulary w stalowej oprawce. Wyświechtana gabardynowa marynarka, zarzucona luźno na ramiona w stylu włoskich modnisiów i początkujących aktorów. Był to człowiek sędziwy, lecz nie robił wrażenia kruchego. Na stoliku przed nim stała szklaneczka z pernodem. Pochłonięty był lekturą gazety.

Randall wstał szybko i podszedł do niego.

— Monsieur Robert Lebrun? — zagaił. — Czy mógłbym postawić panu drinka i przedstawić się?

Lebrun popatrzył na niego sponad gazety. Spojrzenie szarych, pustych oczu było czujne. Poruszył wilgotnymi, nieco zaślinionymi ustami.

— Kim pan jest? — odezwał się zgrzytliwym głosem.

— Nazywam się Steven Randall. Jestem agentem reklamowym i pisarzem z Nowego Jorku. Czekalem tutaj specjalnie, żeby się z panem spotkać.

— Czego pan chce? Powiedział pan „Lebrun”. Skąd pan zna to nazwisko?

W postawie Francuza nie było cienia kordialności i Randall wiedział, że musi działać szybko.

— Jak mi wiadomo, był pan zaprzyjaźniony z profesorem Montim — powiedział. — Uczestniczyliście razem w pewnym przedsięwzięciu archeologicznym.

— Monti? Co pana z nim łączy?

— Przyjaźnię się z jego córką Angela. A wczoraj spotkałem się również z samym profesorem.

W oczach Lebruna pojawił się błysk zaciekawienia, lecz wciąż był usztywniony.

— Widział się pan z Montim? — zapytał wątpiącym tonem. — Skoro tak, to niech pan powie, gdzie to było.

Sprawdza mnie, pomyślał Randall, proszę bardzo.

— Villa Bellavista. Byłem tam, widziałem się z nim i rozmawiałem z jego lekarzem, doktorem Venturini. — Po chwili wahania poddał się drugiemu sprawdzianowi. — Wiem o pańskiej współpracy z profesorem, o odkryciu w Ostii — oznajmił.

Lebrun przewiercał go wzrokiem. Mlaskał mokrymi, zwiotczalymi wargami.

— Powiedział panu o mnie?

— Nie całkiem. Nie on sam. Jego pamięć właściwie nie funkcjonuje.

— Proszę mówić.

— Umożliwiono mi obejrzenie jego prywatnych papierów, wszystkich, które miał na biurku przed czternastoma miesiącami, kiedy spotkaliście się w Doney.

— Więc o tym też pan wie.

— Wiem jeszcze więcej, monsieur Lebrun. Moja ciekawość pisarza została mocno pobudzona i zacząłem szukać kontaktu z panem. Chciałem porozmawiać w przyjazny, otwarty sposób, w nadziei, że taka wymiana zdań okaże się korzystna dla nas obu.

Lebrun poprawił sobie okulary na nosie i pocierając podbródek, wyraźnie namyślał się, jak potraktować nieznanomego. Był zaintrygowany, lecz ostrożny.

— Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie, panie Randall? — zapytał.

— W jakiej kwestii?

— Że spotkał się pan z Montim. Na świecie jest tyle oszustwa... Niech mnie pan przekona.

No to mam problem, pomyślał Randall.

— Nie wiem, jak to panu udowodnić — odparł. — Byłem u niego, rozmawiałem z nim... o ile można to nazwać rozmową... i efekt był taki... no cóż, nie ma sensu się powtarzać.

— Ja muszę mieć pewność, panie Randall — upierał się starzec.

— Ależ ja mówię prawdę! Monti nawet dał mi... — Randall wyjął z kieszeni kartkę i rozłożył ją na stoliku przed Lebrunem. — Monti narysował to dla mnie, dostałem to w prezencie, na pożegnanie. Nie wiem, czy ta przebita ryba cokolwiek panu mówi, ale nic innego nie mam.

Rysunek zrobił na Francuzie odpowiednie wrażenie. Przyglądał mu się przez chwilę jednym okiem — drugie bowiem zasnuło kataraktą — i po chwili powiedział:

— Tak, znam to.

— Więc przekonałem pana?

— Powiedziałem tylko, że to znam. Często rysowałem ten symbol.

— Pan? — Randall nie krył zaskoczenia.

— Tak. Ryba to chrześcijaństwo. Włócznia... śmierć chrześcijaństwa. Moje pragnienie. — Przetrawiał to przez krótki czas w myśli. — Nie dziwię się, że Monti to podchwycił. To jego ostatnie wspomnienie. Ja zdradziłem chrześcijaństwo i jego także. Więc pragnie mojej śmierci. Narysował swoje życzenie. Jeśli to on je narysował.

— A któż inny mógłby w ogóle o tym wiedzieć? — przekonywał go Randall.

— Być może jego córka.

— Nie widziała go przy zdrowych zmysłach od czasu pańskiego spotkania z profesorem.

Francuz zmarszczył brwi.

— Możliwe — rzekł. — A podczas waszej rozmowy, czy mówił coś na mój temat albo na temat mojej pracy?

Randall poczuł się bezradny.

— Nie, nie wspominał o panu. A co się tyczy pańskiej pracy... czy ma pan na myśli Ewangelię według Jakuba i Pergamin Petroniusza?

Lebrun nie odpowiedział.

— On uważa, że jest Jakubem, bratem Jezusa — mówił dalej Randall. — Zaczął powtarzać, słowo w słowo, angielski przekład tekstu z papirusu numer trzy... — Przerwał, próbując sobie przypomnieć nagranie, które przesłuchał kilkakrotnie w hotelu. — Uzupełnił nawet brakujący fragment zdania — dodał.

Zainteresowanie Lebruna rosło z każdą chwilą.

— Co to było? — zapytał.

— To zdanie brzmiało tak: „Pozostali z synów Józefa, bracia Jezusa i moi także... — w tym miejscu w papirusie była wykruszona dziura, a dalej szło tak: — Ja zaś pozostałem, by opowiedzieć o pierworodnym i najukochańszym Synu". Monti dopowiedział te brakujące słowa.

— Jak to brzmiało? — Lebrun pochylił się ku niemu.

— Próbuję sobie przypomnieć — odparł Randall, odtwarzając w głowie taśmę. — Powiedział: „Pozostali z synów Józefa, bracia Jezusa i moi także, są to Juda, Szymon, Jozjasz...”.

— „...i Jan. Wszyscy oni są poza granicami Judei i Idumei, ja zaś pozostałem, by opowiedzieć o pierworodnym i najukochańszym Synu” — dokończył za niego Lebrun.

Randall wytrzeszczył oczy.

— Pan... zna ten tekst.

— Muszę znać — odrzekł starzec. Zagryzł wargi tak, że stały się jeszcze jedną zmarszczką na jego twarzy. — Ja to napisałem. Monti nie jest Jakubem. Ja nim jestem.

Dla Randalla była to straszna chwila, moment prawdy, do którego dążył, a jednak nie chciał go przeżyć.

— A więc to wszystko jest nieprawdą... — wyszeptał. — Jakub, Petroniusz, całe to odkrycie...

— Oszustwo doskonałe — przytaknął Lebrun. Rozejrzał się na boki i dodał z uciechą: — Fałszerstwo najwspanialsze w historii. Teraz już pan wie. — Spojrzał na Randalla. — Już wierzę, że spotkał się pan z Montim. Natomiast wciąż nie wiem, czego pan oczekuje od Roberta Lebruna. Czego pan chce ode mnie?

— Faktów. I dowodu fałszerstwa.

— I co pan zrobi z tym dowodem?

— Ujawnię go. Zdemaskuję tych, którzy głoszą światu nieistniejącą nadzieję.

Robert Lebrun siedział w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

— Byli już tacy — powiedział w końcu cicho, jakby do siebie. — Oni też żądali ode mnie dowodu fałszerstwa i przyrzekli solennie, że zdemaskują zgniliznę Kościoła i ciemne strony religii. Okazali się agentami kleru. Chcieli zawłaszczyć prawdę, żeby ją ukryć i uratować mitologię. Nie zaufałbym tym ludziom za żadne pieniądze. Dlaczego więc miałbym zaufać panu, panie Randall?

— Ponieważ to ja zostałem zatrudniony do rozpropagowania nowej Biblii i niemal się na to wszystko nabrałem. Zacząłem jednak mieć wątpliwości, zacząłem poszukiwać prawdy — oznajmił szczerze Randall. — Możliwe, że znalazłem tę prawdę właśnie w pańskiej osobie.

— Znalazł ją pan — odrzekł Lebrun. — Ale niekoniecznie z wzajemnością. Nie mogę powierzyć panu prawdy na temat dzieła mojego życia, dopóki nie będę miał całkowitej pewności, że ujrzy światło dzienne.

Po raz pierwszy w życiu Randall spotkał człowieka, jeśli nie liczyć pastora de Vroome'a, który dorównywał mu, a może nawet go przewyższał, poziomem nieufności.

Rozmowa z Lebrunem była męcząca i frustrująca do granic wytrzymałości. Od czasu fiaska negocjacji z Plummerem prawdopodobnie nie potrafił już zaufać nikomu. Randall zastanawiał się, kto na tym świecie mógł odznaczać się odpowiednim charakterem i na tyle nieskazitelną przeszłością, żeby przekonać Lebruna, że lata zainwestowane w pracę zostaną nagrodzone, że jego tak zwany dowód prawdy ujrzy światło dzienne. I nagle przyszedł mu ktoś taki do głowy. Gdyby na jego miejscu był tutaj Jim McLoughlin — z tym zaciekłym wręcz poczuciem prawości, z piękną kartą walki z hipokryzją i szykanami, z Raker Institute, dążącym do odkrycia prawdy bez względu na konsekwencje — tak, Jim Mc-Loughlin był jedyną osobą, która mogłaby zyskać zaufanie Roberta Lebruna.

Wtem uzmysłowił sobie, że McLoughlin i Raker Institute byli przecież obecni tu, w Rzymie, całkiem niedawno. Poczł przyływ nadziei.

— Monsieur Lebrun — zwrócił się do Francuza — sądzę, że potrafię pana przekonać. Proszę pójść ze mną do mojego pokoju, tutaj w Excelsiorze. Przedstawię panu mój dowód i jestem pewny, że pan mi wówczas przedstawi swój.

Robert Lebrun siedział w pokoju Randalla na krześle pod oknem i śledził wzrokiem każdy jego ruch.

Randall rozłożył na łóżku walizkę i po chwili wyjął z niej kartonową teczkę z nalepką The Raker Institute.

— Czy rozumie pan pisany tekst angielski? — zapytał starca.

— Nie gorzej niż starożytny aramejski — odparł Lebrun.

— Świetnie. Czy słyszał pan kiedyś o amerykańskiej organizacji zwanej The Raker Institute?

— Niestety nie.

— Tak sądziłem — rzekł Randall. — Nie jest jeszcze zbyt znana. Niedawno zwrócono się do mnie, żebym pomógł rozpropagować ich działalność. — Podszedł do Lebruna z teczką w ręce. — Mam tutaj korespondencję między szefem Raker Institute, Jimem McLoughlinem, a moją firmą. Później spotkaliśmy się w Nowym Jorku i w teście są także notatki z tego spotkania. Niedługo świat usłyszy o McLoughlinie o wiele

więcej. To ostatni przedstawiciel wielkiej amerykańskiej tradycji dysydemtów, krzyżowców piętnujących zło, ktoś taki jak we Francji Emil Zola...

— Zola — mruknął Lebrun, wymawiając to słowo niemal pieszczotliwie.

— Ameryka zawsze takich miała — ciągnął Randall. — Nie było ich wielu i często gnębili ich możni tego świata. Ale nigdy nie pozwolili się całkiem uciszyć ani wytrzebić, ponieważ tacy ludzie są głosem społecznego sumienia. Ludzie w rodzaju Thomasa Paine'a albo Henry'ego Thoreau. A także bardziej nam współcześni, tacy jak Upton Sinclair, Lincoln Steffens, Ralph Nader, którzy ujawniali oszukańcze praktyki przemysłowców wobec niczego niepodejrzewających zwykłych ludzi. Jim McLoughlin i jego detektywi z Raker Institute są ostatnimi w tej sukcesji.

Robert Lebrun słuchał go z uwagą.

— Co właściwie robi ten pański McLoughlin? — zapytał.

— On i jego ludzie odkryli wśród części amerykańskich korporacji tajne sprzysiężenie, którego celem jest niedopuszczenie pewnych wynalazków i produktów do wiadomości publicznej. Zdobyli dowody na to, że wielki przemysł... paliwowy, samochodowy, stalowy, włókienniczy, wymieniając pierwsze z brzegu dziedziny... posługiwał się przekupstwem, a nawet przemocą, żeby zablokować produkcję taniej tabletki zastępującej benzynę, opony, która prawie się nie zużywa, wiecznej zapałki czy tkaniny ubraniowej o niemal nieograniczonej trwałości. A to jest dopiero początek. W następnej dekadzie zamierzają się dobrać do skóry kompaniom telefonicznym, bankom i firmom ubezpieczeniowym, producentom broni, wojski i niektórym agendom rządowym. McLoughlin uważa, że nieregulowana swobodna przedsiębiorczość jest zagrożeniem dla społeczeństwa i dla demokracji, że wprawdzie rząd jest wybierany przez obywateli, ale ich nie reprezentuje. Chce obnażyć wszelkie działania potęg gospodarczych i politycznych, skierowane przeciwko zwykłemu człowiekowi. I jak się pan przekona, panie Lebrun, to właśnie mnie i moją firmę McLoughlin wybrał do prowadzenia tej kampanii. To są, monsieur Lebrun, jedyne referencje, jakie mam, jeżeli chodzi o tropienie zła i ujawnianie prawdy — powiedział Randall, kładąc teczkę na stoliku przed sędziwym Francuzem. — Niech pan to przeczyta, a potem zdecyduje, czy chce mi pan zaufać, czy nie.

Lebrun podniósł teczkę i otworzył ją.

Randall podszedł do drzwi.

— Zostawię pana teraz samego na jakiś kwadrans. Idę do baru na dół, muszę się napić. Czy przynieść panu drinka?

— Mnie może już tutaj nie być, kiedy pan wróci — odparł Francuz.

— A jednak zaryzykuję.

— Proszę whisky, bez wody.

Randall wyszedł z pokoju. Z topniejącą raptownie odwagą w sercu, modląc się w duchu o powodzenie, zszedł do baru.

Wrócił do swego pokoju na piątym piętrze po dwudziestu minutach. Otwierając drzwi, zastanawiał się, czy nie będzie musiał sam wypić whisky, którą przyniósł.

Robert Lebrun siedział tam, gdzie go pozostawił, a na stoliku przed nim leżała zamknięta teczka.

— Zdecydowałem się — oświadczył dziwnie obcym głosem, biorąc od Randalla szklanekę. — Jest pan moją ostatnią szansą. Opowiem panu, jak napisałem Ewangelię według Jakuba i Pergamin Petroniusza. Historia nie jest długa, ale jeszcze pan takiej nie słyszał. Trzeba ją przekazać ludziom. I pan, panie Randall, musi zostać tym apostołem, który obwieści całemu światu prawdę, prawdę na temat kłamstwa, jakim jest drugie przyjście Chrystusa.

Francuz siedział zgarbiony na krześle i przemawiał monotonnym, wypranym z emocji głosem. Wspomnił swoją młodość i wypadki, które doprowadziły go do skazania na zesłanie do kolonii karnej w Gujanie.

Randall znał większość tej historii od de Vroome'a, słuchał jednak zafascynowany. Nie chciał poza tym nadwątlić świeżo pozyskanego zaufania Lebruna, udawał więc, że dowiaduje się wszystkiego po raz pierwszy, i czekał w napięciu na jakieś nowe elementy.

— Tak więc — opowiadał Lebrun — ponieważ byłem już karany czterokrotnie za drobniejsze przestępstwa, automatycznie uznano mnie za recydywistę, bez szans na poprawę. Zostałem zesłany do karnej kolonii we Gujanie Francuskiej. Miejsce to nazywano zwyczajowo Ile du Diable — Diabelską Wyspą, ale właściwie było tam pięć osobnych więzień. Trzy z nich mieściły się na wyspach i tylko najmniejsza, mająca ledwie kilometr w obwodzie, była właściwą Diabelską Wyspą. Trzymano tam wyłącznie więźniów politycznych, takich jak kapitan Alfred Dreyfus, osadzony na skutek fałszywego oskarżenia o sprzedawanie tajemnic wojskowych Niemcom. W chatkach na tej małej wysepce nigdy nie mieszkało więcej niż ośmiu więźniów. Dwie pozostałe wyspy, oddalone o dziewięć mil od wybrzeża Gujany, nazywały się Royale i St Joseph. Na głównym lądzie, w pewnym oddaleniu od miasta Cayenne, były jeszcze więzienia St Laurent i St Jean. Mnie osadzono na wyspie St Joseph.

Głos Lebruna zaczął się łamać. Francuz podniósł do ust szklaneczkę, pociągnął spory łyk whisky i odchrząknął.

— Kiedy został pan skazany? — zapytał Randall.

— Jeszcze przed pańskim urodzeniem — zarechotał starzec. — W roku tysiąc dziewięćset dwunastym.

— Czy rzeczywiście było tam tak strasznie, jak to opisywano?

— Gorzej — odparł Lebrun. — Skazańcy, którym udało się uciec, opisywali oczywiście okrucieństwa i cierpienia, jakich tam doznali, ale zbyt często przedstawiali to jako romantyczną przygodę. Było inaczej, żadnego fascynującego piekła, raczej nazwałbym to fałszywą gilotyną — codziennie odbywała się egzekucja, ale żyło się w dalszym ciągu. Niekończąca się tortura i ból są o wiele gorsze od śmierci. Prometeusz był większym męczennikiem od świętego Piotra. Wysłano mnie do Gujany na statku La Martiniere, zamkniętego nie w kabinie, ale w stalowej klatce wraz z dziewięćdziesięcioma innymi skazańcami. Kolonia karna miała być miejscem, gdzie przestępcy mogą zostać zresocjalizowani, mogą odkupić złe czyny. Czy uwierzy pan, że oficjalna nazwa tych wysp brzmiała Iles du Salut, Wyspy Zbawienia? Oczywiście szlachetny cel, jak zwykle w przypadku stworzonych przez człowieka organizacji, został wypaczony. Kiedy tam trafiłem, filozofia karania była taka: kto jest przestępcą, pozostaje nim już do końca życia, nie ma dlań odkupienia, niechaj więc cierpi i gnije, aż umrze, i niech już nigdy nie zawadza społeczeństwu.

— A jednak wrócił pan.

— Wróciłem, ponieważ chciałem wrócić — odparł z mocą Lebrun. — Miałem powód, żeby walczyć o przetrwanie, jak zaraz się pan przekona. Ale nie na początku. Na początku sądziłem, że jestem człowiekiem, i próbowałem zachowywać się jak człowiek. Oni przypominali mi, że jestem zwierzęciem, a nawet czymś gorszym od zwierzęcia. Jak mam opisać dwa pierwsze lata? Powiedzieć, że były nieludzkie, to pusta paplanina. Niech pan posłucha. Za dnia Moskity, całe roje, żerujące na spalonej słońcem, owrzodzonej skórze. Pchły piaskowe wgrzające się pod paznokcie, czerwone mrówki kęsające w stopy. W nocy nietoperze, wampiry wysysające krew. Przez cały czas dyzenteria, gorączka, zakażenia krwi i szkorbut. Proszę spojrzeć.

Lebrun otworzył usta, obnażając sinawe dziąsła i tanie protezy.

— Wypluwałem zęby po dwa, trzy naraz, po prostu gnily. Miałem za sobą cztery wyroki, więc zaliczono mnie do relegates, tych, którzy już nigdy nie opuszczą kolonii karnej. Od rana do zmierzchu tłukłem na St Joseph kamienie w prażącym słońcu, a gdy protestowałem, zamykali mnie w izolatce. Czy wie pan, jak wyglądała izolatka w Gujanie? Więzienie miało trzy bloki — zwykłe cele, izolatki i oddział dla obłąkanych. Najbardziej nieludzkie z nich były

właśnie izolatki. Wrzucano mnie do cementowej jamy dwa na trzy metry. Bez dachu, tylko z kratą nad głową. W środku drewniana ława, wiadro na odchody i koc, który zmieniano raz na dwa lata. Smród fekaliiów i zepsutego powietrza dławiał w gardle. Siedziało się w tym dzień po dniu, z zaledwie półgodzinnym wyjściem na dziedziniec, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. W zwykłym więzieniu było nie lepiej. Czasami nawet gorzej, szczególnie nocami, kiedy człowiek usiłował zasnąć na drewnianej pryczy, napastowany przez zboczeńców. Codziennie to samo jedzenie. Na śniadanie tylko czarna kawa. Na obiad kwarta gorącej wody z rozgniecionymi warzywami, nazywana zupą, do tego pajda chleba i trzy skrawki nadpsutego mięsa. Na kolację albo fasola, albo kleisty ryż. Zmieniłem się w worek kości, bity, chłostany, kopany, torturowany przez strażników, w większości Korsykańczyków, brutali z legii cudzoziemskiej albo byłych policjantów. Moim jedynym marzeniem było samobójstwo, śmierć, która miała przynieść ulgę, gdy spocząłbym na Bambusach, jak nazywano cmentarz dla skazańców w St Laurent. I oto nagle pewnego dnia stał się cud... tak w każdym razie myślałem... i zyskałem powód do pozostania przy życiu.

Ksiądz, przypomniał sobie Randall. De Vroome mówił o katolickim księdzu, z którym Lebrun zaprzyjaźnił się w najczarniejszej godzinie swego życia.

— Około piętnastu kilometrów od St Laurentu-Maroni, w pobliżu rzeki Maroni, kolonia karna zajmowała polanę pośród malarycznych bagien i gęstej dżungli — mówił dalej Lebrun. — Znajdowały się tam biura administracji, kwatery strażników, tartak, szpital, więzienie o cementowych murach i jedna specjalna chata. Nazywano to obozem St Jean bądź też więzieniem St Jean. Dla trzech setek skazanych było to miejsce straszne. Spali na cementowej posadzce, pokrytej ekskrementami i ropą. Karmiono ich tylko warzywną breją i niedojrzałymi bananami. Musieli pracować jak niewolnicy od szóstej rano do szóstej wieczorem przy wycince drzew, a potem ściągać je do wioski, niczym konie robocze. To właśnie tam mnie osadzono i był to cud, który uratował mi życie.

— W takim piekle odnalazł pan chęć do życia? — zapytał Randall.

— Tak. Wspomniałem już o specjalnej chacie, prawda?

— Tak, wspomniał pan.

— Ta chata to był kościół, jedyny w kolonii — wyjaśnił Lebrun. — Przeznaczony nie dla więźniów, oczywiście, ale dla strażników, pracowników administracji i ich żon. Kapłanem był tam ksiądz Paquin z Lyonu, szczupły,

anemiczny i bardzo oddany swojej pracy. Odwiedzał też więźniów w szpitalu oraz czasami w więzieniach.

— I był jedynym kapłanem całej kolonii karnej?

— Wówczas jedynym — odparł Lebrun. — Gdy tam przybyłem, byli jeszcze inni. Kolonia karna w Gujanie istniała już od stu lat i najpierw opiekowali się nią jezuici, a potem zastąpili ich księża z francuskiego zakonu zgromadzenia Ducha Świętego z Paryża. W stolicy, w Cayenne, rezydował wikariusz apostolski, ktoś w rodzaju biskupa, podlegający Watykanowi. Miał on pod sobą proboszczów, którzy pełnili posługę religijną w jedenastu parafiach Gujany. Ale trzy lata później usunięto ich wszystkich, z wyjątkiem ojca Paquina.

— Dlaczego usunięto tych duchownych? — zapytał Randall.

— Ponieważ, jak powiedział mi kiedyś Paquin, postanowili pomóc wydziedziczonym owieczkom... nazywali tak nas, skazańców... i rozpoczęli międzynarodową krucjatę modlitw, żeby zwrócić uwagę na nasz los. Wzbudziło to oczywiście wrogość rządu francuskiego i duchowni zostali wyekspediowani do kraju. Pozwolono zostać tylko ojcu Paquinowi. Ponieważ jego kościół był ubogo wyposażony, jedynie w prosty ołtarz i kilka drewnianych ław, Paquin postanowił to zmienić. Chciał wstawić witraże w oknach i wymalować na ścianach religijne obrazy, żeby wewnątrz bardziej przypominało świątynię. Szukał artysty, który by to wykonał. Dowiedział się, że wśród ośmiu tysięcy skazańców ja jestem jedynym, który ma takie zdolności. Poprosił więc o przeniesienie mnie z wyspy St Joseph do St Jean na łódzie. Ja oczywiście wcale nie byłem zawodowym artystą, rytowałem portrety na podrobionych banknotach. Jednakże naczelnik więzienia wiedział, że fałszowałem także iluminowane średniowieczne Biblie, więc polecił mnie ojcu Paquinowi. Nagle wyrwałem się spod władzy brutalnych strażników na wyspie i dostałem pod opiekę kapelana kolonii karnej. Odmiana była niesamowita.

— W jakim sensie? — zapytał Randall.

— Ojciec Paquin, religijny fanatyk, był też człowiekiem rozsądnym. Docenił moje talenty i traktował mnie przyzwoicie. Załatwił mi opiekę medyczną, trochę lepsze wyżywienie, nowe więzienne ubranie. Zapropnowałem, żebyśmy umieścili w witrażach cytaty z Nowego Testamentu po łacinie i po grecku, a na ścianach wymalowali dawne chrześcijańskie symbole... rybę, baranka i temu podobne. Ksiądz odniósł się do tego z takim entuzjazmem, że sprowadził dla mnie całe mnóstwo książek, różne wersje Biblii, podręczniki do greki, łaciny i aramejskiego, ilustrowane

dzieje chrześcijaństwa i wiele innych. Ślęczałem nad tymi tomami bez przerwy, czytałem je nie raz czy dwa, ale wciąż od nowa. Dekorowanie kościoła zajęło mi cały rok. Zebrałem wiele pochwał od wizytujących, a ojciec Paquin był bardzo dumny ze mnie i z mojego dzieła. Przez cały ten czas, niemal nieświadomie, zbliżałem się do Chrystusa. Prowadzony przez duchownego przekonywałem się, że jedyną moją nadzieją jest Bóg i Jego Syn, dobroć i miłość. Po raz pierwszy podczas tych trzech lat piekła ujrzałem promyk dobra, zapragnąłem żyć, stać się na powrót człowiekiem i wrócić do ojczyzny. I chociaż byłem skazany na dożywocie, dzięki ojcu Paquinowi taka możliwość się pojawiła.

— Możliwość czego?

— Ułaskawienia. Odzyskania wolności.

Lebrun przerwał, pociągnął łyk whisky i po chwili opowiadał dalej:

— Był rok tysiąc dziewięćset piętnasty. Cała Europa pogrążona była w krwawych zmaganiach pierwszej wojny światowej. Dyrektor administracji więziennej zebrał pewnego dnia wszystkich condamnés, więźniów z krótszymi wyrokami, oraz niektórych spośród relégués, skazanych na dożywocie, ale wyróżniających się dobrym zachowaniem... wśród nich mnie, ponieważ byłem pod opieką księdza. Powiedziano nam, że jeśli się zgłosimy do specjalnego batalionu piechoty armii francuskiej i pójdziemy walczyć na front, po wojnie zostaniemy potraktowani wyrozumiale. Było to dość niejasne i niekonkretne, toteż zgłosiło się niewielu. Kiedy mój duszpasterz i przyjaciel ojciec Paquin zapytał, dlaczego się nie zaciągnąłem, odpowiedziałem mu, że rozmawialiśmy o tym w gronie więźniów i żaden z nas nie zamierzał ryzykować głowy, nie mając zagwarantowanej nagrody. Paquin porozumiał się z władzami i przedstawił mi zachęcającą ofertę. Jeżeli zgłoszę się na ochotnika i jeszcze namówię innych skazańców, żeby poszli walczyć za Francję, to Ministerstwo Wojny gwarantuje nam, że tydzień po zakończeniu walk zostaniemy uwolnieni na mocy amnestii. Ojciec Paquin powiedział mi tak: „Ja osobiście, jako sługa Naszego Pana, Jezusa Zbawiciela, daję ci słowo, że obietnica rządu jest prawdziwa, że wolność zostanie ci zwrócona. Daję ci na to słowo nie tylko w imieniu władz, ale także w imieniu Kościoła”. To mi wystarczyło, a dzięki mojej perswazji zgłosiło się też wielu innych. Rząd to rząd, ale gwarancja Kościoła była absolutnie godna zaufania.

— Ale dlaczego nie napisano o tym nigdy w żadnej książce historycznej?

— zapytał Randall, dla którego historia walczącego z Niemcami oddziału więźniów z kolonii karnej była czymś zupełnie niesamowitym.

— Za chwilę pan zrozumie, dlaczego nie zostało to nigdy nagłośnione — odparł Lebrun. Rozmasował sobie udo, pewnie w miejscu, gdzie kikut łączył się z protezą, domyślił się Randall. — Popłynęliśmy do Francji i w lipcu tysiąc dziewięćset piętnastego roku dotknęliśmy znów ziemi naszej ukochanej ojczyzny w Marsylii. Sformowano z nas regiment pod dowództwem strażników z Wyspy Diabła. Mieliśmy wszystkie przywileje regularnych żołnierzy, z wyjątkiem jednego: nie dostawaliśmy przepustek. Nazwano nas Oddziałem Ekspedycyjnym z Diabelskiej Wyspy, a dowodził nami nie kto inny jak generał Henri Pétain.

— Posłano was do walki?

— Prosto na front, do okopów we Flandrii. Walczyliśmy na froncie przez trzy lata bez przerwy. Nasza mizéria i cierpienia były niewyobrażalne. Liczba ofiar rosła, ale i tak było to lepsze życie od tego, które zostawiliśmy za sobą. Walczyliśmy jak lwy, podtrzymywani na duchu obietnicą wolności, złożoną przez naszego ojca Paquina. Z tysiąca ośmiuset ludzi naszego regimentu dwie trzecie zginęło na polu walki. Pół roku przed końcem wojny niemiecki szrapnel rozerwał mi nogę. Trzeba było ją amputować, ale przeżyłem. I kiedy oprzytomniałem w wojskowym szpitalu, uznałem, że nawet taką cenę warto zapłacić za wolność. Nim wyzdrowiałem i nauczyłem się chodzić na prymitywnej drewnianej protezie, wojna się skończyła. Byłem jeszcze młody i moje nowe życie właśnie miało się rozpocząć. Wraz z sześcioma setkami ocalałych z Oddziału Ekspedycyjnego wracałem do Paryża w radosnym nastroju, oczekując rychłej amnestii. Po przyjeździe zaprowadzono nas do więzienia Sante. Tego się nie spodziewaliśmy. Posłałem po ojca Paquina, który przez okres wojny był kapelanem w armii, i zapytałem, co się dzieje. Pobłogosławił mnie, podziękował za moje poświęcenie, nawet przytulił jak syna i zapewnił, że więzienie Sante to tylko nasza tymczasowa kwatera i w ciągu tygodnia odzyskamy wolność. Przyniosło mi to taką ulgę, że zapłakałem z radości. Gdy minął tydzień, pewnego ranka wkroczyli do Sante nasi dawni strażnicy z Diabelskiej Wyspy, wzmocnieni przez wielu nowych, z karabinami i bagnietami na sztorc, otoczyli nas, załadowali do pociągu i powieźli do Marsylii. Tam rzucono nam więzienne drelichy i poinformowano, że ze względów bezpieczeństwa narodowego musimy wszyscy wrócić do le bagne, kolonii karnej w Gujanie. Bunt był niemożliwy, w nasze głowy celowało zbyt wiele karabinów. Mignęła mi twarz ojca Paquina, zawołałem do niego, ale nie okazał współczucia. Wzruszył tylko ramionami. Pamiętam ostatnią rzecz, którą zrobiłem przed wejściem na statek więzienny.

Pogroziłem mu pięścią i krzyknąłem: „Niech szejnie Kościół! Mam w dupie Chrystusa! Jeszcze się zemszcę!”.

— Czy to wszystko naprawdę się zdarzyło? — zapytał Randall, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— O tak, zdarzyło się. Dokumenty na ten temat są w archiwach Ministerstwa Sprawiedliwości albo Ministerstwa Obrony w Paryżu. Wróciliśmy więc do moskitów, pcheł, mrówek, skwaru, mokradeł, niewolniczej pracy, bicia, do piekła Gujany. Tym razem jednak miałem motywację, żeby żyć, żeby przetrwać. Nie ma silniejszej motywacji dla człowieka niż pragnienie zemsty. A ja postanowiłem, że wezmę odwet. Na bezdusznym rządzie? Na dwulicowym księdzu kłamcy? Nie. Postanowiłem zemścić się na oszukańczej religii, prawdziwym wrogu życia, narkotyku, który osacza człowieka swym szalbierczym bełkotem o miłosiernym Zbawicielu. Moja wiara runęła, okaleczona tak jak moje ciało. I jeszcze na pokładzie statku, na który wysadzono nas w St Laurentdu-Maroni, wymyśliłem mistrzowskie posunięcie przeciwko wszystkim sprzedawcom Chrystusa, oszustwo, którym wyrównam rachunki z hierarchią kościelną za jej zakłamanie. Wymyśliłem w ogólnych zarysach Ewangelię według Jakuba i Pergamin Petroniusza. Przygotowywałem się do tej mistyfikacji od roku tysiąc dziewięćset osiemnastego, od powrotu do Gujany, aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, kiedy kolonię zamknięto, gdyż panujące tam warunki przysparzały Francji złej reputacji na świecie.

Randall słuchał tej opowieści jak zaczarowany, przejęty jednocześnie zgrozą i współczuciem dla starca.

Lebrun jako wzorowy więzień miał więcej swobody od innych. Rzeźbił różne ozdoby w orzechu kokosowym, trochę kradł i wreszcie zaczął znowu podrabiać średniowieczne manuskrypty, które przysyłał do paserów w Paryżu za pośrednictwem jednego ze strażników, dając mu za to trzydzieści procent od zysku. W ten sposób zarabiał pieniądze na zakup kolejnych książek religijnych. Udało mu się nawet pozyskać materiały do podrabiania banknotów, dzięki czemu jego zyski wciąż rosły i pozwalały kontynuować badania nad wczesnym chrześcijaństwem.

W ciągu trzydziestu pięciu lat po powtórny uwięzieniu Lebrun stał się ekspertem od historii Jezusa i Nowego Testamentu, od aramejskiego i greki, od papirusu i pergaminów. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, dzięki dobremu zachowaniu jego status zmienił się z relégué, więźnia dożywotniego, na libéré, wolnościowca, który nie miał już obowiązku siedzieć w zamknięciu, lecz musiał pozostać na terenie Gujany. Zamienił

więzienny pasiak na granatowy ubiór libéré i zamieszkał w chacie nad rzeką Maroni, utrzymując się z wyrobu pamiątek i podrabiania manuskryptów. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, po likwidacji kolonii, wraz z innymi wolnościowcami powrócił do Francji na pokładzie S/s Athesli i nareszcie był naprawdę wolny.

Osiadł ponownie w Paryżu. Zarabiał na utrzymanie tak jak przedtem — fałszując banknoty i paszporty — a lwia część jego zysków szła na kosztowne materiały, potrzebne do przeprowadzenia planowanej od lat mistyfikacji. Kiedy już był gotowy, porzucił Francję na zawsze. Przeszmugłował do Włoch skrzynię z materiałami i zamieszkał w Rzymie, szykując się do ostatniego etapu niesamowitego fałszerstwa.

— Ale jak mógł pan w ogóle marzyć o wyprowadzeniu w pole uczonych i teologów? — zdumiał się Randall. — Rozumiem, że można się nauczyć greki, ale z tego, co wiem, aramejski to prawdziwa łamigłówka, a poza tym język martwy...

— Nie taki całkiem martwy — odparł z uśmiechem Lebrun. — Obecnie jego współczesniejszej formy używają muzułmanie i chrześcijanie na przygranicznych terenach Kurdystanu. Co do „łamigłówki”, jak pan to nazwał... to prawda, ale proszę pamiętać, że poświęciłem na jej rozwiązywanie czterdzieści lat mojego życia. Studiowałem naukowe czasopisma i prace poświęcone filologii, etymologii, lingwistyce, pisane przez najwybitniejsze autorytety, takie jak opat Petropoulos z Athos czy profesor Jeffries z Oksfordu. Zgłębiałem podręczniki, na przykład niemiecką Gramatykę biblijnego aramejskiego Franza Rosenthala. A co najważniejsze, zdobyłem reprodukcje starożytnych aramejskich rękopisów i kopiowałem je setki razy, żeby dojść do wprawy. Księgę Henocha, Testament Lewiego, apokryfy Starego Testamentu, wszystko, co było dostępne. Język jest trudny, w istocie, ale opanowałem go dzięki wytrwałości.

Randall był pod wrażeniem.

— Monsieur Lebrun, najbardziej zagadkowa jest dla mnie kwestia samego papirusu. Jakim sposobem wytworzył pan papirus, który przeszedł pozytywnie wszystkie skomplikowane badania naukowe?

— Wcale nie próbowałem go wytwarzać — odrzekł Francuz. — Podrabianie starożytnego papieru byłoby idiotyzmem. Właściwie to papirus i pergamin były najłatwiejszymi do uzyskania elementami całej mistyfikacji. Niebezpiecznymi być może, ale stosunkowo łatwymi. Jak już pan wie, panie Randall, byłem nie tylko fałszerzem, ale także złodziejem, miałem przyjaciół w świecie przestępczym. Wspólnie zdołaliśmy w ciągu dwóch lat zdobyć ten

starożytny materiał piśmienniczy. Dzięki moim studiom znalazłem miejsce przechowywania każdego ze skatalogowanych zwojów i kodeksów z pierwszego wieku, zarówno w muzeach, jak i w prywatnych kolekcjach. Zwoje są częstokroć niezapisane na początku bądź na końcu, a w kodeksach trafiają się wręcz całe puste miejsca. To właśnie kradłem.

Zuchwalstwo tego człowieka zdumiewało Randalla coraz bardziej.

— Czy mogę prosić o więcej szczegółów? — zapytał. — Jakie to były kolekcje, gdzie się mieszczą?

— Wolałbym nie wyliczać szczegółowo wszystkich tych miejsc, z których pozyskałem papirus i pergamin. — Lebrun pokręcił głową. — Wymienię kilka kolekcji, które... hm, braliśmy pod uwagę. Część z nich odwiedziliśmy później, już w konkretnym celu. We Włoszech były to na przykład Biblioteka Watykańska i Muzeum Turyńskie, we Francji Biblioth?que Nationale, w Austrii Oesterreichische Nationalbibliothek, w Szwajcarii Biblioteka Bodmera pod Genewą. Poza tym liczne repozytoria w Wielkiej Brytanii, na przykład Beatty Collection w Dublinie, Rylands Library w Manchesterze i oczywiście British Muséum w Londynie.

— Naprawdę kradł pan w tych miejscach? — nie mógł wyjść z podziwu Randall.

— Tak, jak najbardziej — puszył się Lebrun. — Nie we wszystkich, bo nie każde z nich miało w zbiorach papirus bądź pergamin z pierwszego stulecia. Złotą żyłą okazało się szczególnie British Muséum, gdzie liczne okazy są do dzisiaj nieposegregowane i nieskatalogowane z powodu braku funduszy i personelu, a co za tym idzie, są stosunkowo słabo zabezpieczone. W moim rodzinnym Paryżu także znalazłem kopalnię materiałów. Biblioth?que Nationale jest przechowalnią dosłownie tysięcy rękopisów... nieprzetłumaczonych, niesklasyfikowanych, zalegających w magazynach. Co za marnotrawstwo. Pozwoliłem więc sobie wykorzystać pewną ilość tych niezapisanych fragmentów papirusów z pierwszego wieku, z pożytkiem dla świata. Rozumie mnie pan, panie Randall?

— Rozumiem, jak najbardziej — odrzekł Randall. — Ale nie rozumiem doprawdy, jak pan je stamtąd wydobyl.

— Zwyczajnie. Chciałem je zabrać, więc zabrałem. Musiałem działać śmiało, lecz z rozwagą. Do niektórych muzeów zakradałem się przed świtem, w innych pozostawałem na noc po zamknięciu. Po rozłączeniu systemu alarmowego rabowałem. W razie wyjątkowo starannie strzeżonych zbiorów prosiłem o pomoc wykwalifikowanych kolegów, którym dobrze za to płaciłem. W dwóch przypadkach załatwiłem to drogą negocjacji. Muzealni i

biblioteczni strażnicy są słabo opłacani, panie Randall, więc nawet skromna łapówka może zdziałać wiele. Cały zdobyty przeze mnie materiał był autentyczny. Pergamin nie starszy niż z piątego roku po Chrystusie, a papirus nie późniejszy niż z roku dziewięćdziesiątego. Jeśli zaś chodzi o atrament, sporządziłem go według receptury używanej między rokiem trzydziestym a sześćdziesiątym drugim, dodając specjalnej substancji postarzającej do kopcia z lampy i gumy roślinnej... bo takim właśnie atramentem posługiwali się skrybowie w pierwszym stuleciu.

— No a sam tekst raportu Petroniusza i zapisu Jakuba? — zapytał Randall.
— Jak pan się zdobył na odwagę, żeby w ogóle stworzyć coś takiego? Na jakiej podstawie śmiał pan sądzić, że te dokumenty zostaną uznane za autentyczne przez największych teologów i biblistów na świecie?

Lebrun wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Po pierwsze, panie Randall, świat rozpaczliwie potrzebował tego rodzaju odkrycia. Przywódcy religijni, żądni władzy i pieniędzy, po prostu chcieli, żeby podobne dokumenty zostały odnalezione. Dojrzał czas, by pojawił się zmartwychwstały Jezus. Po drugie, ja sam tak naprawdę niczego nie wymyśliłem od początku do końca, jeśli chodzi o teksty Petroniusza i Jakuba. Niemal wszystko zostało kiedyś zasugerowane przez Ojców Kościoła albo historyków, a także autorów różnych apokryficznych przekazów z czasów bezpośrednio po pierwszym stuleciu.

— Proszę podać jakieś przykłady — zażądał Randall. — Weźmy Pergamin Petroniusza. Czy rzeczywiście istniał wojskowy imieniem Petroniusz?

— Zaginiona Ewangelia Piotra mówi, że tak.

— Ewangelia Piotra"? Nigdy o niej nie słyszałem.

— Ale istnieje — odrzekł Lebrun. — Znaleźli ją francuscy archeolodzy w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym w starożytnym grobie w pobliżu miasta Akhmim nad Górnym Nilem. Jest to kodeks spisany na pergaminie około roku sto trzydziestego. Z ewangeliami kanonicznymi nie zgadza się w dwudziestu dziewięciu punktach. Mówi na przykład, że to Herod... nie Żydzi ani Poncjusz Piłat, ale Herod... był odpowiedzialny za egzekucję Jezusa. I jest w niej także wzmianka o tym, że setnik dowodzący żołnierzami podczas egzekucji miał na imię Petroniusz.

— A niech mnie kule biją — powiedział Randall. — Więc ta Ewangelia Piotra jest prawdziwa?

— Nie tylko prawdziwa. Taki na przykład Justyn Męczennik, nawrócony na chrześcijaństwo około roku sto trzydziestego, twierdzi, że w owych czasach była ceniona i szanowana bardziej od naszych czterech ewangelii.

Gdy jednak w czwartym wieku powstawał Nowy Testament, tekstu Piotra doń nie włączono, sklasyfikowano go jako apokryf, czyli przekaz o wątpliwej wiarygodności.

— No dobrze — odparł Randall. — W tym pańskim Pergaminie Petroniusza przedstawił pan Jezusa jako buntownika, który został skazany za wzniecanie rebelii i stawianie siebie ponad autorytetem cesarskim. Skąd pan wiedział, że oni to kupią?

— Stąd, że uważa tak wielu wybitnych biblistów. Zacytuję panu pewne kontrowersyjne i obrazoburcze dzieło pod tytułem Ewangelia nazareńska, Gravesa i Podro: „Nie ma wątpliwości, że Jezus został namaszczoney i ogłoszony królem Izraela, jednakże wydawcy Biblii postarali się ukryć ten fakt z powodów politycznych”.

— A jak jest z różnymi wypowiedziami, które wkłada pan w usta Jezusa w rzekomym tekście Jakuba? — zapytał Randall. — Są prawdziwe czy fikcyjne?

W oczach Lebruna za stalowymi oprawkami pojawił się błysk.

— Może ujmijmy to tak, monsieur, że fakty stały się osnową mojej fikcji. Nauczanie Jezusa, czyli zbiór jego wypowiedzi, nie sprawiło mi większych problemów. Ponownie zajrzałem do apokryfów. Weźmy jako przykład starożytny dokument nazwany Epistula Jacobi Apocrypha, Apokryf Jakuba, zbiór stwierdzeń, przypisywanych Jezusowi. Wykorzystałem niektóre z nich, zmieniając tylko gdzieś ich treść. W apokryfie rozstanie Jezusa z Jakubem opisane jest tak: „Gdy powiedział te słowa, opuścił nas. My jednak uklękliśmy, ja i Piotr, wyraziliśmy naszą wdzięczność i nasze serca wzniosły się ku niebu”. Ja natomiast ująłem to następująco: „I kazał nam zostać, pobłogosławił nas i z laską w dłoni odszedł, znikając we mgle i mroku. My uklękliśmy, złożyliśmy mu dzięki i nasze serca wzniosły się ku niebu”.

Lebrun zadowolony wpatrywał się w Randalla, oczekując jego reakcji. Randall pokręcił głową, wciąż oszołomiony zuchwalstwem fałszerza.

— Rozumiem, co pan ma na myśli — odrzekł z niechętną aprobatą. — Fikcja oparta na faktach. Chciałbym usłyszeć o tym coś więcej. Na przykład, jak było z opisem wyglądu Jezusa przez Jakuba? Czy spodziewał się pan, że taki Jezus... o zwężonych oczach, długim nosie, twarzy poznaczonej bliznami i skazami... zostanie zaakceptowany?

— Oczywiście. Niektóre starożytne źródła sugerują, że był z wyglądu nieatrakcyjny. Klemens z Aleksandrii na przykład, besztając wyznawców zajmujących się zanadto swoją urodą, przypomina im o „brzydkim obliczu” Jezusa. Andrzej z Krety pisze z kolei, że Jezus miał „brwi, które się

spotykały". Cyryl Aleksandryjski odnotował, że Chrystus miał „bardzo brzydkie oblicze”, dodał jednak, że „w porównaniu z chwałą boskości ciało jest bezwartościowe”. To mi w zupełności wystarczyło, żeby pójść tym tropem.

— A jakim tropem poszedł pan, konstruując historię o tym, że Jezus przeżył ukrzyżowanie?

— Ta historia ma również dość długą tradycję — odparł Lebrun. — Ignacy, który został biskupem Antiochii w roku sześćdziesiątym dziewiątym, stwierdza, że Jezus był „w swym ciele” po zmartwychwstaniu. Według Ireneusza, biskupa Hierapolis, który znał osobiście apostoła Jana, Jezus żył jeszcze w wieku pięćdziesięciu lat. Różokrzyżowcy twierdzili zawsze, że są właścicielami starożytnych dokumentów, dowodzących, iż Jezus uniknął śmierci na krzyżu w Jerozolimie. „Kiedy weszli do grobowca, zastali Go, jak odpoczywał, szybko nabierając sił i wigoru”, napisał pewien historyk różokrzyżowiec. Ich źródła mówią także, że sekta esseńczyków ukrywała Jezusa. Tak się składa, że „esseńczyk” oznacza nie tylko „świętego”, ale również „uzdrowiciela”. Możliwe więc, że któryś z nich wyleczył Jezusa. Tak argumentowali na przykład Karl F. Bahrdt i Karl H. Venturini, autorzy biografii Jezusa z końca osiemnastego wieku. Twierdzili oni, że to esseńczycy zainscenizowali cuda Chrystusa i jego zmartwychwstanie, że po zdjęciu z krzyża był tylko nieprzytomny, a nie martwy, i został uleczony przez esseńskiego lekarza.

— A wątek z pobytem Jezusa w Rzymie? — dociekał Randall.

— Rzym — powtórzył Lebrun, delektując się tym słowem. — To było najbardziej ryzykowne, ale dlaczego nie? Żydowscy faryzeusze z drugiego wieku mocno wierzyli w pojawienie się Mesjasza w Rzymie. Piotr widział Jezusa na drodze do Rzymu. Rzymski historyk Swetoniusz oskarżał go o wzniecanie niepokojów w stolicy. W rzeczy samej, istnieje tradycja, według której Jakub, gdy go pytano, gdzie się znajduje ich Bóg, zapewniał wyznawców: „Wasz Bóg jest w wielkim mieście Rzymie”. — Lebrun przerwał, rozważając własne słowa. — Tak, tak, moim zdaniem Rzym był całkiem logicznym wyborem — oświadczył zadowolony.

— Na to wygląda — skwitował Randall.

— Jak pan widzi, monsieur Randall, większość pomysłów do mojego fałszerstwa zainspirowało jakieś starożytne źródło. Są to te same tropy, które zachęcają dzisiejszych teologów i badaczy Nowego Testamentu do prób odtworzenia życiorysu Jezusa, wypełnienia białych plam za pomocą logicznej dedukcji oraz interpretacji tła tych wydarzeń i snucia teorii. Współcześni

bibliści wiedzą, że cztery ewangelie nie przedstawiają faktów, lecz są w większości serią powiązanych ze sobą mitów, choć jednocześnie owe mity opierają się na zdarzeniach historycznych. Dlatego wielu specjalistów ciągle spekuluje, co tak naprawdę wydarzyło się w początkach pierwszego stulecia. I niczego nie pragną bardziej, niż potwierdzenia swoich teorii dzięki odkryciu zaginionej ewangelii, w której istnienie, jako źródła czterech ewangelii kanonicznych, zawsze wierzyli. Byłem więc pewien, że nawet jeśli teksty Jakuba i Petroniusza napotkają opór i niedowierzanie, i tak znajdą się setki teologów i uczonych, gotowych powiedzieć: „Oto nareszcie nasze teorie zostały potwierdzone”.

— I nie mylił się pan, monsieur Lebrun — rzekł Randall. — Ewangelie Jakuba i raport Petroniusza badali najwięksi specjaliści naszych czasów i uznali je za wiarygodne.

— Nigdy nie wątpiłem, że tak się stanie — odparł Francuz. — Kiedy udało mi się już bezpiecznie zakopać mój majstersztyk fałszerstwa, a muszę powiedzieć, że ten przedostatni krok był chyba najtrudniejszy...

— W jakim sensie?

— Gdybym miał ukryć moje dzieło w jakiejś jaskini w Izraelu albo Jordanii czy w jakimś egipskim klasztorze, byłoby to o wiele łatwiejsze i bardziej logiczne. W tych suchych rejonach dokonano większości znaczących odkryć. Lecz Ostia, to co innego. Trudno sobie wyobrazić mniej prawdopodobne miejsce, w którym papirus z pierwszego wieku przetrwałby dziewiętnaście stuleci. Przede wszystkim był problem z wodą, bo antyczna Ostia była położona tak nisko, że okresowo zalewały ją wody Tybru. Żaden papirus ani pergamin nie mógłby się zachować po tyłu powodziach. Musiałem wziąć też pod uwagę pewien fakt historyczny. W drugim wieku cesarz Hadrian kazał przebudować Ostię, żeby ochronić port przed zalaniem. Przewyciężyłem ten problem w ten sposób, że umieściłem rękopisy wewnątrz kamiennego bloku.

— Czy to nie mogło wzbudzić natychmiast podejrzeń? — zapytał Randall.

— W żadnym wypadku — odrzekł starzec. — Wiedziałem, że wielu bogatych kupców mieszkało w willach na wybrzeżu pod Ostia i gdyby któryś z nich... Żyd nawrócony potajemnie na chrześcijaństwo... chciał przechować cenne manuskrypty przywiezione z Palestyny, zrobiłby to właśnie w taki sposób.

— To zapewne też nie było łatwe — zauważył Randall.

— Ma pan rację — odparł Lebrun. — Nie każdy kamień potrafi się oprzeć wodzie. Eksperymentowałem z wieloma. Wapień jest pospolity, lecz zbyt

porowaty. Nawet marmur kruszeje pod wpływem wody. W końcu zdecydowałem się na granit. Musiał być trwały, bez skalenia, który pod wpływem wody pęcznieje. Obrobiłem ten kawał granitu tak, by przypominał kamienny cokół, na którym mógł stać jakiś antyczny posąg. Potem przepiłowałem go na pół i wydrążyłem wnętrze. Papirus i pergamin zawinałem w nasączony olejem jedwab, włożyłem do glinianego dzbana, zapieczętowałem go i umieściłem w wydrążonym kamieniu. Złączyłem dwie połówki bloku, zlepiając je smołą, a następnie zakopałem w miejscu, gdzie mogły się znajdować pozostałości domów z drugiego i być może także pierwszego stulecia. Odczekałem kilka lat, żeby kamienny blok zintegrował się z glebą, i w końcu odwiedziłem profesora Montiego. Pokazałem mu fragment wyrwany z papirusu Jakuba i przekonałem, że został znaleziony w innym dzbanie na tamtym terenie. Kiedy już Monti znalazł się po mojej stronie, mogłem przestać się martwić.

Cóż za diaboliczna intryga, pomyślał Randall. Żeby wymyślić coś takiego, ten starzec musiał zaiste być szaleńcem albo zdegenerowanym geniuszem. Pod warunkiem oczywiście, że naprawdę tego dokonał, a nie były to tylko urojenia.

— I teraz, monsieur Lebrun, jest pan gotów ujawnić całą tę mistyfikację światu?

— Jestem gotów.

— Zdaje się, że już pan próbował to zrobić raz czy dwa?

— To prawda. W zeszłym roku spotkałem się z Montim, ponieważ potrzebowałem pieniędzy. Zagroziłem mu ujawnieniem fałszerstwa, jeśli nie zapłaci mi dodatkowo, na co zresztą zasłużyłem. Przyznaję oczywiście, że i tak dotrzymałbym słowa tylko na krótko, to znaczy, mam na myśli milczenie. Część dowodów zatrzymałbym sobie, żeby móc wszystko ujawnić później. Zarobek zarobkiem, a Kościół przecież nie mógł uniknąć mojej zemsty. Niedawno podjąłem negocjacje z kimś innym, okazało się jednak, że człowiek ten działa na rzecz Kościoła, że chce zdobyć dowody tylko po to, żeby je zniszczyć, ratując w ten sposób religię i fałszywą Biblią.

— Jeśli obiecuję panu, że ujawnię wszystko publicznie, czy jest pan gotów sprzedać mi te dowody?

— Jestem gotów, za odpowiednią finansową gratyfikacją — odrzekł Lebrun z lubością w głosie.

— Co pan uważa za odpowiednią gratyfikacją? — zapytał Randall i dodał szybko: — To znaczy, biorąc pod uwagę, że nie jestem bankiem.

Lebrun dopił swoją whisky.

— Zachowam umiar — odparł. — Jeśli mówimy o kwocie w dolarach...

— Tak, tak, w dolarach.

— W takim razie dwadzieścia tysięcy.

— To duża suma.

— Możemy ją podzielić na dwie raty — stwierdził Lebrun. — Jakkolwiek na to patrzeć, dzięki mnie zyska pan sławą i bogactwo.

— Co od pana dostanę w zamian za tą kwotę?

— Dowód — rzekł starzec. — Niepodważalny dowód fałszerstwa.

— Co konkretnie jest tym dowodem?

— Po pierwsze, fragment papirusu, który pasuje do naddarcia w arkuszu numer trzy. Jest na nim brakujący tekst, imiona braci Jakuba i Jezusa, które wyrecytował panu Monti. Ten skrawek ma nieregularny kształt, mniej więcej sześć i pół na dziewięć centymetrów, i dokładnie przylega do dziury w tak zwanym oryginale.

— Ale przecież eksperci mogą uznać, że ten kawałek jest tak samo autentyczny jak reszta rękopisu — zauważył Randall.

Lebrun skwitował to lekceważącym, szelmowskim uśmiechem.

— Przewidziałem i taką możliwość, panie Randall. Na moim skrawku, na tekście, jest narysowana niewidocznym atramentem połówka ryby przebitej włócznią. Druga połowa jest na pańskim papirusie numer trzy. Na wyrwanym fragmencie znajduje się także mój podpis i napisane moją ręką zdanie potwierdzające fałszerstwo. Tego niewidzialnego atramentu nie odczyta się żadnym dzieciennym sposobem, to nie jest mleko, które staje się widzialne po podgrzaniu. Nic z tych rzeczy. Sporządziłem ten atrament według receptury Locusty i...

— Kto to taki? — przerwał mu Randall.

— Nie słyszał pan o Locuscie? To ona usiłowała otłuścić cesarza

Nerona niedługo po tym, jak w mojej ewangelii wypędził on Żydów z Rzymu. Locusta miała uczniów, których uczyła sporządzać trucizny, i eksperymentowała ze swymi miksturami na niewolnikach. Na rozkaz matki Nerona podała truciznę w jedzeniu cesarzowi Klaudiuszowi. Powiada się, że zabiła dziesięć tysięcy osób. Oczywiście często musiała porozumiewać się z Neronem w tajemnicy, nabrała więc biegłości w sporządzaniu niewidzialnych atramentów. Udało mi się natrafić na jedną z jej mniej znanych receptur.

— Powie mi pan, z czego się składała?

Lebrun wahał się przez moment, po czym obnażył w uśmiechu sztuczne zęby.

— Ujawnię panu dziewięć dziesiątych składu, a jedną dziesiątą podam, gdy dobijemy targu. Locusta zaczerpnęła swą recepturę z pism Filona z Bizancjum. Ten grecki wynalazca opracował mniej więcej w roku sto czterdziestym szóstym przed Chrystusem bezbarwny atrament, sporządzony z kwasu galasowego, uzyskiwanego z orzeszków galasowych. Żeby odczytać słowa napisane tą miksturą, należy zastosować roztwór siarczanu miedziowego, połączonego z pewnym składnikiem. Za przekazanie panu tej receptury wraz z brakującym kawałkiem papirusu oczekuję połowy wymienionej sumy. Zapłaci mi pan dziesięć tysięcy dolarów. Jeżeli będzie pan usatysfakcjonowany, otrzyma pan ode mnie pozostałe w pełni przekonujące dowody fałszerstwa w zamian za drugą ratę płatności.

— I co to będzie? — zapytał Randall.

— Kolejne uzupełnienia uszkodzeń w papirusie Jakuba — oświadczył Lebrun z uśmiechem. — Na pewno bawił się pan kiedyś układankami, panie Randall. To właśnie będzie coś takiego. Wydawcy w Amsterdamie dysponują dwudziestoma czterema arkuszami papirusu. W niektórych z nich brakuje niewielkich fragmentów, łącznie dziewięć. A ja mam dziewięć brakujących części układanki, które dokładnie pasują do odpowiednich miejsc. Gdy już je pan dopasuje, będzie pan miał niepodważalny dowód fałszerstwa, czarno na białym. Pierwszy z tych skrawków pokazałem Montiemu, a osiem pozostałych spoczywa w metalowej kasetce, ukrytej w bezpiecznym miejscu. Czy pańskim zdaniem te przedmioty wystarczą, żeby pana przekonać, że Międzynarodowy Nowy Testament opiera się na sfalszowanej ewangelii?

— Tak — odparł Randall, czując pełznący wzdłuż kręgosłupa dreszcz przerażenia. — Tak, to by mi wystarczyło. Kiedy pan może przekazać te dowody?

— A kiedy by pan chciał?

— Dzisiaj. Natychmiast.

— Nie, to niemożliwe. Muszę najpierw...

— W takim razie jutro.

Lebrun pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Jutro także nie. Widzi pan, monsieur Randall, ukryłem moje dowody ponad rok temu, po spotkaniu z Montim. Niedawno zamierzałem je wydobyć dla innego kontrahenta, lecz ostatecznie zwątpiłem w jego dobre intencje i dowody pozostały tam, gdzie są. Wydostanie ich z kryjówki, która znajduje się poza Rzymem, zajmie mi cały jutrzejszy dzień. Niczego więcej nie mogę panu ujawnić.

Randall postanowił nie naciskać, choć ciekaw był, co to za kryjówka, z której tak trudno było wydobyć dowody.

— Dobrze więc — odparł. — Skoro nie da się jutro, to niech będzie pojutrze. W poniedziałek. Niech mi pan poda swój adres, przyjadę do pana.

— Nie, nie — sprzeciwił się starzec, wstając powoli. — To byłoby niemądre. Spotkamy się w Doney o piątej po południu i dokonamy wymiany. Jeśli pan chce, możemy potem przyjść tutaj i sprawdzić, czy będzie pan zadowolony.

Randall także wstał.

— Dobrze, w Doney, w poniedziałek o piątej.

Gdy odprowadzał Francuza do drzwi, ten spojrział na niego spod oka.

— Obiecuję, że nie będzie pan rozczarowany — rzucił. — Au revoir, przyjacielu. To nasz szczęśliwy dzień.

Patrząc, jak starzec kuśtyka do windy, Randall zastanawiał się, dlaczego wcale nie czuje się szczęśliwy w tym szczęśliwym dniu. Zrozumiał to chwilę później, gdy fałszerz zniknął w kabinie. Stracił wiarę.

Przed rozpoczęciem czterdziestoosmiodziesiętgodzinnego oczekiwania musiał odegrać jeszcze jedną nieprzyjemną, acz konieczną scenę. Zadzwoić do Wheelera.

Wydawca był w swoim biurze w Krasnapolskim i sekretarka natychmiast go połączyła.

— Steve? — warknął Wheeler.

— Witaj, George, Chciałem...

— Gdzie ty się tym razem podziewasz, do ciężkiej cholery? — przerwał mu Wheeler. — Czy ja dobrze słyszę, że...

— Tak, jestem w Rzymie. Pozwól mi wyjaśnić.

— Co tu wyjaśniać? Niech cię szlag, Steve! Powinieneś być w swoim biurze. Czy nie dość jasno się wyraziłem, że wszyscy mają harować jak woły, jeżeli mamy zdążyć z konferencją prasową na przyszły piątek?

— George, spróbuj mnie wysłuchać — nie ustępował Randall. — Może nie będzie żadnej konferencji prasowej. Wiem, że wolałbyś tego nie usłyszeć, ale potem będziesz mi wdzięczny. Uważam, że trzeba odwołać konferencję, a być może także publikację nowej Biblii.

W słuchawce zapadła cisza. Po dłuższej chwili Wheeler otrząsnął się z szoku i zapytał chrapliwym głosem:

— Na miłość boską, Steve, co ty wygadujesz?

Randall zebrał się w sobie. Nie było to łatwe, ale nie miał wyboru. Musiał ujawnić wszystkie okropne szczegóły tej sprawy.

— George, znam już prawdę — powiedział. — Teksty Petroniusza i Jakuba to ewidentne fałszerstwa. Odkrycie profesora Montiego jest mistyfikacją. Międzynarodowy Nowy Testament nie może ujrzeć światła dziennego.

Znów martwa cisza. A potem głos Wheelera, rzeczowy i bezbarwny.

— Jesteś szalony.

— Właściwie chciałbym, żeby tak było, George, wierz mi. Ale nie jestem. Znalazłem fałszerza, rozmawiałem z nim. Ma dowody. Wysłuchasz mnie teraz?

— Marnujesz tylko mój czas. — Wheeler aż kipiał ze złości. — Ale mów, jeżeli to ci poprawi samopoczucie.

Randall chciał odpowiedzieć, że nie poprawi, tylko pogorszy. Nie był to jednak czas na rozwodzenie się nad własnymi emocjami.

— Dobrze — odparł ponuro. — Posłuchaj, czego się dowiedziałem w Rzymie.

Zaczął od tego, jak zmusił Angele, żeby zawiozła go do ojca, i opisał, w jakim stanie zastał profesora Montiego. Zrelacjonował rozmowę z doktorem Venturini. Potem powiedział o spotkaniu z de Vroome'em w hotelu Excelsior. Nie wymienił jednak nazwiska Lebruna ani nie ujawnił szczegółów, poza podstawowymi faktami, takimi jak negocjacje fałszerza z Plummerem w Paryżu.

— A więc to znów de Vroome — wszedł mu w słowo Wheeler. — De Vroome z Plummerem wymyślili tego fałszerza, bo tak im pasowało! I ty to kupiłeś? Wiedziałem, że będą kombinować do końca, żeby nas zniszczyć. Zapłacili temu człowiekowi za odegranie komedii i tyle.

— Nie, George, to nie tak — zaprotestował Randall. — Wysłuchaj mnie.

Przedstawił zwięzłe fakty, które doprowadziły do spotkania z Lebrunem w kawiarni Doney, a potem w hotelu.

— Ten człowiek wyszedł z mojego pokoju zaledwie przed półgodziną — zakończył. — To Francuz, który osiadł w Rzymie. W Paryżu nazywał się Robert Lebrun, a tutaj posługuje się nazwiskiem Enrico Toti. Ma już dobrze ponad osiemdziesiątkę i większość swego życia poświęcił na stworzenie papyrusu Jakuba i raportu Petroniusza. Czy chcesz usłyszeć, jak to zrobił?

Nie dając wydawcy czasu na odpowiedź, Randall streścił mu historię Roberta Lebruna. Instynktownie pominął informacje związane z jego przestępczą działalnością i zesłaniem do Gujany, a także obsesję zemsty na światowej wspólnocie religijnej. Opowiedział mu tylko, jak Francuz, motywowany jakąś niejasną niechęcią do Kościoła, stał się ekspertem w dziedzinie Nowego Testamentu i jak poświęcił wiele lat swego życia na

zbudowanie genialnej mistyfikacji. Potem zrelacjonował, w jaki sposób Lebrun podszedł Montiego i sprawił, że profesor dokonał rzekomo sensacyjnego odkrycia.

— Przykro mi, że ci to wszystko mówię, George — zakończył współczującym tonem, rozumiejąc, że wydawca może być w skrajnej rozpacz. — Ale wiem, że ty, profesor Deichhardt i pozostali na pewno chcecie poznać prawdę.

Czekał na odpowiedź Wheelera. W słuchawce panowała cisza.

— George — zapytał w końcu — powiedz, co zamierzasz zrobić?

Wreszcie rozległ się zgrzytliwy głos, zawzięty i wrogi.

— Powiem ci, co powinienem zrobić. Powinienem cię wywalić na zbity pysk, i to już dawno, za to, że jesteś takim przeklętym durniem. Ale nie zrobię tego. Nie mamy czasu. Jesteś nam potrzebny. A co do tych bzdur, to sam przyjdiesz po rozum do głowy, jak pojmiesz, że de Vroome cię oszukał.

Kapitan idzie na dno ze swoim statkiem, pomyślał Randall. Tego się zupełnie nie spodziewał.

— George, czy ty mnie w ogóle słuchasz? — spytał. — Wiem, ile masz do stracenia, ale chyba już jest dla ciebie jasne, że cała ta historia to mistyfikacja, fałszerstwo wymyślone przez geniusza o wypaczonym umyśle? Jeśli opublikujesz tę Biblię i wszystko wyjdzie na jaw dopiero po fakcie, stracisz o wiele więcej pieniędzy i stracisz wiarygodność.

— Nic nie wyjdzie na jaw, idioto! De Vroome chce cię tylko przeciągnąć na swoją stronę, zasiać wśród nas panikę. To kolejna z jego sztuczek, nic więcej.

Randall starał się trzymać nerwy na wodzy.

— Ty naprawdę w to nie wierzysz, George? — zapytał.

— Nie wierzę ani na jotę. Jak można wierzyć jakiemuś psychopacie, oszustowi na żołdzie de Vroome'a?

— W porządku, nie musisz. — Randall opanował wzburzenie. — Uwierzysz, kiedy przedstawię ci dowód.

— Jaki dowód?

— Lebrun ma mi pojutrze przekazać dowód fałszerstwa. Spotkamy się po południu w Doney.

Wheeler jakby tego nie słyszał. Przemówił znowu, lecz zupełnie zmienionym tonem, łagodnym i wyrozumiałym, niczym ojciec zawracający syna ze złej drogi.

— Coś ci powiem, Steve — zaczął. — Wiesz, że jestem człowiekiem bogobojnym. Jezus jest dla mnie Zbawicielem i wiele myślę o tym, czego

może dla nas dokonać. Ale w głębi serca zawsze wiedziałem, że gdyby Nasz Pan powrócił na ziemię, tak jak wraca teraz dzięki cudowi i łasce Jakuba, jego brata, gdyby tak było, to zawsze znalazłby się ktoś gotów go zdradzić za trzydzieści srebrników po raz drugi. Ten twój Lebrun to chory człowiek, on po prostu nienawidzi Chrystusa. I gdyby Chrystus siedział tu z nami, powtórzyłby znowu: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeden z was Mnie wyda”. A zapytany, kto to mógłby być, Nasz Pan odparłby tak jak wówczas: „To ten, dla którego umoczę kawałek [chleba] i podam mu” i umoczyłby kawałek chleba w misie, i podał Robertowi Lebrunowi, a może także de Vroome'owi i tobie również, Steve.

Jakie to dziwaczne, pomyślał Randall, słyszeć epizod Ostatniej Wieczerzy, odgrywany przez amerykańskiego biznesmena handlującego Biblią, podczas rozmowy telefonicznej z Amsterdamem.

— Posłuchaj mojej rady, Steve — ciągnął Wheeler. — Nie bierz udziału w tej prymitywnej zdradzie. Prawdziwy Chrystus jest pośród nas. Pozwól mu żyć. Nie dopuść, żeby Lebrun stał się współczesnym Judaszem. A ty sam nie stań się nowym Piłatem. Nie pytaj, gdzie jest prawda, bo my ją poznaliśmy, Steve.

— A co, jeżeli to Lebrun ją poznał? Jeżeli przyjdzie do mnie w poniedziałek...

— Nie przyjdzie — odrzekł głucho wydawca — ani w poniedziałek, ani kiedy indziej. Po naszej stronie są najwybitniejsze autorytety naukowe. A ty, Steve, co masz tak naprawdę? Bajeczkę wymyśloną przez cierpiącego na demencję starczą byłego skazańca, który chce zamordować Boga i Jego Syna. Zastanów się nad tym, Steve.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Randall, idąc za radą swego pryncypała, zaczął się zastanawiać nad jego słowami. A ty, Steve, co masz właściwie? Bajeczką wymyśloną przez cierpiącego na demencję starczą, byłego skazańca... — tak brzmiało przedostatnie zdanie Wheelera.

Skąd wiedział, że Robert Lebrun jest byłym skazańcem? Randall przecież nie wspomniał mu ani słowem o przeszłości Francuza.

Ogarnęło go poczucie zagrożenia i zadrżał, przerażony nieznanym, które mogło się okazać wcieleniem zła.

ROZDZIAŁ 11

Było poniedziałkowe popołudnie, ciepły, nareszcie nieupalny dzień. Steven Randall siedział w kawiarni Doney i czekał na Roberta Lebruna.

Bawił się bezwiednie szklaneczką campari, stojącą przed nim na stoliku. Obserwował przepływający chodnikiem tłum przechodniów, obracając głowę to w lewo, to w prawo, niczym na meczu tenisowym.

Czas, jaki upłynął od rozstania z Lebrunem, byłby dlań nie do zniesienia, gdyby się nie starał wypełnić każdej godziny pracą. Tylko w sobotę wieczorem, po rozmowie z Wheelerem, był zbyt niespokojny, by robić coś sensownego, i zajął się rozmyślaniami nad najbliższą przyszłością. Co będzie, jeśli — mimo szyderstw Wheelera — Lebrun przedstawi niezbite dowody fałszerstwa? Czy powinien wówczas udać się do wydawców i zmusić ich do akceptacji faktów, którym nie będą już mogli dłużej zaprzeczać? Z drugiej strony, co zrobi, jeżeli świadomie odrzucą prawdę?

Rozwagał najróżniejsze warianty następnego ruchu. Jednego tylko nie potrafił dostrzec przejrzysto — co on sam będzie z tego miał, poza satysfakcją z ujawnienia prawdy? Marna to była perspektywa, w której prawda musiała zniszczyć dopiero co umacniającą się wiarę, a jednak czuł, że dzięki temu jego życie nabierze nowego wymiaru.

Niemal całą niedzielę poświęcił na pracę dla Drugiego Zmartwychwstania. Skoro był na ich liście płac, czuł, że powinien dokończyć to, czego się podjął. Napisał kilka tekstów i zestawień dla prasy, lecz wychwalanie cudu Międzynarodowego Nowego

Testamentu szło mu bardzo opornie, było to bowiem promowanie przegranej sprawy, fałszerstwa, które nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Porozumiewał się także telefonicznie z ludźmi ze swego zespołu w Amsterdamie. O'Neal, Alexander, Taylor i de Boer, wszyscy byli na miejscu mimo niedzieli, pracując z oddaniem. Przeczytali mu swoje artykuły, a on zaproponował poprawki i zmiany, udzielił ostatnich wskazówek, a na koniec podyktował im swoje teksty do ostatecznej korekty i powielenia.

W pewnym momencie Jessica Taylor poinformowała go, jakby mimochodem, że Angela Monti wróciła z Rzymu i pytała o niego, zdziwiona, że jeszcze go nie ma. Poprosił więc Jessicę o powiadomienie Angeli, że jeszcze jest w Rzymie, bo wyskoczyły mu dodatkowe spotkania, i wróci dopiero we wtorek.

W przeciwieństwie do Wheelera, żaden z członków ekipy nie zapytał Randalla, co, u diabła, robi w Rzymie w tak gorącym momencie.

W niedzielę załatwił jeszcze dwie ważne sprawy.

Po pierwsze, zadzwonił do Thada Crawforda i polecił mu przelać w poniedziałek dwadzieścia tysięcy dolarów do Rzymu.

Po drugie, ponieważ Wheeler rozdrażnił go swym powątpiewaniem w prawdomówność Lebruna, Randall postanowił dodatkowo sprawdzić starego fałszerza. W biurze agencji Associated Press w Paryżu pracował od wielu lat jego stary kumpel, Sam Halsey. Odnawiali swą przyjaźń ostrą popijawą, ilekroć Halsey zjawiał się w Nowym Jorku.

Udało się go znaleźć od razu. Siedział na nocnym dyżurze w agencji, wesoły i bezceremonialny jak zawsze.

Randall wytłumaczył mu, czego szuka. Chciał się dowiedzieć — a odpowiedź musiał znać najpóźniej nazajutrz po południu — czy w armii francuskiej utworzono w roku tysiąc dziewięćset piętnastym regiment nazwany Oddziałem Ekspedycyjnym Diabelskiej Wyspy. Chciał też sprawdzić w archiwach Ministerstwa Sprawiedliwości, czy jest tam jakikolwiek zapis na temat Francuza o nazwisku Robert Lebrun, ukaranego w roku tysiąc dziewięćset dwunastym za fałszerstwo i zesłanego na Diabelską Wyspę. Dziennikarz zaintrygowany sprawą obiecał mu, że osobiście sprawdzi te informacje i zadzwoni nazajutrz.

Dziś, w poniedziałek, przez cały ranek i przedpołudnie Randall nie pracował już dla Drugiego Zmartwychwstania, lecz wręcz przeciwnie, działał przeciwko swoim pogrążonym wciąż w złudzeniach pracodawcom.

Thad Crawford zgodnie z poleceniem przesłał mu — jakby to nazwał Wheeler, gdyby wiedział — trzydzieści srebrników w postaci dwudziestu tysięcy dolarów do pobrania w biurze American Express przy Piazza di Spagna. Pieniądze w banknotach o dużych nominałach spoczywały bezpiecznie w sejfie hotelu Excelsior, w oczekiwaniu na sfinalizowanie transakcji z Lebrunem.

Wcześniej jeszcze zadzwonił dwukrotnie z Paryża Sam Halsey. W pierwszej rozmowie opowiedział, jak po ciężkich bojach z rzecznikiem prasowym Ministerstwa Obrony uzyskał wreszcie dostęp do tajnych dokumentów w Service Historique de l'Armée w Vincennes. Kurator archiwum był bardzo życzliwy i z jego pomocą Samowi udało się potwierdzić, że w roku tysiąc dziewięćset piętnastym istotnie utworzono regiment skazańców z Gujany, walczący pod dowództwem generała Pétaina. Była też jednak zła wiadomość. Niestety w spisie werbunkowym Oddziału Ekspedycyjnego Diabelskiej Wyspy nie było Roberta Lebruna. Najbardziej zbliżone nazwisko nosił niejaki Robert Laforgue. Ale Sam Halsey nie

zamierzał się poddać. Wybierał się na dalsze poszukiwania do Ministerstwa Sprawiedliwości i miał zatelefonować ponownie za kilka godzin.

Zadzwoił w ciągu godziny. W zakurzonych aktach Ministerstwa Sprawiedliwości również nie figurował żaden Lebrun. Dziennikarski nos Sama podpowiedział mu jednak, żeby zajrzeć do teczki człowieka o zbliżonym nazwisku, Roberta Laforgue'a.

— I bingo, Steve! — zawołał uradowany do słuchawki. — Laforgue to fałszerz, który posługiwał się pięcioma nazwiskami i zgadnij, chłopie, jak brzmiało jedno z nich. Oczywiście Robert Lebrun, skazany w tysiąc dziewięćset dwunastym na dożywocie w kolonii karnej w Gujanie. Twój człowiek, Steve.

A więc Lebrun mówił prawdę. A Wheeler się mylił. Dzięki tym informacjom Randall w pełni uwierzył w historię o fałszerstwie i w istnienie niezbitych dowodów.

W takim też nastroju zszedł na dół do kawiarni Doney dziesięć minut przed piątą, by czekać na Roberta Lebruna.

Otrząsnął się z zamyślenia i spojrzął na zegarek. Była piąta dwadzieścia sześć. Trochę zaniepokojony rozejrzał się uważnie wokół. Chodnikiem wciąż sunął tłum, migaly mu obce twarze, lecz żadna z nich nie przypominała człowieka, którego wygląd i postura tak mocno wryły mu się w pamięć.

Było już pół godziny po wyznaczonym przez Lebruna czasie spotkania.

Nietknięte campari na stoliku Randalla zostało wreszcie wypite, duszkiem do dna. Lebrun nie przyszedł.

Randall siedział ze ściśniętym sercem, czując, jak wszystkie jego nadzieje gasną bezpowrotnie. Pięć minut po szóstej rozpacz sięgnęła dna.

Wheeler go ostrzegął: On nie przyjdzie, Steve.

I Lebrun rzeczywiście nie przyszedł.

Randall był zdruzgotany. Czuł się oszukany i bezradny.

Co się mogło stać z tym starym łotrem, zastanawiał się. Czy doszedł do wniosku, że nie może zaufać nowemu współnikowi i postanowił się wycofać z układu? A może trafił gdzieś na korzystniejszą ofertę? Albo po prostu był to kolejny szwindel i w ostatniej chwili naszły go wyrzuty sumienia?

Niezależnie od przyczyny Randall chciał się dowiedzieć, dlaczego nie doszło do transakcji. Postanowił, że skoro Lebrun nie przyszedł do niego, to w takim razie on pójdzie do Lebruna.

Położył na stoliku pięćset lirów i napiwek i skinął na Giulia, eksperta od Lebruna.

— Czy wszystko w porządku, panie Randall? — zapytał szef sali, podchodząc do niego.

— Chodzi o to, że nie całkiem — odrzekł posepnie Randall. — Miałem się tutaj spotkać z naszym przyjacielem, wiesz, z tym, którego nazywacie Toti albo Duca Minimo... z Robertem Lebrunem. Mieliliśmy o piątej rozmawiać o interesach, jest już po szóstej, a jego nie ma. Spróbuj się zastanowić, Giulio. Mówiłeś, że on zawsze przychodzi na piechotę. To by znaczyło, że mieszka gdzieś niedaleko. Czy nie obiło ci się kiedyś o uszy gdzie?

Szef sali wyglądał na skonsternowanego.

— Niestety nie — odparł. — Nie mam zielonego pojęcia. Bywa tu tylu gości, panie Randall, nawet tych stałych jest mnóstwo... — Giulio starał się coś wymyślić. — Oczywiście w najbliższej okolicy jest niewiele prywatnych rezydencji, a te nieliczne raczej nie są kieszeń Lebruna. Nasz Duca Minimo w moim przekonaniu raczej nie śmierdzi groszem.

— Masz rację, Giulio. Jest biedakiem.

— W takim razie nie stać go także na stały pokój w hotelu. Myślę, że ma gdzieś nieduże mieszkanie. W tej dzielnicy jest wiele tanich mieszkań, na tyle blisko, że mógłby stamtąd przychodzić na piechotę. Ale gdzie konkretnie, nie mam pojęcia. Randall wcisnął mu w dłoń kilka banknotów.

— Potrzebuję twojej pomocy, Giulio — powiedział. — Może znasz kogoś, kto mógłby coś wiedzieć. Już raz naprowadziłeś mnie na Lebruna. Może uda ci się ponownie.

— Jest pewna mała szansa... — Włoch zmarszczył z namysłem czoło. — Niczego nie obiecuję, ale niech pan chwilę zaczeka.

Giulio stanął w przejściu do restauracji i pstryknął palcami na uwijających się wśród stolików kelnerów.

— Per piacere! Facciamo, presto! — zawołał.

Kelnerzy zbiegli się z lewej i z prawej. Randall naliczył siedmiu. Giulio zaczął przemawiać do nich z ożywieniem, gestykulując i naśladując sztywny chód Lebruna. Kiedy skończył, kilku kelnerów wzruszyło ramionami, inni rozłożyli bezradnie ręce i po chwili rozeszli się do swoich zajęć. Pozostał tylko jeden, podpierający w zamyśleniu podbródek dłonią.

Giulio odwrócił się do Randalla z miną smutnego psa myśliwskiego i chciał coś powiedzieć, gdy kelner pociągnął go za rękaw.

— Giulio! — krzyknął. Szef sali nachylił się do niego, a mężczyzna zaczął mu coś szeptać do ucha, pokazując ręką na drugą stronę ulicy. Giulio pokiwał głową, a na jego twarz wypłynął uśmiech.

— Bene, bene — powiedział, klepiąc tamtego po ramieniu. — Grazie!

Randall czekał zaintrygowany, aż podejdzie do niego.

— Może się uda, panie Randall — oznajmił szef sali — choć z tymi kobietami to nigdy nic nie wiadomo. Nasi kelnerzy znają większość dziewcząt z ulicy, młodych prostytutek. W Rzymie jest ich pełno, jak wszędzie w Europie. Są w ogrodzie Pincio, w parku Carcella, na Via Sistina przy placu Hiszpańskim, ale najładniejsze przychodząna Via Veneto. Wdzięczą się do przechodniów, załatwiają swoje interesy, a o tej porze wiele zagłada na aperitivo... do Doney, ale częściej do Café de Paris, do naszej konkurencji po tamtej stronie ulicy. Gino, ten kelner, powiedział mi, że pański Lebrun zna wiele prostytutek i nawet chciał się kiedyś z jedną ożenić.

— A tak, słyszałem o tym. — Randall pokiwał z ożywieniem głową.

— Gino powiedział — ciągnął Giulio — że ta dziewczyna, z którą Lebrun chciał się żenić, jak będzie bogaty, mieszka z przyjaciółką, a ta przyjaciółka zawsze o tej porze siedzi w Cafe de Paris. Ma na imię Maria. Ja też ją znam. Może będzie wiedziała, gdzie mieszka Lebrun. Jakby nie chciała powiedzieć — zrobił wymowny gest palcami — to drobna sumka zawsze rozwiązuje język, no nie?

— Mógłbyś mnie teraz do niej zaprowadzić?

— Oczywiście — szef sali uśmiechnął się szeroko. — Dla Włocha to nie problem wyjść na chwilę z pracy, żeby porozmawiać z ładną dziewczyną. To przyjemność.

Podeszli do rogu ulicy. Po drugiej stronie, na czerwonej markizie Randall dojrzał napis: CAFE DE PARIS RESTAURANT. Kiedy ruszyli przez przejście dla pieszych, Giulio powiedział:

— Przedstawię pana jako Amerykanina, który chce ją poznać. Potem sobie pójdę i pan już sam jej wytłumaczy, o co chodzi. Maria mówi po angielsku, jak one wszystkie.

Pod kioskiem z gazetami Randall na chwilę zatrzymał Włocha.

— Ile powinienem jej zaproponować? — zapytał.

— Taka dziewczyna jak Maria, dziewczyna wyższej klasy, wzięłaby od Włocha dziesięć tysięcy lirów, piętnaście dolarów — odrzekł Giulio. — Od turysty, a już szczególnie od Amerykanina, który jest dobrze ubrany i nie umie się targować, weźmie pewnie dwa razy tyle. To jest opłata za maksimum pół godziny w łóżku, najczęściej w jakimś małym hoteliku. Płaci się za czas. Jak ktoś chce tylko porozmawiać, płaci tyle samo. Sprawdźmy teraz, czy Maria jest na miejscu.

Stanęli pod czerwoną markizą. Giulio zaczął się rozglądać. Randall trzymał się nieco z tyłu. Po chwili twarz Włocha rozjaśniła się i skinął na Randalla.

Przy jednym ze stolików siedziała ładna młoda dziewczyna. Maczała w kieliszku martini oliwkę na wykałaczce. Jej długie czarne włosy okalały niewinną twarz madonny, jednak ten wizerunek kłócił się z wydekoltowaną letnią sukienką mini, odsłaniającą pełne piersi i krągłe uda.

— Maria — mruknął Giulio, cmokając w powietrzu jej uniesioną dłoń.

— Signóre Giulio — odparła, wyraźnie zadowolona z niespodzianki.

Rozmawiali przez chwilę po włosku, a potem Giulio wypchnął przed siebie Randalla.

— Mario, to mój przyjaciel z Ameryki, pan Randall — przedstawił go. — Bądź dla niego miła. — Wyszczrzył się do Randalla. — Będzie dla pana dobra. Niech pan usiadzie. Arrivederci.

Włoch odszedł, a Randall zajął krzesło obok dziewczyny. Wciąż nieco skrepowany, rozejrzał się, czy inni goście nie przypatrują mu się znacząco. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Maria przysunęła się, a wzgórki jej pólnagich piersi zakołysały się prowokacyjnie. Założyła nogę na nogę i zapytała:

— Mi fa piacere di vederla. Da dove vierte?

— Niestety, nie mówię po włosku — wyjaśnił Randall.

— Proszę wybaczyć — odparła dziewczyna. — Powiedziałam, że cieszę się z naszego spotkania, i zapytałam, gdzie pan mieszka.

— Jestem z Nowego Jorku. Mnie też jest miło cię poznać, Mario.

— Giulio powiedział, że jest pan przyjacielem naszego Duca Minimo. — Uśmiechnęła się szeroko. — Czy to prawda?

— Tak, znamy się bardzo dobrze.

— To miły staruszek. Chciał się ożenić z moją najlepszą przyjaciółką, Gravina, ale nie było go na to stać. Trudno.

— Może niedługo będzie miał pieniądze — stwierdził Randall.

— Ojej, naprawdę? Oby tak było. Powiem Gravinie. — Spojrzała mu w oczy. — Podobam ci się? Myślisz, że jestem ładna?

— Jesteś bardzo ładna, Mario.

— Bene. Chcesz się teraz pokochać? Zrobię wszystko. Normalnie, po francusku, jak chcesz. Będziesz zadowolony. Tylko dwadzieścia tysięcy lirów. Chcesz pójść teraz z Marią?

— Posłuchaj, Mario, widzę, że Giulio ci nie powiedział, ale... mam do ciebie ważniejszą sprawę.

— Ważniejszą od miłości? — Zamrugwała zdumiona, jakby widziała przed sobą szaleńca.

— W tej chwili tak. Mario, czy wiesz, gdzie mieszka Lebrun... wasz Duca Minimo?

Obrzuciła go czujnym spojrzeniem.

— Dlaczego pytasz?

— Miałem jego adres i zgubiłem go. Mieliśmy się spotkać godzinę temu, ale on nie przyszedł. Giulio powiedział, że może zechcesz mi pomóc.

— I po to tylko do mnie przyszedłeś?

— To dla mnie bardzo ważne.

— Może dla ciebie. Ale nie dla mnie. Przykro mi. Znam jego adres, ale nie mogę ci go dać. Obiecałyśmy mu z Gravina, że nikomu nie zdradzimy tego adresu. Ja dotrzymuję obietnic. To może teraz znajdziesz czas, żeby się pokochać z Marią? Randall wyciągnął z kieszeni marynarki portfel.

— Powiedziałaś, że bierzesz dwadzieścia tysięcy, tak? A może za tę sumę uszczęśliwisz mnie inaczej?

Zaczął wyciągać z portfela banknoty, ale dziewczyna rozejrzała się nerwowo.

— Nie tutaj, proszę — szepnęła.

— Przepraszam. — Randall schował portfel, lecz trzymał zwinięte banknoty w zamkniętej dłoni. — Chcę ci zapłacić — powiedział. — Nic nie musisz robić, tylko mi pokaż, gdzie on mieszka. Ja chcę mu pomóc, Mario.

Dziewczyna zerknęła na pieniądze, a potem rzuciła Randallowi przebiegłe spojrzenie.

— Przysięgłam nie mówić. Ale ty chcesz mu pomóc. Żeby był bogaty?

— Tak — potwierdził Randall, właściwie zgodnie z prawdą.

— Skoro tak, sama cię tam zaprowadzę. To niedaleko.

— Dziękuję, Mario. — Randall odetchnął z ulgą.

Zapłacił za jej drinka i przeszli na drugą stronę, pod hotel. Maria pokazała w głąb szerokiej ulicy, krzyżującej się z Via Veneto.

— Via Boncampagni — oznajmiła. — On mieszka przy tej ulicy, ze trzy przecznice stąd. Możemy pójść pieszo.

Wsunęła rękę pod ramię Randalla. Idąc, podśpiewywała sobie, ale na pierwszym skrzyżowaniu przystanąła, wyciągając ku niemu otwartą dłoń.

— Zapłać mi teraz — zażądała.

Randall wręczył jej zwitek banknotów, Maria przeliczyła je i zadowolona schowała do torebki.

— Teraz możemy iść dalej — oświadczyła. Kiedy mijali trzecią przecznicę, Randall zapytał:

— Skąd właściwie wiesz, gdzie mieszka Duca Minimo?

— Powiem ci — odparła — ale nie powtarzaj mu tego. To bardzo dumny człowiek, ale czasami, kiedy Gravina albo ja nie możemy znaleźć wolnego pokoju w hotelu, Duca pozwala nam przychodzić z klientami do swojego mieszkania. Płacimy mu za to połowę naszego zysku, ale nie szkodzi. To dobry człowiek i dorabia sobie w ten sposób do czynszu.

— A ile to wynosi?

— Za pokój z małą kuchnią i łazienką, pięćdziesiąt tysięcy lirów miesięcznie.

— To jakieś osiemdziesiąt dolarów. I stać go na to?

— On mówi, że mieszka tam od bardzo dawna. Od czasów gdy był jeszcze bogaty.

— Kiedy to było?

— Jakieś cztery czy pięć lat temu.

To się zgadza, pomyślał Randall. Pięć lat temu profesor Monti przekazał mu pieniądze.

— To tutaj — wskazała Maria.

Stanęli przed sześciopiętrową kamienicą o nieokreślonym wieku. Jej kamienną fasadę pokrywał ciemny nalot.

— Tutaj cię zostawię. — Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę. — Muszę wracać do pracy.

— Dziękuję, Mario. — Randall uściśnął jej dłoń. — Ale gdzie ja mam właściwie iść?

— Wejź do środka, po lewej jest winda i schody. Ale najpierw musisz się zobaczyć z dozorcą domu, powiedz mu, że przyszedłeś do znajomego. Musisz wyjść na podwórze, zobaczysz okna z kwiatami, tam właśnie mieszka dozorca z żoną. Zapukaj i oni cię zaprowadzą. Buona fortuna. — Miała już odejść, ale dodała jeszcze: — Panie Randall, niech mu pan nie mówi, że to Maria pana przyprowadziła, dobrze?

— Nie powiem, Mario, obiecuję.

Patrzył, jak odchodzi w stronę Via Veneto, kołysząc kragłymi biodrami i wywijając białą torebką. W końcu odwrócił się ku wejściu do budynku.

Gdy wyszedł na podwórze, zobaczył po lewej otwarte okno, a w nim młodego mężczyznę o ciemnej karnacji Sycylijczyka, który podlewał kwiaty na parapecie.

— Dzień dobry — powiedział Randall. — Mówi pan po angielsku?

— Si. Troszeczkę — odparł mężczyzna.

— Czy to pan jest dozorcą?

— Tak. Czego pan sobie życzy?

— Przyszedłem odwiedzić przyjaciela. Mam prośbę...

— Chwileczkę. — Dozorca zniknął z okna i po chwili wyszedł na podwórze. Był niewysoki, krępy, w niebieskiej roboczej koszuli i dżinsach. Stał przed Randallem podparty pod boki.

— Do kogo pan przyszedł? — zapytał.

— Mieszka tu mój przyjaciel. — Randall żałował, że nie zapytał Marii, pod jakim nazwiskiem występuje tutaj Lebrun. Pewnie pod włoskim, uznał. ?— Signor Enrico Toti.

— Toti? Nie, nie ma tu takiego.

— Nazywają go także Duca Minimo...

— Duca...? — Dozorca pokręcił głową. — Nikogo takiego nie znam.

W takim razie Lebrun, zdecydował Randall.

— Właściwie on jest Francuzem — powiedział. — Najczęściej przedstawia się jako Robert Lebrun.

— Mieszka tu Francuz, ma na imię Robert — odrzekł dozorca, mierząc go spojrzeniem — ale nie nazywa się Lebrun, tylko Laforgue. Czy chodzi panu o Roberta Laforgue'a?

— Tak! — wykrzyknął Randall. — Zawsze przekręcam jego nazwisko. Chcę się zobaczyć z Robertem Laforgiem.

Dozorca przyglądał mu się jakoś dziwnie.

— Czy jest pan jego krewnym? — zapytał w końcu.

— Nie, ale jestem bliskim przyjacielem — odparł Randall. — Signor mnie oczekuje. Mamy omówić ważne interesy.

— To niemożliwe — stwierdził Włoch. — Pan Laforgue miał wczoraj wypadek przed Stazione Ostiense. Potrafił go samochód, a kierowca uciekł. Pan Laforgue zginął na miejscu. Wyrazy współczucia, signor, ale pański przyjaciel nie żyje.

Życzliwy młody policjant wyszedł z Randallem przed budynek komendy rzymskiej policji i złapał dla niego taksówkę.

— Obitorio — powiedział do kierowcy i podał mu adres. — Piazzale del Verano.

Taksówkarz przeżegnał się szybkim ruchem i ruszył w kierunku kompleksu uniwersyteckiego, gdzie mieściła się w Rzymie miejska kostnica.

Randall, kołysząc się na tylnym siedzeniu, gdy taksówka brała ostro zakręty, powoli dochodził do siebie po szoku.

Momentów wstrząsu, rozmyślał, doświadcza w życiu niemal każdy. On jednak przetrwał już kilka takich sytuacji — nagłego zaskoczenia i przerażenia, rozedrgania emocji i zmysłów — w ciągu miesiąca z kawałkiem.

Najpierw choroba ojca, zaraz potem sprawa rozwodu z Barbarą i problem Judy z narkotykami. Później dwukrotnie był przekonany, że Angela jest zdrajczynią, i jednocześnie usłyszał o „fatalnym błędzie” odkrytym przez Bogardusa. W ostatnich dniach dowiedział się o pobycie profesora Montiego w zakładzie psychiatrycznym, a pamiętne spotkanie z de Vroome 'em przyniosło kolejny szok, w postaci informacji o fałszerstwie. Pomniejszych sytuacji tego rodzaju — gdy czuł zamęt w głowie, a krew zastygała mu w żyłach — było jeszcze więcej. Miał wrażenie, że stan szoku stał się jego codziennością.

Nigdy jednak cios nie był tak silny jak przed dwoma godzinami, kiedy usłyszał od dozorca kamienicy o śmierci Roberta Lebruna.

Pamiętał — jakby to było we śnie — jak dozorca relacjonował mu wypadki wczorajszego popołudnia. W kamienicy przy Via Boncampagni zjawili się policjanci, pytając, czy mieszka tam niejaki Robert Laforgue. Kiedy dozorca potwierdził, poinformowali go, że Laforgue przed trzema godzinami zginął w wypadku.

Ofiara przechodziła przez plac w okolicy piramidy Caio Cestio i dworca Porta San Paolo — kierując się właściwie ku małej Stazione Ostiense — kiedy została potracona przez duży czarny samochód. Jeden ze świadków zeznał, że był to amerykański pontiac, inny — że angielski aston martin. Auto uderzyło mężczyznę tak mocno, że przeleciał w powietrzu dziesięć metrów i zginął na miejscu. Samochód odjechał, nie zatrzymując się.

Policjanci weszli do mieszkania Lebruna, szukając informacji o jakichś jego bliskich, których należałoby zawiadomić i którzy mogliby zająć się pogrzebem. Dozorca o nikim takim nie wiedział i oni także nie znaleźli żadnego śladu.

Randall poprosił o wpuszczenie go do pokoju Lebruna i niczym w lunatycznym śnie dał się zawieźć windą na trzecie piętro. Kiedy dozorca otworzył zielone drzwi, oczom Randalla ukazał się skromny pokój z zapadniętym łóżkiem, dwiema stojącymi lampami o brzydkich beżowych abażurach, starą komodą, radiem i pękniętym lustrem. Na podpartych ceglami półkach stało trochę książek w tanich wydaniach, lecz żadna z nich nie traktowała o archeologii czy religii. Do pokoju przylegała ciasna kuchnia i równie nieduża łazienka.

Pod czujnym okiem dozorca Randall przepatrzył pokój i nieliczne rzeczy gospodarza — dwa wyświechtane garnitury, znoszony płaszcz, szuflady w komodzie i podniszczone książki. Oprócz kilku paragonów ze sklepu i

pustego notesu nie znalazł żadnych osobistych papierów ani listów, niczego, co wiązałoby Lebruna z jakąś inną osobą na świecie.

— Nic tu nie ma — stwierdził zrezygnowany. — Żadnych zdjęć, notatek, adresów.

— Przyjaźnił się z kilkoma dziewczynami z ulicy — odparł dozorca — ale poza tym żył jak pustelnik.

— Czyli wszystko, co pozostało po Robercie Lebrunie, to jego zwłoki — stwierdził Randall. — Czy wie pan, gdzie go zawieźli?

— Policjanci powiedzieli, że jeśli pojawi się ktoś z rodziny albo znajomych, mam przekazać, że ciało będzie przez miesiąc trzymane w Obitorio.

— W kostnicy?

— Si, w kostnicy. Będą czekali przez miesiąc, czy nie pojawi się ktoś, kto go zidentyfikuje i zapłaci za pogrzeb. Jeśli nie, pochowają go na Campo Comune.

— Campo Comune? To cmentarz dla ubogich? Dozorca skinął głową.

— Chciałbym go zobaczyć — powiedział Randall. Policja wprawdzie znalazła przy zwłokach dokumenty, ale chciał się upewnić, czy to na pewno Lebrun. — Jak to załatwić?

— Musi pan iść na policję i uzyskać pozwolenie na obejrzenie ciała — odparł Włoch.

Randall udał się więc do komendy, gdzie musiał wypełnić czterostronicowy Processo Verbale, formularz dotyczący osoby zmarłego i własnych z nim relacji. Podał znane sobie nazwiska, Lebrun alias Laforgue, jego rysopis i wiek. Wymyślił jakąś historię na temat ich znajomości jeszcze z Paryża. W końcu wręczono mu pisemne zezwolenie na identyfikację i ewentualnie zabranie ciała, a uprzejmy policjant odprowadził skonfundowanego cudzoziemca do taksówki.

Samochód zatrzymał się na Piazzale del Verano. Kierowca wskazał mu trzypiętrowy budynek z żółtej cegły, stojący za murem z żelazną, pomalowaną na niebiesko bramą.

— Obitorio — objaśnił niemal szeptem i przeżegnał się znowu. Randall wynagrodził go hojnym napiwkiem.

Wszedł przez żelazną bramę na dziedziniec i nad drzwiami do budynku zobaczył podświetlony napis: UNIVERSIT? DI ROMA. ISTITUTO DI MEDICINA LEGALE E DELLE ASSICURAZIONI. OBITORIO COMUNALE.

Miejsce w sam raz na nastrojowe spotkanie z Robertem Lebrunem, pomyślał Randall.

W holu pokazał swoje zezwolenie strażnikowi i ten zaprowadził go do pokoju po prawej, gdzie za marmurowym kontuarem rezydował ślamazarny, wąsaty urzędnik w ciemnym uniformie z czerwonym kołnierzem.

— Nazywam się Steven Randall i chciałbym zidentyfikować ciało mojego przyjaciela — powiedział. — Jego nazwisko brzmi Robert Lebrun... przepraszam, Laforgue. Przywieziono go wczoraj.

— Czy ma pan zezwolenie? — zapytał Włoch ciężko akcentowaną angielszczyzną.

Randall podał mu wystawiony na policji dokument, a urzędnik przeczytał go, wydał usta i powiedział coś szybko po włosku przez interkom.

— Proszę iść za mną — rzekł do Randalla, wychodząc zza kontuaru.

Wrócili do holu i skierowali się do drzwi z napisem na mlecznej szybie: INGRESO ? VIETATO. Randall domyślił się, że oznacza to „Wstęp wzbroniony”. Kiedy ruszyli korytarzem, uderzył go nasilający się odór rozkładu i poczuł mdłości. Instynkt podpowiadał mu, żeby stąd uciekać. Cała ta identyfikacja była bez sensu.

Po chwili dotarli jednak do następnych drzwi, strzeżonych przez policjanta w mundurze. Widniał na nich napis: STANZE DI RICONOSCIMENTO.

— Co tutaj jest? — zapytał Randall.

— Sala rozpoznania — przetłumaczył urzędnik. — Tutaj identyfikuje się zwłoki.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, oświetlonego neonówkami. Randall zakrył nos dłonią. Przez otwarte, szklane drzwi w przeciwną ścianie pielęgniarz wprowadzał właśnie nosze na kółkach. Leżały na nich zwłoki zakryte od stóp do głów białym prześcieradłem.

Podeszli do noszy i urzędnik odsłonił twarz nieboszczyka.

— Czy to on? Pański Robert Laforgue? — zapytał. Żołądek podszedł Randallowi do gardła. Rzucił tylko okiem i odwrócił się szybko. Pomarszczona, stara twarz o skórze martwej jak kawałek papierusa, poznaczona sińcami, należała do Roberta Lebruna alias Laforgue'a.

— Tak, to on — wyszeptał, powstrzymując falę nudności.

— Dziękuję, już po wszystkim — rzekł urzędnik. Zakrył twarz nieboszczyka i dał znak pielęgniarzowi, że może zabrać nosze.

Gdy wyszli z sali rozpoznania, poza odorem śmierci Randall poczuł jeszcze inną woń — ohydny smród przypadku, spowijający go zgniłym całunem.

Gdy chciał obejrzeć w Amsterdamie oryginalny papirus numer dziewięć, ten nagle zniknął przez przypadek. Kiedy pojechał do Edlunda zobaczyć negatywy, archiwum fotografa akurat przez przypadek przepadło w pożarze. Kiedy miał otrzymać w Rzymie ostateczny dowód mistyfikacji, fałszerz przypadkowo zginął, potrącony przez samochód. Przypadki czy celowe działania?

Urzędnik mówił coś do niego.

— Signóre, ponieważ tylko pan zgłosił się do identyfikacji, ma pan również prawo dysponować ciałem. — Spojrzał na niego z nadzieją. — Jeśli pan sobie zażyczy.

— Co to właściwie oznacza?

— Po identyfikacji musimy dokonać pochówku. Jeżeli pan się tym nie zajmie, nieboszczyk trafi na Campo Comune...

— A, tak, słyszałem o tym.

— Jeśli pan zażąda wydania ciała, możemy wezwać prywatny zakład pogrzebowy, który załatwi wszystkie sprawy związane z pochówkiem, a zwłoki spoczną na cmentarzu katolickim Cimiterio Verano, pogrzeb będzie z księdzem. Postawią też nagrobek. Jeżeli zdecyduje się pan zapłacić...

Randall nie wahał się ani chwili. Lebrun zasłużył na jakiś rewanż za swą chęć współpracy. Poza tym należał mu się zwykły ludzki szacunek.

— Pokryję wszystkie koszty pogrzebu — oświadczył. — Pochowajcie go jak należy. Tylko jedno zastrzeżenie — uśmiechnął się na wspomnienie zawziętego starca — żadnego księdza, żadnych modlitw, i to nie może być cmentarz katolicki. Mój przyjaciel był... agnastykiem.

Wrócili do pokoju z marmurowym kontuarem.

— Rozumiem — rzekł Włoch. — Zrobimy, jak pan sobie życzy, pochowamy go na Cimiterio Acatólico. Spoczywa tam w pokoju wielu niewierzących, to jak najbardziej właściwe. Czy zechce pan teraz zapłacić?

Randall zapłacił, podpisał odpowiednie dokumenty i chciał już odejść, zadowolony, że ma to z głowy.

— Signóre! Jeszcze chwileczkę — zatrzymał go urzędnik. Randall zawrócił. Tamten położył na marmurowym kontuarze plastikowy worek.

— Ponieważ panu wydaliśmy ciało — powiedział — ma pan także prawo do własności zmarłego. — Rozwiązał worek i wysypał z niego rzeczy Lebruna. — To wszystko, co miał przy sobie, kiedy go tutaj przewieziono — dodał. — Może pan wziąć cokolwiek na pamiątkę.

Na drugim końcu pokoju zadzwonił telefon. Urzędnik przeprosił i poszedł odebrać.

Randall zaczął w milczeniu przeglądać marny dobytek Lebruna. Brał do ręki każdą rzecz i odkładał ją na bok. Rozbity zegarek, ze wskazówkami zatrzymanymi na dwunastej dwadzieścia trzy. Na wpół wypalona paczka gauloise'ów. Zapałki. Kilka monet. Wreszcie brązowy tani portfel z imitacji skóry. Zaczął go opróżniać.

Dowód osobisty.

Cztery banknoty tysiąclirowe.

Złożona kartka.

Różowy bilet kolejowy.

Randall rozłożył kartkę i ujrzał rysunek ryby przebitej włócznią. Był podobny do rysunku Montiego, ale wyraźnie naszkicowany inną ręką, pewnie samego Lebruna. W prawym dolnym rogu widniały wypisane piórem słowa: Cancelli C, Decumanus Maximus, Porta Marina. 600 mtrs. Catacomba.

Obejrzał teraz bilet kolejowy. Podzielony był na trzy części. Na górnej wydrukowano: ROMA SAN PAOLO/OSTIA ANTICA. Na dolnej: OSTIA ANTICA/ROMA SAN PAOLO.

Randall poczuł pulsowanie w skroniach. W tym momencie wrócił urzędnik.

— Bardzo przepraszam — rzekł. — Czy znalazł pan coś dla siebie?

Randall pokazał mu różowy kartonik.

— To bilet na pociąg, prawda? — zapytał.

— Tak, zgadza się. — Mężczyzna zmrużył oczy. — Na wczoraj, powrotny do Ostii, gdzie mamy słynne plaże i wiele starożytnych ruin. Jest niewykorzystany, bo części na jazdę „tam” i „z powrotem” nie zostały oddarte.

Randall usiłował w chaosie swych myśli zrekonstruować wydarzenia z niedzieli. Robert Lebrun musiał przyjść na dworzec San Paolo i kupić bilet. Pewnie miał jeszcze czas do odjazdu i wyszedł na plac, może posiedzieć na słońcu. Potem, gdy wracał na peron, zginął pod kołami samochodu i niewykorzystany bilet został w portfelu.

Wybierał się do Ostii, tam gdzie profesor Monti dokonał wielkiego odkrycia. Zapewne chciał wydobyć ukryty gdzieś dowód, że znalezisko było jedną wielką mistyfikacją.

Randall schował bilet do kieszeni i przyjrzał się ponownie kartce z rysunkiem ryby i ręczną notatką w rogu.

— Co to jest Porta Marina? — zapytał urzędnika.

— Porta Marina? To także Ostia. Łącznie Porta Marina, na samym końcu ruin, bardzo starożytne, musi pan to koniecznie obejrzeć.

Oczywiście, że obejrzę, postanowił w duchu Randall. Schował kartkę do kieszeni.

— Resztę rzeczy może pan wziąć — powiedział urzędnikowi.

— Dziękuję panu. I wyrazy współczucia z powodu śmierci przyjaciela.

Tak, tak, wyrazy współczucia, pomyślał, opuszczając kostnicę. Ale także wyrazy wdzięczności za ten mały spadek i odrobinę nadziei.

Wychodząc w ciepłą rzymską noc, Randall wiedział, że musi kontynuować podróż, którą rozpoczął Robert Lebrun. Nazajutrz kupi kolejny różowy bilet i tym razem zostanie on wykorzystany. Odwiedzi Ostię i wróci do Rzymu.

A co będzie potem? Okaże się jutro.

Wczoraj sze jutro z irytującą powolnością zmieniło się w dzisiaj.

Rozklekotany podmiejski pociąg toczył się w kierunku na wpół zasypanego, antycznego portu, w którym pod szpadlem profesora Montiego narodziło się Drugie Zmartwychwstanie i w którym dzięki świadectwu Roberta Lebruna to samo Drugie Zmartwychwstanie mogło zakończyć swój żywot.

Poprzedniego wieczoru Randall odszukał w okolicy Via Veneto dwa antykwarjaty z działem książek angielskich. W jednym udało mu się kupić używany egzemplarz Guida Calzy, który kierował wczesnymi badaniami ruin w Ostii na początku dwudziestego stulecia. W drugim natrafił na książkę Russella Meiggsa, który opisał szczegółowo historię rozkwitu i upadku starożytnego miasta.

Do tego nabył mapę turystyczną z planami miasta w czasach starożytnych i obecnie oraz przewodnik po ruinach odkopanych w ciągu ostatnich stu lat. Przewodnik nie wspominał oczywiście, ze zrozumiałych względów, o odkryciu profesora Montiego.

Randall ślęczał nad tymi materiałami do późna w nocy, studiując je tak pilnie, jakby przygotowywał się do ważnego egzaminu. Widoki i historię Ostii wrył sobie w pamięć. Szczególnie uważnie zapoznał się z planem rzymskiej willi z pierwszego wieku, takiej jaką odkopał Monti. Typowy dom miał westybul, atrium, czyli otwarty dziedziniec, tablinum, czyli bibliotekę, triculinium, czyli jadalnię, sypialnię, oecus, główny salon, oraz kuchnię, kwatery dla służby, latryny, a czasem nawet, a jakże! — katakumby.

Porta Marina. 600 mtrs. Catacomba — napisał na kartce Robert Lebrun. Randall wiedział już teraz, że w niektórych rzymskich willach, jeśli właścicielem była osoba nawrócona potajemnie na chrześcijaństwo, znajdowała się prywatna, podziemna komora grobowa.

Na koniec przejrzał jeszcze notatki, swoje własne i Angeli, na temat wykopalisk profesora Montiego sprzed sześciu lat. Starał się także odtworzyć w pamięci wszystko, co opowiedział mu o tej sprawie Lebrun. W końcu, czując piasek pod powiekami i zamęt w głowie, położył się spać.

Rankiem, zaopatrzony tylko w mapę i kartkę z rysunkiem ryby oraz tajemniczą notatką, pojechał taksówką na dworzec Porta San Paolo, gdzie wsiadł do pociągu do Ostii.

Pociąg był w drodze już od siedemnastu minut. Od celu podróży dzieliło Randalla zaledwie osiem.

Taka podróż normalnie byłaby dla niego nie do zniesienia. Pasażerowie siedzieli na twardych drewnianych ławkach, ani czystych, ani brudnych, lecz po prostu starych. W wagonie panował tłok i zaduch, jechali nim w większości kiepsko ubrani, prości ludzie, wracający do swoich wiosek z wielkiego miasta. Wokół rozlegał się gwar pogaduszek, sporów i złorzeczeń — tak w każdym razie odbierało to jego ucho. Siedzący obok niego ociekali potem, a przez brudne szyby piekło niemiłosiernie słońce.

Krajobraz za oknem był nieciekawym — podmiejskie zabudowania, wiszące na małych balkonikach pranie, gdzieniegdzie osiedla podobnych do siebie bungalowów. Pociąg zatrzymywał się z szarpnięciem na małych zaniedbanych stacyjkach — Maglina, Tor di Valle, Vitinia.

Teraz ruszali ze stacji Acilia. Pejzaż stawał się przyjemniejszy. Pojawiły się gaje oliwne, łąki, biegnące ku Tybrowi akwedukty, a równoległe do torów biegła nowoczesna autostrada, pewnie Via Ostiensis, domyślił się Randall.

Tą samą trasą prowadziła niegdyś droga z Rzymu do portu, spichlerza stolicy. Miasto, zbudowane za Juliusza Cezara, a potem cesarza Augusta, unowocześniane przez kolejnych władców, Klaudiusza i Nerona, było także fortecą broniącą wybrzeża przed najeźdźcami.

Randall nie zwracał jednak zbyt wiele uwagi na krajobraz ani warunki jazdy. Myślał wyłącznie o tym, co go czeka, czy prowadzony notatką starego fałszerza zdoła dotrzeć do dowodów oszustwa. Liczył na to, że Lebrun ukrył je gdzieś w okolicy miejsca, w którym podłożył kiedyś podrobione rękopisy, odnalezione później przez Montiego.

Wiedział, że wybiera się na szukanie igły w stogu siana. A jednak była to dla niego obecnie najważniejsza sprawa — jedynie w ten sposób może sprawdzić, czy przesłanie zawarte w tekstach Jakuba i Petroniusza jest w istocie Słowem... czy też kłamstwem.

Pociąg wyraźnie zwolnił, za oknem mignęła tablica z napisem OSTIA ANTICA i po chwili stanął. Randall spojrzął na zegarek: dwadzieścia sześć minut od wyjazdu z Rzymu.

Po wyjściu na peron skierował się wraz z tłumem pasażerów do podziemnego przejścia, gdzie przez moment rozkoszował się chłodem betonowych ścian, a potem przez budynek stacyjny wyszedł na palący skwar ulicy przed dworcem.

Rozejrzał się i spotkało go przyjemne zaskoczenie. Wrażenie było takie, jakby się znalazł w wiejskiej arkadii. Rosły tu palmy i figowce, a dalej dojrzał schodki prowadzące na most. Pasażerowie rozeszli się każdy w swoją stronę i Randall został sam w tym cichym i spokojnym otoczeniu.

A jednak nie całkiem sam, gdyż po chwili podszedł do niego taksówkarz, mężczyzna o komicznym wyglądzie, w szerokoskrzydłym kapeluszu gondoliera, szkarłatnej szarfie na szyi i obszernych spodniach.

— Buongiorno — powiedział, uchylając z szacunkiem kapelusza. — Jestem Lupo Farinacci. Każdy w Ostia mnie zna. Mam taksówka. Fiat. Chce pan taksówka?

— Raczej nie — odparł Randall. — Obejrzę tylko wykopaliska.

— Ach, scavi, scavi, wykopaliska, si. To blisko na nogach. Nad autostradą most i potem żelazna brama.

— Dziękuję.

— Nie zostawać długo. Za gorąco. Może później jazda dla ochłody, do Lido di Ostia, plaża dla Rzymu? Lupo zawiezie taksówka.

— Chyba nie będę miał czasu.

— Może zobaczymy. Jak potrzebować taksówka, Lupo w restauracji Do Przystani Eneasza albo przy straganie z owocami. Pan zobaczy.

— Dzięki, Lupo. Znajdę cię, jakby co.

Już schodząc z mostu w pobliżu sosnowego zagajnika, Randall czuł, że koszula lepi mu się do pleców od potu. Z mapą w ręce rozpoznał piętnastowieczny zamek Giuliano della Rovere, późniejszego papieża Juliusza II, a dalej zauważył nietypową wiejską restaurację o dziwnej nazwie Allo Sbarco di Enea, Do Przystani Eneasza, gdzie goście siedzieli na zewnątrz pod baldachimem z winorośli. Główne wejście do ruin, opisane na mapie jako Cannello A, Porta Romana, musiało być niedaleko.

Po kilku minutach dotarł istotnie do żelaznej bramy z napisem na żółtej tablicy: SCAVI DI OSTIA ANTICA.

Gdy wszedł za bramę, wszystko zmieniło się znowu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Znalazł się w parku. Przepiękne pinie wydzielały

ożywcza, cierpką woń. Od strony morza nadleciał powiew wiatru, wzmagając nastrój wyczekiwania.

Na lewo spostrzegł niewielki pawilon, a w środku starszą, pulchną kobietę, która pomachała doń bloczkiem biletów.

— Bisogno comprare un biglietto per entrare! Musi pan kupić bilet wstępu! — zawołała.

Kupując bilet, zauważył następną żółtą tablicę z włoskim napisem. Spojrzał pytająco na bileterkę.

— Nie wolno wchodzić do wykopalisk—wyjaśniła. — Oglądać tylko ruiny, wykopaliska nie wolno. I uważać na nierówną ziemię, bo wykręcić nogi.

— Będę uważał — przyrzekł jej.

Z pomocą mapy znalazł Decumanus Maximus, główną ulicę, która biegła przez wszystkie odkopane obiekty w Ostii. Znaleźć ulicę było łatwo, natomiast trudniej iść, była bowiem wybrukowana od starożytności gładkimi, obłymi kamieniami. Randall ślizgał się i potykał, aż w końcu zszedł na trawiaste pobocze, by kontynuować swój marsz przez szczątki rzymskiego miasta.

Mijał, jak go informowała mapa, ruiny spichlerza z drugiego stulecia. Kolumny teatru, działającego w roku trzydziestym naszej ery. Pozostałości świątyni Gildii. Forum z Łażniami. Zmęczyło go ciągłe zaglądnienie do mapy, wołał po prostu podziwiać widoki. W odkrytych warstwach wykopalisk ukazywały się poprzewracane, bogato rzeźbione marmurowe wazy, fragmenty mieszkań z malowidłami na ścianach, wyschnięte fontanny, resztki okazałych łuków i w końcu wielki głaz z inskrypcją Decumanus Maximus.

Przemierzył już dwie trzecie ruin. Wokół nie było widać żywej duszy i zaczął czuć się zagubiony. Ruszył jednak dalej i po pięciu minutach marszu dotarł do końca wyboistej drogi. Przed sobą miał kamienne ruiny Porta Marina. Po prawej, za odkopanymi domami z czasów Hadriana, rozciągały się pagórkowate łąki z pożółkłą od słońca trawą.

Zasłaniając dłonią oczy, dojrzał pomiędzy ruinami Porta Marina i łąką stragan z owocami i sokami. Po chwili dostrzegł coś jeszcze. Zbliżała się ku niemu postać, rosnąca z każdą chwilą i machająca doń ręką.

Biegacz okazał się chudym chłopakiem, może trzynastoletnim, z szopą czarnych włosów i ciemnymi oczami jak spodki, bez koszuli, sama skóra i kości. Ubrany był tylko w szorty i stare tenisówki.

— Buongiorno! — zawołał, stając przed Randallem z rękami na biodrach i łapiąc oddech. — Lei a inglese, vero? Pan jest Anglikiem, tak?

— Amerykaninem — odrzekł Randall.

— Ja mówię po angielsku — oznajmił chłopiec. — Nauczyłem się w szkole i od turystów. Przedstawię się. Mam na imię Sebastiano.

— No, to witaj, Sebastiano.

— Chce pan przewodnika? Jestem dobrym przewodnikiem. Pomagam Amerykanom. Pokażę wszystkie miejsca w Ostii. Tysiąc lirów za godzinę. Chce pan obejrzeć ruiny?

— Już oglądałem główne budowle — odparł Randall. — Teraz chętnie bym zobaczył coś innego. Wiem, że przed sześciu laty prowadzono tu niedaleko wykopaliska, na prywatnym terenie. Jeżeli...

— Scavi Augusta Montiego? — przerwał mu chłopak.

— Wiesz o tym? — zdumiał się Randall. — Przecież to jest tajemnica.

— Tak, tak, wielka tajemnica — odparł Sebastiano. — Postawili tam znak, że wstęp wzbroniony, bo są doły w ziemi. Nikogo nie wpuszczają. Władze to nadzorują, bo to zabytek. Aleja mieszkam niedaleko i bawimy się z kolegami wszędzie, gdzie chcemy. Znam wszystkie miejsca. Zaprowadzić pana? Za tysiąc lirów?

— Zaprowadź. Chodzi mi o miejsce oddalone sześćset metrów od Porta Marina.

— To łatwe, będę liczył krokami — powiedział chłopiec. — Pan jest archeologiem?

— Geologiem. Chcę obejrzeć... glebę.

— No to idziemy. Będę liczył w głowie. To jest przed bagnami i wydmami. Wiem gdzie, dojdziemy.

I doszli po dziesięciu minutach. Znaleźli się przy wejściu do głębokiego wykopu, głównego korytarza, który rozgałęział się na wiele odnóg i dołów, w większości zakrytych ułożonymi na ciężkich belkach deskami.

— Widzi pan? — Sebastiano wskazał tablicę z wyblakłym od słońca napisem. — Tutaj pisze: Wykopaliska Augusta Montiego. Niebezpieczeństwo. Wstęp wzbroniony. Tak jak mówiłem — uśmiechnął się szeroko.

— Świetnie. — Randall zajrzał do wykopu. W głąb prowadziło kilka drewnianych stopni. — Czy jest tam jakieś światło? — zapytał.

— Tylko od słońca, ale to wystarczy — odparł chłopiec. — Prześwieca przez deski. Tym wykopem można dojść do starożytnej willi, odkopali ją tylko do połowy. Zaprowadzić pana?

— Nie, nie — rzekł szybko Randall. — Nie trzeba. Wejdę tam tylko na kilka minut. — Wyjął banknot tysiąclirowy i wcisnął go w dłoń chłopca. —

Dziękuję za twoją pomoc, ale teraz nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. Rozumiesz to?

— Nikomu nie powiem. — Sebastiano uniósł dłoń jak do przysięgi. — Pan jest moim klientem. Jakby pan jeszcze chciał coś zobaczyć, to jestem przy straganie.

Randall zaczekał, aż zniknie mu z oczu, i odwrócił się ku wejściu do wykopu. Nagle opadły go wątpliwości. Cała ta wyprawa wydała mu się idiotyczną donkiszoterią. Co on tu robi, u diabła, jeden z gigantów reklamowych Ameryki na tym pustkowiu przy jakimś porzuconym wykopie?

Popychała go jednak niewidoczna ręka, ręka Roberta Lebruna, który jeszcze przed dwoma dniami sam wybierał się w to miejsce.

Natychmiast zaczął schodzić po chwiejnych, drewnianych stopniach i po chwili znalazł się na dnie wykopu. Korytarz biegł prosto jakieś sześć metrów. Mrok rozjaśniało światło słoneczne, wpadające przez szczeliny między deskami nad głową.

Ruszył ostrożnie naprzód. Drewniane zadaszenie było gdzieniegdzie podparte słupami. W pewnym miejscu zobaczył krótki boczny tunel z odsłoniętą mozaikową posadzką, a dalej stały skrzynie, po części wypełnione odłamkami czerwonej skały, kawałami marmuru i fragmentami żółtych cegieł.

Przy końcu korytarza Randall spostrzegł, że deski zadaszenia zostały częściowo usunięte, żeby lepiej oświetlić drogę. Ujrzał też, że ściana po prawej zmieniła wygląd — była cofnięta i wyglądała na wapienną, być może stanowiła pozostałość jakiegoś pomieszczenia.

I nagle zatrzymał się w pół kroku. Na wyrąbanej w kamieniu ścianie — być może właśnie rodzinnych katakumb — dostrzegł znaki. W wapiennym rufie — przypomniał sobie nazwę porowatej skały — wyryte zostały prymitywne rysunki z pierwszego stulecia, wykonane zapewne przez prześladowanych chrześcijan z tamtych apostolskich czasów.

Podszedł bliżej. Rozpoznał niewyraźny zarys kotwicy, tajemnego symbolu, którym pierwsi chrześcijanie maskowali znak krzyża. Zobaczył greckie litery oraz , dwie pierwsze litery słowa Christos, a obok toporny rysunek gołębia i gałązki oliwnej, symbole pokoju.

Przykucnął i dostrzegł kolejne znaki. Jeden przypominał wieloryba, symbol zmartwychwstania. Drugi wyobrażał dwie ryby — większą i mniejszą, oznaczające słowo I-CH-TH-Y-S, inicjały Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, Zbawiciela.

Wapienna ściana musiała skrywać komorę, w której rzymska rodzina potajemnie chowała swych zmarłych, opatrując grobowiec symbolami prześladowanej wiary.

Randall przypatrywał się uważnie powierzchni tufu, centymetr po centymetrze, aż w końcu, na samym dole tuż nad ziemią zobaczył to, czego szukał.

Jeszcze jeden rysunek ryby, wyraźniejszy od tamtych, wryty całkiem niedawno. Ryba przebita była włócznią i miała kształt bardzo podobny do tej, którą narysował na kartce Robert Lebrun.

Randall, oddychając ciężko, przysiadł na piętach i wyszeptał do siebie:

— O Boże, znalazłem to. Chyba znalazłem grób Drugiego Zmartwychwstania.

Nagle posunięcie.

Gdy już się nad nim zastanowił, wyszedł z chłodnego wykopu w skwar popołudnia i wrócił do miejsca, z którego widać było stragan z owocami. Zobaczył swego przewodnika Sebastiana, bawiącego się piłką. Przy straganie taksówkarz Lupo raczył się sokiem, a trochę dalej stał jego stary fiat.

Randall zawołał chłopca, machając rękami. Sebastiano zostawił piłkę i puścił się biegiem w jego stronę. Gdy stanął przed nim zdyszany, Randall pokazał mu dwa banknoty tysiąclirowe.

— Chciałbyś zarobić dwa tysiące? — zapytał. Chłopiec pokiwał żwawo głową, oczy mu rozblęły.

— Próbuję zebrać próbki gleby z wykopów — powiedział szybko Randall.

— Potrzebuję łopaty, mocnej łopaty, mniej więcej na godzinę. Może wiesz, gdzie mógłbym ją pożyczyć.

— Ja panu przyniosę łopatę — odpowiedział ochotczo Sebastiano. — Mamy w domu szpadel, taki do pracy w ogrodzie.

— Chcę go tylko pożyczyć — powtórzył Randall. — Oddam zaraz, jak skończę. Ile czasu ci to zajmie?

— Piętnaście minut, nie więcej.

Randall dał mu dwa banknoty, a trzecim pomachał w powietrzu.

— Dostaniesz jeszcze tysiąc, jeżeli nikomu o tym nie powiesz. Niech to zostanie między nami.

— E U nostro segreto, lo prometiò, lo giuro — oznajmił chłopiec, chwytając banknot. — To będzie nasza tajemnica, obiecuję, przysięgam. — Wyraźnie bawiła go ta konspiracja.

— No, to pospiesz się.

Chłopiec pobiegł w kierunku przeciwnym niż stragan z owocami. Po kwadransie zjawił się z powrotem, niosąc mocny szpadel, podobny do wojskowej saperki.

Kiedy odszedł, Randall wrócił do wykopu, zdjął marynarkę i najpierw przyciągnął pod ścianę katakumby trzy puste skrzynie z korytarza. Następnie zaznaczył duży prostokąt wokół przebitej włócznią ryby Lebruna i zaczął wydziobywać szpadlem wapień, niszcząc rysunek, lecz oczywiście pozostawiając nietknięte starożytne znaki powyżej. Powierzchnia tulu była twardsza, niż przypuszczał, i musiał mocno wyteżać siły, żeby ją przebić. W miarę jednak jak prostokąt się pogłębiał, wapień kruszył się coraz łatwiej. Randall uderzał miarowo, wrzucając ułamki porowatego kamienia do skrzyń. Narastało w nim oczekiwanie.

Minęła godzina wyteżonej pracy. Bolały go ramiona, po policzkach i piersi spływały strumyki potu. Oparł się na łopacie i dysząc ciężko, wyciągnął brudną już chustkę, by po raz kolejny otrzeć twarz.

Ludzi szalonych nie brakowało nigdzie, pomyślał. Byli wśród nich fanatycy z Drugiego Zmartwychwstania, z Wheelerem na czele, był oczywiście profesor Monti w rzymskiej klinice, być może Lebrun w niebie albo w piekle. Ale najbardziej szalony był on sam.

Co powiedziała by ojciec, gdyby go teraz zobaczył? Co powiedzieliby George Wheeler i Naomi? Co powiedziałyby Angela?

Ich werdykt brzmiałby jednogłośnie. Był szaleńcem albo diabłem w ludzkiej skórze.

A jednak nie mógł zlekceważyć śladu, który mu pozostawił Robert Lebrun — symbolu przebitej włócznią ryby — najpierw na kartce, a teraz na ścianie katakumb. Kiedy go odkrył, w pierwszej chwili pomyślał o skontaktowaniu się z rządową Radą Zabytków i Sztuk Pięknych w Rzymie, wyjaśnieniu im wszystkiego i poproszeniu o pomoc. Porzucił jednak ten pomysł, obawiając się ewentualnej zмовy z ludźmi z zespołu Drugiego Zmartwychwstania. Mogło im wcale nie zależeć na prawdzie, lecz tylko na korzyściach i rozgłosie. Gdy odkrył w sobie ten brak zaufania, po raz pierwszy zaczął trochę rozumieć paranoiczną nieufność Lebruna wobec jego wrogów, zarówno osób duchownych, jak i przedstawicielei władzy.

Podjął decyzję — być może niedojrzałą, dziecinną, podszytą niepraktycznym romantyzmem — że doprowadzi rzecz do końca. Ryba na ścianie stanowiła zaproszenie do kopania. Będzie więc kopał do skutku.

To amatorskie przedsięwzięcie archeologiczne możliwe było dzięki szczególnym właściwościom wapiennego tufu. Czerwonawa skała była

porowata, łamliwa i kruszyła się łatwo przy uderzeniu, jeśli miejsce było ciemne i wilgotne. Dlatego pierwsi chrześcijanie wykuwali w niej komory grobowe. Jednakże wystawiony na działanie słońca, tuf nabierał twardości marmuru.

Ponieważ deski zadaszenia nad katakumbami były częściowo usunięte, światło słoneczne padało na górną część muru, tę z wyrytymi symbolami, utwardzając podłoże i chroniąc rysunki. Natomiast nad podłogą, w półcieniu, tuf dawał się kruszyć.

Niestety nie zmieniało to faktu, że po godzinie rycia Randall nie znalazł niczego poza odłamkami skały. Najbardziej zniechęcająca w tym wszystkim była myśl, że tak naprawdę nie wiedział dokładnie, czego szuka. Próbował przypomnieć sobie, co mówił o dowodach swego fałszerstwa Lebrun podczas ich spotkania w hotelu Excelsior.

Po pierwsze, fragment papirusu, który pasuje do naddarcia w arkuszu numer trzy. Jest na nim brakujący tekst, imiona braci Jakuba i Jezusa, które wyrecytował panu Monti. Ten skrawek ma nieregularny kształt, mniej więcej sześć i pół na dziewięć centymetrów i pasuje dokładnie do dziury w tak zwanym oryginale...

Na moim skrawku, na tekście, jest narysowana niewidocznym atramentem połówka ryby przebitej włócznią. Druga połowa jest na pańskim papirusie numer trzy. Na wyrwanym fragmencie znajduje się także mój podpis i napisane moją ręką zdanie potwierdzające fałszerstwo...

Wydawcy w Amsterdamie dysponują dwudziestoma czterema arkuszami papirusu. W niektórych z nich brakuje niewielkich fragmentów, łącznie dziewięć. A ja mam dziewięć brakujących części układanki, które dokładnie pasują do odpowiednich miejsc... Pierwszy z tych skrawków pokazałem Montiemu, a osiem pozostałych spoczywa w metalowej kasetce, ukrytej w bezpiecznym miejscu...

Wydobycie ich z kryjówki, która znajduje się poza Rzymem, zajmie mi cały jutrzejszy dzień...

Kryjówka poza Rzymem, to było jasne. Cały dzień — o tym także się przekonał na własnej skórze w tym cholernym wykopie. Metalowa kasetka — to także było oczywiste.

Niejasny był natomiast fragment odnoszący się do pierwszego dowodu, skrawka papirusu wielkości sześć i pół na dziewięć centymetrów. Lebrun nie powiedział, w jaki sposób go zabezpieczył. Randall zapomniał go zapytać, a teraz było już za późno.

Ten skrawek także musiał się znajdować w jakimś pojemniku. Tylko pytanie, czy uda się na niego natrafić. Randall spojrzął na skrzynie wypełnione wapiennym kruszywem. Porozbijał wszystkie większe bryły tufu, lecz żadnego pojemnika nie znalazł. Być może istniał on tylko w wyobraźni starego fałszerza.

Wyprostował się, uchwycił mocniej szpadel i zaczął kopać dalej. Zaczynało mu już brakować sił.

Zagłębił szpadel w otworze po raz kolejny i nagle coś zadzwoniło o metal. Czyżby twardszy kamień? Do diabła, jeśli trafił na granit, to już koniec. Ukłękął i ocierając pot z czoła, zajrzał do otworu. Nie, to nie był gład. Sięgnął do środka ręką, namacał przedmiot palcami. Wyczuł regularny obły kształt. Nie mógł wyciągnąć znaleziska, zbyt mocno tkwiło w rufie. Podważył je delikatnie szpadlem, wykruszył wapień wokół niego i po kilku minutach wyciągnął wreszcie z otworu.

Był to rodzaj ceramicznego słoja, nie wyższego niż dwadzieścia centymetrów, o średnicy trzydziestu, zalepionego od góry czarną substancją, najpewniej smołą. Gdy Randall oczyścił go z brudu, okazało się, że pojemnik jest także obwiedziony pasem smoły w połowie wysokości. Najwyraźniej składał się z dwóch części, które zostały sklezione.

Położył słoje na ziemi i uderzył mocno trzonkiem szpadla jak młotkiem. Połówki się rozdzieliły, a jedna częściowo się rozpadła. Pomiędzy odłamkami zobaczył zawartość słoja — szarą skórzaną sakiewkę.

Otworzył ją drżącymi palcami i poczuł chłodny dotyk delikatnej tkaniny. Po chwili trzymał w ręce zawiniątko z jedwabiu nasączonego olejem. Rozwinął je ostrożnie i przez kilka minut patrzył jak zahipnotyzowany na coś, co przypominało wyglądem zeschnięty liść klonu, lecz było skrawkiem papirusu — drogiego papirusu Lebruna. Pokrywały go aramejskie litery, a także, przypominał sobie Randall, napisane bezbarwnym atramentem znaki i słowa — dowód, że tekst Jakuba jest fałszerstwem i mistyfikacją.

Randall był tak wyczerpany, że nie czuł nawet podniecenia.

Zawinął ostrożnie kawałek papirusu w jedwabną szmatkę i wsunął z powrotem do sakiewki. Instynkt podpowiadał mu, żeby natychmiast wynieść się z tego miejsca ze zdobytym skarbem. Pamiętał jednak o pozostałych dowodach, schowanych w metalowej kasetce. Było możliwe, że Lebrun ukrył kasetkę w tym samym miejscu, ale mógł też umieścić ją głębiej.

Randall wstał i spojrzął na wygrzebany przez siebie otwór. Zastanawiał się, jakim cudem Lebrunowi starczyło sił na całą tę operację. Być może po prostu wynajął do kopania kogoś młodszego.

Wrzucając do skrzyń kolejne kawałki tufu, rozmyślał nad tym, czy Francuz nie ukrył jednak drugiej partii dowodów w innym miejscu. Tak czy inaczej, nie miał teraz wyjścia, musi kopać dalej.

Nagle do jego uszu dobiegł odległy dźwięk ludzkich głosów. W pierwszej chwili pomyślał, że to złudzenie, lecz zaraz usłyszał je ponownie.

Głosy lub głos, chyba kobiecy.

Rzucił szpadel i chciał już ruszyć do wyjścia z wykopu, lecz intuicja podpowiedziała mu, żeby się nie pokazywać. Musiał jednak sprawdzić, co się dzieje. Ponieważ krawędź wykopu znajdowała się metr nad jego głową, przysunął do ściany skrzynie z wapiennym gruzem i ustawił je jedna na drugiej, tworząc prowizoryczne stopnie. Wspiął się na nie, rozsunął deski zadaszania i ostrożnie wysunął głowę na zewnątrz.

Źródło dźwięku czy dźwięków spostrzegł od razu. Od strony pagórka zmierzało w jego stronę troje ludzi, wyraźnie podekscytowanych i głośnych — kobieta, chłopiec i mężczyzna. Kobieta trzymała chłopca — a był to Sebastiano — za ramię, gestykulując drugą ręką, wygrażając mu i besztając przenikliwym głosem. Sebastiano, popychany i ciągnięty w kierunku wykopalisk Montiego, protestował płaczliwie.

Randall skupił spojrzenie na trzeciej osobie i przeraził się na dobre. Człowiek ten miał na sobie oliwkową koszulę, czapkę z odznaką i biały pas z pistoletem w kaburze. Bez wątpienia był to miejscowy policjant.

Randall domyślił się od razu, co się wydarzyło.

Kobieta była matką Sebastiana. Pewnie spostrzegła brak łopaty i wydobyła z chłopca prawdę, a potem powiadomiła miejscowego glineę. Sprawa natychmiast nabrała wagi, nie chodziło już tylko o szpadel. Oto cudzoziemiec zakradł się bez zezwolenia na teren chronionych prawnie wykopalisk i czegoś tam szukał. Należało go natychmiast aresztować!

Randall zeskoczył na dno wykopu i chwycił z ziemi sakiewkę i marynarę, opanowany tylko jedną myślą. Uciekać! Jeśli go złapią z tym kawałkiem papirusu, nie wytłumaczy się z tego przez tysiąc lat.

Wspiął się z powrotem na skrzynki i wyrzwał na zewnątrz. Tamci skęcili, kierowali się bowiem nie wprost ku niemu, ale ku wejściu do wykopu.

— Lei dice che lo straniero e sceso da solo qui? — krzyczała do chłopca kobieta. — Dovete fermarlo! — ponaglała policjanta — E un ladro!

Randall domyślał się, że chodzi o niego, cudzoziemca, który ukradł jej szpadel, i policjant ma natychmiast złapać złodzieja.

Wszyscy troje dotarli już do wylotu korytarza i kolejno znikali mu z oczu, najpierw policjant, potem Sebastiano, a na końcu rozsierdzona matka.

Usłyszał echo ich głosów w podziemnym tunelu.

Nie było chwili do stracenia. Ostrożnie położył na brzegu wykopu sakiewkę, rzucił tam marynarkę i resztkami sił podciągnął się na rękach. Przetoczył się po trawie, złapał sakiewkę i marynarkę i dźwignął się na nogi. Był wolny.

Ruszył biegiem, choć ugiwały się pod nim kolana, i po kilku minutach ujrzał za pagórkiem stragan z owocami. Lupo, taksówkarz, zegnał się właśnie ze sprzedawcą, ruszając w stronę fiata.

— Lupo! — krzyknął Randall ostatkiem tchu. — Lupo, zaczekaj.

Taksówkarz odwrócił się i uśmiechnął szeroko na widok nadbiegającego Amerykanina. Poprawił gondolierski kapelusz i spojrzał nań wyczekująco.

— Chcesz zrobić dobry kurs? — wysapał Randall.

— Na dworzec kolejowy? Czy na plażę? — zapytał Lupo, przyglądając się z niejakim zdziwieniem spoconej twarzy swego klienta, jego brudnym rękoma i utyłanej ziemią koszuli.

— Nie, o wiele dalej. — Randall chwycił go za ramię i popchnął w stronę samochodu. — Chcę, żebyś mnie zawiózł do Rzymu, i to jak najszybciej. Oczywiście zapłacę za drogę powrotną. Pojedziesz?

— Właściwie już jesteśmy w Rzymie! — zawołał Lupo z entuzjazmem. — Podobają się panu zabytki? Przyjemna wycieczka, nie?

Wreszcie był bezpieczny, w swoim pokoju w hotelu Excelsior.

W holu, gdzie jego widok robił na gościach hotelowych pewne wrażenie, poprosił zmartwioną recepcjonistkę o rezerwację na najbliższy lot do Paryża. Następnie zadzwonił do profesora Henriego Auberta. Nie było go, lecz sekretarka zanotowała wiadomość. Pan Randall przybędzie dzisiaj do Paryża w porze obiadowej. Oui. Pan Randall musi się spotkać z profesorem w jego laboratorium zaraz po przyjeździe, w sprawie najwyższej wagi. Oui. Pan Randall zadzwoni z potwierdzeniem, gdy wyląduje na Orły. Oui.

Gdy wszedł do pokoju, zorientował się, że ma czas tylko na szybki prysznic i ostatni telefon.

Ostatni telefon, tylko do kogo?

Jeżeli Aubert potwierdzi, że skrawek papieru pochodzi z pierwszego wieku, pozostanie do przeprowadzenia ostatni test. Jak zauważył kiedyś sam profesor, autentyczność papieru nie gwarantowała jeszcze autentyczności dokumentu. Trzeba było zbadać tekst. A w tym przypadku pozostawała jeszcze kwestia bezbarwnego atramentu, o którym mówił Lebrun.

Korciło go, żeby się skontaktować z Wheelerem albo Deichhardtem, powiedzieć im o swej zdobyczy i namówić do zbadania tekstu przez Jeffriesa i Knighta. Oparł się jednak tej pokusie.

Jeżeli Wheeler i Deichhardt nie byli masochistami ani samobójcami, dowód fałszerstwa nie mógł ich ucieszyć. Nie można było im zaufać. Podobnie jak profesorowi Jeffriesowi, ostrzającemu już sobie zęby na przywództwo w Światowej Radzie Kościołów, do którego pośrednim krokiem miała być publikacja nowej Biblii. Nawet Florian Knight, z cudownie odzyskanym słuchem, nie byłby tutaj bezstronny. Wszyscy ci ludzie mieli zbyt wiele do stracenia.

Był tylko jeden człowiek, równie jak on sceptyczny, a jednak obiektywny w poszukiwaniu prawdy.

Randall podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę z centrali międzynarodowej o połączenie z kościołem Westerkerk w Amsterdamie.

Czekając na połączenie, spakował swoje rzeczy do walizki. Na końcu włożył ostrożnie drogocenną szarą sakiewkę. Zadzwoił telefon.

— Znalazłam kościół w Amsterdamie — powiedziała telefonistka. — Już pana łączę.

— Mówi Steve Randall — przedstawił się, mimowolnie zniżając głos. — Czy pastor de Vroome? Dzwonię z Rzymu...

— Tak, wiem, że z Rzymu. — Głos holenderskiego duchownego był łagodny jak zawsze. — To miło z pańskiej strony, że nie zapomniał pan o mnie. A już myślałem, że nie chce mnie pan znać.

— Przeciwnie, chyba uwierzyłem w to, co mi pan mówił. Musiałem jednak wszystko sprawdzić. Odnalazłem Roberta Lebruna.

— Naprawdę? Rozmawiał pan z nim?

— W cztery oczy. Opowiedział mi wszystko, tak jak Plummerowi, lecz bardziej szczegółowo. Nie mam teraz czasu tego powtarzać, spieszę się na lot do Paryża. Ale zawarłem z Lebrunem pewien układ.

— Dotrzymał go?

— W pewnym sensie. Opowiem, kiedy się spotkamy. W każdym razie zdobyłem dowód fałszerstwa, mam go przy sobie.

W słuchawce rozległ się przeciągły gwizd podziwu.

— To wspaniale — rzekł de Vroome. — Czy to brakujący fragment jednego z papirusów?

— Tak jest. Z aramejskim tekstem. O piątej ląduję na Orły i jadę z nim prosto do profesora Auberta. Musi go datować.

— Wiem i bez tego, że papirus jest autentyczny — powiedział de Yroome.
— Rozumiem, że to dla pana ważne, lecz prawdziwym dowodem jest sam tekst.

— Dlatego właśnie dzwonię — odrzekł Randall. — Czy zna pan jakiegoś specjalistę od aramejskiego, któremu moglibyśmy zaufać — zauważył, że po raz pierwszy użył wobec pastora słowa „my” — i który mógłby zbadać tekst?

— Mówiłem już panu — odpowiedział duchowny — że niewielu jest takich poza mną. A w tym wypadku, ze względu na wagę sprawy, powinien mi pan raczej zaufać.

— Chętnie — odparł Randall z ulgą. — Liczyłem na tę pomoc. I jeszcze jedno. Czy wie pan, kto to była Locusta?

— Trucicielka na usługach Nerona? Oczywiście.

— No więc nasz przyjaciel Lebrun dla uwiarygodnienia swego dowodu napisał coś na tym skrawku papirusu bezbarwnym atramentem, sporządzonym według receptury Locusty.

— Prawdziwy geniusz przebiegłości — zaśmiał się de Vroome. — Czy wyjawiał panu recepturę?

— Nie całkiem. Wiem, że bazą dla tego atramentu jest kwas galasowy. Żeby pismo stało się widoczne, należy użyć siarczku miedzi, zmieszanego z jeszcze jednym składnikiem. Lebrun nie podał mi nazwy właśnie tego składnika.

— To bez znaczenia. Poradzimy sobie z takim drobiazgiem. A więc, panie Randall, dzięki panu wreszcie zdobędziemy dowody. Świetnie, serdecznie panu gratuluję. Nareszcie skończymy z tym szalbierstwem. Zaraz jadę na lotnisko i spotkamy się na Orły o siedemnastej. Musimy działać szybko, nie ma czasu do stracenia. Czy wie pan o tym, że wydawcy przenieśli konferencję prasową ten piątek? Chcą ogłosić światu nową Biblię z Pałacu Królewskiego w Amsterdamie.

— Tak, wiem o tym doskonale. Ale nie sądzę, żeby ta konferencja w ogóle się mogła odbyć, po tym jak w czwartek wybuchnie bomba. Widzimy się o piątej.

Kiedy samolot wylądował na zalanym deszczem pasie lotniska Orły, Randall poczuł się bezpieczny.

Jego włoska przygoda była karkołomna, wręcz groźna, lecz teraz miał to już za sobą. I chociaż nad Orły zalegała mgła i siąpiła mżawka, była to Francja i było tu pięknie. Francja oznaczała wolność. Po raz pierwszy od kilku dni zrobiło mu się lekko na sercu.

Z cenną walizką w ręce — pozwolono mu ją zatrzymać przy sobie jako bagaż podręczny — dołączył do kolejki pasażerów, sunącej ku wyjściu z samolotu.

Za kilka minut spotka się z pastorem de Vroome'em, jedynym sojusznikiem, na którym mógł polegać. A kiedy profesor Aubert zbada papirus, siły światła zyskają broń przeciwko przeważającym dotąd siłom zabobonu.

Ustawiając się do odprawy paszportowej i celnej, Randall wyciągał szyję, wypatrując wysokiej postaci w czarnej sutannie. Tłum był jednak zbyt gęsty i nie mógł jej dojrzeć.

Posępny i znudzony funkcjonariusz police d'air, policji lotniskowej, wyciągnął rękę i Randall podał mu paszport razem z carte de débarquement. Policjant przyjrzał się jego fotografii, porównał ją z obliczem właściciela (był na tym zdjęciu o siedem kilogramów cięższy i dlatego nienawidził go), sprawdził coś w tajemniczych różowych kartach, ułożonych rzędem na biurku, spojrzał na Randalla powtórnie i w końcu skinął głową. Zatrzymał żółtą kartę przyjazdową, oddał mu paszport i skierował gestem do budek odprawy celnej. Następnie wstał i opuścił swoje stanowisko, nie bacząc na protesty czekających pasażerów.

Randall podszedł do umundurowanego celnika i wręczył mu deklarację celną, pragnąc już zakończyć wszystkie formalności i zająć się tym, co ważne. Urzędnik jednak zajęty był rozmową z jednym ze swych kolegów i dopiero po dłuższej chwili spojrzał na formularz.

— To pański jedyny bagaż? — zapytał, pokazując na walizkę.

— Tak, tylko ta walizka — odparł Randall. — Przyjechałem na krótko. — Był zły na siebie za te nerwowe wyjaśnienia, lecz urzędnicy celni, nie tylko tutaj, ale też w Ameryce, wywoływali zawsze w człowieku poczucie winy, chociaż zupełnie pozbawione podstaw.

— Nie przekroczył pan limitu przywozowego? Nie ma pan czegoś do zadeklarowania powyżej stu dwudziestu pięciu franków? — indagował celnik.

— Tylko to, co wpisałem do formularza. — Irytacja Randalla rosła. — Potwierdziłem to przecież własnoręcznym podpisem.

— Oczywiście — odrzekł urzędnik, wstając. — Maurice! — Zaczekał, aż młodszy kolega go zastąpi, i skinął na Randalla. — Zechce pan pójść ze mną, monsieur.

Randall zaskoczony ruszył za nim, przepychając się przez tłum. Znowu rozejrzał się za de Vroome'em, który mógłby mu pomóc w zmaganiach z biurokracją. Ale pastora nigdzie nie było.

Po chwili ujrzał obok siebie jeszcze jednego funkcjonariusza. Był to ów flegmatyczny policjant z odprawy paszportowej.

— O co panom właściwie chodzi? — zapytał Randall podniesionym głosem. Zaczęło w nim narastać poczucie zagrożenia, tak jakby lęk, który odczuwał we Włoszech, dopadł go znowu we Francji.

— Zjedziemy na dół — naciskał celnik. — To tylko formalność.

— Co za formalność?

— Rutynowa kontrola bagażu.

— Nie można tego zrobić tutaj?

— Zatomowalibyśmy kolejkę. Na dole, w hali bagażowej, mamy specjalne pomieszczenia. Proszę za mną, monsieur.

Zjechali ruchomymi schodami do hali, w której pasażerowie zdejmowali z transportera swoje bagaże. Skierowali się do rzędu pomieszczeń z otwartymi drzwiami. Weszli do jednego z nich, strzeżonego przez żandarma z pistoletem i pałką.

— Powiecie mi teraz, o co chodzi? — powtórzył Randall.

— Proszę położyć walizkę na stole i otworzyć ją — rzucił półgłosem celnik.

Randall zaczął szukać w kieszeni kluczyka.

— Mówiłem już, że nie mam niczego do zadeklarowania — upierał się. Policjant wycofał się pod ścianę, a celnik stanął tuż obok Randalla, przypatrując się, jak otwiera walizkę. — Proszę bardzo. Sam się pan przekona.

Celnik przerzucił kilka sztuk ubrania, wyjął kartonowe teczki z notatkami, obmacał ścianki w poszukiwaniu fałszywego dna i w końcu natrafił na jakiś przedmiot. Wyciągnął go i trzymał w powietrzu przed oczami Randalla.

Była to szara, skórzana sakiewka Lebruna.

— Co to jest, monsieur! — zapytał urzędnik.

— Pamiątka z Rzymu — odparł Randall, usiłując ukryć zmieszanie. — To rzecz bez wartości, kopia starego papirusu. Kolekcjonuję takie przedmioty.

Celnik jakby go nie słyszał. Wyjął z woreczka jedwabne zawiniątko, rozwinął je i spojrzał na kruchy skrawek papirusu.

— C'est biec ça, Inspecteur Queyras? — zwrócił się do policjanta, nie patrząc na Randalla.

Tamten podszedł bliżej i pokiwał głową.

— Je le crois, Monsieur Delaporte. — W ręce trzymał jedną z różowych kart, które Randall widział na jego biurku. Zerknął na nią i powiedział:

— Nasze służby śledcze zostały poproszone przez władze Republiki Włoskiej o zatrzymanie pana. Włoskie organa ścigania powiadomiły nas, że wszedł pan bezprawnie w posiadanie bezcennego zabytkowego przedmiotu, stanowiącego skarb narodowy Włoch.

Randall słuchał tego skamieniały z przerażenia. Jakim cudem ktokolwiek we Włoszech mógł wiedzieć, co on przewoził w bagażu?

— Jeżeli wróci pan kiedykolwiek do Włoch — ciągnął policjant nieskazitelną angielszczyznę — zostanie pan ukarany wysoką grzywną. Jednakże władze francuskie mają panu do zarzucenia jeszcze co innego. Popęłił pan flagrant délit, to znaczy, ukrył pan w bagażu przedmiot wielkiej wartości i w gruncie rzeczy próbował go przemyścić do Francji. Naruszył pan nasze prawo, co podlega karze...

— Niczego nie przemycałem! — krzyknął Randall. — Ten przedmiot jest kompletnie bezwartościowy!

— Władze włoskie najwyraźniej patrzą na to inaczej — odrzekł spokojnie inspektor.

— Inaczej? Tu nie ma na co patrzeć! Co oni mogą wiedzieć o tym kawałeczku papierusa? Tylko ja to wiem. Powtarzam panu, nie róbcie z siebie durniów, to nie jest nic warte w sensie materialnym, to imitacja, podróbka.

Policjant wzruszył ramionami.

— To się jeszcze okaże. Są specjaliści od tych spraw i już jesteśmy z nimi w kontakcie. Wszystko zostanie zbadane i wówczas poznamy prawdę. Tymczasem jednak... — Inspektor wyciągnął rękę do celnika, a ten przekazał mu papierus. Policjant zawinął go z powrotem w jedwab i wsunął do skórzanej sakiewki. — ...Dopóki nie zostanie przeprowadzona ekspertyza, konfiskujemy ten przedmiot. — Odwrócił się i z sakiewką w ręce ruszył do drzwi.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Randall. — Dokąd pan z tym idzie?

— To już moja sprawa, nie pańska — rzucił inspektor przez ramię.

Randall poczuł przyływ niepohamowanej wściekłości na tak rażącą niesprawiedliwość. Miał stracić papierus, drogocenny dowód fałszerstwa, przez jakichś głupich francuskich biurokratów? To było nie do przyjęcia!

— Nie! — krzyknął, przyskakując do policjanta i chwytając go za ramię. — Cholera jasna, nie zabierzecie mi tego! — Sięgnął po sakiewkę. Inspektor próbował zrobić unik, ale Randall uderzył go przedramieniem w krtani i wyrwał mu sakiewkę drugą ręką.

Policjant zatoczył się do tyłu i trzymając się za gardło, wychrypiął:

— Bon Dieu, attrape cet imbecile!

Randall trzymał mocno swoją zdobycz, lecz w tym momencie rzucił się na niego celnik. Randall odskoczył i zamachnął się, trzymając go na dystans. Celnik zaklął i zaatakował go znowu, a jednocześnie do pokoju wpadł żandarm pilnujący drzwi i razem z policjantem rzucili Randalla na ścianę, przytrzymując go za ramiona.

Próbował się jeszcze wyrywać, lecz czyjeś kolano uderzyło go w jądra. Poczłł przejmujący ból. Jęknął, zgiął się w pól i wypuścił sakiewkę. Osunął się po ścianie, jakby w zwolnionym tempie, i legł na podłodze, dysząc niczym ranne zwierzę.

— Cay est, U ne nous embetera plus — usłyszał głos policjanta. — Ma dość. Już nie będzie z nim problemu.

Dwóch funkcjonariuszy wzięło go pod pachy i podniosło do pionu, wykręcając boleśnie ramiona. Jego wzrok stopniowo odzyskiwał ostrość. Policjant trzymał sakiewkę i zmierzał z nią do wyjścia.

Randall dojrzał za drzwiami kogoś jeszcze. Wysoką, chudą postać w sutannie. To był de Vroome, nareszcie.

— Pastorze! — krzyknął. — Pastorze de Vroome, jestem tutaj!

Duchowny jakby w ogóle go nie usłyszał. Stał przed inspektorem, który coś do niego mówił, pokazując sakiewkę. De Vroome słuchał uważnie, kiwając głową. Po chwili obaj odwrócili się, by odejść.

— Panowie, puśćcie mnie, proszę, ja muszę z nim porozmawiać! — krzyknął Randall z rozpaczą do trzymających go funkcjonariuszy i żandarma. — Ten człowiek na mnie czekał, to ja go tutaj wezwałem.

— Pan go wezwał? — zapytał celnik kpiąco. — Dobrze sobie. To myśmy do niego zadzwonili.

Randall spojrział zdumiony.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi. Muszę z nim porozmawiać. — Szarpnął się, próbując uwolnić ramiona, i nagle poczuł na przegubach zimny dotyk metalu. Zakuli go w kajdanki. — Muszę z nim porozmawiać — powtórzył błagalnie.

Celnik pokiwał głową.

— Będzie pan miał okazję jutro, monsieur Randall — powiedział — kiedy zostanie pan przesłuchany przez juge d'instruction, sędziego śledczego w Paryżu. Na razie jest pan aresztowany za próbę przemytu do Francji zabytkowego przedmiotu o wielkiej wartości. Poza tym również za zakłócanie porządku i napaść na funkcjonariusza na służbie. Idzie pan do więzienia.

— Ale mój papirus... — jęknął Randall.

— O jego wartości i o pańskim losie zadecyduje jutro sąd w Galerie de la St Chapelle w Pałacu Sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ 12

Nastał poranek, pochmurny i posepny paryski poranek za okratowanym oknem celi, w której umieszczono Randalla.

Przynajmniej, pomyślał z goryczą, siedząc na przykrytej siennikiem pryczy i zapinając świeżą koszulę, nie potraktowali mnie jak pospolitego przestępcy.

W pełni rozbudzony i rześki pomimo bezsennej nocy w areszcie śledczym przy Pałacu Sprawiedliwości analizował minione wydarzenia i swoje perspektywy na najbliższą przyszłość.

Po szalonym epizodzie na Orly wsadzono go do panier a salade — co we francuskim slangu oznaczało policyjną sukę — i zawieziono do kompleksu Pałacu Sprawiedliwości na Ile de la Cité.

W budynku zwanym Petit Parquet wprowadzono go do jasno oświetlonego pokoju, gdzie stanął przed surowym, posepnym mężczyzną, który przedstawił się jako le substitut du procureur de la république, co zabrzmiało groźnie, dopóki tłumacz nie wyjaśnił mu, że to zastępca prokuratora republiki.

Nastąpiło krótkie przesłuchanie i w końcu przedstawienie zarzutów. Randall został oskarżony o outrage a fonctionnaire dans l'exercice de ses fonctions — napaść na funkcjonariusza wykonującego obowiązki służbowe, a także próbę przemytu do Francji przedmiotu o wysokiej wartości. Zastępca prokuratora podpisał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu.

Ze względu na szczególne okoliczności — Randall zastanawiał się, co mogły oznaczać szczególne okoliczności — minister spraw wewnętrznych polecił rozpatrzyć sprawę natychmiast. Rano miał stanąć przed sędzią, a do tego czasu przebywać w areszcie. Przedtem jednak miał prawo zażądać adwokata.

Randall nie był pewien, jak postąpić. Nie znał żadnego prawnika w Paryżu. Nie chciał tego załatwić przez ambasadę, gdyż ta idiotyczna historia była upokarzająca i trudna do wytłumaczenia, a jakiś nadgorliwy rodak mógł ją niebacznie rozpowszechnić w formie plotki, przeinaczając fakty. Pomyślał o Samie Halseyu, on na pewno mógłby mu załatwić dobrego prawnika. Istniało jednak ryzyko, że sprawa przedostanie się do prasy w wypaczonej postaci i skompromituje Randalla.

Zapytał więc Francuzów, czy obecność adwokata jest konieczna, i dowiedział się, że nie. Poza tym wyjaśniono mu, że załatwianie niezbędnych formalności przesunęłoby rozprawę o trzy lub cztery dni. Ten ostatni czynnik przeważał. Do konferencji prasowej Drugiego Zmartwychwstania pozostało

czterdzieści osiem godzin i nie mógł sobie pozwolić na takie opóźnienie. Oznajmił zatem, że będzie się bronił sam.

W prefekturze policji pobrano mu odciski palców i zrobiono zdjęcia — z profilu i en face. Podczas krótkiego przesłuchania pytano go o konflikty z prawem w przeszłości i poproszono o przedstawienie własnej wersji wydarzeń na Orły. Potem dwóch policjantów zaprowadziło go do aresztu śledczego, gdzie został zamknięty w pojedynczej celi. Nie było tu wygod, ale podczas pijackich nocy w przeszłości zdarzało mu się nocować w gorszych miejscach.

Cela miała zakratowane okno, metalowe drzwi z judaszem i takie wygody, jak prycza z siennikiem, umywalka z zimną wodą w kranie i ubikacja, która spłukiwała się automatycznie co kwadrans. Dostał stare numery „Paris Match” i „Lui” do czytania i pozwolono mu zatrzymać fajkę. Pragnął tylko jednego: móc się spokojnie zastanowić nad tym, jak się skontaktować z Aubertem i de Vroome'em i jak ogłosić publicznie fałszerstwo, zanim dojdzie do prezentacji świata nowej Biblii.

Myślenie przychodziło mu jednak z trudnością po tak długim i obfitującym w emocje dniu, który zaczął się w Ostii, a skończył w celi paryskiego aresztu. Nie potrafił też zasnąć z powodu przemęczenia i tańczących w wyobraźni obrazów: Wheelera i innych wydawców, Angeli, de Vroome'a i starego Roberta Lebruna. W środku czarnej nocy zapadł w końcu w sen, choć przerywany powracającymi wizjami.

Rano potraktowano go uprzejmie, postrzegając go jako szczególny przypadek. Na śniadanie dostał oprócz więziennej kawy i chleba dwa jajka i sok. Później strażnik przyniósł mu z walizki maszynkę do golenia, grzebień, świeżą zmianę bielizny i koszulę. W końcu, czysto ubrany i ogolony, mógł się zastanowić.

Najbardziej niejasna była dla niego rola, którą w całej sprawie odegrał de Yroome. Pastor pojawił się na Orły zgodnie z ich umową, żeby mu pomóc. A ten idiota celnik upierał się, że to francuskie władze go wezwały. To zupełnie nie miało sensu.

Inna tajemnica, o wiele mroczniejsza i groźna, kryła się w pytaniu: Kto doniósł na niego Francuzom?

Sebastiano, jego matka i wiejski policjant mogli się zorientować, że zabrał coś z wykopu, nie znali jednak jego tożsamości. Taksówkarz Lupo także o niczym nie wiedział. Profesor Aubert otrzymał wiadomość z prośbą o pilne spotkanie, lecz nie zawierała żadnych szczegółów. Jediną osobą, która wiedziała o wszystkim, był pastor de Vroome. Jednakże de Yroome nie miał

kompletnie powodu, by go zdradzić. W końcu to jemu zależało najbardziej na dowodzie fałszerstwa i zniszczeniu nowej Biblii.

Logiczne wyjaśnienie mogło być tylko jedno.

Jeżeli Robert Lebrun nie zginął w wypadku, lecz został zamordowany, to sprawca tej zbrodni musiał wiedzieć, w jakim celu Randall kontaktował się ze starym fałszerzem i mógł również wyśledzić, co robił w Rzymie i Ostii.

Ta teoria nie miała jednak znaczenia, ponieważ sprawca lub sprawcy pozostawali nieznani.

Ślepa uliczka.

Nagle szczęknął klucz w drzwiach i po chwili do środka wszedł młody człowiek o wyglądzie kadeta, w granatowym mundurze i kepi z czerwoną obwódką.

— Czy dobrze pan odpoczął w nocy, monsieur Randall? — zapytał. — Inspektor Bavoux z Gwardii Republikańskiej. Mam pana eskortować do Pałacu Sprawiedliwości. Posiedzenie rozpocznie się za godzinę. O tym czasie zjawią się świadkowie. Pan również będzie mógł się wypowiedzieć.

Randall wstał z pryczy i włożył marynarkę.

— Czy wśród świadków będzie obecny pastor Maertin de Vroome z Amsterdamu? — zapytał. — Zgłosiłem go jako świadka obrony.

— Z całą pewnością, monsieur.

— Dzięki Bogu. — Randall westchnął z ulgą. — Inspektorze, jestem gotowy. Możemy iść.

Znajdowali się w niedużej, funkcjonalnie urządzonej sali posiedzeń na czwartym piętrze Pałacu Sprawiedliwości.

Wchodząc do budynku, Randall poczuł się podbudowany, ze względu na napis nad schodami: LIBERTÉ, ÉGALITÉ, FRATERNITÉ. Nie jest źle, pomyślał. I siedząc teraz na miejscu oskarżonego, nie czuł niepokoju. Musi tylko wyłożyć sądowi, dlaczego przywieziony z Włoch skrawek papirusu jest bezwartościowym fałszyfikatem. Kiedy jego wywód zostanie podparty świadectwem eksperta, niekwestionowanego autorytetu w tej dziedzinie, jakim był pastor de Vroome, sprawa się wyjaśni. Sędzia skaze go jedynie na karę grzywny za napaść na funkcjonariusza i uwolni.

Randall przyjrzał się jeszcze raz świadkom, których obecność na sali wcale go nie zdziwiła. Od wyniku tej rozprawy zależało przecież ich życie, reputacja i fortuna.

W pierwszym rzędzie ławek siedzieli, niczym wykute w granicie posągi, Wheeler, Deichhardt, Fontaine, Young i Gayda. Za nimi, z poważnymi minami, de Vroome, Aubert, Helderling. Z tyłu siedziała Naomi Dunn, z

kamienną twarzą i zaciśniętymi ustami. Część świadków została już wysłuchana i nie było ich na sali.

Nie było również nikogo z zewnątrz, żadnych przypadkowych widzów ani dziennikarzy. Sędzia oznajmił od razu na wstępie, że posiedzenie jest zamknięte, jak to zgrabnie ujął, „ze względu na konieczność zachowania rozpatrywanej sprawy w tajemnicy”.

Sąd kapturowy, przemknęło przez głowę Randallowi.

Zastanawiał się, kto mógł wpłynąć na taką decyzję sądu. Był pewien, że to wydawcy, których powiązania sięgały przecież Watykanu i Światowej Rady Kościołów. Tacy ludzie jak Fontaine i jego alter ego Sobrier, jak Gayda i ksiądz Riccardi związani byli nie tylko z religią, lecz także z polityką. Ich wpływy były na tyle duże, że jeśli zażyczyli sobie tajności, sąd się do tego przychylił.

Randallowi to nie przeszkadzało, ponieważ miał po swojej stronie de Vroome'a i wiedział, że wkrótce prawda ujrzy światło dzienne.

Na wpół tylko słuchając kolejnego świadka, podsumował w myślach dotychczasowy przebieg rozprawy.

Sędzia o nazwisku Le Clere miał wygląd typowego biurokraty i nieznośnie przenikliwy głos. Odziany był, o dziwo, nie w tradycyjną togę, lecz w cywilne ubranie, konserwatywny brązowy garnitur. Rozpoczął posiedzenie od przedstawienia podsądnemu zarzutów, które odczytał greffier, urzędnik sądowy, najpierw po francusku, a potem po angielsku. Następnie sędzia oznajmił, że ze względu na czas i wygodę oskarżonego rozprawa prowadzona będzie po angielsku, a tłumacz będzie służył tylko świadkom, którzy nie znają tego języka.

Le Clere poprowadził przesłuchania w takim tempie, jakby był umówiony na wczesny lunch i nie chciał się spóźnić. Pierwszy świadek, celnik z lotniska, noszący nazwisko Delaporte, opisał ze szczegółami karygodne zachowanie oskarżonego. Następny, żandarm Gorin, niezbyt rozgarnięty stróż porządku publicznego, opowiedział, jak wezwano go do pilnowania pomieszczenia i jak wziął udział w obezwładnieniu agresywnego przemytnika.

Trzeci był inspektor Queyras z komisariatu lotniskowego. Zeznał, że został poinformowany przez komendę carabinieri w Rzymie, iż niejaki Steven Randall, Amerykanin, będzie próbował przewieźć przez granicę zabytkowy przedmiot o wielkiej wartości, w którego posiadanie wszedł nielegalnie we Włoszech. Inspektor wypełnił różową kartę — na takich kartach opisywano poszukiwanych przestępców — i kiedy pasażer o nazwisku Randall zgłosił się do odprawy, skonfiskował mu skórzaną sakiewkę, a potem także wziął udział

w zatrzymaniu. Różowa karta została włączona przez sąd do dowodów i wszyscy trzej świadkowie opuścili salę.

Kolejnym był znany dotąd Randallowi tylko ze słyszenia doktor Fernando Tura, członek Rady Ochrony Zabytków i Sztuk Pięknych w Rzymie, który wystąpił z ramienia rządu włoskiego. Krępy, czarniawy Włoch o rozbieganych oczach od razu wzbudził w nim niechęć, Randall pamiętał, co powiedziała Angela o jego zachowaniu wobec profesora Montiego.

W odpowiedzi na pytanie sądu doktor Tura stwierdził, że nigdy przedtem nie widział oskarżonego. Dowiedział się o jego istnieniu dopiero wczoraj, gdy został poinformowany, że niejaki signor Randall przywłaszczył sobie starożytny papirus bez zezwolenia z ministerstwa. Był to skrawek, który przynależał do zwoju z tekstem świętego Jakuba, odkrytego przed sześciu laty przez profesora Augusta Montiego, przy współpracy samego świadka. Oskarżony próbował wywieźć zabytek za granicę. Doktor Tura nie miał pojęcia, jakim sposobem pan Randall zdobył papirus, ale nawet jeżeli go nie ukradł, lecz na przykład znalazł, w świetle włoskiego prawa jego postępowanie było nielegalne. Rząd włoski pragnął odzyskać rzeczony fragment, ażeby przekazać go syndykatom wydawców, który wypożyczył od władz włoskich nieznane dotąd teksty i na ich podstawie przygotowywał do publikacji poszerzoną wersję Nowego Testamentu.

Kiedy doktor Tura skończył mówić, Randall usłyszał swoje nazwisko.

— Monsieur Randall, sąd wysłucha teraz pańskich wyjaśnień. Proszę podać zawód.

— Prowadzę agencję reklamową w Nowym Jorku.

— Jakie okoliczności przywiodły pana do Rzymu?

— To długa historia, Wysoki Sądzie.

— Niech pan uprzejmie streści ją sądowi, monsieur — rzekł bez uśmiechu sędzia Le Clere. — Proszę krótko opisać zdarzenia do pańskiego wczorajszego przybycia na Orły.

Randall był skonfundowany. Jak miał zamienić górę w kopiec kreta? Nie było jednak wyjścia, musiał przygotować grunt de Vroome'owi.

— Wszystko zaczęło się od tego, że zostałem zatrudniony przez znanego wydawcę literatury religijnej, George'a L. Wheelera — rozpoczął swoją wypowiedź. Spojrzał na Wheelera, który zajęty był obserwowaniem czubków własnych butów, jakby nie usłyszał swego nazwiska. — Pan Wheeler chciał, żebym się zajął promocją nowego wydania Biblii. Wraz z obecnymi na tej sali innymi wydawcami przygotowywał poszerzoną wersję Nowego Testamentu,

opierając się na sensacyjnym odkryciu archeologicznym. Czy Wysoki Sąd życzy sobie poznać szczegóły?

— Nie ma potrzeby — odrzekł sędzia Le Clare. — Sąd ma opis znaleziska, sporządzony przez monsieur Fontaine'a.

A więc to tak, pomyślał Randall. Panowie z Drugiego Zmartwychwstania zadbali już o zasób wiedzy przedstawiciela prawa.

— Czy uważał pan znalezione teksty za autentyczne? — zapytał sędzia.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Czy w dalszym ciągu uważa pan, że teksty uzupełniające Nowy Testament są wiarygodne?

— Wprost przeciwnie, Wysoki Sądzie. Jestem teraz przekonany, że to mistyfikacja, że profesor Monti odkrył fałszyfikaty, tak samo jak fałszyfikatem jest skrawek papirusu, który mi odebrano. Sędzia wyjął chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

— Rozumiem, monsieur. Co spowodowało, że zmienił pan przeświadczenie?

— Zaraz to wyjaśnię...

— Niech pan wyjaśni, lecz proszę się ograniczyć do niezbędnych spraw.

Randall starał się uporządkować w myśli najważniejsze fakty, lecz nie bardzo układały się w logiczny ciąg. Poza tym było ich tak niewiele, że trochę stracił rezon.

— Po pierwsze, Wysoki Sądzie — zaczął w końcu — spotkałem się z autorem fałszywych rękopisów Jakuba i Petroniusza. Był nim obywatel francuski, niejaki Robert Lebrun, który...

— Skąd pan wiedział o jego istnieniu?

— Od obecnego tu pastora Maertina de Vroome'a.

— Czy pastor de Vroome także się spotkał z domniemanym fałszerzem?

— Nie całkiem, Wysoki Sądzie.

— Spotkali się czy nie? Jedno z dwojga.

— Pastor powiedział mi, że widział tego człowieka, ale z nim nie rozmawiał. Informację o nim dostał od znajomego.

— A pan rozmawiał z fałszerzem osobiście?

— Tak jest. Nakłoniłem go, żeby mi opowiedział historię tego fałszerstwa. Był absolutnym mistrzem w podrabianiu starych rękopisów i dokumentów, a także biblioznawcą. Zrelacjonował mi każdy etap mistyfikacji, do której przygotowywał się przez wiele lat. Jestem przekonany, że mówił prawdę.

— Czy skrawek papirusu znaleziony w pańskiej walizce otrzymał pan właśnie od Lebruna? — zapytał sędzia.

— Nie.

— Jak to? To nie on go panu sprzedał?

— Miał zamiar, przygotowałem nawet pieniądze. Chciałem udowodnić wydawcom, że nowa ewangelia jest oparta na fałszerstwie, przekonać ich, żeby nie publikowali Międzynarodowego Nowego Testamentu. Jednak Lebrunowi uniemożliwiono tę transakcję.

— Jak to uniemożliwiono?

— Został zabity. Zlikwidowany w dniu, kiedy mieliśmy się spotkać po raz drugi.

Sędzia Le Clere zgromił Randalla wzrokiem.

— Chce pan powiedzieć, monsieur, że ów Lebrun nie może potwierdzić tych faktów, ponieważ nie żyje?

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Mamy więc tylko pańskie zeznanie?

— Nie tylko. Dowodem fałszerstwa jest właśnie ten kawałek papirusu, który skonfiskowaliście mi na lotnisku. Zmarli też potrafią mówić, panie sędzio. Lebrun pozostawił mi trop, którym poszedłem.

Randall zrelacjonował, jak dzięki kartce znalezionej w rzeczach fałszerza w rzymskiej kostnicy dotarł do wykopalisk Montiego w Ostii.

— Kiedy już wydobyłem ten dowód — tłumaczył — musiałem się upewnić, że w istocie jest fałszyfikatem. Dlatego umówiłem się z profesorem Aubertem na zbadanie papirusu metodą węgla radioaktywnego. Następnie umówiłem się także z pastorem de Vroome'em, który miał sprawdzić, czy tekst na skrawku oraz dopisek zrobiony bezbarwnym atramentem potwierdzają wyznanie Lebruna. Sam nie miałem już wątpliwości co do tej mistyfikacji, ale musiałem mieć opinię naukowych autorytetów, żeby przekonać wydawców. Wybrałem się więc z tym fragmentem papirusu do Paryża. Kiedy wasi ludzie starali się mi go odebrać, zareagowałem instynktownie, nie zamierzałem być agresywny. Chciałem tylko ratować dowód rzeczowy, żeby uchronić świat przed kolejnym oszustwem, a wydawców przed popełnieniem tragicznego błędu.

— Czy skończył pan, panie Randall? — zapytał Le Clere.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Proszę usiąść. Przesłuchamy dwóch ostatnich świadków. Proszę profesora Henriego Auberta.

Aubert przeszedł obok Randalla, nie patrząc na niego. Odczytał swoje oświadczenie z kartki. Trwało to ledwie minutę, a treść nie była dla Randalla zaskoczeniem.

— W rezultacie przeprowadzonych w naszym laboratorium badań przekazanego nam przez sąd fragmentu papirusu, posługując się metodą węgla radioaktywnego, ustaliliśmy czas jego powstania na pierwszy wiek naszej ery, około roku sześćdziesiątego. Należy więc uznać rzeczony fragment za autentyczny. Podpisano, Henri Aubert.

Sędzia był pod wrażeniem.

— Innymi słowy — uściślił — oskarżony monsieur Randall próbował wwieźć do Francji autentyczny starożytny papirus?

— Zgadza się. — Aubert uniósł rękę. — Jednakże, Wysoki Sądzie, mówimy tu o wieku samego materiału. Nie wypowiadam się w kwestii autentyczności tekstu.

— Rozumiem, profesorze — odrzekł sędzia. — Dziękuję panu. Wzywam teraz na świadka pastora Maertina de Vroome'a. Zechce pastor być tak uprzejmy i zająć miejsce.

Randall patrzył, jak postawny Holender zmierza do krzesła dla świadków. Podtrzymywany na duchu nadzieją chciał porozumieć się z pastorem wzrokiem, lecz widział tylko ostry profil.

De Vroome stanął naprzeciwko sędziego, imponujący w swej prostej, czarnej sutannie. Le Clere natychmiast rozpoczął przesłuchanie.

— Czy prawdą jest, pastorze de Vroome, że oskarżony dzwonił do pana z Rzymu, prosząc o zbadanie autentyczności fragmentu papirusu numer trzy, stanowiącego, zdaniem oskarżonego, dowód fałszerstwa?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Czy prawdą jest, że został pan także poproszony o określenie wartości papirusu przez policję francuską, a konkretnie przez S[?]reté Nationale?

— Tak jest.

— Wobec tego opinia pastora, jak sądzimy, powinna usatysfakcjonować obie strony — oznajmił zadowolony Le Clere.

Wąskie wargi de Vroome'a ułożyły się w uśmiech.

— Śmiem wątpić, czy moja opinia zadowoli obie strony — powiedział. — Przypuszczam, że zadowoli tylko jedną.

Sędzia także się uśmiechnął.

— Miałem na myśli to, że obydwie strony uznają autorytet pastora jako znawcy języka aramejskiego i wczesnego chrześcijaństwa, wobec czego zaakceptują pański werdykt. Czy zbadał pan fragment papirusu skonfiskowany panu Randallowi?

— Zbadałem, Wysoki Sądzie, z najwyższą starannością. Przyjrzałem się fragmentowi w kontekście całego odkrytego przez profesora Montiego

dokumentu, który udostępnił mi wydawcy Międzynarodowego Nowego Testamentu. Badałem go także pod kątem informacji podanej przez Roberta Lebruna oraz przez oskarżonego, pana Randalla, których zdaniem aramejski tekst jest falsyfikatem, a na rzeczonym skrawku znajdują się rysunek i napis, wykonane bezbarwnym atramentem.

Sędzia Le Clere nachylił się w stronę świadka.

— Pastorze de Yroome, proszę o przedstawienie rezultatu tych badań.

De Yroome odczekał chwilę, by wzmóc dramatyzm sytuacji, po czym przemówił donośnym, dźwięcznym głosem:

— Moja konkluzja jest jednoznaczna. Uważam, że fragment papirusu, znaleziony wczoraj przy oskarżonym, nie jest falsyfikatem. Jest to ponad wszelką wątpliwość część tekstu, który wyszedł spod pióra Jakuba Sprawiedliwego, brata Jezusa. Jest to nie tylko narodowy skarb Włoch, lecz należy on do całej ludzkości, jako część najbardziej doniosłego odkrycia w historii chrześcijaństwa. Chciałbym z tego miejsca pogratulować wydawcom Międzynarodowego Nowego Testamentu ich pracy, której rezultat zaprezentują wkrótce światu.

Po tych słowach, nie czekając na reakcję sędziego, Maertin de Yroome opuścił miejsce dla świadków i skierował się do ław dla publiczności, gdzie wydawcy powitali go owacją na stojąco.

Oświadczenie de Yroome'a oszołomiło Randalla niczym wybuch ręcznego granatu. Siedział, nie mogąc wykrztusić słowa, zupełnie zdruzgotany nieoczekiwanym rozwojem wypadków.

Kiedy de Yroome go mijał, Randall chciał mu wykrzyknąć w twarz, jakim jest obrzydliwym, dwulicowym sukinsynem. Lecz nie zdołał powiedzieć słowa. Czuł się, jakby przebiła go i unieruchomiła niewidzialna włócznia. Ledwie docierało do niego, co się dzieje na sali sądowej.

Tymczasem sędzia Le Clere oznajmił:

— Sąd jest gotowy do ogłoszenia werdyktu, jeżeli żadna ze stron nie ma już niczego do dodania.

George L. Wheeler podniósł rękę, prosząc o głos.

— Wysoki Sądzie, chciałbym przed ogłoszeniem wyroku poprosić o krótką przerwę i możliwość rozmowy z oskarżonym.

— Zgadza się, panie Wheeler. — Sędzia zastukał trzy razy młotkiem. — Ogłaszam przerwę w rozprawie. Orzeczenie sądu zostanie ogłoszone za trzydzieści minut.

— Niech to wszyscy diabli — warknął George L. Wheeler. — Nie wiem, dlaczego ja w ogóle jeszcze z tobą rozmawiam.

— Ale ja wiem — odparł spokojnie Randall. — Ponieważ chcesz sprzedać światu nową Biblię, nieobciążoną podejrzeniami i wątpliwościami, których ja jestem potencjalnym źródłem.

Znajdowali się tylko we dwóch w poczekalni przylegającej do sali posiedzeń. Wściekłość Randalla na de Vroome'a osłabła, zmieniła się w charakterystyczny dla niego cyniczny brak zaufania do innych. Siedział na krześle, pykając z fajki.

Spojrzał na Wheelera, który chodził w tę i z powrotem po pokoju. Mimo obrzydzenia, jakim go napawał wydawca, czuł także wobec niego swoisty respekt. W końcu ten prostacki, toporny w mowie i obejściu sprzedawca Pisma Świętego zdołał jakimś sposobem przekabacić swego o ileż inteligentniejszego i subtelniejszego wroga, de Vroome'a, który stał się zdrajcą własnej sprawy i posłusznym przedstawicielem wpływowego establishmentu. Wheeler okazał się diabolicznym wręcz kuglarzem, o zdolnościach, jakich Randall nawet nie podejrzewał. Zastanawiał się, czy nie rzuci zaraz na niego zaklęcia. Na pewno tylko w tym celu poprosił sędziego o rozmowę w cztery oczy.

Wheeler przestał chodzić po pokoju i zatrzymał się tuż przed nim.

— Więc tak to widzisz, Steve? — powiedział. — Uważasz, że chcę cię nawrócić, żebyś nam nie przeszkadzał? Straszny z ciebie cwaniak, ale chociaż pozujesz na wielkiego mózgowca, jesteś w tym wszystkim wyjątkowo głupi. Posłuchaj tylko. Twoje sprzeciwy i protesty nic dla nas nie znaczą, są jak brzęczenie natrętnej muchy, którego nikt nie słucha. Mylisz się co do mojej motywacji, i to na tysiąc procent. Zważywszy na to, że nikczemnie nas zdradziłeś, powinienem postawić na tobie krzyżyk. Ale nie mogę. Po pierwsze dlatego... nie uwierzysz w to, bo taki z ciebie mądrała... że mam do ciebie słabość, taką ojcowską słabość. Po prostu cię polubiłem i nie zniosę myśli, że źle zainwestowałem moją sympatię i zaufanie. Po drugie... i nie wstydę się do tego przyznać... jestem biznesmenem i jestem z tego dumny. Chcę cię wykorzystać do moich planów biznesowych. Nie chodzi o samą konferencję prasową. To zostało załatwione. Media na całym świecie już trąbią o piątkowej transmisji i doniosłym biblijnym odkryciu. A zatem to się toczy swoim torem. Ale nasze piątkowe wystąpienie to dopiero początek. Chcę, żebyś poprowadził dalszy ciąg kampanii, ponieważ znasz ten projekt tak dobrze jak niewielu innych, wiesz, o co nam chodzi, i twoja pomoc może być nieoceniona. Mówię o tym dlatego, że stawiam na jedną rzecz: mianowicie na to, że przyswoiłeś sobie wreszcie tę lekcję.

— Jaką lekcję, George? — zapytał Randall.

— Że się myliłeś w sprawie tekstów Jakuba i Petroniusza, a my mieliśmy rację. Że okażesz się mężczyzną, przyznasz do błędu i wrócisz do zespołu. Posłuchaj, Steve, skoro ktoś tak sławny i kompetentny jak pastor de Vroome, człowiek skrajnie sceptyczny, był w stanie zobaczyć światło, dostrzec swoją pomyłkę i udzielić nam wsparcia, to dlaczego ty nie miałbyś postąpić tak samo?

— De Vroome — powtórzył Randall, zapalając fajkę. — Miałem cię właśnie o niego zapytać. Jak ci się udało go przekabacić?

— Ty nie popuścisz, co? — zachnął się Wheeler. — Wszyscy są oszustami i kłamcami...

— Nie mówię, że wszyscy.

— Oczywiście. Wszyscy poza tobą. — Wydawca wycelował weń palec. — Przestań się już wymądrzać i posłuchaj mnie. Nikt, absolutnie nikt nie mógłby przekupić człowieka tak wielkiej uczciwości. Pastor mógł podjąć taką decyzję tylko zgodnie z własnym sumieniem, i podjął ją. Do tej pory, zwalczając nas, nie znał szczegółów tych fantastycznych tekstów. Kiedy mu je pokazaliśmy... a w przededniu konferencji uznaliśmy, że już możemy... natychmiast porzucił niechęć i opory. Przekonał się, że mamy autentyk, mamy prawdziwego Chrystusa i ukazanie go ludzkości poprzez Międzynarodowy Nowy Testament będzie dla niej dobrodziejstwem. Pragnął być po stronie aniołów i Ducha Świętego, tak jak to uczynił przed chwilą na sali sądowej.

— Więc teraz jest całkowicie po waszej stronie? — upewnił się Randall.

— Całkowicie, Steve. Będzie stał obok nas na podium w Pałacu Królewskim podczas ogłaszania światu Dobrej Nowiny. Oczywiście Deichhardt, ja i cała reszta, rozumiejąc, jakie to wszystko było dla niego trudne, postanowiliśmy wyjść mu naprzeciw. Nie jesteśmy tak źli, za jakich nas uważasz.

— Naprzeciw? — zdziwił się Randall. — Co to właściwie znaczy?

— To znaczy, że skoro on poparł nas, my poprzemy jego. Wycofaliśmy kandydaturę profesora Jeffriesa na stanowisko sekretarza generalnego Światowej Rady Kościołów i będziemy popierać... jednomyślnie... kandydaturę de Vroome'a.

— Rozumiem — powiedział Randall. I rozumiał. O tak, zrozumiał wszystko.

— A co z Jeffriesem? — zapytał. — Dlaczego się zgodził?

— Dlatego że dostanie inne stanowisko. Będzie przewodniczącym komitetu centralnego Rady.

— To funkcja honorowa. Nie przeszkadza mu, że będzie tylko figurantem?

— Steve, Jeffries i my wszyscy podchodzimy do tego inaczej niż ty. Kierujemy się wspólnym dobrem i jesteśmy gotowi do poświęceń. Ważne jest to, że de Vroome znalazł się po naszej stronie i teraz jesteśmy zjednoczeni.

— Wspaniale, George. Świetna robota. — Randall czuł obrzydzenie, ale próbował ukryć jad w swoim głosie. — Wytlumacz mi jeszcze tylko jedną rzecz. Rozmawiałem z de Vroome'em i znam jego poglądy. Jakim cudem ten nieprzejednany radykał zgodził się pójść na kompromis z przedstawicielami fundamentalistów w Kościele?

Wheler wyglądał na urażonego.

— Masz o nas błędne mniemanie, Steve — odparł. — Nie jesteśmy fundamentalistami. Zawsze byliśmy otwarci na zmiany, aby dostosować Kościół do duchowych i ziemskich potrzeb dzisiejszych społeczeństw. To właśnie jest cud Człowieka z Galilei, elastycznego, wyrozumiałego i skłonnego do kompromisu. A my jesteśmy Jego dziećmi. Wiemy, że kompromis nie może być jednostronny. Skoro de Vroome zaakceptował nasze odkrycie, jesteśmy gotowi przyjąć konsekwencje jego przewodzenia Światowej Radzie. To oznacza, że będziemy z nim współpracować przy przeprowadzaniu pewnych reform, nie tylko w dziedzinie interpretacji Pisma Świętego czy liturgiki, lecz także w obszarze społecznym, by Kościół bardziej odpowiadał potrzebom ludzi. Dzięki takiemu kompromisowi, dzięki zażegnaniu niebezpiecznej schizmy, będziemy mieli nie tylko nową Biblię, lecz także nowy, dynamiczny Kościół światowy.

Jacy bezwzględni i zadowoleni z siebie, pomyślał Randall, wpatrując się nieruchomym spojrzeniem w tego świętoszkowatego obłudnika. To ciągle ten sam klub. Klub władzy. Niczym gigantyczny mrówkojad, którego rurkowaty pysk zbiera mnóstwo, dając niewiele, kompromis pożerał wszelki opór. Był nie do pokonania. Jak Cosmos Enterprises. Jak kartele handlarzy bronią. Jak potężne rządy. Jak światowe banki. Jak ortodoksyjne religie. Zobaczył teraz wyraźnie, jak doszło do tej ostatniej fuzji, której on sam stał się nieświadomym katalizatorem. To on odkrył broń, która mogła zniszczyć coś tak cynicznego i antyludzkiego jak Drugie Zmartwychwstanie. I to on powierzył ją w zaufaniu Maertiniowi de Vroome'owi, a ten zyskał dzięki temu narzędzie, którym zmusił wydawców do kompromisu. Jeżeli wy uznacie mnie, ja uznam was. Jeśli będziecie stawiać opór, w końcu was zniszczę, gdyż mam broń Randalla. De Vroome zrezygnował z przewlekłej wojny domowej, prowadzącej do pełnego zwycięstwa, na rzecz doraźnego kompromisu i szybkiej, połowicznej wygranej.

I w całym tym wielkim układzie tylko jeden człowiek został na lodzie, pomyślał Randall. Był nim on sam, Steve Randall.

Sens tego wydawał się jasny. Samotny opór jest niemożliwy. Przyłącz się lub wszyscy się od ciebie odsuną. Jeżeli się przyłączysz, ucierpi tylko twoja dusza. Jeżeli będziesz sam, zginiesz.

— Czego ode mnie oczekujesz, George? — zapytał cicho. — Mam stać się taki jak de Vroome? O to ci chodzi?

— Masz uznać fakty, tak jak on to zrobił. Nagie fakty, nic więcej. Bawiłeś się w to swoje głupie śledztwo, sprzymierzałeś z przestępcami i oszustami, a efekt jest tylko taki, że Międzynarodowy Nowy Testament zyskał dodatkowe potwierdzenie. A ty zyskałeś problemy, i to poważne. Po prostu przyznaj się do błędu.

— A jeśli się przyznam, to co?

— Wówczas będziemy mogli cię uratować — odparł ostrożnie Wheeler. — Twoja sytuacja przed francuskim sądem jest raczej niewesoła. Możesz wylądować w kryminale, Bóg wie na jak długo. Nic nie zyskasz, a stracisz dobre imię. Popyt na męczenników jest ostatnio słaby, Steve. Kiedy wrócimy do sali, poproś sędziego o zgodę na ostatnie słowo przed ogłoszeniem wyroku. Sędzia na pewno się przychyli do prośby, Fontaine ma tu wielkie wpływy.

— Co miałbym powiedzieć w tym ostatnim słowie? .

— Po prostu odwołaj to, co powiedziałeś dotychczas. Bądź szczerze skruszony. Powiedz, że dowiedziałeś się, że w Rzymie znaleziono fragment papirusu z brakującym kawałkiem tekstu Jakuba, i wybrałeś się, żeby go odzyskać dla prawowitego właściciela. Okazało się, że papirus jest w ręku starego kryminalisty Roberta Lebruna, który ukradł go profesorowi Montiemu. Odkupiłeś go za jakieś psie pieniądze i nie przyszło ci do głowy, że włoskie władze mogą mieć jakieś obiekcje, gdy go wywieziesz. Chciałeś po prostu dołączyć skrawek do całości, która jest w Amsterdamie, a po drodze dla pewności zbadać go w Paryżu. Nie wiedziałeś, że łamiesz prawo, więc kiedy cię zatrzymano na lotnisku, wpadłeś w panikę. Zacząłeś zmyślać, że to falsyfikat, tylko po to, żeby się ratować. Popełniłeś błąd wyłącznie z powodu niezajomości prawa, kierując się dobrem naszego projektu. Prosisz sąd o wyrozumiałość. To wystarczy.

— A jak zareaguje na to sędzia?

— Skonsultuje się z nami i z przedstawicielem włoskiego rządu i sprawa załatwiona. Przyjmie twoje wytłumaczenie, ukarze cię niewysoką grzywną i wyjdiesz stąd jako wolny człowiek, z podniesioną głową. Włączysz się z

powrotem do reżyserowania historycznego przedstawienia, jakie damy pojutrze w Pałacu Królewskim w Amsterdamie.

— Muszę przyznać, że brzmi to kusząco. A co się stanie, jeżeli odmówię?

Z twarzy Wheelera zniknął uśmiech.

—?Zostawimy cię na pastwę losu. Sąd zrobi swoje i oczywiście nie da się tego utrzymać w tajemnicy, nawet przed Ogdenem Towerem i Cosmos Enterprises. — Zawiesił głos. — Co postanawiasz, Steve?

— Nie wiem. — Randall wzruszył ramionami.

— Jak to? Wciąż jeszcze nie wiesz?

— Po prostu nie wiem, co ci odpowiedzieć, George. Wheeler zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

— Masz dziesięć minut na podjęcie decyzji — oświadczył. — Może powinieneś spędzić ten czas z kimś, kto ma na ciebie większy wpływ. — Podeszedł do drzwi i otworzył je. — Może będziesz wiedział, co odpowiedzieć komuś innemu. — Przywołał gestem kogoś z korytarza. — To twoja ostatnia szansa, Steve. Wykorzystaj ją.

Wheeler wyszedł, a po chwili w pokoju pojawiła się Angela Monti. Z wahaniem zamknęła za sobą drzwi.

Randall wstał powoli. Miał wrażenie, że nie widzieli się całe wieki. Uderzyło go, że wygląda tak samo jak przy ich pierwszym spotkaniu w Mediolanie. Miała na sobie jedwabną, półprzezroczystą bluzkę, spod której prześwitywał koronkowy biustonosz, i krótką letnią spódniczkę z zamszowym paskiem. Zdjęła przeciwsłoneczne okulary i jej zielone oczy wpatrywały się w niego z troską. Czekwała na słowa powitania.

W pierwszym odruchu chciał ją porwać w ramiona, przytulić, zwierzyć się jej.

Lecz jego serce przeżarte było nieufnością. Ze słów Wheelera wynikało przecież wyraźnie, że posłużyli się nią, żeby na niego wpłynęła.

— Co za niespodzianka — powiedział zamiast się przywitać.

— Witaj, Steve. Mamy mało czasu, ale pozwolono mi z tobą porozmawiać.

Ponieważ nie uczynił żadnego gestu, przeszła przez pokój i usiadła sztywno na brzegu krzesła.

— Kto ci kazał tu przyjść? — zapytał szorstko. — Wheeler i ta jego galilejska mafia?

Zacisnęła palce na zamszowej torebce.

— Widzę, że nic się nie zmieniło — stwierdziła. — Tylko jeszcze bardziej zgorzkniałeś. Nie, Steve, przyjechałam z Amsterdamu na własne życzenie. Wczoraj zadzwoniła do mnie po jakieś informacje Naomi i przy okazji

powiedziała mi o twoich kłopotach. Zapytałam, czy też mogę jechać z wydawcami i zgodzili się.

— Nie było cię na sali sądowej.

— Nie chciałam tam być, nie jestem Marią i nie pociąga mnie widok Golgoty. Wiedziałam, co się tam może wydarzyć, bo wczoraj w nocy Wheeler powiedział mi o wszystkim, czego się dowiedział od de Vroome'a. A przed chwilą, kiedy rozmawiał z tobą, Naomi streściła mi, co się działo na rozprawie.

Randall usiadł.

— W takim razie wiesz, że próbują mnie ukrzyżować. Nie tylko Wheeler i jego klika, ale również de Vroome.

— Obawiałam się tego.

— A czy wiesz, że Wheeler właśnie próbował namówić heretyka, żeby się pokajał i powrócił na łono Drugiego Zmartwychwstania?

— Nie dziwię się — odparła Angela. — Jesteś im bardzo potrzebny.

— Nie ja, tylko święty spokój. Chcą, żebym przestał im bruździć. — Widział, że Angela czuje się niezręcznie, i zapytał ją wprost: — A ty? Czego właściwie chcesz ode mnie?

— Chcę, żebyś wiedział, że niezależnie od twojej decyzji moje uczucia wobec ciebie się nie zmieniają.

— Nawet jeżeli nadal będę podważał odkrycie twojego ojca? Jeżeli udowodnię fałszerstwo i zniszczę jego reputację?

Twarz pięknej Włoszki ściągnęła się w wyrazie bólu.

— Reputacja mojego ojca nie jest teraz najważniejsza. Tu chodzi o życie albo śmierć nadziei. Wiem, że sprzymierzyłeś się z Robertem Lebrunem, tak jak początkowo de Vroome. Ale nie zraziłam się do ciebie. Jestem tutaj.

— Dlaczego?

— Chcę, żebyś wiedział, że chociaż nie wierzysz... nie wierzysz w odkrycie mojego ojca, nie wierzysz w tych, którzy je wspierają, nie wierzysz nawet we mnie... wciąż jeszcze możesz odnaleźć właściwą drogę.

— Właściwą drogę?! — powtórzył gniewnie, podnosząc głos. — Czyli że mam się sprzedać, tak samo jak de Vroome?

— Skąd ta pewność, że on się sprzedał? Uważałeś go przecież za uczciwego, za człowieka wiary.

— Być może jest nim w dalszym ciągu, ale ma swoją cenę. Jest nią Światowa Rada Kościołów. Tak, można go nazwać uczciwym, jeśli się uzna, że cel uświęca środki.

— A ty tak nie uważasz, Steve? Nie uważasz, że tak naprawdę liczy się tylko rezultat, jeżeli środki nikomu nie czynią szkody?

— Nie uważam — odrzekł twardo. — Nie w sytuacji, kiedy rezultatem jest kłamstwo. Wówczas rezultat przynosi szkodę wszystkim.

— Steve, Steve — jej ton był błagalny — przecież ty nie masz nawet cienia dowodu, że teksty Jakuba i Petroniusza są fałszerstwem. Masz tylko podejrzenia. I jesteś zupełnie sam.

Randall czuł, że wzbiera w nim złość.

— No właśnie, jestem sam — odparł. — Ale gdybyś była ze mną w Rzymie przez te ostatnie dni, stałabyś teraz po mojej stronie. Gdybyś widziała i słyszała Lebruna, gdybyś miała otwarte oczy, twoja wiara nie byłaby tak ślepa. Zadawałabyś sobie poważne pytania, tak jak ja to zrobiłem, i otrzymywałabyś poważne odpowiedzi. Jak to możliwe, że Lebrun, człowiek, który przetrwał straszliwe katusze i w wieku osiemdziesięciu lat wciąż był pełen wigoru, który mieszkał w Rzymie od tylu lat, nagle wszedł wprost pod koła samochodu i dał się zabić akurat w dniu, gdy miał wydobyć dla mnie dowody swego fałszerstwa? Myślę, że wiem już, jak to się stało. Wheeler z wydawcami albo de Vroome... właściwie to już teraz jedno i to samo... po prostu mnie obserwowali. Skoro de Vroome odkrył, że byłem u twojego ojca w klinice, mógł się też dowiedzieć o spotkaniu z Lebrunem w Doney. Pewnie śledzili Lebruna, a następnego dnia po prostu bezlitośnie go zlikwidowali. Cóż to dla nich, pozbyć się byłego skazańca, skoro stawka jest tak wysoka?

— Steve...

— Nie, wysłuchaj mnie do końca. Jest więcej pytań. Kto wiedział, że pojechałem do Ostii i znalazłem papirus? Kto mógł powiadomić włoskie władze i celników we Francji, że go przewożę? Odpowiedź jest oczywista. Wiedział o tym tylko de Vroome. Poszedł do Wheelera, dogadali się i postanowili usunąć dowód fałszerstwa, a przy okazji uziemić mnie. Czy to nie jest dla ciebie oczywiste, Angelo?

Dziewczyna przez dłuższą chwilę nie odpowiadała, bawiąc się swoimi okularami.

— Jak mam do ciebie przemówić, Steve? — odezwała się w końcu. — Mówimy dwoma różnymi językami... ty językiem sceptyka, a ja językiem wiary... więc udzielamy różnych odpowiedzi na te same pytania. Na przykład śmierć Lebruna. Czy to takie niezwykle, że osiemdziesięcioletni starzec wpada pod samochód na ruchliwej rzymskiej ulicy? Ja jestem rzymianką, Steve, wiem jak kierowcy tam jeżdżą. To najgorsi kierowcy w Europie. De Vroome, Wheeler i inni mieliby być mordercami? Przecież to absurdalne. A

to, że cię złapali na odprawie celnej? Włoskie władze dobrze pilnują swoich skarbów narodowych, Steve. Jakiś tajniak mógł cię zobaczyć, jak uciekałeś z ostiackich wykopalisk, i to wystarczyło. Ale nawet gdyby to ludzie z zespołu Drugiego Zmartwychwstania spowodowali twoje aresztowanie, wcale nie uważałabym tego za złe czy bezsensowne. Musieli przecież się przekonać, co właściwie znalazłeś, zanim zdażyłeś wyciągnąć pochopne wnioski i zaszkodzić sprawie. Gdyby po zbadaniu tego skrawka okazało się, że istotnie jest falsyfikatem, na pewno zgodziliby się z tobą i odwołali publikację Międzynarodowego Nowego Testamentu. Ale skoro człowiek, którego ty sam wybrałeś jako eksperta, stwierdził, że ten kawałek jest tak samo autentyczny jak reszta, musieli cię powstrzymać, żebyś nie wywołał bezsensownego skandalu. Nie widzisz tego, Steve? Język wiary dostarcza innych odpowiedzi.

— To niech dostarczy też odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie zadałem.

— Jakie? Zadaj je, proszę.

— Jak twój ojciec wpadł na to, żeby kopać akurat w Ostii?

— Ktoś pokazał mu fragment papirusu, znaleziony w ruinach — odparła nieco skonsternowana.

— I nie wiedziałaś, że to właśnie Robert Lebrun naprowadził profesora na ten ślad?

— Nie. W ogóle nie wiedziałam o jego istnieniu, dopóki Wheeler nie wspomniał o tym wczorajszej nocy.

— Czyli nie wiedziałaś także, że twój ojciec spotkał się z Lebrunem w Doney ponad rok temu, w dniu, w którym dostał zapaści?

— Oczywiście, że nie. Dopiero Wheeler powiedział mi wczoraj, że znalazłeś w terminarzu ojca notatkę o tym spotkaniu.

— I nie dostrzegłaś w tym niczego niezwykłego? Niczego podejrzanego?

— Nie. Ojciec ciągle się spotykał z jakimiś ludźmi.

— Dobrze, więc pozwól, że poddam próbie twoją wiarę. Czy jesteś gotowa powiedzieć sędziemu o tym spotkaniu? O związkach ojca z Lebrunem? To rzuciłoby zupełnie nowe światło na sprawę, mogłoby doprowadzić do ustalenia prawdy.

Angela pokręciła głową.

— Już ujawniłam sądowi wszystko, co wiem, Steve, w pisemnym oświadczeniu, które mu przekazali wydawcy. Zadzwoiłam wczoraj do Lucrezi i przeczytała mi z terminarza ojca tę notatkę. Wszyscy, łącznie z sędzią, uznali, że inicjały L.R. to dość nikły dowód. Ale nawet jeżeli oznaczają Roberta Lebruna, czego to właściwie dowodzi? Tak czy inaczej,

sąd już o tym wie. Widzisz, Steve, wcale się nie boję. Gdy człowiek wierzy, prawda mu nie straszna.

Randall był zdruzgotany, uszła zeń cała energia. Podjął ostatnią próbę.

— Czy zgodzisz się przekazać te informacje jeszcze jednej osobie? — zapytał.

— Komu?

— Cedricowi Plummerowi. On już o tym słyszał od Lebruna, teraz miałby potwierdzenie.

Angela uniosła ręce w bezradnym geście.

— Plummer niestety też już o tym wie — oznajmiła. — Wie o wszystkim i nie widzi w tym nic podejrzanego. Kiedy pastor de Vroome sprzymierzył się z Drugim Zmartwychwstaniem, Plummer także się przyłączył. Można powiedzieć, że się nawrócił. Odłożył swoje jadowite pióro i będzie teraz pisał duży tekst o historii naszego projektu, od samego początku aż do dziś.

Randall opadł na oparcie krzesła. To było ponad jego siły. Każda pięćdziesiątka terytorium była już okupowana przez wroga.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je. Był to woźny sądowy.

— Monsieur Randall, sąd wyda teraz orzeczenie — powiedział.

— Jeszcze minutkę — poprosił Randall. Stał naprzeciwko Angeli i spojrzał jej w oczy. — Chcesz, żebym wszystko odwołał, prawda?

— Chcę, żebyś zrobił to, co uważasz za słuszne, i nic więcej — odparła. — Po chwili namysłu dodała: — Przyjechałam tu tylko po to, żeby ci powiedzieć, że potrafiłabym cię kochać niezależnie od wszystkiego... jeżeli ty nauczyłbyś się odwzajemniać miłość, kochać samego siebie i kochać mnie. Ale nie nauczysz się tego, nie trwając w wierze, wierze w człowieczeństwo i w przyszłość. Żał mi Ciebie, Steve, ale jeszcze bardziej żał mi nas. Poświęciłabym dla Ciebie wszystko, z wyjątkiem wiary. Mam nadzieję, że pewnego dnia to zrozumiesz. A teraz rób, jak uważasz.

Wyszła szybko z pokoju, a on został sam.

— Czy życzy pan sobie wygłosić ostatnią mowę przed werdyktem sądu, monsieur Randall?

— Tak, Wysoki Sądzie — odparł. — Chcę powiedzieć, że intencją mojej podróży do Rzymu nie było podważanie Drugiego Zmartwychwstania czy Międzynarodowego Nowego Testamentu, ale wyłącznie pragnienie zweryfikowania, dla samego siebie i dla dyrektorów projektu, że odnaleziony przez nich Jezus Chrystus jest prawdziwy ponad wszelką wątpliwość.

Spostrzegł, że Wheeler i reszta wydawców, nawet Angela, nachylili się w jego stronę, słuchając z uwagą.

— To, czego dowiedziałem się w Rzymie — zwracał się dalej do sędziego — i to, co widziałem na własne oczy, przekonało mnie, że fragment papirusu, który później przywiozłem do Francji, jak również papirus i pergamin, które posłużyły jako fundament Międzynarodowego Nowego Testamentu, są współczesnymi falsyfikatami, mistyfikacją i oszustwem, mistrzowskim wytworem genialnego fałszerza. Uważam, że odkrycie profesora Montiego jest bezwartościowe, a Jezus przedstawiony w rzekomych tekstach Jakuba i Petroniusza jest czczym wymysłem. Utrzymuję, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, wwożąc do Francji dowód fałszerstwa. To nie jest zabytek. Ufam, że Wysoki Sąd, biorąc pod uwagę moje zeznanie i to, że nie kieruję się chęcią odniesienia osobistej korzyści, uzna mnie za niewinnego. Ponadto proszę o zwrócenie mi rzeczonych skrawka papirusu, który jest dla mnie w pewnym sensie spadkiem po Robercie Lebrunie. Chciałbym poddać ten przedmiot osądowi bardziej abiektywnych ekspertów. To wszystko, co miałem do powiedzenia.

— Doskonale — rzekł sędzia. — Głos oskarżonego został wysłuchany. Sąd wyda teraz orzeczenie w tej sprawie. — Le Clere przełożył jakieś papiery na stole. — Co do zarzutu zakłócenia porządku i napaści na funkcjonariusza, zostaje on uchylony, ze względu na dotychczasową niekaralność oskarżonego w jego kraju oraz nietypowe okoliczności zatrzymania. Zarzut drugi, co do nielegalnego wwiezienia do Francji zabytkowego przedmiotu znacznej wartości, będącego skarbem narodowym innego kraju... Randall wstrzymał oddech.

— ...zostaje podtrzymany. Sąd uznał dokument za autentyczny, tym samym oskarżony jest winny zarzucanego mu czynu.

Randall czekał, skamieniały. Jestem sam, pomyślał.

— Sąd ogłosi teraz wyrok — ciągnął sędzia. — Oskarżony Steven Randall zostaje skazany na grzywnę w wysokości pięciu tysięcy franków i trzy miesiące aresztu. Ze względu na szczerą, w opinii sądu, deklarację oskarżonego, że złamanie prawa nie było zamierzone, oraz po rozważeniu prośby złożonej sądowi przez klientów pana Randalla, grzywna zostaje umorzona, a kara aresztu zawieszona. Jednakowoż, w celu ochrony owych klientów oraz porządku publicznego, oskarżony pozostanie w areszcie przez dwa najbliższe dni, do czasu gdy Międzynarodowy Nowy Testament zostanie ogłoszony publicznie. Po upływie czterdziestu ośmiu godzin, w piątek w południe, pan Randall wyjedzie pod eskortą wprost z aresztu na lotnisko Orły i zostanie odesłany do Stanów Zjednoczonych. Kosztami podróży sąd obciąża

oskarżonego. Oznacza to wydalenie z Francji. — Sędzia plasnął obiema dłońmi o blat. — Posiedzenie uważam za zamknięte.

Obok Randalla pojawiło się dwóch policjantów i poczuł na przegubie zimny metal kajdanek.

Jego wzrok powędrował ku rzędowi ławek, unikając spojrzenia Angeli i zatrzymując się na rozradowanych wydawcach, gromadzących się wokół de Vroome'a.

Kiedy tak na nich patrzył, przyszła mu do głowy pewna myśl — być może błuźniercza, lecz uporczywa.

Ojcze, wybacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią.

Ojcze, dodał, wybacz im nie to, co robią ze mną, lecz to, co czynią Duchowi Świętemu i ludziom, bezradnym, łatwowiernym, niczego niepodejrzewającym ludziom na całym świecie.

Po powrocie do aresztu czekało go jeszcze jedno zdarzenie — okropne, a właściwie niesamowite i szokujące.

Ponieważ skazano go na wydalenie z Francji i musiał pokryć koszty podróży, inspektor Bavoux z Gwardii Republikańskiej zażądał od niego pieniędzy na bilet lotniczy do Stanów. Nie miał przy sobie takiej sumy, a dwadzieścia tysięcy z sejfu w hotelu Excelsior w Rzymie kazał hotelowemu kasjerowi odesłać z powrotem na nowojorskie konto. Chciał już dzwonić do Thada Crawforda albo Wandy, żeby przysłali mu potrzebną kwotę, ale przypomniał sobie znowu o Samie Halseyu.

Zadzwoił z biura naczelnika aresztu do Associated Press i nie wdając się w skomplikowane szczegóły całej sprawy, powiedział Halseyowi, że został wczoraj zatrzymany na Orły za nielegalny wywóz dzieła sztuki za granicę. Była to pomyłka i nieporozumienie, niemniej osadzono go w areszcie Pałacu Sprawiedliwości.

— Potrzebuję pieniędzy, Sam — powiedział. — Akurat nie dysponuję gotówką. Odeślę ci zaraz po przyjeździe do Stanów.

— Ile ci trzeba? Wymienił sumę.

— Natychmiast wysyłam — powiedział Halsey. — Zaraz, czekaj no, Steve, nie powiedziałeś mi jeszcze, czy przyznałeś się do winy, czy nie?

— Oczywiście, że nie

— A na kiedy wyznaczono rozprawę?

— Już się odbyła. Dzisiaj rano. Skazano mnie na trzy miesiące aresztu i grzywnę, ale w zawieszeniu. Tę rzecz mi skonfiskowali i będę wydalony z Francji, ale muszę sam opłacić podróż. Dlatego właśnie potrzebuję pieniędzy.

W słuchawce przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Momencik, Steve — odezwał się w końcu Halsey. — Może jeden z nas zwariował, ale to jest niemożliwe. We Francji coś takiego jest niemożliwe. Opowiedz mi dokładniej, co się wydarzyło.

Randall, świadom, że słucha go strażnik, zrelacjonował mu w skrócie przebieg rozprawy i treść orzeczenia sądu.

— Rany boskie! — Halsey nie potrafił ukryć zdumienia. — Tyle lat tu siedzę... oczywiście słyszałem pogłoski o sfingowanych procesach, o ustawianych wyrokach... ale pierwszy raz dowiaduję się o czymś takim z pierwszej ręki.

Randall był całkowicie zbity z tropu.

— Ale o co chodzi, Sam? Co było nie tak?

— Co było nie tak? Wszystko! Posłuchaj, mój naiwny cudzoziemcze, oni cię podeszli i osądzili bezprawnie w trybie przyspieszonym. Oczywiście, za przestępstwo mogą cię aresztować i postawić przed sędzią, ale to jest tak zwany juge d'instruction, sędzia śledczy. To jest tylko wstępne przesłuchanie, juge d'instruction nie ma prawa wydawać orzeczeń i wyrokować. On tylko decyduje, czy sprawa zostanie oddalona, czy przekazana do prokuratury. Jeśli to drugie, wówczas trwa to od pół roku do roku, zanim odbędzie się normalny proces przed trzema sędziami Tribunal Correctionnel, z całą procedurą, z mowami prokuratora i obrony, i tak dalej. Jedynym wyjątkiem jest sytuacja, kiedy złapali cię en flagrant délit, na gorącym uczynku. Tylko w takim wypadku odbywa się przyspieszona rozprawa przed Tribunal de Flagrant Délit i to by wyglądało trochę podobnie do tego, co ciebie spotkało. Ale nawet wówczas musiałyby uczestniczyć trzech sędziów, prokurator i obrońca. A w twoim przypadku tak nie było.

— Ano nie było.

— To jakaś pokrętna kombinacja dwóch typów rozpraw, lecz to się nijak nie ma do francuskiego prawa, Steve.

Randall pamiętał, że proponowano mu wyznaczenie obrońcy, pewnie po to, żeby nie wzbudzić w nim podejrzeń. Jednocześnie powiedzieli mu, że to opóźni rozpatrzenie sprawy, więc postanowił bronić się sam. Ale nawet gdyby miał adwokata, co by to zmieniło? Najwyżej zastosowałiby procedurę bardziej zgodną z przepisami, a wyrok i tak był z góry ustalony. Miał być winny, więc byłby winny.

— Nie ulega kwestii — ciągnął Halsey — że to był fikcyjny sąd i że zostałeś pięknie wymanewrowany. — Przerwał. — To wygląda tak, jakby ktoś naprawdę dobrze ustawiony u samej góry chciał cię usunąć z drogi,

szybko i po cichu. Nie wiem, w co się wpakowałeś, Steve, ale dla tego kogoś to musi być bardzo ważna sprawa.

— Jest ważna, i to dla kilku „ktosów” — odparł Randall posepnie.

— Czy chcesz, żebym się do tego wziął? — zapytał Halsey nagłaco.

Randall namyślał się nad tym chwilę i w końcu odrzekł:

— Czy lubisz swoją pracę, Sam? Podoba ci się w Europie, we Francji?

— Do czego zmierzasz? Uwielbiam Francję i moją robotę.

— To lepiej się nie mieszaj do tego.

— A sprawiedliwość, Steve? Co ze sprawiedliwością?

— Zostaw to mnie — odparł Randall. — Doceniam twoją przyjaźń, Sam.

A teraz wyślij mi tę gotówkę.

Odłożył słuchawkę. Sprawiedliwość, pomyślał. Liberté, Égalité, Fraternité.

I zrozumiał, że te słowa są tylko obietnicą, jaką złożyła mu Francja. Osądzony został jednak nie przez Francję, nie przez zwyczajną władzę państwową. Osądziła go superwładza. Osądziło go Drugie Zmartwychwstanie.

W jasny piątkowy poranek, gdy uwolniono go z aresztu, Drugie Zmartwychwstanie było już wszechobecne.

Randall nie pamiętał, by do tej pory jakieś sensacyjne wydarzenie zyskało taką oprawę i takie zainteresowanie mediów. Z pewnością atak Japonii na Pearl Harbor, upadek Berlina i śmierć Hitlera, wystrzelenie pierwszego sputnika w kosmos, zabójstwo prezydenta Kennedy'ego czy pierwszy krok Neila Armstronga na Księżycu były wielkimi sensacjami. Żadna jednak nie wywołała takiego poruszenia jak elektryzujące wieści z Pałacu Królewskiego w Amsterdamie, że Jezus Chrystus niezaprzeczalnie żył na ziemi jako ludzka istota i jako duchowy posłaniec samego Stwórcy.

Randall przez wiele dni był tak zaabsorbowany technicznymi aspektami poszukiwania prawdy i własnym przetrwaniem, że niemal już zapomniał, jakie potężne może być oddziaływanie tekstów Jakuba i Petroniusza na miliony poszukujących śmiertelników.

Podczas przejazdu z aresztu na lotnisko Orly w towarzystwie trzech francuskich policjantów mógł obserwować reakcję na ten historyczny cud na każdym rogu ulicy, w każdej kafejce i każdym oknie wystawowym. Francuzi wylegli na ulice, pogrążeni w lekturze gazet, przyklejeni do tranzystorowych odbiorników, oblegający w przyływie wielkich emocji wystawy sklepów z telewizorami.

On sam był teraz zapomnianym, pomniejszonym aktorem w rozgrywającym się dramacie. Siedział między dwoma oficerami, Gorinem z Sereté Nationale i Lefevre'em z policji, skuty kajdankami z tym pierwszym. Obaj

funkcjonariusze pochłonięci byli lekturą specjalnych wydań „Le Figaro” i „Le Monde”. Gazety poświęciły wielkiemu wydarzeniu całe pierwsze strony. Randall odczytał dwa wielkie nagłówki. Jeden głosił: LE CHRIST REVIENT PARMİ NOUS! Chrystus powrócił między nas. Drugi: LE CHRIST RESSUSCITE PAR UNE NOUVELLE DECOUVERTE! Chrystus zmartwychwstał dzięki nowemu odkryciu. Poniżej zamieszczono fotografie trzech oryginalnych papirusów Jakuba, raportu Petroniusza, okładki Międzynarodowego Nowego Testamentu i portretu Jezusa, namalowanego na podstawie opisu Jakuba.

Policjanci po obu stronach Randalla co jakiś czas odczytywali na głos fragmenty tekstów i wiedząc o jego słabej znajomości francuskiego, tłumaczyli mu je na angielski. Zorientował się, że relacje prasowe opierają się na limitowanym wydaniu, które dotarło do mediów zaraz po północy. Szczegóły ogłaszano natomiast ze sceny w Burgerzaal, Sali Mieszcząńskiej Pałacu Królewskiego w Amsterdamie, w obecności dwóch tysięcy dziennikarzy z każdego zakątka globu i na oczach milionów telewidzów oglądających transmisję satelitarną.

Tylko raz podczas jazdy oficer o nazwisku Lefewe wdał się w krótką rozmowę z Randallem.

— Pan naprawdę w tym uczestniczył, monsieur? — zapytał, patrząc na niego z niedowierzaniem.

— Tak, należałem do zespołu Drugiego Zmartwychwstania.

— To dlaczego pana deportują?

— Bo są szaleńcami — odparł Randall i dodał: — Ponieważ nie chciałem uwierzyć.

Lefevre wybałuszył na niego oczy.

— W takim razie to raczej pan jest szaleńcem.

Kiedy wysiadali przed terminalem na Orły, agent Lefevre, chcąc pomóc Randallowi wysiąść, pociągnął go zbyt mocno za rękę i w drugi przegub wbiły mu się kajdanki, przypominając boleśnie kim jest i co tutaj robi.

W głównej hali odlotów Orły panował niezwykle spokojny. Dyrekcja lotniska porozstawiała wszędzie telewizory, przed którymi gromadziły się kilkunastoosobowe grupki pasażerów i pracowników Air France. Nawet przy kasach i stanowiskach informacji, zarówno klienci, jak i obsługa załatwiali swoje sprawy rozkojarzeni, popatrując co chwila na ekrany. Lefewe poszedł odebrać bilet Randalla, a Gorin pociągnął go za sobą do najbliższego telewizora.

Kamera wędrowała po wnętrzu Sali Mieszczańskiej, pokazując, rząd za rządem, siedzących oficjeli i dziennikarzy, na zmianę ze zbliżeniami imponującego wystroju. Wielkie okna we wnękach miały brązowe okiennice z motywem złotego kwiatu na środku. Ze sklepienia zwisało sześć cylindrycznych kandelabrow, które za czasów cesarza Ludwika Napoleona były oświetlane olejem rzepakowym. Widać było fragmenty marmurowej posadzki, inkrustowanej mosiężnymi taśmami, układającymi się w kształt globu ziemskiego. Grupa rzeźb nad zachodnim wejściem do sali przedstawiała — jak powiedział po angielsku, a potem po francusku komentator — Sprawiedliwość depreczając Chciwość i Zawiść (Chciwość jako Midas, Zawiść jako Meduza),

Chciwość, pomyślał Randall z goryczą, gdyż kamera akurat w tym momencie przesunęła się na scenę i objęła grupę jego bates noires, siedzących półkolem w obitych pluszem fotelach. Komentator wymieniał kolejno ich nazwiska. Byli tam wszyscy. Ich twarze wyrażały uduchowanie i nabożną cześć. Wyglądali jak postaci nie z tego świata. Profesor Deichhardt, Wheeler, Fontaine, sir Trevor, Gayda, profesor Jeffries i doktor Knight, monsinior Riccardi, wielebny Zachery, Traunnann, Sobrier, pastor de Vroome, profesor Aubert, Hennig i wreszcie jedyna piękna pośród tych bestii — Angela Monti (reprezentująca chorego ojca, profesora Montiego, usłyszał).

Profesor Deichhardt wstał i podszedł do mównicy, udekorowanej satynową draperią z wyhaftowanym krzyżem.

Po chwili zaczął odczytywać szczegółowe oświadczenie na temat odkrycia tekstów Jakuba i Petroniusza, włącznie ze streszczeniem ich zawartości i prezentacją egzemplarza Międzynarodowego Nowego Testamentu, oficjalnie opublikowanego w tym historycznym dniu.

Randall poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Był to agent Lefevre, który przyniósł mu bilet do Nowego Jorku — bilet w jedną stronę.

— Nie pan go nie zgubi — napomniał funkcjonariusz — bo będzie pan musiał wrócić do aresztu.

Lefevre pociągnął za rękaw swego kolegę Gorina.

— Słuchaj — rzucił półgłosem — mamy jeszcze kwadrans, chodź, popatrzymy na to w kafeterii, tam można usiąść.

Lokal na drugim poziomie terminalu był pełen ludzi wpatrujących się w ekrany telewizorów, jak w hipnotycznym transie. Randall stał oniemiały, pierwszy raz w życiu będąc świadkiem takiej sceny. Ludzie siedzieli nie tylko przy stolikach, lecz także po turecku na podłodze, niektórzy klęczeli, wielu stało w przejściach. Większość z nich zachowywała się niczym pielgrzymi

doświadczający cudu w Lourdes. Jedni modlili się w milczeniu albo na głos, inni powtarzali półgłosem każde padające z mównicy słowo. Niektórzy płakali lub kołysali się w przód i w tył. Jakaś kobieta w rogu sali zemdlła i obsługa starała się ją ocucić.

Nie było już wolnych miejsc, lecz po chwili zjawił się szef sali i zorganizował trzy krzesła. Dla policji miejsce zawsze się znajdzie, pomyślał Randall.

Czuł się niezręcznie, lecz usiadł obok „syjamskiego brata” Gorina. Rozejrzał się, czy ktoś w ogóle zauważył, że jest skuty, lecz wszystkie twarze wpatrzone były w ekrany.

Randall zmusił się do spojrzenia na najbliższy telewizor i natychmiast zrozumiał przyczynę tak emocjonalnej reakcji widzów w kafeterii.

Ujrzał ascetyczną twarz pastora de Vroome'a i jego szczupłą sylwetkę, odzianą w haftowany ornat. Z rozłożonej na pulpicie nowej Biblii czytał po angielsku (a sztab tłumaczy przekładał to na żywo na inne języki) całe świadectwo Jakuba. Jego dźwięczny głos rozlegał się w zatłoczonej kafeterii niczym głos samego Nauczyciela, uciszając stopniowo płacze i modlitwy.

Z oddali odezwał się ledwie słyszalny megafon, zapowiadający odprawę pasażerów na lot do Nowego Jorku. Lefevre zgasił papierosa i rzucił do Randalla:

— Musimy iść.

Przy rampie dla wsiadających zgromadził się tłum pasażerów. Lefevre porozmawiał chwilę z pracownikiem obsługi, a potem oznajmił:

— Zgodnie z przepisami musi pan wejść na pokład jako ostatni, monsieur Randall. Mamy jeszcze kilka minut.

Randall skinął głową i spojrzał w lewo. Nawet tutaj, przy samej bramce dla wsiadających, ustawiono przenośny telewizorek i przechodzący ludzie zwalniali, starając się uchwycić ostatnie kęsy informacji.

Pokazywano twarze przywódców światowych, wygłaszających komentarze i gratulujących ludzkości cudu, jakim był powrót Jezusa Chrystusa. Był wśród nich papież, stojący w oknie wychodzącym na plac Świętego Piotra, był prezydent Francji na dziedzińcu Pałacu Elizejskiego, cafoyodzina królewska w pałacu Buckingham, prezydent USA, przemawiający z Gabinetu Ovalnego w Białym Domu, a później mieli wystąpić kolejni, z Bonn, Rzymu, Bukaresztu, Belgradu, Mexico City, Brasillii, Buenos Aires, Tokio, Melbourne, Kapsztadu.

Obraz powrócił do wnętrza Pałacu Królewskiego w Amsterdamie. Kamera pokazała zgromadzonych teologów i ich rzecznika, monsiniora Riccardiego, który ogłaszał dalszy program obchodów poświęconych pojawieniu się Jezusa Chrystusa, ucieleśnionego na kartach Międzynarodowego Nowego Testamentu. Każdy z kolejnych dwunastu dni miał być poświęcony postaci jednego z apostołów (miejsce Judasza zajął oczywiście Maciej).

Natomiast w dniu Bożego Narodzenia, mówił dalej Riccardi, ze wszystkich ambon świata chrześcijańskiego, zarówno protestanckich, jak i katolickich, zostanie wygłoszone specjalne kazanie, poświęcone piątej — a teraz pierwszej — ewangelii, największej obecnie nadziei człowieka.

Dzień Bożego Narodzenia, pomyślał Randall, dzień, w którym zawsze (z wyjątkiem ostatnich dwóch lat) wracał do Oak City i białego kościołka, w którym wielebny Nathan Randall przemawiał do swojej trzódki. Przez chwilę myślał o ojcu i jego protegowanym, Tomie Careyu, wyobrażając sobie, jak oglądają transmisję.

— Voil?, wszyscy już wsiedli — wyrwał go z zadumy głos agenta Gorina. — Musimy iść do samolotu.

Obaj policjanci podeszli z Randallem do bramki. Lefevre rozkuł go i Randall rozmasował sobie nadgarstek.

— Bon voyage — powiedział Lefevre. — Szkoda, że to tak wyszło.

Randall skinął w milczeniu głową. Jemu też było szkoda, że to tak wyszło.

Nie mógł już dojrzeć ekranu telewizora, lecz słyszał jeszcze dźwięk. Apokaliptyczny głos monsiniora Riccardiego podążał za nim.

— I jak napisał święty Jan, „Dopóki nie ujrzycie znaków, nie uwierzycie”. A Jakub powiada teraz: „Ujrzałem na własne oczy cuda i znaki, i uwierzyłem”. I cała ludzkość może powtórzyć za nim: Uwierzyliśmy! Christos anesti! Chrystus powstał! Alithos anesti! Naprawdę powstał! Amen.

Amen.

Randall wszedł do samolotu, a stewardesa z poważną miną zamknęła za nim drzwi.

Słyszał już tylko ryk odrzutowych silników.

Usiadł na swoim miejscu. Był gotów wracać do domu.

Minęło pięć i pół miesiąca.

Niesamowite, znowu nadeszło Boże Narodzenie w Oak City, choć w głębi serca Steve Randall wiedział, że będzie ono zupełnie inne niż wszystkie poprzednie.

Siedział spokojny i odprężony w pierwszej ławce kościoła metodystycznego, w otoczeniu ludzi połączonych z nim więzami krwi i

przeszłości, ludzi, na których mu zależało i którym zależało na nim. Na dębowej ambonie po prawej stał pastor Tom Carey, rozpoczynając kazanie. Kazanie, którego treść płynęła wprost z żywej wizji Jezusa i jego męki, opisanej w Międzynarodowym Nowym Testamencie. Kazanie, które powtarzano jak wielokrotne echo z tysięcy podobnych ambon w domach modlitwy rozsianych po całym globie. Przemowa Toma Careya, podobnie jak on sam, emanowała pewnością i zaufaniem, przekonaniem i mocą, które czerpał z przesłania nadziei, ukazując w ten sposób umacnianie się w wierze w posłannictwo Chrystusa Zmartwychwstałego, w jego społeczne i duchowe odniesienia.

Randall, słuchając tylko jednym uchem tych znanych sobie aż nazbyt dobrze treści, przypatrywał się zgromadzonym.

Siedział między matką i ojcem. Sarah Randall chłoneła, z wyrazem błogości na swej pulchnej, gładkiej twarzy, każde płynące z ambony słowo. Oblicze Nathana odzyskało częściowo dawny wigor, a jego błękitne oczy tańczyły w rytm wypowiedzi młodszego następcy. O przebyłym udarze przypominała tylko oparta o ławkę laska i wyraźna powolność w mowie, gdy się odzywał. Za ojcem Randall widział swoją siostrę Clare, a dalej wysunięty szwedzki podbródek Eda Perioda Johnsona. Wychylił się nieco do przodu i przyjrzał tym, którzy siedzieli za matką — Judy, której anielską twarzyczkę przesłaniały długie pszeniczne włosy, oraz wujka Hermana, o twarzy jeszcze okrągłej, lecz mniej bezmyślnej niż kiedyś.

Wszyscy słuchali w napięciu słów kazania, wieszczących nowy znak i cud, jakim było dla nich powtórne odkrycie Chrystusa.

Randall jednak słyszał to już po wielekroć, przyjął, a następnie zakwestionował, zwątpił, podjął walkę i przegrał ją — toteż jego uwaga skupiała się na czym innym. Nikt z jego bliskich nie wiedział, że on, syn marnotrawny, był częścią Drugiego Zmartwychwstania. Zamierzał im to wyjawić po mszy, opowiedzieć o tym, co robił za granicą, choć nie był jeszcze pewien, ile chce ujawnić.

Spojrzał ponad pochylonymi głowami na jedno z witrażowych okien kościoła, na cienie rzucane przez gałęzie drzew, bezlistne, ale ciężkie od świeżo spadłego śniegu. Wypatrywał tam przebłysków minionych lat, niewinnych lat młodości, lecz były zbyt odległe. Jego pamięć wracała uporczywie w bliższą przeszłość, do czasu sprzed pięciu miesięcy. Niespokojnego, gniewnego, dręczącego czasu po rozstaniu z Drugim Zmartwychwstaniem i wydaleniu z Francji.

Pamiętał powrót do Nowego Jorku, do siedziby Agencji Reklamowej Randall Associates, do krzątającej skutecznej i oddanej mu jak zawsze Wandy, do wiecznie zabieganego asystenta Joego

Hawkinsa, do zręcznego prawnika Thada Crawforda i całej reszty współpracowników, którzy potrzebowali jego kreatywności i energii.

Randall włączył się na krótko w tę rutynę, w której telefon stawał się dla człowieka dodatkową kończyną. Nie było w tym jednak energii, ponieważ nic go nie interesowało, i nie było twórczego zapału, ponieważ nie widział przed sobą celu.

Chciał stamtąd uciec i uciekł, na trzy miesiące. Thad Crawford miał w Vermoncie farmę z zarządcą i stadami bydła, ze strumykiem i odrestaurowanym domem z czasów wojny secesyjnej. Randall skrył się tam, żeby uporać się z upiorami przeszłości, koszmarami z Amsterdamu, Paryża i Ostii — Wheelerem i de Vroome'em, Lebrunem i Jakubem Sprawiedliwym. Zabrał ze sobą swoje notatki, nagrania i najświeższe wspomnienia oraz walizkową maszynę do pisania. Chciał żyć życiem pustelnika i prawie mu się to udało. Utrzymywał nikły kontakt telefoniczny ze światem, podejmował decyzje związane z firmą, rozmawiał z Judy w San Francisco i rodzicami w Oak City, lecz większość czasu poświęcał na pisanie książki. Książki o złej nowinie, jak ironicznie zakodował sobie w głowie.

Te trzy miesiące to nie był dobry czas. Randall tkwił w pomieszeniu, gniewie, żalu nad samym sobą. Głównie w pomieszeniu. Pisał i pił, i usiłował pozbyć się jadu, który wypełniał jego wnętrze. Zapisywał całe ryzy papieru, wypływając z siebie opowieść o Drugim Zmartwychwstaniu — o sprawie z Lebrunem w Rzymie, o zdradzie potężnego de Vroome'a, o deportowaniu z Francji, o wszystkim joza Angela. Ją postanowił oszczędzić.

W trakcie pisania czasami miał wrażenie, że tworzy największą opowieść detektywistyczną wszech czasów. Kiedy indziej był przekonany, że nigdy jeszcze nie obnażono dwulicowości i zakłamania eligii na taką skalę, jak w tekście wystukiwanym na klawiaturze przez jego palce. Palce de Sade'a. I zdarzały się dni, kiedy był pewien, że opisuje tylko ekshibicjonistyczny autoportret chorego, ynicznego paranoika.

Pił i pisał, a słowa tonęły w rzece szkockiej.

Skończył pisanie w poczuciu oczyszczenia. Katharsis wypłukało , niego cały jad. Pozostała tylko pusta skorupa samotności i ponieszenia, które nie chciało odejść.

Wrócił z gotowym tekstem do Nowego Jorku i umieścił go w biurowym sejfie, do którego dostęp miała poza nim tylko Wanda.

Nie wiedział jeszcze, czy pozostawi maszynopis jako świadectwo egzorcyzmów, jakie odprawił nad swą opanowaną przez szatańskie moce duszą, czy w końcu zdecyduje się go opublikować, żeby powstrzymać monstrum, które pochwyliło w kleszcze uścisku połowę świata.

W historii literatury nie było książki, która osiągnęłaby sukces na miarę Międzynarodowego Nowego Testamentu. Księga nad Księgami była wszechobecna, nawracała, osaczała i przypominała o sobie o każdej porze dnia i nocy. Rozmowy na jej temat słyszało się w sklepach i na ulicy, w restauracjach i na przyjęciach.

Warczały bojowe werble, a nowy charyzmatyczny Chrystus znowu przyciągał do siebie niezliczone dusze. Dla jednych powrót Chrystusa był przyczyną spadku przestępczości. Dla innych — powodem poprawy koniunktury gospodarczej. Kiedy malała liczba narkomanów, to dzięki Chrystusowi. Zakończenie każdego konfliktu, początek wszelkich rokowań, każdy przejaw dobrobytu, braterstwa i optymizmu na świecie, wszystko to w ustach przebudzonych heroldów Dobrej Nowiny było dziełem Chrystusa.

Według ostatnich raportów sprzedaż Międzynarodowego Nowego Testamentu przekroczyła trzy miliony egzemplarzy w Stanach i czterdzieści milionów na świecie. I to w ciągu zaledwie czterech miesięcy.

Randall zaczął stopniowo nabierać przekonania, że mimo wszystko powinien opublikować swoje exposé. To mógł być kamyk wystrzelony z procy, którą on sam skonstruowałby poprzez własną kampanię reklamową. I jeśli trafi Goliata, może się uda go powalić, zabić potwora, zabić kłamstwo.

W tym właśnie czasie odebrał długo oczekiwany telefon od Ogdena Towery'ego. Kontrakt sprzedaży firmy Cosmosowi był już od dawna gotowy i oczekiwał tylko na podpisy obu stron. Lecz Thad Crawford miał jakieś dziwne trudności w skontaktowaniu się z prawnikami Towery'ego. Randall domyślał się, co może być przyczyną, a wymiana zdań z Towerym potwierdziła jego przypuszczenia.

Rozmowa była krótka i na temat, a jej ton nieprzyjazny.

— Kontaktowałem się z Wheelerem, panie Randall — oznajmił Ogden Towery. — Odniosł niesamowity sukces, ale powiedział mi, że nie ma w tym pańskiego udziału. Że wręcz przeciwnie, robił pan wszystko, żeby mu przeszkodzić. Sabotował pan jego projekt, mówiąc wprost. Czy ma pan coś na swoją obronę?

— Chciałem mu przeszkodzić, bo miałem dowody, że to mistyfikacja.

— O tym też mi powiedział. Co jest z panem nie tak, Randall? A może pan jest ateistą albo komunistą? O co właściwie chodzi?

— Nie mogłem reklamować czegoś, w co nie wierzyłem.

— Słuchaj pan, tym, w co pan ma wierzyć albo nie, niech się lepiej zajmują tacy jak Wheeler, Zachery i prezydent Stanów Zjednoczonych, a pan ma robić swoją robotę. Mam ten kontrakt na biurku, ale zanim go podpiszę, chcę wiedzieć, co pan zamierza.

— Co ja zamierzam?

— Tak, czy zamierza pan jeszcze w przyszłości sabotować nową Świętą Księgę. Czy będzie pan wygłaszał jakieś przemówienia albo pisał głupie artykuły. Chcę to wiedzieć i Wheeler też. Jeżeli ma pan coś takiego w zanadrzu, to nie chcę mieć z panem więcej do czynienia. A jeżeli starczy panu rozumu, żeby się zachować jak przystało na ucziwego człowieka, na syna duchownego, tak żeby tatuś mógł być z pana dumny, wówczas pana kupię. Dlatego chcę aneksu do umowy. Musi mi pan zagwarantować, że nie będzie występował, ani pisemnie, ani ustnie, przeciwko Międzynarodowemu Nowemu Testamentowi. No więc słucham pana... tak czy nie?

— Zobaczymy.

— Co to ma znaczyć, do ciężkiej cholery?

— Panie Towery, to znaczy, że zobaczymy, czy tak, czy nie. Nigdy nie podejmuję takich decyzji bez zastanowienia.

— To zastanawiaj się krótko, młody człowieku. Oczekuję pańskiej odpowiedzi najpóźniej do końca roku.

Towery się rozłączył, a Randall poczuł lęk. Być usuniętym z Drugiego Zmartwychwstania to jedno, pomyślał, a pozwolić sobie na stratę kontraktu z Cosmos Enterprises, to zupełnie co innego. Od tej drugiej sprawy zależała jego przyszłość, szansa ucieczki z wyścigu szczurów, szansa na bezpieczeństwo i niezależność. Nowe warunki były jednak nie do przyjęcia, na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. Próbował ważyć w myśli leżącą na biurku umowę, a z drugiej strony przechowywany w sejfie maszynopis, lecz nie potrafił zdecydować, co ma większą wagę.

Kilka tygodni później odebrano następny telefon, który spotęgował jeszcze jego rozterkę.

— Dzwonił Jim McLoughlin — poinformowała go Wanda. — jest w Waszyngtonie. Przeprosił, że nie odpowiadał tak długo na listy od Thada Crawforda i od ciebie, ale był w jakimś niedostępnym miejscu i pracował po dwadzieścia pięć godzin na dobę. Teraz bardzo mu zależy, żeby się z tobą spotkać i sfinalizować sprawę pierwszej kampanii przeciwko wielkiemu biznesowi. Mam cię z nim połączyć?

Randall nie czuł się w tej chwili na siłach, żeby powiedzieć McLoughlinowi prawdę.

— Nie dzisiaj, Wando — odparł. — Oddzwoń do niego i powiedz, że właśnie jestem w drodze na lotnisko, że znowu lecę do Europy w pilnej sprawie i skontaktuję się z nim po powrocie. Jeszcze przed końcem roku.

Najlepszy sposób rozwiązywania problemów to po prostu udawać, że ich nie ma, uznał tego dnia. Udawać, że ich nie ma, i pić.

Pił więc przez cały październik i listopad, i część grudnia, aż do dziś, jak w dawnych czasach. Pił czysty alkohol, bez wody, jako antidotum na problemy, na pomieszanie, na wyrzuty sumienia i na samotność. Niestety rano budził się trzeźwy. I jeszcze bardziej samotny.

Samotny jak jeszcze nigdy w życiu.

Oczywiście istniało na to lekarstwo i zażywał je bardzo często.

Kobiety, dziewczyny, te, które wyglądały najlepiej nago i w pozycji horyzontalnej, były wszędzie. Szastającej pieniędzmi grubej rybie nietrudno było je znaleźć. Aktorki o wielkich biustach, neurotyczne dziewczęta z towarzystwa, wyzwolone cizie biznesmenki... przychodziły do jego biura załatwiać interesy, spotykał je w barach i dyskotekach. Upijały się z nim, rozbierały się z nim i kopulowały z nim, a kiedy w końcu zasypiał, wiedział, że jest sam.

Rozpaczliwie szukał związku, w który mógłby się zaangażować. Związku z drugim człowiekiem, znaczącego coś więcej niż seks.

Którejś nocy, pijany, postanowił zadzwonić do Barbary i zobaczyć, co z tego wyjdzie, czy nie da się wszystkiego jakoś załatać. Lecz kiedy usłyszał głos gospozi i słowa „Tu rezydencja państwa Burke'ów”, odłożył szybko słuchawkę, jakby go oparzyła.

Kiedy indziej, jeszcze bardziej pijany, w przypiływie rzewnej tęsknoty za dawnymi czasami, chciał zadzwonić do Darlene Nicholson, tej rozrywkowej, świetnej w łóżku dziewczyny — gdzież to ona, u diabła, mieszkała... aha, w Kansas City — błagać ją o wybaczenie i ściągnąć z powrotem. Był pewien, że rzuciłaby swojego chłopaka Roya i wróciła do niego natychmiast. Przypomniawszy sobie jednak w porę, że ta idiotka Darlene chciała ślubu i to dlatego zerwał z nią w Amsterdamie. W rezultacie zamiast po słuchawkę, sięgnął po butelkę.

W tym chorym pościgu za bliskością zaryzykował nawet, że straci swoją wspaniałą sekretarkę Wandę, i któregoś dnia przed końcem pracy, nabuzowany i zdołowany jednocześnie, zapytał ją, czy by z nim nie poszła, ponieważ jej pragnął... pragnął kogokolwiek... tym razem jej. A Wanda, ta

niezależna, pięknie zbudowana, piersiasta czarna dziewczyna, która знаła go tak dobrze i nie odczuwała lęku, odparła:

— Dobrze, szefie. Zastanawiałam się, kiedy wreszcie zapytasz.

Była z nim każdej nocy, jej cudowne hebanowe ciało, oplatające go długie ramiona, sterczące ku niemu czerwone sutki, rozchylone dla niego mocne, jędrne uda. Kochała się z nim i kochała, przez cały miesiąc. Spółkowała z nim nie z obawy o utratę pracy, nie z pożądania i kobiecej adoracji, lecz głęboko rozumiejąc jego pragnienia i jego stan, kochała się z nim z litości. Po miesiącu, w pełni tego świadom, pełen wstydu, ale i wdzięczności, wypuścił ją ze swego łóżka, lecz zatrzymał w biurze, jako najlepszą przyjaciółkę i sekretarkę.

I w końcu, przed tygodniem, dostał pocztą lotniczą list z włoskim znaczkiem i rzymskim datownikiem. W środku była delikatna kartka świąteczna: wesołych świąt, szczęśliwego Nowego Roku — z krótkim liścikiem na odwrocie. Spojrzał na podpis. Angela.

Myślała o nim często, zastanawiała się, co robi, modliła się o jego spokój i zdrowie. Ona sama była bardzo zapracowana, po ukazaniu się nowej Biblii musiała odpowiadać na setki listów przychodzących do ojca, pisała artykuły i udzielała w jego imieniu wywiadów. Teraz właśnie miała przylecieć na tydzień do Nowego Jorku, Wheeler poprosił ją o występ w telewizji. Przyleci rano na pierwszy dzień świąt i zatrzyma się w hotelu Plaza. „Jeśli iznasz, że ma to jakikolwiek sens, Steve, chętnie się z Tobą zobaczę”. I podpis: Angela.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, nie odpisał więc wcale. Nie poinformował jej nawet, że Boże Narodzenie spędza z rodzicami spotyka się z Judy, która specjalnie przyleci do Oak City z Kalifornii, więc nie mógłby się zobaczyć z nią, nawet gdyby chciał... albo miał dość odwagi.

Liścik Angeli był pierwszym momentem otrzeźwienia od pięciu miesięcy. Drugim był powrót do domu w Oak City. Siedział rodziną przy migoczącej choince. Pił tradycyjnego kogla-mogła aprowionego rumem. Rozpakowywał prezenty. Słuchał razem

Judy kołędników śpiewających przed frontowym wejściem.

Trzecim momentem była chwila w pierwszej ławce kościoła metodystów. Tom Carey właśnie skończył kazanie. Rodzina i przyjaciele Randalla wstawali z miejsc.

I w tej sekundzie iluminacji zobaczył oczy ich wszystkich, roziskrzone nadzieją. Matki — radosnej i pełnej wdzięczności, ojca — promieniejącego uniesieniem, oboje odmłodniałych i szczęśliwych, że dożyli czasu, gdy mogli ujrzeć i usłyszeć Słowo. Jego siostra Clare emanowała ufnością i pewnością

siebie, jakich nigdy u niej nie widział, zadowolona z decyzji zerwania z żonatym kochankiem i szefem, zdecydowana szukać własnej drogi ku czemuś — i komuś — nowemu. Jego córka Judy, zamyślona i poważna, wyraźnie poruszona kazaniem, wydała mu się dojrzała jak nigdy dotąd.

Rozejrzył się po kościele. Ośmiuset lub więcej parafian kierowało się, w parach, trójkami i grupkami, do wyjścia. Po raz pierwszy w życiu zobaczył ludzi emanujących takim ciepłem i życzliwością, takim poczuciem ukojenia, pewności i wzajemnego zaufania.

To właśnie był ów rezultat, o którym mówiła Angela podczas ich ostatniego spotkania, cel, który usprawiedliwiał wszystkie środki.

Tak powiedziała.

A jego odpowiedź brzmiała — nie.

W tej chwili jednak — ponieważ było Boże Narodzenie, ponieważ był trzeźwy, jak nigdy w ciągu kilku miesięcy, i widział odbijające się w setkach oczu niebo na ziemi — być może byłby skłonny przyznać jej rację, przyznać, że liczył się rezultat.

Ale nigdy, przenigdy nie będzie tego pewien.

Nachylił się do matki i pocałował ją w policzek.

— Cudownie było, prawda? — zapytał.

— Pomyśleć, że dożyłam takiego dnia, synku — odparła Sarah Randall. — Nawet gdyby już nigdy miał się nie powtórzyć, nam z tatą to w zupełności wystarczy.

— To prawda, mamo. I jeszcze raz wesołych świąt. Posłuchaj, wróc do domu z Clare i resztą, a ja pojedę z tatą. Mam wynajęty samochód. Pojedziemy naokoło, jak w dzieciństwie, kiedy tata jeździł naszym starym gruchotem, pamiętasz? Ale nie martw się, na obiad zdamy.

Podstawił ramię wspartemu na lasce ojcu i poprowadził go po czerwonym dywanie przez środek kościoła. Ojciec spojrział na niego z uśmiechem.

— Musimy powierzyć Panu nasze serca i dusze — powiedział — zaufać mu za jego dobroć, za to, że objawił nam się tego dnia i mogliśmy spotkać się tutaj wszyscy w zdrowiu i pełni sił, żeby otrzymać jego przesłanie.

— Tak, tato — odrzekł łagodnie Randall, ciesząc się w duchu, że ojciec znów może mówić niemal tak samo wyraźnie jak przed udarem.

— No, synu — rzekł pastor z isierką dawnej werwy — chyba już mamy dość kościoła jak na jeden dzień. Strasznie się cieszę, że jedziemy razem do domu. Jak w dawnych czasach.

Było jak w dawnych czasach, a jednocześnie Randall czuł, że to zupełnie nowy czas.

Okreźna trasa do domu, żwirową drogą pokrytą teraz świeżym śniegiem, prowadziła wokół jeziora, które wszyscy nazywali stawem, i była tylko o kwadrans dłuższa od drogi przez centrum Oak City.

Randall jechał powoli, delektując się tym nostalgicznym przerywnikiem.

Wyglądali obaj dość zabawnie, pomyślał, jak duże wypchane anioły. W przedsionku kościoła, świadomi, że grudniowe słońce jest zwodnicze i na dworze jest zimno, włożyli kurtki, szaliki i rękawiczki i teraz w wynajętym samochodzie (ogrzewanie oczywiście było zepsute) nie musieli się obawiać chłodu.

— Popatrz na Pike's Pond — powiedział ojciec. — Czy jest gdzieś piękniejszy widok na ziemi? Zawsze mówiłem Edowi, że Thoreau wolałby mieszkać tutaj zamiast nad Walden Pond. Na szczęście nie mieszkał, bo teraz mielibyśmy tu stada turystów, którzy by wszystko zdeptali. A tak prawie nic się nie zmieniło od twojego dzieciństwa, Steve. Pamiętasz jeszcze tamte czasy?

— Oczywiście, tato — odparł cicho, patrząc na jezioro okolone gęstymi lasami. — Jest całe zamrożone — zauważył.

— Właśnie, całe zamrożone — powtórzył ojciec. — Pamiętasz, kiedy lód był naprawdę gruby, taki na piętnaście centymetrów, przychodziliśmy łowić ryby w przerębli. Wyrąbывaliśmy dziury, zakładaliśmy linki, po pięć na każdego, zgodnie z przepisami. Potem brało się kij, robiło wycięcie i wtykało w to wycięcie metalowy pręt, z linką i przynętą przywiązaną do jednego końca, i czerwoną chorągiewką do drugiego. Wbijało się kij w lód nad szrerębłą i wrzucało linkę do wody. Potem wszyscy wracali do samochodów zaparkowanych przy brzegu, zabijając ręce dla rozgrzania się, rozpalaliśmy ognisko i siedzieliśmy, żartując, śpiewając i obserwując chorągiewki. I nagle branie, chorągiewka skakała do góry, a my zaczynaliśmy wrzeszczeć jak Indianie i ścigaliśmy się po lodzie, kto pierwszy wyciągnie okonia albo młodego szczupaka. Ty, jak podrosłeś, zazwyczaj byłeś pierwszy, miałeś długie nogi. Randall przypominał sobie to wszystko bardzo żywo, aż do bólu.

— Powinieneś znowu kiedyś pójść na ryby, tato — powiedział.

— Zimą to raczej nie, z zimowych atrakcji muszę raczej zrezygnować. Ale wiesz co? Doktor Oppenheimer powiedział, że jak się ociepli, mógłbym się wybrać. Rozmawiałem o tym z Edem w zeszłym tygodniu i na wiosnę pojedziemy sobie na wędkarską wyprawę.

Umilkli. Randall skręcił w wąską, krętą drogę, prowadzącą od jeziora w kierunku ich domu. Po chwili ojciec podjął rozmowę.

— Myślałem właśnie o tym, że przeszłość nigdy nie odchodzi, zawsze jest obecna w teraźniejszości. Uświadomiłem sobie, że moja przeszłość... młodość, życie z twoją matką, moja służba Bogu... nabrała teraz większego znaczenia dzięki nowej Biblii. Czytamy ją z mamą wciąż od nowa, to prawdziwe objawienie, synu. Jezus pilnujący owiec na pastwisku. Jezus przemawiający nad grobem Józefa. To wszystko jest takie pełne znaczenia... Nawet jeżeli ktoś był niewierzący, teraz musi uwierzyć. Musi zrozumieć, że Syn Boży jest wśród nas, i zyskać nową siłę. Poczucie sensu życia.

— Tak, to bardzo ważne, tato.

— Nie ma ważniejszej rzeczy, Steve — odrzekł ojciec żarliwie. — Jest taki cytat z Coleridge'a, „Wierzę Platonowi i Sokratesowi, ale wierzę w Jezusa Chrystusa”. Wiesz, o czym myślałem dzisiaj w kościele podczas kazania Toma? Nigdy nie straciłem wiary, więc nie zrozum mnie niewłaściwie. Ale cierpiałem przez te ostatnie lata, widząc, jak młodzi... nie tylko młodzi, bo ich rodzice także... odchodzą od Kościoła, od Pisma Świętego. Zwracali się ku fałszywym bożkom, ku „Pokaż mi” i „Udowodnij”, ku nauce... tak jakby w samej nauce nie brakowało tajemnic i niejasności. Ludzie zaczęli się karmić wyłącznie tym, czego mogli dotknąć, a jednak przez cały czas łaknęli poczucia celu i znaczenia w życiu. Nie uważasz, że tak właśnie się działo?

— Tak, tato.

— Nie znajdowali odpowiedzi w Bogu i Jego Synu, albowiem nie potrafili ujrzeć Chrystusa poprzez samą wiarę. Nie przyjmowali przesłania kogoś, w kogo nie mogli uwierzyć, więc odwrócili się do niego plecami. Sądzę, że tobie także się to przytrafiło, Steve. W różnym stopniu dotknęło to właściwie każdej rodziny w naszej parafii.

— Wiem. Rozmawiałem o tym z Tomem Careyem, kiedy byłeś w szpitalu.

— No właśnie. A teraz ten czas już się skończył, dla mnie to wielkie błogosławieństwo. Naprawdę myślę, że Chrystus wiedział, co się dzieje, dlatego zjawił się ponownie tak nagle. Odkrycie w Ostii to nie był przypadek, to się zdarzyło z boskiej inspiracji, Steve.

Ostia, pomyślał Randall. Nie, to z pewnością nie był przypadek. Czy w ogóle będzie mógł wspomnieć ojcu o tym wszystkim?

— Teraz możemy już odpowiedzieć, ku satysfakcji wszystkich i każdego z osobna — ciągnął stary pastor — na dwa pytania naszego credo. Czy przyjmujemy Jezusa Chrystusa jako naszego Pana i Zbawiciela, i ślubujemy wierność Jego królestwu? Czy przyjmujemy i będziemy wyznawać wiarę chrześcijańską, zawartą w Nowym Testamencie Pana Naszego, Jezusa Chrystusa? Ci, którzy przedtem nie mogli odpowiedzieć twierdząco, teraz już

mogą. Dzięki Jakubowi Sprawiedliwemu mogą powiedzieć tak. Dostali już swój namacalny, naukowy dowód istnienia Zbawiciela. A ja znów widzę mój kościół bezpieczny, Toma Careya w dobrej formie, a kazalnicę w dobrych rękach, godną zaufania. Widzę przystań dla błakających się młodych, takich jak Judy albo Clare. Przypuszczam, że też dostrzegłeś w nich tę zmianę, prawda, Steve?

Randall skinął głową.

— I cieszę się z tego — odparł. — Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

— Co do mnie, to nigdy się nie bałem odejść, gdy nadejdzie czas — mówił ojciec. — Zawsze zachowywałem wiarę w niebiosach... nie jakieś tam niebo ze złotymi wieżami, ale niebiosach, w których zbawieni w sercu i duchu, w swej nieśmiertelnej duszy, przyjęci będą przez Boga i Jego Syna. A teraz jeszcze dożyłem takich czasów, że zaczynam dostrzegać perspektywę nieba na ziemi, gdy dobro pokona biedę, przemoc i niesprawiedliwość. Dobro w sensie ekumenicznym zwycięży, a miłość i pokój ogarną cały świat. To zmartwychwstanie połączy dwieście protestanckich sekt w jedną, zjednoczy nas z katolikami i zbliży do naszych braci Żydów, bo wszyscy przecież na początku byliśmy Żydami, tak jak nasz Pan. — Pastor przerwał i poluźnił szalik. — Coś strasznie się gadatliwy zrobiłem tej zimy. Dostyc tego gładzenia, Steve. Miałeś mi opowiedzieć, czym zajmowałeś się przez całe lato.

— To nic takiego ważnego, tato. Opowiem ci kiedy indziej.

— Tak, tak, musimy jeszcze porozmawiać, synu.

Randall spojrzął na ojca. Stary pastor odchylił głowę na oparcie fotela i przymknął oczy. Nie jakiś tam Spinoza, pomyślał syn, tylko Nathan Randall, człowiek prawdziwie przeniknięty Bogiem.

— Na pewno jesteś zmęczony, tato — powiedział. Wjeżdżali już w swoją ulicę. — Zaraz sobie odpocznesz.

— Po prostu jestem bardzo spokojny, Steve — odmruknął ojciec. — W życiu nie czułem tak niebiańskiego spokoju. Mam nadzieję, że i ty go teraz odnajdziesz.

Randall podjechał pod dom i zaparkował przy krawężniku. Odwrócił się ku ojcu. Chciał mu powiedzieć, że on też wierzy, iż w końcu jakoś odnajdzie spokój. I że są już w domu.

Pastor miał jednak zamknięte oczy i spał, zupełnie nieruchomy.

Zanim jeszcze Randall chwycił go za przegub i dotknął pulsu, miał przeczucie, że ojciec nie żyje. Przysunął się bliżej do starca. Wydawało się to

niemożliwe, zupełnie nie wyglądał na zmarłego. Na jego spokojnej twarzy zagościł uśmiech, łagodny jak zawsze.

— Nie, tato, nie. — Randall przygarnął do siebie bezwładne ciało, przytulił siwą głowę do piersi. — Nie odchodź, nie możesz mnie teraz zostawić.

Przytulał ojca mocno, nie chcąc przyjąć tego, co się stało, do wiadomości, jak gdyby mógł go przywrócić do życia samym wysiłkiem woli.

Przecież to niemożliwe, to się nie mogło stać, myślał Randall. Po chwili pojął jednak, że ojciec tak naprawdę nie umarł i nie umrze nigdy. I uwolnił go w końcu łagodnie ze swoich objęć.

Nabożeństwo żałobne dobiegło końca i niemal wszyscy już wyszli. Randall poprowadził matkę do wyjścia, gdzie przekazał ją Clare i wujowi Hermanowi.

— Wszystko będzie dobrze, mamó — zapewnił i pocałował ją w czoło. — On już odnalazł spokój.

Patrzył chwilę, jak idą do miejsca, gdzie przy karawanie stała Judy z Tomem Careyem i Edem, a potem odwrócił się ku wnętrzu kaplicy.

Jego spojrzenie padło na otwartą trumnę, stojącą na otoczonym kwiatami katafalku.

Niemal bezwolnie, jak zahipnotyzowany, podszedł bliżej i stanął przy trumnie, wpatrując się w doczesne szczątki swego ojca, wielbnego Nathana Randalla, pogrążonego w ostatnim śnie.

Człowiek nie może stać się mężczyzną, póki nie umrze jego ojciec, pomyślał. Kto to powiedział? Przypomniał sobie — Zygmund Freud.

No cóż, jego ojciec umarł, bez najmniejszej wątpliwości, a on zupełnie nie czuł się jak mężczyzna, tylko jak chłopiec, mały i zagubiony.

Walczył z tym uczuciem, ale nie zdołał powstrzymać łez, poczuł słony smak na wargach, dławienie w gardle i jego płacz przeszedł w niepohamowany szloch.

Po kilku minutach udało mu się opanować i wytarł chusteczką oczy. Wiedział dobrze, że nie jest już chłopcem, tylko mężczyzną, czy mu się to podoba, czy nie. Z niewyjaśnionych przyczyn ogarnęło go nagle przemożne poczucie nadziei, wiary i pewności, których doświadczał w dzieciństwie. I po chwili, niemal już bez lęku, odszedł od trumny i dołączył do czekającej na dworze rodziny.

Następną godzinę na cmentarzu pamiętał jak przez mgłę.

Stał razem z innymi przy zamkniętej trumnie, powtarzając modlitwę za zmarłego ojca.

„Ojcze miłosierny, widzące oczy i słyszające uszy, wysłuchaj mojego wstawiennictwa za Nathanem i ześlij Michała, dowódcę swych aniołów, i

Gabriela, posłannika Światła, i armie aniołów, aby poprowadzili duszę naszego brata Nathana aż przed Twoje oblicze na wysokościach".

Dopiero gdy wyjechali z cmentarza dwoma podstawionymi przez zakład pogrzebowy limuzynami, wracając do domu na stypę, uzmysłowił sobie pochodzenie tych słów i aż się wzdrygnął. To była ta sama modlitwa, którą według Jakuba wypowiedział Jezus nad grobem Józefa, swego ojca.

Według Jakuba... czyli według Roberta Lebruna.

Jakoś w tej chwili nie miało to dla niego znaczenia, ani trochę. Te słowa niosły ojcu ukojenie w jego ostatniej podróży i niezależnie od ich pochodzenia były święte, były słuszne.

Przejaśniło mu się w głowie, ucisk w piersi zelżał. Kilometr od domu poprosił kierowcę, żeby zatrzymał samochód.

— Przejdę się na piechotę — powiedział do matki. — Nie martw się, chcę się tylko przewietrzyć.

Zaczekał, aż limuzyna zniknie mu z oczu, zdjął rękawiczki i wsunawszy ręce do kieszeni płaszcza, ruszył powoli przed siebie.

Po kilkunastu minutach, gdy szary, drewniany i częściowo otynkowany rodzinny dom, pojawił się w zasięgu jego wzroku, znów zaczął wielkimi płatkami padać śnieg. Chłodził mu policzki i głosił chwałę życia.

Kiedy dochodził do białego trawnika przed frontem, czuł siłę i chęć powrotu do społeczności. Zanim ten rok dobiegnie końca, miał zamiar dokończyć pewne sprawy. Ruszył ścieżką i przez wykuszowe okno zobaczył w oświetlonym salonie gości, zebranych wokół matki i Clare, zobaczył podającego poncz Eda Perioda i krążącego z tacą pełną kanapek wuja Hermana. I wiedział już, że matka sobie poradzi. Wkrótce do niej dołączy, lecz teraz, jako syn, który stał się mężczyzną, musiał coś załatwić.

Obszedł ganek, skierował się do drzwi kuchennych i tylnymi schodami wszedł na górę.

Znalazł Wandę w sypialni dla gości. Pakowała swoje rzeczy do podróźnej torby. Zadzwoił do niej poprzedniego dnia, powiadomił o śmierci ojca i o tym, że wróci do biura dopiero po Nowym Roku. A ona po prostu przyleciała jeszcze tego wieczoru do Wisconsin, żeby być z nim, nie jako sekretarka, lecz jako przyjaciółka. Żeby mu pomóc. Teraz szykowała się do powrotu.

Podszedł do niej, odwrócił ku sobie i przytulił.

— Dzięki, Wando. Wielkie dzięki za wszystko — powiedział, całując ją w policzek.

— A jak z tobą? — Przyjrzała mu się z troską w oczach. — Trzymasz się jakoś? Wezwałam już taksówkę, ale jeżeli mnie potrzebujesz, mogę zostać dłużej.

— Potrzebuję cię w Nowym Jorku, Wando — odparł. — Będę miał dla ciebie pewne zadania, jeszcze przed Nowym Rokiem.

— Jutro od rana jestem w biurze. Mam sobie coś zapisać?

— Myślę, że zapamiętasz. — Uśmiechnął się. — Na początek, przypominasz sobie maszynopis, który napisałem w Vermoncie? Prosiłem, abyś schowała go w sejfie.

— Tak.

— Jest w tekturowym pudełku z nalepką „Drugie Zmartwychwstanie”.

— Wiem, szefie, sama pisałam tę nalepkę.

— Dobrze. Więc jutro wyjmij ten maszynopis i miej go pod ręką. Będę chciał się go pozbyć.

— Naprawdę?

— Trzeba palić stare mosty, Wando. Nie chcę zawracać z drogi, chcę iść naprzód.

— Nie szkoda ci tej pracy, którą w to włożyłeś?

— Spokojnie. Nie powiedziałem ci jeszcze, w jaki sposób chcę się tego pozbyć. Dowiesz się za chwilę. Teraz posłuchaj. Zadzwońisz do Thada Crawforda, on wie, że Ogden Towery czeka na moją odpowiedź do końca roku. Niech Thad mu odpowie, że podjąłem decyzję. Odpowiedź brzmi: Panie Towery, spadaj pan. Nie sprzedaję panu firmy. Mam coś lepszego na oku.

— O rany, szefie! — wykrzyknęła Wanda i uściskała go. — Nawet modlitwy grzeszników zostają czasem wysłuchane.

— I jeszcze jedna sprawa — rzekł Randall. — Tę możesz załatwić tutaj. Wiesz, jak złapać Jima McLoughlina?

— Rozmawiałam z nim w zeszłym tygodniu. Dopytywał się, kiedy wrócisz.

— Dobrze, więc zadzwoń do niego teraz — pokazał telefon na nocnym stoliku. — Powiedz, że już wróciłem i chcę z nim pogadać.

Po kilku minutach miał na linii Waszyngton. Jim McLoughlin mówił:

— W samą porę, panie Randall. Już myślałem, że będziemy się tak rozmijać i w końcu wszystko przepadnie. Tutaj u nas jest bardzo gorąco. Mamy naprawdę mocne dowody na tych złodziei, oszustów i hipokrytów. Chcemy przywrócić wolnemu rynkowi prawdziwą wolność, zanim będzie za późno. Następny etap zależy od pana. Czy jest pan gotów zaprezentować światu The Raker Institute? Włączy się pan do walki?

— Pod dwoma warunkami, Jim. I mów mi Steve.

— Jasne, Steve. — W głosie Jima słychać było niepokój. — Co to za warunki? — zapytał.

— Po pierwsze, kiedy byłem w Europie, miałem okazję posmakować trochę twojej gry. Próbowałem rozwikłać i wyjaśnić pewną sprawę, w jakimś stopniu także związaną z biznesem. Chciałem się zorientować, czy pewna rzecz... można by ją nazwać towarem konsumpcyjnym... jest bezwartościowym buble i oszustwem wobec klientów, czy też odwrotnie... uczciwą i cenną propozycją. Sam byłem raczej przekonany, że to oszustwo, podróbka, ale nie potrafiłem tego udowodnić. Ludzie, którzy handlują tym towarem, prawdopodobnie wierzą w jego autentyczność i możliwe, że mają rację. Wątpliwości jednak pozostały. Napisałem długie sprawozdanie z tych moich poszukiwań i moja sekretarka ma ci to jutro przesłać. Otrzymasz przesyłkę podpisaną „Drugie Zmartwychwstanie”, i...

— Drugie Zmartwychwstanie? — przerwał mu McLoughlin. — Miałeś z tym coś wspólnego? Powiesz mi, o co chodzi?

— Nie teraz, Jim. Zresztą dowiesz się wszystkiego z mojego maszynopisu. Potem pogadamy. W każdym razie, jeżeli uznasz, że jest sens pociągnąć to dalej, że prawda o tej sprawie może posłużyć dobru publicznemu... to świetnie. Na razie chcę tylko, żebyś się z tym zapoznał. Potem sam zdecydujesz.

— Pierwszy warunek przyjęty, bez problemu — odparł McLoughlin. — A drugi, Steve? Co mam jeszcze zrobić, żebyś wziął naszą sprawę?

— Drugi warunek brzmi tak: Ja wezmę was, jeżeli wy weźmiecie mnie.

— Co przez to rozumiesz?

— To, że ja też postanowiłem działać na rzecz prawdy. Ty masz siły i środki do prowadzenia śledztwa, ale nie dysponujesz odpowiednim głosem. Ja nie mam takich sił i środków, ale mam za to donośny głos. Więc może połączylibyśmy jedno z drugim, stworzyli wspólną firmę i razem popracowali nad oczyszczeniem kraju, nad polepszeniem jakości życia ludzi, tu i teraz, na tym świecie? Co ty na to, Jim?

— Poważnie?! — McLoughlin niemal krzyczał. — Mówisz to poważnie, Steve?!

— Oczywiście, że mówię poważnie. Działamy razem albo ja w to nie wchodzę. Ty możesz być szefem, mnie wystarczy wiceprezes z prawem weta. Słuchasz mnie?

— Czy ja cię słucham? Jeszcze jak! Umowa stoi, Steve. Ależ dostałem prezent na Boże Narodzenie!

— Ja też, Jim, ja też — odrzekł cicho Randall. — No, to do zobaczenia na barykadach.

Odwrócił się do Wandy. Była rozpromieniona, a policzki miała mokre od łez.

— Och, Steve — zdołała tylko wykrztusić.

— Lepiej wracaj do swojego maszynopisania — odparł z udawaną szorstkością. — Zajmowanie się głupotami zostaw mnie.

Pomógł jej zanieść torbę do taksówki. Kiedy samochód ruszał, Wanda opuściła tylną szybę.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, szefie, że bardzo mi się podobają twoje dziewczyny. Podwójna wygrana, musisz na to postawić. Są na podwórku, lepią bałwana. Szczęśliwego Nowego Roku, szefie!

Taksówka odjechała.

Randall zawrócił ku domowi, lecz nie wszedł jeszcze do środka. Będzie na to czas, pomyślał, a na razie jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Na podwórku.

Ruszył powoli ścieżką, odgarniając z twarzy miękkie śniegowe płatki.

Wiedział, że znalazł wreszcie odpowiedź na klasyczne pytanie Piłata, które prześladowało go przez całe lato i właściwie aż do tej chwili.

Cóż to jest prawda?

Myślał, że to jedno z tych pytań, na które nie ma odpowiedzi. Teraz zrozumiał, że się mylił. Odpowiedź istniała.

Ciesząc się topniejącym na skórze śniegiem, wypowiedział ją na głos:

— Prawda jest miłością.

A żeby kochać, trzeba wierzyć: w siebie i w innych, w to, że wszystko ma cel i że istnienie nie wydarza się bez planu.

To właśnie jest prawda, powtórzył w myśli.

Wyszedł na spłacheć białego śniegu za domem. Ojciec zawsze pragnął, by jego syn żył w pokoju i bez lęku, żeby nie był samotny. I po raz pierwszy w życiu Randall tak właśnie się czuł.

Zobaczył pod drzewem bałwana. Był wielki i śmieszny. Judy właśnie dolepiła mu nos z marchewki.

— Cześć, Judy!

Zerknęła na niego przez ramię.

— Cześć, tato!

Wróciła do zabawy. Zza pękatej śniegowej postaci wyłoniła się druga dziewczyna, w śmiesznej narciarskiej czapeczce na ciemnych włosach.

— Witaj, Angelo! — zawołał. — Kocham cię, wiesz o tym? Pobiegnij ku niemu, zapadając się w kopny śnieg.

— Kochany! — krzyknęła. — Mój kochany, jesteś! Rzuciła się w jego objęcia, a on przytulił ją mocno, nareszcie pewien, że nigdy nie pozwoli jej odejść.